

„GENIALNY DEBIUT. PEŁEN WSZYSTKIEGO, CO KOCHAM.”

SARAH J. MAAS

GŁOŚNĄC

QWAZ



SHELBY MAHURIN

GOŁĄB & WAŻ

SHELBY MAHURIN

GŁOŚNĄC
&
WIAZ

Przełożyła Agnieszka Kalus



Tytuł oryginału: *Serpent & Dove*

Copyright © Shelby Mahurin, 2019

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Poznańskie, 2020

Redaktor prowadząca: Milena Buszkiewicz

Marketing i promocja: Łukasz Chmara, Marta Friedrich

Redakcja: Natalia Szczepkowska

Korekta: NABU Joanna Pawłowska

Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt ilustracji okładkowej: © Katt Phatt, 2019

Projekt okładki: Sarah Nichole Kaufman

Adaptacja okładki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66517-99-8

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

WE NEED YA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@weneedya.pl

www.weneedya.pl

*Dla mamy, która kocha książki,
dla taty, który dał mi odwagę do ich pisania,
i dla RJ'a, który wciąż nie przeczytał niniejszej*

CZEŚĆ PIERWSZA



Un malheur ne vient jamais seul
Nieszczęścia zawsze chodzą parami
– francuskie przysłowie

BELLEROSE

Lou

W ciele tkniętym magią jest coś niepokojącego. Większość ludzi najpierw poczuła zapach: nie zgniliznę rozkładu, lecz cukierkową słodycz w nosie, ostry smak na języku. Niektórzy wyczuli także wibrację w powietrzu. Aurę przylegającą do skóry zmarłego. Jakby przyczała się tam sama magia, patrzyła i czekała.

Żywa.

Oczywiście te, które były na tyle głupie, że rozmawiały o takich rzeczach, skończyły na stosie.

W ciągu zeszłego roku znaleziono trzynaście ciał w Belterze – dwa razy więcej niż w poprzednich latach. Chociaż Kościół robi, co w jego mocy, żeby ukryć tajemnicze okoliczności każdego zgonu, wszyscy zostali pochowani w zamkniętych trumnach.

– Oto i on. – Coco wskazała mężczyznę w kącie. Przy blasku świecy połowa jego twarzy była ukryta w cieniu, ale nie można było z niczym pomylić złotych, brokatowych zdobień na jego płaszczu oraz ciężkich insygniów na szyi. Siedział wyprostowany na krześle, najwyraźniej czuł się niekomfortowo, ponieważ skąpo ubrana kobieta tuliła się do jego pulchnego ciała. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

Tylko Madame Labelle pozwoliłaby arystokracie takiemu jak Pierre Tremblay czekać w burdelu.

– Podejź. – Coco zaprosiła go do stołu w przeciwległym kącie. – Babette niedługo powinna się pojawić.

– Co za nadęty dupek nosi brokat w czasie żałoby? – zapytałam.

Coco zerknęła na Tremblaya przez ramię i uśmiechnęła się szelmowsko.

– Nadęty dupek z pieniędzmi.

Jego córka, Filippa, była siódmym znalezionym ciałem.

Zniknęła w środku nocy, a arystokraci byli wstrząśnięci, kiedy się odnalazła – z poderżniętym gardłem – na skraju L'Eau Mélancolique. Ale nie to było najgorsze. W królestwie plotkowano o jej srebrnych włosach i pomarszczonej skórze, jej pokrytych bielmem oczach i powykręcanych palcach. W wieku dwudziestu czterech lat została zmieniona w starą jędzę. Równi Tremblayowi nie potrafili tego zrozumieć. Nie miała żadnych wrogów, o których by wiedziano, nie została zabita z zemsty, która mogłaby uzasadnić takie okrucieństwo.

Filippa mogła nie mieć żadnych wrogów, ale ten nadęty dupek – jej ojciec – na pewno narobił sobie wielu, handlując magicznymi przedmiotami.

Śmierć jego córki była ostrzeżeniem: nie zadziera się z czarownicami.

– *Bonjour, messieurs.* – Podeszła do nas miodowłosa kurtyzana, z nadzieją trzepocząc rzęsami. Zaśmiałam się, widząc, jak obrzuca spojrzeniem Coco; ta nawet przebrana za mężczyznę była olśniewająca. Chociaż ciemnobrązową skórę jej dłoni pokrywały blizny, twarz pozostała gładka, a jej czarne oczy lśniły mimo półmroku. – Czy dacie się skusić?

– Przykro nam, kochanie. – Poklepałam kurtyzanę po dłoni z przymilnym uśmiechem, bo widziałam, że tak robią mężczyźni. – Jesteśmy umówieni. Niedługo przyjdzie do nas Mademoiselle Babette.

Zrobiła kwaśną minę, ale po chwili zwróciła się do naszego sąsiada, który z chęcią przyjął jej zaproszenie.

– Sądzisz, że ma to przy sobie? – Coco obrzuciła Tremblaya uważnym spojrzeniem od czubka jego łysej głowy aż po wypolerowane buty, na dłużej zatrzymując się na palcach pozbawionych biżuterii. – Babette mogła kłamać. To może być pułapka.

– Babette może i kłamać, ale nie jest głupia. Nie sprzeda nas, zanim jej nie zapłacimy. – Z chorobliwą fascynacją przyglądałam się pozostałym kurtyzantom. Mocno ściśnięte w pasie, z wylewającym się biustem, tańczyły gibko pomiędzy mężczyznami, tak jakby gorsety wcale ich powoli nie zaduszały.

Właściwie wiele z nich w ogóle nie miało gorsetu. Ani żadnej innej części garderoby.

– Masz rację. – Coco wyjęła z płaszcza naszą sakiewkę i rzuciła ją na stół. – Zrobi to później.

– Ach, *mon amour*, ranisz mnie. – Obok nas zmaterializowała się Babette odziana w karmazynowy jedwab. Zmrużyła oczy i zajrzała pod rondo mojego kapelusza. Jej bursztynowa skóra błyszczała od słodkiego olejku z migdałów, kocie oczy miała obwiedzione czarną kredką. – Jeszcze dziesięć złotych *couronnes*, a nawet nie przyjdzie mi do głowy was zdradzić.

– Dzień dobry, Babette. – Chichocząc, położyłam nogę na stole i odchyliłam się na krzesło. – Wiesz, to niesamowite, że zawsze pojawiaasz się sekundę po tym, jak pokażemy pieniądze. Wyczuwasz je nosem? – Odwróciłam się do Coco, której drżały usta od powstrzymanego śmiechu. – Jakbyś je potrafiła wywąchać.

– *Bonjour*, Louise. – Babette pocałowała mnie w policzek i pochyliła się nad Coco. – Cosette, wyglądasz zachwycająco, jak zawsze – powiedziała, zniżając głos.

Coco wywróciła oczami.

– Spóźniłaś się.

– Proszę o wybaczenie. – Babette przechyliła głowę i posłała nam przesłodzony uśmiech. – Nie rozpoznałam was. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego takie piękne kobiety upierają się, by przebierać się za mężczyzn...

– Samotne kobiety przyciągają zbyt wiele uwagi. Sama wiesz. – Bębniłam palcami po stole z wyćwiczoną nonszalancją i wymuszonym uśmiechem. – Każda z nas może być czarownicą.

– Faj! Te straszne, agresywne kreatury. Takie z was czarownice jak ze mnie.

– Oczywiście. – Coco posłała mi dyskretne spojrzenie, jej usta znowu drgnęły. – Jednak za Kościołem najpierw idą płomienie. Potem dopiero pytania. Niebezpiecznie jest być kobietą.

– Nie tutaj. – Babette rozłożyła szeroko ręce, jej usta ułożyły się w uśmiech. – Tutaj jesteśmy bezpieczne. Tutaj jesteśmy uwielbiane. Moja oferta nadal...

– Nie szukamy u ciebie pracy, Babette. – Ponownie skupiłam uwagę na Tremblayu, który swoim ostentacyjnym bogactwem przyciągnął jeszcze dwie kurtyzany. Grzecznie odwiódł je od rozpięcia swoich spodni. – Przyszliśmy tu z jego powodu.

Coco potrząsnęła naszą sakiewką.

– Dziesięć złotych *couronnes*, jak było umówione.

– Hmm... Ja pamiętam, że dwadzieścia.

– Słucham? – Moje krzesło upadło z hukiem na ziemię. Klienci siedzący najbliżej zerknęli w naszym kierunku, ale ich zignorowałam. – Umówiliśmy się na *dziesięć*.

Babette pociągnęła nosem i zadarła głowę.

– To było zanim zraniłaś moje uczucia.

– A niech cię, Babette. – Coco zgarnęła monetę, nim Babette zdążyła jej dotknąć. – Wiesz, ile czasu potrzebujemy, żeby zaoszczędzić taką sumę?

Z trudem panowałam nad głosem.

– Nawet nie wiemy, czy Tremblay ma ten pierścień.

Babette tylko wzruszyła ramionami i wyciągnęła rękę.

– Nie moja wina, że upieracie się przy rozpruwaniu sakiewek na ulicy jak zwykle kryminalistki. Zarobiłybyście trzy razy tyle w jedną noc w Bellerose, ale jesteście zbyt dumne.

Coco zaczerpnęła haust powietrza i zacisnęła dłonie w pięści.

– Słuchaj, przykro nam, że uraziłyśmy twoją dumę, ale umówiliśmy się na *dziesięć*. Nie stać nas...

– Słyszę, że masz monetę w kieszeni, Cosette.

Spojrzałam z niedowierzaniem na Babette.

– Jesteś pieprzonym psem gończym.

Jej oczy błysnęły złością.

– No nie, biorę na siebie ryzyko i zapraszam was, żebyście podsłuchiwały moją panią z panem Tremblayem w intymnych chwilach, a wy mnie obrażacie, jakbym była...

W tej chwili po schodach zeszła wysoka kobieta w średnim wieku. Suknia w głębokim odcieniu szmaragdu podkreślała jej płomienne włosy i figurę klepsydry. Tremblay zerwał się na nogi na jej widok, a otaczające nas kurtyzany – w tym Babette – z szacunkiem dygnęły.

Dziwnie było patrzeć na dygające nagie kobiety.

Ujmując Tremblaya za rękę, Madame Labelle szeroko się uśmiechnęła, pocałowała go w oba policzki i wyszeptała coś, czego nie usłyszałam. Poczulałam przyływ paniki, gdy chwyciła go pod ramię i poprowadziła w kierunku schodów.

Babette zerkała na nas kątem oka.

– Decydujcie się prędko, *mes amours*. Moja pani jest zajęta kobietą. Jej spotkanie z panem Tremblayem nie będzie trwało zbyt długo.

Obrzuciłam ją zirytowanym spojrzeniem, opierając się chęci zaciśnięcia dłoni na jej ładnej szyi.

– Czy możesz nam przynajmniej powiedzieć, co kupuje twoja pani? Na pewno coś ci powiedziała. Może pierścionek? Czy Tremblay go ma?

Uśmiechnęła się jak kot do miski śmietany.

– Być może... za kolejne dziesięć *couronnes*.

Wymieniłyśmy mordercze spojrzenia z Coco. Jeśli Babette nie będzie uważać, niedługo przekona się, jakie *straszne* i *agresywne* potrafią być czarownice.

Burdel Bellerose szczyił się dwunastoma luksusowymi pokojami, w których kurtyzany zabawiały gości, ale Babette nie zaprowadziła nas do żadnego z nich. Zamiast tego otworzyła nieoznakowane trzynaste drzwi na końcu korytarza.

– Witajcie, *mes amours*, w oczach i uszach Bellerose.

Mrugając, czekałam, aż mój wzrok przyzwyczai się do ciemności nowego, węższego korytarza. Dwanaście okien – dużych, prostokątnych i rozmieszczonych w regularnych odstępach wzdłuż jednej ściany – dawało jedynie subtelną poświatę. Po przyjrzeniu się uświadomiłam sobie jednak, że to nie były okna, lecz portrety.

Musnęłam palcem nos postaci na najbliższym z nich: pięknej kobiety z ponętnymi kształtami i czarującym uśmiechem.

– Kim one są?

– Sławnymi kurtyzanami z przeszłości. – Babette zamilkła, podziwiając kobietę o melancholijnym spojrzeniu. – Mój portret kiedyś ją zastąpi.

Marszcząc brwi, pochyliłam się, żeby przyjrzeć się tej postaci. Jej portret był lustrzanym odbiciem, kolory wydawały się przygaszone, jakbym patrzyła na obraz od tyłu. I... a niech mnie.

Jej oczy przykrywały dwie złote klapki.

– Czy to są wizjery? – zapytała Coco, podchodząc. – Co to za makabryczny spektakl, Babette?

– Ciii! – Babette błyskawicznie przyłożyła palec do ust. – Oczy i uszy, pamiętacie? *Uszy*. Musimy tu mówić szeptem.

Nie chciałam nawet sobie wyobrazić, w jakim celu zaprojektowano to pomieszczenie. Wyobraziłam sobie jednak gorącą kąpiel, którą wezmę po powrocie do domu. Wyszoruję się. Energicznie. Tymczasem mogę się jedynie modlić, że moje gałki oczne wytrzymają.

Zanim zdążyłam wyrazić swój niesmak, kątem oka dostrzegłam poruszające się cienie. Odwróciłam się i sięgnęłam do noża ukrytego w bucie, zanim jeszcze cienie przybrały konkretny kształt. Znieruchomiałam, gdy dwaj potwornie znajomi, potwornie nieprzyjemni mężczyźni obrzucili mnie spojrzeniem.

Andre i Grue.

Ze złością spjrzałam na Babette, wciąż trzymając nóż.

– Co oni tu robią?

Słyszac mój głos, Andre pochylił się i powoli zamrugął w ciemności.

– Czy to...

Grue spojrzal na mnie, na moje wąsy, zatrzymał się dłużej na moich ciemnych brwiach i turkusowych oczach, piegopatym nosie i opalonej skórze. Wredny uśmiech przeciął jego twarz na pół. Miał ukruszony przedni ząb. I poźółkły.

– Witaj, Lou Lou.

Ignorując go, popatrzyłam wymownie na Babette.

– Tego nie było w umowie.

– Daj spokój, Louise. Pracują tutaj. – Siadła na jednym z drewnianych krzesel, z których mężczyźni przed chwilą wstali. – Moja pani wynajęła ich do pilnowania porządku.

– Jako ochroniarzy? – prychnęła Coco, sięgając po swój nóż. Andre obnażył zęby. – Od kiedy to podglądactwo jest równoznaczne z ochroną?

– Ilekroć nie czujemy się komfortowo z jakimś klientem, pukamy dwa razy, a ci cudowni dżentelmeni interweniują. – Babette leniwie wskazała stopą portrety. – To są drzwi, *mon amour*. Bezpośrednie wejście.

Madame Labelle była idiotką. To było jedyne wyjaśnienie takiego... cóż, idiotyzmu.

Dwóch najgłupszych złodziei, jakich znałam, Andre i Grue, nieustannie naruszało nasze terytorium na East Endzie. Gdziekolwiek się udałyśmy, oni szli za nami – zwykle trzymając się dwa kroki z tyłu – a gdziekolwiek się pokazali, zaraz zjawiała się policja. Wielcy, brzydcy, głośni, brakowało im subtelności i umiejętności niezbędnych do prowadzenia interesów na East Endzie. I mózgów.

Wzdrygnęłam się na myśl, co mogą zrobić, mając *bezpośredni* dostęp do czegokolwiek. Zwłaszcza do seksu i przemocy. A to były prawdopodobnie najmniejsze z grzechów w czterech ścianach tego burdelu, na co przykładem była ta transakcja.

– Nie martw się. – Babette posłała im zdawkowy uśmiech, jakby czytając w moich myślach. – Moja pani zabije ich, jeśli wyniosą jakieś informacje. Nieprawdaż, *messieurs*?

Zrzedły im miny, a ja w końcu zauważyłam, co mają pod oczami. Siniaki. Wciąż jednak nie schowałam noża.

– A co powstrzymuje ich od sprzedawania informacji *twojej* pani?

– Cóż... – Babette wstała i wyminawszy nas, podeszła do portretu w głębi korytarza. Uniosła dłoń do małego złotego guzika obok niego. – Podejrzewam, że to zależy od tego, co zamierzacie im dać.

– A może dam wam wszystkim poczuć mój nóż w...

– Ach, ach, ach! – Babette przycisnęła guzik, kiedy zbliżyłam się z uniesionym nożem, a wtedy złote klapki na oczach kurtyzany się uniosły. Korytarz wypełniły stłumione głosy Madame Labelle i Tremblaya.

– Zastanów się, *mon amour* – wyszeptała Babette. – Twój cenny pierścień może znajdować się tuż obok. Podejdz, zobacz sama. – Odsunęła się, przyciskając palcem guzik, i pozwoliła mi stanąć przed portretem.

Zmełszy przekleństwo w ustach, stanęłam na palcach, żeby zajrzeć przez oczy kurtyzany.

Tremblay chodził w tę i z powrotem po pluszowym, kwiatowym dywanie salonu. Wyglądał bladziej w tym pastelowym pokoju – gdzie poranne słońce skąpało wszystko w miękkim, złotym świetle – a na jego czole perliły się krople potu. Nerwowo oblizywał usta i patrzył na Madame Labelle, która przyglądała mu się z szezlongu stojącego przy drzwiach. Nawet siedząc, roztaczała królewski wdzięk, trzymając prosto głowę i mając złożone dłonie.

– Niechże się pan uspokoi, Tremblay. Zapewniam, że w ciągu tygodnia otrzyma pan niezbędne fundusze. Najdalej za dwa tygodnie.

Potrząsnął głową.

– Za długo.

– Można by się spierać, czy aż tak długo, zważywszy na cenę. Jedyne król mógłby pozwolić sobie na taką astronomiczną kwotę, ale jemu niepotrzebne magiczne pierścienie.

Serce podskoczyło mi do gardła, odsunęłam się, żeby spojrzeć na Coco. Jęknęła i włożyła rękę do kieszeni, by wyjąć więcej pieniędzy. Andre i Grue przyjęli monety z triumfalnym uśmieszkiem.

Obiecując sobie, że żywcem obedrę ich ze skóry, kiedy ukradnę pierścień, ponownie skupiałam uwagę na tym, co działo się w salonie.

– A jeśli bym ci powiedział, że mam jeszcze jednego kupca? – spytał Tremblay.

– Nazwałabym cię kłamcą, panie Tremblay. Nie może się pan przechwalać towarami będącymi w pańskim posiadaniu po tym, co stało się z pańską córką.

Tremblay zwrócił się do niej twarzą.

– Niech pani nie wspomina mojej córki.

Wyglądając spódnicę, Madame Labelle całkowicie go zignorowała.

– W istocie jestem raczej zaskoczona, że wciąż para się pan magicznym czarnym rynkiem. Ma pan jeszcze jedną córkę, nieprawdaż? – Kiedy nie odpowiadał, uśmiechnęła się okrutnie. – Czarownice są złośliwe. Jeśli dowiedzą się, że jest pan w posiadaniu pierścienia, wyładują złość na reszcie pana rodziny, co może okazać się... nieprzyjemne.

Zrobił krok w jej stronę, purpurowy ze złości.

– Nie podobają mi się pani aluzje.

– Wobec tego niech spodoba się panu moja groźba, *monsieur*. Niech mnie pan nie irytuje, bo będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobi pan w życiu.

Prychając, spojrzałam na Coco, która parsknęła cichym śmiechem. Babette nie spuszczała nas z oka. Niezależnie od magicznych pierścieni, ta rozmowa warta była czterdziestu *couronnes*. Nawet teatr bladł w porównaniu z tym melodramatem.

– A teraz proszę powiedzieć – zamruczała Madame Labelle – czy naprawdę jest jakiś inny kupiec?

– *Putain* – zaklął. Patrzył na nią przez kilka sekund, po czym z urazą pokręcił głową. – Nie, nie ma innego kupca. Od miesięcy zrywam wszelkie więzy z moimi dotychczasowymi kontaktami, robię czystkę w magazynie. Ale ten pierścień... – Głośno przełknął ślinę, żar w jego spojrzeniu przygasł. – Boję się o nim rozmawiać, żeby demonice nie dowiedziały się, że go mam.

– To było niemądre z pana strony, że w ogóle opowiadał pan o tych przedmiotach.

Tremblay nie odpowiedział. Wzrok wbił gdzieś w dal, jakby zobaczył coś, czego my nie dostrzegaliśmy. Nie wiem dlaczego ścisnęło mnie w gardle.

– Gdyby pan o nich nie gadał, być może droga Filippa wciąż byłaby między nami... – powiedziała Madame Labelle, nie zważając na jego ból.

Odwrócił się gwałtownie, słysząc imię córki, a jego oczy zapłonęły złością.

– Sprawię, że demonice spłoną za to, co zrobiły.

– Jakie to żałosne...

– Słucham?

– Mój biznes opiera się na znajomości interesów moich wrogów, *monsieur*. – Wstała z gracją, a on cofnął się o krok. – Jako że to teraz pana wrogowie, muszę coś panu doradzić: wchodzenie w drogę czarownicom jest niebezpieczne. Niech pan zapomni o zemście. Zapomni o tym, czego dowiedział się pan o świetle cieni i magii. Nie ma pan najmniejszych szans z tymi kobietami. Śmierć to najłaskawsza z ich kar, dar, który otrzymują jedynie nieliczni. Miałam nadzieję, że wyciągnął pan lekcję po tym, co stało się Filippie.

Wyprostował się i prychnął ze złością, wykrzywiając usta. Madame Labelle nadal górowała nad nim o kilkanaście centymetrów.

– Prze-przekroczyła pani wszelkie granice.

Kobieta nie ustąpiła ani o krok. Pogładziła suknię, zupełnie niewzruszona jego zachowaniem, i wyjęła wachlarz z fałd materiału. Z jego grzbietu wystawał nóż.

– Widzę, że uprzejmości dobiegły końca. Dobrze więc. Przejdźmy do interesów. – Jednym ruchem rozłożyła wachlarz i potrząsnęła nim. Tremblay zauważył wystający czubek noża i cofnął się jeszcze o krok. – Jeśli życzy pan sobie, żebym uwolniła go od pierścienia, zrobię to tu i teraz za pięć tysięcy złotych *couronnes* mniej, niż wynosi pańska cena.

Z jego gardła wydobył się dźwięk przypominający krztuszenie.

– Oszalała pani...

– Jeśli nie – ciągnęła twardo – opuści pan to miejsce z pętlą na szyi swojej córki. Ma na imię Celia, prawda? La Dame des Sorcières z rozkoszą wysze jej młodość, spije blask z jej skóry, gładkość jej włosów. Kiedy czarownice z nią skończą, trudno będzie ją rozpoznać. Będzie pusta. Złamana. Tak jak Filippa.

– Ty, ty... – Tremblay wybałuszył oczy, na jego spocone czoło wystąpiła żyła. – *Fille de pute!* Nie możesz mi tego zrobić. Nie możesz...

– Proszę, *monsieur*, nie mam całego dnia. Książę wrócił z Amandine, a ja nie chcę przegapić uroczystości.

Wysunął brodę, upierając się przy swoim.

– Nie, nie mam go przy sobie.

A niech to. Poczułam gorzki smak rozczarowania. Coco zaklęła pod nosem.

– Nie wierzę ci. – Madame Labelle podeszła do okna i zerknęła w dół. – Ach, panie Tremblay, jak taki dżentelmen mógł kazać córce czekać przed burdelem? Jest taką łatwą zdobyczą.

Pocąc się obficie, Tremblay wywrócił kieszenie.

– Przysięgam, że go nie mam! Patrz, patrz! – Przycisnęłam mocniej twarz do portretu, gdy pokazywał jej zawartość swoich kieszeni: haftowaną chusteczkę, srebrny zegarek kieszonkowy, garść miedzianych *couronnes*. Ale nie pierścień. – Proszę, proszę, zostaw moją córkę w spokoju! Ona nie ma z tym nic wspólnego!

Wyglądał tak żałośnie, że mogłabym mu nawet współczuć, gdyby właśnie nie pokrzyżował wszystkich moich planów. Wobec tego widok jego trzęsących się rąk i nóg oraz zbielejącej ze strachu twarzy napełnił mnie mściwą rozkoszą.

Madame Labelle chyba podzielała moje uczucia. Westchnęła teatralnie, opuściła dłoń spoczywającą na oknie i – zaciekawiona – spojrzała na portret, za którym stałam. Odsunęłam się gwałtownie i wylądowałam na tyłku, tłumiąc przekleństwo.

– Co się stało? – wyszeptała Coco, kucając obok. Babette ściągnęła brwi i puściła guzik.

– Ciiii! – Machałam rękami, wskazując salon. – Wydaje mi się – nie śmiałam mówić, więc tylko poruszałam ustami – że mnie widziała.

Coco zrobiła wielkie oczy ze strachu.

Wszyscy zamarliśmy, gdy głos się zbliżył – był stłumiony, ale słyszalny przez ścianę.

– Powiedz mi więc, *monsieur*, gdzie jest?

Cholera. Coco i ja zamknęłyśmy oczy z ulgą. Chociaż nie odważyłam się wrócić do portretu, przyłgnęłam do ściany, czując własny, gorący oddech na twarzy. *Odpowiedz jej*, błagałam w duchu. *Powiedz nam*.

Stał się cud i Tremblay posłuchał, a jego podszyte złością słowa brzmiały dla mnie piękniej niż najśłodsza muzyka.

– Zamknięty w mojej miejskiej rezydencji, ty *salope ignorante*...

– To wystarczy, Monsieur Tremblay. – Gdy usłyszałam odgłos otwieranych drzwi salonu, wyobraziłam sobie jej uśmiech. Był równie wielki jak mój. – Mam nadzieję, że dla dobra córki pan nie skłamał. Pojawię się w pana rezydencji o świcie z zapłatą. Proszę nie kazać mi czekać.

CHASSEUR

Lou

– Zamieniam się w słuch.

Siedząc w zatłoczonej cukierni, Bas uniósł do ust łyżkę *chocolat chaud*, uważając, żeby nie uрониć ani kropli na koronkowy fular. Stłumiłam chęć ochłapania go swoją porcją. Aby zrealizować nasze plany, musiał być w dobrym humorze.

Nikt nie był w stanie tak oszwabić arystokraty jak Bas.

– Chodzi o to – powiedziałam, celując w niego łyżeczką – że możesz zabrać sobie, co zechcesz z domu Tremblaya, ale pierścionek jest nasz.

Pochylił się i wbił spojrzenie ciemnych oczu w moje usta. Kiedy z irytacją otarłam *chocolat* z wąsów, uśmiechnął się.

– Ach, tak. Magiczny pierścionek. Muszę przyznać, że jestem zaskoczony twoim zainteresowaniem podobnym przedmiotem. Myślałem, że porzuciłaś magię?

– Ten pierścionek jest inny.

Ponownie spojrzał na moje usta.

– Oczywiście, że jest.

– Bas. – Pstryknęłam palcami przed jego twarzą. – Skup się, proszę. To ważne.

Swojego czasu, gdy przybyłam do Cesarine, sądziłam, że Bas jest dość przystojny. Na tyle, by mieć go na uwadze. Na pewno na tyle, by dać się pocałować. Siedząc naprzeciw niego przy małym stoliku, widziałam ciemną linię jego szczęki. Wciąż była tam mała blizna – tuż pod jego uchem,

zakryta zarostem – gdzie ugryzłam go podczas jednej z naszych bardziej namiętych nocy.

Westchnęłam smutno na to wspomnienie. Miał najpiękniejszy bursztynowy odcień skóry. I taki jędrny tyłeczek.

Zachichotał, jakby czytał mi w myślach.

– Dobrze, Louey. Spróbuję się skupić, pod warunkiem, że ty zrobisz to samo. – Mieszając swoją *chocolat*, rozparł się na krześle z ironicznym uśmiechem. – Więc... chcesz obrabować arystokratę i oczywiście przyszłaś do mistrza po radę.

Prychnęłam, ale ugryzłam się w język. Jako trzeci kuzyn barona w drugiej linii, Bas miał szczególną pozycję, będąc częścią arystokracji, a jednocześnie nie będąc nią. Dzięki majątkowi krewnych mógł nosić najmodniejsze ubrania i brać udział w najwykwintniejszych przyjęciach, ale arystokraci nawet nie pamiętali jego imienia. Co nie było takie złe, jako że zwykle pojawiał się tam, żeby pozbawić ich kilku kosztowności.

– Mądra decyzja – ciągnął – ponieważ durnie tacy jak Tremblay bardzo polegają na ochronie, czyli bramach, zamkach, strażach i odźwiernych, że wymienię tylko kilka. Zapewne nawet bardziej po tym, co stało się z jego córką. Czarownice uprowadziły ją w środku nocy, prawda? Na pewno dodatkowo wzmocnił ochronę.

Filippa coraz bardziej mnie wkurzała.

Spojrzałam na witrynę cukierni spode łba. Pyszniły się tam różne rodzaje ciast: lukrowane torty, głowy cukru, czekoladowe tartaletki, a także makaroniki i owocowe ciastka w każdym kolorze. Wystawę wieńczyły malinowe eklery i jabłkowe *tarte tatin*.

Przy całej tej dekadencji mnie najbardziej leciała ślinka na widok wielkich, lepkich bułek z cynamonem i bitą śmietaną.

Jakby na zawołanie, Coco usiadła na pustym miejscu obok nas i pchnęła ku mnie talerz bułeczek.

– Masz.

Mogłabym ją ucałować.

– Jesteś boginią. Wiesz o tym?

– Naturalnie. Nie licz jednak, że będę trzymała ci włosy, gdy będziesz po tym rzygać. I wiesz mi jedną *couronne*.

– Chyba śnisz. To też moje pieniądze...

– Tak, ale gdybyś chciała, mogłabyś naciągnąć Pana na bułeczkę. Ta *couronne* należy mi się za obsługę.

Zerknęłam przez ramię na niskiego, pulchnego mężczyznę za ladą: Johannes Pan, mistrz cukierniczy i półgłówek. Jednak, co istotne, był bliskim przyjacielem i zausznikiem Mademoiselle Lucidy Bretton.

To ja byłam Mademoiselle Lucydą Bretton. Z blond peruką.

Czasami nie chciało mi się nosić męskiego stroju i szybko odkryłam, że Pan miał słabość do kobiet. Zazwyczaj wystarczyło, żebym zatrzepotała rękami. Innymi razy musiałam być... bardziej kreatywna. Zerknęłam na Basa. Nie miał pojęcia, że w ostatnich dwóch latach dopuścił się wszelkiego rodzaju haniebnych czynów w stosunku do Mademoiselle Bretton.

Pan nie radził sobie z kobiecymi łzami.

– Dzisiaj jestem przebrana za faceta. – Wbiłam zęby w pierwszą bułeczkę, od razu pochłaniając połowę – ...ozatym on foli – przełknęłam z trudem, aż w oczach pojawiły mi się łzy – blondynki.

Bas patrzył na mnie pożądliwie.

– Wobec tego ma kiepski gust.

– Oj, przestań. – Coco przewróciła oczami. – Daj spokój, dobra? Nie pasuje do ciebie takie smęcenie.

– A tobie nie pasuje ten strój...

Pozwoliłam im się przekomarzać i znowu zajęłam się bułeczkami. Chociaż Coco ukradła ich tyle, że starczyłoby dla pięciu osób, przyjął wyzwanie. Po trzech jednak uznałam, że nie dam rady zjeść więcej. Odepchnęłam talerz.

– Nie mamy za dużo czasu, Bas – przerwałam im, gdy Coco już prawie przeskakiwała przez stół. – Pierścień zniknie rano, mamy więc tylko tę noc. Pomożesz nam?

Zmarszczył czoło, słysząc mój ton.

– Nie rozumiem, o co tyle zamieszania. Nie potrzebujecie pierścienia niewidzialności dla zachowania bezpieczeństwa. Wiecie, że mogę was chronić.

Pff. Puste obietnice. Być może dlatego właśnie przestałam go kochać.

Bas miał wiele zalet – był czarujący, przebiegły, bezwzględny – ale nie był typem obrońcy. Nie, za bardzo przejmował się ważniejszymi sprawami, takimi jak ratowanie własnej skóry, gdy tylko zaczynało robić się gorąco. Nie miałam mu tego za złe. W końcu był mężczyzną, a jego pocałunki nadrabiały wszelkie braki.

Coco popatrzyła na niego ze złością.

– Mówiliśmy ci już kilka razy, że daje więcej niż tylko niewidzialność.

– Ach, *mon amie*, muszę przyznać, że nie słuchałem.

Kiedy się uśmiechnął, posyłając jej pocałunek przez stół, jej dłonie się zacisnęły.

– *Bordel!* Przysięgam, że pewnego dnia...

Interweniowałam, zanim rozplątała mu gardło.

– Sprawia, że ten, kto go używa, jest odporny na magię. Podobnie jak balisardy chasseurów. – Zerknęłam na Basa. – Z pewnością rozumiesz, jakie to może być dla mnie przydatne.

Jego uśmiech zniknął. Powoli uniósł dłoń, by dotknąć mojego fularu, palcami próbował wyczuć bliznę, którą ukrywałam. Poczułam dreszcze na plecach.

– Ale cię nie znalazła. Jesteś bezpieczna.

– Na razie.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, wciąż z dłonią przy mojej szyi. W końcu westchnął.

– Zrobisz wszystko, co będzie konieczne, żeby zdobyć ten pierścień?

– Tak.

– Posuniesz się do... czarów?

Przełknęłam ślinę, splotłam palce z jego palcami i potaknęłam. Opuścił nasze złączone dłonie na blat stołu.

– W porządku. Wobec tego wam pomogę. – Wyjrzał przez okno, więc i ja tam spojrzałam. Coraz więcej osób gromadziło się, żeby obejrzeć paradę. Chociaż większość z nich śmiała się i paplała, nie kryjąc ekscytacji, tuż pod powierzchnią dało się wyczuć niepokój: w napięciu ich ust, w szybkich, gwałtownych ruchach ich oczu. – Dziś wieczorem – ciągnął – król wydaje bal na powitanie syna przybyłego z Amandine. Zaproszono całą arystokrację, w tym pana Tremblaya.

– Doskonale – mruknęła Coco.

Wszyscy się spięliśmy, słysząc odgłosy zamieszania na ulicy, i utkwiliśmy wzrok w mężczyznach, którzy wynurzyli się z tłumu. Ubrani w ciemnoniebieskie płaszcze, maszerowali w rzędach po trzech, w równym rytmie wystukując rytm kroków *tup, tup, tup* i trzymając na sercach srebrne sztylety. Po obu stronach stali posterunkowi, którzy krzycząc, odsuwali pieszych na chodniki.

Chasseurzy.

Zaprzysiężeni Kościołowi jako łowcy, chasseurzy chronili Belterre przed okultyzmem – czyli przed Dames Blanches, inaczej śmiertelnie niebezpiecznymi czarownicami, które podsycaly uprzedzenia wśród małoszkolnych mieszkańców królestwa. W moich żyłach tętniła złość, gdy patrzyłam na zbliżających się łowców. Jakbyśmy były intruzami. Jakby ta ziemia kiedyś nie należała do *nas*.

To nie twoja walka. Uniosłam głowę i przywołałam się do porządku. Dawne waśnie pomiędzy Kościołem a czarownicami już mnie nie dotyczyły – przynajmniej od chwili, gdy zostawiłam za sobą świat magii.

– Nie powinnaś tu być, Lou. – Coco patrzyła na chasseurów, którzy zajęli pozycje wzdłuż ulicy, żeby stanąć na drodze każdemu, kto chciałby zbliżyć się do rodziny królewskiej. Niedługo zacznie się parada. – Powinnyśmy wrócić do teatru. Tak wielki tłum jest niebezpieczny. Przyciąga kłopoty.

– Jestem w przebraniu – powiedziałam, obracając w ustach kawałek bułeczki. – Nikt mnie nie rozpozna – dodałam, przełknąwszy ten kęs.

– Andre i Grue rozpoznali.

– Tylko dlatego, że usłyszeli mój głos.

– Nigdzie się nie ruszam do zakończenia parady. – Bas puścił moją dłoń, wstał i poklepał się po kamizelce, uśmiechając się lubieżnie. – Taki tłum jest wspaniałym źródłem pieniędzy, a ja zamierzam w nim zanurkować. Proszę wybaczyć.

Dotknął kapelusza i oddalił się, wymijając zygzakiem stoliki. Coco zerwała się na nogi.

– Ten drań złamie dane słowo, jak tylko zniknie nam z oczu. Zapewne wyda nas policji albo, co gorsza, łowcom. Nie wiem, dlaczego mu ufasz.

Mimo naszej przyjaźni cały czas sprzeczałyśmy się o to, że wyjawiałam Basowi prawdziwą tożsamość. Moje prawdziwe imię. Nie miało znaczenia, że stało się to po wieczorze suto zakrapianym whiskey i pocałunkami. Skubiąc ostatnią bułeczkę tylko po to, żeby uniknąć wzroku Coco, starałam się nie żałować swojej decyzji.

Żal niczego nie zmieni. Nie miałam innego wyboru, musiałam mu zaufać. Zostaliśmy nieodwracalnie złączeni.

Westchnęła z rezygnacją.

– Pójdę za nim. A ty się stąd wydostań. Spotkajmy się za godzinę w teatrze.

– Zgoda.

Wyszłam z cukierni kilka minut po Coco i Basie. Chociaż na zewnątrz stało mnóstwo dziewczyn, które niemal wpadły w histerię na myśl o zobaczeniu księcia, wyjście musiał blokować akurat jakiś mężczyzna.

Był ogromny, górował nade mną o ponad głowę, jego szerokie plecy i silne ramiona napinały się pod brązową wełną płaszcz. On również patrzył na ulicę, ale raczej nie interesowała go parada. Był spięty, jakby szykował się do walki.

Odchrząknęłam i postukałam go palcem w plecy. Ani drgnął. Stuknęłam go ponownie. Lekko się przesunął, ale nie na tyle, bym mogła się precyzyjnie przycisnąć.

No dobrze. Przewracając oczami, przełożyłam jedną rękę przez szparę i próbowałam przycisnąć się pomiędzy nim a futryną drzwi. Chyba wreszcie coś poczuł, bo odwrócił się i... zdzielił mnie łokciem w nos.

– Cholera! – Złapałam się za nos i cofnęłam tak gwałtownie, że po raz drugi tego dnia wylądowałam na tyłku. Moje oczy wypełniły się zdradzieckimi łzami. – O co ci, do cholery, chodzi?

Wyciągnął rękę.

– Przepraszam, *monsieur*. Nie zauważyłem pana.

– Najwidoczniej. – Zignorowałam jego dłoń i wstałam. Otrzepałam spodnie i próbowałam przejść obok niego, ale znowu zablokował mi drogę. Gdy się ruszył, jego obskurny płaszcz załopotał i zauważyłam pas przewieszony przez klatkę piersiową. Bandolier przytrzymywał noże różnego kształtu i rozmiaru, ale o mało co nie stanęło mi serce na widok tego, który miał zatknięty przy sercu. Błyszczał złotem, a jego rękojeść była wysadzana dużymi szafirami.

Chasseur.

Spuściłam głowę. Cholera.

Głęboko oddychając, starałam się zachować spokój. W tym przebraniu nic mi nie groziło z jego strony. Nie zrobiłam nic złego. Pachniałam cynamonem, a nie magią. Poza tym czyż nie jest tak, że wszystkich mężczyzn łączy jakaś nieuchwytna więź? Wzajemne zrozumienie poczucia własnej ważności?

– Jest pan ranny, *monsieur*?

Dobrze. Jako mężczyzna jakoś dam sobie radę.

Zmusiłam się do podniesienia wzroku.

Oprócz jego nieprzyzwoitego wzrostu, pierwszym, co zauważyłam, były mosiężne guziki na płaszczu – pasowały do jego miedziano-złoty włosów,

które lśniły w słońcu jak latarnia morska. Z prostym nosem i pełnymi ustami, był niespodziewanie przystojny jak na chasseura. *Irytująco* przystojny. Nie mogłam przestać się gapić. Gęste rzęsy otaczały oczy w kolorze morza.

Oczy, które właśnie patrzyły na mnie z nieskrywanym zdziwieniem.

Cholera. Uniosłam rękę do wąsów, które zwisały mi smętnie z twarzy.

Cóż, to był próżny wysiłek. Podczas gdy mężczyźni są dumni, kobiety wiedzą, kiedy zrejterować, gdy sytuacja robi się poważna.

– Nic mi nie jest. – Szybko opuściłam głowę i próbowałam go wyminąć, teraz pragnąc zachować między nami jak największy dystans. Chociaż wciąż jeszcze nie zrobiłam niczego złego, nie było sensu prowokować losu. Bo czasem oddawał. – Następnym razem patrz, jak idziesz.

Nie drgnął.

– Jesteś kobietą.

– Słuszna uwaga. – Ponownie próbowałam się precyzyjnie przycisnąć obok niego, tym razem z większą determinacją, ale złapał mnie za łokieć.

– Dlaczego przebrałaś się za mężczyznę?

– Nosileś kiedyś gorset? – Odwróciłam się i stanęłam z nim twarzą w twarz, przyklejając wąsy z największą godnością, na jaką było mnie teraz stać. – Wątpię, żebyś zadał takie pytanie, gdybyś nosił. Spodnie są o wiele wygodniejsze.

Patrzył na mnie, jakby z czoła wyrosła mi ręka. Odwzajemniłam jego spojrzenie, a on lekko potrząsnął głową, jakby chcąc pozbyć się jakiejś myśli.

– Ja... przepraszam, *mademoiselle*.

Ludzie zaczęli na nas patrzeć. Bezskutecznie pociągnęłam go za rękę, bo w brzuchu czułam już narastającą panikę.

– Przepuść mnie...

Ale on tylko ścisnął mnie mocniej.

– Czy obraziłem panią?

Tracąc cierpliwość, szarpnęłam się, próbując się wyrwać.

– Złamałeś mi kość w dupie!

Być może zszokowała go ta wulgarność, bo puścił mnie, jakbym go ugryzła, i patrzył na mnie z niesmakiem graniczącym z odrazą.

– W życiu nie słyszałem, żeby jakaś dama tak się wyrażała.

Ach. Chasseurzy byli święci. Pewnie wziął mnie za diabła.

Nie mylił się tak bardzo.

Uśmiechnęłam się do niego jak kotka i odsunęłam, trzepocząc rzęsami niczym wcielenie Babette. Kiedy nie zrobił nic, żeby mnie zatrzymać, napięcie w mojej piersi zelżało.

– Obraca się pan w towarzystwie niewłaściwych dam, Chass.

– Jesteś kurtyzana?

Chybabym się oburzyła, gdybym nie znała kilku godnych szacunku kurtyzan – nie zaliczyłabym do nich Babette. Przekłęta szantażystka. Westchnęłam głośno.

– Niestety nie, w całej Cesarinie mężczyznom pękają serca z tego powodu.

Zacisnął zęby.

– Jak masz na imię?

Wiwatujący tłum oszczędził mi odpowiedzi. Rodzina królewska wreszcie skręciła w naszą ulicę. Chasseur odwrócił się na sekundę, ale tyle mi wystarczyło. Schowałam się za grupą wyjątkowo rozentuzjasmowanych dziewczyn – nawoływały króla tak piskliwie, że chyba tylko psy mogły je usłyszeć – i zniknęłam, zanim znowu się odwrócił.

Ze wszystkich stron potrącały mnie łokcie i szybko zdałam sobie sprawę, że jestem zbyt niska, zbyt wątła, żeby przedrzeć się przez tłum. Zwłaszcza że nie chciałam nikogo dźgać nożem. Sama zdzieliłam kilka osób z łokcia i szukałam jakiegoś podwyższenia, na którym mogłabym przeczekać paradę. Gdzieś, gdzie nie będę na widoku.

Tam.

Podskoczyłam i złapałam parapet starego, kamiennego budynku, podciągnęłam się na rynnę i weszłam na dach. Oparłam łokcie o balustradę i patrzyłam na ulicę w dole. W każdych drzwiach powiewała złota flaga z herbem rodziny królewskiej, na każdym rogu rozłożyli się sprzedawcy z jedzeniem. Mimo apetycznych zapachów ich *frites*, kiełbas, serowych rogali, w mieście cuchnęło rybą. Rybą i dymem. Zmarszczyłam nos. Jedna z przyjemności mieszkania na ponurym, szarym półwyspie.

Cesarine ucieleśniała szarość. Obskurne, szare domy stały ciasno obok siebie jak sardynki w puszcze, a popadające w ruinę ulice wiły się obok szarych ryneczków oraz jeszcze bardziej szarych portów. Wszystko skąpane było w nieprzemijającej chmurze dymu z kominów.

Szarość dusiła. Wysączała życie. Otumaniała.

Ale w życiu są straszniejsze rzeczy niż otumanienie. I gorsze rodzaje dymu niż ten z komina.

Krzyki zrobiły się najgłośniejsze, gdy rodzina Lyonów mijała mój budynek.

Król August machał ze złotego powozu, jego złote loki rozwiewał późnojesienny wiatr. Jego syn, Beauregard, siedział tuż obok. Nie mogli się bardziej od siebie różnić. Ten pierwszy miał jasne spojrzenie i cerę, ten drugi oczy ukryte pod ciężkimi powiekami, śniadą skórę i czarne włosy po matce. Ale ich uśmiechy były niemal równie czarujące.

Zbyt czarujące jak na mój gust. Arogancja promieniowała z każdego poru ich skóry.

Żona Augusta siedziała za nimi z niezadowoloną miną. Nie winię jej. Ja też bym się dąsała, gdyby mój mąż miał więcej kochanek niż palców u rąk i stóp – nie żebym planowała go w ogóle mieć. Chybabym upadła na głowę, gdybym chciała się z kimś związać małżeństwem.

Odwróciłam się, bo znudził mnie już ten widok, gdy kątem oka dostrzegłam ruch na ulicy. Nieznaczoną różnicę, jakby wiatr zmienił kierunek. Niemal niezauważalny dla ucha szum odbijał się do bruku, a każdy dźwięk wydawany przez tłum – a także każdy zapach, smak i dotyk – ulatniały się w eterze. Świat się zatrzymał. Odsunęłam się od krawędzi dachu, zjeżyły mi się włosy na karku. Wiedziałam, co będzie dalej. Rozpoznałam lekkie muśnięcie energii na skórze, znajome dudnienie w uszach.

Magia.

A potem usłyszałam krzyki.

NIEGODZIWOŚĆ KOBIET

Reid

Za czarownicami zawsze snuł się ten zapach. Słodki i ziołowy, ale ostry – zbyt ostry. Jak kadzidło, które arcybiskup palił podczas mszy, lecz bardziej gryzący. Chociaż minęły lata, odkąd odebrałem święcenia, nigdy do tego nie przywykłem. Nawet teraz, gdy wiatr przywiał zaledwie zapowiedź tego zapachu, poczułem ją aż w gardle. Dusiła mnie. Szydźła ze mnie.

Nienawidziłem zapachu magii.

Wysuwając balisardę z miejsca na sercu, obserwowałem zgromadzonych. Jean Luc posłał mi zaniepokojone spojrzenie.

– Jakież kłopoty?

– Nie czujesz? – odpowiedziałem cicho. – Zapach jest subtelny, ale tu jest. Już zaczęły.

Wyjął swoją balisardę z pochwy na biodrze. Rozszerzyły mu się nozdrza.

– Ostrzegę pozostałych.

Nie mówiąc nic więcej, wmieszał się w tłum. Chociaż nie miał munduru, ludzie rozstępowali się przed nim jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Zapewne przez szafiry na rękojęści sztyletu. Po jego przejściu podniosły się szepty, a co bardziej rozgarnięci zerknęli też na mnie. Byli zaskoczeni, gdy uświadomili sobie, kogo widzą.

Chasseurzy.

Spodziewaliśmy się tego ataku. Z każdym mijającym dniem czarownice robiły się coraz bardziej niespokojne, dlatego więc połowa moich braci

stała wzdłuż ulicy w mundurach, a druga połowa – ubrana jak ja – kryła się przed wzrokiem zebranych. Czekwała. Obserwowała.

Polowała.

Mężczyzna w średnim wieku zrobił krok w moją stronę. Trzymał dziewczynkę za rękę. Mieli taki sam kolor oczu. Podobną budowę ciała. Córka.

– Proszę pana, czy grozi nam tu niebezpieczeństwo? – Kilka osób odwróciło się, słysząc to pytanie. Marszczyli brwi. Mieli rozbiegane spojrzenia. Dziewczynka skrzywiła się, zmarszczyła nos i upuściła chorągiewkę. Na chwilę zawisała w pół drogi, po czym opadła na ziemię.

– Boli mnie głowa, tato – wyszeptała mała.

– Cicho, dziecko. – Zerknął na nóż w mojej ręce i nieco się odprężył. – Ten pan jest chasseur. Zapewni nam bezpieczeństwo. Prawda, proszę pana?

W przeciwieństwie do córki nie wyczuł jeszcze magii. Ale wyczuje. Już za chwilę.

– Musicie natychmiast opuścić to miejsce – powiedziałem ostrzej, niż zamierzałem. Dziecko znowu się skrzywiło, ojciec je objął. W głowie rozbrzmiewały mi słowa arcybiskupa. *Uspokój ich, Reid. Musisz emanować spokojem i pewnością siebie oraz zapewniać im ochronę.* Pokręciłem głową i zacząłem jeszcze raz: – Proszę wrócić do domu. Posolić drzwi i okna. I nie wychodzić, dopóki...

Moje słowa zagłuszył przenikliwy pisk.

Wszyscy zamarli.

– IDŹCIE! – Wepchnąłem mężczyznę i jego córkę do cukierni za nami. Ledwie przekroczył próg, inni ruszyli za nim, nie zważając na to, kto stoi im na drodze. Ciała zderzały się ze sobą wszędzie naokoło. Krzyki nasiliły się, a nienaturalny śmiech odbijał się echem z każdej strony. Trzymałem nóż blisko siebie i ruszyłem przez spanikowanych gapiów, potykając się o staruszkę.

– Uważaj – zazgrzytałem zębami, łapiąc ją za wątle ramiona, zanim zdążyła upaść na ziemię, gdzie zostałaby zdeptana. Zerknęła na mnie wyblakłymi oczami, a na jej przywiedłych ustach pojawił się leniwy, osobliwy uśmiech.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece, młody człowieku – wychrypiała. A potem odwróciła się z zaskakującym wdziękiem i zniknęła w tłumie.

Dopiero po kilku sekundach zarejestrowałem mdląco słodki swąd spalenizny, jaki się za nią snuł. Omal nie stanęło mi serce.

– Reid! – Jean Luc stał w powozie rodziny królewskiej. Otaczały go dziesiątki współbraci, w słońcu lśniły szafiry, gdy odpychali gapiów. Ruszyłem przed siebie, a gdy motłoch przede mną się rozproszył, w końcu je ujrzałem.

Czarownice.

Sunęły przez ulicę z błogimi uśmiechami na ustach i rozwianymi włosami, chociaż nie było wiatru. Były we trzy. Śmiały się, gdy ciała padały na ziemię przy najlżejszym dotyku ich palców.

Chociaż ich ofiary nie były martwe, zastanawiałem się, czy śmierć nie byłaby dla nich łaskawsza. Ci mający większego pecha budzili się i nie pamiętali o swoim drugim dziecku albo mieli nienasycony apetyt na ludzkie mięso. W zeszłym miesiącu znaleziono dziecko bez oczu. Jakiś mężczyzna utracił zdolność spania. A inny spędził resztę życia, usychając z tęsknoty za kobietą, której nikt nie potrafił dostrzec.

Każdy przypadek był inny. Każdy jeszcze bardziej niepokojący od poprzedniego.

– REID! – Jean Luc machał rękami, ale go zignorowałem. Przyglądałem się, jak czarownice zbliżają się do rodziny królewskiej, i wzbierał we mnie niepokój. Szły powoli, swobodnie, pomimo oddziały chasseurów pędzących w ich stronę. Ciała poddanych unosiły się jak kukły, tworząc ludzką tarczę wokół wiedźm. Patrzyłem z przerażeniem, jak jakiś człowiek poleciał do przodu i nadział się na balisardę jednego z moich braci. Czarownice zarechotały i nadal wyginały palce pod nienaturalnymi kątami. Z każdym ich drgnieniem unosiło się kolejne bezwolne ciało. Władczyni marionetek.

To nie miało sensu. Przecież czarownice działały w tajemnicy. Atakowały z cienia. Takie otwarte działanie – taki pokaz – był głupi. Chyba że...

Chyba że straciliśmy z oczu szerszy kontekst.

Zaszarżowałem w stronę kamiennego budynku po prawej, żeby spojrzeć na tłum z góry. Drżącymi palcami chwyciłem mur i zacząłem się wspinać. Każdy kolejny ciosany kamień prowadził wyżej – widziałem jak przez mgłę. Kręciło mi się w głowie. Czułem ucisk w piersi. Krew dudniła mi w uszach. *Nie patrz w dół. Patrz do góry...*

Znad krawędzi dachu wyjrzała znajoma twarz z wąsami. Zielononiebieskie oczy. Piegowaty nos. Dziewczyna z cukierni.

– Cholera – powiedziała. Po czym gdzieś się ukryła.

Skupiłem uwagę na miejscu, w którym zniknęła. Moje ciało poczuło nową motywację. W ciągu kilku sekund podciągnąłem się na samą górę, ale dziewczyna przeskakiwała już na drugi dach. Jedną ręką trzymała kapelusz, drugą pokazywała mi środkowy palec. Spojrzałem na nią gniewnie. Ta mała poganka nie była moim zmartwieniem, mimo że bezczelnie okazała mi brak szacunku.

Odwrociłem się, żeby popatrzeć w dół, chwyciłem się balustrady, bo świat kołysał się i kręcił.

Ludzie wchodzili do sklepów ciągnących się wzdłuż ulic. Było ich zbyt wielu. Obsługa próbowała zachować porządek, ale i tak tratowano tych stojących najbliżej drzwi. Właścicielowi piekarni udało się zabarykadować wejście. Ci, którzy pozostali na zewnątrz, wrzeszczeli i walili w okna, ponieważ czarownice były coraz bliżej.

Przyglądałem się tłumowi, by mieć pewność, że niczego nie przeoczyliśmy. Nad czarownicami wirowało więcej niż dwudziestu nieszczęśników – niektórzy nieprzytomni, opadły im głowy, inni byli wciąż świadomi. Jeden mężczyzna wisiał z rozłożonymi rękami, jakby był przybity do niewidzialnego krzyża. Włosy i ubrania którejś kobiety unosiły się tak, jakby była pod wodą. Do jej płuc nie dochodziło powietrze. Zrobiła się sina na twarzy. Tonęła.

Z każdym nowym horrorem zbliżało się coraz więcej chasseurów.

Nawet z tej odległości widziałem na ich twarzach zaciekłość i determinację, by bronić ludzi. Ale gdy spieszyli na pomoc bezsilnym, zapominali o naszej prawdziwej misji: ochronie rodziny królewskiej. Przy powozie stało już tylko czterech mężczyzn: dwóch chasseurów i dwóch strażników rodziny królewskiej. Jean Luc trzymał dłoń królowej, a król wykrzykiwał rozkazy skierowane do nas, swojej straży i każdego, kto mógłby go posłuchać, ale wrzask rozszalałego tłumu zagłuszał każde jego słowo.

Od tyłu zbliżała się do nich niepozorna wiedźma.

Gdy dotarła do mnie powaga sytuacji, straciłem dech. Czarownice, czary – to tylko przedstawienie. *Dywersja*.

Nie zastanawiając się nawet przez chwilę, by nie przypominać sobie o przerażającej odległości do ziemi, chwyciłem rynnę i przerzuciłem nogi przez krawędź dachu. Metal zaskrzypiał i ugiął się pod moim ciężarem. W połowie drogi w dół rynna do reszty odczepiła się od kamienia. Odskoczyłem z sercem w gardle i przygotowałem się na upadek. Gdy

zderzyłem się z ziemią, poczułem silny ból promieniujący w górę nóg, ale to mnie nie powstrzymało.

– Jean Luc! Za tobą!

Odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć, i zauważył wiedźmę. Zrozumiał, o co chodzi.

– Na ziemię! – Rzucił króla na podłogę powozu. Pozostali chasseurzy do razu ich otoczyli.

Garbata czarownica zerknęła przez ramię i znowu posłała mi osobliwy uśmiech. Zakręciła nadgarstkiem i słodki zapach przybrał na sile. Z jej palców wystrzelił podmuch powietrza, ale jej magia nie mogła nam zaszkodzić. Nie wtedy, gdy mieliśmy przy sobie balisardy. W metal każdego sztyletu wtopiono kroplę relikwii Świętego Konstantyna, dzięki czemu byliśmy odporni na działanie czarów. Poczulem przepływające obok mdląco słodkie powietrze, ale nie zrobiło mi żadnej krzywdy. Nic nie stało się także moim braciom.

Strażnicy i obywatele nie mieli jednak tyle szczęścia. Odrzuciło ich, z impetem uderzyli w powóz i ściany sklepów. Oczy wiedźmy rozbłysły triumfem, kiedy jeden z chasseurów rzucił się im na pomoc. Nienaturalnie rażno podeszła do drzwi powozu, w których ukazała się pełna niedowierzania twarz księcia Beauregarda. Wykrzywiła się w uśmiechu na jego widok. Rzuciłem nią o ziemię, zanim udało jej się unieść rękę.

Walczyła z siłą kobiety o połowę od niej młodszej – lub o połowę młodszego mężczyzny – kopała, gryzła i biła w każdy fragment mojego ciała, którego dosięgła. Ale byłem zbyt ciężki. Przygniotłem ją, unieruchomiłem jej ręce nad głową, nie zważając na to, że wyrywam je z barków. Przycisnąłem nóż do jej gardła.

Znieruchomiała, gdy pochyliłem się nad jej uchem. Ostrze naparło mocniej.

– Niech Bóg zlituje się nad twą duszą.

Roześmiała się – głośno, rubasznie, aż wstrząsnęła całym moim ciałem. Zmarszczyłem brwi, odsunąłem się i znieruchomiałem. Kobieta pode mną nie była już starą wiedźmą. Z przerażeniem patrzyłem, jak jej pomarszczona twarz zmienia się w gładką, porcelanową buzię. Jej rzadkie włosy gęstnieją, robią się kruczoczarne i spływają poniżej ramion.

Patrzyła na mnie spod przymkniętych powiek, rozchyliła usta i zbliżyła je do moich. Nie byłem w stanie myśleć, nie mogłem się ruszyć, nie

wiedziałem, jak to zrobić, nawet gdybym *chciał*, ale jakoś udało mi się uchylić, zanim mnie dotknęła.

I wtedy to poczułem.

Twardy, zaokrąglony kształt jej brzucha wciśnięty w mój tors.

O Boże.

Z mojej głowy odpłynęły wszystkie myśli. Odskoczyłem – od niej, od tej *rzeczy* – i stanąłem na nogi. W oddali cichły krzyki. Ciało leżące na ziemi drżało. Kobieta powoli wstała.

Ubrana była teraz w głęboką, krwawą czerwień. Położyła dłoń na wypukłym brzuchu i się uśmiechnęła.

Jej szmaragdowe oczy zerknęły na rodzinę królewską, która kulila się przy podłodze powozu, blada i przerażona. Obserwująca.

– Odzyskamy nasze ziemie, Wasze Wysokości – zaskrzeczała wiedźma. – Raz po raz was ostrzegaliśmy, ale nie słuchaliście. Niedługo zatańczymy na waszych prochach, podobnie jak wy tańczyliście na prochach naszych przodków. – Spojrzała mi w oczy. Porcelanowa skóra ponownie zwiotczała, czarne włosy zmieniły się w rzadkie, srebrne strąki. Nie była już piękną, ciężarną kobietą, znowu stała przede mną stara baba. Puściła do mnie oko. Zmroziło mi krew w żyłach. – Musimy to wkrótce powtórzyć, przystojniaku.

Odebrało mi mowę. Nigdy wcześniej nie widziałem takiej czarnej magii – takiej profanacji ludzkiego ciała. Ale czarownice nie były ludźmi. Były żmijami. Wcieleniem demona. A ja prawie...

Bezzębny uśmiech zrobił się jeszcze szerszy, jakby potrafiła czytać w moich myślach. Zanim zdołałem zrobić użytek z noża i posłać ją z powrotem do piekła, skąd przyszła, odwróciła się na pięcie i zniknęła w chmurze dymu.

Ale wcześniej posłała mi buziaka.

Gruby zielony dywan tłumiał moje kroki, kiedy kilka godzin później szedłem po nim w gabinecie arcybiskupa. Pozbawione okien ściany pomieszczenia pokrywały zdobione boazerie. Ogień z kominka rzucał migoczące światło na papiery rozrzucone na biurku. Siedząc, arcybiskup pokazał mi gestem, że mam zająć miejsce na jednym z drewnianych krzeseł naprzeciwko.

Usiadłem. Zmusiłem się do spojrzenia mu w oczy. Stłumiłem gorzkie poniżenie, które paliło mnie w gardle.

Chociaż król i jego rodzina wyszli z parady bez szwanku, wielu innym się to nie udało. Dwie osoby zginęły – jedna dziewczynka z ręki swojego brata, ktoś inny popełnił samobójstwo. Dziesiątki kolejnych nie miały żadnych widocznych urazów, ale obecnie przebywały dwa piętra wyżej, gdzie przywiązano ich do łóżek. Krzyczeli. Mówili od rzeczy. Patrzyli w sufit, nie mrugając oczami. Nieobecni. Księża zrobili dla nich, co mogli, ale większość w ciągu dwóch tygodni zostanie odwieziona do przytułku dla obłąkanych. Tylko tyle medycyna może zrobić dla dotkniętych magią.

Arcybiskup patrzył na mnie ponad złożonymi dłońmi. Stalowe oczy. Ściągnięte usta. Srebrne kosmyki na jego skroniach.

– Świetnie sobie dzisiaj poradziłeś, Reid.

Zmarszczyłem brwi i poruszyłem się na krześle.

– Słucham?

Uśmiechnąłem się bez radości i pochyliłem nad biurkiem.

– Gdyby nie ty, byłoby o wiele więcej ofiar. Król August jest twoim dłużnikiem. Nie może się ciebie nachwalić. – Wskazał elegancką kopertę leżącą na blacie. – Zamierza wydać bal na twoją cześć.

Mój wstyd zapiekł jeszcze mocniej. Wysiłkiem woli zdołałem rozluźnić zaciśnięte dłonie. Nie zasługiwałem na żadne pochwały – ani ze strony króla, ani mojego zwierzchnika. Zawiodłem ich dzisiaj. Złamałem pierwszą regułę mojego bractwa: *Nie pozwolisz przeżyć żadnej czarownicy.*

Ja pozwoliłem czterem.

Co gorsza, chciałem nawet...

Zadrzałem, nie byłem w stanie o tym myśleć.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Dlaczego nie? – Uniósł ciemną brew i ponownie się pochylił. Skurczyłem się pod jego uważnym spojrzeniem. – Jako jedyny pamiętałeś o swojej misji. Jako jedyny rozpoznałeś, kim naprawdę była staruszka.

– Jean Luc...

Niecierpliwie machnął ręką.

– Odnotowałem twoją pokorę, Reid, ale nie powinieneś posuwać się do fałszywej skromności. Ocaliłeś dziś wiele istnień.

– Ja... Ekscelencjo... – Potykałem się na słowach i wbijałem wzrok w swoje dłonie. Ponownie zacisnęły się w pięści.

Jak zawsze arcybiskup zrozumiał mnie bez dalszych wyjaśnień.

– Ach, no tak... – Jego głos złagodniał. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że patrzy na mnie z enigmatyczną miną. – Jean Luc opowiedział mi o tym

nieszczęsnym spotkaniu.

Chociaż mówił łagodnie, w jego tonie pobrzmiwało rozczarowanie. Ponownie poczułem wzbierającą falę wstydu. Spuściłem głowę.

– Przepraszam, ekscelencjo. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Głośno westchnął.

– Nie obawiaj się, synu. Kobiety są niegodziwe, szczególnie czarownice. Ich przebiegłość nie zna granic.

– Proszę mi wybaczyć, ekscelencjo, ale nigdy wcześniej nie widziałem takich czarów. Czarownica była starą babą, ale... się zmieniła. – Znowu wbiłem wzrok w swoje pięści. Wydusiłem kolejne zdanie: – Zmieniła się w piękną kobietę. – Zaczerpnałem powietrza, zacisnąłem zęby i podniosłem wzrok. – Piękną kobietę przy nadziei.

Wydał wargi.

– Matkę.

– Słucham?

Wstał, założył ręce na plecach i zaczął krążyć po gabinecie.

– Zapomniałeś o świętokradzkich naukach czarownic, Reid?

Pokręciłem głową, płonęły mi uszy i przypomniałem sobie srogiego diakona z dzieciństwa. Skromną salę katechetyczną przy świątyni. Spłowiałą Biblię w moich rękach.

Czarownice nie czczą naszego Pana i Zbawcy, nie uznają świętego przymierza Ojca, Syna i Ducha Świętego. Wyznają inną, bałwochwalczą trójcę. Potrójną Boginię.

Nawet gdybym nie dorastał w kościele, jak każdy chasseur przed złożeniem przysięgi uczyłbym się nikczemnej ideologii czarownic.

– Panna, Matka i Starucha – wymamrotałem.

Potaknął, a ja poczułem, że rozlewa się we mnie ciepła satysfakcja.

– Ucieleśnienie kobiecości w cyklu narodzin, życia i śmierci... między innymi. Oczywiście jest to bluźnierstwo. – Prychnął i pokręcił głową. – Jakby Bóg mógł być kobietą.

Zmarszczyłem brwi, unikałem jego spojrzenia.

– Naturalnie, ekscelencjo.

– Czarownice wierzą, że ich królowa, La Dame des Sorcieres, została pobłogosławiona przez boginię. Sądzą, że może dowolnie zmieniać swoją formę w ramach trójcy świętej. – Zamilkł, zacisnął usta i spojrzał na mnie.

– Wydaje mi się, że dzisiaj miałeś okazję zobaczyć ją we własnej osobie.

Spojrzałem na niego, nie kryjąc zdziwienia.

– Morgane le Blanc?

Skinął głową.

– Dokładnie tak.

– Ale, ekscelencjo...

– To wyjaśnia pokusę. To, że nie byłeś w stanie kontrolować najniższych instynktów. La Dame des Sorcieres dysponuje niewiarygodnie potężną mocą, Reid, zwłaszcza w tej formie. Czarownice twierdzą, że Matka reprezentuje płodność, spełnienie i... seksualność. – Jego twarz wykrzywiła się z niesmakiem, jakby to słowo zostawiło gorzki posmak w jego ustach. – Słabszy od ciebie uległby pokusie.

Ale ja też chciałem. Twarz paliła mnie do bólu. Milczeliśmy. Usłyszałem kroki i poczułem dłoń arcybiskupa na ramieniu.

– Wyrzuc to z pamięci, żeby trucizna tej kreatury nie zainfekowała twoich myśli i nie zniszczyła twojej duszy.

Przełknąłem głośno ślinę i zmusiłem się do spojrzenia mu w oczy.

– Już nigdy nie zawiodę, ekscelencjo.

– Wiem. – Żadnego wahania. Żadnej niepewności. Poczułem wielką ulgę.

– Życie, które wybraliśmy, życie powściągliwe i skromne, nie jest pozbawione pewnych trudności. – Zacisnął palce na moim ramieniu. – Jesteśmy ludźmi. Od zarania dziejów mężczyźni zmagają się z pokusą ze strony kobiet. Nawet w doskonałym Ogrodzie Edenu Ewa namówiła Adama do grzechu. – Kiedy nic nie odpowiedziałem, puścił moje ramię i westchnął. Był znużony. – Powierz tę sprawę Panu, Reid. Wyznaj swoje grzechy, a On da ci odkupienie. A jeśli... wciąż nie będziesz mógł pogodzić się z tą przypadłością, być może znajdziemy ci żonę.

Jego słowa niczym cios uderzyły w moją dumę i mój honor. Poczułem złość. Wielką. Gwałtowną. Odurzającą. Jedynie garstka braci pojęła żony, odkąd król powołał nasz święty zakon, a większość z nich w końcu zrezygnowała i opuściła Kościół.

A jednak... kiedyś przez pewien czas brałem to pod uwagę. Pragnąłem tego. Ale już nie.

– To nie będzie konieczne, ekscelencjo.

Jakby wyczuwając moje myśli, arcybiskup powoli mówił dalej:

– Nie muszę ci chyba przypominać o twoich poprzednich występkach, Reid. Dobrze wiesz, że Kościół nie może nikogo przymusić do celibatu, nawet chasseura. Jak powiedział Piotr: „Lecz jeśli nie potrafiliby zapanować nad sobą, niech wstępują w związki małżeńskie. Lepiej jest

bowiem żyć w małżeństwie niż płonąć”. Jeśli twoim życzeniem jest mieć żonę, żaden z braci ani ja nie możemy cię przed tym powstrzymać. – Zamilkł i uważnie na mnie popatrzył. – Być może młoda Mademoiselle Tremblay będzie cię jeszcze chciała?

Na te słowa przed oczami stanęła mi twarz Celi. Delikatna. Piękna. Jej zielone oczy wypełnione łzami. Wsiąkały w czarny materiał żałobnej sukni.

Nie możesz dać mi swojego serca, Reid. Nie mogę mieć tego na sumieniu.

Celio, proszę...

Te potwory, które zamordowały Pip, nadal tutaj są. Należy je ukarać. Nie będę odciągała cię od misji. Jeśli musisz komuś oddać serce, oddaj je swojemu bractwu. Proszę, proszę, zapomnij o mnie.

Nigdy o tobie nie zapomnę.

Musisz.

Odsunąłem od siebie to wspomnienie, zanim całkowicie mną zawładnęło.

Nie. Nigdy się nie ożenię. Po śmierci siostry Celia postawiła sprawę jasno.

– „Tym zaś, którzy nie wstąpili w związki małżeńskie, oraz tym, którzy już owdowieli, mówię: dobrze będzie, jeśli pozostaną jak i ja” – dokończyłem cicho i spokojnie. Wpatrywałem się w swoje pięści spoczywające na udach, wciąż przeżywałem żalobę za swoją przyszłością i rodziną, której nigdy nie ujrzę. – Ekscelencjo, proszę... nie wydaje mi się, że mógłbym zaryzykować swoją przyszłość w zakonie chasseurów i wstąpić w związek małżeński. Niczego bardziej nie pragnę niż służyć Bogu... i tobie, ekscelencjo.

Popatrzyłem na niego, a on uśmiechnął się blado.

– Twoje poświęcenie Bogu bardzo mnie raduje. A teraz sprowadź mój powóz. Mam stawić się w zamku w sprawie księżęcego balu. Jeśli o mnie chodzi, to niepotrzebny kaprys, ale August lubi rozpieszczać syna...

Resztę jego słów zagłuszyło niecierpliwe pukanie do drzwi. Jego uśmiech zniknął w jednej chwili, skinął głową na znak, że jestem wolny. Wstałem, a on obszedł biurko.

– Proszę.

Wszedł młody, patykowaty nowicjusz. Ansel. Szesnastolatek. Osierocony w dzieciństwie podobnie jak ja. Za dzieciaka prawie się nie znaliśmy, chociaż obaj zostaliśmy wychowani przez Kościół. Był zbyt młody, by przystawać ze mną i Jean Lukiem.

Skłonił się, prawą dłoń położył na sercu.

– Przepraszam, że przeszkadzam, Wasza Ekscelencjo. – Podskakiwała mu grdyka, gdy wyciągnął rękę z listem. – Korespondencja. Jakaś kobieta

przyniosła ten list pod same drzwi. Uważa, że dziś wieczorem na West Endzie pojawi się czarownica, w pobliżu parku Brindelle.

Zamarłem. Tam właśnie mieszkała Celia.

– Kobieta? – Arcybiskup zmarszczył czoło i wziął list. Pieczęć miała kształt róży. Spomiędzy fałd swojej szaty wyjął nóż, by przeciąć kopertę. – Jaka?

– Nie znam jej, ekscelencjo. – Policzki Ansela zrobiły się różowe. – Miała rude włosy i była bardzo... – odkaszlnął i wbił wzrok w swoje buty – bardzo piękna.

Arcybiskup jeszcze bardziej się zdziwił i otworzył list.

– Nie należy przywiązywać się do ziemskiego piękna, Ansel – powiedział i spojrzał na list. – Spodziewam się ciebie jutro przy konfesjona... – Zrobił wielkie oczy, czytając pismo.

Podszedłem.

– Ekscelencjo?

Zignorował mnie, nie odrywał wzroku od kartki. Zrobiłem jeszcze krok, aż wreszcie uniósł głowę. Zamrugał oczami.

– Ja... – pokręcił głową i odchrząknął, po czym znów spojrzał na wiadomość.

– Ekscelencjo? – powtórzyłem.

Na dźwięk mojego głosu rzucił się w stronę kominka i wrzucił list do ognia.

– Nic mi nie jest – odrzekł, zakładając ręce za sobą. Widziałem, że drżały. – Nie martw się.

Ale się martwiłem. Znałem arcybiskupa lepiej niż inni i wiedziałem, że nigdy się nie trząsał. Popatrzyłem na kominek, gdzie list zmienił się już w popiół. Zacisnąłem dłonie w pięści. Jeśli jakaś czarownica spróbowałaby zaatakować Celię podobnie jak Filippę, rozszarpie ją na kawałki. Zanim z nią skończę, będzie błagała o spalenie na stosie.

Jakby wyczuwając, że na niego patrzę, arcybiskup odwrócił się do mnie.

– Kapitanie Diggory, zbierz oddział. – Jego głos był już spokojniejszy. Zimniejszy. Ponownie rzucił okiem na kominek i zrobił jeszcze bardziej zaciętą minę. – Szczerze mówiąc, wątpię w prawdomówność tej kobiety, ale musimy postąpić zgodnie z tym, do czego obliguje nas przysięga. Przeszukać okolicę. Natychmiast zdać raport.

Położyłem dłoń na sercu, ukloniłem się i ruszyłem w stronę drzwi, ale poczułem jego palce na swojej ręce. Już nie drżały.

– Jeśli naprawdę na West Endzie znajduje się czarownica, macie ją sprowadzić *żywą*.

Potakując, skłoniłem się ponownie. Załatwione. Czarownica nie potrzebuje kończyn do życia. Nie potrzebuje nawet głowy. Może się uratować, dopóki nie spłonie. Nie złamię żadnego z przykazań arcybiskupa. Jeśli sprowadzenie żywej czarownicy pomoże złagodzić jego nagły niepokój, przyprowadzę trzy. Dla niego. Dla Celi. I dla *siebie*.

– Zrozumiałem.

SKOK

Lou

Tego wieczoru pospiesznie założyłyśmy kostiumy w *Soleil et Lune*. Nasza bezpieczna przystań i ulubione miejsce, strych teatru, zapewniała niekończący się zapas przebrań – sukni, płaszczy, peruk, butów, a nawet bielizny w każdym rozmiarze, kształcie i kolorze. Dzisiaj Bas i ja przechadzaliśmy się w świetle księżyca jako młoda, zakochana para, odziani w bogate, okazałe szaty arystokratów. Coco szła za nami jako eskorta.

Wtuliłam się w jego chude ramię i posłałam mu zachwycone spojrzenie.

– Dziękuję, że nam pomagasz.

– Ach, Louey, wiesz, że nie cierpię tego słowa. *Pomoc* sugeruje, że wyświadczam jakąś przysługę.

Uśmiechnęłam się ironicznie i przewróciłam oczami.

– Broń Boże, żebyś zrobił coś z dobroci serca.

– W moim sercu nie ma żadnej dobroci. – Zadziornie puścił oko i przyciągnął mnie do siebie, po czym pochylił się, żeby móc szeptać mi do ucha. Czułam jego ciepły, zbyt ciepły oddech na szyi. – Tylko złoto.

Jasne. Szturchnęłam go łokciem, co było pozornie niewinnym gestem, i odsunęłam się od niego. Po koszmarnej paradzie spędziliśmy większą część popołudnia, knując, jak przedrzeć się przez ochronę Tremblaya, której istnienie potwierdziliśmy podczas przechadzki pod jego domem. Kuzyn Basa mieszkał w pobliżu Tremblaya, więc miejmy nadzieję, że nasza obecność tam nie wzbudziła podejrzeń.

Było dokładnie tak, jak opisał Bas: trawnik za płotem, co pięć minut przy bramie pojawiali się strażnicy. Zapewnił, że dodatkowa ochrona czeka w środku, razem z wyszkolonymi do zabijania owczarkami. Chociaż personel Tremblaya prawdopodobnie będzie spał podczas naszej wizyty, były jeszcze inne niewiadome, nad którymi nie mieliśmy kontroli. Na przykład kwestia lokalizacji skarbcza – jego odnalezienie może potrwać kilka dni, a my będziemy mieć zaledwie kilka godzin do powrotu Tremblaya.

Przełykając głośno ślinę, poprawiłam perukę – blond włosy utapirowane i usztywnione pomadą – a potem wygładziłam aksamitną wstążkę na szyi. Wyczuwając mój niepokój, Coco dotknęła dłonią moich pleców.

– Nie denerwuj się, Lou. Nic ci się nie stanie. Drzewa w Brindelle zamaskują magię.

Potaknęłam i zmusiłam się do uśmiechu.

– Jasne. Przecież wiem.

Skręciwszy w ulicę, przy której mieszkał Tremblay, zamilkliśmy. Eteryczne, wysmukłe drzewa w parku Brindelle lekko łśniły. Setki lat temu były częścią świętego gaju moich przodków. Kiedy Kościół przejął kontrolę nad Belterrą, władze próbowały spalić je do korzeni, ale zaliczyły spektakularną klępkę. Drzewa odrosły. Po kilku dniach znów wznosiły się nad ziemią, a osadnicy zostali zmuszeni pobudować domy naokoło. Ich magia wciąż rozbrzmiewała pod moimi stopami, starodawna i niezmienna.

Po chwili Coco westchnęła i ponownie dotknęła moich pleców. Jakby niechętnie.

– Ale i tak musisz być ostrożna.

Bas odwrócił się do nas i zmarszczył brwi.

– Słucham?

Nie odpowiedziała.

– Jest coś... co czeka na ciebie u Tremblaya. Może jest to pierścień, a może coś innego. Nie widzę dokładnie.

– Co takiego? – Zatrzymałam się w pół kroku i odwróciłam do niej. – Co to ma znaczyć?

Spojrzała na mnie ze zboląłą miną.

– Powiedziała ci. Nie widzę tego. Wszystko jest jakby za mgłą i drży, ale coś tam na pewno jest. – Zamilkła na chwilę, przechyliła głowę, jakby się mi przypatrywała, a raczej jakby patrzyła na coś, czego ja nie

dostrzegałam. Coś ciepłego, wilgotnego i poruszającego się tuż pod moją skórą. Stłumiłam dreszcz. – Może być niebezpieczne, ale wydaje mi się, że cokolwiek tam jest, nie zrobi ci krzywdy. Ale na pewno ma moc.

Parsknęłam z niedowierzaniem.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

– Bo wcześniej tego nie widziałam.

– Coco, planowaliśmy to przez *cały dzień*...

– To nie ja wymyślam zasady, Lou – odpysknęła. – Widzę jedynie to, co pokaże mi krew.

Pomimo protestów Basa Coco uparła się, by przed wyjściem nakłuć nasze palce. Próbowałam nie wzdygać się na wspomnienie tego, jak próbowała mojej krwi. Jako Dame Rouge Coco nie przyjmowała magii z ziemi jak reszta z nas. Jej magia była inna. Mroczniejsza.

Pochodziła z krwi.

Nie miałam jej tego za złe, w przeciwieństwie do moich krewnych. Dames Rouges były rzadkością. Pariasami wśród Dames Blanches.

Dobrze się dobrałyśmy. Zwykle się między nami układało.

– Drogie panie – Bas mówił przez zęby, kłaniając się uprzejmie jakiejś parze po drugiej stronie ulicy ze sztucznym uśmiechem. – Sugeruję, byśmy przełożyli tę rozmowę. Nie mam zamiaru dziś w nocy zostać upieczony na rożnie.

– Nie *ciebie* upieką – wymamrotałam pod nosem, gdy podjęliśmy spacer.

– Nie jesteś czarownicą.

– Nie – zgodził się i z rozmysłem skinął głową – chociaż to mogłoby być przydatne. Zawsze uważałem za nieuczciwe, że mężczyźni omijają całą zabawę.

Coco kopnęła kamyk za jego plecami.

– Można nam pozazdrościć zwłaszcza prześladowania.

Odwrócił się do niej z ponurą miną, ssąc czubek palca wskazującego, gdzie już prawie nie było widać śladu po jej szpilce.

– Zawsze musisz być ofiarą, nieprawdaż, moja droga?

Ponownie go szturchnęłam. Tym razem mocniej.

– Zamknij się, Bas.

Kiedy otworzył usta, żeby zaoponować, Coco posłała mu koci uśmiech.

– Uważaj, wciąż mam w sobie twoją krew.

Spojrzał na nią z przerażeniem.

– Tylko dlatego, że siłą ją ze mnie wycisnęłaś!

Wzruszyła ramionami, zupełnie jej to nie poruszyło.

– Musiałam sprawdzić, czy coś ciekawego przydarzy ci się tej nocy.

– I co? – Bas spojrzął na nią wyczekująco. – Przydarzy?

– Nie chciałbyś wiedzieć.

– Niewiarygodne! Powiedz mi, jaki jest sens w tym, że pozwoliłem ci wyssać moją krew, skoro nie zamierzasz podzielić się wiedzą...

– Już ci powiedziałam. – Przewróciła oczami, udając znudzenie, i przyjrzała się bliźnie na swoim nadgarstku. – Widzę tylko urywki, a przyszłość się zmienia. Wieszczenie tak naprawdę nie jest moją mocną stroną. Na przykład moja ciotka widzi tysiące możliwości, jeśli tylko posmakuje...

– Fascynujące. Nie wyobrażasz sobie, jak lubię te nasze pogawędki, ale wolałbym raczej nie słuchać o szczegółach związanych z przepowiadaniem przyszłości z krwi. Jestem pewien, że to rozumiesz.

– To ty powiedziałaś, że fajnie byłoby być czarownicą – wytknęłam mu.

– Chciałem być szarmancki!

– Och, proszę. – Coco prychnęła. Kopnęła w niego kolejnym kamyczkiem i uśmiechnęła się triumfalnie, gdy trafił go prosto w pierś. – Jesteś najmniej szarmancką osobą, jaką znam.

Patrzył spode łba raz na jedną, raz na drugą, nieudolnie próbując zdławić nasz śmiech.

– A więc tak odpłacacie mi za pomoc. Być może powinienem wrócić do mojego kuzyna.

– Och, zamknij się, Bas. – Uszczypnęłam go w rękę, a on spojrzął na mnie z wyrzutem. Pokazałam mu język. – Zgodziłeś się nam pomóc, poza tym zgarniesz swoją dolę. A ona przyjęła zaledwie kroplę twojej krwi. Niedługo ją wydali.

– Lepiej żeby tak było.

W odpowiedzi Coco pstryknęła palcami, a Bas podskoczył i zaklął, jakby jego portki zajęły się ogniem.

– To nie było *zabawne*.

I tak się roześmiałam.

Dom Tremblaya pojawił się przed naszymi oczami zbyt szybko. Zbudowany z ładnego, jasnego kamienia, wyróżniał się spośród innych rezydencji, chociaż wydawało się, że jego splendor nieco przygasł. Po tynku powoli pięły się zielone plamy, a wiatr miotał suchymi liśćmi po trawniku za płotem. Zbrązowiałe hortensje i róże tkwiły w klombach, a obok nich

rosło niepasujące tutaj, egzotyczne drzewko pomarańczowe. Takie korzyści z handlu na czarnym rynku.

Zastanawiałam się, czy Filippa lubiła pomarańcze.

– Masz środek uspakajający? – Bas zapytał szeptem Coco. Stanęła obok nas i potaknęła, wyjmując paczuszkę z płaszcza. – Dobrze. Jesteś gotowa, Lou?

Nie odpowiedziałam mu, tylko chwyciłam rękę Coco.

– Jesteś *pewna*, że nie zaszkodzi psom?

Bas warknął coś niecierpliwie, lecz Coco uciszyła go kolejnym pstryknięciem. Potaknęła jeszcze raz i dotknęła swojego przedramienia ostrym paznokciem.

– Po jednej kropli mojej krwi dodanej do proszku na każdego psa. To tylko suszona lawenda – dodała, unosząc paczuszkę. – Uśpi je na jakiś czas.

Puściłam jej rękę i skinęłam głową.

– Dobrze. Chodźmy.

Założywszy kaptur, zaczęłam skradać się cicho pod otaczający posiadłość płot z kutego żelaza. Chociaż nie słyszałam ich kroków, wiedziałam, że idą za mną, trzymając się blisko cienia rzucanego przez żywo płot.

Zamek w bramie był prosty i mocny, zrobiono go z tego samego żelaza co ogrodzenie. Wzięłam głęboki wdech. Byłam w stanie to zrobić. Minęły dwa lata, ale *na pewno*, na pewno jestem w stanie otworzyć prosty zamek. Gdy mu się przyglądałam, lśniący, złoty sznurek uniósł się nad ziemię i owinał wokół niego. Pulsował przez sekundę, po czym owinał się także wokół mojego palca wskazującego, łącząc nas. Westchnęłam z ulgą, a potem zaczerpnęłam haust powietrza, żeby uspokoić nerwy. Jakby wyczuwając moje wahanie, pojawiły się jeszcze dwa sznurki i podryfowały w stronę Coco i Basa, znikając w ich klatkach piersiowych. Skrzywiłam się, widząc te cholerstwa.

Sama wiesz, że nie ma nic za darmo, wyszeptał paskudny głos z tyłu mojej głowy. *Coś za coś. Twoja kość za zamek... albo twój związek. Natura lubi równowagę.*

Natura może się ode mnie odwalić.

– Czy coś się stało? – Bas wysunął się ostrożnie do przodu, zerkał raz na mnie, raz na bramę, ale nie mógł zobaczyć złotych postronków. Istniały jedynie w mojej głowie. Odwróciłam się do niego z wyzwiskami na końcu języka.

Ty bezużyteczny tchórze. To chyba jasne, że nie mogłam się w tobie zakochać.

Ty już się zakochałeś w sobie.

I jesteś okropny w łóżku.

Z każdym słowem sznurek pomiędzy nim a zamkiem pulsował jaśniejszym blaskiem. Ale... nie. Poruszyłam się, zanim naszły mnie wątpliwości, i szybko zgięłam palec. Ból przeszył mi dłoń. Zacisnęłam zęby, zauważyłam, jak sznurek znika na powrót w ziemi w chmurze złotego pyłu. Poczulałam dziką satysfakcję, gdy usłyszałam kliknięcie otwierającego się zamka.

Zrobiłam to.

Pierwszy etap mojej pracy dobiegł końca.

Nie miałam czasu świętować. Zamiast tego szybko uchyliłam bramę, uważając, by nie urazić palca wskazującego, który sterczał teraz pod dziwnym kątem, i weszłam na teren posiadłości. Coco przemknęła obok, kierując się do drzwi frontowych, Bas trzymał się tuż za nią.

Wcześniej ustaliliśmy, że Tremblay zatrudnił sześciu strażników do patrolowania domu. Trzech będzie w środku, ale nimi zajmie się Bas. Niezle wywijał nożem. Wzdrygnęłam się i wkroczyłam na trawnik. Moje cele na zewnątrz spotka łaskawszy los. Miejmy nadzieję.

Nie minęła nawet chwila, gdy zza rogu wyszedł pierwszy strażnik. Nie zwracałam sobie głowy chowaniem się, tylko zdjęłam kaptur i rzuciłam mu wyzywające spojrzenie. Najpierw dostrzegł jednak otwartą bramę i natychmiast sięgnął po miecz. Z mieszaniną podejrzliwości i paniki rozglądał się w poszukiwaniu czegoś, co przeoczył. Wtedy mnie zauważył. Odmówiłam w duchu szybką modlitwę i się uśmiechnęłam.

– Witaj – w moim głosie pobrzmiwał tuzin innych, więc to słowo zabrzmiało słodko i dziwnie, wzmocnione obecnością moich przodków. Ich prochy, dawno wchłonięte przez ziemię, aż same stały się glebą, powietrzem, drzewami i wodą, wibrowały pode mną. We mnie. Moje oczy lśniły jaśniej niż zwykle. Moja skóra błyszczała w świetle księżyca.

Strażnik zrobił rozmarzoną minę, jego ręka poluzowała chwyt na mieczu. Skinęłam na znak, by podszedł. Posłuchał, zbliżał się jak w transie. Stał w odległości kilku kroków, cały czas nie spuszczał mnie z oczu.

– Poczekasz tu ze mną? – zapytałam tym samym dziwnym głosem. Potaknął. Lekko rozchylił usta, czułam, jak puls mu przyspiesza, śpiewa dla mnie, dodaje mi sił. Patrzyliśmy na siebie, dopóki nie pojawił się

kolejny strażnik. Zerknęłam na niego i powtórzyłam cały proces. Zanim zjawił się trzeci, moja skóra lśniła jaśniej od księżyca. – Byliście tacy mili. – Wyciągnęłam do nich ręce. Patrzyli na mnie chciwie. – Przepraszam za to, co teraz zrobię.

Zamknęłam oczy, skupiłam się, pod moimi powiekami złoto eksplodowało w niekończącą się, misterną sieć. Złapałam jeden jej koniec i podążyłam za nitką do wspomnienia twarzy Basa – jego blizny, pamiątki po wspólnej nocy. Wymiana. Zacisnęłam dłonie w pięści, wspomnienie zniknęło, gdy świat pod powiekami się zakołysał. Nieprzytomne ciała strażników osunęły się na ziemię.

Zdezorientowana powoli otworzyłam oczy. Sieć się zerwała. Mój żołądek fiknął koziołka i zwymiotowałam na krzak róż.

Stałabym tam przez całą noc – spocona i rzygająca po ponownym spotkaniu z moją stłumioną magią – gdybym nie usłyszała miękkiego zawodzenia owczarków Tremblaya. Coco musiała je znaleźć. Otarłam usta o rękaw, przywołałam się do porządku i podeszłam do drzwi frontowych. Dzisiaj nie było czasu na delikatność.

W środku panowała cisza. Nie słyszałam Coco ani Basa. Zrobiłam kilka kroków i rozejrzałam się: ciemne ściany, drogie meble, niezliczone ozdóbki. Duże dywany w krzykliwe wzory leżały na mahoniowych podłogach, każda powierzchnia była zavalona kryształowymi misami, poduszkami z frędzlami, aksamitnymi pufami. Wszystko to strasznie nudne, moim zdaniem. Chaotyczne. Miałam ochotę zedrzyć zasłony i wpuścić srebrne światło księżyca.

– Lou! – Z klatki schodowej dobiegł mnie syk Basa i prawie wyskoczyłam ze skóry. Przypomniałam sobie ostrzeżenie Coco: *Coś czeka na ciebie u Tremblaya*. – Przestań śnić na jawie i chodź tutaj.

– Przecież jest noc, pora na sny. – Podbiegłam do niego, bo po plecach przeszedł mi dreszcz.

Ku mojemu zaskoczeniu i zachwytowi Bas znalazł dźwignię na ramie dużego portretu w gabinecie Tremblaya: przedstawiał młodą kobietę z przeszywającymi, zielonymi oczami i kruczoczarnymi włosami. Pogładziłam ją po twarzy.

– Filippa. Jakie to przewidywalne.

– W istocie. – Bas poruszył dźwignię, a portret odskoczył, odsłaniając sejf. – Głupota jest często brana za sentymentalizm. To jest pierwsze miejsce, które sprawdziłem. – Wskazał zamek. – Dasz radę go otworzyć?

Westchnęłam, zerkając na złamany palec.

– A ty nie możesz?

– Zrób to – powiedział niecierpliwie – szybko. Straże mogą się zaraz ocknać.

Racja. Posłałam niechętne spojrzenie złotemu sznurkowi rozpiętemu pomiędzy mną a zamkiem i zabrałam się do roboty. Tym razem pojawił się szybciej, jakby na mnie czekał. Chociaż przygryzłam usta tak mocno, że pociekła z nich krew, i tak jęknęłam, gdy złamałam kolejny palec. Zamek kliknął i Bas otworzył sejf.

Tremblay schował w środku mnóstwo nudnych rzeczy. Odsunawszy jego pieczęć, dokumenty urzędowe, listy i spisy, Bas zauważył stos biżuterii i spojrzał na niego łakomie. Były tam przede wszystkim rubiny i granaty, ale też wyjątkowo piękny diamentowy naszyjnik. Cała szkatułka lśniła, wyłożona złotymi *couronnes*.

Niecierpliwie ją odsunęłam, nie zważając na protesty Basa. Jeśli Tremblay kłamał, jeśli nie miał pierścienia...

W głębi sejfu leżał mały, skórzany album. Otworzyłam go, szkice w środku przedstawiały jakieś dziewczyny, które musiały być Filippą i jej siostrą. Spomiędzy kartek wypadł złoty pierścień. Upadł na dywan, który stłumił hałas. Niczym się nie wyróżniał oprócz tego, że prawie niezauważalnie migotał, a jego pulsowanie szarpało mnie za serce.

Oddech uwiązał mi w gardle, kucnęłam, żeby go podnieść. Był ciepły. Prawdziwy. Oczy wypełniły mi się łzami, bałam się, że zaraz wybuchnę płaczem. Teraz nigdy mnie nie znajdzie. Byłam... bezpieczna. Tak bezpieczna, jak to możliwe.

– Znalazłaś go? – Bas wkładał ostatnie błyskotki i *couronnes* do swojej torby. Spojrzał wyczekująco na pierścień. – Nie za bardzo jest na czym zawiesić oko, co?

Z dołu dobiegły nas trzy głośnie uderzenia. Ostrzeżenie. Bas zmrużył oczy i ostrożnie podszedł do okna. Włożyłam pierścień na palec, gdy był odwrócony tyłem do mnie. Wydawało mi się, że przedmiot lekko westchnął, gdy zetknął się z moim ciałem.

– Cholera! – Bas się odwrócił, miał panikę w oczach, więc porzuciłam myśli o pierścieniu. – Mamy towarzystwo.

Podbiegłam do okna. Na trawniku roiło się od policjantów, którzy zbliżali się do posiadłości. Ale to nie oni napawali mnie lękiem, lecz towarzyszące im niebieskie płaszcze.

Chasseurzy.

Cholera. Cholera, cholera, cholera.

Po co *oni* tu przyszli?

Tremblay, jego żona i córka pochylali się nad pozbawionymi przytomności strażnikami. Przeklęłam się w duchu, że gdzieś ich nie ukryłam. Głupi błąd, ale byłam zdezorientowana przez czary. Wyszłam z wprawy.

Ku mojemu przerażeniu jeden ze strażników zaczął się wybudzać. Nie wątpiłam, co powie chasseurom, gdy w pełni odzyska świadomość.

Bas już działał, zatrzasnął sejf i umieścił portret na swoim miejscu.

– Dasz radę nas stąd wyciągnąć? – Z jego oczu wycierały desperacja i strach. Oboje słyszeliśmy policjantów i chasseurów, którzy otaczali posiadłość. Za chwilę wszystkie wyjścia zostaną zablokowane.

Zerknęłam na swoje dłonie. Drżały, ale nie tylko z powodu połamanych palców. Byłam słaba, zbyt słaba, dzisiejszy wieczór mnie wyczerpał. Jak mogłam się do tego stopnia zapuścić? No tak, przypomniałam sobie, nie chciałam ryzykować, że mnie nakryją. Ryzyko było zbyt duże...

– Lou! – Bas chwycił mnie za ramiona i lekko potrząsnął. – Wyciągniesz nas?

Moje oczy wypełniły się łzami.

– Nie – wyszeptałam. – Nie dam rady.

Zamrugnął, jego pierś unosiła się i opadała w szybkim rytmie. Chasseurzy coś krzyczeli na dole, ale to nie miało już znaczenia. Liczyła się tylko decyzja, jaką dostrzegłam w oczach Basa, gdy na siebie patrzyliśmy.

– No dobrze. – Uścisnął moje ramiona. – Powodzenia.

A potem odwrócił się i wybiegł z pomieszczenia.

IMIĘ CZŁOWIEKA

Reid

Dom Tremblaya cuchnął magią. Pokrywała trawnik, przylgnęła do leżących na ziemi strażników, których Tremblay próbował cucić. Wysoka kobieta w średnim wieku uklękła koło niego. Rudowłosa. Atrakcyjna. Nie znałem jej wcześniej, ale szepty współbraci potwierdziły moje podejrzenia.

Madame Labelle. Kurtyzana i właścicielka Bellerose.

Nie wiadomo, po co się tu zjawiała.

– Kapitanie Diggory.

Odwróciłem się, słysząc zdenerwowany głos. Stała przede mną wątła jak trzcina blondynka ze złożonymi dłońmi. Na jej palcu serdecznym lśniła droga obrączka ślubna. Miała drobne zmarszczki w kącikach oczu, które właśnie świdrowały tył głowy Madame Labelle.

Żona Tremblaya.

– Dobry wieczór, kapitanie Diggory. – Celia wystąpiła zza matki i powitała mnie swym ciepłym głosem. Przełknąłem ślinę. Nadal była odziana w żałobną czerń, jej zielone oczy błyszczały w świetle pochodni. Opuchnięte. Zaczerwienione. Policzki miała mokre od łez. Pragnąłem podejść i je otrzeć. Zetrzeć całą tę koszmarną scenę, tak bardzo przypominającą noc, podczas której znaleźliśmy Filippę.

– Mademoiselle Tremblay. – Skłoniłem się, czując na sobie wzrok braci. Jean Luca. – Wygląda pani... dobrze.

Łgałem. Wyglądała żałośnie. Bała się. Schudła, odkąd ostatnio ją widziałem. Jej twarz się ściągnęła, zmizerniała, jakby nie spała od

miesiący. Podobnie jak ja.

– Dziękuję – odpowiedziała uśmiechem na kłamstwo. – Pan również.

– Przepraszam za te niedogodności, *mademoiselle*, zapewniam, że jeśli to sprawka czarownicy, dopilnuję, żeby spłonęła na stosie.

Zerknąłem na Tremblaya. Razem z Madame Labelle pochyłali się i rozmawiali ze strażnikami. Podszedłem do nich. Madame Tremblay odchrząknęła i spojrzała na mnie z oburzeniem.

– Zapewniam, że ani pan, ani pana szanowny zakon nie jesteście tu potrzebni. Mój mąż i ja jesteśmy bogobojnymi obywatelami i nie paramy się czarami...

Stojący obok mnie Jean Luc ukłonił się nisko.

– Oczywiście, że nie, Madame Tremblay. Przyszliśmy tutaj jedynie zapobiegawczo.

– A jednak państwa straże były nieprzytomne, *madame* – wtrąciłem. – A dom cuchnie magią.

Jean Luc westchnął i posłał mi zirytowane spojrzenie.

– *Zawsze* tak tutaj pachnie. – Madame Tremblay zmrużyła oczy i zacisnęła usta. Była rozdrażniona. – To z tego okropnego parku. Zatrzuwa całą ulicę. Gdyby nie widok na Doleur, wyprowadzilibyśmy się stąd choćby jutro.

– Przykro mi, *madame*. Jednakże...

– Zrozumiano. – Jean Luc stanął przede mną i uśmiechnął się do niej pokrzepiająco. – Przepraszamy za najście. Zazwyczaj włamaniami zajmuje się policja, ale... – zawahał się, uśmiech zniknął. – Dostaliśmy anonimową informację, że dziś w nocy pojawi się tutaj czarownica. Zrobimy jeszcze szybki obchód, a pani z rodziną może już bezpiecznie wrócić do domu...

– Kapitanie Diggory, *chasseur*ze Toussaint. – Głos, który nam przerwał, był ciepły, gładki, poufały. Odwróciliśmy się i ujrzeliśmy Madame Labelle. Tremblay szedł tuż za nią, pozostawiając w tyle oszołomionych strażników. – Właśnie skończyliśmy rozmawiać z ochroną. – Uśmiechnęła się, ukazując piękne, białe zęby. Niemal lśniły na tle jej szkarłatnych warg. – Biedaczyska, niczego nie pamiętają.

– Heleno, przepraszam, że pytam – odezwała się Madame Tremblay przez ściągnięte usta – ale co cię tutaj sprowadza?

Madame Labelle odwróciła się do niej, okazując ledwie skrywaną niechęć.

– Przechodziłam tędy i zauważyłam coś niepokojącego.

– Przechodziłaś? A co ty, moja droga, robiłaś w tej części miasta? Wydawałoby się, że o tej porze powinnaś doglądać swojego *interesu* w zupełnie innym miejscu.

Madame Labelle uniosła brew.

– Oczywiście masz rację. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, zerkając na Tremblaya. Gdy ponownie popatrzyła na jego żonę, jej spojrzenie było lodowato zimne. – *Istotnie* mam pewien interes, którego muszę doglądać.

Celia znieruchomiała ze zwieszoną głową, a Tremblay pospiesznie interweniował, zanim jego żona zdążyła odpowiedzieć.

– Drodzy panowie, oczywiście możecie sami przesłuchać moich ludzi.

– Proszę się nie martwić, panie Tremblay. Porozmawiamy z nimi. – Spiorunowawszy go wzrokiem za Celię, głośno wydałem rozkaz funkcjonariuszom i chasseurom: – Rozproszyć się i zabezpieczyć perymetr. Zablokować wszystkie wyjścia. Policjanci, macie trzymać się chasseurów. Jeśli jest tutaj czarownica, nie możecie pozwolić dać się dorwać bezbronni.

– Nie ma tu żadnej wiedźmy – upierała się Madame Tremblay, rozglądając się nerwowo. W pobliskich domach zaczęły pojawiać się światła. Przed otwartą bramą zatrzymała się już grupka ludzi. Niektórzy mieli na sobie nocne stroje. Inni byli ubrani jak Tremblayowie. Wszyscy mieli podobne, zmęczone miny. – To tylko złodziej. Nic więcej...

Gwałtownie urwała i zerknęła na budynek. Podążyłem za jej spojrzeniem i popatrzyłem na okno na górze. Zastłona się poruszyła, ukazując dwie twarze.

Jedną z nich rozpoznałem mimo peruki. Zielono-niebieskie oczy – wyraźnie widoczne nawet z daleka – wypełniała panika. Zastłona opadła.

Poczułem rosnącą satysfakcję i uśmiechnąłem się pod nosem. *Niech sprawiedliwość wystąpi jak woda z brzegów i prawość jak potok nie wysychający wyleje!*

– O co chodzi? – Jean Luc również spojrział w okno.

O sprawiedliwość.

– Wciąż tam są. Mężczyzna i kobieta.

Wyjął balisardę zamaszystym gestem.

– Szybko rozprawię się z kobietą.

Zmarszczyłem brwi, przypominając sobie jej wąsy. Jej szerokie spodnie, zakasane rękawy koszuli oraz piegi. To, jak pachniała, kiedy wpadła na mnie podczas parady – wanilią i cynamonem. Nie magią. Pokręciłem głową. Przecież czarownice nie zawsze śmierdzą złem. Tylko wtedy, gdy

praktykują czary. Arcybiskup wyraźnie mówił podczas naszego szkolenia, że każda kobieta jest potencjalnym zagrożeniem. Mimo to...

– Nie sądzę, by była czarownicą.

Jean Luc uniósł czarną brew, jego nozdrza się rozszerzyły.

– Nie? Z pewnością nie jest to zbieg okoliczności, że otrzymaliśmy donos dotyczący tej konkretnej nocy, zanim ci konkretni złodzieje obrabowali ten konkretny dom.

Niezadowolony ponownie spojrzałem na okno.

– Spotkałem ją dzisiaj rano. Ona... – odchrząknąłem, poczułem gorąco na szyi. – Nie wyglądała mi na czarownicę.

Nie zabrzmiało to przekonująco. Wzrok Celi palił mnie w kark.

– Ach. Nie może być czarownicą, bo na nią nie wyglądała. Mój błąd, oczywiście.

– Miała przyklejone wąsy – wymamrotałem. Kiedy Jean Luc prychnął, miałem ochotę go zdzielić. Wiedział, że Celia nas obserwuje. – Nie możemy lekceważyć bliskości parku Brindelle. Możliwe, że pomimo okoliczności ci ludzie są zwykłymi złodziejami. Zasłużyli na więzienie. Nie na stos.

– Racja. – Jean Luc przewrócił oczami i podszedł do drzwi wejściowych bez mojego rozkazu. – Pospieszmy się więc, dobrze? Przesłuchamy tę dwójkę, a potem zdecydujemy: więzienie czy stos.

Zazgrzytałem zębami, widząc jego bezczelność, po czym skinąłem na policję, a oni pobiegli za nim. Ja zostałem. Cały czas wbijałem wzrok w okno i w dach. Kiedy nie pojawiła się ponownie, podszedłem cicho do ściany budynku i czekałem. Chociaż obecność Celi paliła moje plecy żywym ogniem, robiłem, co mogłem, by ją ignorować. Chciała, żebym skupił się na służbie w chasseurach. Więc właśnie to robiłem.

Minęła chwila. I jeszcze jedna.

Po mojej prawej stronie otworzyło się piwniczne okienko zasłonięte przez hortensje. Wskoczyli z niego Jean Luc oraz jakiś mężczyzna o bursztynowej skórze, ich noże zalśniły w świetle księżyca. Przetoczyli się po ziemi, ale to chasseur znalazł się na górze i przytknął ostrze do gardła złodzieja. Trzech policjantów wyskoczyło za nimi z piwnicy z kajdankami i liną. Po kilku sekundach związali mężczyźnie ręce i nogi w kostkach. Wił się i szarpał, a z jego ust płynęła fala przekleństw. I tylko jedno inne słowo.

– Lou! – Szarpał więzy, aż z gniewu spurpurowiał na twarzy. Jeden z policjantów podszedł, żeby go zakneblować. – LOU!

Lou. Męskie imię. Pasowało.

Wciąż obserwowałem okna i dach. Oczywiście po chwili dostrzegłem cień powoli wspinający się po murze. Przyjrzałem się. Tym razem miała na sobie sukienkę – tak elegancką, jakby należała do Madame Tremblay. Zapewne kradzioną. Ale to nie szata sprawiała jej problemy.

Lecz ręka.

Ilekcroć dotknęła nią ściany, szybko ją odrywała, jakby odczuwała ból. Wyteżyłem wzrok, próbując dostrzec źródło problemu, ale była zbyt wysoko. O wiele za wysoko. Jakby w odpowiedzi na mój niepokój, poślizgnęła się i spadła kilkadziesiąt centymetrów niżej. Chwyciła się parapetu. Mój żołądek wywinął salto.

– Oj! – Zacząłem biec. Zadudniły kroki, to chasseurzy i policjanci poszli w moje ślady. Jean Luc obalił związanego mężczyznę na ziemię. – Jesteś otoczona! Mamy twojego narzeczonego! Zejdź na dół, zanim się zabijesz!

Znowu się zsunęła, ale znów udało jej się przytrzymać. Tym razem jednak spadła jej peruka i ujrzeliśmy jej długie, brązowe włosy. Rzuciłem się do przodu, nie kryjąc furii.

– ZŁAŻ NATYCHMIAST...

Jej współnikowi udało się pozbyć knebla.

– LOU, POMÓŻ MI...

Policjant znowu wepchnął mu knebel. Kobieta zawahała się, słysząc jego głos, przysiadła we wnęce okiennej i spojrzała w dół. Rozpoznała mnie, bo jej twarz pojaśniała i podniosła zdrową rękę do czoła, żeby szyderczo zasalutować.

Gapilem się na nią jak oniemiały.

Naprawdę zasalutowała.

Moje dłonie zacisnęły się w pięści.

– Na górę. Zdejmijcie ją.

Jean Luc skrzywił się, słysząc rozkaz, ale przystąpił do jego wykonywania.

– Chasseurzy ze mną. – Moi bracia ruszyli, wyciągając balisardy. – Policjanci, zostańcie na ziemi. Pilnujcie, żeby nie uciekła.

Jeśli nawet chasseurzy zastanawiali się, dlaczego zostałem na dole, nie dali tego po sobie poznać. Rozsądnie. Nic jednak nie mogłem poradzić na ciekawskie spojrzenia funkcjonariuszy.

– Czego? – warknąłem, patrząc na nich. Pospiesznie przenieśli spojrzenia na dach. – Czy w środku jeszcze ktoś był?

Po kilku długich sekundach jeden z nich wystąpił do przodu. Z trudem go rozpoznałem. Dennis. Nie, Davide.

– Tak, kapitanie. Geoffrey i ja znaleźliśmy kogoś w kuchni.

– I?

Inny policjant, chyba wspomniany Geoffrey, odchrząknął. Wymienili spojrzenia, po czym Geoffrey głośno przełknął ślinę.

– Uciekła.

Wpuściłem wstrzymywane powietrze.

– Sądzimy, że to pańska czarownica – dodał Davide. – Śmierdziała tak jakby magią i... zaczarowała psy, żeby zasnęły. Dziwnie pachniały.

– Jeśli to ma jakieś znaczenie, miała brązową skórę i była *poznaczona bliznami* – powiedział Geoffrey. Davide skwapliwie potaknął.

Bez słowa odwróciłem się, by spojrzeć na dach, zmusiłem się do rozluźnienia pięści. Do oddychania.

To nie była wina Davide'a ani Geoffreya. Nie zostali wyszkoleni do łapania czarownic. Być może będą musieli wytłumaczyć się ze swojego braku kompetencji przed arcybiskupem. Być może zostaną ukarani. Co za wstyd. Kolejnej czarownicy udało się uciec. Kolejna będzie zatruwać życie niewinnych ludzi w Belterze. I Celii.

Przez czerwoną mgłę zasnuwającą mi oczy wbiłem spojrzenie w złodziejkę.

Lou.

Powie mi, dokąd uciekła czarownica. Wyciągnę z niej tę informację, nieważne jak. *Naprawię* to niedopatrzenie.

Mimo kontuzji ręki udało jej się wyprzedzić chasseurów. Dotarła na dach, zanim wspięli się na pierwsze piętro.

– Rozproszyc się! – wrzasnąłem do policjantów. Posłuchali. – Musi gdzieś zejść! Pilnujcie tego drzewa! I rynny! Czegokolwiek, co może jej pomóc w ucieczce!

Czekałem, krążyłem po trawniku i gotowałem się ze złości, gdy moi bracia pięli się coraz wyżej. Docierały do mnie ich głosy. Grozili jej. Dobrze. Zadawała się z czarownicami. Zasłużyła na to, by się nas bać.

– Macie coś?! – zawołałem do funkcjonariuszy.

– Nie tutaj, kapitanie!

– Tutaj też nie!

– Nic, szefie!

Ugryzłem się w język, by nie okazać zniecierpliwienia. W końcu, po czasie, który wydawał się wiecznością, Jean Luc podciągnął się na dach. W jego ślady poszło trzech braci. Czekałem. I czekałem.

I czekałem.

Davide coś krzyknął, odwróciłem się i zobaczyłem związanego złodzieja w połowie drogi do ulicy. Jakoś udało mu się pozbyć więzów z nóg. Chociaż policjanci ruszyli za nim, byli zbyt daleko, ponieważ na mój rozkaz rozpierzchli się po całym podwórzu. Stłumiłem przekleństwo i rzuciłem się do biegu, ale zatrzymał mnie głos Jean Luca:

– Nie ma jej tutaj! – Pojawił się na skraju dachu, był zasapany. Nawet z tej odległości widziałem złość w jego oczach. Czułem dokładnie to samo.

– Zniknęła!

Z frustracją spojrzałem za siebie, by zlokalizować złodzieja.

Ale jego też już nie było.

PIERŚCIEŃ ANGELIKI

Lou

Gdy biegłam ulicą, wciąż słyszałam chasseurów, którzy gapili się tam, gdzie powinny być moje stopy – moje nogi i moje *ciało*. Nie rozumieli, gdzie się podziałam. Sama prawie tego nie ogarniałam.

W jednej chwili byłam uwięziona na dachu, a w kolejnej Pierścień Angeliki zapłonął na moim palcu. *Oczywiście*. W panice zapomniałam, co potrafił *zrobić*. Bez zastanowienia zsunęłam go z palca i włożyłam do ust.

Moje ciało zniknęło.

Wspinanie się po budynku przy udziale widowni i z dwoma złamanymi palcami było trudne. Schodzenie z widownią, dwoma złamanymi palcami i pierścieniem w zębach – będąc niewidzialną – wydawało się niemożliwe. Dwa razy prawie połknęłam pierścień, a raz byłam pewna, że usłyszał mnie chasseur, gdy uraziłam się w złamany palec.

Ale dałam radę.

Jeśli chasseurzy wcześniej uważali, że nie jestem czarownicą, jeśli jakimś cudem strażnicy nic nie wygadali, na pewno teraz już mnie podejrzewali. Musiałam być ostrożna. Miedzianowłosa Chass wiedział, jak wyglądam, a dzięki głupocie Basa znał również moje imię. Będzie mnie szukał.

Inni, o wiele bardziej niebezpieczni, mogli się o tym dowiedzieć i też zacząć mnie szukać.

Kiedy byłam już wystarczająco daleko, by poczuć się względnie bezpiecznie, wyplułam pierścień. Moje ciało natychmiast się pojawiło, gdy

wsunęłam go z powrotem na palec.

– Fajna sztuczka – pochwaliła Coco. Odwróciłam się, słysząc jej głos. Opierała się o brudny mur w bocznej uliczce. Uniosła brwi i spojrzała na pierścień. – Widzę, że znalazłaś sejf Tremblaya. – Gdy zerknęłam z wahaniem przez ramię, roześmiała się. – Nie martw się. Nasi umięśnieni niebiescy przyjaciele właśnie rozbierają dom Tremblaya cegła po cegle. Są za bardzo zajęci szukaniem ciebie, żeby móc cię znaleźć.

Zachichotałam, ale szybko się uspokoiłam i spojrzałam na pierścień.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę go znalazłyśmy. Czarownice będą wściekłe, kiedy się dowiedzą, że go mam.

Coco podążyła za moim wzrokiem i zmarszczyła brwi.

– Wiem, co potrafi ta błyskotka, ale nigdy nie mówiłaś mi, dlaczego twoi ludzie tak go cenią. Z pewnością są inne przedmioty o większej mocy.

– To Pierścień Angeliki.

Spojrzała na mnie beznamiętnie.

– Jesteś czarownicą – odpowiedziałam jej równie tępym spojrzeniem. – Nie słyszałaś opowieści o Angelice?

Przewróciła oczami.

– Jestem czerwona, jakbyś zapomniała. Wybacz, że nie nauczyłam się przesądów waszego kultu. Była jakąś twoją krewną, czy co?

– Otóż tak – rzuciłam niecierpliwie. – Ale nie o to chodzi. Była po prostu samotną czarownicą, która zakochała się w rycerzu.

– Brzmi szalowo.

– Bo taki był. Dał jej ten pierścień, obiecując małżeństwo... a potem zginął. Angelika załamała się, a jej łzy zalały ziemię i powstało nowe morze. Nazwali je L'Eau Mélancolique.

– Tęskne Wody. – Coco podniosła moją dłoń, jej lekceważenie przerodziło się w podziw, gdy oglądała pierścień. Zsunęłam go z palca i podałam jej na dłoni. Nie wzięła go. – Cóż za piękna, smutna nazwa.

Potknęłam bez uśmiechu.

– Bo to piękne, ponure miejsce. Kiedy Angelika wypłakała wszystkie łzy, cisnęła pierścień do wody, a potem sama się do niej rzuciła. Utonęła. Kiedy pierścień wypłynął na powierzchnię, był przesycony magią...

Z ulicy dobiegły krzyki, więc urwałam w pół słowa. Minęła nas grupka mężczyzn, fałszujących jakąś biesiadną piosenkę. Schowałyśmy się głębiej w cień.

Rozluźniłam się dopiero, gdy ich głosy ucichły.

– Jak uciekłaś?

– Przez okno. – Wyszczерzyła zęby w uśmiechu, widząc moje wyczekujące spojrzenie. – Kapitan i jego sługusi za bardzo przejęli się tobą, żeby zwracać na mnie uwagę.

– Aha. – Zacisnęłam usta i oparłam się o mur. – Wobec tego nie ma za co. Jak udało ci się mnie znaleźć?

Podciągnęła rękaw. Jej rękę i nadgarstek szpeciły blizny, ze świeżej rany wciąż płynęła krew. Ślad po każdym czarze, jaki kiedykolwiek rzuciła. Z tego, co nauczyła mnie o Dames Rouges, wiedziałam tylko, że ich krew jest ważnym składnikiem większości zaklęć – czasami miesza się ją z krwią innych, czasami gotuje, odparowuje lub dusi. Nie rozumiałam tego. Krwawe czarownice nie podlegały żadnym prawom ani regułom. Ich magia nie opierała się na równowadze. Była dzika, nieprzewidywalna... i niebezpieczna.

To dlatego Angelika zakazała jej w Chateau le Blanc sto lat temu. Niektóre krwawe czarownice zaczęły bowiem... eksperymentować na wieśniakach.

Coco uniosła brew i roztarła odrobinę krwi między palcami.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Chyba się domyślam. – Westchnęłam i zsunęłam się po ścianie, żeby usiąść na brudnej ulicy. Zamknęłam oczy.

Coco przyłączyła się do mnie. Po kilku sekundach ciszy szturchnęła mnie kolanem, a ja zmusiłam się do otwarcia oka. Wyglądała niezwykle poważnie.

– Ten policjant mnie widział, Lou.

– Słucham? – Aż podskoczyłam, oczy miałam już szeroko otwarte. – Jak? Wzruszyła ramionami.

– Czekałam w okolicy dla zyskania pewności, że uda ci się uciec. Naprawdę miałam szczęście, że to był policjant. Prawie się posikał, kiedy dotarło do niego, że jestem czarownicą. Dzięki czemu łatwiej mi było wyskoczyć przez okno.

Cholera. Poczułam ukłucie w sercu.

– W takim razie chasseurzy też już wiedzą. I już cię szukają. Musisz wydostać się z miasta jak najszybciej, jeszcze tej nocy. Teraz. Skontaktuj się z ciotką. Odnajdzie cię.

– Ciebie też będą szukać. Nawet jeśli nie zniknęłaś bez śladu, wiedzą, że zadawałaś się z czarownicą. – Pochyliła się i objęła kolana rękami, nie

zważając na krew. Rozmazała ją sobie na spódnicy. – Jaki masz plan?

– Nie wiem – przyznałam cicho. – Mam Pierścień Angeliki. To musi wystarczyć.

– Potrzebujesz ochrony. – Wzdychając, ujęła moją zdrową dłoń. – Chodź, moja ciotka...

– Mnie zabije.

– Nie pozwolę jej. – Z pasją kręciła głową, aż loki podskakiwały wokół jej twarzy. – Różnisz się od pozostałych czarownic. Jesteś podobna do nas. Zrozumie to.

Nie miałam zamiaru się kłócić. Oczy Coco lśniły, wciąż była tak samo nieprzejednana jak wtedy, gdy po raz pierwszy spotkałyśmy się jako dzieci. Ktoś ją wtedy pobił, jej krew skapywała na sosnowe igły w lesie. Chociaż nie chciała mi powiedzieć, kto jej to zrobił, miałam pewne podejrzenia.

– Ale inne nie. – Westchnęłam ciężko. – Będzie kwestią czasu, nim ktoś z twojego kowenu zadźga mnie we śnie lub wyda jej.

Oczy Coco zaśniły.

– Rozoram jej gardło.

Uśmiechnęłam się smutno.

– Bardziej martwi mnie teraz własne gardło.

– To co zamierzasz? – Puściła moją dłoń i wstała. – Po prostu wrócisz do Soleil et Lune?

– Na razie tak. – Wzruszyłam ramionami, jakbym się nie przejmowała, ale wyszło sztywno i nieprzekonująco. – Nikt oprócz Basa nie wie, że tam mieszkam, a jemu też udało się uciec.

– Zostanę z tobą.

– Nie. Nie pozwolę ci spłonąć przeze mnie.

– Lou...

– Nie.

Westchnęła z niezadowoleniem.

– Dobrze. Sama nadstawiaj karku. Ale... pozwól mi przynajmniej naprawić twoje palce.

– Koniec z magią na dzisiaj.

– Ale...

– Coco. – Łagodnie ujęłam ją za rękę, lzy piekły mnie w oczy. Obie wiedziałyśmy, że przeciąga tę chwilę. – Nic mi nie będzie. To tylko złamane palce. Idź już. Uważaj na siebie.

Pociągnęła nosem, potrząsnęła głową, próbując pozbyć się łez.

– Ty również.

Uścisnęłyśmy się, ale żadna nie kwapiła się do odejścia. Pożegnania były czymś ostatecznym, a my miałyśmy się kiedyś ponownie spotkać. Nie wiedziałam gdzie i kiedy, ale byłam tego pewna.

Bez słowa wypuściła mnie z objęć i rozplynęła się w cieniu.

Nie zdążyłam opuścić bocznej uliczki, kiedy drogę zagroziły mi dwa duże cienie. Przekląłam, gdy popchnęli mnie na ścianę. Andre i Grue. Oczywiście. Chociaż się szarpałam, nie miałam z nimi szans. Byli ode mnie znacznie ciężsi.

– Jak się masz, słodka? – Szydził Andre. Był wyższy niż Grue, miał długi, wąski nos i za dużo zębów. Tłoczyły się w jego ustach, żółte, połamane i nierówne. Odsunęłam się, tłumiąc odruch wymiotny, gdy na mnie chuchnął, ale wtedy Grue zanurzył nos w moich włosach.

– Mmm. Ładnie pachniesz, Lou Lou. – W odpowiedzi walnęłam go głową. Jego nos chrupnął, a on odskoczył, paskudnie klnąc, po czym złapał mnie za szyję. – Ty mała dziwko...

Kopnęłam go w kolano i jednocześnie przyłożyłam Andre z łokcia w brzuch. Gdy jego uścisk zelżał, rzuciłam się biegiem w stronę ulicy, ale w ostatniej chwili złapał mnie za płaszcz. Moje stopy straciły kontakt z podłożem i z hukiem upadłam na bruk. Kopniakiem przewrócił mnie na brzuch i przyspilił do ziemi, kładąc nogę na moim kręgosłupie.

– Daj nam pierścień, Lou.

Chociaż wiałam się, żeby pozbawić go równowagi, on tylko mocniej mnie dociskał. Poczułam ostry ból w plecach.

– Nie mam... – Pochylił się i zanim dokończyłam zdanie, wcisnął moją twarz w ziemię. Pękła mi kość w nosie i poczułam w gardle mdlący smak krwi. Zakrztusiłam się, zobaczyłam gwiazdy przed oczami i walczyłam, by nie stracić przytomności. – Nakryli nas policjanci, dupku! – Dopiero teraz zaświtało mi w głowie. – Czy to wy? Czy to wy ich nasłaliście, gnoje?

Grue warknął i wstał, wciąż trzymając się za kolano. Z jego nochała spływała krew i skapywała po brodzie. Mimo oślepiającego bólu poczułam mściwą satysfakcję. Wiedziałam, że nie powinnam kpić, ale ciężko było – bardzo ciężko – się powstrzymać.

– Nie jestem kapusiem. Przeszukaj ją, Andre.

– Jeśli jeszcze raz mnie dotkniesz, przysięgam, że wydrapię ci pieprzone oczy...

– Nie rozpędzaj się, Lou Lou. – Andre szarpnął mnie za włosy i odsłonił gardło, po czym przesunął po nim ostrzem noża. – Chyba jednak ja cię przeszukam. Każdy zakamarek i szparkę. Nie wiadomo, gdzie go schowałaś.

W tej chwili coś mi się przypomniało. Wspomnienie było wyraźne jak kryształ.

Moje gardło nad umywalką. Wszystko białe.

A potem czerwone.

Eksplodowałam pod nim w plątaninie kończyn, paznokci i zębów, drapałam, gryzłam i kopałam każdy fragment jego ciała, którego udało mi się dosięgnąć. Odskoczył z krzykiem, zawadzając ostrzem o mój policzek – ale nie poczułam ukłucia. Niczego nie czułam – ani powietrza w płucach, ani drżenia rąk, ani łez na twarzy. Nie przestawałam, dopóki moje palce nie znalazły jego oczu.

– Czeka! Proszę! – Zamknął je, ale ja naciskałam, wcisnęłam szpony pod jego powieki, w oczodoły. – Przepraszam! Wierzę ci!

– Przestań! – Kroki Grue załomotały tuż za mną. – Przestań, bo...

– Dotknij mnie, a go oślepię.

Kroki nagle ucichły, a ja usłyszałam, jak przełyka ślinę.

– Ty... Po prostu daj nam coś, Lou. Wiem, że zabrałaś temu kutasowi coś więcej niż tylko pierścień.

– Niczego nie muszę wam dawać. – Wycofując się powoli w stronę ulicy, jedną ręką mocno ścisnęłam szyję Andre. Druga wciąż znajdowała się przy jego oku. Z każdym krokiem wracało mi czucie w kończynach. W umyśle. Potwornie bolały mnie połamane palce. Szybko mrugałam i próbowałam pozbyć się guli w gardle. – Nie idźcie za mną, bo skończę, co tu zaczęłam.

Grue ani drgnął. Andre tylko jęknął.

Kiedy dotarłam do ulicy, bez wahania pchnęłam Andre w otwarte ramiona kompana, odwróciłam się i uciekłam do Soleil et Lune.

Nie zatrzymywałam się, żeby zatamować krwawienie czy nastawić palce, dopóki nie znalazłam się w bezpiecznych trzewiach teatru. Nie miałam wody do umycia twarzy, więc dotąd tarłam krew sukienką, aż większość znalazła się na tkaninie. Palce były już sztywne, ale przygryzłam rąbek płaszcza i nastawiłam kości, do usztywnienia używając kawałka fiszbiny z zepsutego gorsetu.

Byłam wykończona, ale nie mogłam spać. Podskakiwałam, słysząc każdy szmer, na strychu było dla mnie zbyt ciemno. Pojedyncze rozbite okno – moje jedyne wejście – wpuszczało blask księżyca. Skuliłam się pod nim i starałam nie myśleć o bólu pulsującym w twarzy i w ręce. Przez chwilę rozważałam wyprawę na dach. Spędziłam wiele nocy ponad miastem, rozkoszując się blaskiem gwiazd na policzkach i wiatrem we włosach.

Ale nie tej nocy. Byłam poszukiwana przez chasseurów i policjantów. Co gorsza, Coco odeszła, a Bas mnie porzucił, gdy tylko zaczęło robić się gorąco. Zamknęłam oczy i pogrążyłam się w rozpacz. Co za cholerny bałagan.

Przynajmniej mam pierścień, a *ona* mnie jeszcze nie znalazła. Tyle dobrego. Ta myśl w końcu ukołysała mnie do niespokojnego snu.

GNIEW I ZAZDROŚĆ

Reid

Plac treningowy wypełniało szczękanie mieczy. Zbliżało się południe, słońce rozpraszało jesienny chłód, po moim czole spływał pot. W przeciwieństwie do innych chasseurów nie zdjąłem koszuli. Przykleiła mi się do piersi, mokry materiał ocierał się o skórę. Wymierzał karę.

Pozwoliłem uciec kolejnej czarownicy, za bardzo skupiłem się na piegowatej złodziejce, by zwrócić uwagę na czekającą w środku demonicę. Celia była załamana. Nie mogła spojrzeć mi w oczy, kiedy ojciec w końcu kazał jej wejść do domu. Poczułem gorąco na samo wspomnienie. Kolejna porażka.

Jean Luc zdjął koszulę jako pierwszy. Sparing trwał od wielu godzin, jego brązowa skóra lśniła od potu. Na piersi i przedramionach miał ślady po uderzeniach – po jednym za każdy raz, gdy otworzył usta.

– Wciąż myślisz o swoich czarownicach, kapitanie? A może o Mademoiselle Tremblay?

W odpowiedzi zdzieliłem go drewnianym mieczem. Zablockowałem jego kontratak i wbiłem mu łokieć w brzuch. Mocno. Do pozostałych dołączyły dwa nowe ślady. Miałem nadzieję, że zmienią się w siniaki.

– A więc tak! – Zgiął się wpół, żeby chronić brzuch, ale zdążył posłać mi ironiczne spojrzenie. Chyba nie uderzyłem go wystarczająco mocno. – Nie martwiłbym się tym. Wkrótce wszyscy zapomną o tej porażce.

Ścisnąłem miecz, aż zbielały mi knykcie. Poczułem, jak w szczęce pulsuje mi nerw. Nie upadnę tak nisko, żeby zaatakować swojego

najstarszego przyjaciela. Nawet jeśli jest on żalonym...

– W końcu ocaliłeś rodzinę królewską. – Wyprostował się, wciąż trzymając za bok, i uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Prawdę mówiąc, rzeczywiście zbłądziłeś się z tą czarownicą. Nie mogę powiedzieć, że to rozumiem. Ojcostwo nie leży w sferze moich zainteresowań, ale gdy pomyślę o tej złodziejce? Cóż za ładniutka bestyjka...

Rzuciłem się na niego, ale zblokował, śmiejąc się i uderzając mnie w ramię.

– Spokojnie, Reid. Wiesz, że tylko żartuję.

Od czasu, gdy dostałem awans, jego żarty przestały być zabawne.

Jean Luc pojawił się na progu kościoła, gdy mieliśmy po trzy lata. Występował w każdym moim wspomnieniu. Razem spędziliśmy dzieciństwo. Spaliśmy w tym samym pokoju. Mieliśmy tych samych znajomych. Dzieliliśmy ten sam gniew.

Dawniej darzyliśmy się też szacunkiem. Ale to było kiedyś.

Odsunąłem się, a on przesadnym gestem zaczął ocierać mój pot o swoje spodnie. Kilku braci się roześmiało. Zamilkli, widząc moją minę.

– W każdym żarcie jest odrobina prawdy.

Spuścił głowę, ale wciąż się uśmiechał. Jego jasnozielonym oczom nic nie umykało.

– Być może... ale czy Pan nie każe nam odsuwać od siebie zakłamania? – Nie dał mi czasu na odpowiedź. Nigdy nie dawał. – „Niech każdy z was mówi prawdę do bliźniego, bo jesteście nawzajem dla siebie członkami”.

– Znam Pismo.

– Więc dlaczego uciszasz mnie, gdy mówię prawdę?

– Bo za dużo gadasz.

Roześmiał się głośniej, otworzył usta, żeby olśnić nas kolejnym żartem, ale przerwał mu Ansel. Oddychał ciężko, pot zwilżył jego niesforne włosy, zmęczenie zaczerwieniło policzki.

– To, że coś *można* powiedzieć, nie oznacza, że *należy* to robić. Poza tym – powiedział i zerknął na mnie – Reid nie był sam na paradzie. Ani w rezydencji.

Spuściłem głowę. Ansel powinien wiedzieć, że lepiej się nie wtrącać. Jean Luc obrzucił nas obojętnym spojrzeniem, po czym wbił miecz w ziemię i oparł się na nim. Pogładził brodę.

– Tak, ale wydaje się, że on za bardzo się tym przejmuje, prawda?

– Ktoś powinien. – Słowa opuściły moje usta, zanim zdołałem je powstrzymać. Ugryzłem się w język i odwróciłem, żeby nie dodać czegoś, czego mógłbym potem żałować.

– Ach. – Jean Lucowi zabłyśły oczy, wyprostował się, zapomniał o mieczu i brodzie. – Tu jest pies pogrzebany, co? Rozczarowałaś arcybiskupa. A może Celię?

Raz.

Dwa.

Trzy.

Ansel patrzył na nas, nie kryjąc zdenerwowania.

– Wszyscy zawiedliśmy.

– Być może. – Uśmiech Jean Luca zniknął, a w jego bystrym spojrzeniu pojawiło się coś, czego nie potrafiłem nazwać. – Ale Reid jest naszym kapitanem. Tylko Reid cieszy się przywilejami związanymi z tym stanowiskiem. Być może ma rację, samotnie ponosząc konsekwencje.

Rzuciłem miecz na stojak.

Cztery.

Pięć.

Sześć.

Głęboko odetchnąłem, próbując stłumić wzbierającą złość. Wciąż czułem pulsowanie w szczęce.

Siedem.

Masz kontrolę. Wrócił do mnie głos arcybiskupa sprzed lat. Złość nie może tobą rządzić, Reid. Głęboko oddychaj. Policz do dziesięciu. Weź się w garść.

Poddałem się temu. Powoli z moich ramion schodziło napięcie. Stygł żar na moich policzkach. Oddychało mi się łatwiej. Chwyciłem Jean Luca za ramię.

– Masz rację, Jean. To moja wina. Biorę za to pełną odpowiedzialność.

Zanim się odezwał, na placu treningowym pojawił się arcybiskup. Spojrzenie jego stalowych oczu spoczęło na mnie, a ja natychmiast położyłem dłoń na sercu i się skłoniłem. Inni poszli za moim przykładem.

Arcybiskup w odpowiedzi skłonił głowę.

– Spocznijcie, chasseurzy. – Wyprostowaliśmy się jak jeden mąż. Kiedy przywołał mnie gestem, Jean Luc zmarszczył brwi. – Doszły mnie wieści, że masz dziś nie najlepszy nastrój, kapitanie Diggory.

– Przykro mi, ekscelencjo.

Machnął ręką.

– Nie przepraszaj. Wasza harówka nie może iść na marne. Mamy łapać czarownice, przegnać je ogniem z tej ziemi. – Lekko zmarszczył brwi. – Wczorajszej nocy nie zawiniłeś. – Oczy Jean Luca zabłyśły, ale arcybiskup nie zauważył tego. – Mam dzisiaj wziąć udział w porannym przedstawieniu z jednym z zagranicznych gości króla. Chociaż nie przepadam za teatrem, ponieważ jest to podła rozrywka odpowiednia jedynie dla włóczęgów i łajdaków, chcę, żebyś mi towarzyszył.

Otarłem pot z czoła.

– Ekscelencjo...

– To nie była prośba. Umyj się. Bądź gotów do wyjścia za godzinę.

– Rozkaz, ekscelencjo.

Gdy wchodziłem za arcybiskupem do budynku, czułem, że przewierca mnie wzrok Jean Luca, przesycony nienazwaną emocją. Dopiero później, gdy już siedziałem w powozie przed Soleil et Lune, zrozumiałem, co to było. Poczułem gorzkie ukłucie żalu.

Dawniej darzyliśmy się szacunkiem. Ale to było zanim pojawiła się zazdrość.

UMOWA KORZYSTNA DLA WSZYSTKICH

Lou

Obudziłam się następnego ranka, gdy promienie słońca wpadały przez okno na strychu. Powoli zamrugałam oczami, rozkoszowałam się tą przyjemną chwilą pomiędzy snem a jawą, kiedy jeszcze niczego się nie pamięta. Ale moja podświadomość szybko mnie dopadła. Z teatru na dole dochodziły hałasy, obsada i obsługa wymieniały się głośnymi uwagami, ich podekscytowane głosy dochodziły też zza okna. Zmarszczyłam czoło, wciąż trzymałam się resztek snu.

W teatrze było dość głośno dzisiaj rano.

Usiadłam. W *Soleil et Lune* grano poranny spektakl w każdą sobotę. Jak mogłam zapomnieć?

Rzuciłam się z powrotem na łóżko, aż poczułam pulsujący ból w twarzy. No tak, jeszcze to. Miałam rozwalony nos i musiałam uciekać, bo byłoby po mnie.

Na dole zaczęła się uwertura i zrobiło się jeszcze głośniejsze.

Jęknęłam. Teraz musiałam tu tkwić aż do zakończenia przedstawienia, a bardzo chciało mi się sikać. Zazwyczaj nie był to problem, mogłam zakraść się na dół do toalety, zanim przyszli pracownicy, ale tym razem zasnęłam. Wstałam, skrzywiłam się z bólu, który przeszył moje plecy, i szybko oceniłam straty. Na pewno miałam złamany nos, palce spuchły i były dwa razy większe niż zwykle. Ale miałam na sobie dość ładną sukienkę, więc mogłabym niezauważona przemknąć obok stałych

bywalców... gdyby nie plamy krwi. Oblizawałam zdrowe palce i zaczęłam energicznie pocierać plamy, ale nie udało mi się pozbyć czerwieni.

Westchnęłam niecierpliwie i rozejrzałam się, ponieważ otaczały mnie wieszaki pełne zakurzonych kostiumów. Koło łóżka, które dzieliłam z Coco, stał kufer. Wypełniony był wełnianymi majtkami, mitenkami, płaszcami oraz kilkoma lekko spleśniałymi kocami, które w zeszłym tygodniu znalazłyśmy na śmietniku. Pogłodziłam czule połowę łóżka należącą do Coco.

Miałam nadzieję, że bezpiecznie dotarła do ciotki.

Kręcąc głową, odwróciłam się w stronę wieszaków i wybrałam kostium na chybił trafił. Coco potrafiła o siebie zadbać. Ja natomiast...

Po trzech niesamowicie bolesnych próbach zrezygnowałam z rozbierania się. Moje połamane palce odmawiały posłuszeństwa, moje ciało nie było w stanie się wygiąć, bym mogła rozpiąć guziki pomiędzy łopatkami. Wyjęłam więc z najbliższego kosza szeroki kapelusz i drucziane okulary. Założyłam je. Wczoraj w nocy ukryłam bliznę pod aksamitką, teraz też musiało mi to wystarczyć.

Mój pęcherz domagał się natychmiastowej uwagi, a nie chciałam sikać w kącie jak pies.

Poza tym zawsze mogłam wsadzić do ust Pierścień Angeliki, gdybym musiała szybko się ewakuować. Podejrzewałam, że hol będzie zbyt zatłoczony na swobodne przemieszczanie się, będąc niewidzialną. Nic nie wzbudza takiej podejrzliwości jak zjawy, która nadejście komuś na stopę.

Naciągnęłam kapelusz, żeby osłonić twarz, i po cichu zeszłam schodami prowadzącymi za kulisy. Większość aktorów mnie zignorowała, oprócz...

– Nie powinno cię tu być – powiedziała wyniosła dziewczyna z haczykowatym nosem. Miała okrągłą twarz i włosy przypominające wąsy kukurydzy. Kiedy się odwróciłam w jej stronę, aż zabrakło jej tchu. – Dobry Boże, co się stało z twoją twarzą?

– Nic – spuściłam głowę, ale było już za późno.

Jej wyniosłość zmieniła się w troskę. Podeszła.

– Czy ktoś cię skrzywdził? Mam wezwać policję?

– Nie, nie. – Posłałam jej nieśmiały uśmiech. – Zgubiłam się w drodze do toalety.

– Toaleta jest w holu. – Zmrużyła oczy. – Czy to *krw* na twojej sukience? Na pewno nic ci nie jest?

– Czuję się doskonale. – Potakiwałam jak wariatka. – Dziękuję!

Oddaliłam się nieco zbyt szybko jak na niewiniątko. Chociaż patrzyłam w dół, czułam na sobie spojrzenia mijanych osób. Moja twarz musiała wyglądać okropnie. Chyba rozsądniej by było użyć Pierścienia Angeliki.

W holu było jeszcze gorzej niż za kulisami. Kręcili się tam bogaci szlachcice i kupcy, którzy jeszcze nie zaczęli szukać swoich miejsc. Trzymałam się skraju pomieszczenia, odwracałam głowę do ściany, by uniknąć niechcianej uwagi. Na szczęście widzowie byli zbyt zajęci sobą, żeby dostrzec moje dziwne zachowanie. W końcu Soleil et Lune bardziej słynął z plotek niż z przedstawień.

Podśluchałam parę, która szeptała, że sam arcybiskup ma przybyć na przedstawienie – kolejny powód, by jak najszybciej wrócić na strych.

Jako ojciec chasseurów, arcybiskup stał na czele ich duchowej walki ze złem drażącym Belterre, twierdząc, że został namaszczoney przez Boga do wywędowania okultyzmu. Spalił dziesiątki czarownic, więcej niż ktokolwiek inny, i nadal nie osiadł na laurach. Widziałam go tylko raz, z daleka, ale okrucieństwo w jego spojrzeniu bez trudu sklasyfikowałam jako obsesję.

Weszłam do toalety, nie zwracając już niczyjej uwagi. Gdy sobie ulżyłam, zdjęłam niedorzeczny kapelusz i stanęłam przed lustrem. Od razu było wiadomo, dlaczego obsługa tak się na mnie gapiła. Moja twarz była w tragicznym stanie. Pod oczami miałam wielkie fioletowe sińce, na policzkach plamy krwi. Zmyłam je zimną wodą z kranu, szorowałam tak mocno, aż skóra zrobiła się różowa i podrażniona. Ale w sumie niewiele to dało.

Ktoś grzecznie zapukał do drzwi.

– Przepraszam! – odpowiedziałam naiwnie. – Problemy żołądkowe!

Pukanie natychmiast ustało. Kobieta odskoczyła od drzwi i usłyszałam jeszcze tylko, że komentowała moje zachowanie zniesmaczonym tonem. Dobrze. Musiałam przeczekać tłum, a zamknięta toaleta była do tego odpowiednim miejscem. Robiąc miny do odbicia w lustrze, zabrałam się do usuwania plam z sukienki.

Głosy stopniowo cichły, a muzyka robiła się coraz głośniejsza, co oznaczało początek przedstawienia. Uchyliłam drzwi i wyjrzałam na lobby. Pozostali tylko trzej bileterzy. Gdy ich minęłam, skłonili się uprzejmie, w półmroku nie zwracając uwagi na moją posiniaczoną twarz.

Rozluźniłam się nieco, podchodząc do wejścia za kulisy. Znajdowałam się zaledwie kilka kroków od nich, gdy tuż za mną otworzyły się drzwi.

– Czy mogę panu pomóc? – zapytał jeden z bileterów.

Ten, który wyszedł, wymamrotał coś w odpowiedzi, a mnie aż włosy stanęły dęba. Nie powinnam się zatrzymywać w drodze na strych. Powinnam uciekać – każdy instynkt krzyczał do mnie „uciekaj, uciekaj, uciekaj”, ale ja zrobiłam coś innego. Odwróciłam się i sprawdziłam, kto stał w wejściu na salę. Bardzo wysoki mężczyzna z miedzianymi włosami i w niebieskim płaszczu.

– *Ty* – powiedział.

Nim zdążyłam zareagować, doskoczył do mnie. Złapał mnie za ramiona i odwrócił twarzą do siebie, jednocześnie zagradzając drogę ucieczki. Od razu pojęłam, że choćbym nie wiem jak walczyła, nie uda mi się uwolnić. Po prostu był zbyt silny. Zbyt potężny. Został mi tylko jeden sposób.

Wbiłam kolano w jego krocze.

Jęcząc, zgiął się wpół. Puścił mnie.

Rzuciłam mu kapeluszem w twarz dla wzmocnienia efektu i pobiegłam w głąb teatru. Za kulisy prowadziło jeszcze jedno wejście. Pracownicy obsługi nie kryli zaskoczenia, gdy ich mijałam, zrzucając za sobą skrzynie i inne rekwizyty. Nic to nie dało. Chasseur wciąż mnie gonił, każdy jego krok równał się trzem moim...

Złapał mnie za rękę w chwili, gdy ponownie zauważyłam dziewczynę z haczykowatym nosem. Chociaż się wyrywałam i podczas szarpaniny spadły mi okulary, on tylko mocniej zaciskał rękę na moim nadgarstku. Po pokiereszowanej twarzy pociekły mi łzy.

– Proszę, pomóż mi!

Dziewczyna spojrzała na nas szeroko otwartymi oczami.

– Puść ją!

Gdy krzyknęła, głosy na scenie przycichły, a my znieruchomieliśmy.

Cholera. Nie, nie, nie.

Wykorzystując jego wahanie, wykręciłam się, a wtedy jego dłoń przypadkowo znalazła się na mojej piersi. Był tak zszokowany, że prawie mnie puścił, ale zreflektował się, gdy próbowałam się uwolnić, i chwycił moją suknię na wysokości dekoltu. Z przerażeniem patrzyłam, jak cienki materiał rozrywa się w zwolnionym tempie, a jego stopy płaczą się w fałdach mojej spódnicy. Szarpiąc się, próbowaliśmy bezskutecznie odzyskać równowagę.

I wtedy wpadliśmy przez kurtynę na scenę.

Publiczność głośno westchnęła z zaskoczenia, a potem zapadła cisza. Nikt nie śmiał nawet odetchnąć. Ja też nie.

Chasseur, który leżał teraz pode mną i wciąż mocno mnie trzymał, gapił się na mnie wielkimi oczami. Otepiała patrzyłam, jak pod wpływem emocji zmienia się jego twarz. Szok. Panika. Poniżenie. Wściekłość.

Dziewczyna o haczykowatym nosie wyskoczyła na scenę i czar prysł.

– Ty obrzydliwa świnio!

Chasseur zepchnął mnie, jakbym go ugryzła, i spadłam na plecy. Z hukiem. Z widowni podniosły się okrzyki protestu, gdy zadarła mi się suknia. Wszyscy ujrzeli moją posiniaczoną twarz i rozdarty dekolt i wyciągnęli odpowiednie wnioski. Mnie to jednak nie obeszło. Popatrzyłam na widownię i z przerażeniem pomyślałam, kto mógł mnie zobaczyć. Cała krew odpłynęła mi z twarzy.

Dziewczyna z haczykowatym nosem objęła mnie i pomogła mi wstać, po czym wyprowadziła za kulisy. Dwóch osiłków z obsługi pochwyciło chasseura. Tłum krzyczał z satysfakcją, gdy prowadzili go między sobą. Obejrzałam się w tył, zaskoczona, że nie podjął walki, ale był tak samo blady jak ja.

Dziewczyna okryła mnie prześcieradłem.

– Wszystko w porządku?

Nie odpowiedziałam na to niedorzeczne pytanie. To jasne, że nic nie było w porządku. Co właściwie się wydarzyło?

– Miejmy nadzieję, że wsadzą go do więzienia. – Gniewnie spojrzała na chasseura, którego otoczyli pracownicy teatru, a on wyglądał, jakby nie wiedział, co się dzieje. Publiczność nadal wyrażała oburzenie.

– Nie wsadzą – rzuciłam ponuro. – To chasseur.

– Wszyscy będziemy zeznawać. – Dumnie uniosła głowę i wskazała personel, który nie wiedział, jak się zachować. – Wszystko widzieliśmy. Miałaś szczęście, że się tu znalazłaś. – Zerknęła na moją podartą sukienkę. – Kto wie, co mogło się stać?

Nawet nie próbowałam wyjaśniać. Musiałam się stąd wydostać. Cały ten ambaras zapoczątkowała moja nieudana próba ucieczki, a teraz miałam ostatnią szansę. Chasseur nie mógł mnie już zatrzymać, ale niedługo przyjedzie policja. Nie będą się przejmować słowami widowni. Zamkną mnie w więzieniu, nie zważając na podartą sukienkę i siniaki, a gdy sprawa ucichnie, dorwą mnie chasseurzy.

Wiedziałam, do czego to zmierzało. Do płonącego stosu.

Zdecydowałam postawić wszystko na jedną kartę i dać nogę – być może włożę Pierścień Angeliki między zęby, gdy dobiegnę do klatki schodowej.

Zanim wprowadziłam plan w życie, usłyszałam skrzywienie otwierających się drzwi.

O mało nie zemdlalam, gdy wszedł arcybiskup z obstawą.

Był niższy, niż sądziłam, chociaż i tak górował nade mną, miał szpakowate włosy i stalowo-niebieskie oczy. Spojrzał na mnie przelotnie – na posiniaczoną twarz, rozczochrane włosy i prześcieradło, którym byłam okryta – a potem zmrużył oczy, widząc zamieszanie wokół. Skrzywił się.

Skinął głową w stronę wyjścia.

– Zostawcie nas.

Obsłudze nie trzeba było dwa razy powtarzać, mnie też. O mało nie zabiłam się o własne nogi, próbując wyjść stamtąd najszybciej, jak to możliwe. Chasseur wystawił rękę i mnie złapał.

– Ty nie – zarządził arcybiskup.

Dziewczyna z haczykowatym nosem zawahała się, patrzyła raz na mnie, raz na nich. Jedno spojrzenie arcybiskupa sprawiło jednak, że pospiesznie wyszła.

Chasseur puścił mnie w chwili, gdy zniknęła, i pochylił się przed zwierzchnikiem, kładąc pięść na sercu.

– To kobieta z domu Tremblaya, wasza ekscelencjo.

Arcybiskup odwzajemnił gest. Kiedy się wyprostował, znowu na mnie spojrzał. Obaj z uwagą przyjrzeni się mojej twarzy – jakby oceniali moją wartość i uznali, że czegoś mi brakuje. Arcybiskup założył ręce na plecach.

– Więc to ty jesteś złodziejką, która nam uciekła.

Potaknęłam, nie śmiać oddychać. Powiedział *złodziejka*, nie czarownica.

– Moja droga, postawiłaś nas w niezręcznej sytuacji.

– Ja...

– Cicho.

Zamknęłam usta. Nie byłam aż tak głupia, żeby mu się stawiać. Znajdował się ponad prawem.

Powoli zbliżył się do mnie, wciąż trzymając ręce z tyłu.

– Jesteś sprytną złodziejką, prawda? Masz talent do ucieczek. Jak wczoraj w nocy udało ci się zejść z dachu? Kapitan Diggory twierdzi, że dom był otoczony.

Przełknęłam ślinę. Znowu padło to słowo. *Złodziejka*, nie czarownica. Poczulałam nadzieję. Zerknęłam na miedzianowłosego chasseura, ale jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Pomogła mi przyjaciółka – skłamałam.

Uniósł brew.

– Przyjaciółka czarownica.

Przeszedł mnie dreszcz. Coco była teraz daleko stąd – bezpieczna, ukryta w La Foret des Yeux. Lesie Oczu. Chasseurzy jej tam nie znajdą. A nawet jeśli, jej kowen ją ochroni. Chociaż krwawe czarownice zwykle trzymały się z dala od kłopotów, nie zawahają się przelać krwi świętych mężów.

Utrzymywałam kontakt wzrokowy, starając się nie wzdrygać ani nie wiercić, żeby niczym się nie zdradzić.

– Tak, jest czarownicą.

– Jak?

– Jak to się stało, że jest czarownicą? – Wiedziałam, że nie powinnam go drażnić, ale nie mogłam się powstrzymać. – Wydaje mi się, że kiedy czarownica i mężczyzna bardzo się kochają...

Uderzył mnie w twarz. Plaśnięcie odbiło się echem od pustej widowni. Najwyraźniej widzów udało się wyprowadzić równie szybko co personel. Chwyciłam się za policzek i popatrzyłam na niego ze złością. Chasseur przestępował z nogi na nogę, nie potrafiąc znaleźć sobie miejsca.

– Ty paskudny dzieciaku. – Arcybiskup wybałuszył oczy. – Jak pomogła ci uciec?

– Nie zdradzę jej sekretów.

– Śmiesz ukrywać informacje?

Usłyszeliśmy pukanie i pojawił się policjant.

– Wasza ekscelencjo, na zewnątrz zebrał się tłum. Niektórzy z widzów i członków obsługi. Mówią, że nie ruszą się stąd, dopóki nie poznają losu tej dziewczyny i kapitana Diggory'ego. Zaczynają zwracać na siebie uwagę.

– Niedługo skończymy. – Arcybiskup wyprostował się i poprawił szaty, biorąc głęboki oddech. Policjant skłonił się i wyszedł.

Duchowny ponownie skupił całą uwagę na mnie. Minęła długa chwila, podczas której wymienialiśmy gniewne spojrzenia.

– Co mam z tobą zrobić?

Nie odzywałam się. Moja twarz mogłaby tego nie wytrzymać.

– Jesteś kryminalistką, która zadaje się z demonicami. Dodatkowo publicznie wrobiłaś chasseura w napaść. – Skrzywił się, patrząc na mnie z odrazą. Nieskutecznie próbowałam zignorować narastające poczucie wstydu. To był wypadek. Nie wrobiłam go celowo. Poza tym... jeśli

publiczność zinterpretowała jego zachowanie w ten sposób, to tylko pomogła mi uniknąć stosu.

Nigdy nie twierdziłam, że jestem honorowa.

– Reputacja kapitana Diggory’ego będzie zrujnowana – ciągnął arcybiskup. – Będę zmuszony zwolnić go ze służby, ażeby nikt nie kwestionował nieskazitelnosci chasseurów. Ani mojej. – Paliło mnie jego spojrzenie. Zrobiłam skruszoną minę, żeby znowu nie zaswędziała go dłoń. Udobruchany tym, zaczął przechadzać się po pomieszczeniu. – Co mam z tobą zrobić? Co mam zrobić?

Chociaż mój widok ewidentnie był dla niego odpychający, co chwilę mierzył mnie stalowym spojrzeniem. Ciągnęło go jak ćmę do ognia. Wpatrywał się w moją twarz, jakby czegoś w niej szukał, zatrzymywał się na dłużej na moich oczach, nosie, ustach. Gardle.

Ku mojej rozpaczycy zdałam sobie sprawę, że podczas szarpaniny z chasseurem moja wstążka na szyi się poluzowała. Szybko ją poprawiłam. Arcybiskup zacisnął usta i wciąż na mnie patrzył.

Z całej siły powstrzymywałam się przed przewracaniem oczami, widząc jego absurdalną wewnętrzną walkę. Nie trafię dzisiaj do więzienia ani na stos. Z jakiegoś powodu arcybiskup i jego pupilek uznali, że nie jestem czarownicą. Z całą pewnością nie będę kwestionować tego niedopatrzenia.

Pozostawało pytanie... czego chciał arcybiskup? Z całą pewnością coś mu chodziło po głowie. Z niczym nie można było pomylić głodu w jego spojrzeniu, a im szybciej to rozgryzę, tym prędzej będę mogła wykorzystać na swoją korzyść. Dopiero po kilku sekundach dotarło do mnie, że powrócił do swojego monologu:

– ...dzięki twoim sztuczkom. – Odwrócił się na pięcie, żeby stanąć naprzeciw mnie z triumfującym spojrzeniem. – Być może uda nam się osiągnąć porozumienie korzystne dla obu stron.

Zamilkł i patrzył na nas wyczekująco.

– Słucham – wymamrotałam. Chasseur potaknął sztywno.

– Doskonale. To całkiem proste: chodzi o małżeństwo.

Gapiałam się na niego z otwartymi ustami.

Roześmiał się bez wesołości.

– Jako twoja żona, ta okropna kreatura będzie do ciebie należeć, Reid. Będziesz miał wszelkie prawa do niej, będziesz mógł ją dyscyplinować, zwłaszcza po tym, jak zdyskredytowała cię wczoraj w nocy. Tego się od

ciebie oczekuje. To konieczność. W zapomnienie pójdzie popełnione przestępstwo, nikt cię nie potępi. Pozostaniesz chasseur.

Roześmiałam się wymuszenie.

– Za nikogo nie wyjdę.

Arcybiskup nawet się nie uśmiechnął.

– Wyjdiesz, jeśli chcesz uniknąć publicznej chłosty i więzienia. Szef policji jest moim drogim przyjacielem.

Patrzyłam na niego w osłupieniu.

– Nie możecie mnie szantażować...

Machnął ręką, jakby opędzał się od upierdliwej muchy.

– To kara za kradzież. Radziłbym ci dokładnie to przemyśleć, dziecko.

Zwróciłam się do chasseura, starając się nie tracić głowy, chociaż panika ścisnęła mnie za gardło.

– Na pewno tego nie chcesz. Proszę, powiedz mu, żeby znalazł inny sposób.

– Nie ma innego sposobu – wtrącił arcybiskup.

Chasseur stał bez ruchu. Chyba nawet przestał oddychać.

– Jesteś dla mnie jak syn, Reid. – Arcybiskup uniósł rękę i położył ją na ramieniu chasseura. Wyglądało to, jakby mysz pocieszała słonia. Jakaś część mojego umysłu uznała to za komiczne. – Nie odrzucaj swojego dotychczasowego życia, obiecującej kariery, przysięgi złożonej Bogu, z litości nad tą poganką. Kiedy zostanie twoją żoną, możesz zamknąć ją w komórce i zapomnieć o niej. Będziesz miał prawo zrobić z nią, co tylko ci się podoba. – Posłał mu znaczące spojrzenie. – Ta umowa rozwiąże również... inne kwestie.

Krew wreszcie powróciła na policzki chasseura... wręcz zalała jego twarz. Zacisnął zęby.

– Ekscelencjo...

Ale ja go nie słyszałam. Usta wypełniły mi się śliną, świat rozmazał się przed moimi oczami. Małżeństwo. Z chasseur. Musi być jakiś inny sposób, jakikolwiek inny... Zawartość żołądka podeszła mi do gardła i puściłam spektakularnego pawia pod nogi arcybiskupa. Odskoczył ode mnie z krzykiem i odrazą.

– Jak śmiałaś! – Uniósł pięść, żeby ponownie mnie uderzyć, ale drogę zastąpił mu chasseur. Zatrzymał rękę przełożonego.

– *Jeśli* ta kobieta ma być moją żoną – powiedział, głośno przełykając ślinę – nikt jej już nie tknie.

Arcybiskup obnażył zęby.

– A więc się zgadzasz?

Chasseur puścił jego rękę i popatrzył na mnie, co sprawiło, że poczerwieniał jeszcze bardziej.

– Tylko wtedy, gdy i ona się zgodzi.

Jego słowa przypomniały mi o Coco.

Uważaj na siebie.

Ty również.

Coco powiedziała, że muszę znaleźć sobie ochronę. Zadałam głowę, żeby popatrzeć na miedzianowłosego chasseura i arcybiskupa masującego nadgarstek. Być może to ochrona znalazła mnie.

Andre, Grue, policja, ona... Nikt mnie nie skrzywdzi, jeśli będę miała chasseura za męża. Sami chasseurzy nie będą stanowić dla mnie zagrożenia, jeśli zdołam utrzymać pozory. Jeśli powstrzymam się od czarowania w ich pobliżu. Nigdy się nie dowiedzą, że jestem czarownicą. Najciemniej pod latarnią.

Ale... będę też miała męża.

Nie chciałam męża. Nie chciałam być przykuta do nikogo przez małżeństwo, zwłaszcza do kogoś tak sztywnego i pyszałkowego jak ten chasseur. Ale jeśli ślub był jedyną alternatywą dla spędzenia życia w więzieniu – niech będzie. Z pewnością był to jedyny sposób na wyjście z tego teatru bez kajdanek.

W końcu nadal miałam Pierścień Angeliki, więc zawsze będę mogła uciec już po podpisaniu aktu małżeństwa.

Dobrze. Wyprostowałam się, uniosłam głowę.

– Zrobię to.

CEREMONIA

Reid

Przed teatrem wrzało, ale do mnie prawie nie docierały krzyki zgromadzonych. W uszach szumiała mi krew. Tłumiła wszelkie inne dźwięki: żądanie sprawiedliwości i apelowanie do wyrozumiałości arcybiskupa.

Ale nie jej kroki. Słyszałem każdy kolejny.

Lekkie. Lżejsze od moich. Ale bardziej chwiejne. Nierówne.

Skupiłem się na nich, aż szum w uszach stopniowo ucichł. Usłyszałem dyrektora teatru oraz policjantów próbujących uspokoić tłum.

Powstrzymałem chęć wyjęcia balisardy, gdy arcybiskup otworzył drzwi. Nie mogłem się ruszyć, moja skóra była zarazem rozpalona i zimna, zbyt ciasna. Dużo za ciasna. Swędziała i piekła, gdy padły na nas spojrzenia ludzi stojących na ulicy. Mała, ciepła dłoń spoczęła na mojej ręce.

Stwardniała skóra. Szczupłe palce – dwa obandażowane. Zerknąłem w dół. Złamane.

Nie pozwoliłem sobie podążyć wzrokiem w górę tej ręki. Bo ręka prowadziła do ramienia, ramię do jej twarzy. Wiedziałem, co tam znajdę. Podbite oczy i świeżą ranę na policzku. I bliznę nad brwią. I kolejną na gardle. Widać ją było poniżej czarnej wstążki, która miała ją maskować.

Przed oczami stanęła mi twarz Celii. Czysta i nieskalana.

O Boże. Celio.

Arcybiskup wysunął się do przodu i tłum natychmiast ucichł. Jego Ekscelencja zmarszczył brwi i wypchnął mnie przed siebie. Kobieta – ta

poganka – nie puściła mojej ręki. A ja nadal na nią nie patrzyłem.

– Bracia! – Głos arcybiskupa przyciągnął uwagę wszystkich. Ludzie odwrócili się w naszą stronę, a ona aż się we mnie wtuliła. Wtedy na nią spojrzałem, marszcząc brwi. Miała rozszerzone źrenice. Bała się.

Odwróciłem się.

Nie możesz dać mi swojego serca, Reid. Nie mogę mieć tego na sumieniu.

Celio, proszę...

Te potwory, które zamordowały Pip, nadal tutaj są. Należy je ukarać. Nie będę odciągała cię od misji. Jeśli musisz komuś oddać serce, oddaj je swojemu bractwu. Proszę, proszę, zapomnij o mnie.

Nigdy o tobie nie zapomnę.

Poczułem taką rozpacz, że ugięły się pode mną kolana. Ona nigdy mi nie wybaczy.

– Wasza troska o tę kobietę została zauważona. Bóg to docenia. – Arcybiskup rozłożył szeroko ręce jak do modlitwy. – Ale nie dajcie się nabrać. Po tym, jak wczoraj w nocy próbowała obrabować arystokratę, jednego z was, miała czelność uciec od swojego męża, gdy rano próbował wymierzyć jej dyscyplinę. Nie żałujcie jej, przyjaciele. *Módlcie się za nią.*

Dziewczyna stojąca w pierwszym rzędzie patrzyła na arcybiskupa, nie kryjąc obrzydzenia. Była szczupła. Miała wyblakłe włosy. Haczykowany nos. Spiałem się, rozpoznając w niej krzykaczkę zza kulis.

Ty obrzydliwa świnio!

Chyba wyczuła moje spojrzenie, bo zerknęła na mnie i zmrużyła oczy. Wpatrywałem się w nią, próbując zapomnieć wyszeptane przez nią słowa potępienia. *Miejmy nadzieję, że wsadzą go do więzienia. Kto wie, co mogło się stać?*

Przełknąłem ślinę i odwróciłem wzrok. Oczywiście tak właśnie to wyglądało. Ta mała poganka znała różne sztuczki, a ja dałem się nabrać jak dziecko. Wpadłem prosto w jej pułapkę. Przełknąłem siebie, miałem ochotę wyszarpnąć rękę z jej objęć. Ale to nie uszłoby mi na sucho. Zbyt wiele osób na nas patrzyło, arcybiskup zresztą wyraził się jasno.

– Musimy wyspowiadać się z kłamstwa, gdy tylko wrócimy do domu – powiedział, marszcząc brwi. – Ludzie powinni uwierzyć, że już jesteście małżeństwem. – Energicznie odwrócił się w jej stronę. – Czy mam rację, zakładając, że twoja dusza nie jest wolna od grzechu pierworodnego? – Kiedy nic nie odpowiedziała, zrobił groźną minę. – Tak sądziłem. Natychmiast zaradzimy obu problemom i od razu pojedziemy nad Doleur,

żeby ją ochrzcić. Musisz się zachowywać, jakbyś był jej mężem, dopóki nie sformalizujemy małżeństwa, Reid. Przełóż jej ten pierścionek z prawej ręki na lewą. Idź obok niej. Możesz przestać udawać w chwili, gdy tłum się rozejdzie.

Poganka przekręciła pierścień na palcu. Przeszępowwała z nogi na nogę. Uniosła rękę, by odgarnąć z twarzy niesforny kosmyk. Resztę włosów związała w niechlujny kok na karku, dziki i nieokiełznany. Jak ona sama. Nienawidziłem go.

– Wzywam was, byście wyciągnęli lekcję z zachowania tej kobiety. – Arcybiskup mówił coraz głośniej. – Wyciągnijcie wnioski z jej bezceństwa! Żony, bądźcie *posłuszne* mężom. *Walczcie* ze swoją grzeszną naturą. Tylko wtedy będziecie mogli naprawdę zjednoczyć się z Bogiem!

Kilka osób potaknęło, mrużąc pod nosem z aprobatą.

To prawda. Zawsze tak twierdziłem.

Cały żeński ród zachowuje się ostatnio jak czarownice.

Jedyne, czego im wszystkim potrzeba, to drewno: pal lub stos.

Dziewczyna z wyblakłymi włosami zza kulis patrzyła takim wzrokiem, jakby chciała rzucić się z pięściami na arcybiskupa. Odsłoniła zęby, zacisnęła pięści, a potem się odwróciła.

Poganka obok mnie spięła się, boleśnie ścisnęła mnie za rękę. Zerknąłem na nią ze złością, ale nie puściła. Wtedy to poczułem – delikatny, subtelny, niemal niewyczuwalny zapach. Był tutaj, unosił się w powietrzu. Magia.

Arcybiskup jęknął.

Odwróciłem się w chwili, gdy zgiął się wpół i chwycił za brzuch.

– Ekscelencjo, co się...

Aż mnie zatkało, gdy duchowny puścił szokująco głośne wiatry. Otworzył szeroko oczy, jego policzki zrobiły się czerwone. Ludzie zaczęli szemrać. Byli wstrząśnięci. Zdegustowani. Błyskawicznie się wyprostował, wygładził szaty, ale już po chwili znowu zgiął się wpół, gdy gazy wstrząsnęły całym jego ciałem. Niepewnie położyłem dłoń na jego plecach.

– Ekscelencjo...

– Daj mi spokój – warknął.

Szybko się odsunąłem i popatrzyłem z wyrzutem na pogankę, która aż trzęsała się od tłumionego śmiechu.

– Przestań.

– Nie mogę, nawet jakbym chciała. – Trzęsała się, trzymając za bok, aż spomiędzy jej ust wydobyło się głośne prychnięcie. Patrzyłem na nią

z coraz większym niesmakiem i pochyliłem się, by powąchać, czym pachnie. Cynamonem. Nie magią. Szybko się odsunąłem, a ona zaśmiała się jeszcze głośniej. – Dla czegoś takiego naprawdę warto zostać twoją żoną, Chass. Ta chwila na zawsze pozostanie w mojej pamięci.

Arcybiskup nalegał, żebym wraz z poganką udał się nad Doleur pieszo. On sam miał tam dotrzeć swoim powozem.

Gdy tylko zniknął za zakrętem, zaczęła z niego drwić, kopiąc kamień:

– Ten facet mógłby zamienić swoją głowę z dupą i nosić na niej kapelusz. Zacisnąłem zęby. *Nie unosź się. Zachowaj spokój.*

– Nie będziesz go obrażała.

Wyszczrzyła zęby, przechyliła głowę i uważnie na mnie spojrzała. A potem – niewiarygodne – stanęła na palcach i pstryknęła mnie prosto w nos. Odskokczyłem, zszokowany. Zaczerwieniłem się. Uśmiechnęła się szerzej i ruszyła przed siebie.

– Będę robiła, co mi się podoba, Chass.

– Masz zostać moją żoną. – Dogoniłem ją, wyciągnąłem rękę, żeby ją złapać, ale zaraz się opamiętałem. Nie chciałem jej dotykać. – To oznacza, że będziesz mi posłuszna.

– Czyżby? – Uniosła brwi, wciąż uśmiechając się ironicznie. – Wydawało mi się, że to oznacza twój szacunek do mnie i protekcję. Czyż nie powinniśmy poddać się tradycyjnym rolom patriarchy?

Stawiałem krótsze kroki, żeby się z nią zrównać.

– Istotnie.

Złożyła dłonie.

– Doskonale. Przynajmniej będzie zabawnie. Mam wielu wrogów.

Nie mogłem się powstrzymać. Zerknąłem na ciemne siniaki pod jej oczami.

– Wyobrażam sobie.

– Nie robiłabym tego na twoim miejscu – mówiła swobodnie, lekko. Jakbyśmy rozmawiali o pogodzie. – Będziesz miał koszmary przez długi czas.

W gardło paliły mnie pytania, ale zmilczałem. Wydawało się, że dziewczyna nie ma nic przeciwko ciszy. Cały czas czujnie się rozglądała. Patrzyła na suknie i kapelusze leżące na witrynach sklepowych. Na morele i orzechy laskowe na wózkach handlarzy. Na brudne okna małego pubu,

uwalana sadzą twarze dzieci ganiających gołębie po ulicy. Jej twarz za każdym razem wyrażała inną emocję. Uznanie. Tęsknotę. Zachwył.

Po kilku minutach nie byłem w stanie dłużej tego znieść. Odchrząknąłem.

– Czy te siniaki zrobił ci któryś z nich?

– Czyli kto?

– Twój wróg.

– Och – sapnęła radośnie. – Tak. Właściwie było ich dwóch.

Dwóch? Patrzyłem na nią z niedowierzaniem. Próbowałem sobie wyobrazić, jak ta drobna istota bije się z dwoma facetami, a potem pomyślałem o pułapce, jaką na mnie zastawiła za sceną, przez co cała publiczność uwierzyła, że to ja na nią napadłem. Zrobiłem kwaśną minę. Zdecydowanie miała talent.

Ulice zrobiły się szersze, gdy dotarliśmy na peryferie East Endu. Doleur wkrótce załśniła przed nami w popołudniowym słońcu. Arcybiskup już czekał koło swojego powozu. Ku mojemu zaskoczeniu towarzyszył mu Jean Luc.

Oczywiście. Będzie świadkiem.

Dopiero teraz, gdy zobaczyłem przyjaciela, poczułem, że to wszystko dzieje się naprawdę. Miałem poślubić tę kobietę. Tę... *creature*. Tę poganekę, która biegła po dachach i okradała arystokratów, awanturowała się i ubierała jak mężczyzna, a do tego miała męskie imię.

Nie była Celią. Różniła się od niej tak, jak to tylko możliwe. Celia była delikatna i dobrze wychowana. Grzeczna. Ułożona. Miła. Nigdy by mnie nie zawstydziła, nigdy nie zrobiłaby z siebie takiego widowiska.

Ze złością patrzyłem na kobietę, która miała zostać moją żoną. Podarta sukienka, zakrwawiony płaszcz. Posiniaczona twarz i połamane palce. Blizna na gardle. Oraz złośliwy uśmieszek, który nie pozostawiał wątpliwości co do tego, skąd wzięło się każde z tych obrażeń.

Uniosła brew.

– Coś ci się spodobało?

Odwróciłem wzrok. Celia będzie zrozpaczona, kiedy dowie się, co zrobiłem. Zasłużyła na coś lepszego. Lepszego ode mnie.

– Chodźcie już. – Arcybiskup gestem wskazał pusty brzeg rzeki. Naszą jedyną widownię stanowiła zdechła ryba oraz stado gołębi, które się nią pożywiały. Przez gnijące mięso widać było szkielet, a pojedyncze oko wpatrywało się w bezchmurne listopadowe niebo. – Miejsmy to już za sobą.

Wedle nakazów naszego Pana należy ochrzcić poganekę. „Nie sprzęgajcie się z niewierzącymi do jednego jarzma”. Światło nie brata się z ciemnością.

Miałem nogi jak z ołowiu, każdy krok przez piasek i błoto kosztował mnie mnóstwo wysiłku. Jean Luc szedł tuż za mną. Czułem jego ironiczne spojrzenie na karku. Nie chciałem nawet sobie wyobrazić, co teraz o mnie – i o tym wszystkim – myślał.

Arcybiskup zawahał się, zanim wszedł do brudnej wody. Zerknął przez ramię na poganekę i po raz pierwszy dostrzegłem jego wahanie. Jakby nie miał pewności, czy ona też wejdzie. *Proszę, zmień zdanie, modliłem się. Proszę, zapomnij o tym szaleństwie i poślij ją do więzienia, gdzie jest jej miejsce.*

Wtedy jednak straciłbym swoją balisardę. Życie. Przysięgi. Cel istnienia.

Gdzieś w tyle głowy usłyszałem drwiący głos: *Gdyby chciał, mógłby cię ułaskawić. Nikt by nie kwestionował jego decyzji. Mógłbyś pozostać chasseur, nie żeniąc się z kryminalistką.*

Więc dlaczego tego nie zrobił?

Na samą myśl poczułem ogromne rozgoryczenie. Oczywiście, że nie mógłby mnie ułaskawić. Ludzie uważali, że ją napastowałem. Nieważne, że było inaczej. *Sądzi*li, że była nagabywana. Nawet gdyby arcybiskup wyjaśnił – nawet gdyby ona się przyznała – ludzie wciąż by szeptali. Wątpiliby. Kwestionowaliby prawość chasseurów. Co gorsza, mogliby kwestionować prawość samego arcybiskupa. I jego motywacje.

Poza tym już zabrnęliśmy w to kłamstwo. Ludzie uwierzyli, że jest moją żoną. Gdyby rozeszła się wieść, że jest inaczej, arcybiskup zostałby uznany za krętacza. Nie mogliśmy do tego dopuścić.

Czy mi się to podoba, czy nie, poganekę zostanie moją żoną.

Z impetem weszła do rzeki za arcybiskupem, jakby chciała przypieczętować ten fakt. Warknął na nią, ocierając z twarzy wodę, którą go opryskała.

– Ciekawy zwrot akcji. – Jean Luc patrzył na nią z rozbawieniem. Wyglądało na to, że dziewczyna sprzecza się o coś z arcybiskupem. Już mnie to nie dziwiło.

– Ona... mnie oszukała. – To wyznanie zabolowało.

Nie rozwinąłem myśli, więc odwrócił się i spojrzał na mnie. Zniknęła jego wesołość.

– Co z Celią?

– Celia wie, że się nie pobierzemy – wyrzuciłem, nienawidząc się za te słowa.

Nie powiedziałem mu, że mnie odrzuciła. Nie byłbym w stanie znieść jego kpin. A co gorsza współczucia. Po śmierci Filippy zapytał mnie tylko raz o moje zamiary wobec niej. Palił mnie wstyd. Skłamałem, że zbyt wiele dla mnie znaczy złożona przysięga. Powiedziałem też, że nigdy się nie ożenię.

No i proszę.

Zacisnął usta i patrzył na mnie uważnie.

– Mimo wszystko... przykro mi. – Zerknął na poganę, która machała arcybiskupowi przed nosem złamanym palcem. – Małżeństwo z taką kreaturą nie będzie łatwe.

– A czy małżeństwo kiedykolwiek jest łatwe?

– Może nie, ale to wydaje się szczególnie nie do przyjęcia. – Posłał mi pocieszający uśmiech. – Podejrzewam, że musi się przeprowadzić do Wieży?

Nie byłem w stanie odpowiedzieć uśmiechem.

– Tak.

– Szkoda – westchnął.

W milczeniu patrzyliśmy, jak zmienia się wyraz twarzy arcybiskupa. W końcu stracił cierpliwość i przyciągnął ją do siebie, chwyciwszy za kark. Wepchnął ją pod wodę i przytrzymał o sekundę zbyt długo.

Nie winiłem go. Aby oczyścić jej duszę, trzeba było więcej czasu niż w przypadku normalnego człowieka.

Dwie sekundy za długo.

Arcybiskup wyglądał, jakby walczył z samym sobą. Jego ciało drżało z wysiłku wkładanego w trzymanie jej pod wodą; miał oczy szaleńca. Chyba nie zamierzał...

Trzy sekundy za długo.

Wskoczyłem do wody. Jean Luc tuż za mną. Rzuciliśmy się na ratunek, ale panikowaliśmy na próżno. Arcybiskup puścił ją, gdy tylko do nich dotarliśmy, a ona wynurzyła się niczym zła, sycząca kocica. Z jej włosów spływały po twarzy kaskady wody. Wyciągnąłem rękę, żeby ją uspokoić, ale odepchnęła mnie. Cofnąłem się o krok, a ona odwróciła się na pięcie i rzuciła na arcybiskupa.

– *Fils de pute!*

Zanim zdołałem zareagować, natarła na niego. Zrobił przerażoną minę, stracił równowagę i wpadł do wody z szeroko rozłożonymi ramionami. Jean

Luc pospieszył mu na pomoc. Ja natomiast unieruchomiłem jej rękę. Chyba nawet tego nie zauważyła.

– *Connard! Salaud!* – Rzuciła się w moim uścisku, chlapiąc wodą. – Zabiję cię! Zerwę z ciebie te szaty i uduszę cię nimi, ty pokurczu, śmierdząca kupo gówna...

Gapiliśmy się na nią w osłupieniu – wielkie oczy, otwarte usta. Pierwszy doszedł do siebie arcybiskup. Jego twarz spąsowiała, a z ust wydobył się wściekły krzyk:

– Jak śmiesz tak do mnie mówić?! – Odskoczył od Jean Luca i zaczął wymachiwać jej palcem przed twarzą. Zrozumiałem jego błąd ułamek sekundy przed tym, jak ponownie zaatakowała. Chwyciłem mocniej, udało mi się ją odciągnąć, zanim zatopiła zęby w jego palcu.

Miałem poślubić dzikie zwierzę.

– Puść mnie. – Wbiła mi łokieć w brzuch.

– Nie – bardziej stęknęcie niż słowo. Ale nadal ją trzymałem.

Z jej ust wydobył się pełen frustracji dźwięk – coś pomiędzy warknięciem a krzykiem – a potem wreszcie znieruchomiła. Posłałem do nieba cichą modlitwę dziękczynną i wyciągnąłem ją na brzeg.

Za nami z wody wyszli arcybiskup i Jean Luc.

– Dziękuję, Reid. – Arcybiskup prychnął, poprawiając mokre szaty i krzyż na piersi. Gdy zwrócił się do piekielnej bestii, jego głos przesycony był pogardą: – Czy powinniśmy zakuć cię na czas ceremonii? A może założyć kaganiec?

– Próbowałeś mnie *zabić*.

Spojrzał na nią z wyższością.

– Uwierz mi, dziecko, że gdybym próbował cię zabić, już byłabyś martwa.

Jej oczy rozbłyły.

– I nawzajem.

Jean Luc stłumił śmiech.

Arcybiskup postąpił krok w naszą stronę, zmrużył oczy.

– Puść ją, Reid. Chciałbym mieć to już za sobą.

Ja również.

Ku mojemu zaskoczeniu i rozczarowaniu nie uciekła, gdy ją puściłem. Skrzyżowała tylko ręce na piersi i zaparła się stopami. Uparcie się w nas wpatrywała. Miała obrażoną minę. Rzuciła nam wyzwanie.

Trzymaliśmy się z dala od niej.

– No to się pospieszcie – zagderała.

Arcybiskup skłonił głowę.

– Podejdźcie do mnie oboje i złóżcie dłonie.

Popatrzyliśmy na siebie. Żadne z nas się nie ruszyło.

– No dalej. – Jean Luc popchnął mnie od tyłu, więc zrobiłem krok. Patrzyłem na nią, nie kryjąc wściekłości. Nie podeszła, zachowywała dystans. Czekała.

Po kilku długich sekundach przewróciła oczami i dołączyła do mnie. Kiedy wyciągnąłem ręce, patrzyła na nie tak, jakby były zarażone trędem.

Raz.

Zmusiłem się do oddychania. Wciągałem powietrze nosem. Wypuszczałem ustami.

Dwa.

Zmarszczyła brwi. Patrzyła na mnie z rozbawieniem, jakby zastanawiała się, czy mam nierówno pod sufitem.

Trzy.

Cztery.

Ujęła moje dłonie. Skrzywiła się, jakby coś ją zabolalo.

Pięć.

Sekundę za późno uświadomiłem sobie, że rzeczywiście poczuła ból. Natychmiast zmniejszyłem nacisk na jej połamane palce.

Sześć.

Arcybiskup odchrząknął.

– Zaczynamy. – Zwrócił się do mnie: – Czy ty, Reidzie Florinie Diggory, bierzesz tę kobietę za żonę, by żyć, jak Bóg nakazał, w świętym związku małżeńskim? Czy będziesz ją kochał, służył jej pociechą, otaczał szacunkiem i pozostaniesz z nią w zdrowiu i w chorobie oraz wyrzekniesz się wszystkich innych kobiet, oddając się jej aż do końca waszego życia?

Zogniskowałem wzrok na białej gołębiczy. Kręciło mi się w głowie. Wszyscy patrzyli na mnie, czekali, aż się odezwę, ale miałem ściśnięte gardło. Dusłem się.

Nie mogłem poślubić tej kobiety. Nie mogłem. Gdy to sobie uświadomiłem, poczułem, jak ta myśl mnie przenika, zatapia pazury w każdej cząstce mojego ciała. Musiał być jakiś inny sposób – jakikolwiek sposób...

Drobne, ciepłe palce zacisnęły się na moich. Zreflektowałem się i spojrzałem w przeszywające niebiesko-zielone oczy. Nie, teraz były

bardziej niebieskie niż zielone. Stalowe. Odbijały się w nich wody Doleur. Przełknęła ślinę i potaknęła niemal niezauważalnie.

I wtedy zrozumiałem, że ona też miała wątpliwości, wahała się, przeżywała żalobę za przyszłością, której nie doczeka. Zniknął prychający kot. Teraz przede mną stała tylko kobieta. I była mała. Przestraszona. A mimo to silna.

I prosiła mnie o to samo.

Nie wiedziałem, dlaczego to zrobiłem. Była złodziejką, kryminalistką i nic jej nie byłem winien. Zrujnowała mi życie, kiedy wciągnęła mnie na scenę. Jeśli powiem „tak”, z pewnością nadal będzie doprowadzać mnie do rozpacz. Ale odwzajemniłem jej uścisk. Moje usta wypowiedziały nieproszone jedno krótkie słowo:

– Tak.

Arcybiskup zwrócił się do niej. Nadal ścisnąłem jej dłonie, uważając na połamane palce.

– Jak się nazywasz? – zapytał szorstko. – Imię i nazwisko.

– Louise Margaux Larue.

Skrzywiłem się. *Larue*. To było powszechne nazwisko wśród kryminalistów z East Endu, ale zazwyczaj używane jako pseudonim. Dosłownie oznaczało *ulicę*.

– Larue? – Arcybiskup przyjrzał jej się podejrzliwie, wyrażając na głos moje wątpliwości: – Powinnaś wiedzieć, że jeśli twoje nazwisko okaże się fałszywe, małżeństwo z kapitanem Diggorym zostanie anulowane. Nie muszę ci chyba przypominać, jaki los cię wtedy czeka.

– Znam prawo.

– Dobrze. – Machnął ręką. – Czy ty, Louise Margaux Larue, bierzesz tego mężczyznę za męża, by żyć, jak Bóg nakazał, w świętym związku małżeńskim? Czy będziesz mu posłuszna, będziesz mu służyć, kochać i otaczać go szacunkiem i pozostaniesz z nim w zdrowiu i w chorobie oraz wyrzekniesz się wszystkich innych mężczyzn, oddając się jemu aż do końca waszego życia?

Widziałem, że miała ochotę prychnąć, ale powstrzymała się i tylko kopnęła kupkę piasku w stronę ptaków. Rozpierzchły się, robiąc zamieszanie. Poczułem, że ścisną mnie w gardle, gdy w powietrze wzbiła się biała gołębicą.

– Tak.

Arcybiskup ciągnął bez dalszej zwłoki:

– Ogłaszam was mężem i żoną w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. – Zamilkł, a ja, w oczekiwaniu na następne zdanie, poczułem, jak napina się każdy mięsień mojego ciała. Jakby czytając w myślach, posłał mi zjadliwe spojrzenie. Zaczerwieniłem się jeszcze bardziej. – Jak mówi Pan Bóg – złożył ręce i pochylił głowę – „lepiej jest dwom niż jednemu... Bo gdy upadną, jeden podniesie drugiego. Lecz samotnemu biada, gdy upadnie, a nie ma drugiego, który by go podniósł... A jeśli napadnie ich jeden, to dwóch przeciw niemu stanie; a powróż potrójny niełatwo się zerwie”. – Wyprostował się z ponurym uśmiechem. – Gotowe. Co Bóg połączył, człowiek niech nie rozdziela. Po powrocie podpiszemy akt małżeństwa i sprawa będzie załatwiona.

Ruszył w stronę powozu, lecz po chwili zatrzymał się i groźnie na mnie spojrzał.

– Oczywiście małżeństwo musi zostać skonsumowane, żeby było zgodne z prawem.

Cała się spięła, zacisnęła usta i spojrzała z determinacją na arcybiskupa. Zrobiło mi się gorąco. Goręcej niż wcześniej.

– Tak, ekscelencjo.

Potaknął zadowolony i wszedł do powozu. Jean Luc podążył za nim, puściwszy do mnie oko. Moje poniżenie nie mogłoby być większe.

– Dobrze. – Arcybiskup zatrzasnął drzwi. – Dopilnuj, by stało się to szybko. Później przyjdzie do twojego pokoju świadek, żeby potwierdzić.

Gdy zniknął za zakrętem, mój żołądek fiknął koziołka.

CZEŚĆ DRUGA



Petit a petit, l'oiseau fait son nid

Gałązka po gałązce, tak ptak buduje swoje gniazdo

– francuskie przysłowie

KONSUMPCJA MAŁŻEŃSTWA

Lou

Wznosił się przede mną gmach katedry Saint-Cécile d’Cesarine, ponure, widmowe iglice i wieże oraz łuki odporowe. Witraże o nasyconych kolorach lśniły w słońcu. Drzwi z palisandru – rzeźbione i wysadzone białym kamieniem – otworzyły się, gdy wstąpiliśmy na schody, wypuszczając kilku chasseurów.

– Zachowuj się – wymamrotał mój nowy mąż. Uśmiechnęłam się z wyższością, ale nic nie odpowiedziałam.

Jeden z chasseurów zastąpił mi drogę.

– Przepustka.

– Hm?

Mój mąż sztywno się skłonił.

– To moja żona, Louise.

Gapiłam się na niego w zdumieniu, że zdołał wydusić aż tyle słów przez zaciśnięte zęby. Jak zwykle mnie zignorował.

Chasseur przede mną zamrugał oczami. Ponownie zamrugał.

– Twoja... Twoja żona, kapitanie Diggory?

Niemal niedostrzegalnie skinął głową, a ja naprawdę zaczęłam się obawiać o jego biedne zęby. Na pewno w końcu się pokruszą, gdy będzie nimi tak zgrzytał.

– W istocie.

Chasseur zaryzykował spojrzenie w moim kierunku.

– To... niezwykle dziwne. Czy arcybiskup jest świadomy...?

– Spodziewa się nas.

– Naturalnie. – Chasseur odwrócił się do gońca, który stanął w drzwiach.

– Poinformuj arcybiskupa, że przyszedł kapitan Diggory i... jego żona. – Spojrzał ukradkowo w moją stronę, gdy chłopiec pobiegł nas zaanonsować. Puściłam do niego oko. Mój mąż prychnął niecierpliwie, chwycił mnie za rękę i pociągnął do środka.

Wyrwałam się.

– Nie musisz mnie szarpać.

– Mówiłem ci, że masz się zachowywać.

– No weź. *Mrugnęłam* tylko. Przecież się nie rozebrałam i nie odśpiewałam „Liddy Biuściastej”...

Za nami zrobiło się zamieszanie, więc jednocześnie się odwróciliśmy. Po schodach maszerowała grupka chasseurów, niosąc coś przypominającego ciało. Chociaż owinęli to w tkaninę, żeby nikogo nie gorszyć, nie dało się ukryć, że spod prześcieradła wystawała ręka.

Pomiędzy palcami wyrosły winorośle. Kora pokrywała skórę.

Przyjrzałam się – mimo że mój mąż próbował mnie odciągnąć – i poczułam znajomą słodycz unoszącą się nad ciałem. Ciekawe.

Jeden z chasseurów pospiesznie zasłonił dłoń.

– Znaleźliśmy go tuż za miastem, kapitanie.

Mój mąż bez słowa skinął głową w stronę kościoła, a chasseurzy pospiesznie weszli do środka.

Zapuściłam żurawia za nimi.

– O co chodzi?

– Nie twoja sprawa.

– Dokąd go zabierają?

– Powiedziałem, że to nie...

– Dość. – W korytarzu pojawił się arcybiskup, z niesmakiem patrząc na błoto i wodę zbierającą się pod moimi stopami. Sam przebrał się już oczywiście w świeże szaty i zmył brud z twarzy. Z trudem oparłam się pokusie, by zawirować w mojej podartej sukni, nie zaczęłam też nawijać na palec swoich zmatowionych włosów. Nie przejmowałam się tym, jak wyglądam. Arcybiskup mógł spadać na drzewo. – Akt małżeństwa czeka w moim gabinecie. Skąd mamy sprowadzić twój dobytek?

Wycisnęłam wodę z włosów, udając brak zainteresowania.

– Nie mam żadnego.

– Nie... masz żadnego – powtórzył powoli, patrząc na mnie z dezaprobatą.

– Właśnie to powiedziałam. No chyba że chcesz ze swoimi kumplami przetrząsnąć strych Soleil et Lune. Od lat pożyczam stamtąd kostiumy.

Spojrzał na mnie ze złością.

– Niczego innego się po tobie nie spodziewałem. Spróbujemy jednakże znaleźć dla ciebie odpowiedniejszą garderobę. Nie zamierzam ośmieszać Reida, każąc jego żonie chodzić w stroju poganki, mimo że przecież nią jest.

– Jak śmiesz? – Z udawanym oburzeniem chwyciłam się za dekolt mojej poszarpanej sukni. – Jestem teraz bogobojną chrześcijanką...

Mąż odciągnął mnie, zanim zdołałam dokończyć zdanie.

Przysięgam, że słyszałam, jak pękł jeden z jego zębów.

Po pospiesznym podpisaniu dokumentu w gabinecie mąż poprowadził mnie wąskim, zakurzonym korytarzem, wyraźnie próbując uniknąć zatłoczonego holu. Broń Boże, żeby ktoś zobaczył jego nowo poślubioną żonę. Zapewne po Wieży już krążyły plotki o skandalu.

Moją uwagę przyciągnęła spiralna klatka schodowa schowana w tyle korytarza. W przeciwieństwie do archaicznych schodów z palisandru rozrzuconych po katedrze była zrobiona z metalu i najwyraźniej dobudowana później. Było tam coś jeszcze... w otaczającym ją powietrzu... Szarpnęłam go za rękę i ukradkiem westchnęłam.

– Dokąd prowadzą te schody?

Odwrócił się, podążył za moim spojrzeniem i tylko pokręcił głową.

– Nigdzie. Nic ci do tego. Nie masz wstępu nigdzie poza częścią mieszkalną. Tylko upoważniony personel może wchodzić na wyższe piętra.

Aha. Możesz mnie do niego zaliczyć.

Ale o nic więcej nie pytałam i pozwoliłam się zaprowadzić kilka pięter w górę aż pod zwykłe, drewniane drzwi. Pchnął je, nie patrząc na mnie. Zawahałam się i spojrzałam na słowa wypisane nad futryną:

Nie pozwolisz przeżyć żadnej czarownicy.

Zadrżałam. A więc to była okryta złą sławą Wieża Chasseurów. Chociaż sam korytarz wyglądał zupełnie normalnie, dało się tu wyczuć pewną surowość. Brakowało ciepła, życzliwości – atmosfera była tak gęsta i sztywna jak mieszkający tu mężczyźni.

Sekundę później mój mąż wyjrzał przez drzwi. Zerkał to na przerażający napis, to na mnie.

– O co chodzi?

– O nic. – Pospieszyłam za nim, ignorując zimny dreszcz wędrujący w dół moich pleców, gdy przekraczałam próg. Nie było odwrotu. Znalazłam się w trzewiach bestii.

A wkrótce znajdę się *w łóżku* bestii.

Już to widzę.

Poprowadził mnie w głąb korytarza, uważając, żeby mnie nie dotknąć.

– Tędy.

Wskazał jedne z wielu drzwi, a ja wyminęłam go i weszłam do pokoju. Po czym stanęłam jak wryta.

Był wielkości pudełka zapalek. Najprostsze, żałośnie ponure pudełko zapalek pozbawione charakteru. Ściany były białe, drewniana podłoga ciemna. Stało tam tylko biurko i łóżko. Co gorsza, nie miał żadnych osobistych przedmiotów. Ozdóbek. Książek. Brakowało nawet kosza na brudną bieliznę. Kiedy zauważyłam wąskie okienko – zbyt wysoko pod sufitem, by zobaczyć zachód słońca – prawie się załamalam.

Mój mąż musiał być najbardziej pozbawioną wyrazu osobą na świecie.

Drzwi się za mną zamknęły. Zabrzmiało to jak wyrok – jakby zatrzasnęły się drzwi celi. Ujrzałam go kątem oka, odwróciłam się, ale on tylko powoli uniósł dłonie, jakby próbował uspokoić wściekłego kota.

– Tylko zdejmuję płaszcz. – Wysłobodził się z wilgotnego okrycia i rozwiesił je na biurku, po czym zaczął odpinać bandolier.

– Możesz na tym poprzestać – powiedziałam. – Żadnego rozbierania.

Zacisnął szczękę.

– Nie zamierzam brać cię siłą. – Zmarszczył nos z niesmakiem. – Louise.

– Lou. – Wzdrygnął się, słysząc to imię. – Czy moje imię cię obraża?

– Wszystko, co z tobą związane, mnie obraża. – Odstawił krzesło od biurka i usiadł, głośno wzdychając. – Jesteś kryminalistką.

– Nie ma potrzeby, byś zachowywał się jak niewiniątko, Chass. Znaleźliśmy się w tej sytuacji przez *ciebie*, nie przeze mnie.

– To twoja wina – warknął.

Wzruszając ramionami, usiadłam na nieskazitelnie czystym łóżku. Aż podskoczył, gdy moja mokra suknia zbrukała narzutę.

– Powinieneś mnie puścić tam w teatrze.

– Nie wiedziałem, że zamierzasz... że zamierzasz mnie *wrobić*...

– Jestem kryminalistką – powiedziałam, nie próbując go nawet poprawiać. Teraz to już nie miało znaczenia. – Zachowałam się jak przestępczyni. Powinieneś mieć się na baczności.

Ze złością wskazał moją posiniaczoną twarz i połamane palce.

– I jak to twoje przestępcze życie cię potraktowało?

– Żyję, co nie?

– Naprawdę? – Uniósł miedzianą brew. – A wyglądasz, jakby ktoś cię prawie zabił.

Beztrąsko machnąłem ręką.

– Uroki tej pracy – odparłem ironicznie.

– Koniec z tym.

– Słucham?

Zalśniły mu oczy.

– Teraz jesteś moją żoną, czy nam się to podoba, czy nie. Żaden mężczyzna nie może cię tknąć.

Po tych słowach między nami pojawiło się napięcie.

Przechyliłam głowę i podeszłam do niego z uśmiechem. Patrzył na mnie ze złością, ale gdy się nad nim pochyliłam, zaczął szybciej oddychać. Zerknął na moje usta. Nawet siedząc, był prawie wyższy ode mnie.

– Dobrze. – Zacisnęłam palce na jednym z noży przy jego pasie. Zanim zdążył zareagować, przytknęłam mu go do gardła i wbiłam czubek w skórę, by upuścić trochę krwi. Zacisnął dłoń na moim nadgarstku, niemal go miażdżąc, ale na próżno. Stałam jeszcze bliżej niego. Nasze usta dzieliła szerokość włosa. – Ale powinieneś wiedzieć – wysapałam – że jeśli jakiś mężczyzna dotknie mnie w jakikolwiek sposób bez mojej zgody, to rozplątam go nożem. – Zrobiłam pauzę dla większego efektu, przesuwając nóż od jego gardła do pępka i niżej. Głośno przełknął. – Nawet jeśli ten mężczyzna jest moim mężem.

– Musimy skonsumować małżeństwo. – Mówił cicho, surowo, ze złością. – Nie możemy sobie pozwolić na jego unieważnienie.

Odepchnęłam go, podciągnęłam rękaw sukni, by pokazać mu skórę przedramienia. Nie spuszczać z niego oczu, przytknęłam do ręki czubek noża i zrobiłam nacięcie. Chciał mnie powstrzymać, ale było za późno. Pojawiła się krew. Zdjęłam koc z jego łóżka i pozwoliłam krwi kapać na prześcieradło.

– Proszę. – Odwróciłam się i skierowałam do łazienki, nie przejmując się jego zszokowaną miną. – Małżeństwo skonsumowane.

Rozkoszowałam się bólem ręki. Był taki rzeczywisty, w przeciwieństwie do wszystkiego, co wydarzyło się tego paskudnego dnia. Powoli się umyłam,

po czym opatrzyłam ranę szmatką wyjętą z szafki w kącie.

Mężatka.

Gdyby ktoś mi powiedział rano, że przed zachodem słońca zostanę czyjąś żoną, tylko bym się roześmiała. Roześmiała i prawdopodobnie napluła mi w twarz.

Chasseur zapukał do drzwi.

– Wszystko w porządku?

– Daj mi spokój, na Boga.

Drzwi się uchyliły.

– Jesteś ubrana?

– Nie – skłamałam.

– Wchodzę. – Najpierw pojawiła się jego głowa, zmrużył oczy na widok krwi. – Czy to było konieczne?

– Jestem niezwykle skrupulatna.

Odwinął opatrunek, żeby przyjrzeć się ranie, zmuszając mnie do spojrzenia prosto na jego klatkę piersiową. Jeszcze się nie przebrał, koszulę wciąż miał mokrą. Przyłgnęła do jego piersi w szczególnie rozpraszający sposób. Zmusiłam się do przeniesienia spojrzenia na wannę, ale cały czas wracałam do niego myślami. Naprawdę był za wysoki. Nienormalnie wysoki. Za duży na tak ciasne pomieszczenie. Zastanawiałam się, czy to jakaś choroba. Znowu zerknęłam na jego pierś. Chyba tak.

– Pomyślał, że cię zamordowałem. – Założył z powrotem opatrunek i otworzył szafkę, z której wyjął kolejną szmatkę do przetarcia podłogi i umywalki. Skończyłam bandażowanie ręki i pomogłam mu w sprzątaniu.

– Co zrobimy z dowodami? – Wytarłam zakrwawione ręce o spódnicę.

– Spalimy je. Na dole jest piec.

Rozbłyły mi oczy.

– Świetnie! Kiedyś podpaliłam magazyn. Jedna zapałka i cała buda poszła z dymem.

Patrzył na mnie z przerażeniem.

– Podpaliłaś budynek?

Ci ludzie chyba cierpieli na niedosłuch.

– Tak przed chwilą powiedziałam, co nie?

Potrząsał głową i wykręcił ręcznik.

– Twoja sukienka – powiedział, nie patrząc na mnie.

Przyjrzałam się jej.

– Co z nią?

– Jest poplamiona krwią. Też trzeba ją spalić.

– Dobrze. – Prychnęłam i przewróciłam oczami. – Ale nie mam innych ubrań.

– To twój problem. Daj mi ją.

Popatrzyłam na niego spode łba. Odpowiedział takim samym spojrzeniem.

– Nie mam innych ubrań – powtórzyłam powoli. Niedośłuch na sto procent.

– Powinnaś o tym pomyśleć, zanim rozciąłaś sobie rękę – nie odpuszczał. Minęła kolejna sekunda.

– W porządku. – Z gardła wydobył mi się dziki śmiech. – Nie ma sprawy!
– Ja też mogę zagrać w tę grę. Próbowałam zdjąć suknię przez głowę, ale nie pozwoliły mi na to palce – wciąż sztywne i obolałe. Mokry materiał przylepił się do mojej szyi, niemal się udusiłam i o mało nie połamałam reszty palców, desperacko próbując się uwolnić.

Poczułam, że dotykają mnie czyjeś ręce. Instynktownie odskoczyłam, a sukienka rozdarła się tak łatwo, jak w teatrze.

Rzuciłam mu nią w twarz.

Nie byłam naga. Moje intymne miejsca zakrywała miękka, elastyczna bielizna, ale to wszystko. Kiedy uwolnił się od mojej sukienki, twarz mu płonęła. Szybko odwrócił wzrok.

– Tam masz koszulę. – Wskazał na szafkę, po czym zerknął na moją ranę. – Powiem służącej, żeby przyniosła ci koszulę nocną. Nie pokazuj jej swojej ręki.

Ponownie przewróciłam oczami i założyłam jedną z jego absurdalnie wielkich koszul. Sięgała mi poniżej kolan.

Kiedy upewniłam się, że poszedł, po cichu wyszłam z łazienki. Przez pojedyncze okno wpadało złote światło zachodzącego słońca. Przyciągnęłam do niego biurko, postawiłam na nim krzesło, po czym wspierałam się na tę konstrukcję. Oparłam się łokciami o parapet, wsparłam głowę na rękach i westchnęłam.

Słońce wciąż było piękne. Mimo wszystko nadal zachodziło. Zamknęłam oczy i pławiłam się w jego ciepłe.

Po niedługim czasie do pokoju weszła służąca, żeby sprawdzić poplamione krwią prześcieradła. Usatysfakcjonowana, bez słowa je zdjęła.

Poczułam ucisk w żołądku, gdy tak patrzyłam na jej sztywne plecy. Nie spojrzała na mnie.

– Masz koszulę nocną? – spytałam z nadzieją, nie mogąc dłużej znieść ciszy.

Dygnęła przykłądnie, ale wciąż unikała mojego wzroku.

– Rynek zacznie działać dopiero jutro rano, *madame*.

Wyszła, nie dodając ani słowa. Patrzyłam, jak odchodzi, i miałam złe przeczucia. Jeśli żywiłam nadzieję na zdobycie sojuszniczki w tej przeokropnej Wieży, to byłam zbyt optymistyczna. Nawet obsługa miała wyprane mózgi. Ale jeśli sądzili, że złamią mnie milczeniem lub izolacją, to powinni przygotować się na niespodziankę.

Schodząc z wieży z mebli, rozglądałam się po pokoju za czymś, czego mogłabym użyć przeciwko mojemu porywaczowi. Potrzebowałam czegoś do szantażu. Albo broni. Czegokolwiek. Wytężałam pamięć, żeby przypomnieć sobie sztuczki, które przez lata wypróbowywałam na Andre i Grue. Otworzyłam szufladę biurka i przejrzałam jej zawartość z całym szacunkiem należnym mężowi. Niewiele tam znalazłam: gęsie pióra, kałamarz, spłowiałą Biblię i... skórzany notes. Kiedy go wyjęłam i zaczęłam przeglądać, na podłogę wypadło kilka luźnych kartek. Listy. Schyliłam się i uśmiechnęłam od ucha do ucha.

Listy *miłosne*.

Skołowany miedzianowłosy chasseur obudził mnie w środku nocy. Leżałam skulona w wannie – przykryłam się tą jego śmieszoną koszulą – kiedy wpadł do łazienki i nadział moje żebro na swój palec.

– Co? – Ze złością zamachnęłam się na niego, mrużąc oczy od światła.

– Co ty robisz? – Odsunął się, ale nadal kuczał. Odstawił świecę na podłogę. – Kiedy nie znalazłem cię w łóżku, pomyślałem, że chyba...

– Odeszłam? – zapytałam inteligentnie. – Wciąż mam to w planach.

– To byłby błąd. – Jego twarz stężała.

– To pojęcie względne. – Ziewnęłam i ponownie zwinęłam się w kłębek.

– Dlaczego leżysz w wannie?

– Cóż, przecież nie będę spała w twoim łóżku, prawda? Wanna była najlepszą alternatywą.

Przez chwilę nic nie mówił.

– Przecież... Nie musisz tutaj spać – wymamrotał w końcu. – Idź do łóżka.

– Nie, dzięki. Nie żebym ci nie ufała, ale... w sumie to ci nie ufam.

– I sądzisz, że wanna zapewni ci ochronę?

– Mmm, nie. – Westchnęłam i zatrzepotałam rzęsami. Powieki miałam niezwykle ciężkie. – Mogę zamknąć drzwi... – Moment. Wtedy się rozbudziłam. – Zamknęłam drzwi. Jak tu wszedłeś?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, a ja przeklełam zdradliwe serce, które zaczęło mocniej bić. Uśmiech całkowicie odmienił jego twarz, jakby padł na nią promień słońca. Skrzywiłam się, założyłam ręce na piersi i wygodniej ułożyłam pod jego koszulą. Nie zamierzałam przywoływać takiego porównania, a teraz nie mogłam pozbyć się go z głowy. Jego miedziane włosy – rozczochrane, jakby też zasnął w miejscu do tego nieprzeznaczonym, wcale mi w tym nie pomagały.

– Gdzie byłeś? – warknęłam.

To sprawiło, że jego uśmiech zgasł.

– Zasnąłem w sanktuarium. Potrzebowałem... przestrzeni.

Zmarszczyłam brwi, cisza się przedłużała.

– Jak się tutaj dostałeś? – zapytałam po dłuższej chwili.

– Nie tylko ty potrafisz otwierać zamki.

– Serio? – Usiadłam, bo to mnie zaciekało. – Gdzie taki święty chasseur nauczył się podobnych sztuczek?

– Od arcybiskupa.

– No oczywiście. Ten dupek hipokryta.

W jednej chwili runęła wątpa nić porozumienia między nami. Wstał.

– Nigdy nie okazuj mu braku szacunku. Nie przy mnie. Jest najlepszym człowiekiem, jakiego znam. Najdzielniejszym. Kiedy miałem trzy lata, on...

Przewróciłam oczami. To weszło mi w nawyk, gdy byłam blisko niego.

– Słuchaj, Chass, jesteś moim mężem, więc uważam, że powinnam być z tobą szczerą. Dlatego oznajmiam ci, że z przyjemnością zamordowałabym arcybiskupa, gdybym tylko miała okazję.

– Zabiłby ciebie, zanim zdążyłabyś unieść rękę. – W jego oczach pojawił się błysk fanatyzmu, a ja uprzejmie uniosłam brew, okazując sceptycyzm.

– Mówię poważnie. Jest najznakomitszym wojownikiem w historii chasseurów. Dopadł więcej czarownic niż jakikolwiek inny żyjący człowiek. Jego umiejętności przeszły do legendy. On sam jest legendą...

– Jest stary.

– Nie doceniasz go.

– Och, widzę, że to twój ulubiony temat. – Ziewnęłam i odwróciłam się do niego tyłem, szukając wygodniejszego miejsca w wannie. – Słuchaj, było miło, ale już pora na moją drzemkę dla urody. Muszę jutro ładnie wyglądać.

– Jutro?

– Wracam do teatru – wymamrotałam, zamykając oczy. – Ten kawałek przedstawienia, który widziałam rano, wydawał się fascynujący.

Znowu zamilkł, tym razem na dłużej. Zerknęłam na niego przez ramię. Bawił się przez chwilę świeczką, po czym głęboko odetchnął.

– Teraz jesteś moją żoną, więc najlepiej będzie, jak zostaniesz w Wieży Chasseurów.

Zerwałam się, w jednej sekundzie minęła mi senność.

– Wcale tak nie uważam.

– Ludzie widzieli twoją twarz w teatrze. – Poczułam wielki niepokój. – Teraz wiedzą, że jesteś moją żoną. Będą obserwować każdy twój krok. Wszystko, co powiesz, odbije się na mnie i na chasseurach. Arcybiskup ci nie ufa. Sądzi, że powinnaś tu zostać, dopóki nie nauczysz się manier. – Spojrzał na mnie hardo. – Zgadzam się z nim.

– To fatalnie się składa. Sądziłam, że masz więcej oleju w głowie niż arcybiskup – odpyskowałam. – Nie można mnie zamknąć w tym *trou a merde*.

Gdybym nie była taka zła, roześmiałabym się na widok jego miny.

– Uważaj na to, co mówisz. – Zacisnął szczęki, wydymając nozdrza. – Jesteś moją żoną...

– Tak, już o tym wspominałeś. Twoją *żoną*. Nie twoim niewolnikiem ani twoją *własnością*. Podpisałam ten głupi dokument, żeby *uniknąć* więzienia...

– Nie możemy ci ufać! – przekrzyczał mnie. – Jesteś kryminalistką. Jesteś impulsywna. Broń Boże, żebyś *otworzyła* usta poza tym pokojem...

– Cholera! Ja pierdołę! Kur...

– Przestań! – Na jego szyję wystąpiły czerwone plamy, oddychał ciężko, chociaż starał się opanować. – Boże, kobieto! Jak możesz tak mówić? Wstydu nie masz?

– Nie zostanę tutaj – wysyczałam.

– Zrobisz, jak ci każę – zakończył dyskusję.

Już to widzę. Otworzyłam usta, żeby mu to zakomunikować, ale już wybiegł z łazienki, trzaskając za sobą drzwiami z taką siłą, że aż

zadzwońlam zębami.

PRZESŁUCHANIE

Reid

Obudziłem się przed swoją żoną. Zesztywniały. Obolały po niespokojnej nocy na podłodze. Chociaż próbowałem przemówić sobie do rozsądku, że przecież sama wybrała spanie w wannie, nie byłem w stanie wejść do łóżka. Nie, kiedy ona była ranna. Nie, kiedy mogła wstać w nocy i zmienić zdanie.

Nie. Zaproponowałem jej łóżko. Mogła w nim spać.

Pożałowałem swojej galanterii w chwili, gdy wyszedłem na plac ćwiczeń. W Wieży już zapewne plotkowano o mojej nowej sytuacji życiowej. Podchodził do mnie jeden za drugim, każdy miał błysk w oku. Każdy niecierpliwie czekał na swoją kolej. Każdy atakował mnie z nietypową zaciętością.

– Długa noc, co, kapitanie? – zakpił pierwszy partner sparingowy, uderzając mnie w ramię.

Następnemu udało się dosięgnąć moich żeber.

– Tak nie można. Trzy pokoje ode mnie spała kryminalistka – zadrwił.

– Nie wydaje mi się, żeby zbyt długo pospali – zaśmiał się Jean Luc.

– Potrafi podcinać gardła.

– Zadaje się z czarownicami.

– Tak nie można.

– Tak się nie godzi.

– Słyszałem, że jest dziwką.

Uderzyłem mieczem w głowę tego ostatniego, aż padł na ziemię. Rozłożyłem szeroko ręce i powoli obróciłem się wokół własnej osi. Wyzywałem każdego, kto miał czelność się ze mną skonfrontować. Z rany na moim czole płynęła krew.

– Czy ktoś jeszcze ma jakiś problem?

Jean Luc zawył ze śmiechu. On w szczególności czerpał przyjemność z mojego procesu, wyroku i egzekucji. Dopóki nie wszedł na arenę.

– Pokaż, co potrafisz, staruszk.

Byłem od niego starszy o trzy miesiące.

Ale nawet pobity, wyczerpany i stary, prędzej bym umarł, niż ustąpił Jean Lucowi.

Walka trwała tylko kilka minut. Chociaż był szybki i zwinny, to ja byłem silniejszy. Po jedyny celny uderzeniu zwinął się, trzymając za żebra. Otarłem krew z ust, po czym pomogłem mu wstać.

– Będziemy musieli przerwać wasze szczęście małżeńskie, żeby przesłuchać ją w sprawie Tremblaya. Czy ci się to podoba, czy nie, bracia mają rację. – Delikatnie dotknął siniaka pod okiem. – Ona naprawdę zadaje się z czarownicami. Arcybiskup uważa, że może nas do nich zaprowadzić.

Niemal przewróciłem oczami. Arcybiskup już o tym ze mną rozmawiał, ale nie opowiedziałem o tej rozmowie Jean Lucowi. Lubił mieć przewagę.

– Wiem.

Wciąż słychać było postukiwanie drewnianych mieczy, walczący zwierali się wokół nas. Nikt inny już nie podszedł, ale cały czas spoglądali na mnie ukradkiem. Ludzie, którzy kiedyś darzyli mnie szacunkiem. Ludzie, którzy dawniej się ze mną śmiali, żartowali i nazywali przyjacielem. W ciągu zaledwie kilku godzin zostałem odtrącony przez własną żonę, a moi bracia zaczęli traktować mnie z pogardą. Obie te rzeczy bolały bardziej, niż byłbym skłonny przyznać.

Podczas śniadania było jeszcze gorzej. Bracia nie pozwolili mi zjeść ani kęsa. Połowa chciała słuchać o mojej nocy poślubnej, pozostali ignorowali mnie ostentacyjnie.

Jak było?

Podobało ci się?

Nie mów arcybiskupowi, ale... raz tego spróbowałem. Miała na imię Babette.

Oczywiście tak naprawdę *nie chciałem* skonsumować małżeństwa. Nie z nią. Nie było sensu wyjaśniać tego braciom. Niczego bym nie zyskał.

Ruszyłem przez plac, odłożyłem miecz na stojak. Mężczyźni rozstępowali się przede mną falami. Ich szepty paliły mnie i chłostały. Ku mojej irytacji Jean Luc nie miał żadnych skrupułów. Oblazł mnie jak szarańcza.

– Muszę przyznać, że chciałbym ją znowu zobaczyć. – Postarał się, żeby jego miecz spoczął na moim. – Po przedstawieniu, które dała na plaży, wydaje mi się, że nasi bracia mogą liczyć na dobrą zabawę.

Wolałbym szarańczę.

– Nie jest taka – zaprzeczyłem cicho.

Jean Luc mówił dalej, jakby mnie nie usłyszał:

– Od dawna w Wieży nie było żadnej kobiety. Ostatnią była chyba żona kapitana Barre? Nie było na czym zawiesić oka. Twoja jest o wiele lepsza...

– Będę wdzięczny, jeśli przestaniesz gadać o mojej żonie. – Gdy zbliżaliśmy się do Wieży, szepty za naszymi plecami przybierały na sile. Kiedy tylko zniknęliśmy w środku, na podwórzu wybuchł niepokonany śmiech. Zazgrzytałem zębami, ale udawałem, że tego nie słyszę. – To, jaka jest, nie powinno cię interesować.

Uniósł brwi.

– A to co? Czyżbym wyczuwał zaborczość? Chyba tak szybko nie zapomniesz o miłości swojego życia?

Celia. Jej imię szarpnęło mną niczym cięcie ząbkowanym nożem. Wczoraj napisałem do niej ostatni list. Zasłużyła na to, by dowiedzieć się ode mnie o najnowszych wydarzeniach. A teraz między nami... koniec. Tym razem naprawdę. Próbowałem bezskutecznie przełknąć gulę w gardle.

Proszę, proszę, zapomnij o mnie.

Nigdy cię nie zapomnę.

Musisz.

List wyszedł z pocztą o świcie.

– Powiedziałaś jej już? – Jean Luc dotrzymywał mi kroku, był wysoki, więc nie było to dla niego problemem. – Poszedłeś wczoraj do niej? Na ostatnią randkę ze swoją panią?

Nie odpowiedziałem.

– Nie będzie zadowolona, co? To znaczy, *sam zdecydowałeś*, że się z nią nie ożenisz...

– Przestań, Jean.

– ...a mimo to poślubiłeś brudnego szczura, który postawił cię w kompromitującej sytuacji. Było tak, co nie? – Zabłyśły mu oczy, gdy złapał mnie za ramię. Napiąłem mięśnie, chciałem mu się wyrwać. Albo zdzielić go w nos. – Cały czas się zastanawiam... dlaczego arcybiskup zmusił cię do poślubienia kryminalistki, skoro niby jesteś niewinny?

Wyszarpnąłem rękę. Z trudem panowałem nad złością, chociaż pod powierzchnią aż wrzałem.

– *Jestem niewinny.*

Otarł zakrwawiony nos i wykrzywił usta w uśmiechu.

– Oczywiście.

– Tutaj jesteś! – Z holu dobiegł nas szorstki głos arcybiskupa. Jednocześnie unieśliśmy pięści do serca i się skłoniliśmy. Gdy się wyprostowaliśmy, wzrok arcybiskupa spoczął na mnie. – Jean Luc poinformował mnie, że dzisiaj przesłuchasz swoją żonę w sprawie tej czarownicy u Tremblaya.

Potaknąłem sztywno.

– Oczywiście masz mnie natychmiast powiadomić o postępach w sprawie. – Poklepał mnie po ramieniu, a ten swobodny, koleżeński gest niemal doprowadził Jean Luca do szału. – Musimy mieć na nią oko, kapitanie Diggory, ażeby nie pogrążyła samej siebie i ciebie przy okazji. Osobiście przeprowadziłbym przesłuchanie, ale...

Chociaż nie dokończył zdania, wiedziałem, co miał na myśli. *Ale nie mogę jej znieść.* Czuję to samo.

– Tak, ekscelencjo.

– Zajmij się tym. Będę przygotowywał się do wieczornej mszy w gabinecie.

Nie było jej w naszym pokoju.

Ani w łazience.

Ani w Wieży.

Ani w katedrze.

Miałem ochotę ją udusić.

Kazałem jej czekać. Przedstawiłem powody, racjonalne, łatwe do zrozumienia, a ona i tak nie posłuchała. I tak wyszła. Kto wie, jakich szalonych czynów się dopuści, i jak to się na mnie odbije. Na mężu, który nie umie kontrolować swojej żony.

Byłem wściekły. Usiadłem przy biurku i czekałem. W myślach powtarzałem każdy wers na temat cierpliwości, jaki znałem.

Upokórz się przed Panem i Jemu zaufaj! Nie oburzaj się na tego, komu się szczęści w drodze, na człowieka, co obmyśla zasadzki.

Oczywiście, że uciekła. Dlaczego miałyby zostać? Była przestępczynią. Przysięga nic dla niej nie znaczyła. Moja reputacja nic dla niej nie znaczyła. Wyprostowałem się na krześle. Przycisnąłem dłonie do oczu, bo poczułem, jak rośnie mi ciśnienie.

Zaprzestań gniewu i porzuć zapalczywość; nie oburzaj się: to wiedzie tylko ku złemu. Złoczyńcy bowiem wyginą, a ufający Panu posiadą ziemię.

Tylko ta jej twarz. Te siniaki.

Mam wielu wrogów.

Czy bycie moją żoną jest od tego gorsze? Tutaj bym o nią zadbał. Ochronił. Traktowałbym lepiej, niż na to zasłużyła. A mimo to... cichy, ponury głos w mojej głowie wyszeptał, że być może to dobrze, że odeszła. Być może to rozwiązało mój problem. Być może...

Nie. Złożyłem przysięgę przed tą kobietą. Przed Bogiem. Nie mogę jej złamać. Jeśli nie wróci za godzinę, zacznę jej szukać – jeśli trzeba, przewrócę całe miasto do góry nogami. Jeśli nie odzyskam honoru, nic mi nie pozostanie. Nie odbierze mi tego. Nie pozwolę jej.

– Patrzcie, jaka zabawna niespodzianka.

Podniosłem głowę, słysząc znajomy głos. Poczułem niespodziewaną ulgę. Ponieważ oto pojawiła się moja żona – szczerzyła się do mnie, stojąc w drzwiach. Założyła ręce na piersi, była ubrana w... w...

– Co ty masz na sobie? – Zerwałem się z krzesła. Starąłem się patrzeć tylko na jej twarz, nie na... nic innego.

Spojrzała na swoje uda – bardzo widoczne, bardzo kształtne – i wsparła dłoń na biodrze. Swobodnie. Jakby nie wiedziała, co robi.

– Wydaje mi się, że nazywają je spodniami. Musiałeś o nich słyszeć...

– Ale... – Pokręciłem głową, próbowałem się skupić, patrzeć gdziekolwiek, byle nie na jej *nogi*. – Zaraz, jaka niespodzianka?

Weszła do pokoju, a gdy mnie mijała, zostałem dźgnięty palcem.

– Jesteś teraz moim mężem, *mój drogi*. A jaką byłabym żoną, gdybym nie umiała mówić w twoim języku?

– Moim języku?

– Ciszą. Świetnie się nią posługujesz. – Rzuciła się na łóżko, uniosła nogę, żeby się jej przyjrzeć. Wbiłem wzrok w podłogę. – Szybko się uczyć.

Znam cię od paru dni, ale potrafię już zinterpretować różne rodzaje ciszy: bardzo rozzłoszczoną, powątpiewającą i szczerze zmartwioną, której oddawałeś się przez całe rano. Jestem poruszona.

Zaprzestań gniewu. Poruszyłem szczęką i spojrzałem na biurko.

– Gdzie byłaś?

– Poszłam po bułkę.

Porzuc zapalczywość. Chwyciłem oparcie krzesła. Za mocno. Opuszki palców zaciśnięte na drewnie zbieleły.

– Bułkę?

– Tak, bułkę. – Zrzuciła buty. Spadły na podłogę z hukiem. – Przespałam śniadanie. Zapewne dlatego, że ktoś zawracał mi dupę...

– Uważaj, co mówisz.

– ...bladym świtem. – Przeciągnęła się leniwie i oparła o poduszki. Od ściskania oparcia krzesła rozboleła mnie ręka. Wzięłem głęboki wdech i puściłem je. – Znalazłam monetę, którą arcybiskup przeznaczył na moją garderobę, więc postanowiłam sama zrobić zakupy.

Sukienki. Miała kupić sukienki, a nie taki wyuzdany strój. Spodnie w ogóle nie przypominały tych, które kiedyś miała na sobie. Te na pewno kazała dopasować. Opinały ją jak druga skóra.

Odchrząknąłem. Wciąż na nią nie patrzyłem.

– A strażnicy pozwolili ci...

– Wyjść? Oczywiście. Przecież nie jestem w więzieniu.

Powstrzymaj się od złości. Odwróciłem się powoli.

– Kazałem ci zostać w Wieży.

Zaryzykowałem spojrzenie na nią. Mój błąd. Zgięła nogi w kolanach i zarzuciła jedną na drugą, eksponując kształty dolnej części ciała. Głośno przełknąłem ślinę i zmusiłem się do spuszczenia wzroku.

Wiedziała, co robi, diablica.

– I sądziłeś, że cię posłucham? – Roześmiała się. Nie, zachichotała. – Szczerze mówiąc, Chass, wyjście stąd okazało się zbyt łatwe. Strażnicy przy drzwiach niemal błagali mnie, bym sobie poszła. Powinieneś zobaczyć ich twarze, gdy jednak wróciłam...

– Dlaczego wróciłaś? – zapytałem, zanim zdołałem się powstrzymać. Skuliłem się. Przecież mi nie zależało. Nie miało to żadnego znaczenia. Liczyło się tylko, że mnie nie posłuchała. A jeśli chodzi o moich braci... będę musiał z nimi porozmawiać. Wyjaśnić im zasady. Nikomu bardziej niż

mnie nie przeszkadzała obecność poganki, ale arcybiskup wydał jasne rozkazy.

Ma zostać. Na dobre i na złe. W zdrowiu i w chorobie.

– Już ci mówiłam, Chass – odezwała się cicho, zupełnie nie jak ona, więc zaryzykowałem kolejne spojrzenie. Położyła się na boku i popatrzyła mi prosto w oczy. Wsparła głowę na rękę. Drugą ułożyła na talii. – Mam wielu wrogów.

Nawet nie mrugnęła. Miała obojętną minę. Po raz pierwszy, odkąd ją poznałem, nie emanowały z niej żadne emocje. Była... wyzuta. Całkowicie wyzbyła się uczuć. Uniosła brew.

Nie musiałem o nic pytać i prosić o wyjaśnienie, bo już się domyśliłem. Głupotą byłoby wierzyć złodziejce, ale nie istniało lepsze wytłumaczenie dla jej powrotu. Nie chciałem tego przyznawać, ale była sprytna. Doskonale opanowała sztukę ucieczki. Zapewne nie można by jej znaleźć, gdyby postanowiła dobrze się ukryć.

Co oznaczało, że wróciła, ponieważ tak chciała. Ponieważ tego potrzebowała. Kimkolwiek byli jej wrogowie, musieli być niebezpieczni.

Zerwałem kontakt wzrokowy i przeniósłem spojrzenie na nogę łóżka.
Skup się.

– Nie posłuchałaś mnie – powtórzyłem. – Powiedziałem ci, że masz zostać w Wieży, a ty wyszłaś. Nadużyłaś mojego zaufania. – Przewróciła oczami, jej maska zaczęła się kruszyć. Próbowałem wzniecić mój wcześniejszy gniew, ale już się wypalił. – Strażnicy będą czujniejsi, zwłaszcza gdy arcybiskup usłyszy o twojej nieroztropności. Nie będzie zadowolony...

– To dodatkowa, niespodziewana korzyść...

– I zostaniesz zamknięta na niższym piętrze – skończyłem przez zaciśnięte zęby. – Tam, gdzie są dormitoria i kantyna.

Usiadła, jej niebiesko-zielone oczy zalśniły z ciekawości.

– A co znajduje się na najwyższych?

– Nie twój interes. – Podeszedłem do drzwi, nie patrząc na nią. – Przebierz się. Idziemy do sali rady, nie możesz tak paradować przed moimi braćmi.

Ani drgnęła.

– Twoimi braćmi? A czego oni ode mnie chcą?

Ta kobieta była chyba fizycznie niezdolna do robienia tego, co jej kazano.

– Chcą zadać ci kilka pytań o twoją przyjaciółkę.

– Nie jestem zainteresowana – odparła bez namysłu.

– To nie była prośba. Przebierz się. Natychmiast.

– Nie.

Spojrzałem na nią ze złością – zatrzymałem wzrok sekundę dłużej, czekając, aż się podda, czekając, aż wykaże się potulnością typową dla kobiet, ale po chwili przypomniałem sobie, z kim mam do czynienia.

Lou. Złodziejka o męskim imieniu. Odwróciłem się na pięcie.

– Dobrze. Chodźmy.

Nie czekałem, aż się ruszy. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co miałbym zrobić, gdyby mnie nie posłuchała. Przypomniało mi się, jak arcybiskup ją uderzył, aż gorąco krążące w moich żyłach tylko się wzmogło. To się nie powtórzy. Nawet jeśli będzie przeklinała, nawet gdy nie będzie mnie słuchać – nigdy nie podniosę na nią ręki.

Nigdy.

Co oznaczało, że gorączkowo pragnąłem, żeby za mną poszła.

Po kilku sekundach usłyszałem za plecami jej ciche kroki. Dzięki Bogu. Zwolniłem, żeby mogła mnie dogonić.

– Tędy – mruknąłem, prowadząc ją na dół. Uważałem, żeby jej nie dotknąć. – Do lochu.

– Lochu? – Zaniepokoiła się.

Prawie parsknąłem śmiechem. Prawie.

– Znajduje się tam sala rady.

Poprowadziłem ją kolejnym korytarzem. Potem znowu schodziliśmy po schodach, węższych i bardziej stromych. Im byliśmy niżej, tym wyraźniej było słychać głosy. Otworzyłem zwykłe, drewniane drzwi na końcu schodów i zachęciłem ją gestem do wejścia.

Tuzin moich braci kłócił się ze sobą wokół ogromnego okrągłego stołu na środku pomieszczenia. Leżały na nim kawałki pergaminu. Wycinki z gazet. Szkice węglem. Pod nimi rozpościerała się wielka mapa Belterry. Każdy łańcuch górski, każde bagno, las, jezioro zostały precyzyjnie oznaczone. Każde miasto i punkt orientacyjny.

– Proszę, proszę, oto nasza mała złodziejka. – Jean Luc zmierzył ją wzrokiem, nie kryjąc zainteresowania. Wszedł nawet zza stołu, by się jej przyjrzeć. – Wreszcie zaszczyciłeś nas jej obecnością.

Inni poszli w jego ślady, całkowicie mnie ignorując. Zacisnąłem usta, bo ogarnęła mnie irytacja. Nie wiedziałem, co bardziej mnie wkurza – moja żona w spodniach, moi gapiący się bracia czy to, że tak się tym przejmowałem.

– Spokojnie, Jean. – Zrobiłem krok do przodu, zasłaniając ją swoim ciałem. – Przyszła pomóc.

– Naprawdę? Wydawało mi się, że uliczne szczury cenią sobie lojalność.

– Bo tak jest – odpowiedziała beznamiętnie.

Uniósł brew.

– A więc nie chcesz nam pomóc?

Zachowuj się, błagałem bezgłośnie. Współpracuj.

Oczywiście zrobiła, co chciała. Podeszła do stołu i popatrzyła na kawałki papieru. Wiedziałem, kogo tam zobaczyła. Twarz rysowaną dziesiątki razy. Kpiącą z nas.

La Dame des Sorcierres. Panią Czarownic.

Nawet jej imię przepełniało mnie goryczą. Nie wyglądała jak stara wiedźma na paradzie. Ani też jak kruczowłosa matka. Jej włosy nie były nawet czarne, miały jasny odcień. Były prawie białe. Lub srebrne.

Jean Luc podążył za jej spojrzeniem.

– Znasz Morgane le Blanc?

– Wszyscy ją znają. – Uniosła głowę i posłała mu mroczne spojrzenie. – Nawet uliczne szczury.

– Jeśli pomożesz nam zaprowadzić ją na stos, zostanie ci wybaczone – oznajmił.

– Wybaczone? – Uniosła brew i oparła się o blat, kładąc obandażowane dłonie tuż obok nosa Morgane le Blanc. – A co właściwie?

– Upokorzenie Reida w miejscu publicznym. – Jean Luc odpowiedział takim samym hardym spojrzeniem. – Zmuszenie go do splamienia swego imienia, jego honoru chasseura.

Bracia przytaknęli, mamrocząc.

– Dość. – Sam nie rozumiałem, jakim cudem moja dłoń wylądowała na jej ramieniu. Popatrzyłem na nią: dużą i niepasującą do jej szczupłej sylwetki. Mrugnąłem raz. I drugi. A potem zabrałem rękę i próbowałem zignorować znaczące spojrzenie Jean Luca, który wszystko widział. Odchrząknąłem. – Moja żona przyszła, by świadczyć przeciwko czarownicy z domu Tremblaya. Nic więcej.

Jean Luc uniósł brwi – wyrażając uprzejmy sceptycyzm lub rozbawienie – po czym wyciągnął do niej rękę.

– Wobec tego, Madame Diggory, proszę nas oświecić.

Madame Diggory.

Przełknąłem ślinę, podszedłem do stołu i stanąłem obok niej. Po raz pierwszy usłyszałem, jak to brzmi. Te słowa... były dziwne. Prawdziwe.

Spojrzała na niego z pogardą, po czym odtrąciła rękę.

– Nazywam się Lou.

I znowu się zaczęło. Gapiłem się w sufit, nieskutecznie próbując zignorować oburzone szepty moich braci.

– Co wiesz o czarownicach? – zapytał Jean Luc.

– Niewiele. – Przesunęła palcem po iksach i kółkach zaznaczonych na mapie. Większość skupiała się wokół La Fôret des Yeux. Jedno kółko na każdą informację, jaką dostawaliśmy o czarownicach mieszkających w jaskiniach. Jeden iks za każdą misję rozpoznawczą, z której wracaliśmy z pustymi rękami.

Jean Luc uśmiechnął się ponuro.

– W twoim interesie leży współpraca, *madame*. W istocie możesz tu przebywać tylko dzięki interwencji arcybiskupa, w przeciwnym razie twoje prochy zasiliłyby ziemię królestwa. Pomaganie czarownicom jest *nielegalne*.

Zapadła pełna napięcia cisza, gdy patrzyła na nich, zastanawiając się nad decyzją. Otworzyłem już usta, by zachęcić ją do obrania właściwego kierunku, gdy westchnęła.

– Co chcecie wiedzieć?

Zamrugąłem, zszokowała mnie jej nagła roztropność, ale Jean nie dał sobie czasu, by rozkoszować się tą chwilą. Zamiast tego od razu zaatakował:

– Gdzie się kryją?

– Przecież mi nie powiedziała.

– Kim ona jest?

– Czarownicą. – Uśmiechnęła się ironicznie.

– Jej imię.

– Alexandra.

– Nazwisko.

– Nie znam. Działamy w tajemnicy na East Endzie, nawet wśród przyjaciół.

Wstrząsnęło mną to słowo, byłem zszokowany.

– A więc... uważasz czarownicę za swoją przyjaciółkę?

– Tak.

– Co tam się stało? – zapytał Jean Luc.

– Wy się staliście. – Rozejrzała się, znowu zbuntowana.

– Wyjaśnij.

– Kiedy nakryliście nas u Tremblaya, wszyscy uciekliśmy – rzuciła. – Nie wiem, dokąd pobiegła. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś ją zobaczę.

Wymieniłem spojrzenia z przyjacielem. Jeśli mówiła prawdę, to była ślepa uliczka. Ale wiedziałem, że *nie mówiła* prawdy. Zapewne nawet nie była w stanie nie kłamać. Być może istniał inny sposób na wyciągnięcie z niej interesujących nas informacji. Wiedziałem, że nie należy pytać o mężczyznę z ich trio, tego, który uciekł i cały czas był poszukiwany przez policję. Ale ci jej wrogowie...

Skoro znali moją żonę, mogli również znać czarownicę. A warto było przesłuchać każdego, kto znał czarownicę.

– Twój wrogowie – zacząłem ostrożnie. – Czy są też jej wrogami?

– Może.

– Kim oni są?

Zerknęła na mapę.

– Nie wiedzą, że jest czarownicą, jeśli tak sądzicie.

– Mimo to potrzebuję ich nazwisk.

– Dobrze. – Wzruszyła ramionami, jakby już ją to nudziło, i zaczęła wymieniać imiona, odliczając je na palcach: – A więc Andre i Grue, Madame Labelle...

– Madame Labelle? – Zmarszczyłem brwi, przypominając sobie jej zażyłość z Tremblayem w noc kradzieży. Twierdziła, że jej obecność była przypadkowa, ale... Coś sobie uświadomiłem. Pieczęć na liście z donosem, który otrzymał arcybiskup, miała kształt róży. A Ansel jasno opisał informatorkę: *Miała płomiennorude włosy i była bardzo, bardzo piękna*. Być może obecność Madame Labelle wcale nie była przypadkowa. Być może wiedziała, że będzie tam czarownica. A jeśli tak...

Wymieniłem znaczące spojrzenia z Jean Lukiem, który zacisnął usta i skinął głową, gdy poskładał fakty. Niedługo porozmawiamy sobie z Madame Labelle.

– Tak. – Poganka podrapała nos Morgane le Blanc paznokciem, rozmazując węgiel. – Co kilka tygodni próbuje nas zwabić do pracy w Bellerose. Ciągłe jej odmawiamy. Doprowadzamy ją do szału.

Jean Luc przerwał ciszę, jaka nastąpiła po tym wyznaniu.

– Więc tak naprawdę jesteś dziwką – powiedział z rozbawieniem.

Przejął.

– *Przestań* – warknąłem niskim głosem – nazywać moją żonę dziwką.

Uniósł ręce w przepaszającym geście.

– Oczywiście. Zachowałem się prostacko. Proszę, kontynuuj przesłuchanie, kapitanie... Uważasz, że powinniśmy zastosować zgniatacze kciuków?

Posłała mu lodowaty uśmiech.

– To nie będzie konieczne.

Spojrzałem na nią znacząco.

– Naprawdę?

Uniosła rękę i poklepała mnie po policzku.

– Będę szczęśliwa, mogąc kontynuować... Jeśli tylko poprosisz.

Gdybym jej nie znał, ten gest mógłby wydać się poufały. Ale to nie było spoufalanie się. To było protekcyjne. Nawet teraz, nawet w otoczeniu moich braci miała czelność mnie prowokować. Poniżać. Moja żona.

Nie – *Lou*. Nie mogłem dłużej zaprzeczać, że to imię jej pasowało. Męskie imię. Krótkie. Silne. Nedorzeczne.

Chwyciłem jej dłoń i ścisnąłem – to było ostrzeżenie. Płonęły mi policzki.

– Wyślemy ludzi, by przesłuchali tych wrogów, ale najpierw musimy wiedzieć, co stało się tamtej nocy. – Zrobiłem pauzę i, wbrew sobie, wbrew pomrukowi rozwścieczonych braci, dodałem: – Proszę.

Ujrzałem przerażający uśmiech na jej twarzy.

ZAKAZANA INFIRMERIA

Lou

Kiedy mój *drogi* mąż odprowadził mnie z powrotem do naszego pokoju, język wciąż miałam obolały od mówienia. Opowiedziałam im skróconą wersję historii – jak podsłuchałyśmy z Coco Tremblaya i Madame Labelle i postanowiłyśmy go okraść jeszcze tej samej nocy. Jak dobraliśmy się do jego sejfu i że Bas wszystko zabrał, zanim pojawili się chasseurzy. I że Andre i Grue dopadli mnie w tej bocznej uliczce. I że prawie mnie *zabili*.

Bardzo podkreślałam ten fragment.

Nie wspomniałam o Pierścieniu Angeliki. Ani o tym, że Madame Labelle się nim interesowała. Ani że Tremblay zajmował się nielegalnym handlem. Ani o niczym, co mogłoby mnie powiązać z czarownicami. Kroczyłam po cienkiej linie i nie chciałam dawać im kolejnego powodu do spalenia mnie na stosie.

Wiedziałam, że Madame Labelle i Tremblay nie będą chcieli się pogrążyć i nie wspomną o pierścieniu. Miałam nadzieję, że Andre i Grue byli dość inteligentni, by pójść za ich przykładem. Nawet jeśli tego nie zrobią, nawet jeśli głupio wygadają, że wiedzieli o Pierścieniu Angeliki, ale nie zgłosili tego na policję, to i tak będzie nasze słowo przeciwko ich. Honor Monsieur Tremblaya, wicehrabiego, był z pewnością wart więcej niż honor rzezimieszków.

Ponadto sprzyjał mi fakt, że mój mąż był zakochany w jego córce.

Tak czy inaczej, sądząc po drapieżnym błysku w jego oku, Andre i Grue mogli liczyć na lanie.

Teraz jesteś moją żoną, czy nam się to podoba, czy nie. Żaden mężczyzna nie może cię tknąć.

O mało nie parsknęłam śmiechem. Ostatecznie nie było to najgorsze popołudnie. Mój mąż wciąż był najbardziej nadętym dupkiem w całej wieży nadętych dupków, ale w lochach aż tak bardzo nie rzucało się to w oczy. Nawet mnie bronił. A przynajmniej podszedł do mnie na tyle blisko, na ile mógł, nie tracąc cnoty.

Kiedy dotarliśmy do pokoju, udałam się prosto do łazienki, bo musiałam pomyśleć w samotności. Coś zaplanować.

– Idę się wykąpać.

Jeśli moje podejrzenia były słuszne, a zwykle były, człowiek drzewo został wczoraj zaniesiony na wyższe piętro. Może do infirmerii? Albo jakiegoś laboratorium? A może do pieca?

Nie. Chasseurzy nigdy by nie zamordowali niewinnego człowieka, chociaż palenie niewinnych kobiet i dzieci na stosie chyba można by do tego zaliczyć. Ale chasseurzy wciąż powtarzali: jest różnica pomiędzy mordowaniem a zabijaniem. Morderstwo było nieusprawiedliwione. A to, co robili wiedźmom... cóż, zasłużyłyśmy na to.

Odkręciłam kran i przysiadłam na krawędzi wanny. Nigdy się nie zastanawiałam, gdzie *podziewały* się ofiary czarownic, dlaczego po każdym ich ataku na ulicach nie zalegały ciała. Wszystkie te ataki. Dziesiątki ofiar...

Jeśli takie miejsce istniało, z całą pewnością było *skapane* w magii.

To przykrywka, której potrzebowałam.

– Czekaj. – Usłyszałam za sobą jego ciężkie kroki. – Musimy porozmawiać o pewnych sprawach.

Sprawy. To słowo nigdy nie brzmiało tak złowieszczo. Nie odwróciłam się.

– Na przykład?

– O nowych zasadach.

– Zasadach? – Teraz już się odwróciłam, ścisnęło mnie w żołądku. – Masz na myśli mojego nowego strażnika.

Spuścił głowę.

– Jeśli tak wolisz. Dzisiaj rano mnie nie posłuchałaś. Powiedziałem ci, żebyś nie wychodziła z Wieży.

Cholera. Ciągły nadzór... to nie dla mnie. Zupełnie nie. Miałam plany na ten wieczór – to znaczy chciałam wyskoczyć na chwilę na zakazane wyższe piętra – i niech mnie szlag, jeśli kolejny nadęty dupek stanie mi na drodze.

Jeśli się nie myliłam, jeśli Wieża kryła magię, musiałam tę wizytę odbyć w samotności.

Nie spieszyłam się z odpowiedzią, starannie rozsznurowałam buty i postawiłam je obok drzwi. Związałam włosy na czubku głowy. Rozwiązałam opatrunek na ręce.

Czekał cierpliwie, aż skończę. Cholera z nim. Wyczerpawszy wszystkie możliwości, w końcu się odwróciłam. Może mogłabym go... zniechęcić. Na pewno nie chciał, żeby jego nowo poślubiona żona spędzała długie godziny z innym mężczyzną. Nie miałam złudzeń co do tego, że mnie polubił, ale mężczyźni Kościoła mieli skłonność do zaborczości.

– No dobrze. – Uśmiechnęłam się uprzejmie. – Przeprowadź go. Ale dla twojego dobra, niech lepiej będzie przystojny.

Spojrzał ostro, po czym obszedł mnie i zakręcił kran.

– Dlaczego miałby być przystojny?

Podeszłam do łóżka i padłam na nie, po czym przetoczyłam się na brzuch i podłożyłam sobie poduszkę pod brodę. Zatrzepotałam rękami.

– Cóż, będziemy ze sobą spędzać mnóstwo czasu... bez przyzwoitki.

Zacisnął zęby tak mocno, że omal ich nie połamał.

– On jest twoją przyzwoitką.

– Dobrze, już dobrze. – Machnęłam ręką. – Mów dalej.

– Nazywa się Ansel. Ma szesnaście lat...

– Och. – Uśmiechnęłam się ironicznie, unosząc brwi. – Trochę młody, co?

– Jest jak najbardziej...

– Lubię, jak są młodzi. – Zignorowałam jego rumieniec i z namysłem postukałam się palcem w usta. – Łatwiej ich wtedy wytresować.

– ...i ma duży potencjał...

– Być może skradnie mi swój pierwszy pocałunek – drażniłam się. – Nie, dogodzę mu lepiej. Przeżyje ze mną swoje pierwsze ruchanko.

Mój wygadany mąż omal nie zakrztusił się własnymi słowami, aż oczy wyszły mu z orbit.

– Co? Co powiedziałaś?

Niedosłuch. To zaczynało być niepokojące.

– Och, nie bądź taki skromny, Chass. – Zerwałam się, przeszłam przez pokój, otworzyłam szufladę i wyjęłam skórzany notes, który wcześniej przejrzałam: dziennik wypchany listami miłosnymi od Mademoiselle Celi Tremblay. Co za ironia losu. Nic dziwnego, że mnie nie cierpiał. – „Dwunasty lutego. Bóg wyjątkowo się postarał, stwarzając Celię”.

Zrobił niemożliwie wielkie oczy i rzucił się na mnie. Odskokczyłam ze śmiechem i wbiegłam do łazienki, zatraskując za sobą drzwi. Walił w nie pięściami.

– Oddaj mi to!

Wyszczrzyłam się i czytałam dalej:

– „Chciałbym ponownie móc na nią spojrzeć. Z pewnością na całym świecie nie ma niczego piękniejszego niż jej uśmiech, oprócz oczu, to jasne. Lub jej śmiechu. Lub jej ust”. Ojej, Chass. Jestem pewna, że nie godzi się myśleć o ustach kobiety. Co powiedziała by twój arcybiskup?

– Otwórz drzwi. – Nadal walił w nie, aż uginały się deski. – Natychmiast!

– „Obawiam się jednak, że jestem egoistyczny. Celia jasno powiedziała, że moim celem jest przynależność do zakonu”.

– OTWÓRZ DRZWI...

– „Chociaż uwielbiam jej bezinteresowność, nie mogę się z nią zgodzić. Żadne rozwiązanie, które zakłada naszą rozłąkę, nie jest dobrym rozwiązaniem”.

– OSTRZEGAM CIĘ...

– „Muszę wyznać, że wciąż nawiedza moje myśli. Dni i noce zlewają się w jedno, gdy próbuję skupić się na czymś innym niż na niej. Cierpią na tym moje treningi. Nie mogę jeść. Nie mogę spać. Jest tylko ona”. Dobry Boże, Chass, to takie przygnębiające. Romantyczne, oczywiście, ale zbyt melodramatyczne jak na mój gust...

Coś ciężkiego uderzyło w drzwi, drewno pękło. Mój silny mąż walił i walił, aż wybił dziurę, przez którą widać było jego zaczerwienioną twarz. Ze śmiechem przepchnęłam jego dziennik przez otwór, zanim zdołał chwycić mnie za szyję. Odbił mu się od nosa i upadł na podłogę. Kucnął, żeby go podnieść.

Gdyby nie był aż tak nieznośnie prawy, chyba by przeklął.

– Weź go sobie. – Tak mocno wstrzymywałam śmiech, że prawie pękło mi żebro. – Już się naczytałam. Dość poruszające. Ale jej listy były jeszcze gorsze.

Ruszył w moją stronę ze wściekłą miną.

– Przeczytałaś moje osobiste, moje prywatne...

– A jak inaczej miałabym cię poznać? – zapytałam słodko, krążąc wokół wanny, żeby mnie nie złapał. Jego nozdrza się rozdęły, wyglądał, jakby był bliski zionięcia ogniem.

– Ty... Ty...

Brakowało mu słów. Przygotowałam się na nieuniknione.

– ...*ty diable*.

No proszę. Najgorsze, co mógł wymyślić mój szlachetny mąż. Diabeł. Nie udało mi się ukryć szyderczego uśmiechu.

– Widzisz? Ty poznałeś się na mnie sam. – Puściłam do niego oko, krążąc wokół wanny. – Jesteś o wiele bystrzejszy, niż wyglądasz. – Przechyliłam głowę i ściągnęłam usta w dziubek, zastanawiając się nad kolejnym zdaniem. – Ale jesteś na tyle głupi, że zostawiłeś najbardziej intymną korespondencję w miejscu dostępnym dla każdego. Poza tym prowadzisz dziennik. Być może jednak nie jesteś aż tak bystry.

Zabijał mnie wzrokiem, ciężko sapał. Po kilku sekundach zamknął oczy. Z fascynacją przyglądałam się, jak jego usta podświadomie układały się w słowa: *jeden, dwa, trzy...*

O Boże.

Nie mogłam się powstrzymać. Naprawdę nie mogłam. Parsknęłam śmiechem.

Otworzył oczy, złapał dziennik tak gwałtownie, że niemal przedarł go na pół. Odwracając się na pięcie, wyszedł do sypialni.

– Ansel przyjdzie za chwilę. Naprawi drzwi.

– Czekaj. Słucham? – W jednej chwili odechciało mi się śmiać i pobiegłam za nim, uważając na sterczące drzazgi. – Wciąż chcesz mnie zostawiać samą ze strażnikiem? Sprowadzę go na złą drogę!

Zarzucił płaszcz na plecy.

– Powiedziałem ci – warknął. – Nadużyłaś mojego zaufania. Nie mogę cię pilnować przez cały czas. Ansel robi to za mnie. – Otworzył drzwi na korytarz i krzyknął: – Ansel!

Po kilku sekundach w drzwiach pojawiła się głowa młodego chasseura. Do oczu wpadały mu dzikie, kręcone brązowe włosy, jego ciało wydawało się nieco rozciągnięte, jakby za szybko urósł w zbyt krótkim czasie. Mimo patykowatej sylwetki był dość przystojny – miał androgeniczną urodę dzięki gładkiej, oliwkowej skórze i długim, podkreślonym rzęsom. Co dziwne, nosił błękitny płaszcz, a nie niebieski jak reszta chasseurów.

– Tak, kapitanie?

– Staniesz teraz na warcie. – Mój *wkurzający* mąż rzucał mi mordercze spojrzenie. – Nie możesz jej spuścić z oczu.

Ansel spojrzał błagalnie.

– A co z przesłuchaniami?

– Jesteś potrzebny tutaj. – Jego ton nie pozostawiał miejsca na dyskusję. Prawie zrobiło mi się szkoda chłopaka. A raczej byłoby mi go szkoda, gdyby jego obecność nie zepsuła mi całego wieczoru. – Wrócę za kilka godzin. Nie słuchaj tego, co mówi, i nigdzie jej nie wypuszczaj.

W grobowej ciszy patrzyliśmy, jak wychodzi.

Dobrze. Nie ma sprawy. Nie miałam problemów z przystosowywaniem się do nowych warunków. Padłam na łóżko i teatralnie jęknęłam.

– Będzie wesoło – wymamrotałam.

Na te słowa Ansel się wyprostował.

– Nie odzywaj się do mnie.

Prychnęłam.

– Będzie nudno, jeśli nie będę mogła nic mówić.

– Cóż, nie możesz, więc... przestań.

Cudownie.

Zapadła cisza. Kopałam ramę łóżka. On patrzył wszędzie, lecz nie na mnie. Po kilku chwilach zapytałam:

– Czy można coś tu robić?

– Powiedziałem: przestań gadać. – Zacisnął usta.

– Jest tu jakaś biblioteka?

– Przestań gadać!

– Chciałabym wyjść na dwór. Zażyć świeżego powietrza, odrobiny słońca.

– Wskazałam jego ładną skórę. – Chociaż tobie przydałby się kapelusz.

– Już widzę, jak zabieram cię na dwór – sztydził. – Nie jestem głupi.

Usiadłam.

– Ja też nie. Słuchaj, wiem, że nie jestem w stanie cię wyminąć. Jesteś zbyt... hm... wysoki. Masz długie nogi, więc dogonisz mnie w jednej chwili.

– Zmarszczył brwi, ale posłałam mu triumfalny uśmiech. – Jeśli nie chcesz mnie wypuścić na dwór, to może zabierz mnie na wycieczkę po Wieży...

Ale on już kręcił głową.

– Reid powiedział mi, że jesteś przebiegła.

– Proszę o wycieczkę, Ansel, co w tym przebiegłego?

– Nie – odparł stanowczo. – Nigdzie nie pójdziemy. A ty masz się do mnie zwracać „Nowicjuszu Diggory”.

Zrzedła mi mina.

– Jesteśmy dalekim kuzynostwem?

– Nie – nadał się.

– Powiedziałeś, że masz na nazwisko Diggory. Tak nazywa się mój nieszczęsny mąż. Czy jesteście spokrewnieni?

– Nie. – Odwrócił się i wbił wzrok w swoje buty. – To nazwisko, które dostają wszystkie niechciane dzieci.

– Niechciane? – spytałam, nie kryjąc ciekawości.

Posłał mi wściekłe spojrzenie.

– Sieroty.

Z nieodgadnionego powodu poczułam ucisk w piersi.

– Aha. – Zastanawiałam się nad doborem słów, ale nie znalazłam żadnych, oprócz... – Czy czujesz się lepiej, jeśli powiem ci, że nie mam najlepszych stosunków z własną matką?

Jeszcze bardziej się nadąsał.

– Przynajmniej masz matkę.

– Wolałabym nie mieć.

– Na pewno tak nie uważasz.

– Uważam. – To były szczere słowa. Każdego dnia przez ostatnie dwa lata, przez każdą chwilę, każdą *sekundę*, żałowałam, że ją mam. Wolałabym, żeby urodził mnie ktoś inny. Ktokolwiek. Posłałam mu uśmiech. – Z miejsca bym się z tobą zamieniła, Ansel, ale tylko na rodziców, nie na ten okropny strój. Ten odcień niebieskiego mi nie pasuje.

Wygładził płaszcz obronnym gestem.

– Powiedziałem, że masz przestać gadać.

Z rezygnacją wyciągnęłam się na łóżku. Teraz, gdy wysłuchałam jego wyznania, kolejny punkt mojego planu – ten, hm, *przebiegły* punkt – pozostawiał niesmak. Ale to nie miało znaczenia.

Ku irytacji Ansela zaczęłam mruzczyć.

– Żadnego mrużenia.

Zignorowałam go.

– „Znasz Liddy Biuściastą? Brzydką była niewiastą, lecz cycki to miała jak dzbany” – śpiewałam. – „Faceci padali, gdy je dostrzegali, lecz każdy był ignorowany...”

– Przestań! – Jego twarz spąsowiała tak bardzo, że mógł stanąć w szranki z moim mężem. – Co robisz? To było... nieprzyzwoite!

– Oczywiście, że tak. To piosenka z gospody!

– Byłaś w gospodzie? – zapytał osłupiały. – Przecież jesteś *kobietą*.

Z całej siły powstrzymałam się od wywrócenia oczami. Ten, kto uczył tych mężczyzn o płci przeciwnej, był *całkowicie* odklejony od

rzeczywistości. Sprawiali wrażenie, jakby nigdy nie spotkali kobiety. *Prawdziwej* kobiety – a nie absurdalnej mrzonki w stylu Celi.

Musiałam pomóc temu nieszczęsnemu chłopcu.

– W gospodach jest *wiele* kobiet, Ansel. Nie jesteśmy takie, jak sądzisz. Możemy robić wszystko to, co ty. I zapewne robimy to lepiej. Zrozum, istnieje świat poza kościołem. Mogę ci go pokazać, jeśli chcesz.

Zrobił zaciętą minę, ale policzki wciąż miał zaczerwienione.

– Nie. Koniec gadania. Koniec mruczenia. Koniec śpiewania. Po prostu na chwilę przestań być sobą, dobrze?

– Nie mogę niczego obiecać – powiedziałam poważnie. – Ale jeśli oprowadzisz mnie...

– Nie ma mowy.

W porządku.

– „Willy zwany Ogórem niejedną palnął bzdurę – zawylałam – lecz dała mu natura ogromnego...”

– Przestań, PRZESTAŃ. – Ansel zamachał rękami, znowu oblał się rumieńcem. – Oprowadzę cię, ale proszę, proszę, przestań śpiewać o... tym!

Wstałam z uśmiechem.

Voilà.

Niestety, Ansel rozpoczął zwiedzanie od przestronnych wnętrz Saint-Cécile. Co gorsza, strasznie dużo wiedział o każdej architektonicznej pierdole, a także znał historię każdej relikwii, portretu i witraża. Po piętnastu minutach słuchania jego inteligentnego monologu byłam pod wrażeniem. Chłopak był mądry. Jednakże po czterech godzinach miałam już ochotę rozwalić mu łeb monstrancją. Cieszyłam się, kiedy zakończył oprowadzanie przed obiadem, obiecując, że będziemy kontynuować kolejnego dnia.

Wyglądał, jakby... miał nadzieję na więcej. Jakby w którymś momencie naszej wycieczki zaczął się dobrze bawić. Jakby nie był przyzwyczajony do tego, że ktoś poświęca mu tyle uwagi czy w ogóle go słucha. Ta nadzieja w jego sarnich oczach sprawiła, że straciłam ochotę na zrobienie mu krzywdy.

Jednakże nie mogłam zapomnieć o moim celu.

Kiedy następnego ranka Ansel zapukał do drzwi, mój mąż opuścił nas bez słowa, udając się tam, gdzie chodził w ciągu dnia. Poprzedniego

wieczoru długo siedzieliśmy w pełnej napięcia ciszy, dopóki nie zrejterowałam do wanny. Jego dziennik i listy Celi gdzieś zniknęły.

– Chcesz kontynuować oprowadzanie? – zapytał Ansel z wahaniem.

– A propos. – Ściągnęłam łopatki z determinacją. Nie chciałam tracić kolejnego dnia na słuchaniu o kości, która być może kiedyś należała do świętego Konstantyna. – Chociaż nasza wczorajsza wycieczka była *fascynująca*, dzisiaj chcę zwiedzić Wieżę.

– Wieżę? – Zamrugął zdezorientowany. – Ale nie ma tu niczego, czego już nie widziałas. Dormitoria, lochy, kantyna...

– Nonsens. Jestem pewna, że nie widziałam *wszystkiego*.

Nie zwracając uwagi na jego minę, wypchnęłam go za drzwi, zanim zdążył zaprotestować.

Godzinę zajęło mi zaciągnięcie Ansela pod metalową, spiralną klatkę schodową. Najpierw musiałam udawać zainteresowanie stajniami, placem treningowym i dwudziestoma trzema szafkami.

– Co tam jest? – zapytałam, zapierając się nogami, kiedy próbował odprowadzić mnie do dormitorium.

– Nic – odparł szybko.

– Jesteś okropnym kłamcą.

Szarpnął mnie mocniej.

– Nie możesz wchodzić na górę.

– Dlaczego?

– Bo nie.

– Ansel. – Wydełam usta, oplotłam rękami jego chude ramię i zatrzepotałam rzęsami. – Będę się zachowywać. Obiecuję.

– Nie wierzę ci.

Puściłam go i zrobiłam smutną minę. Nie zmarnowałam godziny, łażąc po Wieży z dorastającym chłopakiem – jakkolwiek uroczym – żeby potknąć się na mecie.

– Dobrze. Nie pozostawiasz mi wyboru.

Spojrzał na mnie czujnie.

– Co zamie...

Urwał, bo odwróciłam się i wbiegłam na schody. Choć ode mnie wyższy, nie był jeszcze przyzwyczajony do swojego wzrostu, wobec czego nie radził sobie z kończynami żyjącymi własnym życiem. Ruszył za mną, ale trudno to było nazwać pościgiem. Byłam już wysoko, gdy udało mu się zapanować nad swoimi nogami.

Wpadłam w poślizg na górze i ze zdziwieniem spojrzałam na chasseura pełniącego wartę, a raczej śpiącego pod drzwiami. Rozparł się na rozklekotanym krześle i cicho chrapał. Głowa opadła mu na pierś, z ust ciekła ślina i moczyła jasnoniebieski płaszcz. Wyminęłam go i podbiegłam do drzwi. Mocno zabiło mi serce, gdy klamka ustąpiła. Zobaczyłam długi korytarz, po obu stronach w równych odstępach ciągnęły się drzwi. Ale nie to sprawiło, że stanęłam jak wryta.

Powietrze. Owiewało mnie, łaskotało w nos. Słodkie i znajome... z odrobiną czegoś mrocznego pod powierzchnią. Czegoś zgniłego.

Jesteś tutaj jesteś tutaj jesteś tutaj, szeptało.

Uśmiechnęłam się. Magia.

Ale mina szybko mi zrzędła. Wydawało mi się, że w dormitorium było zimno, ale się myliłam. Tutaj było gorzej. Dużo gorzej. Niemal odpychająco. Słodkie powietrze było nienaturalnie nieruchome.

Dziwną ciszę przerwały kroki dwóch osób.

– Stój! – Tuż za mną pojawił się Ansel, stracił równowagę i wpadł na mnie. Wartownik sprzed drzwi, o wiele młodszy, niż początkowo sądziłam, wreszcie się obudził i poszedł za jego przykładem. Wpadliśmy w wir splątanych ciał i przekleństw.

– Spadaj, Ansel...

– Próbuję...

– Kim jesteś? Nie powinnaś tutaj wchodzić...

– Przepraszam! – Wszyscy jednocześnie spojrzeliśmy w stronę, z której dochodził metaliczny głos. Należał do kruchego, trzęsącego się staruszka w białych szatach i grubych okularach. W jednej ręce trzymał Biblię, a w drugiej jakieś dziwne urządzenie: małe, metalowe, z ostrym kolcem na końcu cylindra.

Odepchnęłam obu i wstałam, starając się znaleźć jakieś słowa, jakieś sensowne wytłumaczenie tego, że uprawialiśmy zapasy na środku... cokolwiek to było, ale wartownik mnie uprzedził:

– Przepraszam, Wasza Wielbność. – Chłopak spojrzał na nas z wyrzutem. Podczas drzemki na policzku odbił mu się materiał płaszcza, na brodzie miał zaschniętą ślinę. – Nie mam pojęcia, kim jest ta dziewczyna. To Ansel ją tu wpuścił.

– Nie zrobiłem tego! – Ansel zarumienił się. Wciąż nie mógł złapać tchu. – To ty zasnęłaś!

– O nie. – Staruszek poprawił okulary, żeby nam się przyjrzeć. – Tak się nie da. Tak się nie godzi.

Zapominając o rozwadze, otworzyłam usta, żeby wyjaśnić, ale przerwał mi łagodny, znajomy głos:

– Przyszli tu, żeby się ze mną zobaczyć, ojcze.

Znieruchomiałam, zszokowana. Znałam ten głos. Lepiej niż własny. Ale nie powinien rozbrzmiewać w samym sercu Wieży Chasseurów, tylko setki mil stąd.

Spoczęło na mnie spojrzenie ciemnych, przebiegłych oczu.

– Cześć, Louise.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi, kręcąc głową z niedowierzaniem. Coco.

– Mademoiselle Perrot, to wysoce niestosowne. – Duchowny zmarszczył czoło. – Zwykli obywatele nie mogą wchodzić do infirmerii bez zapowiedzi.

Coco przywołała mnie gestem.

– Louise nie jest zwykłą obywatelką, ojcze Orville. Jest żoną kapitana Reida Diggory’ego.

Odwróciła się w stronę wartownika, który stał z otwartymi ustami. Ansel miał podobną minę, zrobił komicznie wielkie oczy i opadła mu szczęka. Oniemiał. A nie widzieli przecież jej figury pod obszerną, białą szatą. Co więcej, wykrochmalony materiał zakrywał nawet szyję, a rękawy sięgały czubków palców w białych rękawiczkach. Niezbyt wygodny strój, ale bardzo sprytne przebranie.

– Jak widzisz, twoja obecność nie jest już konieczna – powiedziała, posyłając wartownikowi znaczące spojrzenie. – Mogę zasugerować, byś powrócił na swoje miejsce? Nie chcielibyśmy przecież, żeby chasseurzy dowiedzieli się o tym niefortunnym nieporozumieniu, prawda?

Chłopcu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się na progu.

– Tylko... tylko żeby na pewno podpisała się na liście gości! – Następnie zamknął drzwi, nie kryjąc ulgi.

– Kapitana Diggory’ego? – Książd podszedł i przechylił głowę, by lepiej mnie widzieć przez okulary. Powiększały jego oczy do groteskowych rozmiarów. – Oho, dużo słyszałem o nowej żonie Reida Diggory’ego. Powinnaś się wstydzić, *madame*. Nie godzi się zastawiać pułapki na świętego męża, by usidlić go związkiem małżeńskim.

– Ojcze. – Coco położyła dłoń na jego ramieniu i wbiła w niego stalowe spojrzenie. – Louise przyszła tutaj dzisiaj, żeby pomóc mi w... pokucie.

– Pokucie?

– O, tak – dodałam, potakując entuzjastycznie. Ansel patrzył na nas oszołomiony. Nadepnęłam mu na nogę. Ojciec Orville nawet nie mrugnął, ślepy, stary nietoperz. – Musisz pozwolić mi zadośćuczynić za moje grzechy, ojcze. Czuję się okropnie w związku z moim zachowaniem, modliłam się długo i żarliwie, rozważając, jak najlepiej się ukarać. – Wyjęłam z kieszeni monetę, która została mi po zakupach. Na szczęście ojciec Orville nie zauważył jeszcze moich spodni. Zapewne dostałby palpacji i wyzionął ducha. Włożyłam mu monetę w dłoń. – Mam nadzieję, że przyjmiesz tę ofiarę, by złagodzić mój wyrok.

Głośno odchrząknął, ale schował ją w fałdach swojej szaty.

– Sądzę, że opieka nad chorymi jest wartościową...

– Doskonale. – Coco rozpromieniła się i pociągnęła mnie za sobą, zanim zmienił zdanie. Ansel szedł za nami, nie wiedząc, gdzie się podziać. – Odczytamy Przykazania.

– Postępuj zgodnie z protokołem. – Ojciec Orville wskazał umywalnię w pobliżu wyjścia, gdzie na ścianie zawieszono dwa kawałki pergaminu. Pierwszy okazał się listą gości. Podeszłam, żeby odczytać drobne pismo na drugim.

PROCEDURY OBOWIĄZUJĄCE W INFIRMERII – WEJŚCIE ZACHODNIE

Zgodnie z dekretem JEGO EMINENCJI, ARCYBISKUPA BELTERRY, wszyscy wchodzący do katedralnej infirmerii muszą podać swoje nazwisko i przepustkę nowicjuszowi przy wejściu. Niezastosowanie się do tego przepisu jest podstawą do usunięcia z terenu obiektu.

Przedstawiciele przytułku dla obłąkanych Feuilemort winni zameldować się w biurze ojca Orville'a. Paczki wydawane są przy Wyjściu Wschodnim.

Kapłani oraz uzdrowiciele winni wpisać się na listę i wypełnić formularz inspekcji przy Wyjściu Wschodnim.

W infirmerii obowiązują następujące zasady:

- 1. Infirmeria musi być wysprządana, śmieci usunięte.*
- 2. Nie toleruje się niestosownego języka i zachowania.*
- 3. Wszyscy goście powinni przebywać w towarzystwie kogoś z personelu. Goście, którzy będą poruszać się po terenie samodzielnie, zostaną wyproszeni. Mogą ich spotkać konsekwencje prawne.*
- 4. Wszyscy goście muszą mieć odpowiedni strój. Przy wejściu uzdrowiciele wydają białe szaty do okrycia stroju osoby laickiej. Szaty*

należy oddać przy wyjściu. Szaty pomagają kontrolować zapach w katedrze Saint-Cécile d’Cesarine i Wieży Chasseurów. Są koniecznością. Odmowa założenia szaty jest równoznaczna z całkowitym zakazem wstępu.

5. Wszyscy goście muszą się umyć przed wyjściem. Inspekcja odbywa się w umywalni w pobliżu Wyjścia Zachodniego. Odmowa poddania się inspekcji jest równoznaczna z całkowitym zakazem wstępu.

Rany boskie. To było więzienie.

– Oczywiście, ojciec Orville. – Coco chwyciła mnie za rękę i odciągnęła od regulaminu. – Nie będziemy wchodzić ci w drogę. Nawet nie zauważysz, że tu jesteśmy. A ty – zerknęła przez ramię na Ansela – możesz lecieć się pobawić. Nie potrzebujemy twojej pomocy.

– Ale Reid...

– Chodź, Ansel. – Ojciec Orville chciał poklepać chłopaka po ramieniu, ale trafił w jego łokieć. – Pozwól paniom zająć się chorymi. Ty i ja pomodlimy się w tym czasie. Dzisiaj rano zrobiłem już wszystko, co w mojej mocy, by pomóc tym biednym duszom. Żałuję, że dwie z nich zabiorą do Feuilemort. Nie reagują na moją leczącą rękę.

Jego głos się oddalał, gdy prowadził Ansela w głąb korytarza. Zanim zniknęli za zakrętem, chłopak posłał mi błagalne spojrzenie.

– Feuilemort? – zapytałam z ciekawością.

– Ciii... Jeszcze nie – wyszeptała Coco.

Otworzyła pierwsze lepsze drzwi i wepchnęła mnie do celi. Mężczyzna w środku odwrócił głowę w naszą stronę i... nadal nią obracał. Z przerażeniem patrzyłyśmy, jak wychodzi z łóżka na odwróconych do tyłu nogach, jego stawy wyginały się pod nienaturalnym kątem. Jego oczy zaśniły jak u zwierzęcia, zasyczał i podbiegł do nas niczym pająk.

– Co, do licha...

– Wyjdź, wyjdź, wyjdź! – Coco wypchnęła mnie z pokoju i zatrasnęła drzwi. Ciało tamtego człowieka zderzyło się z nimi i usłyszałyśmy przejmujące zawodzenie. Wzięła głęboki wdech i wygładziła szatę. – No dobrze, spróbujmy jeszcze raz.

– Musimy? – Popatrzyłam z przestachem na kolejne drzwi.

Uchyliła je tylko i zajrzała do środka.

– Tu powinno być w porządku.

Zerknęłam przez jej ramię i zobaczyłam jakąś kobietę, która czytała w ciszy. Kiedy spojrzała na nas, odskoczyłam do tyłu i uniosłam pięść. Jej

skóra się ruszała – jakby tuż pod powierzchnią pełzało tysiące małych owadów.

– Nie. – Pokręciłam głową i wycofałam się szybko. – Nie znoszę robali.

Kobieta wyciągnęła rękę w błagalnym geście.

– Zostańcie, proszę... – Z jej otwartych ust wyleciała szarańcza, zakrztusiła się, po jej policzkach pociekły łzy zmieszane z krwią.

Zamknęłyśmy drzwi, odcinając się od jej szlochu.

– Ja wybiorę następne. – Aż się zasapałam, gdy rozważałam wybór, ale przecież wszystkie drzwi wyglądały tak samo. Jakie horrory się za nimi kryły? Od drzwi w końcu korytarza dobiegły nas męskie głosy oraz cichy brzdęk metalu. Nie mogłam powstrzymać ciekawości, więc ruszyłam w tamtą stronę, lecz Coco zatrzymała mnie, stanowczo kręcąc głową. – Co to w ogóle za miejsce?

– Piekło. – Poprowadziła mnie w głąb korytarza, często odwracając się przez ramię. – Nie chciałybyś trafić tam, gdzie księża przeprowadzają eksperymenty.

– Eksperymenty?

– Wczoraj wieczorem natknęłam się na sekcję mózgu pacjenta. – Uchyliła jakieś drzwi, rozejrzała się po pokoju, po czym otworzyła je szerzej. – Próbują zrozumieć, skąd bierze się magia.

W środku jakiś starszawy jegomość leżał przykuty do metalowej nogi łóżka. Apatycznie wpatrywał się w sufit.

Brzdęk.

Pauza.

Brzdęk.

Pauza.

Brzdęk.

Przyjrzałam się i aż mnie zatchnęło. Czubki palców miał czarne, paznokcie długie i ostro zakończone. Rytmicznie uderzał palcem w przedramię. Za każdym razem pojawiała się kropla atramentowo czarnej krwi – zbyt ciemnej, by mogła być naturalna. Trującej. Jego całe ciało pokryte było setkami śladów, nawet twarz. Żadna ranka się nie zagoiła. Ze wszystkich sączyła się czarna krew.

Metaliczny zapach mieszał się ze słodkim aromatem magii.

Brzdęk.

Pauza.

Brzdęk.

Zrobiło mi się niedobrze. Nie przypominał mężczyzny, lecz jakąś postać z koszmarów i cieni.

Coco zamknęła za nami drzwi, a on zwrócił na mnie mleczone oczy. Dostałam gęsiej skórki.

– To tylko Monsieur Bernard. – Coco podeszła do niego i uniosła jeden z więzów. – Znowu spadł mu łańcuch.

– Rany boskie. – Zbliżyłam się, podczas gdy ona łagodnie zakładała więzy na rękę mężczyzny. On wciąż patrzył na mnie pustymi oczami. Nie mrugał.

– Co mu się stało?

– To samo, co każdemu innemu w tym miejscu. – Odgarnęła mu włosy z twarzy. – Czarownice.

Przełknęłam ślinę i stanęłam przy jego łóżku. Na żelaznym krześle leżała Biblia. Zerknęłam w stronę drzwi.

– Być może uda nam się mu pomóc – powiedziałam cicho.

Coco westchnęła.

– Nie ma sensu. Chasseurzy przynieśli go dzisiaj rano. Znaleźli go błąkającego się w La Foret des Yeux. – Dotknęła krwi na jego dłoni i uniosła palec do nosa, żeby powąchać. – Ma zatrute paznokcie. Niedługo umrze. To dlatego księży kazali go tu sprowadzić zamiast wysłać do przytułku dla obłąkanych.

Widząc tego umierającego człowieka, poczułam ciężar na piersi.

– A co to było za narzędzie tortur w rękach ojca Orville'a?

– Masz na myśli Biblię? – zakpiła.

– Zabawne. Nie, to coś metalowego. Takie... chyba ostre.

Z twarzy zniknął jej uśmiech.

– Rzeczywiście jest ostre. To strzykawka. Używają jej do robienia zastrzyków.

– Zastrzyków?

Coco oparła się o ścianę i założyła ręce na piersi. Białe szaty niemal zwały się z kolorem kamienia, przez co jej głowa zdawała się unosić w powietrzu. Znowu się wzdrygnęłam. To miejsce mnie przerażało.

– Tak to nazywają. – Spojrzała posepnie. – Ale wiem, co robią. Księża kombinują z trucizną. Głównie szczwołem plamistym. Testują go na pacjentach, by określić właściwą dawkę. Sądzę, że próbują stworzyć broń przeciwko czarownicom.

Cała zadrżałam.

– Przecież Kościół uważa, że tylko płomień może naprawdę zabić czarownicę.

– Chociaż nazywają nas demonicami, wiedzą, że jesteśmy śmiertelne. Krwawimy jak ludzie. Odczuwamy ból jak ludzie. Ale te zastrzyki mają nas zabić. Powodują paraliż. Chasseur będzie musiał tylko podejść wystarczająco blisko, by wbić igłę, i będzie po nas.

Dopiero po chwili dotarły do mnie konsekwencje tego eksperymentu. Zerknęłam na Monsieur Bernarda i poczułam gorzki smak w ustach. Przypomniałam sobie owady pełzające pod skórą kobiety zamkniętej kilka pokoi dalej, krwawe łyzy płynące po jej twarzy. Być może winni byli nie tylko kapłani.

Paraliż – a nawet stos – były lepsze niż takie życie.

– Co tutaj robisz, *Mademoiselle Perrot*? – zapytałam w końcu. Przynajmniej nie posługiwała się swoim prawdziwym nazwiskiem. Rodzina Monvoisin była okryta... złą sławą. – Miałaś się ukryć u ciotki.

Wydeła usta.

– Mogłabym cię zapytać o to samo. Jak mogłaś nie zaprosić mnie na swój ślub?

Rozśmieszyła mnie. Mój śmiech zabrzmiał niesamowicie w tej ciszy. Monsieur Bernard stukał paznokciem w kajdany.

Brzdęk.

Brzdęk.

Brzdęk.

Nie patrzyłam na niego.

– Uwierz mi, gdybym tylko mogła decydować o liście gości, na pewno byś na niej była.

– Jako świadkowa?

– Naturalnie.

Coco westchnęła i pokręciła głową.

– Poślubiona chasseurowi... Nie mogłam uwierzyć, kiedy o tym usłyszałam. – Na jej ustach pojawił się uśmiech. – Masz jaja, nie powiem.

– Ależ ty jesteś zdeprawowana, Coco. – Roześmiałam się głośniej.

– A jakie jaja ma twój mąż? – Figlarnie uniosła brwi. – Jak byś je porównała do jaj Basa?

– Co ty możesz wiedzieć o jajach Basa? – Aż mnie policzki bolały od ciągłego uśmiechania. Miałam świadomość, że to nie w porządku, przecież obok nas leżał przeklęty, umierający Monsieur Bernard, ale stopniowo,

w miarę jak się przekomarzałyśmy, zniknął ciężar, który przygniatał moją pierś. Wspaniale było ujrzeć znajomą twarz, po tym jak przez dwa dni otaczali mnie nieprzyjaźnie nastawieni ludzie. Wspaniale było dowiedzieć się, że jest bezpieczna. Na razie.

Westchnęła teatralnie i poprawiła koc okrywający Monsieur Bernarda. Nie przestawał brzdękać.

– Mówisz przez sen. Przeżywałam to razem z tobą. – Spojrzała na mnie i przestała się uśmiechać. Wskazała moje siniaki. – Twój mąż to zrobił?

– Niestety, to zasługa Grue.

– Zastanawiam się, jak Grue da sobie radę bez jaj. Chyba złożę mu wizytę.

– Nie musisz. Nasłałam na niego chasseurów. Na nich obu.

– Co? – Zrobiła wielkie oczy. Rozbłyły, gdy opowiadałam o przesłuchaniu. Zachichotała, gdy skończyłam. – Ty podstępna mała wiedźmo!

– Ciii! – Podeszłam do drzwi i przyłożyłam do nich ucho, nasłuchując dźwięków z zewnątrz. – Chcesz, żeby nas złapali? A jeśli już o tym mowa...

– Odwróciłam się w jej stronę, gdy miałam już pewność, że nikt nie czał się na korytarzu. – Co ty tu robisz?

– Przybyłam cię ratować, oczywiście.

– Oczywiście. – Przewróciłam oczami.

– Jedna z uzdrowicielek zrezygnowała z pracy, bo w zeszłym tygodniu wyszła za mąż. Ojcowie potrzebowali kogoś na zastępstwo.

Spojrzałam na nią hardo.

– Skąd się o tym dowiedziałaś?

– To proste. – Usiadła na skraju łóżka. Monsieur Bernard cały czas brzdękał, chociaż na szczęście teraz patrzył na nią, nie na mnie. – Wczoraj z samego rana czekałam na osobę, która miała ją zastąpić, i przekonałam ją, że jestem lepszą kandydatką.

– Słucham? Jak?

– Ładnie ją poprosiłam, oczywiście. – Spojrzała na mnie wymownie, po czym przewróciła oczami. – A jak myślisz? Ukradłam jej list polecający i zaczarowałam, żeby zapomniała, jak się nazywa. Prawdziwa Brie Perrot obecnie zażywa wakacji w Amaris i nikt się nigdy w tym nie połapie.

– Coco! Co za głupie ryzyko...

– Przez cały dzień próbowałam znaleźć sposób, by z tobą porozmawiać, ale księża się nieubłagani. Musiałam się szkolić. – Zaciśnęła usta,

wypowiedziawszy to słowo, po czym wyjęła z kieszeni pognieciony kawałek pergaminu. Pierwszy raz widziałam to szpiczaste pismo, ale rozpoznałam ciemną plamę. Ostro zapach magii krwi. – Wysłałam list do ciotki, a ona zgodziła się objąć cię ochroną. Możesz wrócić razem ze mną. Kowen obozuje w pobliżu miasta, ale nie zostanie tam długo. Udadzą się na północ w ciągu dwóch tygodni. Możemy się stąd wymknąć i dotrzeć na miejsce, zanim ktokolwiek zorientuje się, że zniknęłaś.

Ścisnęło mnie w żołądku.

– Coco... – Wzdychając, rozejrzałam się po skromnie urządzonej pokoju, szukając słów. Nie mogłam jej powiedzieć, że nie ufam jej ciotce. Nie mogłam wyznać, że jej słowo nic dla mnie nie znaczy. – Wydaje mi się, że na razie to jest najbezpieczniejsze miejsce. Chasseur dosłownie przysięgł mnie chronić.

– Nie podoba mi się to. – Gwałtownie pokręciła głową i wstała. – Igrasz z ogniem, Lou. Prędeż czy później się sparzysz.

– Miejmy nadzieję, że później. – Uśmiechnęłam się bez przekonania.

Posłała mi gniewne spojrzenie.

– To nie jest śmieszne. Odrzucasz bezpieczeństwo i swoje życie, wybierając mężczyzn, którzy cię spalą, gdy dowiedzą się, kim jesteś.

Zrzedła mi mina.

– Nie, to nie tak. – Już się chciała kłócić, ale nie dopuściłam jej do głosu. – Niczego nie wybieram. Przysięgam. Dlatego tu dzisiaj przyszłam, dlatego będę tu przychodziła każdego dnia, dopóki ona nie przyjdzie po mnie. Ponieważ ona na pewno po mnie przyjdzie, Coco. Nie jestem w stanie wiecznie się ukrywać. – Zamilkłam na chwilę, wzięłam głęboki oddech. – A kiedy przyjdzie, muszę być gotowa. Koniec z poleganiem na sztuczkach i na kostiumach. Albo Basie i tobie. – Posłałam jej skruszony uśmiech i przekręciłam Pierścień Angeliki na palcu. – Czas wziąć sprawy w swoje ręce. Gdybym nie znalazła tego pierścienia w sejfie Tremblaya, po uszy tkwiłabym w gównie. Zbyt długo byłam słaba. Poza tym korytarzem grozi mi zbyt wielkie ryzyko, ale tutaj... tutaj mogę ćwiczyć i nikt się nigdy nie dowie.

Uśmiechnęła się, powoli i szeroko, po czym chwyciła mnie pod rękę.

– To mi się bardziej podoba. Tylko mylisz się w jednej kwestii. Przez cały czas będziesz polegała na mnie, bo ja nigdzie się nie wybieram. Poćwiczmy razem.

Zmarszczyłam czoło, byłam rozdarta. Nie wiedziałam, czy błagać ją, żeby została, czy zmusić ją do odejścia. Ale to już nie była moja decyzja, wiedziałam, co mi odpowie, jeśli spróbuję ją do czegoś zmusić. W końcu to od niej nauczyłam się ulubionych przekleństw.

– To będzie niebezpieczne. Nawet pomimo zapachu maskującego magię chasseurzy mogą nas nakryć.

– I dlatego mnie potrzebujesz – skwitowała – abym mogła wysączyć krew z ich ciał.

– Umiesz to zrobić? – zdziwiłam się.

– Nie wiem. – Puściła do mnie oko i pomachała Monsieur Bernardowi. – Chyba musimy się przekonać.

UCIECZKA

Lou

Mój mąż wrócił po południu, gdy w okolicy zeber łaskotały mnie bąbelki o zapachu lawendy. Jego głos odbijał się echem od ścian:

– Jest tutaj?

– Tak, ale...

Tete carrée nie zatrzymał się, żeby posłuchać, nie zapytał też Ansela, dlaczego stoi w korytarzu, a nie w sypialni. Uśmiechnęłam się, bo już nie mogłam się doczekać. Chociaż zakłóci mi kąpiel, jego mina będzie tego warta.

Oczywiście sekundę później wpadł do pokoju. Przez gigantyczną dziurę w drzwiach łazienki widziałam, jak omiata wzrokiem pomieszczenie. Po chwili spojrzał w stronę łazienki. Z jego gardła wydobył się stłumiony odgłos i jednocześnie zrobił wielkie oczy.

Pomachałam mu radośnie.

– Cześć!

– Ja... Co ty sobie... Ansel! – Prawie zderzył się z futryną, gdy próbował uciec. – Mówiłem, że masz naprawić drzwi!

– Nie było czasu... – w głosie Ansela słychać było histerię.

Warcząc niecierpliwie, mój mąż trzasnął drzwiami.

Wyobraziłam sobie, że jeden z bąbelków piany jest jego twarzą, i przebiłam go palcem. Potem kolejny.

– Jesteś dla niego bardzo niemiły.

Nie odpowiedział. Zapewne próbował opanować rumieniec na twarzy. Wciąż go jednak widziałam. Wspinał się po jego szyi i sięgał miedzianych włosów. Pochyliłam się i założyłam ręce na skraju wanny.

– Gdzie byłeś?

Spiął się, ale nie odwrócił.

– Nie złapaliśmy ich.

– Andre i Grue?

Potaknął.

– I co teraz?

– Wysłaliśmy chasseurów, żeby mieli oko na East End. Jak nam się poszczęści, wkrótce ich namierzemy. Spędzą kilka lat w więzieniu za napad.

– Po tym, jak zdradzą ci informacje o mojej przyjaciółce.

– Po tym, jak zdradzą mi informacje o czarownicy.

Przewróciłam oczami, opryskałam go wodą. Zmoczyła jego miedziane włosy i spłynęła za kołnierz koszuli. Odwrócił się obrażony, zacisnął pięści, po czym powstrzymał się w jednej chwili i zamknął oczy.

– Możesz coś na siebie założyć? – Machnął ręką w moją stronę, drugą cały czas zasłaniając oczy. – Nie mogę z tobą rozmawiać, kiedy siedzisz tutaj... siedzisz tutaj...

– Naga?

Zacisnął zęby, aż rozległo się głośne *trach*.

– Tak.

– Przykro mi, ale nie. Jeszcze nie skończyłam myć włosów. – Z irytacją zanurzyłam się w wodzie. Sięgała mi aż do obojczyka. – Ale teraz możesz patrzeć. Wszystkie ciekawe części ciała mam zakryte.

Otworzył oko. Widząc mnie okrytą pianą, odprężył się – na tyle, na ile był zdolny. Ten mój mąż przez cały czas miał kółek w dupie.

Ostrożnie otworzył drzwi i oparł się o framugę. Ignorowałam go, nabierając na dłoń kolejną porcję mydła lawendowego. Oboje milczeliśmy, gdy przyglądał się, jak myję włosy.

– Gdzie zdobyłaś te blizny? – zapytał.

– Które? – Nie przerywałam mycia.

– Wszystkie.

Wtedy na niego zerknęłam. Serce mi zamarło, gdy uświadomiłam sobie, że patrzy na moje gardło. Zwróciłam jego uwagę na długą, poszarpaną bliznę na ramieniu.

– Wpadłam na zły koniec noża. – Uniosłam łokieć i pokazałam mu kolejne blizny. – Zaplątałam się w drut kolczasty. – Poklepałam się pod obojczykiem. – Tutaj też nóż. Kurewsko bolało.

Nie zwrócił uwagi na mój język, cały czas mi się przyglądał.

– Kto to zrobił?

– Andre. – Zamoczyłam włosy, uśmiechając się, gdy odwrócił wzrok. Potem objęłam kolana i oparłam na nich brodę. – Napadł mnie, kiedy przybyłam do miasta.

– Przykro mi, że ich nie znaleźliśmy. – Westchnął ciężko.

– Znajdziecie.

– Słucham?

– Nie są zbyt rozbawieni. Zapewne pokażą się tu nad ranem i będą chcieli wiedzieć, dlaczego ich szukacie.

Zachichotał i potarł kark, co sprawiło, że mogłam przyjrzeć się jego bicepsowi. Od przesłuchania zakasywał rękawy, a ja nie mogłam się oprzeć i patrzyłam na długą linię jego ręki. Na jego spracowane dłonie. Na delikatne, miedziane włoski na skórze.

Odchrząknął i szybko opuścił rękę.

– Powiniennem iść. Wkrótce będziemy przesłuchiwać Madame Labelle. A potem tego drugiego złodzieja z domu Tremblaya.

Serce mi stanęło, podskoczyłam, rozpryskując wodę i pianę.

– Chyba nie Basa? – Potaknął, mrużąc oczy. – Ale przecież on uciekł!

– Znaleźliśmy go, jak kręcił się przy tylnym wyjściu Soleil et Lune. – Czuć było jego niechęć. – I bardzo dobrze. Prędzej czy później policja i tak by go aresztowała. Zabił jednego ze strażników Tremblaya.

Ja pierdzielę. Usiadłam, panika rozsadzała moją pierś, z trudem oddychałam.

– Co się z nim stanie?

– Zawiśnie – odparł zaskoczony.

Cholera.

Cholera, cholera, *cholera*.

Oczywiście musieli aresztować Basa. *Oczywiście* musiał zamordować strażnika zamiast walnąć go tak, żeby tylko stracił przytomność. Po co w ogóle ten idiota polazł do Soleil et Lune? Wiedział, że go szukają. Przecież *wiedział*. Dlaczego nie uciekł? Powinien już być w połowie drogi nad morze. Dlaczego nie uciekłeś, Bas?

Mimo ciepłej wody w wannie pokryłam się gęsią skórką. Czy... czy to możliwe, że wrócił po mnie? Walczyły we mnie nadzieja i rozpacz, obie tak samo paskudne, lecz po chwili pokonała je panika.

– Musisz pozwolić mi się z nim zobaczyć.

– To wykluczone.

– Proszę. – Nienawidziłam tego słowa, ale jeśli mi odmówi, jeśli nic nie wskóram błaganiem, będę miała jeszcze jedną opcję. Czarowanie poza infirmerią narażało mnie na wielkie niebezpieczeństwo, ale będę musiała zaryzykować.

Ponieważ Bas wiedział wszystko o Coco. I o mnie.

Zastanawiałam się, ile jest warta informacja o dwóch czarownicach. Życie? Wyrok więzienia? W oczach chasseurów to uczciwa wymiana. Bas na pewno nie omieszka z niej skorzystać. Nawet jeśli *rzeczywiście* po mnie wrócił, nie zawaha się mnie wydać, gdy na szali będzie jego życie.

Przekląłam się za to, że mu zaufałam. Znałam jego charakter. Wiedziałam, kim jest, a mimo to pozwoliłam sobie stracić czujność i zdradziłam mu swoje największe tajemnice. Cóż – na pewno jedną z nich. A teraz będę musiała za to zapłacić. Coco również.

Byłam głupia. Taka *głupia*.

– Proszę – powtórzyłam.

Mój mąż zamrugał, był wyraźnie poruszony. Ale szok szybko minął i pojawiła się podejrzliwość.

– Dlaczego tak się nim przejmujesz? – warknął.

– Jest przyjacielem. – Już mi nie zależało na ukrywaniu desperacji obecnej w moim głosie. – Bliskim przyjacielem.

– Naturalnie. – Widząc moją zboląłą minę, wbił wzrok w sufit i dodał niechętnie: – Będzie mógł się uratować sam.

– W jaki sposób?

Znałam odpowiedź, ale wstrzymałam oddech, bojąc się tego, co powie.

– Naszym priorytetem jest czarownica – potwierdził. – Jeśli udzieli nam informacji, która doprowadzi do jej złapania, jego wyrok zostanie złagodzony.

Chwyciłam się krawędzi wanny, zmusiłam do zachowania spokoju. Drugą ręką dotknęłam blizny na gardle – robiłam to odruchowo, gdy byłam wzburzona.

Po długiej chwili usłyszałam jego głos:

– Dobrze się czujesz? Wyglądasz... blado.

Kiedy nic nie odpowiedziałam, podszedł do mnie i ukląkł przy wannie. Nie przejmowałam się tym, że piany było coraz mniej. Widocznie on też. Wyciągnął rękę i dotknął kosmyka przy moim uchu. Mydliny zostały na jego palcach.

– Tutaj nie spłukałaś.

Milczałam, więc zrobił łódkę z dłoni i nabrał wody, po czym polał nią moje włosy. Wstrzymałam oddech, gdy jego palce zatrzymały się na moim gardle.

– A jaka jest historia tej? – zapytał szeptem.

Przełknęłam ślinę i próbowałam wymyślić jakieś kłamstwo, ale nic nie przyszło mi do głowy.

– To opowieść na inny dzień, Chass.

Odsunął się, wciąż kucając, i spojrzał mi prosto w twarz.

Instynktownie zakryłam bliznę i wpatrywałam się w swoje odbicie w wodzie. Po wszystkim, co przeszłam – po wszystkim, co wycierpiałam – nie spłonę przez Basa. Nie będę się dla nikogo poświęcać. Nie wtedy. Nie teraz. Nigdy.

Mogłam zrobić tylko jedną rzecz.

Muszę go uratować.

Niedługo potem mój mąż udał się do sali rady. Wyskoczyłam z wanny i poszłam po świecę, którą ukryłam w szafce z pościelą. Zakosiłam ją z sanktuarium, gdy wczoraj rano udałam się na rynek. Szybкими, wyćwiczonymi ruchami zapaliłam ją i postawiłam na biurku. Pokój natychmiast wypełnił się ziołowym aromatem, a ja westchnęłam z ulgą. Zapach nie był identyczny, ale na szczęście wystarczająco podobny. Zanim wróci, magia się rozproszy. A przynajmniej miałam taką nadzieję.

Przez kilka minut nie mogłam się uspokoić i maszerowałam po pokoju. W końcu usiadłam na łóżku. Niecierpliwie czekałam na powrót Ansel.

Był młody. Być może uda się go łatwo podniecić. Tak przynajmniej sobie wmawiałam.

Minęła cała wieczność, zanim wreszcie zapukał.

– Proszę!

Niepewnie wszedł do pokoju, zerknął na łaźnię. Widocznie sprawdzał, czy jestem przyzwoicie ubrana.

Wstałam i wzięłam głęboki wdech, przygotowując się na nieuniknione. Mogłam jedynie mieć nadzieję, że Ansel nie miał przy sobie balisardy.

Uśmiechając się nieśmiało, popatrzyłam mu w oczy, gdy postąpił w głąb pokoju. Z napięcia czułam ciarki na całej skórze.

– Tęskniłam za tobą.

Zamrugał, słysząc mój dziwny głos, i zmarszczył brwi. Zbliżyłam się do niego i położyłam dłoń na jego przedramieniu. Chciał odskoczyć, ale w ostatniej chwili się opanował. Ponownie zamrugał.

Wtuliłam się w jego pierś i wachałam jego zapach – jego esencję. Moja skóra błyszczała na tle jego jasnoniebieskiego płaszcza. Oboje spojrzeliśmy na ten blask z otwartymi ustami.

– Taki silny – wyszeptałam. Słowa zabrzmiały głęboko i namiętne. – Taki szlachetny. Pomylili się, gdy cię nie docenili.

Na te słowa i pod wpływem mojego dotyku jego twarz się zmieniła. Przemknęły przez nią różne emocje.

Dezorientacja. Panika. Pożądanie.

Pogładziłam go palcem po policzku. Nie uchylał się.

– Widzę twoją wielkość, Anselu. Zabijesz wiele czarownic.

Zatrzepotał rzęsami, a potem już był mój. Objęłam go w pasie, lśniąć jeszcze jaśniej.

– Pomożesz mi? – Potaknął, patrzył na mnie rozszerzonymi źrenicami. Pocałowałam wnętrze jego dłoni i głęboko wciągnęłam jego zapach. – Dziękuję.

Reszta była prosta.

Zaprowadził mnie do lochów. Zamiast w dół wąskiej klatki schodowej prowadzącej do sali rady, udaliśmy się w prawo, do cel więzienia, w którym siedział Bas. Chasseurzy – w tym mój mąż – nadal przesłuchiwali Madame Labelle i przed celami stało tylko dwóch strażników. Mieli jasnoniebieskie płaszcze jak Ansel.

Odwrócili się zaskoczeni naszym widokiem, natychmiast sięgnęli po broń – ale nie po balisardy. Uśmiechnęłam się, gdy pomiędzy nami pojawiły się migoczące, złote wzory. Sądziły, że są bezpieczni w swojej Wieży. Głupcy. Nieostrożni głupcy.

Chwyciłam złotą pajęczynę w garść i westchnęłam, gdy moje czułe wspomnienia Basa – miłość, którą niegdyś do niego czułam, ciepło, które mi dawał – zaczynały rzednąć. Strażnicy padli na ziemię, a postronki zniknęły w kłębie złotego pyłu. *Wspomnienie za wspomnienie, zaskrzeczał głos w mojej głowie. To dobra cena. Tak jest lepiej.*

Gdy Bas mnie zauważył, jego oczy zalśniły triumfalnie. Podeszłam do jego celi, przechyliłam głowę, by mu się przyjrzeć. Zgolili mu włosy i zarost, żeby nie nabawił się pcheł. Nie było mu z tym do twarzy.

– Lou! – Chwycił kratę i jego głowa pojawiła się między prętami. W jego oczach pojawiła się panika. – Dzięki Bogu, jesteś. Mój kuzyn próbował się za mną wstawić, ale go nie słuchali. Chcą mnie powiesić, Lou, jeśli nie powiem im o Coco... – przerwał. Zdjął go prawdziwy strach, gdy zauważył odległy, niesamowity wyraz mojej twarzy. Moja skóra zajaśniała mocniej. Ansel padł na kolana.

– Co robisz? – Bas zasłonił rękami oczy, żeby nie poddać się urokowi. – Nie rób tego. Przepraszam, że zostawiłem cię u Tremblaya. Wiesz, że nie jestem aż tak odważny ani tak sprytny jak ty i Coco. To był błąd. Powinienem być zostać. Powinienem był ci pomóc...

Gdy się zbliżyłam, wstrząsnął nim dreszcz. Posłałam mu chłodny uśmiech.

– Lou! Proszę! – błagał. Kolejny wstrząs, tym razem silniejszy. – Nie powiem im, co wiem o was. Wiesz przecież! Nie, proszę, nie!

Opuścił ramiona, a kiedy ręce opadły mu wzdłuż ciała, jego twarz przestała cokolwiek wyrażać.

– Sprytnie, Bas. Przebiegle. Zawsze umiesz wszystko ubrać w słowa. – Ujęłam jego twarz w dłonie przez kraty. – Zamierzam coś ci dać, Bas, a w zamian ty dasz coś mnie. Jak ci się to podoba? – Potaknął i się uśmiechnął. Zbliżyłam się i pocałowałam go w usta. Posmakowałam jego oddechu. Westchnął z zadowoleniem. – Zamierzam cię uwolnić. Jedyne, o co proszę w zamian, to twoje wspomnienia.

Zacisnęłam palce na jego policzku – na złocie wirującym wokół jego przystojnej twarzy. Nie walczył, gdy wbiłam mu paznokcie w skórę, gdy naruszyłam małą, srebrną bliznę na jego szczęce. Przez chwilę zastanawiałam się, gdzie ją zdobył.

Kiedy skończyłam – kiedy złota mgiełka skradła każde wspomnienie o mnie i o Coco z jego umysłu – Bas padł na podłogę. Jego twarz krwawiła, rozorana moimi paznokciami, ale poza tym nic mu nie dolegało. Pochyliłam się, żeby odpiąć klucze od pasa strażnika, i rzuciłam je za kraty. Potem odwróciłam się do Ansela.

– Twoja kolej, słodziutki. – Ukłękłam i objęłam go za ramiona, ustami musnęłam jego policzek. – To może trochę boleć.

Skradłam Anselowi pamięć o niedawnych wydarzeniach. Po zaledwie kilku sekundach padł na ziemię.

Coraz trudniej było mi zachować przytomność, czerń wsączała się na skraj mojego widzenia, gdy powtarzałam to samo ze strażnikami. Musiałam zapłacić cenę. Zabrałam, więc teraz musiałam dać. Natura żądała równowagi.

Chwiejąc się, padłam na Ansela i poddałam się ciemności.

Niedługo potem odzyskałam przytomność. Bolała mnie głowa, ale to nie był problem. Szybko się podniosłam. Drzwi celi były otwarte, Bas zniknął. Ansel jednak wciąż się nie ruszał.

Przygryzłam wargę i zastanawiałam się, co robić. Zostanie ukarany, jeśli znajdą go przed pustą celą więźnia, tym bardziej że na ziemi wciąż leżą dwaj nieprzytomni strażnicy. Co gorsza, nie będzie pamiętał, jak się tu dostał, więc się nie obroni.

Pomasowałam skronie i próbowałam wymyślić jakiś plan. Musiałam się pospieszyć – potrzebowałam czegoś, żeby pozbyć się zapachu magii ze skóry, zanim złapią mnie chasseurzy – ale nie mogłam go tak zostawić. Nie widząc innego wyjścia, chwyciłam go pod pachami i zaczęłam odciągać. Po kilku krokach moje kolana zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Był cięższy, niż sądziłam.

Gdy dotarłam do klatki schodowej, usłyszałam podniesione głosy. Chociaż Ansel zaczynał się wreszcie ruszać, nie byłam wystarczająco silna, żeby wciągnąć go na schody. Głosy się zbliżały. Klnąc pod nosem, wepchnęłam go do pomieszczenia za pierwszymi drzwiami i zamknęłam się z nim w środku.

Kiedy się rozejrzałam, odetchnęłam z ulgą. Byliśmy w bibliotece. Małej i pozbawionej ozdób, jak wszystkie pomieszczenia tutaj.

Słyszałam kroki ludzi biegnących po korytarzu. Do kakofonii dołączyły nowe głosy.

– Zniknął!

– Przeszukać Wieżę!

Ale cudownym zrzędzeniem losu nikt nie otworzył drzwi biblioteki. Modląc się, by tak pozostało, zatargałam Ansela na fotel. Zamrugnął, próbując skupić wzrok.

– Gdzie jesteśmy?

– W bibliotece. – Padłam na krzesło obok i wyjęłam pierwszą lepszą książkę z regału. *Dwanaście traktatów o tym, jak wytepić okultyzm*. Oczywiście. Ręce mi drżały z wysiłku, gdyż z trudem powstrzymywałam się, żeby nie powyrywać kartek ze środka. – Przed chwilą byliśmy w infirmerii z ojcem Orvillem i Co... to znaczy Mademoiselle Perrot. Przyprowadziłeś mnie tutaj, żebym... żebym... – Szybko położyłam na książce oprawioną w skórę Biblię. – Żebym się podszkoliła. I tyle.

– S... Słucham?

Jęknęłam, gdy drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadł mój mąż z Jean Lukiem.

– To ty, prawda? – Jean Luc podszedł i zmierzył mnie morderczym spojrzeniem.

Mój mąż wystąpił do przodu, ale wyprzedził go Ansel. Lekko się chwiał, ale na widok agresji Jean Luca jego wzrok odzyskał ostrość.

– O czym ty mówisz? Co się stało?

– Więzień uciekł – warknął Jean Luc. Mój mąż znieruchomiał, poruszały się tylko jego nozdrza. Cholera. Zapach. Przyłgnął do mnie i do Ansela jak druga skóra, snuł się za nami z otwartej celi. – Jego cela jest pusta. Strażnicy zostali pozbawieni przytomności.

Byłam stracona. Na zawsze. Objęłam kolana, żeby nie trzęsły mi się ręce, i z wymuszonym spokojem spoglądałam im w oczy. Przynajmniej chasseurzy mnie nie spalą. Nie rozleją ani kropli mojej krwi. Cieszyło mnie to małe zwycięstwo.

Mąż przyglądał mi się przez zmrużone oczy.

– Co... to za zapach?

W korytarzu zadudniły kroki i zanim zdołałam odpowiedzieć, do biblioteki wpadła Coco. Gdy się pojawiła, otuliła nas nowa fala mdląco słodkiego zapachu, a mnie serce podeszło do gardła.

– Podśluchałam, jak kapłani rozmawiali o ucieczce więźnia! – Sapała i trzymała się za bok. Kiedy spojrzała mi w oczy, skinęła, dodając mi otuchy, i wyprostowała się, by białe szaty uzdrowicielki zakryły każdy fragment jej ciała. – Przyszłam sprawdzić, czy mogę w czymś pomóc.

Jean Luc zmarszczył nos z niesmakiem, czując bijący od niej smród.

– Kim pani jest?

– Brie Perrot. – Dygnęła, szybko odzyskując spokój. – Nowa uzdrowicielka w infirmerii.

Zmarszczył brwi. Nie wyglądał na przekonanego.

– Wobec czego wie pani, że uzdrowicielki nie mogą snuć się samopas po Wieży. Nie powinna tu pani przychodzić, zwłaszcza w sytuacji, gdy na wolności grasuje więzień.

Coco posłała mu pogardliwie spojrzenie, po czym zwróciła się do mojego męża:

– Kapitanie Diggory, pańska żona towarzyszyła mi wcześniej, gdy czytałam pacjentom Przykazania. Ansel był z nią. Prawda, Ansel?

Boże, była cudowna.

Ansel zamrugnął, wciąż nie mógł zebrać myśli.

– Ja... Tak. – Zmarszczył brwi i pokręcił głową, starając się wypełnić luki w pamięci. – Brałaś kąpiel, ale my... rzeczywiście poszliśmy do infirmerii. – Zmrużył oczy, żeby się skupić. – Ja... modliłem się z ojcem Orvillem.

Westchnęłam z ulgą, trzymając kciuki za to, żeby wspomnienia chłopaka pozostały niejasne.

– Czy on to potwierdzi? – zapytał mój mąż.

– Tak.

– Wspaniale, doprawdy. Jednakże to nie wyjaśnia, dlaczego w celi cuchnęło magią. – Jean Luc był wyraźnie zirytowany tym, że Coco go zignorowała. Patrzył na nas wściekle. – Ani dlaczego strażnicy stracili przytomność.

Coco posłała mu wredny uśmiech.

– Niestety, zostałam odwołana do opieki nad pacjentami, zanim zdołałam poinstruować Madame Diggory, żeby dokładnie się umyła. Ona i Ansel wyszli wkrótce potem.

Przewiercało mnie spojrzenie mojego męża.

– Oczywiście przyszłaś od razu tutaj zamiast do naszego pokoju.

Starłam się nie tracić zimnej krwi. Jeśli będę miała szczęście, uda mi się wyjść cało z tej sytuacji.

– Ansel chciał mnie nauczyć kilku wersów, a ja... ja poszłam odwiedzić go w celi. Basa. – Bawiąc się kosmykiem włosów, popatrzyłam na niego przez rzęsy. – Wspominałeś, że może zawisnąć, więc chciałam z nim pomówić... zanim to się stanie. Ostatni raz. Przepraszam.

Nic nie powiedział. Tylko patrzył na mnie ze złością.

– A strażnicy? – zapytał Jean Luc.

Wstałam, żeby przekonał się, jaka jestem drobna.

– Naprawdę sądzisz, że mogłabym ogłuszyć dwóch potężnych facetów?

– Tak – odparł mój mąż bez namysłu.

W innych okolicznościach uznałabym to za komplement. Teraz jednak jego niezachwiana wiara w moje umiejętności była mi zupełnie nie na rękę.

– Byli nieprzytomni, gdy przyszedłem – skłamałam. – A po Basie nie było już śladu.

– Dlaczego nie poinformowałaś nas od razu? Dlaczego uciekłaś? – Jean Luc zmrużył wyblakłe oczy, podszedł do mnie tak blisko, że musiałam zachować z nim kontakt wzrokowy. Posłałam mu gniewne spojrzenie.

Dobrze. Jeśli chciał poczuć się mocny, mogłam mu pójść na rękę.

Spuściłam wzrok, drżała mi broda.

– Ja... Przyznaję, że czasami ogranicza mnie słabość mojej płci, *monsieur*. Kiedy zobaczyłam, że Bas uciekł, spanikowałam. Wiem, że to żadne wytłumaczenie.

– Dobry Boże. – Przewracając oczami na widok moich łez, Jean Luc posłał zniecierpliwione spojrzenie mojemu mężowi. – Możesz to wyjaśnić Jego Ekscelencji, *kapitanie*. Z pewnością będzie zachwycony twoją kolejną porażką. – Ruszył do wyjścia, każąc nam się rozejść. – Proszę wrócić do infirmerii, Mademoiselle Perrot, i na przyszłość pamiętać, gdzie jest pani miejsce. Uzdrawiaczki mają wstęp tylko do zamkniętych pomieszczeń – infirmerii, dormitoriów oraz tylnych schodów. Jeśli zamierza pani udać się w inne miejsce Wieży, musi pani się umyć i poddać inspekcji. Jako że jest pani nowa w Wieży, tym razem przymknę oko na takie zachowanie, ale porozmawiam z księżmi. Na pewno dołożą starań, żeby się to nie powtórzyło.

Gdyby Coco mogła wysączyć z kogoś krew, na pewno zrobiłaby to tu i teraz. Szybko się wtrąciłam:

– To moja wina. Nie jej.

Jean Luc uniósł ciemną brew i pochylił głowę.

– Jaki ze mnie głupek. Masz rację, oczywiście. Gdybyś posłuchała Reida, można by wszystkiego uniknąć.

Chociaż sama brałam na siebie winę, miałam już tego dość. Jak widać, mój mąż nie był najbardziej nadętym dupkiem ze wszystkich dupków. Ten tytuł należał się Jean Lucowi. Już otworzyłam usta, żeby mu to zakomunikować, kiedy wtrącił się mój nieszczęsny mąż:

– Chodź tutaj, Ansel.

Chłopak głośno przełknął ślinę i zrobił krok do przodu, zakładając na plecy drżące ręce. Poczułam niepokój.

– Dlaczego pozwoliłeś jej wejść do infirmerii?

– Powiedziałam już, że zaprosiłam... – zaczęła Coco, ale ugryzła się w język, widząc minę Reida.

Policzki Anselą pokryły się rumieńcem, zerknął na mnie błagalnie.

– Ja... Ja tyko zabrałem Madame Diggory na górę, ponieważ...

– Ponieważ mamy pewne zobowiązania wobec tych nieszczęsnych dusz. Uzdrowicielki mają roboty po pachy: są przepracowane, bo brakuje personelu. W zasadzie nie mają czasu zaspokajać podstawowych potrzeb pacjentów, a co dopiero zajmować się ich duszami. – Kiedy to go nie przekonało, dodałam: – Poza tym śpiewałam nieprzyzwoitą piosenkę i nie chciałam przestać, dopóki mnie tam nie zabrał. – Wyszczrzyłam zęby, próbując się uśmiechnąć. – Chciałbyś jej posłuchać? Opowiada o cudnej kobiecie, Biuściastej....

– Wystarczy. – W jego oczach dojrzałam złość, tym razem jak najbardziej realną. Nie poniżenie. Nie irytację. Złość. Przyglądał nam się uważnie. – Jeśli dowiem się, że któreś z was kłamie, nie będę miał litości. Wszyscy zostaniecie ukarani.

– Przysięgam...

– Powiedziałem ci, że infirmeria jest strefą zakazaną – mówił ostro, bezlitośnie. – Spodziewałem się, że moja żona mnie nie posłucha. Nie spodziewałem się tego po tobie. Możesz odejść.

Ansel spuścił głowę.

– Rozkaz.

Poczułam wściekłość, widząc, jak noga za nogą udaje się do wyjścia. Wstałam, chcąc za nim pójść, objąć go, pocieszyć, ale mój dumny mąż złapał mnie za rękę.

– Zostań. Muszę zamienić z tobą słówko.

Wyszarpnęłam się i od razu wypaliłam:

– A ja chciałabym pogadać z tobą. Jak śmiesz obwiniać Anselę? Jakby to była jego wina!

Jean Luc przeciągle westchnął.

– Zaprowadzę panią do infirmerii, Mademoiselle Perrot. – Podał jej ramię. Widocznie znużył go już kierunek, jaki obrała ta rozmowa. Ona spojrzała na niego tak, że aż mnie zmroziło. Ze złością odwrócił się, by wyjść bez niej, ale na progu stał Ansel, blokując wyjście. Na jego rzesach wisały łzy, gdy patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami; nie mógł się otrząsnąć z szoku, że ktoś się za nim wstawił. Jean Luc popchnął go niecierpliwie, mrużąc coś, czego nie dosłyszałam. Zagotowałam się.

– Miał cię pilnować. – Oczy mojego męża płonęły złością, zapomniał, że słuchają nas inni. – Nie dopilnował swoich obowiązków.

– Och, *ta gueule!* – Założyłam ręce na piersi, żeby nie rzucić mu się do gardła. – Do cholery, jestem dorosłą kobietą i sama podejmuję decyzje. Nie możesz obwiniać nikogo poza mną. Jeśli zamierzasz kogoś prześladować, to wyżyj się na mnie, a nie na Anselu. Biedny dzieciak, ma przesrane przy tobie...

Jego twarz spurpurowiała.

– Nie jest dzieckiem! Odbywa szkolenie na chasseura, a skoro tak się zachowuje, powinien nauczyć się brać odpowiedzialność...

– Ansel, rusz się – powiedział Jean Luc spokojnie, przerywając naszą sprzeczkę. W końcu udało mu się przepchnąć chłopaka przez drzwi. – Chociaż jest to zabawne przedstawienie, niektórzy z nas muszą pracować, szukać zbiegłych więźniów, palić czarownice... Takie tam. Mademoiselle Perrot, ma się pani znaleźć w infirmerii w ciągu dziesięciu minut. Sprawdzę to. – Posłał nam ostatnie, zirytowane spojrzenie, po czym wyszedł z biblioteki. Coco przewróciła oczami i ruszyła jego śladem, ale zawahała się na progu. W jej oczach pojawiło się nieme pytanie.

– W porządku – mruknęłam.

Skinęła głową, posłała mojemu mężowi pełne złości spojrzenie, po czym zamknęła za sobą drzwi.

Cisza pomiędzy nami była nie do zniesienia. Miałam wrażenie, że książki zaraz zajmą się ogniem. To by nawet miało sens, bo każda z nich była przesycona złem. Spojrzałam jeszcze raz na *Dwanaście traktatów o tym, jak wytepić okultyzm*. Wokół mnie pojawiły się złote wzory. Gdybym nie była taka wściekła, chyba bym się wystraszyła. Po raz pierwszy od dawna oczami duszy zobaczyłam te nieproszone złote wzory. Czułam, że budzi się we mnie magia, pragnie się uwolnić po latach tłumienia.

Wystarczy iskra, namawiała mnie. Uwolnij swój gniew. Spal tę stronę.

Ale nie chciałam uwalniać swojego gniewu. Chciałam udusić nim swojego męża.

– Okłamałaś nas – przeciął ciszę ostrym tonem. Chociaż wciąż patrzyłam na książkę, mogłam sobie łatwo wyobrazić żyłę na jego gardle, napięty mięsień na jego szczęce. – Madame Labelle zeznała, że czarownica nazywa się Cosette Monvoisin, nie Alexandra.

Tak, i właśnie zastanawia się, jak wysączyć całą krew z twojego ciała. Być może jej pomożę. Z impetem odstawiłam na półkę *Dwanaście*

traktatów.

– Wiedziałaś, że jestem wężem, gdy mnie brałaś.

Uderzył pięścią w stół.

– To nie jest zabawa! Na naszych barkach spoczywa zapewnienie *bezpieczeństwa* całemu królestwu. Widziałaś infirmerię! Czarownice są *niebezpieczne*...

Zacisnęłam dłonie w pięści, wzory wokół mnie migotały jak szalone.

– Tak jakby chasseurzy nie byli.

– Próbujemy was chronić!

– Nie oczekuj, że cię przeproszę! – Zaczęło mi dzwonić w uszach, gdy podbiegłam do niego, położyłam obie dłonie na jego piersi i pchnęłam. Ani drgnął, więc wyburczałam: – *Zawsze* będę chronić tych, którzy są dla mnie ważni. Rozumiesz? *Zawsze*.

Popchnęłam go tym razem mocniej, ale złapał mnie za rękę i zatrzymał przy swojej piersi. Pochylił się i uniósł miedzianą brew.

– Czyżby? – Jego głos znów był łagodny. Niebezpieczny. – To dlatego pomogłaś swojemu kochankowi w ucieczce?

Kochankowi? Zaskoczona uniosłam głowę, żeby spiorunować go wzrokiem.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Więc zaprzeczasz, tak? Że jest twoim kochankiem?

– *Powiedziałam* – powtórzyłam, patrząc wymownie na jego dłonie otaczające moje ręce – że nie wiem, o czym mówisz. Bas nie jest moim kochankiem, nigdy nie był. A teraz mnie puść.

Ku mojemu zaskoczeniu zrobił to, jakby przestraszył się, że w ogóle mnie dotknął. Odsunął się o kilka kroków.

– Nie będę mógł cię chronić, jeśli będziesz mnie okłamywać.

Rzuciłam się do wyjścia, nie patrząc na niego.

– *Va au diable*.

Idź do diabła.

PANIE, MIEJ LITOŚĆ

Lou

Z sanktuarium dobiegały stłumione głosy, światło świec tańczyło na twarzach otaczających nas ikon. Ziewając, patrzyłam na najbliższą – zwykłą kobietę z wyrazem najwyższego znudzenia na twarzy. Czułam się tak samo.

– Wciąż pamiętam swoją pierwszą próbę. Od razu trafiłem w dziesiątkę. – Arcybiskup zachichotał, jarając się przy tym tak, jak to robią starzy faceci, gdy opowiadają historie z przeszłości. – Zauważcie, że byłem nowy na ulicy, niedawno skończyłem siedem lat, nie miałem przy sobie ani *couronne*, nie miałem żadnego doświadczenia. Nigdy nie *trzymałem* łuku w ręce, w życiu nie wypuściłem strzały. Stary biskup uznał to za znak od Boga.

Usta mojego męża drgnęły w odpowiedzi.

– Wierzę w to.

Znowu ziewnęłam. W oratorium było duszno, a suknia, którą miałam na sobie – skromna, szaro-bura i rozkosznie ciepła – nie pomagała. Opadały mi powieki.

Znakiem od Boga będzie to, że wytrwam do końca mszy bez chrapania.

Po akcji w bibliotece pomyślałam, że, ach, *rozsądnie* będzie przyjąć zaproszenie męża do uczestnictwa w wieczornej mszy. Chociaż nie wiedziałam, czy uwierzył, że studiowałam Pismo, zapalił się do tego pomysłu, a ja musiałam spędzić resztę dnia na zapamiętywaniu poszczególnych wersów. Najbardziej diaboliczna ze wszystkich kar.

– „Rynna ciekąca stale w dzień dżdżysty, podobna do żony swarliwej” – recytował, patrząc na mnie i czekając, aż powtórzę. Wciąż był wkurzony po naszej wcześniejszej kłótni.

– Deszcz i faceci to zawracanie dupy.

Spojrzał ze złością, ale nie skomentował.

– „Kto chce ją wstrzymać, ten wiatr wstrzymuje lub zbiera oliwę do ręki”.

– „Kto chce ją wstrzymać...” Coś o oliwie i dłoni... – Zawadiacko uniosłam brew. – *Quel risque!* Co to w ogóle za książka...?

Przerwał mi, zanim zdołałam jeszcze bardziej nadszarpnąć jego honor.

– „Żelazo żelazem się ostrzy, a człowiek urabia charakter bliźniego” – rzucił ostro.

– Żelazo żelazem się ostrzy, a tyś dupek, ponieważ ja też jestem kawałkiem metalu.

I tak to szło. Szczerze mówiąc, ucieszyłam się z tego zaproszenia na mszę.

Arcybiskup znowu parsknął śmiechem i aż poklepał się po ramieniu.

– Oczywiście podczas drugiej próby w ogóle nie trafiłem w tarczę.

– I tak lepiej ekscelencji poszło. Mnie trafienie w cel zajęło tydzień.

– Bzdura! – Arcybiskup pokręcił głową, wciąż uśmiechając się na to wspomnienie. – Doskonale pamiętam twój wrodzony talent. Byłeś o wiele bardziej uzdolniony niż pozostali nowicjusze.

Bicie dzwonów powstrzymało mnie przed wskoczeniem do kominka.

– Ach. – Udając, że właśnie coś sobie przypomniał, arcybiskup opuścił rękę, wyprostował się i poprawił sutannę przy szyi. – Msza się zaraz rozpocznie. Przepraszam, muszę dołączyć do pozostałych celebrantów. – Zatrzymał się na progu, gdy się odwrócił, miał zaciętą minę. – I proszę, *pamiętaj*, kapitanie Diggory, o czym rozmawialiśmy dziś po południu. Należy się temu przyjrzeć.

Mój mąż potaknął, rumieniąc się.

– Tak, ekscelencjo.

– Czemu się przyglądać? O co, do licha, chodzi?

– O nic. – Odchrząknął i podał mi rękę. – Idziemy?

Wyminęłam go i weszłam do sanktuarium.

– Będą się przyglądać, a niech to szlag.

Sanktuarium w Saint-Cécile rozświetlały setki świec, więc wyglądało jak miejsce z marzeń lub koszmarów. W wielkim kościele zebrało się pół miasta, żeby wysłuchać kazania arcybiskupa. Ci wystarczająco bogaci, by

zasłużyć na miejsca siedzące, ubrali się w drogie szaty w głębokich kolorach: suknie w odcieniach burgundu, ametystu, szmaragdu ze złotymi wykończeniami, koronkowymi rękawami, futrzanymi mufkami i jedwabnymi fularami. W uszach błyszczały perły, na szyjach i nadgarstkach ostentacyjnie lśniły brylanty.

W tylnej części katedry stali biedniejsi członkowie wspólnoty, mieli poważne, brudne twarze. Ręce złożone do modlitwy. Wśród nich stali też chasseurzy w niebieskich płaszczach, w tym Jean Luc. Pomachał do nas.

Zakląłam pod nosem, kiedy mój mąż ruszył w jego stronę.

– Mamy stać przez całą mszę?

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Czy kiedykolwiek byłaś w kościele?

– Oczywiście, że tak – skłamałam, zapierając się, gdy próbował mnie pociągnąć. Żałowałam, że nie mam kaptura. Było tam więcej ludzi, niż się spodziewałam. Zapewne żadnych czarownic, ale nigdy nie wiadomo... W końcu *ja* tu byłam. – Raz czy dwa. – Widząc jego zaskoczenie, dodałam: – Jestem kryminalistką, pamiętasz? Wybacz, że nie zapamiętałam każdego przykazania i każdej reguły.

Przewracając oczami, pociągnął mnie kilka kroków do przodu.

– Chasseurzy stoją w oznace pokory.

– Ale ja *nie jestem* chasseurzem...

– I chwała Bogu za to. – Jean Luc odsunął się, żeby zrobić nam miejsce, a mój dominujący mąż wepchnął mnie pomiędzy. Podali sobie ręce, ale widać było napięcie między nimi. – Nie wiedziałem, że do nas dołączysz po tej akcji po południu. Jak Jego Ekscelencja zniósł to wszystko?

– Nie winił nas.

– To kogo winił?

Mój mąż zerknął na mnie, ale trwało to zaledwie ułamek sekundy, po czym znowu popatrzył na Jean Luca.

– Nowicjuszy na służbie. Zostali odsunięci.

– I słusznie.

Wiedziałam, że nie powinnam się odzywać. Na szczęście ich rozmowę przerwali wierni, którzy wstali i zaczęli śpiewać. Mój mąż i Jean Luc dołączyli, gdy arcybiskup i koncelebrujący weszli do katedry, skierowali się nawą ku ołtarzowi i pokłonili przed nim. Nie wiedziałam, co śpiewają, bo nie rozumiałam ani słowa z ich ponurej ballady, więc wymyśliłam własny tekst.

Być może występowała w nim barmanka o imieniu Liddy.

Gdy zapadła cisza, mój mąż ze złością szturchnął mnie łokciem. Wydawało mi się, że Jean Luc próbował powstrzymać się od śmiechu.

Arcybiskup zwrócił się do zgromadzonych:

– Niech Pan będzie z wami.

– I z duchem twoim – odpowiedzieli chórem.

Patrzyłam zafascynowana, jak duchowny unosi ręce.

– Bracia, wyznajmy nasze grzechy i przygotujmy się do przyjęcia sakramentów.

– Panie, miej litość! – powiedział jeden z księży stojących obok niego.

– Zostałeś zesłany, by wyleczyć strapione serca – ciągnął arcybiskup. – Panie, miej litość!

– Panie, miej litość! – powtórzyli wierni.

– Przyszedłeś, by narody mogły żyć w pokoju boskiego królestwa. Panie, miej litość!

Pokój boskiego królestwa? Prychnęłam i założyłam ręce na piersi. Mój mąż ponownie mnie szturchnął i bezgłośnie powiedział: *Przestań.* Przewiercał mnie spojrzeniem tych swoich niebieskich oczu. *Mówię poważnie.* Jean Luc tym razem otwarcie się szczyrzył.

– Panie, miej litość!

– Przyszedłeś w słowie i sakramencie, by wzmocnić nas w świętości. Panie, miej litość!

– Panie, miej litość!

– Przyszedłeś w chwale, niosąc ludziom zbawienie. Panie, miej litość!

– Panie, miej litość!

– Hipokryta – mruknęłam, nie mogąc się powstrzymać.

Mój mąż o mało nie eksplodował. Znowu zrobił się czerwony, na gardle pulsowała mu żyła. Chasseurzy wokół nas albo posyłali mi gniewne spojrzenia, albo się śmiali. Jean Luc aż cały drżał z tłumionego śmiechu, ale według mnie ta sytuacja nie była aż tak zabawna. Gdzie jest to całe zbawienie dla moich bliskich? Gdzie jest ta cała litość dla *nas*?

– Niech wszechmogący Bóg ma nas w swojej opiece, wybacza nam nasze grzechy i doprowadzi nas do życia wiecznego.

– Amen.

Wierni od razu zaczęli kolejną pieśń, ale ja już się wyłączyłam. Przyglądałam się tylko, jak arcybiskup wznosi ręce do nieba, zamyka oczy i zatracą się w śpiewie. Jak Jean Luc, uśmiechając się, szturcha mojego

męża, gdy w tym samym momencie pomylili słowa. Jak mój mąż śmieje się z urazą i go odpycha.

– Ty, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami – zaintonował chłopiec stojący przed nami. Trzymał ojca za rękę i podrygiwał do rytmu. – Ty, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami. Ty, który gładzisz grzechy świata, przyjmij naszą modlitwę.

Zmiłuj się nad nami.

Przyjmij naszą modlitwę.

Pod koniec sesji tortur z Przysłowiami padło zdanie, którego nie rozumiałam. *Oblicze odbija się w wodzie, a w sercu odbija się człowiek.*

– Co to znaczy?

– To znaczy... że woda jest jak lustro – wyjaśnił mój mąż, marszcząc lekko brwi. – Możemy się w niej przejrzeć. A nasze życie, to, jak żyjemy, to, co robimy... – Wbił wzrok w swoje dłonie, nagle nie będąc w stanie spojrzeć mi w oczy. – Odzwierciedla to, co w naszych sercach.

To miało sens, wyjaśnione w ten sposób. A mimo to... rozejrzałam się i ponownie popatrzyłam na wiernych – mężczyzn i kobiety, którzy prosili o zmiłowanie, a jednocześnie pragnęli mojej krwi. Jak to możliwe, że w ich sercach jest miejsce na obie te rzeczy?

– Lou, ja... – Odchrząknął i zmusił się do spojrzenia na mnie. Widziałam szczerłość w jego błękitnych oczach. I żal. – Nie powinienem na ciebie krzyczeć. W bibliotece. Przepraszam.

Nasze życie odzwierciedla to, co w naszych sercach.

To miało sens, wyjaśnione w ten sposób, ale wciąż nie rozumiałam. Nie rozumiałam swojego męża. Nie rozumiałam arcybiskupa. Ani podrygującego chłopca. Ani jego ojca. Ani Jean Luca i chasseurów, ani czarownic, ani jej. Nikogo z nich nie rozumiałam.

Czując na sobie spojrzenie chasseurów, uśmiechnęłam się w wymuszony sposób i szturchnęłam męża biodrem, udając, że wszystko było tylko na pokaz. Dla śmiechu. Że tylko drażniłam się z nim, żeby jakoś zareagował. Że nie jestem czarownicą na mszy, stojącą wśród swoich wrogów i czczącą czyjegoś boga.

Nasze życie odzwierciedla to, co w naszych sercach.

Wszyscy byli hipokrytami, ale ja byłam największą hipokrytką ze wszystkich.

MADAME LABELLE

Reid

Następnego wieczoru spadła rekordowa w tym roku ilość śniegu.

Usiadłem na podłodze, odgarnąłem spocone włosy i patrzyłem, jak za oknem wirują białe płatki. Tylko ćwiczenia pomagały mi pozbyć się bólu w plecach. W nocy Lou potknęła się o mnie leżącego na podłodze, ale sama zajęła łóżko. Nie zaprosiła mnie do niego.

Nie narzekałem. Chociaż bolały mnie plecy, ćwiczenia pomagały mi trzymać złość na wodzy. Szybko nauczyłem się, że liczenie nie pomaga przy Lou... bo sama zaczynała liczyć ze mną.

Pacnęła w biurko książką, którą czytała.

– Co za wierutne bzdury.

– A co czytasz?

– Jedyną książkę, jaką znalazłam w tej przeklętej bibliotece, która nie miała w tytule słowa *święty* ani *wytępić*. – Podniosła ją, bym zobaczył okładkę. *Pasterz*. Omal nie parsknąłem śmiechem. To była jedna z pierwszych pozycji, które arcybiskup pozwolił mi przeczytać; zbiór poezji pastoralnej o przejawach boskości w naturze.

Rzuciła się na moje – *swoje* łóżko z niezadowoloną miną.

– Nie rozumiem, jak można przez dwanaście stron pisać o trawie. To dopiero grzech.

Wstałem i podszedłem do niej. Czujnie na mnie spojrzała.

– Co robisz?

– Chcę ci coś pokazać.

– Nie, nie, nie. – Odsunęła się. – Nie jestem *tym* zainteresowana...

– Proszę. – Kręcąc głową z niezadowoleniem, podszedłem do wezgłowia łóżka. – Przestań gadać.

Ku mojemu zaskoczeniu posłuchała i patrzyła przez zmrużone powieki, jak zaglądam za zagłówek. Z zainteresowaniem pochyliła się, gdy odsłoniłem małą, źle wygładzoną dziurę. Mój sejf. W wieku szesnastu lat, kiedy dzieliłem ten pokój z Jean Lukiem i byliśmy sobie bliźsi niż bracia, wydlubałem dziurę w tynku, desperacko pragnąc mieć coś tylko swojego. Miejsce, gdzie mógłbym ukryć coś przed nim.

Chyba jednak nigdy nie byliśmy sobie bliźsi niż bracia.

Lou wyciągnęła szyję, żeby zajrzeć do środka, ale zasłoniłem jej widok, w międzyczasie przeglądając szpargały w poszukiwaniu tego, co chciałem jej pokazać. To była książka z grzbietem rozpadającym się od częstego używania, ale srebrna nić, którą wyszyty był tytuł, pozostała nietknięta. Nieskazitelna.

– Proszę.

Wzięła książkę, ale trzymała ją dwoma palcami, jakby sądziła, że zacznie kęsać.

– Cóż, tego się nie spodziewałam. *La Vie Éphémère...* – Uniosła wzrok znad okładki, zacisnęła usta. – *Ulotne życie*. O czym to?

– O... O miłości.

Zmarszczyła brwi i spojrzała na okładkę z większą ciekawością.

– Och?

– Och – potaknałem, zagryzając policzek, żeby się nie uśmiechnąć. – Bardzo subtelnie napisana. Bohaterowie pochodzą ze skłóconych ze sobą królestw, ale są zmuszeni do wspólnego działania, gdy odkrywają spisek mający na celu zniszczenie świata. Z początku się nienawidzą, ale ostatecznie znajdują sposób, by wznieść się ponad różnice i...

– Można przy tym wyskoczyć z majtek, prawda? – Uniosła brew filuternie, przeglądając książkę. – Zazwyczaj sceny miłosne znajdują się pod koniec....

– Co? – Odechciało mi się uśmiechać. Wyrwałem jej tom. A ona wyrwała go mnie. – Oczywiście, że nie – warknąłem. – Ta historia snuje rozważania o koncepcie społeczeństwa, interpretuje niuanse walki dobra ze złem oraz skupia się na pasji wojny, miłości, przyjaźni, śmierci...

– Śmierci?

– Tak. Kochankowie umierają na końcu. – Wzdrygnęła się, a ja odebrałem jej książkę. Płonęły mi policzki. Nigdy nie powinienem jej o niej wspominać. Oczywiście tego nie doceniła. Niczego nie doceniała. – To była pomyłka.

– Jak możesz hołubić książkę, która kończy się śmiercią?

– Nie kończy się śmiercią. Kochankowie umierają, prawda, ale królestwa pokonują wrogość i zawiązują sojusz. Zakończenie daje nadzieję.

– W śmierci nie ma żadnej nadziei – stwierdziła z przekonaniem. – Śmierć to śmierć.

Westchnąłem i odłożyłem książkę do skrytki.

– Dobrze. To jej nie czytaj. Nie zależy mi.

– Nie powiedziałam, że nie chcę jej czytać. – Niecierpliwie uniosła rękę. – Po prostu nie oczekuj, że zapałam do niej miłością. Fabuła nie zachęca, ale to nie może być gorsze od *Pasterza*.

Trzymałem *La Vie Éphémère* obiema rękami. Wahałem się.

– Nie ma opisów trawy.

– To decydujący punkt na jej korzyść.

Niechętnie podałem jej tom. Tym razem przyjęła go i wnikliwie przyjrzała się tytułowi. W mojej piersi zatrzepotała nadzieja. Odchrząknąłem i patrzyłem na nią przez szczelinę w zagłówek.

– I zawiera sceny miłosne.

Parsknęła śmiechem i zaczęła zachłannie przerzucać strony.

Nie mogłem się powstrzymać. Uśmiechnąłem się.

Godzinę później rozległo się pukanie. Akurat zdejmowałem koszulę przez głowę. Wanna była do połowy pełna. Zniecierpliwiona Lou westchnęła w pokoju. Założyłem z powrotem koszulę, otworzyłem drzwi łazienki w chwili, gdy odkładała na kołdrę *La Vie Éphémère*. Zwiesiła nogi z łóżka. Ledwie dosięgała nimi podłogi.

– Kto tam?

– Ansel.

Stłumiła przekleństwo i zeskoczyła. Wyprzedziłem ją i otworzyłem drzwi.

– O co chodzi?

Lou spojrzała na niego ze złością.

– Lubię cię, Ansel, ale niech to będzie coś ważnego. Emilie i Alexandre właśnie są razem i przysięgam, że jeśli się nie pocałują, dosłownie padnę trupem.

Pokręciłem głową i stłumiłem uśmiech, widząc, że chłopak nic nie rozumie.

– Nie przejmuj się nią.

Potaknął, wciąż skołowany, i po chwili się uklonił.

– Na dole jest Madame Labelle, kapitanie. Żąda widzenia z Madame Diggory.

Lou zaczęła się wiercić pod moją ręką. Odsunąłem się, zanim nadepnęła mi na palec u nogi. Albo mnie ugryzła. Miałem się na baczności od dnia ślubu.

– Czego chce?

Lou założyła ręce na piersi i oparła się o futrynę.

– Powiedziałeś jej, żeby spierdalała?

– Lou! – ostrzegłem ją.

– Nie chce odejść. – Ansel przestępował z nogi na nogę. – Mówi, że to ważne.

– No cóż. Podejrzewam, że Emilie i Alexandre będą musieli poczekać. Tragedia. – Lou precyzyjnie się obok mnie, żeby wziąć swoją pelerynę. Nagle zatrzymała się jak wryta i zmarszczyła nos. – Ej, Chass, cuchniesz.

Stanąłem jej na drodze. Choć przyszło mi to z trudem, nie uniosłem się. Ani nie powąchałem.

– Nigdzie nie idziesz.

– Oczywiście, że idę. – Obeszła mnie, krzywiąc się i machając ręką przed nosem. Zjeżyłem się. Na pewno aż tak bardzo nie śmierdziałem. – Ansel właśnie powiedział, że nie odejdzie, dopóki się ze mną nie spotka.

Celowo wyciągnąłem rękę ponad nią i otarłem się spoconą skórą o jej policzek, po czym zdjąłem z haka własny płaszcz. Ani drgnęła. Uniosła tylko głowę, żeby popatrzeć na mnie przez zmrużone powieki. Nasze twarze dzieliły tylko centymetry, oparłem się pokusie powąchania jej. Kiedy nie chodziła do infirmerii, pachniała... ładnie. Cynamonem.

Odchrząkując, założyłem płaszcz. Moja koszula, wciąż wilgotna od potu, zrolowała się na skórze. Było to niewygodne.

– Nie powinna tu przychodzić. Wczoraj zakończyliśmy jej przesłuchanie.

Dużo się dowiedzieliśmy. Madame Labelle była tak samo podstępna jak Lou. Od momentu, gdy przypadkowo wymsknęło jej się prawdziwe imię czarownicy, uważała już na słowa i bardzo się pilnowała. To wzbudzało podejrzenia. Arcybiskup był wściekły. Miała szczęście, że nie spaliliśmy jej na stosie – razem z moją żoną.

– Może chce złożyć kolejną ofertę – powiedziała Lou, nieświadoma powagi sytuacji.

– Jaką ofertę?

– Żeby kupić mnie do Bellerose.

– Kupno człowieka jest nielegalne – zaproponowałem.

– Nie powie, że mnie kupuje. Powie, że płaci za kontrakt, w ramach którego będzie mnie szkolić, upiększać, zapewni mi dach nad głową i jedzenie. Właśnie w ten sposób ludzie jej pokroju obchodzą prawo. East End żyje z kontraktów. – Zamilkła i przechyliła głowę. – Ale teraz, gdy jesteśmy małżeństwem, to już raczej nieaktualne. Chyba że nie masz nic przeciw dzieleniu się?

Zapinałem płaszcz w pełnej napięcia ciszy.

– Nie będzie chciała cię kupić.

Przeszła obok mnie z figlarnym uśmiechem, ocierając z mojej brwi kroplę potu.

– Przekonamy się?

Madame Labelle czekała w holu. Obok niej stało dwóch moich braci. Byli czujni, nie wiedzieli, czy mogą niepokoić mieszkańców Wieży, gdzie, podobnie jak w całym królestwie, obowiązywała godzina policyjna. Ona stała spokojnie. Trzymała wysoko głowę. Jej twarz, kiedyś niezwykle piękna, lecz teraz podstarzała, ze zmarszczkami wokół oczu i ust, rozpromieniła się na widok Lou.

– Louise! – Wyciągnęła ręce, jakby spodziewała się, że dziewczyna ją obejmie. Niemal się zaśmiałem. – Jak cudownie widzieć cię w tak dobrym zdrowiu, chociaż siniaki na twojej twarzy wyglądają okropnie. Mam nadzieję, że nasi wspaniali gospodarze nie są za to odpowiedzialni?

Minęła mi ochota na śmiech.

– Nigdy byśmy jej nie skrzywdzili.

Spojrzała na mnie i złożyła dłonie, udając radość.

– Jak cudownie pana widzieć, kapitanie Diggory! Oczywiście, oczywiście. Przecież wiem. Jesteście zbyt szlachetni, prawda? – Uśmiechnęła się, pokazując nienaturalnie białe zęby. – Przepraszam za najście o tak późnej godzinie, ale muszę pilnie porozmawiać z Lou. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, że ukradnę ją na chwilę.

Lou się nie ruszyła.

– Czego chcesz?

– Wolalabym na osobności, moja droga. Ta informacja jest dość... poufna. Chciałam porozmawiać z tobą wczoraj po przesłuchaniu, ale okazało się, że jesteś zajęta w bibliotece. – Popatrzyła na nią i na mnie z dwuznacznym uśmiechem, po czym wyszeptała: – Nigdy nie przerywa się kłótni kochanków. To jedna z kilku zasad, którymi kieruję się w życiu.

Lou wytrzeszczyła oczy.

– To nie była kłótnia kochanków.

– Nie? Wobec tego może ponownie rozważysz moją propozycję?

Miałem ochotę stanąć pomiędzy nimi.

– Musi pani odejść.

– Spokojnie, kapitanie. Nie mam zamiaru stręczyć pana żony... jeszcze. – Widząc moją minę, puściła oko i się roześmiała. – Ale nalegam na prywatną rozmowę. Czy jest tu jakieś miejsce, w którym Madame Diggory i ja mogłybyśmy porozmawiać? Jakies mniej... – wskazała chasseurów stojących na baczność – tłumne?

Do holu wpadł arcybiskup w szlafmocy.

– Co to za zamieszanie? Nie macie co robić... – Zrobił wielkie oczy na widok Madame Labelle. – Helene. Co za niemiła niespodzianka.

– Nawzajem, ekscelencjo – dygnęła.

Pospiesznie się ukloniłem, kładąc pięść na piersi.

– Madame Labelle chciałaby porozmawiać z moją żoną, ekscelencjo.

– Doprawdy? – Nie drgnęła mu powieka. Przewiercał wzrokiem Madame Labelle. Zacisnął usta. – Co za pech, że kościół zamyka swoje wrota dokładnie.... – wyjął zegarek z kieszeni – za trzy minuty.

– Wydaje mi się, że kościół w ogóle nie powinien zamykać drzwi – odpowiedziała.

– Żyjemy w niebezpiecznych czasach, *madame*. Robimy, co w naszej mocy, żeby przeżyć.

– Dokładnie tak – zerknęła na Lou. – Tak właśnie.

Zapadła niezręczna cisza, patrzyliśmy na siebie nawzajem. Lou niespokojnie przestępowała z nogi na nogę, a ja zastanawiałem się, czy nie usunąć Madame Labelle siłą. Nieważne, co twierdziła, jej cel był wiadomy, a ja prędzej spaliłbym Bellerose do fundamentów, niż pozwolił Lou zostać kurtyzaną. Czy jej się to podoba, czy nie, to mnie najpierw ślubowała.

– Dwie minuty – rzucił ostro arcybiskup.

– Nigdzie się nie wybieram. – Madame Labelle się skrzywiła.

Arcybiskup skinął głową na moich braci, którzy natychmiast się zbliżyli. Mieli niepewne miny. Byli rozdarci pomiędzy obowiązkiem polegającym na wypełnianiu rozkazów a niestosownością wyrzucania kobiety z terenu kościoła. Ja nie miałem takich wątpliwości. Również podszedłem i zasłoniłem Lou swoim ciałem.

– A jednak.

W oczach Madame Labelle pojawił się ognik, gdy na mnie spojrzała. Przestała się ironicznie uśmiechać. Ale zanim zdołałem wyrzucić ją z Wieży, Lou dotknęła mojej ręki.

– Chodźmy stąd – wyszeptała.

A potem stało się kilka rzeczy naraz.

Słyszając Lou, Madame Labelle zachowała się jak wariatka. Rzuciła się na nią szybciej niż atakujący wąż i zamknęła ją w swoich ramionach. Zaszepotała jej do ucha.

Ze złością wyszarpnąłem Lou, a Ansel w tej samej chwili skoczył, by obezwładnić kurtyzanę. Pozostali bracia dołączyli do niego. Unieruchomili jej ręce za plecami, chociaż szarpała się, by ponownie dopaść Lou.

– Czekaście! – Lou wiła się w moich ramionach, próbując się uwolnić. Miała szaleństwo w oczach. Błądą twarz. – Coś mi powiedziała. *Czekajcie!*

Jednak w holu już zapanował chaos. Madame Labelle wrzeszczała na chasseurów, którzy próbowali wyprowadzić ją z budynku. Arcybiskup wskazał na Lou, zanim sam się ulotnił.

– Zabierz ją stąd.

Zastosowałem się do rozkazu, mocniej chwyciłem Lou i odciągnąłem. Z dala od wariatki. Z dala od paniki i zamieszania w holu i w moich myślach.

– Przestań. – Lou kopała i biła mnie w ręce, ale chwyciłem ją jeszcze mocniej. – Zmieniłam zdanie! Pozwól mi z nią porozmawiać! Puść mnie!

Ale przecież złożyła przysięgę małżeńską.

Nigdzie nie mogła pójść.

CHŁÓD W KOŚCIACH

Lou

Moje gardło płacze.

Nie łzami. Czymś gęstszym, ciemniejszym. Czymś, co sprawia, że moja skóra robi się szkarłatna, spływa po mojej piersi, moczy włosy, suknię, ręce. Moje ręce. Szukają źródła, badają, macają – desperacko pragną powstrzymać strumień, desperacko pragną go zatrzymać, zatrzymać, zatrzymać...

Wokół mnie krzyki odbijają się echem od sosen. Jestem zdezorientowana. Nie mogę myśleć. Ale muszę myśleć, żeby *uciec*. Ona jest gdzieś za mną, idzie po moich śladach. Słyszę jej głos, jej śmiech. Woła mnie, a moje imię na jej ustach rozbrzmiewa najgłośniejszym ze wszystkiego.

Louise... Idę po ciebie, kochanie.

Idę po ciebie, kochanie

Idę po ciebie, kochanie... kochanie... kochanie...

Ślepe przerażenie. Nie może mnie tu znaleźć. Nie mogę się cofnąć, bo... bo stanie się coś strasznego. Żłoto wciąż migocze. Osiada na drzewach, na ziemi, na niebie, rozprasza moje myśli. Ostrzega mnie. *Odejdź, odejdź, odejdź. Nie możesz tu wrócić. Nigdy.*

Zanurzam się teraz w rzece, szoruję skórę, zmywam krew, która mnie zdradza. Szaleńczo. Gorączkowo. Cięcie na gardle zasklepia się; im bardziej oddalam się od domu, tym mniej boli. Im dalej od moich przyjaciół. Rodziny. Od niej.

Nigdy więcej nigdy więcej nigdy więcej.

Nigdy więcej ich nie zobaczę.

Życie za życie.

Albo umrę.

Obudziłam się przerażona, od razu spojrzałam w okno. Śnieg leżał na parapecie, od czasu do czasu wiatr wpychał nam płatki do pokoju. Patrzyłam, jak wirują w powietrzu, próbując opanować lodowaty strach, który zagnieździł mi się w żołądku. Koce nie były dość ciepłe, żeby ogrzać chłód w moich kościach. Szczękałam zębami.

Chociaż nie słyszałam wszystkiego, co chciała mi przekazać Madame Labelle, jej ostrzeżenie było jasne.

Ona nadchodzi.

Siadam, rozcieram ręce, żeby się rozgrzać. Kim naprawdę była Madame Labelle? I skąd wiedziała o mnie? Byłam naiwna, sądząc, że mogę zniknąć. Okłamywałam samą siebie, zakładając przebrania i poślubiając chasseura.

Nigdy nie będę bezpieczna.

Moja matka mnie znajdzie.

Chociaż rano znowu ćwiczyłam, to było za mało. Musiałam robić więcej. Każdego dnia. Dwa razy dziennie. Musiałam być silniejsza, gdy nadejdzie, by móc się z nią zmierzyć. Nie zaszkodzi też mieć broni. Rano poszukam czegoś. Noża, miecza. Czegokolwiek.

Nie mogąc tego znieść, zeskoczyłam z łóżka i stanęłam na podłodze obok męża. Oddychał powoli i rytmicznie. Spokojnie. Koszmary nie zakłócały jego snu. Wsunęłam się pod koce i wtuliłam w niego. Położyłam policzek przy jego plecach i wdychałam ciepło jego skóry. Zamknęły mi się oczy, oddech zwolnił.

Rano. Zajmę się tym wszystkim rano.

Gdy zapadłam w sen, jego oddech zgubił rytm.

SPRYTNA MAŁA CZAROWNICA

Lou

Małe lustro nad umywalką nie schlebiało mi o poranku. Wykrzywiłam się do odbicia. Białe policzki, podpuchnięte oczy. Suche usta. Wyglądałam jak śmierć. I *czułam* się jak śmierć.

Drzwi pokoju się otworzyły, ale ja nadal wpatrywałam się w lustro, pochłaniały mnie własne myśli. Koszmary nawiedzały mnie od zawsze, ale tej nocy były gorsze niż zwykle. Z namysłem pogłaskałam bliznę na gardle.

To były moje szesnaste urodziny. Czarownice wchodziły w kobiecość po ukończeniu szesnastu lat. Inne dziewczyny ekscytowały się swoimi urodzinami, nie mogły się doczekać rytuału przyjęcia do Dames Blanches.

Ja nie. Zawsze wiedziałam, że szesnaste urodziny będą dniem mojej śmierci. Zaakceptowałam to – nawet się na to cieszyłam, kiedy siostry otaczały mnie miłością i pochlebstwami. Od urodzenia moim celem była śmierć. Tylko ona mogła ocalić bliskich.

Ale gdy położyłam się na ołtarzu, a ostrze dotknęło mojej szyi, coś się zmieniło.

Ja się zmieniłam.

– Lou? – zza drzwi dobiegł mnie głos męża. – Jesteś okryta?

Nie odpowiedziałam. Czuałam wstyd za słabość, którą okazałam w nocy. Chwyciłam umywalkę i ze złością spojrzałam sobie w oczy. Spałam na podłodze, by być blisko niego. *Słaba!*

– Lou? – Kiedy nadal nie odpowiadałam, uchylił drzwi. – Wchodzę.
Za nim stał Ansel, skupiony i zmartwiony. Przewróciłam oczami.

– Co się stało? – Mąż uważnie mi się przyglądał. – Coś ci dolega?

– Nic mi nie jest, dziękuję. – Zmusiłam się do uśmiechu.

Wymienili spojrzenia, a mój mąż zajrzał do środka. Udawałam, że nie widzę, jak po wyjściu Ansela zapada niezręczna cisza.

– Myślałem... – powiedział w końcu.

– Niebezpieczna rozrywka.

Nie przejął się mną. Zachowywał się jak ktoś, kto ma za chwilę zerwać opatrunek – był w równym stopniu zdeterminowany, co przerażony.

– Dzisiaj wieczorem wystawiają sztukę w Soleil et Lune. Może byśmy się wybrali?

– Co to za sztuka?

– *La Vie Éphémère*.

No jasne. Parsknęłam, choć nie było mi do śmiechu, i spojrzałam na cienie pod oczami. Zanim przyśnił mi się koszmar, do późnej nocy czytałam opowieść o Emilie i Alexandre. Razem żyli, kochali się i umarli – i po co?

Nie kończy się śmiercią. Zakończenie daje nadzieję.

Nadzieję.

Nadzieję, której nigdy nie ujrzą na oczy, nigdy nie poczują, nigdy nie dotkną. Ulotną jak dym. Jak migające płomienie.

Ta opowieść pasowała do mnie lepiej, niż wydawało się mojemu mężowi. Wyglądało na to, że wszechświat lub Bóg czy Bogini, czy ktokolwiek inny, robi sobie ze mnie pośmiewisko. A mimo to... Rozejrzałam się po kamiennych ścianach. Mojej klatce. Miło by było choć na chwilę uwolnić się od tego przeklętego miejsca.

– Dobrze.

Chciałam go wyminąć, by wrócić do pokoju, ale nadal blokował wejście.

– Czy coś cię niepokoi?

– Nic, co powinno cię obchodzić.

– Ty mnie obchodzisz. Nie jesteś sobą.

Ironicznie wydułam usta, ale nie byłam w stanie wytrzymać zbyt długo. Wobec tego ziewnęłam.

– Nie udawaj, że mnie znasz.

– Wiem, że jeśli nie przeklinasz i nie śpiewasz o obfitych barmankach, coś jest nie w porządku. – Skrzywił się i troskliwie dotknął mojego ramienia. Lśniły mu oczy. Jakby słońce odbijało się w oceanie. Szybko otrząsnęłam się z tej myśli. – O co chodzi? Możesz mi powiedzieć.

Nie, nie mogę. Odsunęłam się, żeby mnie nie dotykał.

– Powiedziałałam, że nic mi nie jest.

Opuścił rękę i zamrugał oczami.

– Dobrze. Wobec tego zostawię cię teraz samą.

Patrzyłam, jak wychodzi, i poczułam dziwny żal.

Po chwili wystawiłam głowę przez drzwi, mając nadzieję, że jeszcze go tam zobaczę, ale już zniknął. Widok Ansel siedzącego przy biurku jeszcze bardziej zepsuł mi humor. Patrzył na mnie z przestachem, jakby spodziewał się, że zaraz wyrosną mi rogi lub zaczną płuć ogniem, co właściwie miałam ochotę zrobić.

Ruszyłam w jego stronę, a on zerwał się na nogi. Widząc, jaki jest spłoszony, poczułam dziką satysfakcję, a potem pojawiło się poczucie winy. Przecież Ansel niczemu nie zawinił, a jednak ta świadomość wcale nie poprawiała mi nastroju. Nie mogłam pozbyć się wspomnienia snu. Niestety, Ansel również.

– Czy... Czy mogę ci w czymś pomóc?

Nie odpowiedziałam, odepchnęłam go ramieniem i otworzyłam szufladę biurka. Notesu i listów nadal nie było, pozostała tylko Biblia. Żadnego noża. Niech to szlag. Liczyłam się z tym, ale irytacja lub strach sprawiły, że zachowywałam się irracjonalnie. Odwróciłam się i skierowałam do łóżka.

Ansel pomaszerował za mną, wciąż skołowany.

– Co robisz?

– Szukam broni. – Szarpnęłam zagłówek, próbując odciągnąć go od ściany.

– Broni?! – Zapiał wysokim tonem. – Po co ci broń?

Naparłam na cholerny zagłówek z całą siłą, ale i tak okazał się za ciężki.

– Na wypadek gdyby Madame Labelle lub... ktoś inny tu przyszedł. Pomóż mi z tym.

Nie ruszył się.

– Kto inny?

Słumiłam jęk. Nieważne. I tak pewnie nie schował w tej dziurze żadnego noża. Nie po tym, jak mi ją pokazał.

Padłam na ziemię i wczołgałam się pod łóżko. Niczego tam nie było. Podłoga była wręcz tak czysta, że mogłabym z niej jeść. Zastanawiałam się, czy to zasługa służących, czy dziwacznych skłonności mojego męża.

Zapewne jego. Wyglądał na takiego. Lubił mieć kontrolę. Był obsesyjnie schludny.

Ansel powtórzył pytanie, zbliżając się, ale zignorowałam go, macając podłogę w poszukiwaniu zamaskowanej szczeliny czy luźnej deski. Nic nie znalazłam. Nie zniechęcając się, zaczęłam opukiwać klepki w równych odstępach, nasłuchując odgłosów.

Ansel też wsadził głowę pod łóżko.

– Nie znajdziesz tu broni.

– Właśnie takich słów się po tobie spodziewałam.

– Madame Diggory...

– Lou.

Wzdrygnął się dokładnie tak samo jak mój mąż.

– Louise...

– *Nie*. – Odwróciłam się i posłałam mu gniewne spojrzenie, a przy okazji uderzyłam się głową w łóżko i paskudnie zakląłam. – *Nie Louise*. Przesuń się. Wychodzę.

Zamrugnął, zaskoczony reprimendą, ale posłusznie się wycofał. Wyczołgałam się zaraz po nim. Zapadła niezręczna cisza.

– Nie wiem, dlaczego tak bardzo boisz się Madame Labelle – powiedział w końcu – ale zapewniam cię, że...

Pff...

– Nie boję się jej.

– Czyli tego kogoś innego? – Zmarszczył czoło, próbując zrozumieć, skąd wziął się mój podły nastrój. Nieco mnie tym rozbroił. Chociaż próbował trzymać się na dystans po katastrofie z biblioteką dwa dni temu, jego wysiłki okazały się próżne. Głównie dlatego, że mu na to nie pozwoliłam. Oprócz Coco był jedyną osobą w tej cholernej Wieży, którą lubiłam.

Kłamczucha.

Zamknij się.

– Nie ma nikogo więcej – skłamałam. – Ale ostrożności nigdy za wiele. Nie żebym nie ufała twoim wybitnym umiejętnościom w walce, Anselu, ale wolałabym raczej nie powierzać mojego bezpieczeństwa... tobie.

Jego dezorientacja zmieniła się w urazę, a potem w złość.

– Daję sobie radę.

– Trudno się nie zgodzić.

– Nie dostaniesz żadnej broni.

Wstałam i otrzepałam spodnie z nieistniejących paprochów.

– Może się przekonamy? Dokąd poleciał mój nieszczęsny mąż? Muszę z nim porozmawiać.

– On też ci jej nie da. To on kazał pochować wszelką broń przed tobą.

– Aha! – Triumfalnie uniosłam palec i ruszyłam na niego. Zrobił wielkie oczy. – A więc to *on* ją schował! Gdzie, Anselu? – Dźgnęłam go palcem w pierś. – Mów!

Odtrącił moją rękę i się cofnął.

– Nie wiem, gdzie ją ukrył, więc mnie nie szturchaj... – Szturchnęłam go ponownie, co mi tam. – Ała! – Ze złością pomasażował się w dźgniętym miejscu. – Powiedziałem, że nie wiem! Co nie? Nie wiem!

Opuściłam rękę i nagle poczułam się zdecydowanie lepiej. Zachichotałam wbrew sobie.

– Dobra. Wierzę ci. Poszukajmy mojego męża.

Nie mówiąc nic więcej, odwróciłam się na pięcie i wymaszerowałam na korytarz. Ansel westchnął z rezygnacją i ruszył za mną.

– Reidowi się to nie spodoba – marudził. – Poza tym nie wiem nawet, gdzie go szukać.

– A co zazwyczaj robi w ciągu dnia? – Już miałam otworzyć drzwi prowadzące na schody, gdy Ansel otworzył je przede mną. Dobrze, nie tylko go lubiłam, *uwielbiałam* go. – Zakładam, że ma to coś wspólnego z kopaniem szczeniactków lub kradzieżą dziecięcych dusz.

Ansel rozejrzał się niespokojnie.

– Nie możesz *mówić* takich rzeczy. To niestosowne. Jesteś teraz żoną chasseura.

– Och, daj spokój. – Przesadnie przewróciłam oczami. – Chyba wyraźnie dałam do zrozumienia, że mam w dupie, czy coś jest *stosowne*, czy nie. Mam ci przypomnieć? W piosence o Liddy Biuściastej są jeszcze dwie zwrotki.

– Proszę, nie. – Zbladł.

Uśmiechnęłam się wyrozumiale.

– Wobec tego powiedz mi, gdzie mogę znaleźć mojego męża.

Nastąpiła chwila ciszy, kiedy Ansel rozważał, czy naprawdę jestem skłonna zaśpiewać balladę o dużych cyckach. Pewnie doszedł do wniosku, że tak – i słusznie – ponieważ pokręcił głową i wymamrotał:

– Podejrzewam, że jest w sali rady.

– Doskonale. – Złapałam go pod rękę i figlarnie trąciłam biodrem. Kontakt fizyczny go zdeprymował. – Prowadź.

Niestety, mojego męża tam nie było. Odwrócił się jednak do mnie inny chasseur. W blasku świecy jego krótko obcięte czarne włosy lśniły, a jasnozielone oczy – niepasujące do jego śniadej twarzy – spojrzały na mnie spod półprzymkniętych powiek. Niewiele brakowało, a bym się skrzywiła.

Jean Luc.

– Dzień dobry, złodziejko. – Szybko wziął się w garść i uklonił. – Co mogę dla ciebie zrobić?

Jean Luc nosił swoje uczucia na wierzchu, więc od razu zauważyłam jego słabość. Chociaż starał się udawać przyjaźń, wyczuwałam zazdrość. Tę jadowitą zawiść.

Tego dnia nie miałam jednak czasu na zabawę.

– Szukam mojego męża – odparłam, wycofując się z sali – ale widzę, że tu go nie ma. Przepraszam...

– Bzdura. – Odsunął dokumenty, które studiował, i swobodnie się przeciągnął. – Zostań chwilę. I tak muszę zrobić sobie przerwę.

– W czym dokładnie miałabym ci pomóc?

Oparł się plecami o stół i skrzyżował ramiona.

– Czego potrzebujesz od naszego drogiego kapitana?

– Noża.

Roześmiał się i pogładził po brodzie.

– Chociaż masz dar przekonywania, nie licz, że zdobędziesz tutaj jakąś broń. Arcybiskup uważa, że jesteś niebezpieczna. Reid, jak zawsze, bierze opinię arcybiskupa za Słowo Boże.

Ansel wszedł do sali. Zmrużył oczy.

– Nie powinieneś tak mówić o kapitanie Diggorym.

Jean Luc pochylił głowę i uśmiechnął się szyderczo.

– Mówię tylko prawdę, Anselu. Reid jest moim najbliższym przyjacielem. Jest też pupilkiem arcybiskupa. – Przewrócił oczami, wydał usta, jakby to słowo zostawiło kwaśny smak na jego języku. – Nepotyzm jest *szokujący*.

– Nepotyzm? – Uniosłam brew, spoglądając raz na jednego, raz na drugiego. – Sądziłam, że mój mąż jest sierotą.

– Bo jest. – Ansel posłał Jean Lucowi piorunujące spojrzenie. Nie zdawałam sobie sprawy, że potrafi patrzeć tak... wrogo. – Arcybiskup znalazł go w...

– Oszczędź nam tej ckliwej historii, dobrze? Wszyscy jakąś mamy. – Jean Luc opuścił rękę i gwałtownie oderwał się od stołu. Popatrzył na mnie, po

czym wrócił do swoich papierów. – Arcybiskup sądzi, że widzi w Reidzie siebie samego. Obaj byli sierotami, obaj jako dzieci byli jak diabły wcielone. Ale na tym kończą się podobieństwa. Arcybiskup stworzył siebie z niczego. Jego osiągnięcia życiowe, tytuł, wpływy: o wszystko musiał walczyć. Wypruwać sobie żyły. – Uśmiechnął się ironicznie, zgniótł kartkę i wrzucił ją do kosza. – I zamierza wszystko darmo przekazać Reidowi.

– Jean Luc, czy ty jesteś sierotą? – zapytałam szorstko.

– Dlaczego pytasz? – Spojrzał na mnie ostro.

– Bez powodu. Nieważne.

I rzeczywiście tak było. Naprawdę. Miałam gdzieś Jean Luca. Ale chyba nigdy nie widziałam kogoś, kto byłby tak zupełnie nieświadomy swoich emocji... Nic dziwnego, że był zgorzkniały. Przeklinając się za wścibstwo, skupiłam się na moim celu. Ważniejsze było zdobycie broni i, szczerze mówiąc, o wiele ciekawsze niż ten chory trójkąt miłosny.

– W sumie masz rację. – Wzruszyłam ramionami, jakbym była znudzona tą rozmową, po czym pochyliłam się i zaczęłam przesuwając palcem po mapie. Patrzył na mnie podejrzliwie. – Mój mąż na to nie zasłużył. To żalosne, naprawdę, jak czeka na każde skinienie arcybiskupa. – Ansel posłał mi zaskoczone spojrzenie, ale zignorowałam go i skupiłam wzrok na kurzu, który zebrał się na moim palcu. – Niczym dobry piesek żebrze o jego uwagę.

Jean Luc uśmiechnął się ponuro.

– Och, sprytna z ciebie sztuka, prawda? – Zachichotał, gdy nie odpowiedziałam. – Mimo że się z tobą zgadzam, Madame Diggory, nie jest łatwo mną manipulować.

– Naprawdę? – Przechyliłam głowę. – Jesteś pewien?

Potaknął i się pochylił.

– Jestem pewien. Mimo swoich wad Reid ma dobre powody ku temu, żeby ukrywać przed tobą broń. Jesteś kryminalistką.

– Właśnie. Jasne. Chodzi o to... Uważam, że to może przynieść korzyści nam obojgu.

Ansel dotknął mojego ramienia.

– Lou...

– Słucham. – Oczy Jean Luca rozbłysły. Był rozbawiony. – Chcesz nóż. A co ja z tego będę miał?

Odrącałam dłoń Anseli i również się uśmiechnęłam.

– To proste. Jak mi dasz nóż, wkurzysz mojego męża do granic wytrzymałości.

Roześmiał się na te słowa. Odrzucił głowę i uderzył dłonią w blat, rozrzucając papiery.

– Prawdziwa z ciebie mała, sprytna czarownica, prawda?

Spięłam się, na chwilę zrzędała mi mina. Roześmiałam się o sekundę za późno. Ansel chyba nic nie zauważył, ale Jean Luc od razu zarejestrował moje wahanie i nagle spoważniał. Przechylił głowę, by mi się przyjrzeć, niczym chart na tropie królika. Cholera. Zmusiłam się do uśmiechu, po czym odwróciłam na pięcie, żeby wyjść.

– Już zbyt wiele czasu ci zajęłam, chasseurze Toussaint. Proszę o wybaczenie, ale muszę znaleźć mojego nieuchwytnego męża.

– Reida nie ma. – Jean Luc nie spuszczał ze mnie oka. – Wyjechał z arcybiskupem. Pod miastem widziano gobliny. – Źle interpretując moje zaniepokojenie, dodał: – Wróci za kilka godzin. Gobliny w zasadzie nie są niebezpieczne, ale policja nie jest w stanie sama poradzić sobie z siłami nadprzyrodzonymi.

Przypomniały mi się małe gobliny, z którymi bawiłam się jako dziecko.

– W ogóle nie są niebezpieczne – powiedziałam bez zastanowienia. – To znaczy... co on im zrobi?

Jean Luc uniósł brew.

– Wytępi je, oczywiście.

– Dlaczego? – Zignorowałam Anselę szarpiącego mnie za rękę. Aż się zaczerwieniłam. Miałam świadomość, że powinnam przestać mówić. Iskra w oczach Jean Luca była nieomylną oznaką, że zaczął mnie podejrzewać. Zaufał instynktowi. Ta myśl może się wkrótce zmienić w coś poważniejszego, jeśli się nie zamknę. – Są nieszkodliwe.

– Przeszkadzają rolnikom i są istotami nadprzyrodzonymi. Naszym zadaniem jest wytępienie ich.

– Sądziałam, że waszym zadaniem jest ochrona niewinnych?

– A gobliny są niewinne?

– Są nieszkodliwe – powtórzyłam.

– Nie powinny istnieć. Narodziły się z ożywionej gliny i czarów.

– Czyż Adam nie powstał z gleby?

Powoli przechylił głowę.

– Tak... z ręki Boga. Czy sugerujesz, że czarownice są obdarzone tym samym autorytetem?

Zawahałam się, w końcu dotarło do mnie, co mówiłam i gdzie się znajdowałam. Jean Luc i Ansel patrzyli na mnie, czekając na odpowiedź.

– Oczywiście, że nie. – Siłą woli zmusiłam się do spojrzenia Jean Lucowi w oczy. Krew szumiała mi w uszach. – Zupełnie nie to miałam na myśli.

– Dobrze. – Uśmiechnął się półgębkiem, a Ansel pociągnął mnie w stronę drzwi. – Wobec tego się zgadzamy.

Nowicjusz cały czas posyłał mi zaniepokojone spojrzenia, gdy szliśmy w stronę infirmerii, ale go ignorowałam. Kiedy w końcu otworzył usta, żeby zadać mi pytanie, zrobiłam to, co potrafiłam najlepiej. Unik.

– Sądzę, że Mademoiselle Perrot będzie dzisiaj obecna.

– Naprawdę? – Rozchmurzył się.

Posłałam mu uśmiech i trąciłam ramieniem. Tym razem się nie spał.

– Spore szanse.

– Pozwoli mi dzisiaj na odwiedzinę u pacjentów?

– Marne szanse.

Dąsał się, dopóki nie weszliśmy na górę. Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

Na progu infirmerii powitał nas znajomy, uspokajający zapach.

Chodź się bawić chodź się bawić chodź

Ale nie przyszłam się bawić. Co potwierdziła Coco, gdy wyszła nam na powitanie.

– Cześć, Ansel – powiedziała lekko, chwyciła mnie pod rękę i poprowadziła w stronę pokoju Monsieur Bernarda.

– Dzień dobry, Mademoiselle Perr...

– Do widzenia, Ansel. – Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

– On cię lubi. Powinnaś być dla niego miłsza – upomniałam ją.

Siadła na żelaznym krześle.

– To dlatego próbuję go zniechęcić. Ten biedny chłopak jest zbyt dobry dla mnie.

– Może powinnaś pozwolić mu samodzielnie zdecydować.

– Hmm... – Zapatrzyła się na paskudną bliznę na swoim nadgarstku, po czym naciągnęła na nią rękaw. – Może powinnam.

Przewróciłam oczami i poszłam sprawdzić, co słychać u Monsieur Bernarda.

Chociaż minęły dwa dni, biedak wciąż jeszcze żył. Nie spał. Nie jadł. Ojciec Orville i uzdrowicielki nie miały pojęcia, jak długo jeszcze pociągnie.

Ja byłam zadowolona z takiego obrotu spraw. Zaczęłam lubić jego dziwne spojrzenie.

– Słyszałam o Madame Labelle – powiedziała Coco. Jean Luc zgodnie z zapowiedzią porozmawiał z księżmi, a oni zgodnie z deklaracjami mieli na oku najnowszą uzdrowicielkę po tym, jak zeszała do biblioteki. Nie odważyła się ponownie opuścić infirmerii. – Czego chciała?

Siadłam na podłodze koło łóżka Berniego i skrzyżowałam nogi. Spojrzenie jego białych oczu cały czas mnie śledziło, palcem stukał w okowy.

Brzdęk.

Brzdęk.

Brzdęk.

– Ostrzec mnie. Powiedziała, że moja matka nadchodzi.

– Co?! – Coco nie kryła zdziwienia, a ja szybko opowiedziałam, co stało się wczoraj wieczorem. Zanim skończyłam, dreptała już po pokoju. – To nic nie znaczy. Wiemy, że cię ściga. Oczywiście, że nadchodzi. To nie znaczy, że wie o twoim pobycie *tutaj*...

– Masz rację. To nic nie znaczy. Ale i tak chcę być gotowa.

– Naturalnie. – Potaknęła energicznie, aż podskoczyły jej loki. – Zaczynamy więc. Zaczaruj drzwi. Wzorem, jakiego wcześniej nie używałaś.

Wstałam i ruszyłam do drzwi, zacierając zmarznięte ręce. Coco i ja postanowiłyśmy zaczarować je na wypadek, gdyby ktoś podsłuchiwał podczas naszych sesji treningowych. Dzięki temu nie usłyszałby niczego na temat magii.

Gdy się zbliżyłam, przywołałam znane, złote wzory. Zmaterializowały się na moje wezwanie, niewyraźne i zamglone. Przyłgnęły do mojej skóry. Do mojego umysłu. Brodziłam przez nie, szukałam czegoś nowego. Czegoś innego. Po kilku bezowocnych minutach z frustracją uniosłam rękę.

– Nie ma niczego nowego.

Coco stanęła obok. Jako Dame Rouge nie mogła zobaczyć wzorów, które widziałam, ale i tak się starała.

– Chyba niewłaściwie do tego podeszłaś. Sprawdź każdą możliwość.

Zamknąłem oczy, zmuszając się do wzięcia głębokiego wdechu. Kiedyś łatwo, niczym oddychanie, przychodziło mi wyobrażanie sobie wzorów i manipulowanie nimi. Ale to już się skończyło. Zbyt długo się ukrywałam. Zbyt długo tłumiłam magię. W mieście czaiło się zbyt wiele niebezpieczeństw: wiedźmy, chasseurzy, nawet zwykli mieszkańcy potrafili

rozpoznać charakterystyczny zapach magii. Chociaż czarownica praktycznie nie wyróżniała się wyglądem, samotne kobiety zawsze wzbudzały podejrzenie. Ile czasu minie, zanim ktoś wyczuje ode mnie zapach czarów? Ile czasu minie, zanim ktoś zauważy, jak wyginam palce, i będzie mnie śledził aż do domu?

Użyłam magii u Tremblaya i proszę, dokąd mnie to zaprowadziło.

Nie. Prościej było w ogóle zaprzestać praktykowania magii.

W rozmowie z Coco porównałam to do ćwiczenia mięśnia. Kiedy się go używa, wzory pojawiają się szybko, wyraźnie, zazwyczaj bez udziału mojej woli. Kiedy się go zaniedbuje, ta część ciała – ta część związana z moimi przodkami, ich prochami w ziemi – robi się słabsza. Każda sekunda, w której rozsypuję więzy, to sekunda, w której może uderzyć czarownica.

Madame Labelle wyraziła się jasno. Moja matka była w mieście. Być może wiedziała, gdzie przebywam, być może nie. Niezależnie od tego nie mogłam sobie pozwolić na słabość.

Jakby słuchając moich myśli, złoty pył zdawał się podpływać, a przed oczami stanęło mi wspomnienie czarownic na paradzie. Ich szalonych uśmiechów. Ciał unoszących się bezradnie w powietrzu. Stłumiłam dreszcz i zalała mnie fala bezsilności.

Niezależnie, jak często ćwiczyłam – do jakiej wprawy dochodziłam – nigdy nie byłam tak potężna jak inne. Ponieważ czarownice takie jak te na paradzie – czarownice, które są w stanie poświęcić wszystko dla sprawy – nie były jedynie potężne.

Były też niebezpieczne.

Chociaż jedna czarownica nie jest w stanie zobaczyć wzorów innej, sztuczki takie jak utopienie czy spalenie kogoś żywcem wymagają ogromnej ofiary, żeby utrzymać równowagę: to może być jakieś uczucie albo wspomnienia z całego roku. Kolor ich oczu. Zdolność odczuwania dotyku.

Takie straty mogą... zmienić osobę. Przekształcić ją w kogoś mroczniejszego i osobliwszego. Raz byłam świadkiem czegoś takiego.

Ale to było dawno temu.

Nawet jeśli nie byłam w stanie stać się tak potężna jak moja matka, musiałam coś zrobić.

– Jeśli pozbawię uzdrowicielki i księży możliwości podsłuchiwania nas, to ich upośledzę. Odbiorę im słuch. – Otrzeptałam złoto przylegające mi do skóry, wyprostowałam ręce. – I będę musiała upośledzić również siebie.

Stracę jeden z moich zmysłów... najoczywistszym wyborem byłby słuch, ale to już kiedyś robiłam. Mogłabym oddać inny zmysł, na przykład dotyk, wzrok lub smak. – Zamilkłam i przyjrzałam się wzorom. – Smak nie wystarczy: waga byłaby przechylona na moją korzyść. Wzrok to za dużo, zostałabym pozbawiona skuteczności. Więc... musi być dotyk. A może węch? – Skupiłam się na nosie, ale nie pojawił się żaden nowy wzór.

Brzdęk.

Brzdęk.

Brzdęk.

Zerknęłam na Berniego, zdekoncentrowałam się. Wzory zniknęły.

– Kocham cię, Bernie, ale możesz się na chwilę zamknąć? Nie ułatwiasz.

Brzdęk.

Coco dźgnęła mnie palcem w policzek, ponownie kierując moją uwagę na drzwi.

– Próbuj. Spójrz z innej perspektywy.

Odpędziłam jej rękę.

– Łatwo ci mówić. – Zazgrzytałam zębami i wbiłam wzrok w drzwi z taką intensywnością, że aż bałam się, że eksplodują mi oczy. Może to zapewniłoby wystarczającą równowagę. – Może... Może nic im nie zabiorę. Może to oni mi coś dadzą.

– Na przykład zdradzą jakąś tajemnicę? – podpowiadała Coco.

– Tak. Co oznacza... Co oznacza...

– Spróbuj może wypowiedzieć jakiś sekret.

– Nie bądź głupia. To tak nie działa...

Pomiędzy moim językiem a jej uchem pojawił się złoty sznureczek. Cholera.

Na tym polegał kłopot z magią. Była subiektywna. Na każdy mój pomysł inna wiedźma mogła wymyślić sto odmiennych rozwiązań. Dwa umysły nigdy nie działały w ten sam sposób, więc czary dwóch czarownic zawsze się od siebie różniły. Wszyscy postrzegaliśmy świat inaczej.

Nie musiałam o tym mówić Coco.

Uśmiechnęła się z ulgą i uniosła brew, jakby czytając mi w myślach.

– Brzmi to tak, jakby nie było żadnych wyraźnych zasad twojej magii. Jest intuicyjna. – Z namysłem postukała się palcem w brodę. – Szczerze mówiąc, przypomina mi magię krwi.

Na korytarzu rozległy się kroki, więc umilkłyśmy. Kiedy zatrzymały się przed drzwiami, Coco wycofała się do kąta, a ja usiadłam na żelaznym

krześle przy łóżku Berniego. Otworzyłam Biblię i zaczęłam czytać na głos pierwsze lepsze zdanie.

Wszedł ojciec Orville.

– Och! – Aż się złapał za pierś na nasz widok, jego oczy zrobiły się okrągłe za okularami. – Ojeju! Ale mnie przestraszyłyście.

Wstałam z uśmiechem, gdyż do pokoju wszedł także Ansel. Na wargach miał okruchy ciastka. Najwyraźniej napadł na kuchnię uzdrowicielek.

– Wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście. – Zwróciłam się do ojca Orville'a: – Przepraszam, ojcie. Nie chciałam cię wystraszyć.

– Nie ma problemu, dziecko. Jestem zbyt spięty. Mieliśmy dziwną noc. Nasi pacjenci byli niezwykle... zaniepokojeni. – Machnął ręką, w której pojawiła się strzykawka, i podszedł do łóżka Berniego. Uśmiech zamarł mi na ustach. – Widzę, że niepokoi cię los naszego Monsieur Bernarda. Wczoraj w nocy jedna z naszych uzdrowicielek udaremniła mu skok z okna!

– Słucham? – Spojrzałam Berniemu w oczy, zmarszczyłam brwi, ale jego poraniona twarz niczego nie wyrażała. Nawet nie drgnął. Wciąż był zupełnie... pusty. Pokręciłam głową. Jego ból musiał być nie do zniesienia.

Ojciec Orville poklepał mnie po ramieniu.

– Nie martw się, dziecko. To się więcej nie powtórzy. – Uniósł wątlą dłoń i pokazał mi strzykawkę. – Tym razem odmierzyliśmy właściwą dawkę. Jestem tego pewien. Ten zastrzyk złagodzi jego niepokój do czasu, aż połączy się z Panem.

Spomiędzy szat wyjął smukły sztylet i naciął skórę na ręce Berniego. Coco zrobiła krok w przód, zmrużyła oczy, gdy z rany wytrysnęła czarna krew.

– Pogorszyło mu się.

Ojciec Orville przygotował strzykawkę. Wątpiłam w to, że w ogóle widzi rękę Berniego, ale w końcu udało mu się zanurzyć igłę głęboko w czarnej ranie. Wzdrygnęłam się, gdy nacisnął tłok, wstrzykując truciznę, ale Bernie nawet nie drgnął. Dalej na mnie patrzył.

– No i proszę. – Ojciec Orville wyjął igłę z jego ręki. – Powinien za chwilę zasnąć. Sugeruję, żebyśmy zostawili go w spokoju.

– Tak, ojcie – powiedziała Coco, pochylając głowę. Posłała mi znaczące spojrzenie. – Chodź, Lou. Poczytamy Przysłowia.

LA VIE ÉPHÉMÈRE

Lou

Na ulicy przed Soleil et Lune stał tłum ludzi. Arystokraci wymieniali uwagi przy kasie, podczas gdy ich żony witały się ze sobą z przesłodzonymi uśmiechami. Modne powozy podjeżdżały pod wejście i po chwili odjeżdżały. Bileterzy próbowali odprowadzać gości na widownię, ale to była główna rozrywka tego wieczoru. To dlatego bogaci i wpływowi pojawili się w teatrze... Żeby stroszyć piórka i politykować w skomplikowanym tańcu towarzyskim.

Zawsze porównywałam to do rytuałów godowych pawi.

Mój mąż i ja wyglądaliśmy podobnie od nich. Nie miałam dzisiaj poplamionej peleryny i spodni. Kiedy wrócił dziś do pokoju z nową suknią wieczorową – niemal pękając z dumy i oczekiwania – nie byłam w stanie mu odmówić. Suknia była w kolorze starego złota, miała dopasowany gorset i zwężane rękawy haftowane w malutkie kwiaty. Błyszczały w zachodzącym słońcu, przechodząc gładko w jedwabny tren w kolorze szampana. Zaczarowałam kilka siniaków w infirmerii. Resztę przykrył puder.

Mój mąż założył swój najlepszy płaszcz. Chociaż był w typowym dla chasseurów odcieniu niebieskiego, przy kołnierzu i mankietach miał złote aplikacje. Chciało mi się śmiać, gdy wyobraziłam sobie, jak wchodzimy po schodach teatru. Dobrał nasze stroje pod każdym względem. Powinnam być oburzona, ale kiedy mocno ujął mnie pod rękę, odczuwałam już tylko ekscytację.

Uparłam się, że założę na głowę kaptur. Oraz ładną, koronkową wstążkę na szyję, żeby zakryć bliznę. Jeśli mój mąż to zauważył, powstrzymał się od komentarza.

Może nie był aż taki zły.

Tłum się rozstał, gdy weszliśmy do foyer. Wątpiłam, by ktoś nas jeszcze pamiętał, ale ludzie trzymali się na baczności przed chasseurami – tudzież *okazywali szacunek*. Nikt tak nie psuł dobrej imprezy jak chasseur. Zwłaszcza taki świętoszkowaty jak mój mąż.

Zaprowadził mnie na miejsce. Choć raz nie miałam nic przeciwko jego dłoni na moich plecach. W zasadzie to było... miłe. Ciepłe. Silne. Dopóki nie zaczął zdejmować ze mnie peleryny. Kiedy wyszarpnęłam się z jego chwytu, zmarszczył brwi i odchrząknął, próbując zamaskować zawstydzenie.

– W sumie nie zapytałem... Podobała ci się książka?

Dżentelmen siedzący obok chwycił mnie za rękę, zanim zdołałam odpowiedzieć.

– *Enchanté, mademoiselle* – powiedział, całując moje palce.

Nie mogłam powstrzymać chichotu. Był przystojny, ale mocno napomadowany, miał ciemne, przygładzone włosy i cienki wąsik.

Mój mąż aż spąsował.

– Byłbym wdzięczny, gdyby puścił pan rękę mojej żony, *monsieur*.

Mężczyzna wybałuszył oczy i spojrzał na mój nagi palec serdeczny. Roześmiałam się głośniej. Zaczęłam nosić Pierścień Angeliki na prawej ręce, żeby wkurzać męża.

– Pańskiej żony? – Puścił moją dłoń, jakby była jadowitym pajakiem. – Nie sądziłem, że chasseurzy mają w zwyczaju się żenić.

– Ja mam. – Wstał i skinął głową w moją stronę. – Zamieńmy się miejscami.

– Nie chciałem pana urazić, *monsieur*. – Mężczyzna posłał mi zranione spojrzenie, gdy odsunęłam się na dalsze miejsce. – Chociaż przyznaję, że jest pan szczęściarzem.

Mój mąż o mało nie eksplodował ze złości, co skutecznie uciszyło naszego sąsiada na resztę wieczoru.

Światła przygasły, więc w końcu mogłam zdjąć kaptur.

– Jesteś nieco zaborczy, co? – wyszeptalam z uśmiechem. Co za brutal. Rozkoszny, nadęty brutal.

– Przedstawienie się zaczyna. – Nawet na mnie nie spojrzał.

Rozpoczęła się symfonia, aktorzy wyszli na scenę. Od razu rozpoznałam tę z haczykowanym nosem i aż zachichotałam na wspomnienie tego, jak poniżyła arcybiskupa przed jego pochlebcami. Genialnie. Trzeba mieć jaja, żeby tak czarować w obecności mojego męża i arcybiskupa...

Dziewczyna była nieustraszoną Dame Blanche.

Chociaż grała jedynie drugoplanową rolę, z przyjemnością patrzyłam, jak tańczy obok aktorów odgrywających Emilie i Alexandre'a.

Pod koniec piosenki mój entuzjazm przygasł. W jej ruchach było coś znajomego, coś, czego nie zauważyłam, kiedy widziałam ją po raz pierwszy. Niepokój zagnieździł się w moim żołądku, gdy patrzyłam, jak wiruje i tańczy, a potem znika za kurtyną.

Kiedy rozpoczęła się druga piosenka, mój mąż pochylił się nad moim uchem. Jego oddech łaskotał mnie w szyję.

– Jean Luc powiedział, że szukałaś mnie rano.

– Niegrzecznie jest rozmawiać podczas przedstawienia.

Zmrużył oczy, ale się nie wycofał.

– Czego chciałaś?

Skupiłam się na tym, co działo się na scenie. Dziewczyna z haczykowanym nosem znowu się pojawiła, jasne, jedwabiste włosy opadały jej na ramiona. Ten widok poruszył coś w mojej pamięci, ale zanim zdołałam się na tym skupić, wspomnienie uleciało.

– Lou? – Delikatnie mnie dotknął. Jego dłoń była ciepła, duża, stwardniała, i nie mogłam się zdobyć na odepchnięcie jej.

– Noża – odparłam, nie spuszczając wzroku ze sceny.

– Słucham? – Gwałtownie wciągnął powietrze.

– Chciałam noża.

– Nie żartuj sobie.

Zerknęłam na niego.

– Mówię poważnie. Widziałaś Madame Labelle. Potrzebuję ochrony.

Mocniej ścisnął moją dłoń.

– Nie dotknie cię. – Napomadowany mężczyzna zakaszlał znacząco, ale go zignorowaliśmy. – Nie zostanie ponownie wpuszczona na teren Wieży. Arcybiskup dał słowo.

– Czy mam się dzięki temu poczuć lepiej? – Skrzywiłam się.

Zrobił poważną minę, zacisnął szczęki.

– Powinnaś. Arcybiskup jest potężnym człowiekiem i przysiągł cię chronić.

– Jego słowo nic dla mnie nie znaczy.

– A moje słowo? Ja też przysięgłem cię chronić.

Naprawdę chciało mi się śmiać, gdy tak się zarzekał, że będzie chronił czarownicę. Chyba by się okocił, gdyby poznał prawdę.

Zawadiacko uniosłam brew.

– Tak jak ja przyrzekłam, że będę ci posłuszna?

Posłał mi ponure spojrzenie, ale w tym momencie również inni widzowie zaczęli się na nas gapić z wyrzutem. Odrzuciłam włosy i wygodniej rozsiadłam się w fotelu. Był zbyt pruderyjny, by kłócić się w obecności postronnych.

– Jeszcze o tym porozmawiamy – mruknął pod nosem, ale również usiadł prosto i bez przyjemności oglądał przedstawienie. Ku mojemu zaskoczeniu oraz dziwnej radości cały czas trzymał mnie za rękę. Po kilku chwilach musnął kciukiem moje palce. Poruszyłam się. Zignorował mnie, nie odrywał wzroku od sceny. Jednak jego kciuk wciąż się poruszał, rysował wzorki na mojej dłoni, okrężał moje kostki, dotykał czubków moich paznokci.

Próbowałam się skupić na sztuce. Z każdym ruchem jego kciuka czułam rozkoszne dreszcze... aż powoli, stopniowo, jego dotyk przeniósł się wyżej, a jego palce gładziły żyły na moim nadgarstku, wewnątrz łokcia. Dotknął tamtejszej blizny, a ja zadrżałam, wbiłam plecy w siedzenie, starając się śledzić akcję na scenie. Peleryna zsunęła mi się z ramion.

Pierwszy akt skończył się zbyt szybko, zaczęła się przerwa. Zostaliśmy na swoich miejscach, dotykaliśmy się bez słowa, ledwo oddychając, gdy publiczność przemieszczała się wokół nas. Kiedy świece znowu zgasły, popatrzyłam na niego i poczułam żar w podbrzuszu i na policzkach.

– Reid – wyszeptałam.

Zerknął na mnie, też był zarumieniony i spanikowany. Pochyliłam się ku niemu, spojrzałam na jego rozchylone usta. Wysunął język, żeby zwilżyć wargi, a mnie przeszedł dreszcz.

– Tak?

– Ja...

Kątem oka dostrzegłam, jak dziewczyna z haczykowatym nosem kręci piruet, jej włosy latają dziko wkoło głowy. Ten ruch pobudził moje wspomnienia. Obchody przesilenia. Płowe włosy udekorowane kwiatami. Słup majowy, wokół którego odbywały się tańce.

Cholera.

Estella. Miała na imię Estella i znałam ją kiedyś – w dzieciństwie w Chateau le Blanc. Naturalnie nie rozpoznała mnie ostatnio, bo miałam poharataną twarz, ale jeśli zobaczy mnie ponownie, jeśli coś sobie przypomni...

Żar w moim brzuchu zmienił się w lód.

Musiałam stąd wyjść.

– Lou? – Głos Reida docierał do mnie z daleka, jakby nawoływał z końca tunelu, a nie z fotela obok. – Wszystko w porządku?

Głęboko oddychałam, starałam się uspokoić. Na pewno to słyszał. Drżało całe moje ciało, zdradzało mnie każde uderzenie serca. Jego dłoń znieruchomiała na moim nadgarstku. Cholera. Zabrałam rękę, położyłam ją na kolanach.

– Nic mi nie jest.

Uraza i zaskoczenie przemknęły przez jego twarz. Zakląłam.

W chwili gdy skończyła się finałowa piosenka, zerwałam się na nogi i założyłam pelerynę. Dokładnie zakryłam włosy kapturem i osłoniłam twarz.

– Gotów?

Reid rozejrzał się skołowany. Reszta widowni pozostała na siedzeniach; gdy opadła kurtyna, niektórym brakowało tchu, inni płakali po tragicznej śmierci Emilie i Alexandre'a. Jeszcze nie zaczęto oklaskiwać aktorów.

– Co się dzieje?

– Nic! – wyrzuciłam z siebie zbyt szybko, by zabrzmiało to przekonująco. Odchrząknęłam, posłałam mu wymuszony uśmiech i spróbowałam ponownie: – Po prostu jestem zmęczona.

Nie czekałam na jego odpowiedź. Pociągnęłam go za dłoń do foyer, po drodze mijając widzów, którzy wreszcie wstali i klaskali. Nagle stanęłam jak wryta. Aktorzy i aktorki już ustawili się w rzędzie przy drzwiach. Zanim udało mi się zmienić kierunek, Estella dojrzała Reida. Posłała mu gniewne spojrzenie, a widząc spowitą peleryną postać obok niego, zmrużyła oczy i zajrzała pod kaptur. Rozpoznała mnie. Pociągnęłam Reida za rękę, musiałam uciekać, ale on ani drgnął, gdy Estella ruszyła w naszą stronę.

– Jak się masz? – Zachowywała się uprzejmie i naturalnie, gdy odsunęła mi z twarzy kaptur, żeby spojrzeć na moje obrażenia. Nie mogłam się ruszyć, nie byłam w stanie jej powstrzymać. Uśmiechnęła się. – Wygląda na to, że ładnie się goi.

Przełknęłam gulę w gardle.

– Nic mi nie jest, dziękuję.

– Naprawdę? – Z niedowierzaniem uniosła brew, a w jej dotychczas serdecznych oczach błysnęło coś stalowego, gdy popatrzyła na Reida, który był jeszcze mniej zadowolony z tego spotkania niż ona. Wydeła usta. – A ty jak się masz? Wciąż chowasz się za tym niebieskim płaszczem?

Była naprawdę odważna, skoro drażniła się z chasseurem w miejscu publicznym. Widzowie cmokali z niezadowoleniem. Reid popatrzył na nią ze złością i ścisnął moje drżące palce.

– Chodźmy, Lou.

Wzdrygnęłam się, ścisnęło mnie w żołądku, ale było już za późno.

– Lou? – Estella się spięła, przechyliła głowę. Ponownie zmierzyła mnie wzrokiem i zrobiła okrągłe oczy. – Tak jak... Louise?

– Miło było cię znowu widzieć! – Zanim zdążyła odpowiedzieć, pociągnęłam Reida w stronę drzwi. Poszedł za mną bez oporu, chociaż czułam jego niewypowiedziane pytania na karku.

Lawirowaliśmy pomiędzy ludźmi. Kiedy nie byłam w stanie kogoś wyprzedzić, wysuwał się przede mnie. Czy to z powodu jego wzrostu, czy niebieskiego płaszcza, ludzie rozstępowali się i uchylali kapelusza. Nasz powóz czekał kilka przecznic dalej – zastawiony powozami stałych bywalców – więc pociągnęłam go w przeciwnym kierunku, biegnąc tak szybko i tak daleko od teatru, jak pozwalała mi moja suknia.

Kiedy wreszcie zostawiliśmy tłum w tyle, skierowaliśmy się ku pustej bocznej uliczce.

– O co chodziło?

Zaśmiałam się nerwowo, nie zwalniając kroku. Musieliśmy uciekać.

– O nic, naprawdę. Po prostu... – Coś mignęło za nim. Serce niemal mi stanęło, gdy z cienia wyszła Estella.

– Nie wierzę, że to ty – wyszeptała zdyszana, patrząc na mnie z podziwem. – Wcześniej cię nie poznałam przez te siniaki. Wyglądasz... inaczej.

To była prawda. Oprócz pokiereszowanej twarzy miałam dłuższe i jaśniejsze włosy niż w okresie naszej znajomości, moja skóra zrobiła się ciemniejsza i piegowata od przebywania na słońcu.

– Znacie się? – zapytał Reid, marszcząc brwi.

– Oczywiście, że nie – powiedziałam szybko. – Tylko z teatru. Chodźmy, Reid. – Zwróciłam się do niego, a on objął mnie w tali, lekko wysuwając się przede mnie.

Estella zrobiła wielkie oczy.

– Nie możesz odejść! Nie teraz, kiedy...

– Może – odparł stanowczo Reid. Chociaż nie miał pojęcia, o co chodzi, pragnienie chronienia mnie było silniejsze od jego dezorientacji. Do tego dochodziła silna niechęć do Estelli. Gdy ruszyliśmy, delikatnie sterował mną, trzymając dłoń na moich plecach. – Dobranoc, *mademoiselle*.

Estella nawet nie mrugnęła. Machnęła tylko ręką, jakby odpędzała się od natrętnej muchy, na co szyld sklepu, pod którym staliśmy, wyrwał się z zawiasów i spadł na tył głowy Reida. Ostry zapach magii wypełnił uliczkę, gdy chasseur padł na kolana. Sięgnął po balisardę.

– Nie! – Chwyciłam go za płaszcz, próbując dźwignąć z ziemi, osłonić własnym ciałem, ale Estella już wygięła palce.

Poleciał do tyłu, kiedy szyld uderzył go po raz drugi. Wyrznął głową w mur, rozległ się paskudny trzask i upadł na ziemię, gdzie znieruchomiał.

Warknęłam z głębi gardła i stanęłam pomiędzy nimi, unosząc ręce.

– Nie utrudniaj tego, Louise. – Podeszła, jej oczy błyszczały fanatyzmem. Zdjęła mnie panika. Chociaż kątem oka dostrzegałam złote nici, nie mogłam skupić się na wzorze. Nie mogłam skupić się na niczym. Wydawało mi się, że świat zamilkł, czekał.

Oprócz...

Reid poruszył się za mną.

– Nie pójdę z tobą. – Cofnęłam się, unosząc ręce na wysokość jej oczu. – Proszę, przestań.

– Nie rozumiesz? Chodzi o honor...

Obok mnie mignęło coś niebieskiego.

Estella nie była w stanie zareagować wystarczająco szybko, gdy Reid rzucił się na nią z szeroko rozłożonymi rękami. Przez chwilę przypominało to jakiś chory uścisk. A potem Reidowi udało się ją odwrócić tak, że jej plecy przylegały do jego piersi. Przytrzymał jej ręce i zarzucił jej ramię na gardło. Przyglądałam się z przerażeniem, jak z nim walczy. Jej twarz powoli robiła się sina.

– Pomóż... mi... – Rzuciła się, przerażona, szukając mnie dzikim wzrokiem. – Proszę...

Nawet nie drgnęłam.

Nie minęła minuta, jak się poddała. Jej ciało po raz ostatni się wyprężyło, po czym bezwładnie padło w objęcia Reida.

– Czy ona... nie żyje? – wyszeptałam.

– Nie. – Miał bladą twarz, drżały mu ręce. Pozwolił jej osunąć się na ziemię. Kiedy w końcu na mnie spojrzał, aż się skurczyłam pod wpływem jego wściekłego spojrzenia. – Czego od ciebie chciała?

Nie mogłam tego znieść, więc odwróciłam wzrok – od niego i od Estelli, od całej tej koszmarnej sceny – i spojrzałam w niebo. Dzisiaj gwiazdy były ledwie widoczne, nie chciały dla mnie świecić. Oskarżały mnie.

Dopiero po dłuższej chwili byłam w stanie odpowiedzieć. Na moich policzkach lśniły łzy.

– Chciała mojej śmierci.

Przyglądał mi się kolejną długą chwilę, po czym zarzucił sobie na ramię bezwładne ciało Estelli.

– Co zamierzasz z nią zrobić? – zapytałam z przestrawieniem.

– To czarownica. – Ruszył w górę ulicy, nie oglądając się na mnie, ignorując zatrwożone spojrzenia przechodniów. – Spłonie na ziemi, a potem w piekle.

ZABÓJCA CZAROWNIC

Lou

Reid nie chciał ze mną rozmawiać w drodze do Wieży Chasseurów. Wyciągałam nogi, żeby za nim nadążyć, każdy krok był jak nóż w serce.

Zabójca czarownic zabójca czarownic zabójca czarownic.

Nie mogłam patrzeć na Estellę, nie mogłam wytrzymać widoku jej głowy bezwładnie kołyszącej się na plecach Reida. Jej płowych włosów, które podskakiwały przy każdym jego kroku.

Zabójca czarownic.

Kiedy Reid wpadł do Wieży, strażę wahały się tylko sekundę, ale zaraz przystąpiły do działania. Nienawidziłam ich. Nie mogłam znieść myśli, że przygotowywali się na tę chwilę przez całe życie. Ich oczy lśniły w oczekiwaniu, gdy podawali Reidowi metalową strzykawkę.

Zastrzyk.

Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Poczułam mdłości.

– Ojcowie nie mogli się doczekać wypróbowania tego na czarownicy – powiedział chasseur stojący najbliżej Reida. – Dzisiaj jest ich szczęśliwy dzień.

Reid się nie wahał. Zsunął Estellę z pleców w swoje ramiona i z brutalną siłą wbił szpikulec w jej szyję. Krew wytrysnęła jej na ramię i splamiła biel sukienki.

Równie dobrze to mogła być moja dusza.

Wypadła z rąk Reida jak kamień. Nikt nawet nie drgnął, by ją złapać, upadła twarzą na bruk. Nie ruszała się. Ledwie oddychała. Drugi chasseur

zaśmiał się i szturchnął ją w twarz czubkiem buta. Nadal się nie ruszała.

– To chyba załatwia sprawę. Księża będą zadowoleni.

Następnie pojawiły się okowy – grube i rdzawe od krwi – które objęły jej nadgarstki i kostki. Chwycili ją za włosy i zawlekli na schody. Łańcuchy brzęczały na każdym stopniu, gdy znikwała coraz niżej i niżej, aż znalazła się na przedsionku piekła.

Reid nie oglądał się na mnie, gdy ruszył za nimi.

W chwili gdy tylko pusta strzykawka i krew Estelli przypominały mi, co zrobiłam, poczułam do siebie nienawiść.

Zabójca czarownic.

Gorzko zapłakałam.

Jakby wyczuwając mój nastrój, następnego ranka słońce się nie pokazało. Dzień był ciemny i złowieszczy, cały świat spowiła gruba warstwa czerni i szarości. W oddali słychać było grzmoty. Patrzyłam przez okno w pokoju, miałam zaczerwienione, szkliste oczy.

Arcybiskup nie marnował czasu. Otworzył drzwi kościoła i wykrzyczał do nieba grzechy Estelli. Przyprowadził ją w kajdanach i cisnął na ziemię u swoich stóp. Tłum wykrzykiwał bezceństwa, rzucał w nią błotem i kamieniami. Jak oszalała kręciła głową, jakby kogoś szukała.

Jakby szukała mnie.

Chyba przyciągnęłam ją wzrokiem, bo zadarła głowę i wbiła we mnie spojrzenie błękitnych oczu. Nie musiałam słyszeć słów, wystarczyło mi, że widziałam ruch jej warg, by wiedzieć, że z głębi jej duszy sączył się jad.

Zabójca czarownic.

To była ostateczna zniewaga.

Reid stał w pierwszym rzędzie, jego włosy powiewały na wietrze. W nocy zbudowano platformę. Na niej stał prosty, drewniany pręgierz, celował w niebo, z którego zaczęły padać pierwsze, lodowate krople deszczu.

Przywiązali do niego moją siostrę. Nadal miała na sobie teatralny kostium – prostą białą sukienkę, która sięgała jej do kostek – choć teraz była zakrwawiona i brudna po torturach, jakie zadali jej chasseurzy w lochu. Jeszcze wczoraj wieczorem śpiewała i tańczyła w *Soleil et Lune*. Teraz czekała na śmierć.

To wszystko była moja wina.

Byłam tchórzem, za bardzo bałam się śmierci, by ocalić Estellę. Żeby ocalić mój lud. Setki czarownic, które zmarły. Złapałam się za szyję, za

bliznę na niej i stłumiłam szloch. To wszystko była moja wina.

Ansel poruszył się za mną niespokojnie.

– Trudno na to patrzeć po raz pierwszy – powiedział z wysiłkiem. – Nie musisz się przyglądać.

– Muszę. – Aż mnie zatchnęło, gdy stanął obok, przy mojej wieży z mebli. Po policzkach płynęły mi łzy, na parapecie utworzyła się mała kałuża. – To moja wina.

– Jest czarownicą – zaproponował łagodnie.

– *Nikt* nie zasługuje na taką śmierć.

Zaskoczyła go moja zaciekłość.

– Wiedzmy tak.

– Powiedz mi, Ansel – Odwróciłam się do niego, bo poczułam, że to ważne, by zrozumiał. – Czy kiedykolwiek spotkałeś czarownicę?

– Oczywiście, że nie.

– Tak, spotkałeś. Są wszędzie, w całym mieście. Kobieta, która w zeszłym tygodniu cerowała ci płaszcz, mogła nią być. Albo ta służąca z dołu, która rumieni się za każdym razem, gdy na nią spojrzysz. Twoja własna *matka* mogła nią być, a ty byś nawet o tym nie wiedział. – Chłopak pokręcił głową. – Nie wszystkie są złe, Ansel. Niektóre są miłe, troskliwe i dobre.

– Nie – upierał się. – Są złe.

– Czy my wszyscy tacy nie jesteśmy? Czyż nie uczy tego twój Bóg?

Zrzedła mu mina.

– To co innego. One są... nienaturalne.

Nienaturalne. Zasłoniłam oczy pięściami, żeby powstrzymać łzy.

– Masz rację. – Wskazałam na scenę pod nami, gdzie nasilały się emocje tłumu. Ciemnowłosa kobieta stojąca z tyłu szlochała. – Popatrz, oto coś naturalnego.

Ansel zmarszczył brwi, gdy Reid podał arcybiskupowi pochodnię.

Estella zadrżała. Wzniosła oczy do nieba, gdy kapłan szerokim zamachem uniósł pochodnię i podpalił siano pod jej stopami. Tłum wył z zachwyty.

Przypomniałam sobie nóż na gardle. Poczułam pocałunek ostrza na skórze.

Znałam strach, który wypełniał serce Estelli.

Ogień postępował szybko. Chociaż przez łzy nie widziałam wyraźnie, zmusiłam się do patrzenia na to, jak płomienie lizały dół sukni dziewczyny.

Zmusiłam się do słuchania jej krzyków. Każdy rozdzierał mi duszę, po chwili musiałam już przytrzymywać się parapetu, żeby nie spaść.

Nie mogłam dłużej. Chciałam umrzeć. Zasługiwałam na śmierć, na to, żeby wic się w płomieniach i płonąć w bezdennym jeziorze czarnego ognia.

Wiedziałam, co powinnam zrobić.

Bez namysłu – bez rozważania konsekwencji mojego czynu – zacisnęłam pięści.

Świat stanął w ogniu.

Krzyknęłam, spadając na podłogę. Ansel skoczył ku mnie, ale nie był w stanie utrzymać mojego wstrząsanego spazmami ciała. Miałam konwulsje, przygryzłam język, żeby przestać wrzeszczeć, gdy obejmował mnie ogień, gdy moja skóra pokrywała się bąblami i zwęglona odpadała od kości. Nie mogłam oddychać. Nie mogłam myśleć. Była tylko agonia.

Na dole nagle ustał krzyk Estelli. Jej ciało przestało się wic w płomieniach, na jej twarz wypłynął błogi uśmiech, kiedy spokojnie osuwała się w niebyt.

BÓL DUSZY

Lou

Ocknęłam się. Na czole miałam chłodną szmatkę. Zamrugałam, żeby oczy przyzwyczyły się do półmroku. Blask księżyca skąpał pokój w srebrze, oświetlił zgarbioną postać siedzącą na krześle przy łóżku. Choć poświata wybieliła miedziane włosy, nie miałam wątpliwości, kto to jest.

Reid.

Czoło oparł na skraju materaca, prawie dotykał mojego biodra. Jego palce znajdowały się tuż obok moich. Poczułam ból serca. Zapewne trzymał mnie za rękę, zanim zasnął.

Nie wiedziałam, co mam o tym myśleć.

Ostrożnie dotknęłam jego włosów, walczyłam z rozpaczą w sercu. Spalił Estellę. Nie – to ja spaliłam Estellę. Wiedziałam, co jej zrobi, gdy czekałam, aż się ocknie w tej bocznej uliczce. Wiedziałam, że ją zabije.

Chciałam, by tak się stało.

Zabrałam rękę, obrzydzonej samą sobą. Brzydziłam się Reidem. Na chwilę zapomniałam, dlaczego tu jestem. Kim jestem. Kim *on* jest.

Czarownica i łowca czarownic połączeni świętym węzłem małżeńskim. Ta historia mogła się skończyć tylko w jeden możliwy sposób: stosem i zapalką. Skłęłam się za głupotę – że pozwoliłam sobie tak bardzo się do niego zbliżyć.

Poczułam dotyk na ręce. Odwróciłam się i zobaczyłam, że Reid na mnie patrzy. Zarośnięty, z podkrążonymi oczami wyglądał, jakby od dawna nie spał.

– Obudziłaś się – wyszeptał.

– Tak.

Westchnął z ulgą i zamknął oczy, ściskając moją dłoń.

– Dzięki Bogu.

Po sekundzie wahania również ścisnęłam jego palce.

– Co się stało?

– Przewróciłaś się. – Głośno przełknął ślinę i otworzył oczy. Przepętniał je ból. – Ansel pobiegł po Mademoiselle Perrot. Nie wiedział, co zrobić. Powiedział... powiedział, że krzyczałaś. Że nie mógł cię uspokoić. Mademoiselle Perrot też się to nie udało. – Bezwiednie pogłaskał wnętrze mojej dłoni i spojrzał na nią, tak naprawdę jej nie widząc. – Kiedy przyszedłem, byłaś... chora. Naprawdę chora. Krzyczałaś, gdy cię dotykali. Przystawałaś dopiero, gdy ja... – Odchrząknął, odwrócił wzrok. Podskakiwała mu grdyka. – A potem znieruchomiałaś. Myśleliśmy, że nie żyjesz. Ale jest inaczej.

– Tak, żyję. – Patrzyłam na nasze złączone dłonie.

– Karmiłem cię kawałkami lodu, a służące co godzinę zmieniały prześcieradła.

Dopiero gdy to powiedział, zauważyłam, że mam wilgotną koszulę i prześcieradło. Moja skóra również lepiała się od potu. Zapewne wyglądałam tragicznie.

– Jak długo byłam nieprzytomna?

– Trzy dni.

Jęknęłam i usiadłam. Przetarłam lepką twarz.

– Cholera.

– Czy to ci się zdarzało już wcześniej? – Popatrzył na mnie, gdy odrzuciłam koce i zadrzałam w chłodzie nocy.

– Oczywiście, że nie. – Chociaż chciałam zachowywać się uprzejmie, moja odpowiedź przypominała warczenie. Spiał się.

– Ansel twierdzi, że to przez palenie. Powiedział, że prosił, żebyś nie patrzyła.

Palenie. Tym właśnie było dla Reida. Jego świat nie stanął w płomieniach. Nie zdradził swojego ludu. Znowu wezbrała we mnie złość. Zapewne nawet nie znał imienia Estelli.

Ruszyłam w stronę łaźni, nie patrząc mu w oczy.

– Rzadko robię to, co mi się każe.

Złość zapłonęła mocniej, gdy Reid poszedł za mną.

– Dlaczego? Dlaczego patrzyłaś, skoro tak cię to zasmuciło?

Odkręciłam kran i patrzyłam, jak gorąca woda wypełnia wannę.

– Ponieważ ją zabiliśmy. Przynajmniej mogłam popatrzeć, jak ginie. Byłam jej to winna.

– Ansel mówił, że płakałaś.

– Zgadza się.

– To była *wiedźma*, Lou.

– Ona, nie to – warknęłam, odwracając się w jego stronę. – *Ona* była czarownicą i *człowiekiem*. Miała na imię Estella i to my ją spaliliśmy.

– Czarownice nie są ludźmi – powiedział zniecierpliwiony. – To dziecinne mrzonki. Nie są małymi wrózkami, które ubierają się w kwiaty i tańczą w pełni księżyca. To demony. Widziałaś infirmerię. Są złe. *Krzywdzą*, jeśli mają okazję. – Z irytacją przeczesał dłonią włosy. – Zaslugują na stos.

Zacisnęłam dłonie na krawędzi wanny, żeby nie zrobić czegoś, czego mogłabym pożałować. Chciałam, nie – *musiałam* nim wstrząsnąć. Musiałam zacisnąć dłonie na jego gardle i potrząsać nim, dopóki nie nabierze rozumu. Kusiło mnie, żeby znowu rozciąć sobie rękę, żeby zobaczyć płynącą we mnie krew. Krew, która miała tak sam kolor jak jego.

– A gdybym ja była czarownicą, Reid? – zapytałam spokojnie. – Czy też zasługiwałabym na stos?

Zakręciłam kran. Zapadła całkowita cisza. Czułam jego wzrok na plecach... ostrożny, oceniający.

– Tak – powiedział ostrożnie. – Jeśli byłabyś wiedźmą.

Pomiędzy nami zawisło niewypowiedziane pytanie. Spojrzałam mu w oczy przez ramię, prowokując do jego zadania. Modląc się, by nie zapytał. Błagając go w myślach, by zapytał. Nie wiedziałam, co bym odpowiedziała, gdyby to zrobił.

Minęła długa chwila, podczas której patrzyliśmy sobie w oczy. W końcu, kiedy stało się jasne, że nie zada pytania, odwróciłam się i wyszeptałam:

– Oboje zasługujemy na stos za to, co jej zrobiliśmy.

Odchrząknął, widocznie poczuł się niekomfortowo, gdy rozmowa obrała nowy kierunek.

– Lou...

– Zostaw mnie. Potrzebuję czasu.

Nie oponował, po prostu wyszedł. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, weszłam do gorącej wody. Parowała, była niemal wrząca, ale i tak chłodna

w porównaniu do stosu. Zanurzyłam się pod powierzchnię i przypominałam sobie ból płonącej skóry.

Cały rok ukrywałam się przed La Dame des Sorcierres. Moją matką. Robiłam straszne rzeczy, żeby się chronić, żeby przeżyć. Ponieważ nade wszystko tego pragnęłam: przeżyć.

Ale jakim kosztem?

Przy Estelli zareagowałam instynktownie. Albo ona, albo ja. Wszystko wydawało się jasne. Był tylko jeden wybór. Ale... Estella była jedną z nas. Czarownicą. Nie pragnęła mojej śmierci, chciała jedynie być wolna od prześladowań nękających nasz lud.

Niestety, te dwie rzeczy wykluczały się teraz wzajemnie.

Pomyślałam o jej ciele, o wietrze unoszącym prochy jej i innych, które rozwiewał od lat.

Pomyślałam o Monsieur Bernardzie gnijącym na łóżku na górze oraz wszystkich innych, którzy w bólach czekali na śmierć.

Czarownice i ludzie. Jedno i to samo. Wszyscy niewinni. Wszyscy winni.

Wszyscy martwi.

Ale nie ja.

Kiedy miałam szesnaście lat, mama próbowała mnie poświęcić – swoje jedyne dziecko. Jeszcze przed moim poczęciem Morgane widziała wzór, którego nie dostrzegała żadna Dame des Sorcierres przed nią, musiała zrobić to, co nigdy nie przysłoby do głowy jej poprzedniczkom: zabić swoje potomstwo. Po mojej śmierci nastąpiłby koniec królewskiej dynastii. Wszyscy jej potomkowie, prawowici i z nieprawego łoża, przestaliby oddychać po mojej śmierci. Jedno życie zakończyłoby sto lat prześladowań. Jedno życie zakończyłoby panowanie i tyranię rodziny Lyon.

Jednak moja matka pragnęła nie tylko zabić króla. Chciała go skrzywdzić. Zniszczyć. Wciąż odtwarzałam w głowie jej wzór przy ołtarzu, lśniący wokół mego serca i sięgający w ciemność. W stronę jego dzieci. Czarownice planowały uderzyć podczas jego żałoby. Wytępić wszystko, co pozostało z rodziny królewskiej... oraz każdego, kto był jej wierny.

Wynurzyłam się spod powierzchni wody, brakowało mi tchu.

Przez te wszystkie lata okłamywałam się, przekonywałam, że uciekłam z ołtarza, bo nie chciałam odbierać życia niewinnym. A jednak teraz miałam na rękach krew niewinnej.

Byłam tchórzem.

Ból, który poczułam, gdy to sobie uświadomiłam, był silniejszy od tortury płomieni. Tym razem zniszczyłam coś ważnego. Coś nieodwracalnego. Cierpiałam do głębi.

Zabójca czarownic.

Po raz pierwszy w życiu zastanawiałam się, czy dokonałam właściwego wyboru.

Coco zajrzała do mnie po południu. Przysiadła na łóżku z zasmuconą miną. Ansel nagle zaczął się interesować guzikami swojego płaszcza.

– Jak się czujesz? – Uniosła rękę, by pogłaskać mnie po włosach. Jej dotyk sprawił, że wszystkie moje podłe emocje wydostały się na powierzchnię. Po policzku pociekła mi łza. Otarłam ją i się skrzywiłam.

– Do dupy.

– Myśleliśmy, że już po tobie.

– Szkoda, że nie.

Jej dłoń się zatrzymała.

– Nie mów tak. Po prostu cierpisz na ból duszy. Może go uleczyć kilka lukrowanych bułeczek.

Otworzyłam szeroko oczy.

– Ból duszy?

– Coś podobnego do bólu głowy lub żołądka, ale dużo gorsze. Nawiedzał mnie cały czas, kiedy mieszkałam z ciotką. – Odgarnęła mi włosy z twarzy i pochyliła się, żeby otrzeć kolejną łzę z mojego policzka. – To nie była twoja wina, Lou. Zrobiłaś, co musiałaś.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w swoje ręce.

– To dlaczego czuję się tak podle?

– Bo jesteś dobrym człowiekiem. Wiem, że odebranie komuś życia nigdy nie jest łatwe, ale Estella w pewnym sensie cię do tego zmusiła. Nikt nie może cię za to winić.

– Jestem przekonana, że ona miała inne zdanie.

– Dokonała wyboru, kiedy zaufała twojej matce. Podjęła złą decyzję. Jedyne, co możesz teraz zrobić, to żyć dalej. Zgadzasz się? – Skinęła głową na Ansel, który zrobił się cały czerwony w swoim kącie. Odwróciłam wzrok.

Teraz już wiedział. Na pewno wyczuł magię. Ale mimo to... żyłam. Rozplakałam się na dobre. *Przestań*, uspokajałam się. *Oczywiście, że cię*

nie wydał. Jest jedynym porządnym facetem w całej wieży. Wstydz się, że oceniałaś go inaczej.

Ze ściśniętym gardłem okręcałam na palcu Pierścień Angeliki, nie będąc w stanie spojrzeć nikomu w oczy.

– Muszę cię ostrzec – ciągnęła Coco. – W królestwie uznano Reida za bohatera. To pierwsze palenie od wielu miesięcy, a przy obecnej atmosferze... Cóż, zrobili z tego święto. Król August zaprosił wczoraj Reida na kolację, lecz on odmówił. – Widząc moje pytające spojrzenie, wyduła usta. – Nie chciał cię zostawić.

Nagle zrobiło mi się za gorąco, więc skopałam koce.

– Nie było niczego *heroicznego* w tym, co zrobił.

Coco i Ansel wymienili spojrzenia.

– Jako jego żona – zaczęła ostrożnie – powinnaś myśleć inaczej.

Wbiłam w nią wzrok.

– Słuchaj, Lou. – Wyprostowała się i niecierpliwie westchnęła. – Zależy mi na tobie. Ludzie słyszeli twoje krzyki podczas egzekucji. Wielu jest *bardzo* zaintrygowanych tym, dlaczego palenie czarownicy doprowadziło cię do hysterii. Także król. Reid ostatecznie przyjął jego zaproszenie na dzisiejszy wieczór, żeby go udobruchać. Musisz uważać. Wszyscy będą ci się teraz przyglądać z wielką uwagą. – Zerknęła na Anselę. – Wiesz, że stos nie jest przeznaczony tylko dla czarownic. Tych, którzy z nimi sympatyzują, może spotkać podobny los.

Aż mnie zatkało, gdy na nich spojrzałam.

– O Boże. Wy dwoje...

– Troje – mruknął Ansel. – Zapominasz o Reidzie. On też spłonie.

– Zamordował Estellę.

Ansel wbił wzrok w swoje buty, głośno przełknął.

– Uważa, że Estella była demonicą. Oni wszyscy tak sądzą. I próbował... cię chronić, Lou.

Pokręciłam głową, znowu chciało mi się płakać.

– Ale on się myli. Nie wszystkie czarownice są złe.

– Wiem, że tak uważasz – powiedział Ansel spokojnie. – Nie możesz jednak zmusić Reida do przyjęcia twojego punktu widzenia. – Wreszcie uniósł głowę, na jego twarzy malował się głęboki smutek, którego człowiek w jego wieku w ogóle nie powinien odczuwać. – Pewnych rzeczy nie da się zmienić słowami. Pewne rzeczy trzeba zobaczyć. Trzeba je poczuć.

Ruszył w stronę wyjścia, ale zawahał się i spojrzał na mnie przez ramię.

– Mam nadzieję, że znajdziecie drogę ku sobie. To dobry człowiek, tak jak... ty.

Wyszedł, a ja zostałam z pytaniami. Jak czarownica i łowca czarownic mogą znaleźć drogę ku sobie? Jak w ogóle mogę zaufać człowiekowi, który chciałby mnie spalić? Jak mogłabym go pokochać?

Ansel miał rację w jednej kwestii. Nie mogłam winić Reida za to, co stało się z Estellą. On naprawdę wierzył, że czarownice są złe. To była część niego, podobnie jak miedziane włosy i wysoki wzrost.

Nie, śmierć Estelli nie była winą Reida.

Była moją winą.

Zanim pod wieczór wrócił Reid, wyszłam z łóżka i usiadłam przy biurku. Paliła i swędziała mnie skóra, bo zaczynałam się goić – cały czas przypominało mi to o płomieniach. Moje kończyny to jednak była zupełnie inna historia. Mięśnie i kości były sztywniejsze, cięższe, ciągnęły mnie w dół. Każdy krok w stronę biurka był męczarnią. Oblałam się potem, włosy przykleiły mi się do szyi.

Coco powiedziała, że jeszcze będę gorączkować. Miałam nadzieję, że to już długo nie potrwa.

Padłam na krzesło i ostatkiem sił otworzyłam szufladę. W środku wciąż leżała wysłużona Biblia Reida. Otworzyłam ją drżącymi palcami i zaczęłam czytać, a przynajmniej próbowałam. Jego niewyraźne pismo wypełniało każdy centymetr wąskich marginesów. Chociaż zbliżałam cienkie jak jedwab strony do oczu, nie byłam w stanie skupić wzroku na słowach.

Wrzuciłam Biblię z powrotem do szuflady i westchnęłam.

Udowodnienie mu, że czarownice nie były złe z natury, może być trudniejsze, niż sądziłam.

Mimo to, gdy Coco i Ansel poszli, wymyśliłam pewien plan. Jeśli Ansela dało się przekonać, że nie jesteśmy złe, to być może uda się także przekonać Reida. Żeby to zrobić, musiałam zrozumieć jego filozofię. Musiałam zrozumieć *jego*. Przeklinając pod nosem, ponownie wstałam i przygotowałam się na zejście do piekła.

Musiałam odwiedzić bibliotekę.

Niemal pół godziny później otworzyłam drzwi prowadzące do lochu. Moją lepką skórę owionął podmuch zimnego powietrza. Aż westchnęłam z ulgi. Na korytarzu było cicho. Większość chasseurów już skończyła służbę,

a reszta robiła... co musiała robić. Strzegła rodziny królewskiej. Chroniła winnych. Paliła niewinnych.

Kiedy dotarłam do biblioteki, otworzyły się drzwi sali rady i wyszedł z niej arcybiskup, oblizując palce z czegoś, co wyglądało jak lukier. W drugiej ręce niósł na wpół zjedzoną bułeczkę.

Cholera. Zanim wsadziłam w usta Pierścień Angeliki, odwrócił się i mnie zauważył. Oboje zamarliśmy z dłońmi w połowie drogi do ust – w równie absurdalnej pozycji. Ale on pierwszy doszedł do siebie i szybko schował bułeczkę za plecami. Kawałek lukru przyłgął do czubka jego nosa.

– Louise! Co... Co ty tu robisz? – Pokręcił głową, widząc moją ogłupiałą minę, odchrząknął, po czym się wyprostował. – Nie można tu wchodzić. Muszę cię poprosić o niezwłoczne opuszczenie tego miejsca.

– Przepraszam, ja... – Kręcąc głową, odwróciłam wzrok, bo nie chciałam patrzeć na jego nos. – Szukam Biblii.

Popatrzył na mnie, jakby nagle wyrosły mi rogi. Co za ironia.

– Czego?

– Czy to... bułeczka? – Wciągnęłam nosem zapach cynamonu i wanilii, odgarnęłam kosmyk spoconych włosów z czoła. Mimo gorączki ślinka napłynęła mi do ust. Znałam skądś ten zapach. To był *mój* zapach. Co on, do cholery, z nim robił? Nie należał do tego mrocznego, ponurego miejsca.

– Dość tych impertynenckich pytań. – Popatrzył gniewnie i wytarł palce w tył szaty. – Jeśli naprawdę chcesz studiować Biblię, w co wątpię, oczywiście udostępnię ci ją, jeśli tylko wrócisz prosto do swojego pokoju. – Spojrzał na mnie z niechęcią: blada skóra, spocone czoło, podkrążone oczy. – Powinnaś leżeć w łóżku, Louise. Twoje ciało potrzebuje czasu na... – Ponownie pokręcił głową, jakby przyłapał się na tym, że nie ma pojęcia, co powiedzieć. Rozumiałam go. – Nie ruszaj się stąd.

Wszedł do biblioteki i wrócił chwilę później.

– Proszę. – Wsadził mi w ręce starą, zakurzoną księgę. Przy okazji pomazał lukrem grzbiet i okładkę. – Nie zniszcz jej. To Słowo Boże.

Pogładziłam dłonią skórzaną oprawę, moje palce wyrzeźbiły ślady w kurzu i w lukrze.

– Dziękuję. Zwrócę, jak skończę.

– Nie ma potrzeby. – Kolejny raz odchrząknął, zmarszczył czoło i założył dłonie za plecami. Był równie zakłopotany co ja. – Jest twoja. Przyjmij ją w prezencie.

Prezent. To słowo sprawiło, że poczułam nieprzyjemny wstrząs, dotarła do mnie niedorzeczność całej sytuacji. Arcybiskupa próbującego ukryć lukier na palcach. Mnie, przyciskającej Biblię do piersi.

– Dobrze. Cóż, udam się teraz...

– Oczywiście. Ja również muszę...

Rozeszliśmy się. Oboje równie zmieszani.

Tego wieczoru Reid po cichutku otworzył drzwi. Wsadziłam Biblię pod łóżko.

– Cześć! – powiedziałam.

– Lou! – Omal nie wyskoczył ze skóry. Chyba nawet słyszałam, jak przeklął. Miał oczy jak spodki, kiedy odkładał płaszcz na biurko. Ostrożnie się do mnie zbliżył. – Jest późno. Dlaczego jeszcze nie śpisz?

– Nie mogłam zasnąć. – Szczękałam zębami, zawinęłam się ciasniej kocem. – Przepociłam poduszkę.

Dotknął dłonią mojego czoła.

– Jesteś rozpalona. Byłaś w infirmerii?

– Brie powiedziała, że gorączka ustąpi dopiero za kilka dni.

Kiedy usiadł koło mnie na łóżku, zerwałam się na nogi, porzucając koc. Moje mięśnie zaprotestowały, skrzywiłam się i zadrżałam. Westchnął i również wstał.

– Przepraszam. Usiądź, proszę. Musisz odpoczywać.

– Nie, muszę pozbyć się tych włosów. Doprowadzają mnie do szału. – Z niewytłumaczalną furią odgarnęłam wkurzające mnie włosy z szyi. – Tylko mam takie ciężkie dłonie... – Ziewanie stłumiło moje słowa, opadły mi ręce. Osunęłam się na łóżko. – Nie jestem w stanie trzymać ich w górze.

– Mogę ci jakoś w tym pomóc? – Roześmiał się.

– Możesz zapleść mi warkocz.

Śmiech się urwał.

– Chcesz, żebym... Co?

– Zapleć je. Proszę. – Patrzył na mnie zdziwiony. Wytrzymałam jego spojrzenie. – Mogę cię nauczyć. To łatwe.

– Wątpię.

– Proszę. Nie jestem w stanie spać, gdy włosy dotykają mojej skóry.

To była prawda. Z powodu studiowania Pisma, gorączki i braku snu wirowało mi w głowie. Każdy kosmyk włosów dotykający skóry wiązał się

z torturą, co odczuwałam jako coś pomiędzy zimnem a bólem, łaskotaniem a dyskomfortem.

Przełknął ślinę i podszedł. Poczułam na plecach przyjemny dreszcz spowodowany jego obecnością, jego bliskością. Jego ciepłem. Westchnął zrezygnowany.

– Powiedz, co mam robić.

Z trudem powstrzymałam się, żeby się w niego nie wtulić.

– Podziel je na trzy części.

Zawahał się, po czym delikatnie objął dłonią moje włosy. Na skórze pojawiła mi się gęsia skórka, gdy rozczesywał pasma palcami.

– Co teraz?

– Teraz weź pasmo z boku i przełóż je przez to w środku.

– Słucham?

– Naprawdę mam powtarzać?

– To niemożliwe – wymamrotał, próbując bezskutecznie nie pomieszać pasm. Poddał się po kilku sekundach i zaczął na nowo. – Masz włosy gęstsze od końskiego ogona.

– Hmm – ziewnęłam ponownie. – Czy to ma być komplement, Chass?

Po kilku próbach w końcu udało mu się wykonać pierwszy krok.

– A teraz?

– A teraz druga strona. Przełóż ją przez środek. Tylko żeby było ciasno.

Z głębi jego gardła wydobyło się warczenie, a przeze mnie przeszedł kolejny dreszcz.

– Wygląda okropnie.

Opuściłam głowę, rozkoszując się dotykiem jego palców na szyi. Moja skóra nie protestowała tak jak wcześniej. Wręcz przeciwnie, rozgrzewał ją jego dotyk. Chciała się stopić. Zamknęłam oczy.

– Mów do mnie.

– O czym?

– Jak zostałeś kapitanem?

Długo nie odpowiadał.

– Na pewno chcesz wiedzieć?

– Tak.

– Kilka miesięcy po tym, jak zostałem chasseurem, znalazłem stado wilkołaków za miastem. Zabiliśmy je.

Chociaż żadna z czarownic nigdy nie przyjaźniła się z wilkołakiem, zabolalo mnie serce z powodu jego pragmatyzmu. W jego głosie nie słyszeć

było żalu, żadnych innych emocji – jedynie proste stwierdzenie faktu. Tak chłodne, jałowe i niezwykle jak zamarznęta połać morza. Jean Luc nazwałby to prawdą.

Nie mogłam wykrzesać z siebie energii, by kontynuować rozmowę. Westchnęłam ciężko i zapadła cisza. Splatał mi włosy, jego ruchy stawały się coraz szybsze, gdy nabierał wprawy. Miał zwinne palce. Chyba wyczuwał napięcie kumulujące się w moich ramionach, ponieważ znacznie łagodniej zapytał:

– Jak mam to zakończyć?

– Na szafce nocnej leży rzemyk.

Kilka razy owinął warkocz rzemieniem, po czym go związał. Przynajmniej węzeł był ładny. Wszystko, co wiązało się z Reidem, było precyzyjne, pewne, każdy kolor znajdował się na właściwym miejscu. Nic nie było rozwodnione brakiem zdecydowania, postrzegał świat w bieli i czerni. Nie dopuszczał do siebie wątpliwości związanych z szarościami pomiędzy nimi. Kolorami popiołu i dymu. Strachu i zwątpienia.

Moimi kolorami.

– Lou, ja... – Pogłaskał mój warkocz, poczułam rozkoszne dreszcze. Kiedy wreszcie się odwróciłam, by na niego spojrzeć, opuścił rękę i się odsunął, odwrócił wzrok. – Pytałaś.

– Wiem.

Bez słowa poszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi.

CZAS RUSZYĆ DALEJ

Reid

– Pójdźmy gdzieś – powiedziała Lou.

Oderwałem wzrok od Biblii. Dziś rano znowu była w infirmerii. Odkąd wróciła z tego okropnego miejsca, tylko siedziała na łóżku i patrzyła przed siebie. Ale nie marzyła na jawie. Nie, jej oczy poruszały się z prawa na lewo, jakby czemuś się przyglądała, jej usta poruszały się bezwiednie. Jej palce drgały.

Chociaż nic nie mówiłem, bałem się, że obcowanie z pacjentami zaczyna ją wykańczać. Martwił mnie zwłaszcza jeden, niejaki Monsieur Bernard. W zeszłym tygodniu ojciec Orville odciągnął mnie na bok, żeby poinformować, że mężczyzna był cały czas na środkach uspokajających i dodatkowo był unieruchomiony łańcuchami, żeby zapobiec jego próbom samobójczym. Ojciec Orville sądził, że Lou może przeżyć szok, kiedy stanie się nieuniknione.

Być może dobrze nam zrobi wyrwanie się stąd na chwilę.

Odłożyłem Biblię.

– Dokąd chcesz iść?

– Mam ochotę na bułeczkę z lukrem. Jest taka cukiernia na East Endzie. Cały czas tam chodziłam, zanim... no wiesz. – Wykonała ręką gest obejmujący nas dwoje.

– Obiecujesz, że będziesz się dobrze zachowywała? – Spojrzałem na nią z wahaniem.

– Oczywiście, że nie. To by zepsuło całą zabawę. – Zeskoczyła z łóżka. Zdjęła pelerynę z wieszaka. – Idziesz czy nie?

W jej oczach pojawił się błysk, którego nie widziałem od dnia spektaklu w teatrze. Sprzed palenia. Sprzed... tego wszystkiego. Zmierzyłem ją wzrokiem, szukając tej kobiety, którą znałem przed tygodniem. Chociaż szybko zbiła gorączkę, nie powróciła jej dawna energia. Miałem wrażenie, że balansuje na czubku noża – jeden zły ruch i kogoś na niego nadzieje. Zapewne mnie.

Lub siebie.

Dzisiaj jednak było inaczej. Być może wychodziła na prostą.

– Lepiej się czujesz? – zapytałem z wahaniem.

Znieruchomiała, wiążąc pelerynę.

– Być może.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi potaknałem i sięgnąłem po płaszcz. Ale ona nie pozwoliła mi go zdjąć z wieszaka.

– Nie. – Pokiwała mi palcem przed nosem. – Chcę spędzić dzień z Reidem, nie z chasseurem.

Reidem.

Wciąż nie przyzwyczailem się do tego, że wymawia moje imię. Za każdym razem czułem dziwny dreszcz. Tym razem było podobnie. Odchrząknąłem i założyłem ręce na piersi, bezskutecznie starając się zachować spokój.

– To ta sama osoba.

Skrzywiła się i otworzyła drzwi.

– Przekonamy się. Idziemy?

Był wietrzny dzień. Bardzo zimny. Niemiły. Resztki śniegu leżały jeszcze na ulicach, ale zmieniły się już w brązową papkę. Wsadziłem ręce do kieszeni spodni. Zamrugąłem, bo raziło mnie ostre popołudniowe słońce.

– Jest mroźno.

Lou z uśmiechem wystawiła twarz na wiatr. Zamknęła oczy i rozłożyła ręce, czubek jej nosa już był czerwony.

– Zimno tłumi smród ryb. Jest cudownie.

– Łatwo ci mówić. Masz pelerynę.

Odwróciła się do mnie z jeszcze większym uśmiechem. Kosmyki włosów wydostały się spod kaptura i tańczyły wokół jej twarzy.

– Mogę ci zwędzić jakąś, jeśli chcesz. Obok cukierni jest sklep z ubraniami...

– Nawet o tym nie myśl.

– Dobrze. – Ukryła dłonie w fałdach peleryny. Szarej. Poplamionej. Strzępiącej się na dole. – Jak chcesz.

Z gniewną miną podążałem za nią. Każdy mięsień mojego ciała cierpiał na mrozie, ale starałem się nie trząść. Żeby nie dawać Lou satysfakcji...

– O rany boskie – powiedziała ze śmiechem. – Nie da się na to patrzeć. Chodź.

Zarzuciła mi na plecy połę peleryny. Ledwie okrywała moje ramiona, ale nie narzekałem, zwłaszcza że wtuliła się we mnie, otulając nas ciaśniej. Zaskoczony objąłem ją ramieniem. Zaśmiała się głośniej.

– Śmiesznie wyglądamy.

Przyjrzałem się nam i aż zadrżały mi usta. To była prawda. Po prostu byłem zbyt potężny, a peleryna zbyt mała, więc dreptaliśmy niezręcznie. Próbowaliśmy wyrównać krok, ale po chwili mi się pomieszało i wpadliśmy w zaspę. Co za widowisko. Przechodnie mierzyli nas wzrokiem, ale po raz pierwszy od dawna w ogóle mnie to nie obchodziło.

Śmiałem się.

Zanim wpadliśmy do cukierni, nasze nosy i policzki były już czerwone. Bolały nas gardła od śmiechu. Patrzyłem, jak zdejmuje pelerynę. Uśmiechała się od ucha do ucha. Nigdy nie widziałem takiej transformacji. To było... zaraźliwe.

– Pan! – Lou rozłożyła ręce. Witaała się z mężczyzną stojącym za ladą. Niskim. Mocno zbudowanym. Jasne oczy jak koraliki rozbłysły radością na widok Lou.

– Lucida! Moja kochana, gdzie byłaś? – Wytoczył się zza lady tak szybko, jak pozwoliły mu na to krótkie nogi. – Zaczynałem już myśleć, że zapomniałaś o swoim przyjacielu Panie! – Komicznie strzelił oczami i zniżył głos do szeptu. – A co zrobiłaś z włosami?

Lou momentalnie przestała się uśmiechać i uniosła rękę do włosów. Pan, nie zważając na to, wziął ją w ramiona i ścisnął o sekundę dłużej, niż wypadało. Dziewczyna roześmiała się zachowawczo.

– Potrzebowałam zmiany. Czegoś ciemniejszego na zimę. Podobają ci się?

– Oczywiście, oczywiście. Ale jesteś zbyt szczupła, moje dziecko, o wiele za szczupła. Proszę, zjedz sobie bułeczkę. – Odwrócił się w stronę lady, ale zatrzymał w pół obrotu, gdy w końcu mnie zauważył. Uniósł brwi. – A to kto?

Lou uśmiechnęła się figlarnie. Spiąłem się w oczekiwaniu na to, co wykombinuje, modląc się, by nie było to nic nielegalnego.

– Pan. – Wzięła mnie za rękę i pociągnęła do przodu. – Proszę, poznaj... Basa.

Basa? Spojrzałem na nią zaskoczony.

– Tego Basa? – Oczy Pana o mało nie wypadły z orbit.

– Tego samego. – Puściła do mnie oko.

Pan spojrzał spod byka. A potem stanął na palcach i wbił mi palec w klatkę piersiową. Zdumiony zmarszczyłem brwi, cofnąłem się, ale mężczyzna nie ustąpił. Cały czas szturchał mnie palcem.

– A teraz posłuchaj, młody człowieku! Tak, wiem o tobie wszystko. Nie masz pojęcia, jakim jesteś szczęściarzem z tą *cherie* u swojego boku. To perełka i od teraz masz ją traktować, jakby była największym skarbem, rozumiano? Jeśli dowiem się, że jest inaczej, odpowiesz mi za to, a uwierz, że nie chcesz mieć wroga w Panie. O nie!

Nie kryjąc oburzenia, spojrzałem na Lou, ale ona aż się trzęsła od tłumionego śmiechu. Zrobiłem krok w tył. Mężczyzna nie był aż tak szybki.

– Tak, proszę pana.

– Bardzo dobrze. – Nadal patrzył na mnie podejrzliwie, po czym przyniósł dwie lukrowane bułeczki z za lady. Podawszy jedną Lou, drugą rzucił mi w twarz. W ostatniej chwili ją złapałem, żeby nie poplamiała mi koszuli. – Proszę, moja droga. A *ty* musisz zapłacić – dodał, patrząc na mnie wyzywająco.

Otarłem nos z lukru. Ten człowiek był szalony. Podobnie jak moja żona.

Kiedy Pan wrócił za kontuar, zwróciłem się do niej:

– Kim jest Lucida? I dlaczego powiedziałaś mu, że mam na imię... tak?

Odpowiedziała dopiero po kilku sekundach, najpierw musiała przeżuć potężny kęs lepkiej bułeczki. Miała wydęte policzki. Na szczęście potrafiła trzymać zamknięte usta. Na szczęście ja też umiałem.

Wreszcie przełknęła. Oblizwała palce z nabożeństwem, jakie widziałem jedynie na mszy. Nie, z nabożeństwem, jakie z całą pewnością nie miało nic wspólnego z mszą. Patrzyłem wszędzie, byle nie na jej język.

– Mmm... ależ jesteś zaborczy, Chass.

– Słucham? – zapytałem, nie potrafiąc ukryć zazdrości. – Dlaczego powiedziałaś mu, że jestem tym złodziejem?

Uśmiechnęła się i dalej oblizywała swój kciuk.

– Skoro już musisz wiedzieć, posługiwałam się nim, żeby wzbudzić litość Pana, który pocieszał mnie bułeczkami. Jakoś w zeszłym miesiącu ten

paskudny Bas namówił mnie na ucieczkę i ślub, po czym porzucił w dokach. Pan dawał mi za to bułeczki przez dwa tygodnie.

– Jesteś niemożliwa. – Zmusiłem się, by na nią spojrzeć.

Błyszczą jej oczy. Doskonale wiedziała, co robi.

– Tak, jestem. Będiesz ją jadł? – Podałem jej bułeczkę, a ona wgryzła się w nią z jękiem. – Jak manna z nieba.

– Nie sądziłem, że znasz Biblię. – Byłem naprawdę zaskoczony.

– Zapewne nie wiesz o mnie wielu rzeczy, Chass. – Wzruszyła ramionami i wepchnęła do ust połowę ciastka. – Poza tym jest to jedyna książka w całej Wieży, oprócz *La Vie Éphémère*, *Pasterza* i *Dwunastu traktatów o tym, jak wytepić okultyzm*, która, tak na marginesie, jest beznadziejna. Nie polecam.

Z trudem skupiałem się na tym, co mówiła.

– Nie nazywaj mnie tak. Mam na imię Reid.

– Sądziłam, że to jedna osoba. – Uniosła pytająco brew.

Odchyliłem się i patrzyłem, jak je moją bułeczkę. Na wardze został jej kawałek lukru. Nos nadal miała czerwony od zimna, włosy potargane wiatrem. Moja mała poganka.

– Nie lubisz chasseurów.

Spojrzała na mnie znacząco.

– A tak bardzo starałam się ukryć tę niechęć – powiedziała ironicznie.

– Dlaczego? – Zignorowałem jej kpinę.

– Nie sądzę, byś był gotów na moją odpowiedź, Chass.

– Dobrze. Dlaczego chciałaś dzisiaj wyjść?

– Bo już nadeszła pora.

Stłumiłem frustrację.

– To znaczy?

– To znaczy, że jest czas żałoby i jest czas na to, by żyć dalej.

Zawsze tak z nią było, wykręcała się od odpowiedzi. Chyba domyśliła się, o czym myślę, bo założyła ręce na piersi i oparła się o stół.

– No dobrze – powiedziała z nieprzeniknioną miną. – Może jesteś gotów na niektóre odpowiedzi. Zagrajmy, dobrze? Będziemy sobie zadawać pytania, żeby się lepiej poznać.

Ja też oparłem się o blat. Podobało mi się to wyzwanie.

– W porządku.

– Dobrze. Jaki jest twój ulubiony kolor?

– Niebieski.

Przewróciła oczami.

– Nuda. Mój to złoty lub turkusowy. Albo szmaragdowy.

– Dlaczego mnie to nie dziwi?

– Ponieważ nie jesteś tak głupi, na jakiego wyglądasz. – Nie wiedziałem, czy mam poczuć się urażony, czy potraktować to jako komplement. Nie dała mi czasu na podjęcie decyzji. – Jaka jest najbardziej żenująca rzecz, którą zrobiłeś?

– Ja... – Na samo wspomnienie zrobiłem się czerwony. Odkaszlnąłem. – Kiedyś arcybiskup przyłapał mnie w... hm... kompromitującej sytuacji. Z dziewczyną.

– O mój Boże! – Uderzyła dłońmi o blat. – Przyłapał cię na seksie z Celią?

Ludzie siedzący przy stoliku obok odwrócili się, by na nas spojrzeć. Pochyliłem głowę i po raz pierwszy w życiu cieszyłem się, że nie założyłem munduru. Posłałem jej pełne złości spojrzenie.

– Ciii! Oczywiście, że nie. Pocałowała mnie tylko. To był tylko pocałunek!

Lou zmarszczyła brwi.

– Tylko pocałunek? Jaka nuda. Nie ma się czego wstydzić.

A jednak było się czego wstydzić. Wyraz twarzy arcybiskupa... Szybko odgoniłem od siebie to wspomnienie.

– A twój najbardziej żenujący wybryk? Rozebrałaś się i tańczyłaś *bourrée*?

Prychnęła.

– Chciałbyś. Nie, kiedy byłam dzieckiem, zaśpiewałam na festiwalu. Fałszowałam od początku do końca. Wszyscy się śmiali. Jestem gównianą śpiewaczką.

Nasi sąsiedzi zacmokali z niezadowoleniem.

– To już wiem. – Skrzywiłem się.

– No dobrze. Co najbardziej cię irytuje?

– Przeklinanie.

– Mnie malkontenci. – Posłała mi ironiczny uśmiech. – Ulubione jedzenie?

– Dziczyzna.

– Bułeczki z lukrem. Najlepszy przyjaciel?

– Jean Luc. A twój?

– Serio? – Straciła humor i spojrzała na mnie jakby z żalem. Ale nie byłam do końca pewien. – To... bez sensu. Moją jest Brie.

Zignorowałem przytyk i jej spojrzenie.

– Najgorsza wada? – zapytałem, zanim znowu zdążyła otworzyć usta. Zawahała się i spuściła wzrok. Palcem gładziła kontury sęka w blacie stołu.

– Egoizm.

– Skłonność do popadania w gniew. Największy strach?

– Śmierć. – Tym razem odpowiedziała bez wahania.

Zasmuciło mnie to, więc ująłem jej dłoń.

– Nie należy bać się śmierci, Lou.

Przeszyła mnie spojrzeniem.

– Jesteś pewny?

– Tak. Jeśli tylko wiesz, dokąd zmierzasz.

Zaśmiała się ponuro i wyswobodziła dłoń.

– W tym leży problem, co nie?

– Lou...

Wstała i położyła mi palec na ustach. Uciszyła mnie. Zamrugąłem, próbując nie oszaleć od słodczy jej dotyku.

– Nie mówmy już o tym. – Opuściła palec. – Chodźmy zobaczyć drzewko Yule. Wcześniej widziałam, jak je stawiali.

– Drzewko bożonarodzeniowe – poprawiłem ją automatycznie.

– Najpierw jednak powinniśmy sprawić ci płaszcz – mówiła dalej, jakby mnie nie słyszała. – Naprawdę nie chcesz, żebym ci jakiś ukradła? To łatwe. Możesz nawet wybrać sobie kolor.

– Nie pozwolę ci niczego kraść. Kupię sobie płaszcz. – Przyjąłem skrawek peleryny, który mi zaoferowała, i owinąłem się nim. – I tobie kupię nową pelerynę.

– Tę kupił mi Bas!

– No właśnie. – Kierowałem się w stronę sklepu z odzieżą. – Tym bardziej powinnaś ją wyrzucić do śmieci, gdzie przynależy.

Godzinę później wyszliśmy ze sklepu w nowych strojach. Ja miałem granatowy, wełniany płaszcz ze srebrnymi przeszyciami. Lou białą, aksamitną pelerynę. Protestowała, gdy zobaczyła jej cenę, ale nalegałem. Jej złota skóra wyglądała olśniewająco w bieli i chociaż raz zdjęła kaptur. Jej ciemne włosy powiewały na wietrze. Była piękna.

Ale nie powiedziałem jej tego.

Gdy szliśmy w stronę centrum miasta, gruchał nad nami gołąb, padały gęste i duże płatki śniegu. Spadały na włosy Lou i na jej rzęsy. Puściła do mnie oko i jeden z nich złapała na język. Potem kolejny. I kolejny. Po chwili

już kręciła się w kółko, próbując złapać wszystkie naraz. Ludzie się gapili, ale ona się tym nie przejmowała. Przyglądałem się jej z pewnym rozbawieniem.

– No dalej, Chass. Spróbuj ich! Są boskie!

Pokręciłem głową, ale uśmiechnąłem się do niej. Im bardziej ludzie gderali wokół nas, tym głośniej mówiła. Tym szybciej się poruszała. Tym szerzej się uśmiechała. Pławiła się w ich niechęci.

Pokręciłem głową i przestałem się uśmiechać.

– Nie mogę.

Dopadła mnie i chwyciła za rękę. Miała lodowate dłonie, palce jak dziesięć sopli lodu.

– Nic ci się nie stanie, jeśli trochę pożyjesz.

– Jestem chasseurem, Lou. – Nie bez żalu odsunąłem ją od siebie. – Nie robimy... głupot.

Nawet gdybyśmy chcieli.

– A próbowałeś kiedyś?

– Oczywiście, że nie.

– Może powinienes.

– Robi się późno. Chcesz zobaczyć tę choinkę czy nie?

Pokazała mi język.

– Psujesz zabawę, Chass. Wyglupy w śniegu to coś, czego potrzeba tobie i pozostałym chasseurom. To dobry sposób na pozbycie się kołka z dupy.

Rozejrzałem się nerwowo. Dwaj przechodnie zezowali i mieli niezadowolone miny. Ująłem dłoń Lou i przyciągnąłem ją.

– Proszę, zachowuj się.

– *Dobrze.* – Uniosła dłoń, żeby strzepać płatki z moich włosów, co nieco złagodziło moją złość. Po czym powiedziała: – Powstrzymam się od używania słowa *dupa*. Cieszysz się?

– Lou!

Parsknęła śmiechem.

– Jesteś taki przewidywalny. Chodźmy zobaczyć to drzewko Yule.

– Bożonarodzeniowe.

– Szczegół. Idziemy? – Chociaż już nie musieliśmy dzielić się jedną peleryną, objęła mnie w pasie. Przyciągnąłem ją bliżej, kręcąc głową z bezsilności, ale nie udało mi się opanować uśmiechu.

Tego wieczoru Mademoiselle Perrot powitała nas w przedsionku kościoła. Wyglądała na zatroskaną. Zakłopotaną. Zignorowała mnie – jak zawsze – i podeszła prosto do Lou.

– O co chodzi? – zaniepokoiła się Lou, ujmując jej dłonie w rękawiczkach. – Co się stało?

– Chodzi o Berniego – szybko wyjaśniła Mademoiselle Perrot. Lou uniosła brwi i uważnie na nią spojrzała.

Położyłem dłoń na ramieniu żony.

– Kim jest Bernie?

Mademoiselle Perrot nawet na mnie nie spojrzała. Ale Lou tak.

– Monsieur Bernard. – Aha. Ten pacjent, który chciał się zabić. Ponownie skupiła uwagę na Mademoiselle Perrot. – Czy... Czy on nie żyje?

Oczy uzdrowicielki zbyt mocno lśniły w oświetlonym świecami przedsionku. Były zbyt wilgotne. Zbyt zaczerwienione. Przygotowałem się na najgorsze.

– Nie wiemy. Zniknął.

To mnie zaciekawiło. Zrobiłem krok do przodu.

– Co to znaczy *zniknął*?

Wypuściła powietrze przez nos i wreszcie na mnie spojrzała.

– Zniknął oznacza, że *zniknął*, kapitanie Diggory. Zostało puste łóżko i łańcuchy. Ani śladu ciała.

– Ani śladu ciała? – Lou zrobiła wielkie oczy. – To oznacza, że... że się nie zabił!

Mademoiselle Perrot pokręciła głową ze smutkiem.

– To nic nie znaczy. Mógł się gdzieś zawlec i skończyć ze sobą. Nie będziemy wiedzieć, dopóki nie znajdziemy ciała.

Musiałem się z nią zgodzić.

– Czy powiadomiono moich braci?

Zacisnęła usta.

– Tak. Właśnie przeszukują kościół i Wieżę. Jeden oddział został wysłany również do przeszukania miasta.

Dobrze. Ostatnie, czego potrzebowaliśmy, to żeby ktoś natknął się na trupa cuchnącego magią. Ludzie zaczęliby panikować. Przytaknąłem i uścisnąłem rękę Lou.

– Znajdą go, Lou. Tak czy inaczej. Nie martw się.

Nadal była poważna.

– A jeśli nie żyje?

Odwróciłem ją ku sobie, co wywołało irytację Mademoiselle Perrot.

– Wobec tego już nie cierpi. – Pochyliłem się nad jej uchem, z dala od czujnych oczu uzdrowicielki. Jej włosy łaskotały mnie w usta. – Wiedział, dokąd zmierza, Lou. Nie musiał się niczego bać.

Odchyliła się, by spojrzeć mi w twarz.

– Sadziłam, że samobójstwo jest grzechem śmiertelnym.

Założyłem za ucho kosmyk jej włosów.

– Tylko Bóg może nas sądzić. Tylko Bóg może poznać głębię naszej duszy. Wydaje mi się, że On rozumie skomplikowane okoliczności i strach. – Opuściłem dłoń i odchrząknąłem. Kolejne słowa wyrzuciłem z siebie szybko, zanim zdążyłem zmienić zdanie: – Wydaje mi się, że na świecie jest kilka prawd absolutnych. To, że Kościół wierzy, iż Monsieur Bernard będzie przez całą wieczność cierpieć za jedną chwilę słabości... nie oznacza, że tak będzie.

Coś zmieniło się w spojrzeniu Lou. Z początku nie umiałem tego nazwać. Dopiero po kilku godzinach, gdy zasypiałem na podłodze sypialni, znalazłem słowo, które opisywało jej emocje.

Nadzieja. To była nadzieja.

GOŚĆ HONOROWY

Lou

Król August zaplanował bal na wieczór przed dniem Świętego Mikołaja, co miało dać początek całemu weekendowi zabaw. I uhonorować Reida. Widocznie król czuł się jego dłużnikiem, gdy ten ocalił jego rodzinę przed atakiem czarownic. Chociaż nie zostałam na tyle długo, by przyglądać się narastającemu chaosowi, nie miałam wątpliwości, że zachował się... *heroicznie*.

Mimo to dziwnie się czułam, świętując zwycięstwo Reida, podczas gdy to jego porażka rozwiązałaby moje problemy. Gdyby król i jego dzieci zginęli, zniknąłby powód, dla którego musiałam umrzeć. W istocie moje gardło bardzo by się ucieszyło z jego porażki.

Pokręcił głową ze złością, gdy Coco wpadła do pokoju bez pukania. Ramiona okryła cieniutką białą szatą. Zarzucił na ramię swój najlepszy płaszcz chasseura i wzdychając, pochylił się, żeby na pożegnanie założyć mi kosmyk włosów za ucho.

– Muszę iść na spotkanie z arcybiskupem. – Zatrzymał się przy drzwiach. Kącik jego ust drgał od tłumionego uśmiechu. W jego morsko-niebieskich oczach migotała ekscytacja. Nie mogłam się powstrzymać i odwzajemniłam uśmiech. – Niedługo wrócę.

Kiedy wyszedł, Coco z uznaniem dotknęła przygotowanej na wieczór sukni.

- Będiesz bosko w tym wyglądać.
- Wyglądam bosko we wszystkim.

Uśmiechnęła się ironicznie i puściła oko.

– Taka twoja uroda. – Rzuciła suknię na łóżko i kazała mi usiąść na krześle stojącym przy biurku, po czym przeczesała palcami moje włosy. Zadrżałam na wspomnienie palców Reida. – Księża pozwolili mi pójść na bal, skoro jestem taką *bliską* przyjaciółką twojego męża i twoją. – Wyjęła szczotkę i pokazała mi ją z błyskiem w oku. – Pora wyszczotkować twoje włosy.

Łypnęłam na nią i się odsunęłam.

– Nie sądzę.

Nigdy nie szczotkowałam włosów. To była jedna z niewielu zasad, którymi kierowałam się w życiu, i nie widziałam powodu, by w tej chwili ją łamać. Poza tym Reidowi podobały się moje włosy. Odkąd poprosiłam, by zaplótł je w warkocz, wydawało mu się, że może ich dotykać przy każdej okazji.

Nie poprawiałam go, ponieważ... Cóż, po prostu nie poprawiałam.

– Och, ale ja sądzę. – Kazała mi się wyprostować i zaatakowała moje włosy, jakby miała do nich jakąś osobistą pretensję. Kiedy zaczęłam się kręcić, zdzieliła mnie szczotką w czubek głowy. – Nie ruszaj się! Trzeba rozczesać te kołtuny!

Prawie dwie godziny później spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Przód sukni przylegał do mojego ciała, marszczył się dopiero na wysokości kolan – delikatne i proste. Drobne płatki kwiatów i srebrne kryształki zdobiły lśniący materiał na plecach, a Coco spięła moje włosy na karku, żeby nie zasłaniały misternych zdobień. Ponadto nalegała, żebym wyleczyła pozostałe siniaki. Czarna aksamitka zakrywała moją bliznę.

W zasadzie wyglądałam... ładnie.

Stanęła za mną i przeglądała się w lustrze ponad moim ramieniem. Dopasowana, czarna suknia podkreślała jej kształty, a skromny dekolt i wąskie rękawy dodawały uroku. Swoje loki upięła w elegancki kok. Patrzyłam na nią z zazdrością. Na mnie sukienka nie leżała tak idealnie.

Palcem rozprowdziła róż na wargach i cmoknęła.

– Wyglądamy, jakbyśmy wyszły z Bellerose.

– To miała być zniewaga? – Wsadziłam dłoń w dekolt, żeby podnieść piersi, po czym ściągnęłam łopatki i z niezadowoleniem patrzyłam na rezultat moich starań. – Te kurtyzany są tak piękne, że ludzie *placą*, żeby z nimi pobyc.

Chwilę później do pokoju wszedł Ansel. Przystrzygł włosy i odgarnął je z twarzy, przez co widać było jego wysokie kości policzkowe i nieskazitelną

skórę. Nowy styl sprawił, że wyglądała... dojrzałej. Zmierzyłam go wzrokiem – kwadratowa szczęka, pełne usta. To mi się podobało.

Wyszły mu oczy z orbit, gdy zobaczył Coco. Nic dziwnego. Jej sukienka bardzo różniła się od luźnych szat, które normalnie nosiła.

– Mademoiselle Perrot! Wygląda pani... eee, wygląda pani bardzo, bardzo ładnie. – Uniosła brwi z rozbawieniem. – To znaczy, eee.... – Pokręcił głową i zaczął od początku: – Reid, eee... kapitan Diggory chciał, żebym pani przekazał, że... To znaczy, nie pani, lecz pani, tobie, Lou, że...

– Dobry Boże, Ansel. – Uśmiechnęłam się, gdy oderwał od niej wzrok. Zamrugał szybko, oszołomiony, jakby ktoś zdzielił go pałką w głowę – Czuję się nieco urażona.

Ale on i tak mnie nie słuchał. Ponownie skierował spojrzenie na Coco, która szła w jego kierunku z drapieżnym uśmiechem. Przechyliła głowę, jakby przyglądała się wyjątkowo smakowitej myszy. Ansel głośno przełknął ślinę.

– Ty też bardzo ładnie wyglądasz. – Okrążyła go z uznaniem, muskając palcem jego pierś. Zamarł. – Nie miałam pojęcia, że jesteś taki przystojny pod tymi wszystkimi włosami.

– Czy czegoś ode mnie chciałeś, Ansel? – Gestem objęłam pokój oraz robiący piorunujące wrażenie biust Coco. – A może przyszedłeś podziwiać ozdoby?

Odchrząknął, rozbłyły mu oczy, gdy ponownie otworzył usta, żeby przekazać wiadomość:

– Kapitan Diggory prosił, żebym zabrał cię do zamku. Arcybiskup chciał jechać z nim. Mogę również zaprowadzić panią, Mademoiselle Perrot.

– Pasuje mi to. – Coco ujęła go pod rękę, a ja wybuchnęłam śmiechem, widząc jego minę. Każdy mięsień jego ciała się napiął, nawet powieki. To było coś niesamowitego. – I proszę, mów do mnie Brie.

Bardzo się starał, by dotykać Coco najmniej, jak to możliwe, gdy schodziliśmy po schodach, ale ona mu to celowo utrudniała. Chasseurzy, którzy musieli zostać w Wieży, przyglądali się nam bezwstydnie, gdy ich mijaliśmy. Coco mrugnęła do nich.

– Równie dobrze możesz dać małe przedstawienie – wyszeptałam.

Coco uśmiechnęła się wrednie i w odpowiedzi uszczypnęła Ansela w tyłek. Krzyknął i odskoczył od nas, po czym zaczął się odgrażać, gdy strażnicy zarechotali.

– To *nie było* zabawne.

Nie mogłam się z tym zgodzić.

Zamek w Cesarine pasował do tego miasta, był stary i nieładny. Nie mógł poszczycić się misternymi przyporami i wieżyczkami, nie miał okien ani łuków. Wznosił się nad nami, gdy dołączyliśmy do kolejki oczekujących powozów. Zachodzące słońce barwiło kamień krwawo-czerwonym światłem. Drzewa na dziedzińcu, wysokie i wąskie jak dwie włócznie przeszywające niebo, dobrze pasowały do ponurego nastroju.

Czekaliśmy chyba godzinę, zanim lokaj w liberii Lyonów zbliżył się do naszego powozu. Ansel wyszedł, żeby się z nim przywitać, szepnął mu coś do ucha, a mężczyzna zrobił wielkie oczy. Natychmiast ujął moją dłoń.

– Madame Diggory! Kapitan Diggory niecierpliwie oczekuje pani przybycia.

– I słusznie. – Coco nie czekała, aż lokaj pomoże jej wysiąść. Ansel ruszył, by ująć ją za łokieć, ale jego też odpędziła. – Jestem ciekawa, czy ten wasz chasseur jest równie ujmujący w miejscu publicznym, jak prywatnie.

Lokaj zrobił zaskoczoną minę, ale nie skomentował. Ansel jęknął.

– Drogie panie, zapraszam do przedsionka – powiedział lokaj. – Herold zadba o to, by zostały panie odpowiednio zaanonsowane.

Zatrzymałam się.

– Jak to odpowiednio zaanonsowane? Nie mam żadnego tytułu.

– Tak, *madame*, ale pani mąż jest honorowym gościem. Król nalega, by dziś wieczorem traktować go jak członka rodziny królewskiej.

– Co jest dość problematyczne – mruknęła Coco, gdy Ansel pociągnął nas do wejścia.

Z całą pewnością problematyczne. I w ogóle mało zabawne.

Nie chciałam być przedstawiana publicznie w sali pełnej obcych mi osób. Nie miałam pojęcia, kto mógłby mnie zobaczyć. Miałam nauczkę z Estellą. Nie czułam potrzeby, bo powtarzać to przedstawienie.

Rozejrzałam się, szukając dyskretnego wyjścia. Jednak na balu zorganizowanym na cześć mojego męża trudno będzie mi zachować dyskrecję, zwłaszcza w takiej rzucającej się w oczy sukni. Przeklinałam w duchu, widząc zwracające się w naszą stronę oczy. Ponętna figura Coco również nie pomagała.

Bogato ubrani arystokraci kręcili się w przedsionku, który był równie ciemny i brzydki jak sam zamek. Niczym więzienie. Więzienie ze świecami

palącymi się w złotych kandelabrach i wieńcami z gałązek iglaków i ostrokrzewu na drzwiach. Chyba nawet dostrzegłam jemiołę.

Ansel wyciągał szyję, by namierzyć herolda.

– Tam jest. – Wskazał niskiego, przysadzistego mężczyznę w peruce ze zwojem, stojącego pod zwieńczonym łukiem przejściem. Z sali znajdującej się za nim dobiegała muzyka i śmiechy. Inny służący odebrał nasze płaszcze. Chociaż nie chciałam oddać swojego, udało mu się wyrwać odzienie z moich rąk. Czując się naga i bezradna, patrzyłam, jak odchodzi.

Kiedy Ansel pociągnął mnie do herolda, zaparłam się.

– Nikt mnie nie będzie anonsował.

– Ale lokaj powiedział...

Wyrwałam mu się.

– Nie obchodzi mnie, co powiedział lokaj!

– Lou, król nalegał...

– Moi drodzy. – Coco szeroko się uśmiechnęła i złapała nas oboje pod ręce. – Nie róbmy sceny, hmm?

Wzięłam głęboki oddech, uśmiechałam się i kiwałam głową podsłuchującym arystokratom.

– Wejść *tędy* – poinformowałam Ansela przez zaciśnięte zęby, wskazując miejsce po drugiej stronie przedsionka, z którego wchodzili i wychodzili służący.

– Lou... – zaczął, ale ja już byłam w połowie drogi. Coco poszła za mną, zostawiając Ansela z tyłu.

Sala balowa była o wiele większa i ładniejsza niż przedsionek. Z sufitu zwieszały się żelazne żyrandole, a od drewnianej podłogi odbijało się światło świec. Muzycy grali zwawą melodię, stojąc w rogu za ogromną choinką. Niektórzy już tańczyli, chociaż większość tylko się przechadzała, pijąc szampana i wdzięcząc się do rodziny królewskiej. Pewnie popijali od kilku godzin, na co wskazywała głośność rozmów i płaczące się języki.

– Tak, Wasze Starsze Siostry, właśnie słyszałam...

– Przyjechały na występy aż z Amandine! Mój kuzyn mówi, że są świetne.

– W niedzielę? Tak?

– Po mszy. Wspaniałe zakończenie weekendu. Arcybiskup zasłużył na...

Prychając, weszłam w głąb sali. Każdy, kto uważał, że *arcybiskup zasłużył sobie* na coś, nie był wart mojej uwagi. Objęłam wzrokiem morze niebieskich płaszczy i błyszczących sukien w poszukiwaniu Reida i zauważyłam jego miedziane włosy na drugim końcu sali. Otaczała go

grupa pochlebców, chociaż najbardziej ciekawiła mnie młoda kobieta tuląca się do jego ramienia. Serce stanęło mi na chwilę.

Niecierpliwie czeka, do cholery.

Nawet z tej odległości widziałam, że była piękna: delikatna i kobieca; jej porcelanowa skóra i kruczoczarne włosy lśniły w blasku świec. Szczerze śmiała się z czegoś, co powiedział Reid. Poczułam niepokój.

To mogła być tylko jedna osoba.

Nudna, potulna, cholerna mrzonka.

Coco podążyła za moim spojrzeniem i zmarszczyła nos z niesmakiem, gdy zauważyła Reida i czarnowłosą piękność.

– Proszę, powiedz mi, że to nie ona.

– Pogadamy później. – Nie spuszczałam wzroku z Reida. Coco wiedziała, że tym razem lepiej za mną nie iść.

Właśnie wkroczyłam do sali, gdy jakiś mężczyzna zastąpił mi drogę. Chociaż nigdy nie widziałam go z tak bliska, od razu rozpoznałam jego śniadą cerę i opadające powieki. Perfekcyjnie uczesane czarne włosy i więcej diamentów na koronie niż w całym skarbcu Tremblaya.

Beauregard Lyon.

Niech to szlag. Nie miałam czasu na głupoty. Bo teraz ta głupia krowa zaginała parol na mojego męża, przypominając mu swoje *piękne* usta, uśmiech, oczy, śmiech...

– Cóż za suknia. – Leniwie zmierzył mnie wzrokiem, uśmiechnął się i uniósł brew.

– Wasza Wysokość. – Dygnęłam nisko. Z ciekawością zajrzał mi w dekolt, więc natychmiast się wyprostowałam. Cholerny perwer.

– Pani nazwisko. – To już nie było pytanie.

– Madame Diggory, Wasza Wysokość.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Madame Diggory? W sensie żona kapitana Diggory’ego?

– Dokładnie ta.

Odrzucił głowę i się roześmiał. Stojący najbliżej nas arystokraci spojrzeli na mnie z nowo rozbudzoną ciekawością.

– Och, słyszałem o pani. – Jego złote oczy migotały wesoło. – Powiedz mi, jak udało ci się zmusić naszego drogiego kapitana do wzięcia cię za żonę? Słyszałem pewne plotki, oczywiście, ale każdy mówi co innego.

Z przyjemnością złamałabym palec za cenę połamania mu kończyny.

– Nie było żadnych sztuczek, Wasza Wysokość – powiedziałam słodko. – Kochamy się.

Zrzedł mu uśmiech, lekko wydał usta.

– Beznadziejna sprawa.

W tej chwili tłum zafalował i pojawił się Reid w otoczeniu fanów. Kobieta o kruczoczarnych włosach uniosła rękę, by usunąć paproch z jego włosów. Zawrzała mi krew.

Książę nie krył zdziwienia, gdy podążył za moim spojrzeniem.

– Kochacie, ach tak? – Pochylił się nad moim uchem, aż poczułam jego oddech na skórze. – Czy chcesz sprawić, żeby był zazdrosny?

– Nie, dziękuję – odpysknęłam. – *Wasza Wysokość*.

– Mów mi Beau. – Odsunął się z wrednym uśmieszkiem. Chciałam go wyminąć, ale w ostatniej chwili złapał mnie za rękę i pocałował wnętrze mojej dłoni. Miałam ochotę połamać mu palce. – Poszukaj mnie, jeśli zmienisz zdanie. Będziemy się dobrze razem bawić.

Posłał mi jeszcze jedno sprośne spojrzenie, po czym odszedł, puszcżając oko do kobiet kręcących się w pobliżu. Spojrzałam na niego gniewnie, po czym odwróciłam w stronę Reida.

Ale on i Celia już gdzieś zniknęli.

NIEBEZPIECZNA GRA

Lou

Szybko udało mi się ich znaleźć, gdyż Reid górował nad tłumem. Celia, ten wredny babsztyl, trzymała go za rękę. Kierowali się do wyjścia częściowo zasłoniętego dwiema choinkami.

Poszłam za nimi. Ku mojej irytacji byli tak pochłonięci sobą, że ani razu nie obejrzelili się za siebie. Chciałam wymknąć się za nimi, ale ktoś złapał mnie za rękę

Odwróciłam się i ujrzałam arcybiskupa.

– Nie próbowałbym. – Puścił moją dłoń, jakby bał się czymś zarazić. – Zazdrość jest grzechem śmiertelnym, dziecko.

– Podobnie jak zdrada.

Zignorował mnie, spuścił wzrok. Był bledszy niż zwykle, wydawało mi się, że schudł od czasu, gdy ostatni raz go widziałam.

– Skradliśmy mu przyszłość. Ty i ja. Celia jest wszystkim, czym powinna być kobieta. Reid byłby z nią szczęśliwy. – Znowu na mnie spojrzał i zacisnął usta. – Teraz on płaci za nasze grzechy.

– O czym mówisz, ekscelencjo?

– Nie winię cię za twoje hedonistyczne wychowanie, Louise, ale jesteś poganką. – Jego oczy zapłonęły. – Możliwe, że gdyby ktoś tam był, gdyby ktoś w porę zainterweniował, dałoby się tego uniknąć.

Stałam bez ruchu, jakbym wrosła w to miejsce niczym drzewa obok nas, a on zaczął dreptać.

– Teraz jest za późno. Pozwól Reidowi cieszyć się małymi przyjemnościami z dala od twojej demoralizacji.

Moje zaskoczenie po tych słowach zmieniło się w coś migoczącego i zimnego. Tak jakbym to ja była winna demoralizacji. Jakbym to ja miała się czego wstydzić.

Uniosłam głowę, zrobiłam krok do przodu, aż znalazłam się tuż przed jego bladą twarzą.

– Nie wiem, o czym, do cholery, mówisz, ale powinieneś spojrzeć w lustro. W piekle jest specjalne miejsce dla hipokrytów, ekscelencjo. Być może się tam spotkamy.

Patrzył na mnie oszołomiony, ale kiedy odwróciłam się na pięcie, nie ruszył za mną. Dzika satysfakcja szybko mi przeszła, gdy weszłam do pomieszczenia, które mogło być jedynie kuchnią.

Było puste.

Lodowaty podmuch ukąsił moją skórę i wtedy zauważyłam, że drzwi naprzeciw mnie są lekko uchylone. Wiatr gwizdał przez wąską szczelinę. Otworzyłam je trochę szerzej i ujrzałam Reida i Celię stojących w martwym ogrodzie. Zbrązowiałe gałązki szałwii i rozmarynu pokrywał śnieg.

Wystawiłam głowę, żeby usłyszeć, co mówią.

– Przykro mi, Celio. – Reid trzymał jej dłoń. Ona stała prosto jak struna, zła.

Nie powinnaś tu być, ostrzegł mnie głosik w tyle głowy. Tak nie wypada. To prywatna rozmowa. Łamiesz zasady.

To on łamie zasady.

– Na pewno coś możemy zrobić – powiedziała Celia. – Tak nie może być. Arcybiskup wie, że jesteś niewinny. Możemy pójść i go poprosić, poprosić o anulowanie małżeństwa. Przecież cię uwielbia, jakbyś był jego synem. Na pewno nie pozwoli, żebyś się męczył w małżeństwie bez miłości.

Mój żołądek fiknął koziółka i znalazł się gdzieś w okolicach kostek.

Reid pogłaskał kciukiem jej palce.

– To arcybiskup zaproponował takie rozwiązanie.

– To chodźmy do króla. Mój ojciec jest wicehrabią, jestem przekonana, że uda mu się umówić nas na spotkanie...

– Celio – przerwał jej łagodnie.

Pociągnęła nosem, a ja wiedziałam, że nie chodzi o zimno.

– *Nienawidzę jej.*

– Celio, ty... ty mnie nie chciałaś.

Słyszając emocje i ból w jego głosie, poczułam skurcz serca.

– Zawsze cię chciałam – powiedziała ze złością. – To nie powinno było się stać. Byłam zła, miałam złamane serce i... potrzebowałam czasu. Z powodu Pip nie chciałam być egoistyczna. – Objęła go za szyję, a ja po raz pierwszy wyraźnie ujrzałam jej twarz. Miała śliczne, wysokie kości policzkowe, duże oczy i pełne usta. – Ale już mi na tym nie zależy, Reid. Nie dbam o to, że jestem egoistką. Chcę być z tobą.

Z pewnością na całym świecie nie ma niczego piękniejszego niż jej uśmiech, oprócz oczu, to jasne. Lub jej śmiechu. Lub jej ust.

Patrzyłam, jak całuje Reida w policzek, i zrobiło mi się niedobrze. Już mnie nie śmieszyły ich listy miłosne.

Odsunął się, zanim dotarła do jego ust.

– Celio, przestań, proszę. Nie utrudniaj tego.

Drżała jej dolna warga. To, co powiedziała potem, było jak cios prosto w moje serce.

– Kocham cię, Reid. – Przyłgnęła do niego błagalnie. – Przepraszam, że cię odepchnęłam, ale wciąż jeszcze możemy być razem. Możemy to naprawić. Nie skonsumowałeś małżeństwa. Porozmawiaj z arcybiskupem, poproś o anulowanie. Niech odeśle tę kurwę do więzienia, gdzie jest jej miejsce i...

– Nie jest kurwą.

Wychyliłam się jeszcze dalej, gdy Celia się cofnęła, krzywiąc się na widok jego miny.

– Była złodziejką, Reid. *Usidliła* cię. Ona... na ciebie nie zasługuje.

Reid delikatnie uwolnił się z jej objęć.

– Celio, skończmy tę rozmowę. – Mówił niskim, zrezygnowanym głosem. – Czy ci się to podoba, czy nie, złożyłem przysięgę. I dotrzymam jej.

– Lubisz ją? – zapytała Celia, mrużąc oczy.

– To nie ma znaczenia.

– Ma znaczenie dla mnie!

I dla mnie.

– Co chcesz usłyszeć, Celio? Jest moją żoną. Oczywiście, że ją lubię.

Celia zachwiała się, jakby uderzył ją w twarz.

– Co się z tobą stało, Reid?

– Nic...

– Ten Reid, którego znałam, brzydziłby się tą kobietą. Jest *wszystkim*, z czym walczyłeś...

- Nie znasz jej.
- Najwyraźniej ciebie również nie znam!
- Celio, proszę...
- Kochasz ją?

Wstrzymałam oddech, wbiłam palce w futrynę. Zapadła ciężka cisza. A potem...

– Nie – westchnął głęboko i spuścił wzrok. – Ale sądzę, że chyba bym mógł...

– Powiedziałaś, że kochasz *mnie*. – Powoli się cofała, jej oczy wyrażały szok i urazę. Po jej policzkach płynęły łzy. – Poprosiłeś mnie o rękę! *Mnie*, nie ją!

– Ja... Celio, tak było. Ale Lou... – Westchnął i pokręcił głową. – Nie zranię jej.

– Nie zranisz *jej*? – Teraz płakała już na dobre, na jej bladych policzkach pojawiły się czerwone plamy. – A co ze mną, Reid? Znamy się, odkąd byliśmy dziećmi! – Łzy zmoczyły jej suknię, zniszczyły czarny jedwab. – A co z *Pip*? Co z twoją *przysięgą*?

Reid bezradnie opuścił ręce.

– Przykro mi. Nigdy nie chciałem, by tak się stało.

– Mnie też jest przykro, Reid – łkała. – Żałuję, że w ogóle się poznaliśmy.

Odsunęłam się od drzwi, moje kończyny zaczynały drętwieć. Nie powinnam tu być. Ta chwila nie była przeznaczona dla moich oczu.

Gdy wróciłam do sali balowej, stanęłam z dala od tłumu, wciąż miałam o czym myśleć.

Reid ją kochał.

Pokręciłam głową, brzydziłam się sobą. Oczywiście, że tak było. Przecież napisał to w tym głupim pamiętniku – którego nigdy nie powinnam była czytać – a nawet jeśli, to przecież był młodym, atrakcyjnym mężczyzną. Mógłby wybierać pośród wielu kobiet, gdyby nie poświęcił życia *chasseurom*. Ta myśl wstrząsnęła mną bardziej, niż sądziłam. Podobnie jak myśl o ustach Celi – ustach *jakiegokolwiek* kobiety na jego policzku.

Celia pojawiła się kilka chwil później, dyskretnie ocierała twarz. Pochyliła głowę, żeby nikt jej o nic nie pytał, i ruszyła prosto w stronę przedsiionka. Przełknęłam gulę w gardle, gdy zaraz potem do sali wszedł Reid. Widziałam, że mnie szuka, i zastanawiałam się, czy pójść za Celią.

Jak mogłabym stanąć z nim twarzą w twarz po tym, co usłyszałam? Po tym, jak zrozumiałam, że się poddał.

Kochasz ją?

Nie. Ale sądzę, że chyba bym mógł...

Co by mógł? Pokochać mnie? Ta perspektywa sprawiła, że poczułam panikę. Jednak kiedy ujęłam suknię, by uciec do powozu, Reid zauważył mnie w tłumie. Sztywno do niego pomachałam, przeklinając moją nagłą nieśmiałość, gdy jego niebieskie oczy spojrzały w moje. Ruszył do przodu, grzecznie przepraszając arystokratów, którzy próbowali go zatrzymać, żeby mu pogratulować.

Przestępowałam z nogi na nogę – zdawałam sobie sprawę z tego, że mocno bije mi serce, że drżą mi nogi, że jestem zarumieniona.

Gdy do mnie dotarł, ujął moją dłoń.

– Pięknie wyglądasz.

Zarumieniłam się jeszcze bardziej. W przeciwieństwie do księcia, który patrzył na mnie z góry, Reid był niemal... zauroczony. Nikt nigdy tak na mnie nie patrzył.

– Dziękuję. – Brakowało mi tchu. Przechylił głowę, pytająco spojrzał mi w oczy. Odwróciłam głowę, próbując ukryć zażenowanie, i wtedy pojawiła się Coco.

Nie bawiła się w uprzejmości. Nigdy nie cackała się z Reidem.

– Powiedz mi, chasseurze Diggory, kim była ta ładna kobieta, z którą widziałam cię wcześniej? Czy to twoja siostra?

Spojrzałam na nią wymownie, ale zignorowała mnie. Subtelność nigdy nie była jej mocną stroną.

– Och, eee... Nie – odparł Reid. – To była córka wicehrabiego, Mademoiselle Tremblay.

– Bliska przyjaciółka? – naciskała Coco. – Jej tata przyjaźni się z twoim tatą? Coś w tym stylu?

– Nigdy nie poznałem swojego ojca – odparł Reid sztywno.

Ale Coco nie było łatwo zbić z tropu.

– To skąd się znacie?

– Brie... – Z wymuszonym uśmiechem ujęłam jej dłoń i ścisnęłam bezlitośnie. – Chciałabym spędzić chwilę sam na sam z moim mężem. Gdzie jest Ansel?

Drugą ręką wskazała jakieś miejsce za sobą.

– Zapewne wypina pierś i wyzywa tego drugiego chasseurza na pojedynek. Spojrzałam, gdzie pokazywała.

– Jakiego chasseurza?

– Tego nadętego. Takiego dupka. – Skupiając się, wydeła usta, ale nie musiała się tak starać. Doskonale wiedziałam, o kogo chodzi. – Jean Luca.

– O co poszło?

– Jak zawsze o męską dumę. Ansel nie chciał, żeby Jean Luc bawił się jego nową zabawką. – Przewróciła oczami. – Przysięgam, moje koleżanki nigdy nie sprawiają tylu kłopotów.

Posłałam jej szczery uśmiech. Biedny Ansel. Nie miał szans z Jean Lukiem ani z Coco.

– Może powinnaś zostać ich sędzią.

Coco popatrzyła na moją dłoń zaciśniętą na dłoni Reida i na moje zaczerwienione policzki. Na to, że stał blisko mnie. Za blisko. Zmrużyła oczy.

– Chyba powinnam.

Podeszła, żeby mnie objąć, ale Reid nie wypuścił mojej dłoni. Posłała mu wredne spojrzenie, po czym i tak mnie uścisnęła – niezręcznie, lecz mocno.

– Do zobaczenia później – wyszeptała mi do ucha. – Daj znać, czy mam z niego wytoczyć krew.

Reid patrzył za nią, jak odchodziła z trudną do określenia miną.

– Musimy porozmawiać – powiedział w końcu. – W jakimś ustronnym miejscu.

Poszłam z nim do tej samej części ogrodu, w której złamał serce Celi. Tym razem upewnił się, że porządnie zamknął za nami kuchenne drzwi. To, co chciał mi wyznać – a miałam przecucie, że kurewsko mnie to zaboli – nie mogło mieć publiczności.

Przeczesał dłonią miedziane włosy.

– Lou, kobieta, z którą mnie widziałyście, to...

– Przestań. – Objęłam się rękami, żeby nie zacząć drżeć. Nie mogłam tego słuchać. Nie mogłam jeszcze raz przeżywać tej rozmowy. Jeden raz mi wystarczył. – Niczego nie musisz mi wyjaśniać. Rozumiem.

– Muszę ci to wyjaśnić – zaproponował. – Słuchaj, wiem, że zostaliśmy małżeństwem w okolicznościach dalekich od ideału. Ale, Lou, ja... chcę, żeby nam się udało. Chcę być twoim mężem. Nie mogę cię zmusić, byś chciała tego samego, ale...

– Chcę tego – wyszeptałam.

Szeroko otworzył oczy, podszedł do mnie.

– Naprawdę?

– Tak.

Uśmiechnął się, uśmiechnął się szczerze, po czym posmutniał.

– Wobec tego nie powinniśmy mieć przed sobą żadnych tajemnic. – Zawahał się, jakby szukał odpowiednich słów. – Kobieta, którą widziałas... to była Celia. Czytałaś moje listy, więc wiesz, że ją kochałem. Ale... ale nic się nie wydarzyło. Przyrzekam. Odnalazła mnie, kiedy przyjechałem z arcybiskupem, i... nie chciała ode mnie odejść. Przyprowadziłem ją tutaj kilka minut temu, żeby wyjaśnić jej zmianę charakteru naszej relacji. Powiedziałem jej, że nie...

– Wiem.

Zaczerpnęłam powietrza, przygotowałam się na nieprzyjemności. Zmarszczył brwi.

– Skąd wiesz?

Ponieważ jestem gównianym człowiekiem. Ponieważ ci nie ufałam. Ponieważ to na nią zasługujesz, a ja jestem twoim wrogiem.

– Poszłam za wami – przyznałam cicho. – I... wszystko słyszałam.

– Szpiegowałaś nas? – Nie mógł w to uwierzyć.

Zadrżałam. Nie wiem, czy z zimna, czy ze wstydu.

– Trudno pozbyć się starych nawyków.

Zmarszczył brwi i lekko się cofnął.

– Wolałbym, żebyś nie dowiedziała się w ten sposób.

Wzruszyłam ramionami, próbując odzyskać dawny animusz, ale słabo mi to wyszło.

– Tak chyba było łatwiej.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, tak długo, że nie wiedziałam, czy w ogóle się jeszcze odezwie. Aż się wzdrygnęłam.

– Koniec z tajemnicami, Lou – powiedział w końcu. – Koniec z kłamstwami.

Zakłęłam w duchu, bo nie mogłam mu udzielić odpowiedzi, na którą czekał. Odpowiedzi, której chciałam udzielić. Nie chciałam go dłużej okłamywać.

– Spróbuję – wyszeptałam.

Tylko tyle mogłam mu obiecać.

Potaknął, powoli, ze zrozumieniem.

– Wróćmy do środka. Drżysz.

– Poczekaj. – Zanim się odwrócił, ujęłam go za rękę. Miałam serce w gardle. – Chcę... Chciałabym...

Zrobić z siebie totalną idiotkę. Pokręciłam głową i bezgłośnie przekląłam. Nie byłam w tym dobra. Szczerość, uczciwość były zbyt kłopotliwe, by przejmować się nimi na co dzień. Ale teraz... z Reidem... byłam mu je winna.

– Chcę ci podziękować, za wszystko. – Uścisnęłam jego palce, moje własne były sztywne i obolałe z zimna. – Celia miała rację. Nie zasłużyłam na ciebie. Zniszczyłam ci życie, kiedy się w nim pojawiłam.

Drugą dłoń położył na mojej. Była ciepła. Ku mojemu zaskoczeniu uśmiechnął się do mnie.

– Cieszę się, że tak się stało.

Krew podpłynęła do moich zmarzniętych policzków i nagle okazało się, że nie potrafię spojrzeć mu w oczy.

– Dobrze, a więc... wróćmy do środka. Zaraz sobie tu odmrozę dupę.

Kiedy wróciliśmy do sali balowej, zabawa trwała w najlepsze. Przyjęłam kieliszek szampana od przechodzącego służącego i wypiałam go jednym haustem.

Reid spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Pijesz jak facet.

– Faceci mogliby nauczyć się tego i owego od kobiet. – Pomachałam do służącego i wzięłam jeszcze dwa kieliszki. Jeden podałam Reidowi. Nie przyjął go. – Wyluzuj, Chass. Zabaw się. To najlepszy szampan na świecie. Jeśli go nie wypijesz, obrazisz Jego Wysokość. – Rozejrzałam się z udawaną obojętnością. – A gdzie jest król August? Powinien tu być, nieprawdaż?

– Gdzieś jest. Wcześniej mnie przedstawiał.

– Jaki on jest?

– Mniej więcej taki, jak się spodziewasz.

– Lizusowaty gnojek jak jego syn? – Pomachałam kieliszkiem pod jego nosem, ale on pokręcił głową. Wzruszyłam ramionami i wypiałam też jego porcję, śmiejąc się z jego miny.

Po kilku chwilach poczułam rozkoszne ciepło w całym ciele. Muzyka – powolny, rozlazły walc – od razu zabrzmiała lepiej. Żwawiej. Wypiałam trzeci kieliszek.

– Zatańcz ze mną – powiedziałam niespodziewanie.

Reid spojrzał na mnie zaskoczony.

– Słucham?

– Zatańcz ze mną! – Stanęłam na palcach i zarzuciłam mu ręce na szyję. Spiał się, rozejrzał, ale ciągnęłam go w dół. W końcu się schylił i objął mnie w pasie. Zaśmiałam się. Wyglądaliśmy nedorzecznie, powyginani i ponaciągani, żeby jakoś się do siebie dopasować, ale i tak nie chciałam go puścić.

– To... Tak się nie powinno tańczyć.

Uniosłam głowę i spojrzałam mu w oczy.

– Oczywiście, że się tak tańczy. Jesteś honorowym gościem. Możesz tańczyć, jak ci się podoba.

– Zwykle... tego nie robię...

– Reid, jeśli ze mną nie zatańczysz, to znajdę sobie kogoś, kto zatańczy.

Mocniej złapał mnie w pasie.

– Nie, nie zrobisz tego.

– Wobec tego wiesz, co robić. Tańczymy.

Wypuścił powietrze z płuc i zamknął oczy.

– Dobrze.

Choć był taki spięty, okazało się, że potrafi się ruszać i robi to z naturalnym wdziękiem jak na swój wzrost. Ja sama kilka razy się potknęłam. Mogłabym winić tren głupiej sukni, ale tak naprawdę plątały mi się nogi. Nie mogłam się skupić. Czułam jego silne dłonie na swojej talii, nie mogłam przestać sobie wyobrażać... że dotykają mnie gdzieś indziej. Na samą myśl zawrzała mi krew.

Piosenka skończyła się o wiele za szybko.

– Powinniśmy iść – powiedział szorstko. – Robi się późno.

Potaknęłam i odsunęłam się od niego, wolałam się nie odzywać.

Znalezienie Coco było proste. Podpierała ścianę w pobliżu przedsionka, rozmawiając z samym Beauregardem Lyonem. On położył dłoń na ścianie nad jej głową. Nawet z pewnej odległości widziałam, że bezwstydnie ze sobą flirtowali.

Oboje popatrzyli na mnie, gdy zbliżyliśmy się do nich z Reidem.

– No, no, no... Otóż i Madame Diggory. – Księżę najwyraźniej był rozbawiony. – Widzę, że pani mąż dokonał właściwego wyboru.

Zignorowałam go, choć Reid najeżył się na te słowa.

– Brie, zaraz wychodzimy. Idziesz z nami?

Coco spojrzała na księcia, który skrzywił się w uśmiechu.

– Ta cudna pani nie opuści mojego boku do końca wieczora. Przepraszam, kochanie – wyszeptał do mnie konspiracyjnie. – Muszę

cofnąć moją propozycję... No chyba że ty lub twój mąż chcielibyście dołączyć do nas?

Posłałam mu zabójcze spojrzenie. Dupek.

Reid zmrużył oczy.

– Jaką propozycję?

Pociągnęłam go za rękę.

– Poszukajmy Ansela.

– Już wyszedł. – Coco objęła księcia w pasie. W jej ciemnych oczach zapłonął mroczny płomień. – Pojedziecie do domu całkiem sami. Mam nadzieję, że wam to nie przeszkadza.

Obnażyłam zęby, co było namiastką uśmiechu.

– Mogę z tobą porozmawiać na osobności, Brie?

Była zaskoczona, ale po chwili powiedziała:

– Oczywiście.

Już bez sztucznego uśmiechu zaciągnęłam ją do przedsionka.

– Co robisz?

Zakręciła biodrami.

– Próbuję dać ci trochę czasu sam na sam z mężem. Parkiet nie do końca się do tego nadaje.

– Miałam na myśli *księcia*.

– Och. – Uniosła brew i posłała mi ironiczny uśmiech. – Prawdopodobnie to samo, co ty będziesz robić z mężem.

– Oszalałaś? Zobacz twoje blizny!

Z obojętnością wzruszyła ramionami i podciągnęła ciasny, czarny rękaw.

– Więc powiem mu, że miałam wypadek. Dlaczego miałyby podejrzewać mnie o coś innego? Przecież Dames Rouges nie są powszechnie znane, a wszyscy uważają, że jestem Brie Perrot, uzdrowicielką i bliską przyjaciółką kapitana Reida Diggory'ego. Poza tym nie wydaje ci się, że jesteś hipokrytką? Beau i mnie chodzi tylko o seks, a ty i Reid... Nie zamierzam nazywać tego, co dzieje się między wami, ale coś na pewno się dzieje.

Prychnęłam, ale moja twarz zarumieniła się zdradziecko.

– Naprawdę jesteś szalona.

– Serio? – Coco ujęła moje dłonie, spojrzała mi w oczy. – Nie chcę się wtrącać, bo to nie mój interes, Lou, ale proszę... uważaj. To niebezpieczna gra. Reid jest chasseurem, a ty czarownicą. Wiesz, że w końcu będziecie musieli się rozstać. Wolałabym, żebyś nie cierpiała.

Moja złość się ulotniła, gdy dotarło do mnie, że naprawdę się o mnie martwi. Uścisnęłam jej dłonie.

– Wiem, co robię, Coco.

Ale nawet ja wiedziałam, że to kłamstwo. Jeśli chodzi o Reida, nie miałam pojęcia, co robiłam.

Puściła moje dłonie.

– Dobrze. Wobec tego zostawiam was samych, możecie nadal brnąć w to wariactwo.

Ścisnęło mnie w żołądku, gdy patrzyłam, jak odchodzi. Nie lubiłam sprzeczać się z Coco, ale tym razem nie mogłam nic zrobić.

Reid pojawił się przy mnie chwilę później, ujął mnie za rękę i zaprowadził do powozu – który nagle stał się zbyt mały, zbyt ciepły, gdy usiadł obok mnie. Jego palce gładziły mnie po udzie w pozornie niewinny sposób, a ja cały czas przypominałam sobie ciepło jego dłoni na mojej talii. Zadrżałam i zamknęłam oczy.

Kiedy je otworzyłam, Reid na mnie patrzył. Przełknęłam ślinę, a wtedy jego wzrok przeniósł się na moje usta. Chciałam, żeby się pochylił, żeby zmniejszył dystans między nami, ale w ostatniej sekundzie zatrzepotał powiekami i odsunął się ode mnie.

Poczułam rozczarowanie, które zaraz ustąpiło miejsca poniżeniu.

I dobrze. Odwróciłam się w stronę okna. Coco miała rację: Reid był chasseur, a ja czarownicą. Niezależnie od tego, co zajdzie między nami, nieważne, co się zmieni, ta jedna przeszkoda pozostanie nie do pokonania. A mimo to... przyglądałam się jego poważnemu profilowi, patrzyłam, jak bezwiednie na mnie zerka.

Głupio by było wejść na tę ścieżkę. To mogło się skończyć tylko w jeden sposób. Chociaż o tym wiedziałam, moje serce wyrywało się do niego, nic nie mogło zdusić iskierki nadziei. Nadziei, że być może nasza historia zakończy się inaczej.

Ale... Coco miała rację.

To była niebezpieczna gra.

KWESTIA DUMY

Reid

Napięcie w naszym pokoju sprawiało mi fizyczny ból.

Lou leżała w moim łóżku. Słyszałem w ciemności, jak rzuca się z boku na bok. Kładzie na plecach. Na boku. Na plecach. Stara się być cicho. Dyskretnie.

Ale nie udało jej się, cały czas ją słyszałem. Cały czas.

Ta kobieta doprowadzała mnie do szału.

W końcu wychyliła się znad krawędzi łóżka, jej niebiesko-zielone oczy spojrzały na mnie w ciemności. Jej włosy opadły aż na podłogę.

Zbyt szybko podparłem się na łokciach, a ona natychmiast spojrzała na moją pierś, gdy rozchyliła mi się koszula. Poczułem żar w brzuchu.

– O co chodzi?

– To głupie. – Naburmuszyła się, jakby sama już nie wiedziała, dlaczego się irytuje. – Nie musisz spać na podłodze.

Spojrzałem na nią podejrzliwie.

– Pewna jesteś?

– No dobrze, przede wszystkim przestań tak na mnie patrzeć. To przecież nic wielkiego. – Przewróciła oczami, po czym przesunęła się, żeby zrobić mi miejsce. – Poza tym jest mi zimno. Potrzebuję twojego wielkiego dupska, by się zagrzać. – Kiedy nadal nie ruszyłem się z miejsca, poklepała zachęcająco prześcieradło. – Och, chodź, Chass. Nie gryzę... tak bardzo.

Przełknąłem ślinę, próbowałem opędzić się od fantazji na temat jej ust na mojej skórze. Powoli, ostrożnie, dając jej szansę na zmianę zdania,

wszedłem do łóżka. Minęło kilka sekund niezręcznej ciszy.

- Wyluzuj – wyszeptała wreszcie, chociaż sama leżała sztywno jak deska.
- Nie zachowuj się tak dziwnie.

Niemal się roześmiałem. Niemal. Jakbym w ogóle mógł wyluzować, mając ją tak... tak blisko. Łóżko było standardowej wielkości, nie było przeznaczone dla dwóch osób. Połowa mojego ciała zwisała poza nim. Druga połowa leżała przy niej.

Nie narzekałem.

Po kolejnych minutach strasznej ciszy odwróciła się w moją stronę, ocierając się pierściami o moją rękę. Przyspieszył mi puls, zacisnąłem zęby, żeby okiełznać swoje fantazje.

- Opowiedz mi o swoich rodzicach.

W jednej chwili uleciały wszelkie myśli o zbliżeniu.

- Nie ma o czym mówić.
- Zawsze można coś powiedzieć.

Wbiłem wzrok w sufit. Ponownie zapadła cisza, ale ona nie spuszczała mnie z oka. Nie mogłem się oprzeć i spojrzałem na nią. Na jej szeroko otwarte oczy i zaciekawioną minę. Pokręciłem głową i westchnąłem.

- Zostałem porzucony. Służąca znalazła mnie w śmieciach, kiedy byłem niemowlęciem.

Była przerażona.

– Arcybiskup mnie przyjął. Przez długi czas byłem gońcem. A potem zacząłem rosnać. – Drgnął mi kącik ust. – Niedługo później zaczął mnie szkolić na chasseura. Kiedy miałem szesnaście lat, znalazło się dla mnie miejsce. To wszystko.

Położyła głowę na moim ramieniu.

- Jak to *znalazło się dla ciebie miejsce*?

Zamknąwszy oczy, oparłem brodę na czubku jej głowy i wciągnąłem powietrze. Głęboko.

– Jest tylko sto balisard, w każdej z nich tkwi fragment relikwii Świętego Konstantyna. To ogranicza dostępność miejsc. Większość służy do końca życia. Kiedy chasseur wycofuje się ze względu na wiek lub umiera, organizuje się turniej. Tylko zwycięzca może dołączyć do oddziału.

– Czeka. – Usiadła. Otworzyłem oczy. Uśmiechnęła się do mnie, jej włosy łaskotały mnie w pierś. – Mówisz, że Ansel pokonał wszystkich kandydatów?

- Ansel nie jest chasseurem.

– Nie? – Nadała się.

– Nie. Ale odbywa szkolenie. Będzie brał udział w następnym turnieju, razem z innymi nowicjuszami.

– Och. – Posmutniała, zaczęła okręcać kosmyk włosów wokół palca. – Cóż, to wiele wyjaśnia.

– Tak?

Położyła się obok mnie z westchnieniem.

– Ansel różni się od wszystkich pozostałych. Jest... tolerancyjny. Ma otwarty umysł.

Zjeżyłem się, słysząc takie insynuacje.

– Posiadanie zasad nie jest zbrodnią, Lou.

Nie odpowiedziała. Przesuwała palcem po kołnierzu mojej koszuli.

– Opowiedz mi o turnieju.

Odchrząknąłem, próbowałem zignorować tę delikatną pieśczętę. Ale jej palec był bardzo ciepły. A koszula bardzo cienka.

– Byłem chyba w wieku Ansel. – Zaśmiałem się na wspomnienie tego, jak drżały mi kolana, jak zwymiotowałem na płaszcz tuż przed pierwszą rundą. Arcybiskup musiał mi załatwić inny. Chociaż to było zaledwie kilka lat temu, wszystko wydawało się takie odległe. Inne czasy. Inni ludzie. Kiedy żyłem i oddychałem po to, by zapewnić sobie przyszłość w patriarchalnym świecie. – Wszyscy byli ode mnie więksi. Silniejsi. Nie wiem, jak to zrobiłem.

– Ależ wiesz.

– Masz rację. – Znowu się zaśmiałem. – Wiem. Nie byli o wiele więksi, a ja każdego dnia ćwiczyłem, by nabrać siły. Arcybiskup sam mnie trenował. Nic się nie liczyło, tylko zostanie chasseurem. – Wspomnienia sprawiły, że przestałem się uśmiechać, pojawiały się kolejne obrazy. Tłum. Krzyki. Szczekanie stali i zapach potu w powietrzu. Oraz Celia. Jej oklaski.

– Walczyłem z Jean Lukiem o zwycięstwo.

– I go pokonałeś.

– Tak.

– Ma o to żal.

– Wiem. Tym bardziej warto go było pokonać.

Szturchnęła mnie w brzuch.

– Co za dupek.

– Możliwe. Ale on jest gorszy. Dużo się zmieniło między nami w tamtym roku. Wciąż był nowicjuszem, kiedy arcybiskup awansował mnie na

kapitana. Musiał czekać na kolejny turniej, żeby zostać chasseurem. Chyba nigdy mi tego nie wybaczył.

Nic nie mówiła przez dłuższą chwilę. Kiedy się wreszcie odezwała, żałowałem, że w ogóle otworzyła usta.

– A... a Celia? Czy nadal się z nią spotykałeś po złożeniu ślubów?

Resztki humoru przysły, śmiech zamarł mi w gardle. Znowu wbiłem wzrok w sufit. Nie poganiała mnie, ale jej palce ponownie znalazły się przy mojej szyi. Zachęcająco. W oczekiwaniu. Westchnąłem.

– Widziałaś listy. Nasze zaloty nie ustały.

– Dlaczego?

Spiąłem się, zacząłem mieć się na baczności.

– Co masz na myśli?

– Po co nadal się zalecać do dziewczyny, skoro złożyło się śluby chasseurom? Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby jakiś chasseur miał żonę. Nie ma żadnych innych w Wieży.

Oddałbym balisardę, żeby zakończyć tę rozmowę. Jak wiele udało jej się podsłuchać z mojej rozmowy z Celią? Czy – przełknąłem ślinę – czy wie, że Celia mnie odrzuciła?

– Nie jest to nic nadzwyczajnego. Kilka lat temu kapitan Barre wziął ślub.

Nie wspomniałem, że rok później wystąpił z bractwa.

Usiadła i wbiła we mnie wzrok.

– Zamierzałeś poślubić Celię.

– Tak. – Przeniosłem spojrzenie na sufit. Przez okno wpadł płatek śniegu.

– Gdy dorastaliśmy... Celia była moją sympatią. Podobała mi się jej dobroć. Sam byłem krnąbrnym dzieckiem. Ona mnie temperowała. Prosiła, żebym nie rzucał kamieniami w policję. Zmusiła mnie do pójścia do spowiedzi, gdy ukradłem wino mszalne. – Uśmiechnąłem się na samo wspomnienie. – Miałem pretensje do całego świata. Arcybiskup musiał z tym walczyć.

Zmrużyła oczy, ale rozsądnie nie skomentowała. Położyła mi głowę na piersi i muskała palcem obojczyk. Zrobiło mi się gorąco – wszędzie. Odsunąłem biodra, przeklinając w duchu.

– Ile czarownic zabiłeś?

Jęknąłem i odwróciłem głowę. Ta kobieta potrafiła zamrozić piekło.

– Trzy.

– Naprawdę?

Wyczułem oskarżenie w jej głosie. Potaknąłem, odsuwając od siebie urazę.

– Chociaż trudno jest złapać czarownicę, to bez magii są bezbronni. Mimo to czarownica z teatru była sprytniejsza od większości z nich. Nie zaatakowała mnie magią. Użyła magii, żeby mnie zaatakować. To duża różnica.

Teraz jej palec swobodnie zjechał w dół mojej ręki. Stłumiłem drżenie.

– A więc znasz się na magii?

Starłem się skupić na naszej rozmowie. Na jej słowach. Nie na jej dotyku.

– Wiem to, czego arcybiskup uczył nas podczas szkolenia.

– To znaczy?

Odwróciłem wzrok, przygryzłem wargi. Nie rozumiałem jej zainteresowania okultyzmem. Niezliczoną ilość razy dała mi do zrozumienia, że nie podziela naszej wiary. Ale cały czas o niej wspominała, jakby chciała się kłócić. Jakby chciała, żebym stracił cierpliwość.

– Że czarownice czerpią magię z piekła – odparłem niechętnie.

Prychnęła.

– Żałosne. Oczywiście, że nie czerpią magii z piekła. Czerpią ją od swoich przodków.

Nie wierzyłem własnym uszom.

– A skąd ty to możesz wiedzieć?

– Powiedziała mi przyjaciółka.

Oczywiście. Ta czarownica od Tremblaya, której wciąż nie znaleźliśmy. Miałem ochotę ją zdzielić. Nie udało nam się jej namówić na podanie ważnych informacji. Byłem zaskoczony tym, że arcybiskup nie zagroził jej stosem.

Ale czegoś takiego jeszcze nie słyszałem.

– Od przodków?

Wciąż gładziła moją rękę. Drażniła włoski na moich palcach.

– Mmmhmm.

Czekałem na ciąg dalszy, ale chyba się zamyśliła.

– A więc... to może...

– *Ona*. – Gwałtownie uniosła głowę. – Czarownica to zawsze *ona*, Reid. Nie *to*.

Westchnąłem, miałem ochotę na tym skończyć. Ale nie mogłem. Przyjaciółka czy nie przyjaciółka, Lou nie mogła rozpowszechnić takiego

bluźnierstwa w Wieży, bo prędzej czy później skończy na stosie. A ja nie będę mógł nic na to poradzić.

Musiałem natychmiast zakończyć to jej zauroczenie. Zanim wymknie się spod kontroli.

– Wiem, że uważasz...

– Ja to wiem...

– Ale to, że czarownica wygląda i zachowuje się jak kobieta...

– Jeśli wygląda jak kaczką i kwacze jak kaczką...

– ...nie oznacza, że jest kaczką. To znaczy kobietą.

– Czarownice mogą rodzić dzieci, Reid. – Pstryknęła mnie w nos. Zamrugalem. – To czyni je kobietami.

– Ale mogą rodzić tylko dziewczynki. – Wyszczrzyłem zęby i popatrzyłem na nią, czekając na reakcję. Odskoczyła i prawie spadła z łóżka. Rozbawiony, pytająco uniosłem brew. – Według mnie to aseksualna reprodukcja.

Aż się zaczerwieniła. Mógłbym pomyśleć, że poczuła się osobiście urażona. Uśmiechnąłem się szerzej, zastanawiając, czemu zawdzięczam tę nagłą zmianę. Mojej bliskości fizycznej? Słowu *reprodukcja*? Jednemu i drugiemu?

– Nie bądź głupi. – Poprawiła poduszkę i położyła się na niej. Uważała, żeby mnie nie dotknąć. – Wiedzmy rodzą synów.

– Nigdy nie napotkaliśmy mężczyzny czarownicy.

– To dlatego, że ich nie ma. Magię dziedziczą tylko dziewczynki. Chłopcy są odsyłani po porodzie.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Ponieważ nie mają magii. Moja przyjaciółka powiedziała, że mężczyźni mogą przebywać w Chateau jedynie jako małżonkowie, ale i tak nie mogą w nim mieszkać na stałe.

– Opowiedziała ci to wszystko?

– Oczywiście. – Uniosła głowę i popatrzyła na mnie wyzywająco. – Naprawdę powinieneś się podszkolić, Chass. Zwykła złodziejka wie więcej o twoich wrogach niż ty. Żenujące.

Poczułem rozgoryczenie. Lou zakopała się w kocach, na zewnątrz wzmógł się wiatr.

– Zimno ci?

– Trochę.

Położyłem się bliżej niej i uniosłem rękę.

– Przyjmiesz gałązkę oliwną?

Potaknęła niechętnie.

Przyciągnąłem ją do swojej piersi, złączyłem ręce na jej plecach. Zmieniła się w kłodę drewna. Małą. Spiętą. Nieustępliwą. Gdy przestała zadawać wścibskie pytania i mnie obrażać, wydawało się, że... jest zdenerwowana.

– Spokojnie – wyszeptalem w jej włosy. – Nie gryzę... za bardzo. – W gardle zrodził mi się cichy śmiech. Spięła się jeszcze bardziej, choć to wydawało się niemożliwe. Nie musiała się martwić. Na pewno słyszała głośne bicie mojego serca i rozumiała, że ma nade mną przewagę.

– Czy to był żart, Chass?

Objąłem ją mocniej.

– Może. – Kiedy nic nie odpowiedziała, spojrzałem na nią. Znowu się uśmiechnąłem.

I nagle przypomniała mi się nasza pierwsza wspólna noc.

– Nie musisz się denerwować, Lou. – Pogłaskałem ją po plecach, zmuszając się do zachowania spokoju, gdy szukała sobie miejsca obok mnie. – Nie będę niczego próbował.

– Dlaczego nie?

– Doskonale pamiętam, jak się odgrażałaś, że mnie potniesz, jeśli dotknę cię bez twojej zgody. – Uniosłem jej brodę, przeklinając się i gratulując sobie zarazem, gdy ze zdziwienia otworzyła oczy. Gdy się zachnęła. Wtuliłem się w nią, a moje usta niemal musnęły jej wargi. – Nie tknę cię, dopóki nie poprosisz.

Szeroko otworzyła oczy i odepchnęła mnie ze złością.

– Nie mówisz poważnie.

– Mówię. – Położyłem się wygodnie na poduszce. – Jest późno. Powinniśmy spać.

Jej oczy zabłyśły złością. I zrozumieniem.

Podziwem przepelnionym urazą.

Triumfując, przyglądałem się, jak próbuje sobie coś przypomnieć, a na jej piegowatej twarzy pojawiają się różne uczucia. Posłała mi wzburzone spojrzenie.

– Chyba cię nie doceniałam.

Uniosłem brwi.

– Po prostu to powiedz. Poproś.

– Jesteś dupkiem

Wzruszyłem ramionami.

– Jak chcesz. – Jednym płynnym ruchem uniosłem koszulę nad głowę. Patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Co robisz? – Złapała moją koszulę w locie i rzuciła nią we mnie.

Złapałem ją i rzuciłem na podłogę.

– Gorąco mi.

– Ty... Ty... Wyjdź z mojego łóżka! Wynoś się! – Popychała mnie z całej siły, ale ja nawet nie drgnąłem. Tylko się uśmiechałem.

– To moje łóżko.

– Nie, ja tutaj śpię. Ty śpisz na...

– Łóżku. – Założyłem ręce za głowę. Patrzyła na mnie oniemiała, z uznaniem przyglądała się moim ramionom, klatce piersiowej. A ja szczerzyłem się i starałem się nie napinać mięśni. – Od dwóch tygodni bolą mnie plecy. Mam dość spania na podłodze. To moje łóżko i od teraz będę na nim spał. Możesz spać ze mną, chyba że wolisz wannę.

Otworzyła usta. Zamknęła je.

– To jest... Nie zamierzam spać w... – Wzrokiem szukała czegoś, czego mogłaby użyć do walki. Zatrzymała się na poduszce.

Bach.

Złapałem ją, zanim zdołała uderzyć mnie ponownie, i przytrzymałem przy swojej piersi. Zagryzłem usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Lou, połóż się. Śpij. Nic się nie zmieniło. Chyba że wolisz mnie o coś poprosić?

– Nie rób sobie nadziei. – Wyrwała mi poduszkę. – Albo nie, rób sobie.

Zachichotałem i się odwróciłem.

– Dobranoc, Lou.

Zasnęła na długo przede mną.

KREW, WODA I DYM

Lou

Gdy obudziłam się następnego dnia rano, leżałam na piersi Reida. Obejmował mnie tak, że jego ręce łączyły się na dole moich pleców. Przeciągnęłam się leniwie, rozkoszując jego bliskością, a potem zamarłam. W nocy moja koszula zadarła się powyżej pasa, więc spałam obok niego z gołymi nogami i brzuchem.

Cholera, cholera, *cholera*.

Chciałam ją opuścić, ale obudziłam go, gdy zaczęłam się wiercić. Od razu stał się czujny, widząc moje spanikowane spojrzenie, omiótł wzrokiem pusty pokój. Uśmiechnął się półgębkiem i zarumienił.

– Dzień dobry.

– Dobry? – Odsunęłam się od niego, moje policzki również zrobiły się podejrzanie gorące. Uśmiechnął się szerzej i podniósł z podłogi swoją koszulę, po czym udał się do łazienki. – Dokąd idziesz?

– Potrenować.

– Ale... ale jest dzień Świętego Mikołaja. Musimy to uczcić.

Wystawił głowę z łazienki. Był rozbawiony.

– Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdziłam, schodząc z łóżka. Zszedł mi z drogi, ale wyciągnął rękę, żeby chwycić kosmyk moich włosów. – Wybieramy się na festiwal.

– Serio?

– Tak. Jest tam *wspaniałe* jedzenie. Są imbirowe makaroniki... – przerwałam, bo zaczęła lecieć mi ślinka. Pokręciłam głową. – Nie jestem w stanie ich opisać. Trzeba ich spróbować. Poza tym muszę kupić ci prezent.

Niechętnie puścił moje włosy i podszedł do szafki.

– Nie musisz niczego mi kupować, Lou.

– Bzdura. Uwielbiam kupować prezenty prawie tak samo, jak uwielbiam je dostawać.

Godzinę później przechadzaliśmy się ramię w ramię po East Endzie.

Chociaż brałam udział w festiwalu rok wcześniej, nie interesowało mnie ozdabianie choinek owocami i cukierkami, nie miałam też ochoty dokładać drewna do ogniska płonącego pośrodku miasta. Nie, bardziej angażowała mnie gra w kości i kramy z tanimi ozdóbkami, no i oczywiście jedzenie.

Aromat cynamonowych łakoci rozchodził się w powietrzu i mieszał z wszędobyłskim smrodem ryby i dymu. Zauważyłam wózek z ciastkami. Ciastka francuskie, magdalenki, cynamonowe ślimaczki – wszystkie mnie do siebie wołały. Kiedy wyciągnęłam rękę, by podwędzić jedno lub trzy, Reid przewrócił oczami i odciągnął mnie od straganu. Mój żołądek zaburczał zdradziecko.

– Jak to możliwe, że ciągle jesteś głodna? – zapytał z niedowierzaniem. – Rano zjadłaś trzy dokładki na śniadanie.

– Na śniadanie był *tuńczyk*. Mam drugi żołądek na desery.

Ulice pełne były imprezowiczów okutanych w płaszcze i szale, wszystko pokrywała cienka warstwa śniegu – sklepy, stragany, powozy, ulice. Niemal na każdych drzwiach wisiały wieńce z czerwonymi wstążkami. Kokardy tańczyły na wietrze.

Jak na Cesarine było pięknie.

Jednak ulotki wiszące na każdym budynku już takie nie były:

WASZE STARSZE SIOSTRY

PODRÓŻUJĄCA TRUPA AKTORSKA

*Zaprasza was na przedstawienie na cześć naszego patriarchy
JEGO EMINENCJI FLORINA KARDYNAŁA CLÉMENT, ARCYBISKUPA
BELTERRY*

*które odbędzie się jutro rano
siódmego dnia grudnia*

*w Katedrze Saint-Cécile d' Cesarine.
Wesołych Świąt!*

Ze śmiechem podstawiałam ulotkę pod nos Reida.

– Florin? Ależ *okropne* imię! Nic dziwnego, że nigdy go nie używa.

Zasmucił się.

– Mam na drugie imię Florin.

Zgniotłam ulotkę i wyrzuciłam ją do kosza.

– Tragedia. – Kiedy chciał pokierować mnie w inną stronę, zabrałam rękę i założyłam kaptur. – No dobrze, pora się rozejść.

Wciąż się dąsając, rozejrzał się po zatłoczonym placu.

– To nie jest najlepszy pomysł.

Przewróciłam oczami.

– Możesz mi zaufać. Nie ucieknę. Poza tym prezenty powinny być *niespodzianką*.

– Lou...

– Spotkamy się w cukierni Pana za godzinę. Zamów mi coś dobrego.

Ignorując jego protesty, odwróciłam się i wymijając kupujących, skierowałam się w stronę kuźni na końcu ulicy. Kowal, Abe, zawsze był miły dla półświatka East Endu. Kupiłam u niego wiele noży i ukradłam mu jeden czy dwa. Przed akcją u Tremblaya Abe pokazał mi piękny sztylet z miedzianą rękojeścią. Doskonale pasowałby do włosów Reida. Miałam nadzieję, że jeszcze go nie sprzedał.

Zdjęłam kaptur, zrobiłam chojracką minę tak jak dawniej, po czym weszłam do kuźni. W piecu żarzyły się kawałki węgla, ale poza beczką wody i workiem piasku w pomieszczeniu nic więcej nie było. Żadnych mieczy. Żadnych noży. Żadnych klientów. Skrzywiłam się. Nigdzie nie było też kowala.

– Abe? Jesteś tutaj?

Przysadzisty, brodaty mężczyzna wszedł bocznym wejściem. Uśmiechnęłam się.

– Jesteś, staruszkule! Przez chwilę myślałam, że się gdzieś zapodziałeś. – Zrzedła mi mina, gdy spojrzał na mnie koso. – Jak interesy? – Rozejrzałam się.

– Masz tupet, żeby tu przychodzić, Lou.

– O czym mówisz?

– Podobno sprzedałaś Andre i Grue. Dzięki tobie na East Endzie aż roi się od policjantów. – Zbliżył się o krok. Zaciśnął pięści. – Byli tu dwa razy, zadawali pytania o rzeczy, o których nie powinni wiedzieć. Moi klienci są nieufni. Nikt nie chce robić interesów, gdy kręcą się tu gliny.

Cholercia. Może jednak nie powinnam tyle mówić chasseurom.

Z uśmiechem wyjęłam sakiewkę z kieszeni peleryny.

– Ach, przyniosłam gałązkę oliwną. Widzisz? – Potrząsnęłam nią, monety radośnie zadźwięczały w środku. Cały czas patrzył podejrzliwie.

– Ile?

Podrzuciłam sakiewkę z wystudiowaną nonszalancją.

– Dość, by kupić jakiś ładny miedziany sztylet. Prezent dla męża.

Splunął na ziemię z niesmakiem.

– Poślubiłaś niebieską świnię. Nie sądziłem, że możesz upaść tak nisko.

Poczułam złość, ale to nie był czas ani miejsce na walkę o honor mojego męża.

– Zrobiłam, co zrobiłam. Nie oczekuję, że mnie zrozumiesz.

– I tu się mylisz. Dobrze cię rozumiem.

– Hm?

– Wszyscy robimy to, co musimy. – Zachłannie patrzył na sakiewkę w mojej ręce. – Pamiętam ten miedziany sztylet. Wolałbym raczej odpiłować sobie palce niż widzieć go w rękach łowcy, ale złoto to złoto. Zostań tutaj. Przyniosę go.

Niespokojnie przestępowałam z nogi na nogę w ciszy, która zapadła. Palcami dotykałam monet w woreczku.

Poślubiłaś niebieską świnię. Nie sądziłem, że możesz upaść tak nisko.

Chciałam powiedzieć Abe'owi, żeby się odpieprzył, ale jakaś część mnie pamiętała, jak to jest, gdy nienawidzi się chasseurów. Gdy nienawidzi się Reida. Pamiętałam, że chowałam się w cieniu, gdy przechodzili, pochylałam głowę, gdy tylko zauważyłam coś niebieskiego.

Strach cały czas pozostał, ale, ku mojemu zaskoczeniu... nienawiść minęła.

Prawie wyskoczyłam ze skóry, słysząc hałas przy drzwiach. Pewnie mysz. Wzięłam się w garść i wyprostowałam. Już nie nienawidziłam chasseurów, ale sprawili, że poczułam samozadowolenie. A to było niewybaczalne.

Stojąc w często odwiedzanym miejscu i podskakując od byle dźwięku, uświadomiłam sobie, że przesunęły się moje granice. I gdzie, do cholery, podział się Abe?

Zrobiłam się niewytłumaczalnie wkurzona na Abe'a, Reida, arcybiskupa i wszystkich pozostałych mężczyzn, którzy kiedykolwiek stanęli mi na drodze. Odwróciłam się i podeszłam do drzwi, przez które wyszedł Abe.

Piętnaście minut to dość czasu. Abe może wziąć moje *couronnes* i wsadzić sobie w dupę. Postanowiłam mu to powiedzieć, więc złapałam za klamkę i w tej chwili poczułam strach. Ścisnęło mnie w żołądku.

Drzwi były zamknięte na klucz.

Cholera.

Wzięłam głęboki wdech. Potem kolejny. Być może Abe nie chciał, żebym poszła za nim do prywatnej części domu. Może zamknął drzwi, żebym nie myszkowała i nie zwinęła czegoś cennego. Przecież kiedyś tak robiłam. Może tylko był ostrożny.

Mimo to, gdy spojrzałam na główne drzwi, poczułam dreszcz na plecach. Chociaż okna były czarne od sadzy i brudu, wiedziałam, że niewielu ludzi zapuszcza się tak daleko. Nacisnęłam klamkę.

Zamknięte.

Cofnęłam się, musiałam rozważyć dostępne opcje. Okno. Mogę je wybić i przedostać się na drugą stronę, zanim...

Boczne drzwi otworzyły się i przez jedną piękną sekundę pozwoliłam sobie pomarzyć, że pojawi się w nich Abe w całej swojej niezdarności.

– Cześć, Lou Lou. – Grue od razu zaczął strzelać kostkami. – Ależ z ciebie nieuchwytna mała dziwka.

Za nim pojawił się Andre z nożem w ręce, a ja zaczęłam panikować. Za nimi błysnęły ciemne oczy Abe'a.

– Miałaś rację, Lou. – Wydał usta. – Wszyscy musimy robić to, co trzeba.

– Po czym odwrócił się i zniknął w przylegającym pomieszczeniu, zatrząskując za sobą drzwi.

– Witam ponownie, Grue. Andre, twoje oko ładnie się wygoiło. – Zmusiłam się do swobodnego tonu mimo narastającej hysterii, a jednocześnie kątem oka szukałam czegoś, co mogłoby posłużyć mi za broń: beczka z wodą, worek z piaskiem, zardzewiałe szczypce przy piecu. Albo... albo mogłabym...

Złoto migotało jak szalone. Mój wzrok padł na wodę oraz na miechy przymocowane do pieca. Znajdowaliśmy się w zamkniętej przestrzeni. Nikt nie zauważy, co robię. Nikt nie będzie wiedział, że tu byłam. Zniknę, zanim wróci Abe, a są niewielkie szanse, że zawiadomi policję albo chasseurów.

Musiałby pograć również siebie. Musiałby wyjaśnić, jak doszło do tego, że w jego kuźni zamordowano dwóch mężczyzn.

Ponieważ tak czy inaczej zabiję ich, jeśli mnie dotkną.

– Zdradziłaś nas – warknął Andre. Zrobiłam krok w stronę pieca, skupiając uwagę na jego nożu. – Nie możemy się nigdzie ukryć. Te sukinkoty znają wszystkie nasze kryjówki. Wczoraj niemal nas pozabijali. Teraz musimy zabić ciebie.

W jego oczach ujrzałam szaleństwo, wiedziałam, że lepiej się nie odzywać. Miałam spocone dłonie. Jeden głupi ruch, jeden błąd, a zginę. Złoto błysnęło jaśniej, wzywając mnie, wyciągając macki w stronę gorącego węgla w piecu.

Płomień za płomień. Znasz ten ból. Wiesz, że mija. Spal go, szeptał głos.

Instynktownie skuliłam się, przypominając sobie agonię Estelli w płomieniach, i chwyciłam inny wzór. Ten niewinnie lśnił w piasku, trzymał się blisko oczu Andre i moich. Oślepił mnie.

Oko za oko.

Ale nie chciałam poświęcić swojego wzroku za Andre. Nie teraz, gdy było ich dwóch.

Myśl. Myśl, myśl, myśl.

Cały czas się cofałam, wzory pojawiały się i znikwały szybciej, niż byłam w stanie za nimi nadążyć. Pierścień Angeliki zrobił się gorący, gdy zbliżyłam się do pieca. Oczywiście. Przeklinając się, że nie przypomniałam sobie o nim wcześniej, powoli zdjęłam go z palca. Andre zauważył ten ruch, zmrużył oczy, gdy dostrzegł sakiewkę z pieniędzmi, którą wciąż ściszałam w dłoni. Chciwy dupek.

Przycisnęłam kciukiem Pierścień Angeliki, ale zrobiłam to zbyt szybko. Pierścień poślizgnął się na mojej wilgotnej skórze i z brzękiem upadł na podłogę. Odbił się od niej.

Raz.

Dwa.

Trzy razy.

Z przerażeniem patrzyłam, jak Grue stawia na nim stopę. Z błyskiem w oku i wrednym uśmieszkiem schylił się, żeby go podnieść. Zrobiło mi się sucho w ustach.

– A więc to jest ten magiczny pierścień. Tyle zachodu dla kawałeczka złota. – Włożył go do kieszeni i się zbliżył. Andre zrobił to samo. – Nigdy cię

nie lubiłem, Lou. Zawsze uważałaś się za lepszą do nas i mądrzejszą, ale wcale taka nie jesteś. I zbyt wiele razy nas wkurzyłaś.

Rzucił się na mnie, ale byłem szybsza. Złapałam szczypce – ignorując fakt, że wewnątrz mojej dłoni pokryło się bąblami od gorąca – i zdzieliłam go w twarz. Pomieszczenie wypełniło się mdlącym zapachem spalonego mięsa. Grue się cofnął. Następny rzucił się na mnie Andre, ale zamachnęłam się na niego szczypcami. W ostatniej chwili się zatrzymał. Wściekłość wykrzywiała mu twarz.

– Nie zbliżaj się! – Machnęłam bronią dla lepszego efektu. – Ani kroku!

– Potnę cię, kurwa, na kawałki. – Grue ponownie próbował się na mnie rzucić, ale umknęłam, szaleńczo wymachując szczypcami. Nóż Andre śmignął tuż przy mojej twarzy. Odchyliłam się, ale Grue był już przy mnie. Złapał ręką drugi koniec szczypiec i z brutalną siłą wyrwał mi je z ręki.

Zamachnęłam się w stronę worka z piaskiem, desperacko kierując wzórkę jego oczom i z dala od moich.

Andre krzyknął, gdy piasek uniósł się niczym fala i ruszył na niego. Cofnął się, zakrył twarz dłońmi, pocierał skórę, próbując pozbyć się maleńkich sztyletów wbijających mu się w oczy. Przyglądałam się temu z dziką satysfakcją – moje oczy nie ucierpiały – dopóki Grue nie poruszył się gdzieś obok. Zauważyłam tylko niewyraźny gest. Odwróciłam się, uniosłam ręce w samoobronie, ale mój umysł zrobił się ociężały i powolny. Uniósł pięść. Widziałam ją. Nie mogłam zrozumieć, co zamierza z nią zrobić. Nie byłam w stanie przewidzieć jego kolejnego ruchu. Wtedy uderzył.

Twój wzrok za jego wzrok.

Ból promieniował z mojego nosa, rzuciło mną w tył. Uśmiechał się szyderczo, chwytając mnie za szyję i podnosząc. Nie mogłam zaczerpnąć powietrza, szarpałam go za rękę, podrapałam go do krwi, ale nie puścił mnie.

– Nigdy wcześniej nie zabiłem czarownicy. Powiniennem się domyślić. Zawsze byłaś dziwna. – Pochylił się nade mną, czułam jego gorący, śmierdzący oddech na policzku. – Kiedy cię już potnę, odeślę wszystko do tej niebieskiej świni, kawałek po cholernym kawałku.

Szarpałam się, przed oczami tańczyły mi gwiazdy.

– Nie zabijaj jej zbyt szybko. – Z oczu Andre leciały łzy pomieszane z krwią. Piasek już opadł, leżał u jego stóp zmieszany ze złotym pyłem.

Złoto zamrugało ostatni raz, po czym zniknęło. Pochylił się, żeby podnieść nóż. – Chcę się tym nacieszyć.

Grue poluzował chwyt. Zakaszlałam i zacharczałam, a on chwycił mnie za włosy, odchylił moją głowę, odkrywając gardło.

Nóż Andre dotknął blizny.

– Wygląda na to, że ktoś nas uprzedził.

Przed oczami zobaczyłam białe plamy. Rzuciłam się na nich.

– Ach, ach, ach. – Grue szarpnął mnie za włosy, poczułam ból promieniujący na całą głowę. – Nie próbuj tego, Lou Lou. – Nakierował moją szyję na nóż. – Nie tutaj. Za szybko. Zaczynaj od jej twarzy. Odetnij jej ucho. Nie, czekaj. – Posłał mi paskudny uśmiech, jego oczy płonęły nienawiścią. – Może zamiast tego wytniemy jej serce. I jako pierwsze wyślemy świni.

Andre przesunął nóż z mojego gardła na pierś. Skupiłam się na jego odrażającej twarzy, chcąc, by pojawił się kolejny wzór. *Jakikolwiek* wzór.

Był, pojawił się, lśnił jaśniej niż wcześniej. Kusił mnie.

Nie wahałam się. Zacisnęłam palce, szarpnęłam mocno za postronek i w naszą stronę poleciały rozżarzone węgle z pieca. Przygotowałam się na ból, uderzyłam Grue łokciem w brzuch i wyrwałam mu się. Kiedy węgiel uderzył w ich twarze, zapłonęła moja skóra. Ale znałam ten ból. Mogłam go znieść. Już raz mi się to udało.

Zaciskając zęby, chwyciłam nóż Andre i wbiłam mu go w gardło, przecięłam skórę, chrząstkę, kość. Jego krzyk utonął w bulgocie. Grue rzucił się na mnie na oślep z dziką furią i wykorzystałam jego rozpęd, by wbić mu ostrze w pierś – a także brzuch, ramię i gardło. Jego krew opryskała mi policzek.

Kiedy ich ciała padły na ziemię, rzuciłam się na Grue, żeby znaleźć w jego kieszeni Pierścień Angeliki. Założyłam go z powrotem na palec i wtedy usłyszałam pukanie do drzwi.

– Wszystko tam w porządku?

Zamarłam, słysząc nieznamy głos. Sapałam i cała się trzęsłam. Ktoś poruszał klamką i do pierwszego głosu dołączył drugi.

– Klucz jest ułamany.

– Słyszałem krzyk. – Kolejne pukanie, głośniejsze tym razem. – Jest tam kto?

Znowu poruszyła się klamka.

– Co tam się dzieje?

Ten głos znałam. Silny. Pewny siebie. Cholernie nie w porę.

Zerwałam się na nogi i podeszłam do beczki z wodą, modląc się, żeby drzwi wytrzymały pod naporem Reida. Cicho przeklęłam. Oczywiście Reid musiał się zjawić, gdy w powietrzu czuć było magię, a na ziemi leżały dwa trupy. Poślizgnęłam się na ich krwi, gdy przechylałam beczkę. Woda spłynęła na nich kaskadą, przytłumiła najgorszy zapach. Węgielki zasyczały w kontakcie z nią, zadymiły i po kuźni rozszedł się mdlący smród spalenizny. Przechyliłam beczkę ku sobie i też się zmoczyłam.

Głosy na zewnątrz zamilkły, gdy beczka wyslizgnęła mi się z rąk i rąbnęła o podłogę. A potem...

– Ktoś tam jest. – Nie czekając na potwierdzenie, Reid kopnął drzwi. Ugięły się. Kiedy kopnął je ponownie, drewno trzasnęło. Doskoczyłam do pieca i szaleńczo zaczęłam pompować miechy. Kuźnię wypełnił dym, gęsty i czarny. Drzwi ustąpiły, ale ja wciąż pompowałam. Robiłam to, aż moje oczy zaszyły łzami i zaczęło palić mnie w gardle. Aż przestałam czuć zapach magii. Aż w ogóle nic już nie czułam.

Puściłam miech w chwili, gdy drzwi otworzyły się z hukiem.

Do środka wpadło światło słoneczne, podświetliło sylwetkę Reida otoczonego kłębamii dymu. Potężną. Napiętą. Czekającą. Wyjął balisardę, nawet mimo dymu widziałam lśniące szafiry. Dwóch zaniepokojonych obywateli stało tuż za nim. Gdy dym się rozproszył, wyraźniej zobaczyłam jego twarz. Wzrokiem omiatał kuźnię, zmrużył oczy, widząc krew i ciała, po czym spojrzał na mnie. Zbladł.

– Lou?

Potaknęłam, nie ufałam sobie na tyle, by coś mówić. Ugięły się pode mną kolana.

Szybko do mnie podbiegł – nie zwracał uwagi na krew, wodę i dym. Padł na kolana tuż przy mnie.

– Dobrze się czujesz? – Chwycił mnie za ramiona, zmusił do spojrzenia sobie w oczy. Odgarnął mi z twarzy mokre włosy, uniósł moją brodę, dotknął śladów na szyi. Jego palce zatrzymały się na cienkiej bliźnie. Zimna maska wściekłości popękała, pod spodem był tylko ten szalejący z obawy mężczyzna. – Czy oni... Czy oni cię skrzywdzili?

Skrzywiłam się i złapałam jego dłonie, powstrzymując go od dalszych domysłów. Trzęsły mi się ręce.

– Nic mi nie jest, Reid.

– Co się stało?

Szybko opowiedziałam o koszmarnej przygodzie, nie wspominając o tym, że posłużyłam się magią. Woda, dym i zwęglona skóra wykonały swoją robotę. Z każdym słowem jego twarz robiła się poważniejsza, a gdy skończyłam, trząsł się z wściekłości. Głośno oddychając, oparł czoło o nasze splecione dłonie.

– Chcę ich zabić za to, że cię tknęli.

– Za późno – powiedziałam cicho.

– Lou, ja... Gdyby zrobili ci krzywdę... – Spojrzał mi w oczy, jego szczerłość przeszła moje serce.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Nie wiedziałem. Przyszedłem tu, żeby kupić ci świąteczny prezent. – Zamilkł, odwrócił się i kazał dwóm świadkom odejść. Przerażeni umknęli bez słowa. – Nóż.

Patrzyłam na niego. Być może za sprawą adrenaliny wciąż płynącej w moim ciele. A może jego nieposłuszeństwa względem arcybiskupa. Albo tego, że uświadomiłam sobie, że się boję. Naprawdę się bałam.

I potrzebowałam pomocy.

Nie. Potrzebowałam jego.

Obojętnie z jakiego powodu.

Kłęczeliśmy razem na zakrwawionej podłodze, gdy zarzuciłam mu rękę na szyję i go pocałowałam. Odsunął się zaskoczony, ale po chwili ujął w garść materiał sukni na moich plecach i przyciągnął mnie do siebie, napierając na mnie ustami.

Straciłam wszelką kontrolę. Chciałam być jeszcze bliżej Reida. Chciałam poczuć go całego. Przytuliłam go mocniej, wpasowałam się w jego ciało, w jego szeroką klatkę piersiową, brzuch, nogi.

Jęcząc, chwycił mnie za uda i przyciągnął. Objęłam go nogami w pasie. Położył mnie na podłodze i pocałował namiętniej.

Poczułam coś ciepłego na plecach i szarpnęłam się gwałtownie. Zerknęłam na Andre i Grue.

Krew.

Leżałam we krwi.

Reid uświadomił to sobie w tej samej chwili, zerwał się i pociągnął mnie za sobą. Na policzkach miał czerwone plamy, nierówno oddychał.

– Powinniśmy iść.

Zamrugałam, zeszło ze mnie powietrze, poczułam chłód, gdy dotarła do mnie rzeczywistość. Zabiłam. Ponownie. Wtulając się w jego pierś,

spojrzałam na Andre i Grue. Zmusiłam się do popatrzenia w ich zimne, martwe oczy. Wbijali niewidzący wzrok w sufit. Krew sączyła się z ich ran.

Poczułam odrazę.

Ledwie zauważyłam, że Reid uwolnił się z moich objęć. Spojrzałam na swoją pelerynę. Biały aksamit był całkowicie zniszczony – poplamiony krwią, której nie da się wywabić.

Kolejne dwie śmierci. Kolejne dwa ciała, które za sobą zostawiam. Ile jeszcze ich będzie, zanim to wszystko się skończy?

– Proszę. – Reid włożył coś w moją bezwładną rękę, instynktownie zacisnęłam na tym palce. – Wcześniejszy prezent świąteczny.

To był nóż Andre, wciąż śliski od krwi właściciela.

W MOIM DOMU

Lou

Gdy wróciliśmy do Wieży Chasseurów, słońce już zachodziło. Reid upierał się, żeby zgłosić zajście policji. Zadawali mi pytanie za pytaniem, aż wreszcie nie wytrzymałam:

– Widzicie moje gardło? – Odchyliłam kołnierz, żeby po raz setny pokazać im siniaki. – Sądzicie, że sama to sobie zrobiłam?

Reid chciał po tym wyjść.

Myślę, że dużo zawdzięczam reputacji Reida jako chasseura. Gdyby nie on, na pewno policjanci wykorzystaliby tę sytuację, żeby zamknąć mnie w więzieniu za morderstwo.

Gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, zwróciłam twarz w stronę zachodzącego słońca, oddychałam głęboko i próbowałam się pozbierać. Andre i Grue nie żyli. Chasseurzy nadal nie znaleźli Monsieur Bernarda, co oznaczało, że prawdopodobnie również nie żył. Nie widziałam ani nie rozmawiałam z Coco od czasu naszej sprzeczki na balu, a Reid i ja...

Zatrzymał się obok mnie bez słowa, ujął mnie za rękę. Zamknąwszy oczy, rozkoszowałam się twardą skórą na jego palcach. Nawet wiatr kłusający mnie w policzki nie był mi straszny. Wirował wokół nas i owiewał mnie jego zapachem – lekko leśnym, niczym świeże powietrze i górskie sosny, doprawionym czymś bogatszym, głębszym, co składało się na Reida.

– Chcę ci coś pokazać, Reid.

Jego usta drgnęły, pojawił się mój ulubiony półuśmiech.

– Co?

– To tajemnica.

Pociągnęłam go za rękę, ale się zaparł. Nagle zrobił się podejrzliwy.

– To nie jest nic nielegalnego, prawda?

– Oczywiście, że nie. – Pociągnęłam mocniej, ale ani drgnął. Jakbym chciała przesunąć górę. Rozbawiony uniósł brwi, widząc moje bezowocne próby. W końcu się poddałam. Klepnęłam go w pierś. – Boże, co za wielka dupa! To nie jest nielegalne, rozumiesz? A teraz rusz się albo, przysięgam na Boga, rozbiorę się do naga i zatańczę *bourrée*!

Podparłam się pod boki i spojrzałam na niego wyzywająco.

Nawet nie zerknął na przechadzających się obok ludzi. Nawet się nie zmieszał. A przecież Reid zawsze się rumienił.

Przeciwnie, wbił we mnie wzrok i powoli się uśmiechnął.

– Zrób to.

Zmrużyłam oczy i stanęłam wyprostowana, żeby wydawać się większa.

– Zrobię. Nie myśl, że nie. Zrobię to od razu.

Uniósł brwi. Nadal ironicznie się uśmiechał.

– Czekam.

Spojrzałam na niego ze złością, uniosłam ręce i zaczęłam rozwiązywać srebrny sznureczek peleryny. Wolałam nie patrzeć na ludzi wokół nas.

– Nie boję się zrobić sceny. Sądziłam, że o tym wiesz.

Wzruszył ramionami i włożył ręce do kieszeni.

– Pierwszy raz podział na mnie całkiem dobrze. – Moja peleryna spadła na ziemię. – Wydaje mi się, że tym razem może być podobnie.

Mój żołądek – zdrajca – przekręcił się na te słowa. Reid śledził każdy mój ruch.

– Jesteś świnią.

– Sama zgłosiłaś się na ochotnika. – Skinął głową w stronę cukierni Pana, gdy zaczęłam rozwiązywać tasiemki sukienki. – Ale powinnaś wiedzieć, że masz publiczność.

Oczywiście, Pan stał już w oknie swojego sklepu i nie spuszczał z nas oka. Lekko się wzdrygnął, kiedy odwróciłam się i pomachałam do niego. Zrobiłam to zbyt szybko, by wyglądało naturalnie. Moje palce znieruchomiały.

– Masz szczęście. – Podniosłam pelerynę z ziemi i zarzuciłam ją sobie na ramiona. Nie byłam w stanie się powstrzymać, więc rozejrzałam się, ale pozostali ludzie w ogóle nie zwracali na nas uwagi. Poczułam ulgę.

– Zgadza się.

– Naprawdę jesteś świnia! – Odwróciłam się na pięcie i skierowałam w stronę Wieży Chasseurów. On jednak złapał mnie za rękę.

– Przestań, proszę. – Uspokajająco uniósł drugą rękę, ale wciąż widziałam jego arogancki uśmiezek. – Chcę zobaczyć tę tajemnicę. Pokaż mi.

– Pechowo się składa. Zmieniłam zdanie. Jednak nie chcę ci jej pokazać. Odwrócił mnie ku sobie, objął mnie.

– Lou. Pokaż mi. Wiem, że chcesz.

– W ogóle mnie nie znasz.

– Wiem, że rozbieranie się w miejscu publicznym przerasta nawet ciebie.

– Roześmiał się. Co za cudowny, rzadko słyszany dźwięk. – Wiem, że nigdy nie przyznasz, ale nie zrobiłabyś tego.

Przytulał mnie, rozbawienie w jego oczach stopniowo ustępowało miejsca powadze, a ja uświadomiłam sobie, że tak blisko nie byliśmy ze sobą od naszego porannego pocałunku. Patrzył na swój kciuk, którym gładził moją dolną wargę.

– Wiem, że masz niewyparzoną gębę. – Nacisnął mocniej moje usta, żeby to podkreślić. Zadrzałam. – I jesteś przyzwyczajona, że dostajesz to, czego chcesz. Wiem, że jesteś wulgarną, nieuczciwą manipulatorką...

Oburzyłam się, zmarszczyłam nos, ale on tylko mocniej mnie przytrzymał.

– ...ale jesteś też pełna współczucia, niezależna i odważna. – Założył mi kosmyk włosów za ucho. – Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty, Lou.

Sądząc po minie, musiało go to niepokoić. Sama nie miałam zamiaru zagłębiać się teraz w swoje uczucia.

Poślubiłaś niebieską świnia. Nie sądziłem, że możesz upaść tak nisko.

Reid nie był niebieską świnia. Ale był chasseur. Wierzył, w co wierzył. Nie byłam aż tak szalona, żeby sądzić, że uda mi się to zmienić. Spojrzałby na mnie inaczej, gdyby wiedział, kim naprawdę jestem. Jego dłonie, które teraz tak czule mnie dotykały, dotknęłyby mnie zupełnie inaczej.

Przed oczami stanęła mi twarz Estelli. Dłonie Reida zaciśnięte na jej gardle. *Moim gardle.*

Nie. Odsunęłam się od niego. Uniósł brwi, nie kryjąc zaskoczenia.

Zapadła niezręczna cisza, zaśmiałam się nerwowo i wytarłam dłonie o suknię.

– Znowu zmieniłam zdanie. Jednak pokażę ci tę tajemnicę.

Naszym oczom ukazało się Solei at Lune.

– Teatr? – Reid spoglądał na puste schody. – To dość spokojne miejsce jak na ciebie, nieprawdaż? Spodziewałem się jakiejś podziemnej, nielegalnej operacji...

– Nie bądź śmieszny, Chass. – Stałam przy drzwiach prowadzących za kulisy, podniosłam kieckę i wspierałam się na kosz na śmieci. – Nigdy nie dałabym się zagnać pod ziemię.

Aż go zatkało, gdy domyślił się, co chcę zrobić.

– To jest nielegalne, Lou!

Uśmiechnęłam się do niego przez ramię.

– Będzie nielegalne, jeśli nas złapią. – Podciągnęłam się, puściłam do niego oko i zniknęłam.

Wysyczał moje imię, ale go zignorowałam. Wytarłam brud z butów i czekałam.

Chwilę później pojawiły się jego dłonie, a następnie on sam.

Roześmiałam się, widząc jego naburmuszoną minę.

– Długo ci zajęło. W takim tempie spędzimy tu całą noc.

– Jestem chasseur, Lou. To jest całkowicie nieakceptowalne zachowanie.

– I zawsze z kijem w dupie...

– Lou! – Zadarł głowę i spojrzał na dach. – Nie zamierzam się wspinać po tym budynku.

– Och, Chass. – Zrobiłam wielkie oczy, gdy dotarło do mnie, na czym polega problem. Prychnęłam prostacko. – Proszę, powiedz mi, że nie masz lęku wysokości.

– Oczywiście, że nie mam. – Mocno złapał się za występ w murze. – To kwestia zasad. Nie złamię prawa.

– Rozumiem. – Potaknęłam z przekąsem, kryjąc uśmiech. Niech mu będzie. Choć raz nie będę się z niego wyśmiewać. – Cóż, na szczęście ja mam w dupie prawo. Wchodzę na górę. Możesz poszczuć mnie policją.

– Lou! – Próbował złapać mnie za kostkę, ale byłam już wysoko nad nim. – Złaź!

– Sam mnie złap! I na miłość boską, Chass, przestań zaglądać mi pod spódnice!

– Nie zaglądam!

Zachichotałam i nadal się wspinałam, rozkoszując się zimnym powietrzem na twarzy. Po tym koszmarnym incydencie w kuźni po prostu

musiałam odreagować. Pośmiać się. Szkoda, że Reid nie chciał tego samego. Podobał mi się jego śmiech.

Zerknęłam na niego, przez chwilę gapiłam się na jego muskularne ramiona, po czym zaczęłam wspinać się jeszcze szybciej. Nie mogłam pozwolić, żeby mnie wyprzedził.

Zdziwił się, gdy weszłam przez wybitą szybę okna na strych, wysyczał moje imię z jeszcze większą niecierpliwością. Po chwili jednak dołączył do mnie.

– To włamanie i najście, Lou!

Wzruszając ramionami, ruszyłam w stronę stosu kostiumów, który kiedyś był moim łóżkiem.

– Nie można włamać się do swojego domu.

Zapadła cisza.

– Tutaj... Tutaj mieszkałaś?

Potaknęłam i zaciągnęłam się powietrzem. Pachniało dokładnie tak, jak zapamiętałam: perfumy ze starych kostiumów zmieszane z cedrem, kurzem i odrobiną dymu z lampy naftowej. Pogładziłam palcem kufer, który dzieliliśmy z Coco, i w końcu spojrzałam na niego.

– Przez dwa lata.

Zachował stoicki spokój. Ale wiedziałam, gdzie patrzeć, żeby dostrzec napięte ramiona, zaciśniętą szczękę. Nie podobało mu się to. Oczywiście, że nie.

– Cóż – powiedziałam, szeroko rozkładając ręce – to ta tajemnica. Żaden epicki romans. Witaj w moich skromnych progach.

– To już nie jest twój dom.

Usiadłam na łóżku, podciągnęłam kolana pod brodę.

– Ten strych zawsze będzie moim domem. To pierwsze miejsce, w którym poczułam się bezpiecznie. – Rzuciłam, po czym się zreflektowałam i przeklełam w duchu.

Spojrzał czujnie.

– Co stało się dwa lata temu?

Przełknęłam ślinę, nie odrywając wzroku od niebieskiej aksamitnej peleryny, której używałam jako poduszki.

– Nie chcę o tym mówić.

Kucnął obok mnie, łagodnie podniósł moją głowę. Patrzył na mnie z niespodziewaną intensywnością.

– Ale ja chcę.

Te słowa nigdy nie brzmiały wstrętnej. Ani bardziej złowieszczo. Zgniatając w dłoni aksamit, zaśmiałam się w wymuszony sposób i próbowałam znaleźć jakikolwiek temat zastępczy.

– Po prostu nadziałam się na niewłaściwy koniec noża, i tyle. Ten ostrzejszy.

Westchnął ciężko i puścił moją brodę, ale nie ruszył się z miejsca.

– Sprawiasz, że nie sposób cię poznać.

– Ach, przecież już mnie dobrze znasz. – Posłałam mu coś na kształt zwycięskiego uśmiechu. – Wulgarna, manipulantka, *fantastycznie* się całująca...

– Nic nie wiem o twojej przeszłości. O dzieciństwie. Dlaczego zostałam złodziejką. Kim byłaś, zanim... doszło do tego wszystkiego.

Co prawda to zgasiło mój uśmiech, ale starałam się mówić lekkim tonem:

– Nie ma o czym mówić.

– Zawsze można coś powiedzieć

Cholera, wykorzystuje moje słowa przeciwko mnie. Ta rozmowa utknęła w martwym punkcie. Patrzył na mnie wyczekująco, a ja wbijałam wzrok w niebieski aksamit. Mole przeżarły tkaninę, a ja, udając nudę, skubałam małe dziurki.

W końcu odwrócił moją głowę i spojrzał mi w oczy.

– No więc?

– Nie chcę o tym mówić.

– Lou, proszę. Po prostu chcę się czegoś o tobie dowiedzieć. Czy to takie okropne?

– Tak – powiedziałam ostrzej, niż chciałam, i wzdrygnęłam się, widząc jego urażoną minę. Czyżbym musiała gryźć i kopać, by zniechęcić go do tej rozmowy? – Jest powód, dla którego nie chcę wracać do mojej przeszłości. Z nikim nie chcę o niej rozmawiać, zwłaszcza z tobą. Czy nie wystarczy, że pokazałam ci mój dom? Mój sekret?

Odsunął się i głośno westchnął.

– Ja ci powiedziałem, że znaleziono mnie na śmietniku. Myślisz, że łatwo mi było o tym mówić?

– Więc dlaczego powiedziałeś? – Ze złością rozerwałam dziurkę w tkaninie. – Nie zmuszałam cię.

Ponownie ujął mnie za brodę, spojrzał czujnie.

– Bo zapytałaś. Bo jesteś moją żoną, a jeśli ktoś zasługuje na poznanie najgorszych rzeczy o mnie, to właśnie ty.

Wyrwałam się.

– Och, nie martw się, już dobrze je znam...

– I wzajemnie.

– Poprosiłeś mnie, żebym cię nie okłamywała. – Wysunęłam szczękę i wstałam, zakładając ręce na piersi. – Nie pytaj o moją przeszłość, żebym nie musiała kłamać.

Powoli wstał, stanął nade mną z ponurą miną. Zacisnął szczęki i popatrzył na moją szyję.

– Co ukrywasz, Lou?

Spojrzałam mu w oczy, serce biło mi tak mocno, że słyszałam je w uszach. Nie mogłam mu powiedzieć. Nie powinien pytać. To wszystko zniszczy.

A mimo to... w końcu będę musiała mu powiedzieć. Ta zabawa nie może trwać wiecznie. Przełknęłam ślinę i uniosłam głowę. Być może po tym, co razem przeszliśmy, będzie umiał przejść nad tym do porządku dziennego. Może się zmieni dla mnie. Dla nas. Może ja też się zmienię.

– Niczego nie ukrywam, Reid. Pytaj, o co chcesz.

Westchnął ciężko, słysząc mój drżący głos, przyciągnął mnie i pogłaskał po włosach.

– Nie będę cię zmuszał. Jeśli nie czujesz się z tym komfortowo, to moja wina, a nie twoja.

Oczywiście, że musiał tak pomyśleć. Oczywiście, że obwiniął się o najgorsze, nie dostrzegając prawdy, że najgorsze drzemało we mnie. Wtuliłam twarz w jego pierś. Nawet sfrustrowany, Reid był dla mnie miłszy niż ktokolwiek, kogo znałam. Nie zasługiwałam na to.

– Nie chodzi o ciebie. – Robiło się coraz ciemniej. Wtuliłam się i wdychałam jego zapach. Wspaniale mieszał się ze znajomym zapachem strychu. Mojego domu. – Chodzi o mnie. Ale mogę spróbować. Mogę spróbować opowiedzieć ci o sobie.

– Nie. Nie musimy teraz o tym rozmawiać.

Z determinacją potrząsnęłam głową.

– Proszę... pytaj.

Jego dłoń znieruchomiała na moich włosach, a wraz z nią zatrzymał się świat – podobnie jak w chwili tuż przed pojawieniem się magii. Wydawało się, że nawet wiatr wiejący przez okno zrobił sobie przerwę, zatrzymał się na moich włosach, pomiędzy jego palcami. Czekał. Zapomniałam, jak się oddycha.

Ale to pytanie nie padło.

– Pochodzisz z Cesarine? – Jego dłoń znalazła się na moich plecach, zawiedziony wiatr znowu zaczął dąć. Skupiłam się na tym delikatnym ruchu, rozczarowanie i ulga walczyły w moim sercu.

– Nie. Wychowałam się w małej społeczności na północ od Amandine. – Uśmiechnęłam się tęsknie, wypowiadając tę półprawdę. – W otoczeniu gór i morza.

– A twoi rodzice?

– Nigdy nie poznałam ojca. A matka i ja jesteśmy sobie... dalekie. – Teraz już mówiłam swobodniej, ucisk w piersi minął wraz z niebezpieczeństwem.

Jego dłoń znowu się zatrzymała.

– To ona żyje?

– Tak. Jak najbardziej.

– Co zaszło między wami? – Odsunął się, żeby spojrzeć mi w oczy z zainteresowaniem. – Jest tutaj, w Cesarine?

– Mam szczerą nadzieję, że nie. Ale wolałabym raczej nie mówić o tym, co zaszło między nami. Jeszcze nie.

Tchórz.

– Nie ma sprawy.

Dżentelmen.

Przeniósł wzrok na moją bliznę, powoli się pochylił i delikatnie ją ucałował. Poczułam gęsią skórkę.

– Jak ją zdobyłaś?

– Z rąk matki.

Odskoczył, jakby srebrna linia na skórze go ugryzła. Nie krył przerażenia.

– Słucham?

– Następne pytanie.

– Ale... Lou, to...

– Następne pytanie, proszę.

Chociaż wciąż był zafrasowany, mocniej mnie przytulił.

– Dlaczego zostałam złodziejką? – Jego głos zabrzmiał bardziej szorstko, poważniej niż wcześniej. Objęłam go rękami w pasie i mocno ścisnęłam.

– Żeby od niej uciec.

Spiął się.

– Nie zamierzasz nic dodać, prawda?

– Nie. – Oparłam policzek na jego piersi i westchnęłam.

– Miałaś okropne dzieciństwo.

Prawie się roześmiałam.

– Nie, wcale nie. W zasadzie moja matka mnie rozpieszczała. Dawała mi wszystko, czego może zapragnąć dziewczynka.

– Ale próbowała cię zabić – powiedział z niedowierzaniem. Kiedy nie zareagowałam, pokręcił głową, westchnął i odsunął się ode mnie. Moje ręce bezwładnie opadły po bokach. – To musi być piekielnie niesamowita historia. Kiedyś będę chciał jej wysłuchać.

– Reid! – Pacnęłam go w ramię, od razu ulotniły się moje myśli o krwawych rytuałach i ołtarzach. Uśmiechnęłam się od ucha do ucha. – Czy ty właśnie przekląłeś?

– Piekło to nie przekleństwo. – Zmieszał się i nie chciał spojrzeć mi w oczy. Wpatrywał się w wieszaki z kostiumami stojące za mną. – To miejsce.

– Naturalnie. – Cofnęłam się do okna. – A skoro mowa o ciekawych miejscach... Chcę ci pokazać kolejną tajemnicę.

DOKĄD IDZIESZ

Lou

Kilka chwil później padł na dachu, miał bladą twarz i sapał. Zamknął oczy na widok otwartych przestrzeni. Szturchnęłam go w żebra.

– Naciesz się widokiem.

Zacisnął szczękę i przełknął ślinę, jakby miał wymiotować.

– Daj mi chwilę.

– Zdasz sobie sprawę z tego, że to niedorzeczne? Najwyższy człowiek w Cesarine ma lęk wysokości!

– Widzę, że świetnie się bawisz.

Uniosłam jego powiekę i posłałam mu ironiczny uśmiech.

– Po prostu otwórz oczy. Przyrzekam, że nie pożałujesz.

Spiął się, ale otworzył oczy, choć nie bez urazy. Rozszerzyły się, gdy zobaczył niezmierną przestrzeń wypełnioną gwiazdami.

Przyciągnęłam kolana do piersi i patrzyłam na nie tęsknie.

– Czyż nie są piękne?

Soleil et Lune był najwyższym budynkiem w Cesarine, więc rozciągał się z niego niczym nieograniczony widok na niebo nad miastem. Nad dymem. Nad smrodem. Całe niebiosa widoczne były niczym panorama z obsydianu i brylantów. Nieskończoność. Wieczność.

Było jeszcze tylko jedno miejsce, z którego można zobaczyć taki widok... ale ja już nigdy nie wejść do Chateau.

– Tak, są – Reid zgodził się cicho.

Westchnęłam i objęłam się mocniej, by nie dopuszczać do siebie chłodu.

– W takie noce lubię myśleć, że Bóg maluje niebo właśnie dla mnie.
Z niedowierzaniem oderwał wzrok od gwiazd.

– Wierzysz w Boga?

Cóż za skomplikowane pytanie.

Oparłam brodę na kolanach i nadal wpatrywałam się przed siebie.

– Tak sędzę.

Podniósł się.

– Ale rzadko chodzisz na mszę. I obchodzisz Yule, nie Boże Narodzenie.

Wzruszyłam ramionami i podniosłam suchy liść leżący w śniegu.
Szeleścił w moich palcach.

– Nigdy nie powiedziałam, że chodzi o *twojego* boga. Twój bóg nienawidzi kobiet. Stworzył nas dopiero po namyśle.

– To nieprawda.

W końcu na niego spojrzałam.

– Tak uważasz? Czytałam waszą Biblię. Czy jako twoja żona nie jestem postrzegana jako twoja własność? Czy nie masz prawa zrobić ze mną, co ci się żywnie podoba? – Skrzywiłam się na wspomnienie słów arcybiskupa, które pozostawiły gorzki smak w moich ustach. – Zamknąć mnie w szafie i nigdy więcej o mnie nie pomyśleć?

– *Nigdy* nie uważałem cię za swoją własność.

– Arcybiskup uważa.

– Arcybiskup... się myli.

Uniosłam brwi.

– Czyżby słuch mnie zawodził, czy też właśnie źle wyraziłeś się o swoim drogim patriarsze?

Reid z frustracją przeczesał dłonią miedziane włosy.

– Po prostu przestań, Lou. Proszę. Nieważne, co sobie myślisz, dał mi wszystko. Dał mi życie i cel. – Zawahał się, w jego oczach widziałam taką szczerłość, że aż zadrzało mi serce. – I dał mi ciebie.

Odłożyłam liść i popatrzyłam na niego. *Naprawdę* na niego popatrzyłam.

Reid wierzył, że jego życiowym celem jest zabijanie czarownic. Wierzył, że arcybiskup ofiarował mu dar, że był dobry. Sięgnęłam po jego dłoń.

– Arcybiskup nie dał mnie tobie, Reid. – Spojrzałam w niebo z uśmiechem. – *On* dał albo ona.

Zapadła cisza, gdy patrzyliśmy na siebie.

– Mam dla ciebie prezent. – Zbliżył się, jego błękitne oczy przewiercały moją duszę. Wstrzymałam oddech, chcąc, by skrócił dystans pomiędzy

naszymi ustami.

– Jeszcze jeden? Ale do Yule zostało trochę czasu.

– Wiem. – Spojrzał na nasze ręce i pogładził kciukiem mój palec serdeczny. – To... obrączka ślubna.

Zaparlo mi dech w piersiach, gdy wyjął ją z kieszeni płaszcza. W złotą obrączkę wprawiono owalną perłę. Na pewno była bardzo stara. Nigdy wcześniej nie widziałam tak pięknego pierścionka. Serce biło mi jak oszalałe, gdy mi go podawał.

– Mogę?

Potaknęłam, a on zsunął mi z palca Pierścień Angeliki i założył obrączkę. Przez chwilę oboje na nią patrzyliśmy. Głośno przełknął ślinę.

– Należała do mojej matki... a przynajmniej tak sędzę. Ścisnąłem ją w dłoni, kiedy mnie znaleźli. – Zawahał się, spojrzał mi w oczy. – Przywodzi mi na myśl morze... ciebie. Od kilku dni chciałem ci ją dać.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, wyznać, jaka jest śliczna i jaka jestem zaszczycona, mogąc nosić coś tak dla niego ważnego, że będę zawsze miała przy sobie tę małą cząstkę jego samego, ale słowa ugrzęzły mi w gardle. Patrzył na mnie jak urzeczony.

– Dziękuję. – Walczyłam z nieznanymi uczuciami. – Ja... można się w nim zakochać.

I rzeczywiście uważałam, że można się było w nim zakochać.

Ale nie tak bardzo jak w Reidzie.

Objął mnie, a ja się w niego wtuliłam. Zadrżałam, gdy sobie uświadomiłam, że go kocham.

Cholera. *Kochałam go.*

Im dłużej tak siedziałam, tym ciężiej mi się oddychało – każdy oddech mnie podrażniał i palił. Poczułam, że doznaję hiperwentylacji. Musiałam wziąć się w garść. Musiałam zebrać myśli...

Reid ostrożnie odgarnął moje włosy, jego dotyk niemal mnie poraził. Jego usta musnęły moją szyję. W uszach zaszumiała mi krew.

– „Nie nalegaj na mnie, abym opuściła ciebie i abym odeszła od ciebie”. – Powoli gładził palcami moją rękę. Położyłam głowę na jego ramieniu, zamknęłam oczy, czułam, jak jego usta poruszają się po mojej szyi. – „Gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę, gdzie ty zamieszkas, tam ja zamieszka”.

Z głębi mojego gardła wydobył się niski dźwięk, tak zupełnie niepasujący do jego podniosłych słów. Jego palce nagle się zatrzymały, utkwiał wzrok

w mojej szybko unoszącej się piersi.

– Nie przestawaj – wysapałam. Błagałam go.

Spiął się, natarczywie złapał mnie za ramiona.

– Poproś mnie, Lou. – Jego głos stał się niski, nagłacy. Surowy. Słyszając go, poczułam żar w dole brzucha.

Otworzyłam usta. Koniec gierki. Był moim mężem, a ja jego żoną. Nie dało się dłużej udawać, że nie chciałam tego związku. Udawać, że nie zależy mi na jego uwadze, jego śmiechu, jego... dotyku.

Chciałam, by mnie dotknął. Chciałam, by stał się moim mężem w każdym znaczeniu tego słowa. Pragnęłam go...

Pragnęłam go.

Całego. Może nam się udać. Możemy napisać własne zakończenie, czarownica i łowca czarownic. Możemy być szczęśliwi.

– Dotknij mnie, Reid. – Ku mojemu zaskoczeniu powiedziałam to pewnym głosem, chociaż brakowało mi tchu. – Proszę. Dotknij mnie.

Uśmiechnął się powoli i triumfująco z ustami przy mojej szyi.

– To nie jest pytanie, Lou.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego ze złością. Uniósł pytająco brew i dotknął ustami mojej skóry. Popatrzył mi w oczy. Z rozchyłonymi wargami całował mnie w szyję, w ramię.

Jego język poruszał się powoli, rozkoszował się każdym centymetrem mojego ciała, a ja niemal płonęłam żywym ogniem.

– Dobrze. – Moja zdradziecka szyja oderwała się od jego ust, jednak moja duma nie pozwalała mi się tak łatwo poddać. Skoro chciał w to grać, to proszę bardzo, i tak wygram: – Czy mógłbyś, och, dzielny i cnotliwy chasseurze, wsadzić mi język do gardła i włożyć ręce pod sukienkę? Złap mnie za dupę.

Zakrztusił się i odsunął ode mnie. Wygięłam się w łuk.

– Żądam za dużo?

Nic nie odpowiedział, więc pomimo ognia we krwi poczułam rozczarowanie. Spojrzałam na niego uważnie. Miał szeroko otwarte oczy i, ku mojemu rozgoryczeniu, był blady. Wcale nie wyglądał jak ktoś, kto chce mnie posiąść. Być może nieco przesadziłam.

– Przepraszam. – Wyciągnęłam dłoń ku jego twarzy. – Nie chciałam cię zaniepokoić.

W jego spojrzeniu było coś, jakieś wahanie, jakaś nieśmiałość, co sprawiło, że zamarłam. Jego ręce lekko drżały, gdy ujął moje dłonie, jego

pierś unosiła się i opadała w przyspieszonym tempie. Był zdenerwowany. Nie – przerażony.

Zaledwie sekundę zajęło mi zrozumienie: Reid naprawdę *był* cnotliwym chasseur. *Świętym* chasseur.

Reid nigdy nie uprawiał seksu.

Był prawiczkim.

Chociaż wcześniej zachowywał się niemal arogancko, tylko się zgrywał. Nigdy nie tknął kobiety – przynajmniej nie w taki sposób. Staralam się na niego nie gapić, ale po jego minie wiedziałam, że z łatwością odgaduje, o czym myślę.

Skupiłam się na jego twarzy. Jak Celia mogła go tak wystawić do wiatru? Czemu właściwie miałyby służyć pierwsza miłość, jeśli nie roztrzęsionym dłoniom i pozbawiającym tchu odkryciom?

Przynajmniej nauczyła go dobrze całować. Chyba powinnam być jej za to wdzięczna. Moja szyja i ramię wciąż mrowiły w miejscach, które zbadał językiem. Ale przecież chodziło o coś więcej niż pocałunki.

Powoli poruszyłam się na jego kolanach i ujęłam jego twarz w dłoń.

– Pokażę ci.

Usiadłam na nim okrakiem. Moja sukienka się uniosła – wiatr smagał moje gołe nogi, ale nie czułam zimna. Czułam tylko Reida.

Widziałam, jak unosi się i opada jego grdyka, słyszałam, jak głośno oddycha. Pytająco spojrzął mi w oczy, gdy nakierowałam jego dłoń na tasiemki sukni. Potaknęłam, a on ostrożnie pociągnął za sznurki.

Mimo chłodu jego palce były precyzyjne. Poruszały się równym rytmem, dopóki nie rozpiął całego przodu sukni. Pod spodem miałam tylko cienką halkę. Żadne z nas nie oddychało, gdy włożył pod nią dłoń i dotknął nagiej skóry na piersi.

Naparłam na jego dłoń, a on gwałtownie wciągnął powietrze.

W mgnieniu oka odsunął ramięczka halki, która natychmiast opadła. Głodnym wzrokiem przyglądał się moim nagim piersiom.

Uśmiechnęłam się do niego. Być może wcale nie trzeba mu nauki.

Nie chcąc zostawać w tyle, wyciągnęłam mu koszulę ze spodni. Zdjął ją przez głowę, targając miedziane włosy, po czym jego usta naparły na moje, złączyliśmy się ze sobą, skóra przy skórze.

Potem poszło z górki.

Z łatwością mnie uniósł i zdjął suknię.

Jego oczy płonęły – źrenice się rozszerzyły, praktycznie pochłonęły błękit tęczęwek. Przyglądał się mojemu brzuchowi, piersiom, udom. Zaborczo, lecz nie boleśnie, zacisnął palce na moich biodrach. Chciałam, nie – *pragnęłam*, żeby chwycił mnie mocniej, przyciągnął jeszcze bliżej.

– Jesteś taka piękna – wyszeptał.

– Zamknij się, Chass – wysapałam. Objęłam go za szyję i uniosłam biodra. W odpowiedzi on również poruszył biodrami i jęknął. Chwyciłam go za ramiona, żeby go zatrzymać. – Tak. – Odchyliłam się i kazałam mu patrzeć w miejsce, gdzie nasze biodra się stykały. Razem patrzyliśmy, jak się kołyszę i powoli, unosząc się i opadając, ocieram o niego.

Próbował zwiększyć tempo – ponaglał mnie desperacko, ale ja się opierałam, ocierałam się o jego klatkę piersiową i kąsałam wrażliwe miejsce, gdzie szyja styka się z ramieniem. Odchylił głowę i ponownie jęknął.

– Tak się dotyka kobietę. – Aby to podkreślić, natarłam na niego silniej, po czym chwyciłam jego rękę i wsadziłam ją sobie między nogi. – A tak dotykasz *mnie*.

– Lou – stęknął.

– Tutaj. – Nakierowałam jego palce, rwał mi się oddech, gdy go czułam. Moja pierś unosiła się szaleńczo, gdy robił to, co mu pokazałam. Gwałtownie się pochylił i wziął moją pierś w usta. Wydałam stłumiony krzyk. Język miał gorący, pożądliwy. Zbyt szybko poczułam rozkoszny ból w dole brzucha. – Boże, Reid...

Słyszając swoje imię, lekko mnie ugryzł.

Rozpadłam się na kawałki, zatraciłam w przyjemności i bólu. Gdy dochodziłam, objął mnie, jego usta zetknęły się z moimi, jakby chciał pochłonąć mój krzyk.

Nie miałam dość.

– Zdejmuj spodnie. – Szarpałam za sznurki, nie przestawałam go całować. – Szybko.

Reid z radością na to przystał, niezręcznie mnie podniósł, żeby uporać się ze spodniami. Rzucił je na bok i patrzył na mnie nagłąco, wciąż był blady, gdy ponownie go dosiadłam. Uśmiechnęłam się, lubieżnie gładząc go palcem po całej długości, rozkoszując się twardością. Zadrżał, gdy to robiłam, jego oczy zalśniły pożądaniem.

– Innym razem – powiedziałam, popychając go na dachówki – pokażę ci, jakie mam sprośne usta.

– Lou – powtórzył błagalnie.

Jednym płynnym ruchem opadłam na niego, zatapiając go w sobie.

Zamknął oczy, aż podskoczył, gdy opadałam coraz niżej, aż do samego końca. Miałam ochotę krzyknąć, bo okazało się, że wszedł zbyt głęboko, ale milczałam. Nie mogłam. Czułam ból, ale – gdy się wycofał i pchnął – zaraz zmienił się w coś innego, ostrego, głębokiego, dojmującego. Coś pożądliwego. Wypełniał mnie do samego końca, a gdy się poruszał... Odrzuciłam głowę i zatraciłam się w tym doznaniu. Zatraciłam się w nim.

Ból wspinał się w moim wnętrzu, nie mogłam przestać go całować, zaplątywałam mu palce we włosach, drapałam go po rękach. To pulsowanie i pożądanie sprawiało mi ból. Pochłaniało, przysłaniało i zostawiało w tyle wszystko, czego do tej pory doświadczyłam.

Objął mnie w pasie, odwrócił się i położył na mnie. Wygięłam się w łuk, pragnąc być bliżej, pragnąc dać ujście bólowi, objęłam go nogami za spocone plecy. Włożył rękę pomiędzy nas i zwiększył tempo. Nogi zaczęły mi sztywnieć. Dotykał mnie dokładnie tak, jak mu pokazałam, pieścił mnie do końca. Z jego gardła wydobył się niski jęk.

– Lou...

Cała się naprężyłam, przywarłam do niego, bo doprowadził mnie na samą krawędź. Pchnął po raz ostatni i padł na mnie, nie mogąc złapać tchu.

Leżeliśmy tak przez chwilę, nie zważając na zimno. Patrzyliśmy bezradnie na siebie. Po raz pierwszy w życiu zabrakło mi słów. Wciąż czułam ból w piersiach, jeszcze silniejszy, jeszcze bardziej obezwładniający niż wcześniej, ale nie chciałam się przed nim bronić. Byłam całkowicie bezbronna.

A mimo to... czułam się bezpiecznie.

Kiedy Reid wyszedł ze mnie, skrzywiłam się mimowolnie.

Nie umknęło to jego uwadze. Uniósł moją brodę, zaniepokoił się.

– Zrobiłem ci krzywdę?

Próbowałam się wysunąć spod niego, ale był zbyt ciężki. Widząc, co chcę zrobić, podparł się na łokciach, a potem zsunął ze mnie i położył na plecach. Pociągnął mnie na siebie.

– Rozkosz i ból dzieli cienka linia. – Całowałam go po piersi, skubałam jego skórę zębami, po czym niespodziewanie go ugryzłam. Zasyczał i zacisnął dłonie na moim ciele. Kiedy uniosłam głowę, żeby spojrzeć mu w oczy, nie widziałam bólu, lecz pragnienie. Mocno zabiło mi serce

w odpowiedzi. – To dobry ból. – Uśmiechnęłam się i pstryknęłam go w nos.
– Dobra robota.

MONSIEUR BERNARD

Lou

Gdy wyszliśmy następnego ranka z cukierni Pana, wszędzie rozbrzmiewał gwar związany z obchodami dnia Świętego Mikołaja. Reid kupił mi jeszcze jedną pelerynę, tym razem czerwoną, nie białą. W pasującym do mnie kolorze. Nie chciałam, by wydarzenia z kuźni zepsuły mi humor. Uśmiechając się, zerkałam na niego i przypominałam sobie dotyk śniegu na gołej skórze. Lodowatego wiatru we włosach.

Reszta wieczoru okazała się równie pamiętna. Na moją prośbę zgodził się zostać ze mną na strychu, więc spędziłam tam ostatnią noc. Już nie wrócę do Soleil et Lune.

Znalazłam nowy dom.

Teraz oblizywał lukier z palców... Aż robiło mi się od tego gorąco.

Przeniósł spojrzenie na mnie, zadrżał kącik jego ust.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Unosząc brew, wzięłam jego palec wskazujący do ust i powoli, dokładnie oblizałam resztę lukru. Sądziłam, że się zmiesza i zacznie strzelać oczami, że się zaczerwieni i zaciśnie usta, ale pozostał niewzruszony. Tym razem tylko się roześmiał.

– Jesteś nienasycona, Madame Diggory.

Stałam na palcach, żeby pocałować go w nos, a potem go w niego pstryknęłam dla równego rachunku.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo. Muszę cię jeszcze sporo nauczyć, Chass.

Wyszczерzył zęby, przycisnął mój palec do swoich ust, po czym mocno mnie objął.

– Jesteś prawdziwą poganką.

– Kim?

Zarumienił się i nieśmiało odwrócił wzrok.

– Nazywałem cię tak w myślach.

Roześmiałam się głośno, nie zwracając uwagi na przechodniów.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? Oczywiście, że nie nazywałeś mnie imieniem...

– Ty też nie mówiłaś do mnie po imieniu!

– Tylko dlatego, że jesteś zarozumiała! – Wiatr przywiał zabłoconą ulotkę Waszych Starszych Sióstr, po czym posłał ją z powrotem na śnieg. Śmiejąc się, przydepnęłam ją butem.

– Przestań. Musimy się pospieszyć, jeśli chcemy zdążyć na specjalny występ arcybiskupa... – Wbił spojrzenie w coś znajdującego się za mną i nie dokończył zdania. Odwróciłam się i zobaczyłam, że prosto na nas zmierza Madame Labelle.

– Cholera.

– Przestań. – Spojrzał na mnie z naganą.

– Szczerze wątpię, by przekleństwa robiły na niej wrażenie. Jest burdelmama. Uwierz mi, nie takie słowa słyszała.

Była ubrana w suknię, która podkreślała cudowny błękit jej oczu i ogniste rude włosy, zaczesane do tyłu i spięte perłowym grzebykiem. Na jej widok poczułam niepokój gdzieś z tyłu głowy.

– Louise, moja droga! Jak cudownie znowu cię wiedzieć. – Ujęła moją dłoń w swoje. – Miałam nadzieję, że uda nam się na siebie wpaść...

Zamilkła nagle, wpatrując się w pierścionek z perłą na moim palcu. Mocniej ścisnęłam rękę Reida. Ten ruch nie pozostał niezauważony.

Gapiała się na pierścionek, a potem na nas oboje. Jej oczy robiły się coraz większe, a usta otworzyły się, gdy spojrzała na twarz Reida. Poruszył się niespokojnie pod jej czujnym spojrzeniem.

– Czy mogę pani w czymś pomóc, *madame*?

– Kapitan Reid Diggory – wypowiedziała te słowa powoli, jakby smakowała je po raz pierwszy. Jej błękitne oczy lśniły ze zdumienia. – Wydaje mi się, że nie zostaliśmy sobie formalnie przedstawieni. Nazywam się Madame Helene Labelle.

Spojrzał na nią niezadowolony.

– Pamiętam, *madame*. Próbowwała pani kupić moją żonę do swojego burdelu.

Popatrzyła na niego zaskoczona, jakby nie zauważyła jego wrogości.

– Pana nazwisko oznacza „zagubiony”, tak?

Słuchałam tej wymiany zdań, a niepokój z tyłu głowy narastał. Stawał się nieznośny. Było to dziwne, niespodziewane pytanie. Reid chyba nie wiedział, jak na nie odpowiedzieć.

– Tak sądzę – wymamrotał w końcu.

– Czego chcesz, *madame*? – zapytałam podejrzliwie. Wszystko, co wiedziałam na temat tej kobiety, ostrzegało mnie, że nie zjawiała się tutaj dla uprzejmej rozmowy.

Wbiła we mnie wzrok i niemal z desperacją zapytała:

– Czy on jest dobrym człowiekiem, Lou? Uprzejmym?

Reid spał się, słysząc to wścibskie pytanie, a mój niepokój zaczynał nabierać kształtu. Jeszcze raz spojrzałam na nią i na niego, zauważając identyczny odcień ich niebieskich oczu.

Do licha.

Serce opadło mi gdzieś poniżej kostek. Wystarczająco długo wpatrywałam się w twarz Reida, by móc rozpoznać jego rysy w innej twarzy.

Madame Labelle była jego matką.

– Tak, jest – wyszeptałam, chociaż niemal zagłuszył mnie gwar ryneczku i moje własne głośno bijące serce.

Wypuściła powietrze z płuc i na chwilę zamknęła oczy z ulgi. Gdy znowu je otworzyła, był to ruch tak gwałtowny, że aż niepokojący.

– Ale czy on cię zna, Lou? Czy *naprawdę* cię zna?

Moja krew zmieniła się w lód. Jeśli Madame Labelle nie będzie mieć się na baczności, to za chwilę porozmawiamy sobie zupełnie inaczej. Wytrzymałam jej spojrzenie, a sama posłałam jej niewypowiedziane ostrzeżenie.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Aha. – Zmrużyła oczy.

Nie wiedząc, co zrobić, zerknęłam na Reida. Jego zmieszanie szybko przekształciło się w irytację. Sądząc po napiętej linii szczęki, nie podobało mu się, że rozmawiamy o nim, jakby go tu nie było. Otworzył usta, zapewne po to, żeby zapytać, o co chodzi, ale nie dopuściłam go do głosu.

– Chodźmy, Reid. – Posłałam Madame Labelle ostatnie, pogardliwe spojrzenie, po czym się odwróciłam, lecz ona chwyciła mnie za rękę, tę, na której miałam Pierścień Angeliki.

– Zawsze miej go przy sobie, Lou, ale nie pozwól, żeby go zobaczyła. – Chciałam zabrać rękę, ale trzymała mnie jak w kleszczach. – Jest w mieście.

Reid zrobił krok do przodu, zacisnął pięści.

– Niech ją pani puści.

Ale ona ścisnęła mnie jeszcze mocniej. Zanim zdążyła zareagować, Reid odgiął jej palce siłą. Zabolało, ale niezrażona mówiła dalej, choć Reid pociągnął mnie za sobą.

– Nie zdejmuj go! – Nawet z daleka widziałam jej spanikowane spojrzenie, gdy jej głos niktł w oddali. – Cokolwiek robisz, nie pozwól, żeby go zobaczyła!

– O co – zachnął się Reid, trzymając mnie za rękę mocniej, niż to konieczne – do cholery, jej chodziło?

Nie odpowiedziałam. Nie mogłam. Byłam wstrząśnięta atakiem Madame Labelle, ale mimo kłębówiska myśli dotarło do mnie z pełną jasnością, że burdelmama była czarownicą. Musiała być. Interesowała się Pierścieniem Angeliki, wiedziała, jakie ma moce, wiedziała o mojej matce i o mnie – nie było innego wytłumaczenia.

To odkrycie postawiło przede mną więcej pytań niż udzieliło odpowiedzi. Nie mogłam się na nich skupić, nie mogłam skupić się na niczym oprócz pierwotnego, otumaniającego mnie strachu, który chwycił mnie za gardło i sprawiał, że pokryłam się lepkiem potem. Strzelałam oczami na lewo i prawo, wstrząsały mną dreszcze. Reid coś mówił, ale nie słyszałam co. Dudniło mi w uszach.

Moja matka była w mieście.

Festiwal Świętego Mikołaja stracił swój urok, gdy wracaliśmy do Wieży Chasseurów. Choinki nie wyglądały już tak pięknie. Ogniska nie płonęły aż tak jasno. Nawet jedzenie przestało mnie pociągać, dusiłam się wszechobecnym smrodem ryby.

Reid przez całą drogę zarzucał mnie pytaniami. Kiedy uświadomił sobie, że nie udzielę mu żadnych odpowiedzi, zamilkł. Nie potrafiłam się przełamać i przeprosić. Mogłam jedynie myśleć o tym, by ukryć drżące dłonie, ale on i tak je zauważył.

Nie znalazła cię jeszcze.

Nie znajdzie cię.

Powtarzałam tę mantrę, ale w nią nie wierzyłam.

Wkrótce przed nami pojawiła się Saint-Cécile. Westchnęłam z ulgą. Westchnienie zmieniło się w pisk, gdy coś niespodziewanie się poruszyło w bocznej uliczce.

Reid przyciągnął mnie do siebie, ale po chwili się uspokoił. Głęboko odetchnął.

– W porządku. To tylko żebrak.

Ale to nie był byle jaki żebrak. Gdy mu się przyjrzałam, poczułam strach... rozpoznałam bowiem twarz patrzącego na mnie człowieka, jego oczy pokryte bielmem.

Monsieur Bernard.

Pochylał się nad śmietnikiem, z ust zwisało mu coś, co wyglądało jak kawałek martwego zwierzęcia. Jego skóra, dawniej wilgotna od krwi, ściemniała i była zupełnie czarna, kontury jego ciała się rozmyły. Rozmazały. Jakby stał się żywym cieniem.

– O Boże – wyszeptałam.

Reid szeroko otworzył oczy ze zdumienia. Stanął przede mną i wyjął balisardę spod płaszcza.

– Trzymaj się z daleka...

– Nie! – Wyskoczyłam zza niego i zasłoniłam sobą nóż. – Zostaw go! Nikomu nie robi krzywdy!

– Spójrz na niego, Lou...

– Jest nieszkodliwy! – Chwyciłam go za rękę. – Nie dotykaj go!

– Nie możemy go tu zostawić...

– Pozwól, że z nim porozmawiam – prosiłam. – Może wróci ze mną do Wieży. Ja... ja zawsze go odwiedzałam w infirmerii. Może mnie posłucha.

Reid się zaniepokoił.

– Trzymaj się blisko mnie – powiedział po długim namyśle. – Jeśli będzie chciał cię skrzywdzić, schowaj się za mnie. Rozumiesz?

Gdybym nie była taka przerażona, przewróciłabym oczami.

– Potrafię o siebie zadbać, Reid.

Ujął moją dłoń i położył ją sobie na piersi.

– *Rozumiesz?*

Przełknęłam ślinę i potaknęłam.

Bernie patrzył, jak się zbliżamy, ale jego oczy nie wyrażały żadnych emocji.

– Bernie? – Uśmiechnęłam się zachęcająco, myśląc o nożu Andre, który nosiłam w bucie. – Bernie, pamiętasz mnie?

Nic.

Wyciągnęłam rękę i coś drgnęło w jego pustych oczach, gdy moje palce dotknęły jego skóry. Bez ostrzeżenia pochylił się ku mnie ponad śmietnikiem. Krzyknęłam i cofnęłam się, ale on trzymał moją dłoń jak w imadle. Na jego twarzy pojawił się przerażający uśmiech.

– Przychodzę po ciebie, kochanie.

Poczułam czysty, niczym niezmacony strach. Paraliżował mnie.

Przychodzę po ciebie, kochanie... kochanie... kochanie...

Reid odciągnął mnie, brutalnie wykręcając nadgarstek Berniego. Czarne palce puściły i udało mi się wyrwać rękę. Bernie znowu wyglądał jak marionetka z odciętymi sznurkami.

Reid mimo to pchnął go nożem.

Kiedy balisarda przeszła jego pierś, cienie, które opanowały jego ciało, uleciały w nicość i po raz pierwszy ujrzałam prawdziwego Monsieur Bernarda.

Zrobiło mi się niedobrze, gdy zobaczyłam jego skórę, cienką jak papier, białe włosy i zmarszczki wokół ust. Tylko oczy pokryte bielmem zostały bez zmian. Był niewidomy. Zakrztusił się, gdy krew, tym razem czerwona, czysta i nieskażona, wytrysnęła z jego piersi. Padłam na kolana, ujęłam jego dłonie. Po twarzy płynęły mi łzy.

– Przepraszam, Bernie.

Po raz ostatni zwrócił oczy w moją stronę. A potem je zamknął.

Zakryte wozy Waszych Starszych Sióstr stały przed kościołem, ale ja prawie nie zwróciłam na nie uwagi. Poruszałam się, jakby moje ciało nie należało do mnie, cicho unosiłam się nad tłumem.

Bernie nie żył. Co gorsza, zaczarowała go moja matka.

Przychodzę po ciebie, kochanie.

Ciągle wracały do mnie te słowa. Bez przerwy. Nie można ich było z niczym pomylić.

Drżałam na wspomnienie tego, jak Bernie ożywił się, gdy go dotknęłam. Jak na mnie patrzył w infirmerii. Głupio sądziłam, że chciał zakończyć

swój ból, gdy próbował wyskoczyć z okna. Ale jego ucieczka... Ostrzeżenie Madame Labelle...

To wszystko nie mogło być zbiegiem okoliczności. Próbował dostać się do mojej matki.

Reid nic nie mówił, gdy weszliśmy do naszego pokoju. Śmierć Berniego chyba równie mocno nim wstrząsnęła. Jego złocista skóra zrobiła się popielata, lekko drżały mu dłonie, gdy otwierał drzwi. Śmierć. Wszędzie za mną podążała. Dotykała każdego i wszystko, na czym mi zależało. Chyba nie byłam w stanie jej przegonić. Nie mogłam się przed nią schować. Ten koszmar nigdy się nie skończy.

Kiedy drzwi się za nami zamknęły, zdjęłam nową pelerynę i zakrwawioną sukienkę. Nóż Andre rzuciłam na biurko. Pragnęłam zmyć z siebie pamięć krwi na mojej skórze. Nóż i tak mnie nie ochroni. Nie przed nią. Zakładając przez głowę świeżą sukienkę, próbowałam nieskutecznie ukryć drżące ręce. Reid patrzył na mnie i zacisnął usta. Ta cisza oznaczała, że nie uniknę pytań.

– Co? – Padłam na łóżko, zmęczenie pozbawiło mnie resztek dumy.

Jego wzrok nie złagodniał. Nie tym razem.

– Coś przede mną ukrywasz.

Nie miałam siły na tę rozmowę. Nie po Madame Labelle i Berniem. Nie po tym, jak uświadomiłam sobie, że moja matka wie, gdzie jestem.

Wtuliłam się w poduszkę, miałam ciężkie powieki.

– Oczywiście, że tak. Mówiłam ci o tym, zanim przerwała nam Madame Labelle.

– Skąd ją znasz?

– Nie znam. To znaczy...

– Co miała na myśli, pytając, czy znam cię *naprawdę*?

– Któż to może wiedzieć? – Usiadłam i posłałam mu zmęczony uśmiech. – Jest zupełnie szalona.

Zmrużył oczy i wskazał Pierścień Angeliki, który miałam na palcu.

– Mówiła o twoim pierścionku. To ona ci go dała?

– Nie wiem – wyszeptałam.

Przeczesał palcami włosy, był coraz bardziej zirytowany.

– Kto po ciebie przychodzi?

– Reid, proszę...

– Grozi ci niebezpieczeństwo?

– Nie chcę o tym mówić...

Uderzył pięścią w blat biurka, aż złamała się jedna noga.

– Powiedz mi, Lou!

Instynktownie odskoczyłam. Jego wściekłość minęła w jednym momencie, padł na kolana obok mnie, oczy płonęły mu od niewypowiedzianych emocji – strachu. Chwycił moje dłonie, jakby to była lina ratunkowa.

– Nie mogę cię chronić, jeśli mi nie pozwolisz. Nieważne, o co chodzi, nieważne, czego się tak boisz, możesz mi o tym powiedzieć. Chodzi o twoją matkę? Szuka cię?

Nie mogłam powstrzymać łez. Poczułam strach wielki jak nigdy wcześniej. Musiałam powiedzieć mu prawdę. Tutaj i teraz.

Nadeszła pora.

Moja matka wiedziała, gdzie jestem, więc Reid też znalazł się w niebezpieczeństwie. Morgane nie zawaha się przed zabiciem chasseura, zwłaszcza jeśli stanie jej na drodze do mnie. Nie może być wzięty z zaskoczenia. Muszę go na to przygotować.

Powoli... potaknęłam.

Sposepniał na twarzy. Ujął w dłonie moje policzki, z czułością otarł moje łzy. Jedynie jego spojrzenie pozostało zaciekle.

– Nie pozwolę jej cię zranić, Lou. Ochronię cię. Wszystko będzie dobrze.

Pokręciłam głową. Łzy pociekły szybciej.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Ścisnęło mnie w gardle, jakby całe moje ciało buntowało się przed tym, co zamierzałam zrobić. Jakby znało mój los po tym, gdy wypowiem te słowa. Przełknęłam ślinę i zmusiłam się do mówienia, by nie zmienić zdania. – Prawda jest taka...

Drzwi się otworzyły i, ku mojemu zdumieniu, wpadł sam arcybiskup.

Reid wstał, uklonił się, ale miał równie zdziwioną minę.

– Ekscelencjo? – zaczął ostrożnie.

Arcybiskup popatrzył na nas, w jego spojrzeniu był gniew i determinacja.

– Właśnie otrzymaliśmy wiadomość od królewskich straży, Reid. Przed zamkiem zebrało się mnóstwo kobiet. Król August się denerwuje. Pospiesz się, żeby je rozgonić. Zabierz wszystkich chasseurów, których możesz.

Reid się zawahał.

– Czy ktoś potwierdził użycie magii, ekscelencjo?

Nozdrza arcybiskupa się rozszerzyły.

– Sugerujesz, że powinniśmy czekać?

Reid zerknął na mnie, był rozdarty, ale ja przełknęłam ślinę i potaknęłam. Słowa, których nie wypowiedziałam, zostały w tyle mojego gardła. Dusiałam się.

– Idź.

Uściskał moją dłoń.

– Przepraszam. Przyślę Ansela, żeby z tobą pobył, dopóki nie wrócę...

– Nie ma potrzeby – powiedział arcybiskup obcesowo. – Ja z nią posiedzę.

Jednocześnie na niego spojrzeliśmy.

– Ekscelencja?

– Mamy pilną sprawę do przedyskutowania.

Dłoń Reida zatrzymała się na moim drżącym kolanie.

– Ekscelencjo, jeśli mogę poprosić, czy można odłożyć tę rozmowę? Miała ciężki dzień, wciąż nie doszła do siebie...

Arcybiskup przeszył go wzrokiem.

– Nie, nie można. Podczas gdy ty tu stoisz i ze mną dyskutujesz, twoi ludzie mogą tam ginąć. Twój *król* może właśnie umierać.

Reid wziął się w garść.

– Rozkaz, ekscelencjo. – Z zaciśniętymi ustami wypuścił moją dłoń i pocałował mnie w czoło. – Porozmawiamy później. Obiecuję. – Patrzyłam, jak wychodzi, i miałam złe przeczucia. Odwrócił się na progu. – Kocham cię, Lou.

I wyszedł.

WASZE STARSZE SIOSTRY

Lou

Dopiero po chwili dotarł do mnie sens jego słów.

Kocham cię, Lou.

Poczułam ciepło wypełniające mnie od koniuszków palców aż po stopy, ciepło, które przegnało paralizujący strach. Kochał mnie. *Kochał mnie.*

To wszystko zmieniało. Jeśli mnie kochał, to nie miało znaczenia, że byłam czarownicą. I tak będzie mnie kochał. Zrozumie. Naprawdę będzie mnie chronił.

Jeśli mnie kochał.

Przypomniałam sobie o obecności arcybiskupa dopiero, gdy się odezwał.

– Oszukałaś go.

Odwróciłam się w jego stronę jak we śnie.

– Możesz wyjść – powiedziałam to bez zamierzonej złości. Łzy wciąż płynęły mi po twarzy, ale otarłam je niecierpliwie. Teraz pragnęłam tylko pogрузić się w obezwładniającym mnie cieple. – Nie musisz zostawać. Niedługo rozpoczyna się przedstawienie.

Nie ruszył się, mówił dalej, jakby w ogóle mnie nie słyszał:

– Jesteś bardzo dobrą aktorką. Oczywiście, mogłem się tego spodziewać, ale nie będę się obwiniał za to, że dwa razy mnie oszukałaś.

Moja bańka szczęścia zaczęła pękać.

– O czym mówisz?

Ponownie mnie zignorował.

– Zachowujesz się, jakby naprawdę ci na nim zależało. – Podeszedł do drzwi i głośno je zatrzasnął. Zerwałam się na nogi, spojrzałam na szufladę biurka, do której odłożyłam nóż. Wydał usta. – Ale oboje wiemy, że to niemożliwe.

Przysunęłam się do biurka. Chociaż Reid bezwarunkowo ufał swojemu patriarsze, miałam inne zdanie na jego temat. Ten tajemniczy błysk w jego oczach coś znaczył, a ja, do cholery, nie dam się zaskoczyć w łóżku.

Jakby czytając mi w myślach, zatrzymał się tak, że zasłaniał mi ciałem szufladę. Wyszło mi w ustach.

– Naprawdę mi na nim zależy. Jest moim mężem.

– „I został strącony wielki Smok, Wąż starodawny, który się zwie diabeł i szatan, zwodzący całą zamieszkałą ziemię”. – Błyszczały mu oczy. – Ty jesteś tym węzem, Louise. Żmiją. I nie pozwolę ci dłużej niszczyć Reida. Nie będę dłużej przyglądał się, jak...

Rozległo się pukanie do drzwi. Ze złością ściągnął brwi i odwrócił się na pięcie, powiewając szkarłatno-żółtymi szatami.

– Wejść!

W drzwiach pojawił się młody służący.

– Przepraszam, Wasza Ekscelencjo, ale wszyscy oczekują ekscelencji na zewnątrz.

– Jestem tego *świadomy* – warknął arcybiskup. – Za chwilę będę gotów oglądać ten hedonizm. Teraz muszę załatwić pewną sprawę.

Nieświadom, iż była to reprimenda, chłopiec zakołysał się na piętach, nie mogąc powstrzymać zniecierpliwienia.

– Ale przedstawienie zaraz się zacznie, ekscelencjo. Powiedzieli mi, że mam przyprowadzić ekscelencję. Publiczność zaczyna się niepokoić.

W szczęce arcybiskupa drgnął mięsień. Kiedy spojrzał na mnie zimno, pokazałam mu drzwi i w duchu zmówiłam modlitwę dziękczynną.

– Ekscelencja na pewno nie chce kazać im czekać.

Obnażył zęby w uśmiechu.

– Będiesz mi towarzyszyć, naturalnie.

– Nie sądzę, by to było konieczne...

– Bzdura. – Stanowczo złapał mnie za rękę. Wzdrygnęłam się instynktownie, ale nie miało to znaczenia. W kilka sekund wyciągnął mnie na korytarz. – Obiecałem Reidowi, że z tobą zostanę, i zamierzam dotrzymać słowa.

Wokół wozów kłębił się tłum, ludzie zajadali przekąski, trzymali brązowe torebki z nimi, ich nosy były czerwone po zakupach na świeżym powietrzu. Arcybiskup pomachał, kiedy ich ujrzał, a potem zatrzymał się w pół kroku, gdy na schodach katedry dostrzegł niedobry zespół aktorów.

Nie był jedyny. Ci, którzy nie zajadali się makaronikami i orzechami, szeptali coś z niezadowoleniem. Jedno słowo wybijało się ponad pozostałe niczym syk niesiony wiatrem.

Kobiety.

W trupie były same aktorki.

Nie były to pierwsze lepsze kobiety: choć były tam zarówno staruszki, jak i panienki, wszystkie zachowywały się z gracją typową dla artystek. Dumne i wyprostowane. Przyglądały się szepczącemu tłumowi ze znaczącymi uśmiechami. One już grały, choć przedstawienie jeszcze się nie rozpoczęło. Najmłodsza nie miała chyba jeszcze trzynastu lat, puszczała oko do mężczyzny dwa razy od niej starszego. Niemal zakrztusił się popcornem.

Nie wiem, czego spodziewali się ci idioci. Przecież trupa nazywała się *Wasze Starsze Siostry*.

– Ohydne. – Arcybiskup zatrzymał się na szczycie schodów, wykrzywił usta. – Kobieta nigdy nie powinna parać się takim niegodnym zawodem.

Uśmiechnęłam się ironicznie i zabrałam rękę. Nie powstrzymał mnie.

– Słyszałam, że są bardzo utalentowane.

Wówczas zerknęła na nas najmłodsza z nich. Nasze spojrzenia się spotkały, a ona posłała mi złośliwy uśmieszek. Odrzucając pszeniczne włosy, uniosła rękę.

– *Joyeux Noël a tous!* – krzyknęła. – Przybył nasz gość honorowy! Cisza, przedstawienie się rozpoczyna!

Tłum od razu zamilkł, teraz wszyscy na nią patrzyli. Zamilkła, szeroko rozłożyła rękę, skupiając na sobie całą ich uwagę. Jak na kogoś tak młodego była niesamowicie pewna siebie. Nawet arcybiskup stał jak zahipnotyzowany. Na jej skinienie inne aktorki wskoczyły na jeden z wozów.

– Wszyscy znamy historię Świętego Mikołaja, ofiarującego prezenty obrońcę dzieci. – Powoli obracała się wokół własnej osi. – Znamy złego rzeźnika, Fouettarda, który skusił niemądrych braci do swojego sklepu i pokroił ich na kawałeczki. – Ręką przecięła powietrze, naśladując nóż. Ci stojący blisko niej cofnęli się z niewyraźnymi minami. – Wiemy, że Święty Mikołaj przybył i pokonał Pere'a Fouettarda. Wiemy, że wskrzesił dzieci,

a potem całe i zdrowe oddał rodzicom. – Spuściła głowę. – Znamy tę historię. Lubimy ją. To dlatego każdego roku obchodzimy dzień Świętego Mikołaja. – Dzisiaj jednak przynosimy wam inną historię. – Zrobiła przerwę, na jej ustach pojawił się figlarny uśmiech. – Mniej znaną, mroczniejszą, ale również opowiadającą historię świętego. Nazwijmy go „arcybiskupem”.

Kapłan spał się obok mnie, gdy jedna z kobiet wyszła z wozu w szatach liturgicznych przypominających jego własne. Nawet odcienie szkarłatu i złota się zgadzały. Zrobiła poważną minę. Ściągnęła brwi, zacisnęła usta.

– Dawno, dawno temu w dalekim miejscu – zaczęła młoda narratorka śpiewnie – lub nie aż tak dalekim, mieszkał osierocony chłopiec. Zgorzkniały i ignorowany znalazł powołanie w służbie Bogu.

Z każdym słowem kobieta grająca arcybiskupa zbliżała się do nas. Trzymała wysoko głowę i patrzyła na nas z góry. Prawdziwy arcybiskup stał nieruchomo jak głaz. Zaryzykowałam i spojrzałam na niego. Wbijał wzrok w młodą narratorkę, wyglądał blado. To mnie zaskoczyło.

Grająca go aktorka zapaliła zapałkę i patrzyła jak płonie z niepokojącą żarliwością. Narratorka zniżyła głos do dramatycznego szeptu:

– Niosąc w sercu wiarę i ogień, polował na złych, żeby spalić ich na stosie za grzechy popełnione przeciw Bogu, który nie pozwalał na magię.

Znowu poczułam zbliżające się niebezpieczeństwo. Działo się coś złego.

Publiczność zdekoncentrowała się, ponieważ w dole ulicy coś się działo i pojawili się chasseurzy. Na przedzie jechał Reid, Jean Luc trzymał się tuż za nim. Gdy się zbliżyli, zobaczyłam, że mają identycznie zaniepokojone miny. Ale wozy trupy oraz publiczność skutecznie blokowały widok. Zaczęli zsiadać z koni. Ruszyłam w ich stronę, ale arcybiskup złapał mnie za rękę.

– Zostań.

– Słucham?

Pokręcił głową, nie spuszczał oczu z narratorki.

– Trzymaj się blisko mnie. – Powiedział to w taki sposób, że aż mnie wryło w ziemię i zaczęłam się jeszcze bardziej niepokoić. Nie puścił mojej ręki, jego dłoń była wilgotna i zimna. – Cokolwiek się stanie, nie oddalaj się ode mnie. Rozumiesz?

Coś było bardzo nie w porządku.

Udawany arcybiskup uniósł pięść.

– Nie pozwolisz przeżyć żadnej czarownicy!

Narratorka pochyliła się i z szelmowską miną uniosła rękę do ust, jakby chciała zdradzić jakiś sekret.

– Ale zapomniał, że Bóg jest miłosierny. Wobec tego Przeznaczenie, okrutna i sprytna pani, zaplanowała inny koniec dla tego człowieka żadnego krwi.

Następnie z wozu zeszła wysoka, elegancka kobieta o ciemnobrązowej skórze. Jej ciemna suknia łopotiała na wietrze, gdy okrążała udawanego arcybiskupa, lecz on jej nie zauważał. Prawdziwy duchowny chwycił mnie mocniej.

– Piękna czarownica przebrana za damę wkrótce zwiodła go na drogę prowadzącą do piekła. – Z wozu zeszła trzecia kobieta, ubrana w olśniewającą białą suknię. Krzyknęła i udawany arcybiskup pobiegł przed siebie.

– Co się dzieje? – wysyczałam, lecz nie doczekałam się odpowiedzi.

Udawany arcybiskup i kobieta w bieli poruszali się zmysłowo. Ona gładziła dłońią jego policzek, on chwycił ją w ramiona. Przeznaczenie patrzyło na nich ze złowieszczym uśmiechem. Tłum mruczał coś, ludzie obserwowali arcybiskupa i aktorki. Reid zatrzymał się, przestał brnąć przez widownię. Stał jak przyrośnięty i oglądał przedstawienie. Zaczęło mi dzwonić w uszach.

– Wziął ją do łóżka, wyrzekł się swoich ideałów, czcił jej ciało i kształt jej szyi. – W tym momencie narratorka zerknęła na arcybiskupa i puściła do niego oko. Krew odpłynęła z mojej twarzy, przed oczami miałam tylko jej jasną skórę, bijący od niej blask młodości. Jej niesamowicie zielone, znajome oczy. Niczym szmaragdy.

Dzwonienie stało się głośniejsze, w moim umyśle pojawiła się spójna myśl. Ugięły się pode mną kolana.

Udawany arcybiskup i kobieta w białej sukni objęli się, zgorszony tłum zawrzał. Narratorka zachichotała.

– Czekala do momentu, aż grzech się wypełni, żeby powiedzieć mu o swojej magii. A potem uciekla z jego łóżka i zniknęła w odmętach nocy. Przeklął jej lśniące niczym księżyc włosy i białą skórę!

Kobieta w bieli zaśmiała się i wyrwała z uścisku udawanego arcybiskupa. On upadł na kolana, uniosł pięści, a ona skryła się w wozie.

Włosy lśniące jak księżyc. Biała skóra.

Powoli się odwróciłam, serce biło mi w szaleńczym rytmie, gapiłam się na arcybiskupa. Bolesnie ścisnął moją dłoń.

– Posłuchaj, Louise...

Wyrwałam się.

– Nie *dotykaj* mnie.

Narratorka podniosła głos:

– Od tamtej nocy próbuje o niej zapomnieć, ale niestety! Przeznaczenie jeszcze nie ma dość.

Kobieta w bieli pojawiła się ponownie, z ciążowym brzuchem. Z gracją wykonała piruet, suknia powiewała wokół niej, a ona spomiędzy warstw materiału wyjęła dziecko. Nie miało więcej niż rok, gaworzyło i chichotało, jego błękitne oczy lśniły z radości. Nagle na nosie dziewczynki pojawiły się piegi. Udawany arcybiskup padł na kolana, gdy ją zobaczył, drapał się po twarzy, darł szaty. Jego ciałem wstrząsały nieme krzyki. Tłum czekał z zapartym tchem.

Narratorka pochyliła się nad nim i pogłaskała go po plecach, mrużąc mu coś do ucha.

– Niedługo potem z wizytą pojawiła się czarownica, którą napiętnował. Przyniosła najgorsze wieści. – Zamilkła i spojrzała na tłum z okrutnym uśmiechem. – Urodziła jego dziecko.

Reid zaczął przedzierać się przez publiczność, gdy ludzie coraz głośniejszeptali, gdy odwracali się, żeby popatrzeć na arcybiskupa z niedowierzaniem, które szybko zmieniało się w podejrzliwość. Za nim ruszyli chasseurzy, w dłoniach trzymali balisardy. Ktoś coś krzyknął, ale słowa pochłonał gwar.

Narratorka powoli się wyprostowała – na jej młodej twarzy malowało się szczęście i radość z rodzącego się chaosu. Odwróciła się w naszą stronę. W *moją* stronę.

Twarz z moich koszmarów.

Twarz śmierci.

– I to nie byle jakie dziecko. – Uśmiechnęła się i wyciągnęła ręce w moim kierunku, jej twarz zaczęła się starzeć, włosy zmieniły kolor, stały się jasne niczym srebro. Za nią rozległy się krzyki. Reid biegł i krzyczał coś, czego nie mogłam zrozumieć. – Tylko czarownica, Królowa... La Dame des Sorcieres.

CZEŚĆ TRZECIA



C'est cela l'amour, tout donner, tout sacrifier sans espoir de retour
Ależ to właśnie jest miłość, wszystko oddać,
wszystko poświęcić, nie licząc na nagrodę

– Albert Camus

WYZNANE TAJEMNICE

Lou

Powietrze wypełniły wrzaski, tłum rozbiegł się w panice. Straciłam Reida z oczu. Straciłam z oczu wszystkich oprócz mojej matki. Stała pośród skłębionego tłumy – niczym smuga bieli pośród nadciągających cieni. Uśmiechała się. Błagalnie wyciągała ręce.

Arcybiskup wciągnął mnie za siebie, gdy zbiegły się czarownice. Wzdrygnęłam się, nie byłam w stanie przetworzyć wszystkich bombardujących mnie emocji – niedowierzania, obezwładniającego strachu, dzikiej wściekłości. Czarownica w czarnych szatach, Przeznaczenie, dotarła do nas pierwsza, ale arcybiskup wyjął swoją balisardę i wbił w jej pierś. Poleciała w dół schodów wprost w ramiona siostr. Inna krzyknęła coś i zaszarżowała na nas.

Mignęło coś niebieskiego, jej pierś rozorał nóż wbity od tyłu. Z jej ust wydobył się niemy krzyk, bezradnie chwyciła się za ranę, po czym czyjaś dłoń pchnęła ją do przodu. Zsunęła się z ostrza i padła na ziemię.

Za nią stał Reid.

Z jego balisardy kapą jej krew, jego oczy płonęły pierwotną nienawiścią. Jean Luc i Ansel walczyli tuż za nim. Skinął głową, przywołując mnie. Nie wahałam się, zostawiłam arcybiskupa i pobiegłam schronić się w jego ramionach.

Ale czarownice wciąż nadciągały. Pojawiało się ich coraz więcej. Co gorsza, straciłam z oczu matkę.

Zaczarowany mężczyzna z pustymi oczami rzucił się na arcybiskupa. Tuż za nim stała wiedźma i z wrednym uśmiechem wyginała palce. W powietrzu pojawiła się magia.

– Do środka! – krzyczał arcybiskup. – Zabarykaduj się w Wieży!

– Nie! – odsunęłam się od Reida. – Dajcie mi broń! Mogę walczyć!

Chwyciły mnie trzy pary rąk i zaciągnęły do kościoła. Przez tłum przedarli się inni chasseurzy. Z przerażeniem patrzyłam, jak wyciągają srebrne strzykawki.

Reid zamknął wrota katedry, gdy na nowo rozbrzmiały krzyki.

Szybko podniósł wielką drewnianą belkę, żeby zabezpieczyć drzwi. Jean Luc pospieszył mu z pomocą, podczas gdy Ansel trzymał się blisko mnie. Był blady.

– Czy to, co powiedziały czarownice, jest prawdą? Czy arcybiskup ma dziecko z Morgane le Blanc?

– Być może. – Jean Luc aż ugiął się pod ciężarem belki. – Ale może to wszystko było tylko dywersją. – W końcu, nadludzkim wysiłkiem, udało im się umieścić rygiel na miejscu. Zmierzył mnie wzrokiem. Sapał. – Podobnie jak te czarownice w zamku. Prawie przedarły się przez mury, a gdy się zjawiliśmy, od razu zniknęły.

Usłyszeliśmy odgłos tłuczonego szkła, unieśliśmy głowy i zobaczyliśmy, że kilkanaście metrów nad nami przez rozetę przechodzi czarownica.

– O Boże – wyszeptał przerażony Ansel.

Jean Luc pchnął mnie głębiej.

– Zabierz ją na górę! Zajmę się wiedźmą!

Reid ujął mnie za rękę i pobiegliśmy do góry. Za nami dudniły stopy Ansel.

Kiedy dotarliśmy do pokoju, Reid zatrzasnął drzwi i zablokował klamkę balisardą. Następnie przeszedł przez pokój, żeby wyrzucić przez okno, jednocześnie zza pazuchy wyjął małą sakiewkę. Sól. Rozgorączkowany rozsypał kryształki na parapecie.

– To nie pomoże – powiedziałam cicho. Czułam się winna.

Ręce Reida znieruchomiały, powoli odwrócił się w moją stronę.

– Dlaczego ścigają cię czarownice, Lou?

Otworzyłam usta, zastanawiałam się nad jakąś sensowną odpowiedzią, ale żadnej nie znalazłam. Ujął moją dłoń.

– Teraz tylko prawda. Nie dam rady cię chronić, jeśli jej nie poznam – powiedział cicho.

Wzięłam głęboki wdech, musiałam się na to przygotować. Każdy śmiech, każde spojrzenie, każdy dotyk prowadziły mnie do tej chwili.

Za nami rozległ się wystraszony głos Ansel.

– Uważajcie!

Jednocześnie się odwróciliśmy i ujrzeliśmy czarownicę tuż za oknem, jej ciemne włosy powiewały na wietrze. Moje serce przestało bić. Stała na parapecie, dokładnie w miejscu, gdzie leżała sól.

Reid i ja w tej samej chwili próbowaliśmy zasłonić się nawzajem. Nastąpił mi na stopę, poplątały mi się nogi i padłam na kolana. Czarownica przechyliła głowę, gdy rzucił mi się na pomoc, a nie po balisardę.

Ansel nie popełnił tego samego błędu. Dopadł noża, ale kobieta była szybsza. Wygięła nadgarstek, ostry zapach magii dotarł aż do moich nozdrzy i Ansel poleciał na ścianę. Zanim zdołałam go powstrzymać – zanim zdołałam zrobić cokolwiek – Reid rzucił się na czarownicę.

Kolejny gest i jego ciało wzniosło się, aż uderzył głową w sufit. Cały pokój się zatrzęsł. I drugi raz, gdy padł u moich stóp, zupełnie nieruchomy.

– Nie! – Serce podskoczyło mi do gardła, przewróciłam go na plecy. Zatrzepotał powiekami. Żył. Odwróciłam się w stronę ciemnowłosej wiedźmy. – *Ty dziwko.*

Skrzywiła się paskudnie.

– Spaliłaś moją siostrę.

Powróciło wspomnienie – ciemnowłosa kobieta trzymająca się na obrzeżach tłumy, szlochała, gdy płonęła Estella. Odepchnęłam od siebie ten obraz.

– Chciała mnie zabrać. – Ostrożnie uniosłam ręce i przeczesywałam umysł w poszukiwaniu jakiegoś wzoru. Nagle wokół niej pojawił się migoczący złoty pył. Kazałam mu się uspokoić. Wówczas czarownica spłynęła na podłogę.

Miała przekrwawione oczy i głębokie cienie pod nimi, ze wściekłości trzęsły jej się ręce.

– Przynosisz wstyd swojej matce. Przynosisz wstyd wszystkim Dames Blanches.

– Dames Blanches mogą spłonąć w piekle.

– Nie jesteś warta zaszczytu, jakim obdarzyła cię Morgane. Nigdy nie byłaś.

Złote sznurki pojawiły się pomiędzy jej ciałem a moimi dłońmi. Złapałam pierwszy lepszy i sprawdziłam, dokąd prowadzi, rozgałęział się na setki

innych, otaczał nasze kości. Puściłam go, cena i ryzyko były zbyt wielkie.

Obnażyła zęby i uniosła ręce w odpowiedzi, jej oczy zalśniły nienawiścią. Przygotowałam się na cios, ale nie nadszedł. Chociaż raz za razem unosiła ręce, każdy atak spływał po mojej skórze, nie robiąc mi krzywdy.

Pierścień Angeliki parzył mnie w palec – to on odczarowywał jej wzory.

Patrzyła z niedowierzaniem. Z uśmiechem uniosłam wyżej ręce, oczy mi rozbłysły na widok obiecującego wzoru. Cofnęła się, zerknęła na balisardę, ale zanim jej dosięgła, ja już zacisnęłam pięść.

Uderzyła w sufit identycznie jak Reid, na moją głowę spadł deszcz odłamków drewna i cementu. Moje serce przestało bić jak szalone, śledziłam wzrokiem, jak spadała na podłogę. Uniosłam ręce – szukając innego wzoru, takiego, który pozbawiłby ją przytomności, ale ona objęła mnie w pasie i rzuciła mną o biurko.

Biurko.

Otworzyłam szufladę, zacisnęłam dłoń na nożu, ale złapała mnie za nadgarstek i mocno go wykręciła. Z dzikim krzykiem uderzyła mnie głową w nos. Odrzuciło mnie w tył, po brodzie pociekła mi krew, a ona wykorzystała tę chwilę, by wyrwać mi broń z ręki.

W drzwiach lśniła balisarda Reida. Chciałam ją wyjąć, ale zamachnęła się nożem przed moją twarzą, zablokowała mi do niej dostęp. Zamigotało złoto, ale nie mogłam się na nim skupić, nie byłam w stanie myśleć. Wobec tego wbiłam jej łokieć w zębra. Odskoczyła, zgięła się wpół, a ja wreszcie dostrzegłam swoją szansę.

Kopnęłam ją kolanem w twarz. Wypuściła nóż. Podniosłam go triumfalnie.

– No dalej. – Trzymała się za bok, krew kapła z jej nosa na podłogę. – Zabij mnie, tak jak zabiłaś Estellę. *Zabójco czarownic.*

Słowa były groźniejszą bronią niż nóż.

– Zrobiłam, co musiałam...

– Zamordowałaś jedną ze swoich. Poślubiłaś łowcę. Jesteś jedyną Dame Blanche, która spłonie w piekle, Louise le Blanc. – Wyprostowała się, splunęła krwią i wytarła brodę. – Chodź ze mną, pogódź się ze swoim przeznaczeniem, a Bogini być może ocali twą duszę.

Moje serce objęły macki zwątpienia.

Być może spłonę w piekle za to, co zrobiłam, żeby przeżyć. Kłamałam, kradłam, zabijałam bez wahania, po to, by żyć. Ale odkąd to życie było

warte takich poświęceń? Kiedy stałam się taka bezwzględna, taka przyzwyczajona do krwi na moich rękach?

Kiedy stałam się jedną z *nich* – lecz gorszą od wszystkich? Dames Blanches i chasseurzy przynajmniej stali po jakiejś stronie. Na czymś im zależało, podczas gdy ja nie walczyłam o nic. Byłam tchórzem.

Jedyne, czego chciałam, to po raz ostatni poczuć słońce na twarzy. Nie chciałam umrzeć na tamtym ołtarzu. Jeśli to uczyniło ze mnie tchórze... niech tak będzie.

– Dzięki twojej ofierze odzyskamy naszą ziemię. – Podeszła, jakby wyczuwała moje wahanie, poruszała zakrwawionymi rękami. – Nie rozumiesz? Będziemy znowu rządzić Belterrą...

– To nie tak – zaprotestowałam. – *Wy* będziecie rządzić Belterrą. *Ja* będę martwa.

Jej pierś się uniosła.

– Pomyśl o istnieniach, jakie możesz ocalić swoją ofiarą!

– Nie mogę wam pozwolić na zabijanie niewinnych ludzi. – Gdy to powiedziałam, poczułam spokój. – *Musi* być jakiś inny sposób...

Zamilkłam, widząc kątem oka, że Reid uklęknął. Twarz czarownicy nie była w pełni ludzka, gdy na niego spojrzała. Uniosła rękę. Poczułam pomiędzy nimi nienaturalną energię, wyczułam śmiertelny cios, zanim padł.

Desperacko wyciągnęłam rękę w jego stronę.

– Nie!

Reid poleciał na bok. Zdziwił się, gdy uniosły go moje czary. Dzięki nim zła energia czarownicy przebiła tylko ścianę, a nie jego ciało. Jednak spokój nie trwał długo. Zanim do niego dopadłam, ona stanęła obok i przytknęła mu nóż do gardła. Wsadziła rękę do kieszeni jego płaszcza i wyjęła coś małego. Coś srebrnego.

Byłam przerażona. Na jej ustach pojawił się nikczemny uśmiech, gdy próbował się wyrwać.

– Chodź tutaj albo poderżnę mu gardło.

Bez wahania ruszyłam w ich stronę. Szłam instynktownie. Moje nogi, chociaż z ołowiu, chociaż sztywne i niezborne, wiedziały, dokąd iść. Gdzie czekało moje przeznaczenie. Od urodzenia. Od poczęcia. Jeśli dzięki temu ocalę Reida, z radością zginę.

Reid wbił wzrok w ziemię, gdy się zbliżałam. Nie uciekał, gdy czarownica go puściła, nie próbował jej zatrzymać, kiedy wbiła strzykawkę w moją

szuję.

Poczułam, że przebija mi skórę, ale miałam wrażenie, że znajduję się w ciele kogoś innego. Ból minął, gdy gęsta ciecz zatkała moje żyły. Było mi zimno. Lodowate palce powoli spływały w dół moich pleców, paraliżując ciało, ale to nic nie znaczyło w porównaniu z lodowatym spojrzeniem Reida, który wreszcie na mnie popatrzył.

Ten lód przeszył moje serce.

Zgięłam się w pół, nie spuszczałam oczu z jego twarzy. *Proszę*, błagałam w duchu. *Zrozum*.

Ale w jego oczach nie dostrzegłam zrozumienia, gdy patrzył, jak moje ciało upadło na podłogę, jak moje kończyny zaczęły spazmatycznie drgać. Był tam tylko szok, złość i... niesmak. Zniknął mężczyzna, który klęczał przy mnie i łagodnie ocierał moje łzy. Zniknął ten, który obejmował mnie na dachu, śmiał się z moich żartów, bronił mojego honoru i całował mnie pod gwiazdami.

Zniknął mężczyzna, który twierdził, że mnie kocha.

Pozostał tylko chasseur.

Który mnie nienawidził.

Po mojej zakrwawionej twarzy płynęły łzy. To była jedyna zewnętrzna oznaka mojego złamanego serca. Reid nadal się nie poruszył.

Czarownica uniosła moją brodę, jej paznokcie kłuły mnie w skórę. Zaczynało mi ciemnieć przed oczami, starałam się zachować przytomność. Specyfik krążył w moich żyłach, kusił zapomnieniem. Pochyliła się nad moim uchem.

– Sądziłaś, że cię ochroni, ale on pierwszy przywiąże cię do stosu. Patrz na niego, Louise. Zobacz jego nienawiść.

Z ogromnym wysiłkiem uniosłam głowę. Puściła mnie, zaskoczona.

Spojrzałam prosto w oczy Reida.

– Kocham cię.

Potem straciłam przytomność.

ZAPOMNIENIE

Lou

Kiedy się obudziłam, miałam wrażenie, że podłoga się pode mną kołysze. Widziałam też długie, szczupłe ręce. Złapały mnie w pasie i mocno trzymały. Potem pojawił się pulsujący ból w gardle. Przyłożyłam do niego rękę i poczułam świeżą krew.

– Lou – usłyszałam zaniepokojony znajomy głos. – Słyszysz mnie? – *Ansel*. – Obudź się, Lou. – Podłoga dalej się kołysała. Coś upadło w pobliżu, po chwili usłyszałam ogłuszające *bum*. Jakaś kobieta się roześmiała. – Proszę, obudź się!

Otworzyłam oczy.

Leżałam na podłodze za łóżkiem, moja głowa spoczywała na kolanach Ansel, tuż obok leżała strzykawka.

– Dostałaś antidotum – wyszeptał gorączkowo. – Nie było wystarczająco na pełną dawkę. On przegrywa, Lou. Czarownica rozbiła drzwi. Jego balisarda wypadła na korytarz. Musisz mu pomóc. Proszę!

Przegrywa.

Reid.

Poczułam przyływ adrenaliny, usiadłam szybko i zakrztusiłam się pyłem wypełniającym powietrze. Świat wirował wokół mnie. Reid i czarownica zrujnowali pokój: w ścianach ziały dziury, biurko i zagłówek łóżka leżały połamane. Ansel odciągnął mnie, gdy kawał cementu spadł na podłogę w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą były moje nogi.

Reid i czarownica okrążali się na środku pokoju, ale Reid chyba miał problem z chodzeniem. Zaciskał zęby, zmuszał mięśnie do posłuszeństwa, wymachując moim nożem. Kobieta z łatwością uskakiwała, po czym ponownie pstryknęła palcami. Reid wciągnął powietrze, jakby został trafiony.

Z trudem wstałam. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, miałam nogi tak ciężkie i nieposłuszne jak Reid. Ale to nie miało znaczenia. Musiałam położyć kres tej walce.

Żadne z nich mnie nie zauważyło. Czarownica uniosła rękę, Reid się uchylił. Strzał trafił w ścianę. Na jej ustach pojawił się sadystyczny uśmiech. Bawiła się nim. Bawiła się człowiekiem, który spalił jej siostrę.

Ansel śledził każdy ruch wiedźmy.

– Wszyscy są cały czas na zewnątrz.

Zachwiałam się, uniosłam ręce, chociaż widziałam niewyraźnie. Nic się nie pojawiło. Nie mogłam się skupić. Pokój wirował.

Czarownica zerknęła w naszą stronę. Reid chciał uderzyć, ale wygięła nadgarstek i ponownie poleciał na ścianę. Ruszyłam przed siebie, gdy zbierał się z podłogi.

– Jesteś głupia – powiedziała. – Widziałaś jego nienawiść, a i tak chcesz mu pomóc...

Pojawił się sznur, wyszedł z jej tchawicy. Zacisnęłam pięść i słowa zamarły w jej gardle. Moja krew zrobiła się gęstsza w nakłuciach na szyi i policzku, gdy walczyła o oddech. Znowu się zachwiałam, straciłam koncentrację, ale Ansel mnie podtrzymał. Czarownica zaczerpnęła powietrza i złapała się za gardło.

Byłam zbyt słaba na walkę. Ledwie stałam, nie mogłam podjąć walki, a na pewno nie dałabym rady jej wygrać. Nie miałam siły, mój umysł był nasycony narkotykiem i nie widział wzorów.

– Oboje jesteście siebie warci. – Czarownica jednym strzałem wyrwała mnie z objęć Ansel, przeleciałam przez pokój i wpadłam na Reida. Aż się cofnął, ale wyciągnął ręce, żeby złagodzić impet zderzenia. Gwiazdy zawirowały mi przed oczami.

Usłyszałam okrzyk bojowy Ansel, ale ustał, zanim na dobre wybrzmiał. Za nami rozległ się tylko kolejny huk i Ansel spadł nam na kolana.

– Nie dam rady... jej pokonać. – Chociaż przestałam krwawić, ciągle byłam słaba. Kręciło mi się w głowie. Zamykały mi się oczy. – Za... słaba...

Wzywała mnie ciemność, opadała mi głowa.

Uścisk Reida był niemal bolesny. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że patrzy na mnie wyczekująco.

– Wykorzystaj mnie.

Pokręciłam głową, co wymagało ode mnie sporego wysiłku. Znowu widziałam gwiazdy.

– To może się udać. – Ansel zapalił się do pomysłu. Reid mnie wypuścił. Zachwiałam się. – Czarownice przez cały czas wykorzystują innych ludzi!

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, powiedzieć, że go nie zranię, że nie zawładnę jego ciałem, jak robią to inne czarownice, ale jakaś dłoń chwyciła mnie od tyłu za włosy. Wpadłam w ręce wiedźmy, moje plecy przy jej piersi.

– Już mnie to nudzi, a twoja matka czeka. Ty ich zabijesz czy ja mam to zrobić?

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Mogłam skupić się tylko na cienkim, śmiertelnym sznurze, który pojawił się w powietrzu pomiędzy czarownicą a Reidem.

Wzór.

Byłam słaba, ale Reid... był silny. I mimo wszystko go kochałam. Kochałam go tak, że został uznany przez naturę za wartego wymiany. Nie był oddzielnym ciałem. Nie był żywą tarczą. Był... mną.

To mogło się udać.

Rwał mi się oddech, gdy zaciskałam pięści. Wzór zniknął w chmurze złota.

Reid szeroko otworzył oczy, gdy jego szyja się napięła, a plecy oderwały od ściany. Spiał się, naprężył mięśnie, by magia, która ciągnęła go w górę, nie połamała mu kręgosłupa. Czarownica krzyknęła, bez patrzenia na nią widziałam, że znajduje się w podobnej pozycji. Zanim zdołała kontratakować, wygięłam nadgarstek i ręce Reida opadły, palce obu rąk się złączyły. Jego głowa nienaturalnie się odchyliła, eksponując gardło.

Ansel wypadł na korytarz, gdy krzyki duszącej się czarownicy przybrały na sile.

– Ansel! – powiedziałam ostro. – Miecz.

Pobiegł gdzieś. Kobieta próbowała uwolnić się od czaru – w jej wypełnionych nienawiścią oczach błysnął strach. Nie popuszczała. Ansel podał mi balisardę Reida.

Uniosłam nóż do jej gardła, wzięłam głęboki oddech. Szaleńczo przewracała oczami.

– Do zobaczenia w piekle – wyszeptałam.

Wygięłam rękę, ciała Reida i czarownicy jednocześnie opadły, wzór uleciał. Gdy spadała, ostrze rozcięło jej gardło. Ciepła, gęsta krew zalała mi rękę. Upadła na podłogę. W ciągu kilku sekund uleciało z niej życie.

Zabójca czarownic.

Cisza była ogłuszająca.

Patrzyłam na jej ciało z góry, w opuszczonej ręce trzymałam balisardę, u stóp miałam kałużę krwi. Plamiła moje buty i rąbek sukni. Już nie docierały do nas odgłosy bitwy. Nie wiedziałam, kto zwyciężył. Nie obchodziło mnie to.

– Ansel – odezwał się Reid śmiertelnie spokojnie. Wzdrygnęłam się, słysząc jego głos. *Proszę, Boże, jeśli mnie słyszysz, spraw, żeby zrozumiał.* Ale Ansel otworzył szeroko oczy, widząc jego minę. Nie śmiałam się odwrócić. – Wyjdź.

Chłopak zerknął na mnie, a ja bezgłośnie poprosiłam, żeby nie wychodził. Potaknął, wyprostował się i zrobił krok w stronę Reida.

– Wydaje mi się, że powinienem zostać.

– Wyjdź stąd.

– Reid...

– WYJDŹ!

Odwróciłam się, po moich policzkach płynęły łzy.

– Nie zwracaj się do niego w ten sposób!

W jego oczach szalała furia, zacisnął dłonie w pięści.

– Chyba zapomniałaś, kim jestem, Louise. Jestem kapitanem chasseurów. Mogę się do niego zwracać, jak mi się żywnie podoba.

Ansel pospiesznie wyszedł na korytarz.

– Będę w pobliżu, Lou. Przyrzekam.

Gdy zniknął, dotarła do mnie cała beznadzieja mojego położenia. Czułam spójrzanie Reida, ale nie mogłam się przełamać, żeby na niego popatrzeć. Nie mogłam dopuścić do siebie nienawiści, którą widziałam w jego oczach... inaczej stanie się prawdziwa. A przecież nie może być prawdziwa. Nie może.

Kocha mnie.

Zapadła cisza. Nie mogłam jej dłużej znieść, więc popatrzyłam na niego. Jego niebieskie oczy – niedawno tak piękne jak morze – teraz wyglądały jak żywe płomienie.

– Proszę, powiedz coś – wyszeptałam.

– Nie mam ci nic do powiedzenia.

– To wciąż jestem *ja*, Reid...

Szarpnęła głową, nie chciał tego słyszeć.

– Nie, nie jesteś. Jesteś czarownicą.

Próbowałam zebrać myśli, ale z oczu płynęły mi łzy. Tak wiele chciałam powiedzieć, tak wiele musiałam mu wyznać, ale nie mogłam się skupić na niczym oprócz nienawiści w jego oczach, na tym, jak wykrzywił usta. Wydawało się, że patrzył na coś ohydneho i odrzucającego. Zamknęłam oczy. Zadrżała mi broda.

– Pragnęłam ci powiedzieć – zaczęłam łagodnie.

– To dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Ponieważ... nie chciałam cię stracić. – Nadal nie otwierałam oczu, uniosłam rękę z jego balisardą. Chciałam mu ją oddać. – Kocham cię, Reid.

Prychnął i wyrwał mi nóż z ręki.

– Kochasz mnie. Jakby ktoś taki jak ty w ogóle był zdolny do miłości. Arcybiskup mówił, że czarownice są sprytne. Mówił, że są okrutne. Ale dałem się nabrać, podobnie jak on. – Z jego gardła wydobył się wściekły, nienaturalny dźwięk. – Czarownica powiedziała, że czeka na ciebie twoja matka. To ona, prawda? Morgane le Blanc. Więc jesteś córką La Dame des Sorcieres. Co oznacza... – Tym razem wydał z siebie jęk bólu, surowy, nabrzmiaty niedowierzaniem, jakby został ugodzony w serce. Nie otworzyłam oczu, nie chciałam go widzieć w momencie, gdy zaczyna wszystko rozumieć. Nie mogłabym tego znieść. – Czarownice opowiedziały prawdziwe zdarzenia, prawda? Podczas spektaklu. Arcybiskup...

Przerwał nagle, znowu zapadła cisza. Poczułam na sobie jego wzrok, ale nie otworzyłam oczu.

– Nie wiem, jak mogłem tego wcześniej nie zauważyć. – Jego głos zmienił barwę na zimniejszą. Lodowatą. – Jego dziwne zainteresowanie twoją osobą. To, że nie chciał cię ukarać. To, jak zmusił mnie do ślubu z tobą. Teraz to wszystko ma sens. Nawet jesteście *podobni*.

Nie chciałam, by to była prawda. Każdym kawałkiem swojego złamanego serca pragnęłam, żeby to się nigdy nie wydało. Łzy stały się większe i szybsze, Reid jednak nie przejął się moim smutkiem.

– A ja oddałem ci swoje głupie serce. – Z każdym słowem mówił coraz głośniej. – Wpadłem w twoją pułapkę. Bo zastawiłaś ją na mnie, prawda? Potrzebowałaś miejsca, w którym mogłabyś się ukryć. Sądziłaś, że

chasseur cię ochroni. Sądziłaś, że ja cię ochronię. Ty... – Jego oddech się rwał. – Wykorzystałaś mnie.

Te słowa prawdy były niczym nóż wbity w moją pierś. Otworzyłam oczy. Przez ułamek sekundy widziałam iskierkę smutku za jego furia, ale zaraz przeminęła, przesłonięta budowaną przez całe życie nienawiścią.

Nienawiścią, która okazała się silniejsza od miłości.

– To nieprawda – wyszeptalam. – Być może z początku, ale potem coś się zmieniło, Reid. Proszę, uwierz mi...

– Co mam teraz zrobić, Lou? – Uniósł ręce, jego głos zmienił się w ryk. – Jestem chasseur! Przysięgałem, że będę polował na czarownice. Na ciebie! Jak mogłaś mi to zrobić?

Wzdrygnęłam się i cofnęłam, aż dotknęłam nogami łóżka.

– *Mi również złożyłeś przysięgę. Jesteś moim mężem, a ja twoją żoną.*

Opuścił ręce. Był pokonany. Iskra nadziei rozbłysła w mojej piersi. Ale wtedy zamknął oczy, jakby zapadł się w siebie, a kiedy znowu je otworzył, nie było w nich żadnego uczucia. Były puste. Martwe.

– Nie jesteś moją żoną.

Całkowicie złamał mi serce.

Zasłoniłam dłonią usta, żeby stłumić szloch. Łzy sprawiały, że niemal nic nie widziałam. Reid nie drgnął, gdy przebiegłam obok niego, nie złapał mnie, gdy potknęłam się o próg. Padłam na kolana tuż za drzwiami.

Objął mnie Ansel.

– Nic ci nie jest?

Wyrwałam się i wstałam.

– Przepraszam, Ansel. Bardzo przepraszam.

A potem biegłam – tak szybko, jak pozwoliło mi na to moje umęczone ciało. Ansel wołał mnie, ale nie zwracałam na niego uwagi, gnając po schodach. Chciałam znaleźć się jak najdalej od Reida.

Nie nalegaj na mnie, abym opuściła ciebie i abym odeszła od ciebie. Jego słowa przeszywały mnie jak sztylety. Gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę, gdzie ty zamieszkaż, tam ja zamieszkaż.

Nie pozwolę jej cię zranić, Lou. Ochronię cię. Wszystko będzie dobrze.

Kocham cię, Lou.

Nie jesteś moją żoną.

Skręciłam do przedsionka. Z trudem oddychałam. Minęłam powybijane okna. Minęłam krzątających się chasseurów. Minęłam ciała czarownic.

Bóg, jeśli tu był, jeśli na to patrzył, zlitował się nade mną, ponieważ nikt nie zagroził mi drogi. Nigdzie nie było widać arcybiskupa.

Nie jesteś moją żoną.

Nie jesteś moją żoną.

Nie jesteś moją żoną.

Otworzyłam drzwi i na oślep wybiegłam na ulicę. Słońce oślepiło moje piekące oczy. Biegłam w dół schodów prowadzących do kościoła, rozejrzałam się, po czym skierowałam w dół ulicy w stronę coraz dłuższych cieni.

Soleil et Lune. Ostatni raz poszukam tam schronienia.

Błada dłoń wystrzeliła z tyłu i złapała mnie za szyję. Próbowałam się odwrócić, ale po raz trzeci igła przebiła moje gardło. Niemal nie walczyłam ze swoją prześladowczynią, gdy znajome zimno spływało w dół moich pleców. Szybko zapadła ciemność. Zatrzepotałam powiekami, padając na twarz, ale blada, szczupła dłoń utrzymała mnie w pionie.

– Witaj, kochanie – usłyszałam znajomy głos. Białe, księżycowe włosy opadły na moje ramię. Zobaczyłam złoto, blizna na moim gardle zaczęła boleśnie pulsować. Początek końca. Wzór życia na wspak. *Nigdy więcej nigdy więcej nigdy więcej.* – Czas wracać do domu.

Tym razem z ulgą zapadłam w sen.

SŁOWA MARTWEJ CZAROWNICY

Reid

– Co narobiłeś?

Głos Anselu odbijał się głośnym echem w ciszy pokoju, a raczej tego, co z niego zostało. W ścianach były dziury, na meblach pozostał smród magii. Na pościeli. Na mojej skórze. Z gardła czarownicy sączyła się krew. Patrzyłem na jej ciało i czułem nienawiść. Miałem ochotę podpalić jej ciało. Spalić ją i ten pokój, wypalić z pamięci tę chwilę.

Odwróciłem się, nie miałem ochoty spoglądać w martwe oczy tej rzeczy. Oczy bez życia. Zupełnie nie przypominała tej pełnej wdzięku aktorki, którą spalimy dziś wieczorem. Nie miała w sobie nic z pięknej, białowłosej Morgane le Blanc.

Nic z jej córki.

Powstrzymałem się, zanim moje myśli przybrały niebezpieczny kierunek.

Lou była czarownicą. Żmiją. A ja byłem głupcem.

– Co narobiłeś? – powtórzył Ansel głośniej.

– Pozwoliłem jej odejść. – Miałem nogi jak z drewna, nie chciały współpracować. Umieściłem balisardę za pasem i ukląknąłem przy trupie. Chociaż wciąż byłem obolały po ataku Lou, należało spalić tę czarownicę, żeby nie odżyła. Przycupnąłem na skraju krwawej kałuży. Nie miałem ochoty jej dotykać. Nie miałem ochoty zbliżyć się do tej rzeczy, która chciała zabić Lou.

Niechętnie przyznawałem przed sobą, ale chociaż przekląłem jej imię, świat bez Lou wydawał się zły. Niepełny.

Kiedy podniosłem trupa, jego głowa groteskowo opadła, otworzyła się rana, którą zadała Lou. Krew przesiąkła przez niebieską wełnę mojego płaszcza.

Nigdy tak bardzo nie nienawidziłem tego koloru.

– Dlaczego? – dopytywał Ansel. Nie odpowiedziałem mu, skupiłem się na martwym ciele w ramionach. Ponownie mój zdradziecki umysł pomyślał o Lou. O ostatniej nocy, gdy tuliłem ją w blasku gwiazd. Była taka lekka. I krucha. I zabawna, i piękna, i ciepła... *Przestań.* – Była pod wpływem narkotyku. Poza tym była ranna – drążył temat. Uniosłem trupa i kopnąłem to, co zostało z drzwi. Byłem wyczerpany. Ale on nie ustępował. – Dlaczego pozwoliłeś jej odejść?

Bo nie umiałem jej zabić.

Popatrzyłem na niego spod byka. Bronił jej, chociaż odkryła swoją prawdziwą naturę. Chociaż była kłamczuchą i wężem – jak Judasz. To oznaczało, że wśród chasseurów nie było miejsca dla Ansel.

– To nie ma znaczenia.

– *Ma* znaczenie. Matką Lou jest Morgane le Blanc. Nie słyszałeś, co czarownica powiedziała o odzyskaniu ziemi?

Dzięki twojej ofercie odzyskamy naszą ziemię. Będziemy znowu rządzić Belterrą.

Nie mogę wam pozwolić na zabijanie niewinnych ludzi.

Tak. Słyszałem to.

– Lou potrafi o siebie zadbać.

Ansel wyminął mnie i stanął pośrodku korytarza.

– Morgane jest gdzieś w mieście, podobnie jak Lou. Chodzi o coś większego. Ona potrzebuje naszej pomocy... – Przepchnąłem się obok niego, ale ponownie zastąpił mi drogę i wyprężył pierś. – Posłuchaj mnie! Nawet jeśli już ci nie zależy na Lou, nawet jeśli jej nienawidzisz, to czarownice coś kombinują, co ma związek z Lou. Reid, wydaje mi się, że one chcą ją zabić.

Odepchnąłem go, nie chciałem go słuchać. Nie chciałem o tym wiedzieć, bo kręciło mi się od tego w głowie.

– Nie, to ty posłuchaj, Ansel. Powiem to tylko raz. – Powoli pochyliłem się, by nasze oczy znalazły się na tym samym poziomie. – *Czarownice. Kłamią.* Nie możemy wierzyć w nic, co dzisiaj usłyszeliśmy. Nie możemy zakładać, że ta wiedźma powiedziała prawdę.

– Wiem, co mówi moje przeczucie. Mówi, że Lou grozi niebezpieczeństwo. Musimy ją znaleźć.

Moje przeczucia też mnie niepokoiły. Ale już raz mnie zdradziły. Tym razem się nie dam. Nigdy więcej. Musiałem skupić się na tym, co tu i teraz, na tym, co wiedziałem na pewno. Musiałem pozbyć się tej czarownicy. Spalić ją w piecu w lochach. Dotrzeć do braci na dole.

Z trudem stawiałem kolejne kroki.

– Już nie jesteśmy odpowiedzialni za Lou.

– Myślałem, że chasseurzy są zobowiązani *chronić* niewinnych i bezbronnych?

Mocniej zacisnąłem palce na trupie.

– Trudno powiedzieć o Lou, że jest niewinna i bezbronna.

– Teraz nie jest sobą! – Biegł za mną po schodach, potknął się i niewiele brakowało, żebyśmy oboje spadli. – Jest pod wpływem narkotyku i jest osłabiona!

Prychnąłem. Nawet będąc zraniona i pod wpływem, Lou mogła rozprawić się z czarownicą jak Jael z Sisera.

– Widziałeś ją, Reid – szeptał rozgorączkowany. – Nie da rady w starciu z Morgane.

Przekląłem Ansela i jego krwawiące serce.

Ponieważ rzeczywiście ją widziałem. I to był problem. Starałem się z całych sił zapomnieć, ale ten obraz został wypalony na moich powiekach. Jej piękna twarz była pokryta krwią, która spływała aż na szyję. Dłonie. Sukienkę. Po ataku czarownicy siniaki zdążyły już nabiec krwią... ale nie to najbardziej mnie przerażało. Nie to przedzierało się przez oslepiającą mnie wściekłość.

Nie. To były jej oczy.

Zgasło w nich światełko.

Narkotyk, pocieszałem się. To on je zgasił.

Ale w głębi serca wiedziałem, że to nieprawda. Lou się załamała. Moja poganka o dzikim sercu, niewyparzonej gębie i stalowej woli się załamała. Przeze mnie.

Nie jesteś moją żoną.

Nienawidziłem się za to, co jej zrobiłem. Nienawidziłem się za to, co wciąż do niej czułem. Była czarownicą. Małżonką Lucyfera. Więc kim ja byłem?

– Jesteś tchórzem – splunął Ansel.

Zatrzymałem się w pół kroku. Wpadł na mnie. Zobaczył, jaki jestem wściekły, jaką mam zaciętą minę.

– Jak chcesz, to *idź* – wysyczałem. – Odszukaj ją. Ochroni ją przed Morgane le Blanc. Może czarownice pozwolą ci zamieszkać ze sobą w Chateau. Możesz też z nimi spłonać.

Cofnął się zaskoczony. Zraniłem go.

Dobrze. Odwróciłem się i wyszedłem do przedsionka. Ansel kroczył po cienkiej linie. Jeśli inni dowiedzą się, że sympatyzuje z czarownicą...

Przez otwarte drzwi wszedł Jean Luc, przez ramię przerzucił czarownicę. Z szyi demonicy, w miejscu, gdzie wbito strzykawkę, płynęła krew. Za nim pośród zabitych leżących na katedralnych schodach usiadł biały gołąb. Miał zakrwawione, poszarpane pióra. Puste oczy. Niewidzące.

Odwróciłem wzrok, starałem się nie myśleć o niczym.

Moi bracia uwijali się wokół nas. Niektórzy przynosili ciała z ulicy. Chociaż większość czarownic uciekła, kilka dołączyło do stosu trupów w przedsionku. Leżały oddzielnie. Niedotykalne. Nie zginą podczas publicznej egzekucji. Nie po występie Waszych Starszych Sióstr. Nawet jeśli arcybiskup miał teraz wszystko pod kontrolą, sprawa się rozniesie. Nawet jeśli zaprzeczy oskarżeniom, nawet jeśli niektórzy mu uwierzą, ziarno zostało zasiane.

Arcybiskup pocałował dziecko z La Dame des Sorcierres.

Chociaż nie było go w pobliżu, wszyscy o nim mówili. Moi bracia rozmawiali cicho, ale i tak ich słyszałem. Widziałem ich ukradkowe spojrzenia. Ich podejrzenia. Ich wątpliwości.

Jean Luc szturchnął Anselę i stanął przede mną.

– Jeśli szukasz żony, to jej tu nie ma. Jakiś kwadrans temu wybiegła... zapłakana.

Zapłakana.

– Co się stało na górze, Reid? – Przechylił głowę, uniósł brew. – Dlaczego uciekła? Jeśli boi się czarownic, to Wieża jest dla niej najbezpieczniejszym miejscem. – Zamilkł. Na jego twarzy pojawił się naprawdę przerażający uśmiech. – Chyba że nas boi się bardziej?

Rzuciłem swojego trupa na stos pozostałych. Nie zwracałem uwagi na lęk, który załagał się w moim żołądku i ciążył mi jak ołów.

– Wydaje mi się, że twoja żona ma jakiś sekret, Reid. I sądzę, że ty wiesz, o co chodzi. – Jean Luc podszedł, nie spuszczał mnie z oczu. – Sądzę, że i ja wiem.

Lęk zmienił się w panikę, ale zmusiłem się do zachowania spokoju. Nie dawałem niczego po sobie poznać. Zachowywałem się jak ktoś wyprany z emocji. Nie powiem im o Lou. Bo zaczną na nią polować. Ich ręce na niej – dotykające jej, krzywdzące, przywiązujące ją do pręgierza. Nie mogłem na to pozwolić.

Spojrzałem Jean Lucowi prosto w oczy.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– To gdzie ona jest? – zapytał podniesionym głosem, przyciągając uwagę braci. Zacisnąłem dłonie w pięści. – Dlaczego ta mała wiedźma uciekła?

Powoli świat robił się czerwony, czerwień pochłaniała stojących najbliżej – tych, którzy porzucili to, co robili, odwrócili się i wysłuchiwali oskarżeń Jean Luca.

– Uważaj na to, co mówisz, chasseurze Toussaint.

Spowaźniał.

– A więc to prawda. – Potarł dłonią twarz i ciężko westchnął. – Nie chciałem w to wierzyć, ale spójrz na siebie. Cały czas jej bronisz, chociaż wiesz, że jest...

Rzuciłem się na niego. Chciał zrobić unik, ale nie był wystarczająco szybki. Moja pięść trafiła w jego szczękę. Ansel doskoczył do mnie, zanim uderzyłem ponownie. Mimo że trzymał mnie za ręce, rzuciłem się do przodu, niemal nie czując żadnego obciążenia. Jean Luc cofnął się, krzyczał z bólu i wściekłości. Znowu zamachnąłem się pięścią.

– Dość – powiedział ostro arcybiskup.

Zamarłem, pięść zawisła w powietrzu.

Kilku braci ukłoniło się z pięściami przy sercach, ale większość dalej stała. Niezachwianie. Czujnie. Arcybiskup popatrzył na nich ze złością i jeszcze kilku skłoniło głowy. Ansel puścił mnie i również się ukłonił. Ku mojemu zaskoczeniu zrobił to także Jean Luc, chociaż lewą rękę nadal przyciskał do puchnącego policzka. Wbił wzrok w podłogę, choć w jego oczach czaiła się żądza mordy.

Minęła pełna napięcia sekunda, gdy czekali na mnie, swojego kapitana.

Nie ukłoniłem się.

Arcybiskup zauważył moją niesubordynację, ale jedynie przyspieszył kroku.

– Gdzie jest Louise?

– Zniknęła.

– Co to znaczy *zniknęła*? – zapytał, nie dowierzając.

Nie odpowiedziałem.

– Ona... uciekła, Wasza Ekscelencjo – odezwał się Ansel. – Po tym, jak zaatakowała ją ta czarownica. – Wskazał na wiedźmę leżącą na ziemi.

Arcybiskup podszedł, żeby się jej przyjrzeć.

– Zabiłeś tę czarownicę, kapitanie Diggory?

– Nie. – Pulsowała mi ta pięść, którą uderzyłem Jean Luca. Cieszyłem się z tego bólu. – Lou ją zabiła.

Poklepał mnie po ramieniu, okazując mi sympatię przed braćmi, ale ja usłyszałem niewypowiedzianą prośbę. Zauważyłem niepewność w jego oczach. W tej sekundzie już wiedziałem. Zniknęły wszelkie wątpliwości, zastąpił je niesmak, największy, jaki znałem. Ten człowiek, człowiek, którego traktowałem jak ojca, był kłamcą. Oszustem.

– Musimy ją odnaleźć, Reid.

Zesztywniałem i odsunąłem się od niego.

– Nie.

Zrobił srogą minę i kazał podejść jednemu z braci. Z jego ramienia zwiisał pokiereszowany trup czarownicy. Jej twarz i szyję pokrywały czerwone plamy, sięgały poniżej kołnierza sukni.

– Przez ostatnie pół godziny miałem przyjemność rozmawiać z tą kreaturą. Dzięki odrobinie perswazji okazała się niewyczerpanym źródłem informacji. – Arcybiskup wziął trupa i rzucił go na stos. Ciała się przesunęły, krew ochlapała moje buty. Zrobiło mi się niedobrze. – Nie wiesz jeszcze, co czarownice zaplanowały dla naszego królestwa, kapitanie Diggory. Nie możemy pozwolić, by im się to udało.

Jean Luc się wyprostował, natychmiast wzmógł czujność.

– Co zaplanowały?

– Rewolucję. – Arcybiskup nie spuszczał ze mnie wzroku. – Śmierć.

Po tej strasznej przepowiedni zapadła cisza. Słysząc tylko szelest przestępujących stóp. Wszyscy niespokojnie strzelali oczami. Nikt nie śmiał zapytać, co miał na myśli, nawet Jean Luc. Podobnie jak nikt nie śmiał zadać jedyne pytania, które było ważne. Tego pytania, od którego zaczęła się cała awantura.

Zerknąłem na braci, widziałem, jak patrzą na arcybiskupa i na torturowane, poćwiartowane ciało czarownicy u moich stóp. Ich podejrzliwość stopniowo zmieniała się w wymówki, powracali do wygodnego świata, który dotychczas znali. Wygodnych kłamstw.

To wszystko było dywersją.

Tak – dywersją.

Czarownice są sprytne.

Na pewno go wrobiły.

Tylko nie Jean Luc. Jego nie dało się tak łatwo nabrać. Co gorsza – jego usta rozciągnęły się w promiennym uśmiechu. Pomimo spuchniętego policzka.

– Musimy znaleźć Louise, zanim zrobią to czarownice – ponaglał arcybiskup. Prosił. – Ona jest kluczowa, Reid. Po jej śmierci umrze król i jego potomstwo. *Wszyscy* umrzemy. Musisz odłożyć na bok swoje osobiste urazy i honorowo stanąć na straży królestwa. Dochować przysięgi.

Przysięgi. Na te słowa poczułem prawdziwą złość. Człowiek, który sypiał z La Dame des Sorcieres, człowiek, który wszystkich *oszukał, zdradził* ideały i na każdym kroku *łamał* swoje przysięgi nie może mi mówić o honorze. Powoli wypuściłem powietrze nosem. Ręce nadal mi drżały ze złości i nadmiaru adrenaliny.

– Chodźmy, Ansel.

Arcybiskup obnażył zęby na tę niesubordynację i niespodziewanie zwrócił się do Jean Luca:

– Chasseurze Toussaint, zbierz oddział. W ciągu godziny macie wyruszyć. Powiadomcie policję. Ma zostać odnaleziona do rana. Zrozumiano?

Jean Luc się uklonił, posyłając mi triumfujący uśmiech. Popatrzyłem na niego z pogardą, szukałem w jego twarzy wahania, ale niczego takiego nie dostrzegłem. Wreszcie nadszedł jego czas.

– Oczywiście, ekscelencjo. Nie zawiodę.

Ansel pospieszył za mną. Wspinaliśmy się po schodach, biorąc po trzy stopnie naraz.

– Co zrobimy?

– Nic. Nie chcę się w to mieszać.

– Lou jest moją przyjaciółką!

Jego przyjaciółką.

Te dwa słowa sprawiły, że moja cierpliwość, nadszarpnięta do granic możliwości, zupełnie się skończyła. Jednym szybkim ruchem, zanim zdołał cokolwiek zrobić, złapałem go za rękę i pchnąłem na ścianę.

– Ona jest *czarownicą*, Ansel. Musisz to zrozumieć. Nie jest twoją przyjaciółką. Nie jest moją żoną.

Jego policzki zapłonęły ze złości, uderzył mnie w pierś.

– Dalej to sobie wmawiaj. Twoja duma ją zabije. Ona ma kłopoty... – By to podkreślić, uderzył mnie ponownie, ale złapałem jego rękę i wykręciłem mu ją na plecy, wyrznąłem jego piersią w ścianę. Nawet nie jęknął. – Komu przeszkadza, że arcybiskup kłamie? Jesteś lepszy od niego, jesteś lepszy od tego wszystkiego.

Zbliżałem się do punktu krytycznego.

Lou, Ansel, Morgane le Blanc, arcybiskup... tego było za wiele. Zbyt nagle. Mój umysł nie był w stanie przetworzyć wszystkich targających mną uczuć, zbyt szybkich, zbyt bolesnych. Na dodatek musiałem dokonać wyboru.

Byłem łowcą.

Byłem mężczyzną.

Ale nie mogłem być jednym i drugim jednocześnie. Już nie.

Puściłem Anselę i się cofnąłem. Miałem urywany oddech.

– Nie, nie jestem.

– Nie wierzę.

Zacisnąłem pięści, stłumiłem w sobie chęć uderzenia nimi w ścianę lub w twarz Anselę.

– Ona jedynie mnie okłamywała, Ansel! Patrzyła mi w oczy i mówiła, że mnie kocha. Skąd mam wiedzieć, że to nie kłamstwo?

– To nie było kłamstwo. Wiesz, że nie. – Zamilkł, uniósł głowę podobnie jak Lou. Niemal się rozplakałem. – Ty... powiedziałaś *ona*. Nie *to*.

Wtedy uderzyłem w ścianę. Ból eksplodował z moich knykci. Przyjąłem go – przyjmowałem wszystko, co odrywało mnie od rozpaczliwej rozsadzającej moją pierś, łez palących oczy. Oparłem czoło o ścianę i próbowałem złapać oddech. Nie, Lou nie była *tym*. Ale mnie okłamywała. Oszukiwała.

– A co miała zrobić? – zapytał Ansel. – Powiedzieć ci, że jest czarownicą, i przywiązać się do stosu?

Głos mi się załamał.

– Powinna mi zaufać.

Dotknął moich pleców.

– Ona umrze, Reid – powiedział łagodniej. – Słyszałeś arcybiskupa. Jeśli nic nie zrobisz, ona umrze.

I wtedy przeszła mi wściekłość. Ręce mi opadły. Bez życia. Opuściłem ramiona... Zostałem pokonany.

Nigdy nie miałem wyboru. Nie ja. Od pierwszej chwili, gdy ujrzałem ją na paradzie, ubraną w ten głupi garnitur i wąsy, mój los został przypieczętowany.

Kochałem ją. Mimo wszystko. Mimo kłamstw, zdrady, urazy. Mimo arcybiskupa i Morgane le Blanc. Mimo moich braci. Nie wiedziałem, czy odwzajemnia tę miłość, ale to mnie nie interesowało. Jeśli było jej pisane spłonienie w piekle, spłonę wraz z nią.

– Nie. – W moich żyłach pulsowała determinacja, gdy odrywałem się od ściany. – Lou nie umrze, Ansel. Znajdziemy ją.

PIEKŁO NIE ZNA TAKIEJ FURII

Reid

Pod moim zniszczonym pokojem kręciło się kilku nowicjuszy. Gdy mnie zobaczyli, spuścili głowy i się ulotnili. Wszedłem do środka, żeby zebrać myśli. Żeby ułożyć jakiś plan.

Ostatnie dwa lata Lou żyła z kradzieży, więc lepiej niż inni radziła sobie ze znikaniem. Mogła być wszędzie. Nie byłem szalony i nie uważałem, że znam jej wszystkie kryjówki, ale na pewno miałem większe szanse niż Jean Luc. Mimo to chasseurzy patrolujący miasto wszystko komplikowali.

Zamknąłem oczy, starałem się równo oddychać i myśleć. Dokąd mogła pójść? Gdzie mogła się schować? Ale magia w powietrzu drapała mnie w gardło i rozpraszała. Przyłgnęła do pościeli, do połamanych desek. Do zakrwawionych kartek Biblii. Do mojej skóry, włosów. Otworzyłem oczy, miałem ochotę wyć z frustracji. Ale nie było na to czasu. Musiałem ją odnaleźć. Szybko. Każda mijająca chwila mogła być jej ostatnią.

Umrze, Reid. Jeśli nic nie zrobisz, ona umrze.

Nie. To się nie stanie. *Myśl.*

Teatr wydawał się najbardziej prawdopodobną kryjówką. Ale czy wróciłaby tam, skoro mi ją pokazała? Chyba nie. Być może zatrzymała się u Pana. Na pewno prędzej czy później odwiedziłaby cukiernię – chyba że opuściła Cesarine.

Ansel podszedł do okna i wyjrzał na dziedziniec, gdzie maszerowali moi bracia. Wiedział, że nie powinniśmy do nich dołączać. Chociaż mieliśmy wspólny cel, arcybiskup mnie okłamał, nadużył mojego zaufania. Co

ważniejsze, nie wiedziałem, co zamierzają zrobić z Lou, gdy ją znajdą. Chociaż arcybiskup może próbować ją chronić, Jean Luc wiedział, że jest czarownicą. Ile czasu minie, zanim powie innym? Ile czasu minie, zanim ktoś zasugeruje, że trzeba ją zabić?

Musiałem dotrzeć do niej pierwszy. Przed nimi. Przed czarownicami.

Ansel odchrząknął.

– Co? – warknąłem.

– Wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać z Mademoiselle Perrot. One są... sobie bliskie. Może coś wiedzieć.

Mademoiselle Perrot. Oczywiście.

Jednak zanim wyszliśmy, otworzyły się drzwi. Na progu stała – sapiąc i piorunując mnie wzrokiem – Mademoiselle Perrot we własnej osobie.

– Gdzie ona jest? – Ruszyła na mnie, nie kryjąc agresji. Białe szaty uzdrowicielki zmieniła na skórzane spodnie i poplamioną krwią koszulę. Zmarszczyłem brwi, widząc siatkę blizn na jej dekolcie i przedramionach. – Gdzie jest Lou?

Przestraszony Ansel zaczął wyjaśniać, ale ja tylko pokręciłem głową i stanąłem przed nim. Zmusiłem się do wypowiedzenia tego słowa:

– Odeszła.

– Co to znaczy *odeszła*? Masz trzydzieści sekund na wyjaśnienie mi, co się stało, zanim dojdzie do rozlewu krwi, *chasseurze*. – Skrzywiła się, wymawiając ostatnie słowo, jakby to było przekleństwo. Wzięłem głęboki wdech. I jeszcze jeden.

Czekaj – rozlew krwi?

– Tik tak – warknęła.

Chociaż nie miałem najmniejszej ochoty opowiadać o tym, co zaszło między mną i Lou, nie umiałem kłamać. Poza tym potrzebowałem jej pomocy. Jeśli ona nie wiedziała, gdzie jest Lou, nie pozostawał mi nikt inny. I marne szanse na jej odnalezienie. Tak nie mogło być.

– Czarownice zaatakowały zamek, co było dywersją, po czym pojawiły się tutaj...

– *Wiem*. – Niecierpliwie machnęła ręką. – Byłam w zamku z Beau, kiedy zniknęły. Pytałam, co się stało z *Lou*.

– Uciekła – powtórzyłem przez zaciśnięte zęby. – Jakaś czarownica dotarła aż tutaj i zaatakowała. Lou ocalała mi życie. – Rozkleiłem się, nie wiedziałem, jak mam jej to powiedzieć. A przecież musiała wiedzieć. – Mademoiselle Perrot... Lou jest czarownicą.

Ku mojemu zaskoczeniu nawet nie mrugnęła okiem. Lekkie drgnięcie ust było jedyną oznaką tego, że mnie usłyszała.

– Oczywiście, że jest.

– Co? Wiedziała pani? – Byłem zaszokowany.

Popatrzyła na mnie pogardliwie.

– Tylko totalny idiota mógł tego nie zauważyć.

Jak ty. Jej niewypowiedziane słowa odbijały się echem po pokoju. Zignorowałem je, przemilczałem kolejny dowód zdrady.

– Czy ona... ci powiedziała?

Prychnęła i dramatycznie przewróciła oczami.

– Nie musisz robić z siebie takiej ofiary. Nie, nie powiedziała. Nie powiedziała też Anselowi, a mimo to wiedział.

Ansel zerknął na mnie. Głośno przełknął ślinę.

– Nic nie *wiedziałem*...

– Och, proszę. – Posłała mu ironiczne spojrzenie. – Nie obrażaj mnie swoimi kłamstwami.

Opadły mu ramiona i wbił wzrok w podłogę. Nie chciał na mnie patrzeć.

– Tak. Wiedziałem.

Zeszło ze mnie powietrze. Dwa słowa. Dwa ciosy doskonałe.

Wraz z oddechem wróciła gorzka złość.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś?

Gdyby Ansel mi powiedział, gdyby Ansel był *prawdziwym* chasseur, można by tego wszystkiego uniknąć. Nie byłbym wzięty z zaskoczenia. Mógłbym się tym zająć wcześniej, zanim...

– Powiedziałem ci. – Ansel gapił się na swoje buty, czubkiem kopał kawałek cementu na podłodze. – Lou jest moją przyjaciółką.

– Od kiedy? – Odebrało mi mowę. – Od kiedy wiesz?

– Od palenia czarownicy. Kiedy... Kiedy Lou miała ten atak. Płakała, a czarownica krzyczała, a potem role się odwróciły. Wszyscy sądzili, że Lou miała atak padaczki, ale ja ją widziałem. Czułem magię. – Uniósł głowę, drżała mu grdyka. Błyszczały oczy. – Ona płonęła, Reid. Nie wiem jak, ale wzięła na siebie ból tamtej. – Głośno odetchnął. – Dlatego ci nie powiedziałem. Bo chociaż wiedziałem, że Lou jest wiedźmą, wiedziałem też, że nie jest zła. Już raz spłonęła na stosie. Nie zasłużyła na to, by ponownie na niego trafić.

Zapadła cisza. Patrzyłem na nich, piekły mnie oczy.

– Nigdy bym jej nie skrzywdził.

Gdy wypowiedziałem te słowa, uświadomiłem sobie prawdę. Nawet gdyby Ansel mi powiedział, niczego by to nie zmieniło. Nie byłbym w stanie rzucić jej na stos. Zakryłem twarz dłońmi. Zostałem pokonany.

– Dość – powiedziała ostro Mademoiselle Perrot. – Ile czasu minęło?

– Około godziny.

Ansel wiercił się niespokojnie.

– Czarownica wspomniała coś o Morgane – burknął.

Opuściłem ręce, bo na twarzy Mademoiselle Perrot pojawił się prawdziwy strach. Jej oczy, wcześniej przepełnione nienawiścią i oskarżeniami, teraz lśniły determinacją.

– Musimy iść. – Otworzyła drzwi i wybiegła na korytarz, roztrącając podsłuchujących nowicjuszy. – Nie możemy tutaj o tym rozmawiać.

– Dokąd pójdziemy? – zapytałem pomimo lęku ściskającego mój żołądek.

– Do Bellerose. – Nawet się nie odwróciła. Nie widząc innego wyjścia, pospieszyliśmy za nią z Anselem. – Powiedziałam Beau, że się później zobaczymy, poza tym może tam być ktoś, kto wie, gdzie jest Lou.

Wnętrze Bellerose było słabo oświetlone. Nigdy nie byłem w burdelu, ale zakładałem, że marmurowe podłogi i złote liście na ścianach są oznaką bardziej eleganckiego lokalu niż przeciętnego domu publicznego. W kącie siedziała harfistka. Grała na instrumencie i cicho śpiewała smutną balladę. Kobiety odziane w przezroczyste, białe szaty powoli tańczyły. Kilku pijanych mężczyzn patrzyło na nie głodnym wzrokiem. Pośrodku pomieszczenia działała fontanna.

To była najbardziej ostentacyjna rzecz, jaką widziałem w życiu. Doskonale pasowała do Madame Labelle.

– Marnujemy czas. Powinniśmy szukać Lou... – zacząłem mówić ze złością, ale Mademoiselle Perrot posłała mi mrożące krew w żyłach spojrzenie przez ramię, po czym ruszyła w stronę częściowo ukrytego stolika w rogu.

Gdy się zbliżyliśmy, Beauregard Lyon wstał i zmrużył oczy.

– Co, do diabła, oni tutaj robią?

Z ciężkim westchnieniem siadła na krześle, machając ręką.

– Słuchaj, Beau, mam ważniejsze sprawy na głowie dziś wieczorem niż ty i twój konkurs sikania.

Siadł na krześle obok i nadąsany założył ręce na piersi.

– A co może być ważniejszego ode mnie?

Zarzuciła głową w moją stronę.

– Ten idiota zgubił Lou, więc muszę wykonać czar lokalizujący, by ją odszukać.

Czar lokalizujący?

Patrzyłem zmieszany, jak wyjmuje z peleryny niewielką fiolkę. Odkorkowała ją i wysypała na stół ciemny proszek. Beau wyglądał na znudzonego. Kołysał się na krześle. Zerknąłem na Ansela – zastanawiając się, czy siedząca przed nami kobieta oszalała – ale on nie odwzajemnił mojego spojrzenia. Kiedy wyjęła nóż i uniosła rękaw, dotarła do mnie prawda.

Miała brązową skórę i była poznaczona bliznami.

Dom Tremblaya. Trzy zatrute psy. Krew płynąca z ich pysków. Smród magii przeszywający powietrze – czarny, gryzący, bardziej kwaśny niż magia, którą czuć było w infirmerii. Inny.

Popatrzyła mi w oczy, rozcinając sobie wnętrze dłoni. Krew z rany kapała na stół.

– Chyba powinnam ci powiedzieć, Chass, że nie nazywam się Brie Perrot. Mam na imię Cosette, ale moi przyjaciele mówią na mnie Coco.

Cosette Monvoisin. Cały czas ukrywała się w Wieży. Tuż pod naszymi nosami.

Instynktownie sięgnąłem po balisardę, ale w tej samej chwili Ansel położył mi rękę na ramieniu.

– Reid, przestań. Ona pomaga nam znaleźć Lou.

Wyrwałem się – czułem obrzydzenie i wściekłość, ale moja ręka znieruchomiała. Cosette puściła do mnie oko, po czym skupiła uwagę na tym, co na stole. Ciemny proszek zmienił się w żel pod wpływem krwi, a potem zaczął się poruszać i formować jakieś symbole. Poczuję mdłości, nos mi płonął.

– Co to jest?

– Zaszuszone krew charta. – Uważnie przyglądała się dziwnym symbolom.

– Powie nam, gdzie jest Lou.

Beau podparł brodę ręką.

– Jak sądzisz, gdzie może być?

Pomiędzy brwiami Coco pojawiła się zmarszczka.

– Z Morgane le Blanc.

– Morgane le Blanc? – Wyprostował się i spojrzał na nas z niedowierzaniem, jakby spodziewał się, że któreś z nas wybuchnie

śmiechem. – Dlaczego ta suka, królowa czarownic, miałaby się interesować Lou?

– Bo jest jej matką. – Kształty zamarły, a Coco popatrzyła na mnie. Bała się. Panikowała. – Trop Lou znika na północy gdzieś w La Foret des Yeux. Dalej nic nie widzę. – Spojrzałem pytająco, a ona lekko skinęła, jakby usłyszała moje niewypowiedziane pytanie. Drżała jej broda. – Jeśli Morgane ma Lou, już po niej.

– Nie. – Gwałtownie pokręciłem głową, nie byłem w stanie tego zaakceptować. – Musimy tylko znaleźć Chateau. Jesteś czarownicą. Możesz nas do niego zaprowadzić...

Jej oczy wypełniły się łzami.

– Nie wiem, gdzie jest Chateau. Może go znaleźć tylko Dame Blanche, a ty właśnie zgubiłeś jedyną Dame Blanche, jaką znam!

– To ty nie jesteś Dame Blanche?

Podstawiła mi pod nos swoje zakrwawione dłonie, jakby to coś oznaczało.

– Oczywiście, że nie! Czy chasseurzy naprawdę są takimi ignorantami?

Z coraz większym przerażeniem patrzyłem na jej krew. Znowu uderzył mnie ten sam gryzący zapach.

– Nie rozumiem.

– Jestem Dame Rouge, idioto. Czerwoną Damą. Krwawą czarownicą. – Uderzyła dłonią w stół, rozpryskując czarne kształty. – Jesteśmy tak samo mile widziane w Chateau jak wy. Nie mogę cię tam zaprowadzić, bo nigdy tam nie byłam.

Zaczęło mi dzwonić w uszach.

– Nie. – Pokręciłem głową. – To nie może być prawda. Musi być jakiś sposób.

– Nie ma. – Wstała, po jej policzkach pociekły łzy, ale szybko je otarła. Zapach wokół nas przybrał na wyrazistości. – Chyba że znasz jakąś inną Dame Blanche, która jest skłonna zdradzić siostry i poprowadzić *chasseura* do ich domu. Już po Lou.

Nie.

– Znasz taką czarownicę, Chass? – Wbiła palec w moją pierś, nie była w stanie powstrzymać łez. Syczały i zmieniały się w parę, gdy spadały na jej koszulę. Beau wstał i niepewnie położył dłoń na jej plecach. – Znasz czarownicę, która chciałaby poświęcić *wszystko* dla ciebie, tak jak zrobiła to Lou? Znasz?

Nie.

– W istocie – odparł chłodny, znajomy głos. – Zna.

Odwróciliśmy się jednocześnie, żeby spojrzeć na moją zbawczynię. O mało się nie udusiłem na widok jej płomiennie rudych włosów.

Boże, nie.

Madame Labelle pomachała podsłuchującym mężczyznom siedzącym najbliżej nas.

– To prywatna rozmowa, moi drodzy. Mam nadzieję, że zrozumiecie.

W powietrzu pojawił się zapach magii, tej zwykłej, przesłodzonej. Wówczas wszyscy skupili się na tańczących dziewczynach, które miały równie wyzbyte z emocji miny.

Coco dopadła jej i oskarżycielsko wymachiwała palcem.

– Wiedziałaś o Morgane. Ostrzegając Lou. Jesteś czarownicą.

Madame Labelle zamrugała.

Patrzyłem na nie, niczego nie rozumiejąc, zapach drażnił mój nos. Mój mózg pracował na najwyższych obrotach. Ale przecież Madame Labelle nie była...

W jednej chwili wszystko zrozumiałem.

Kurwa.

Byłem taki głupi. Taki ślepy. Zacisnąłem pięści i wstałem. Madame Labelle straciła rezon, nawet Coco skurczyła się, widząc moją furję.

Oczywiście, że Madame Labelle była czarownicą.

A Mademoiselle Perrot była Coco.

Coco była czarownicą. Ale nie taką zwyczajną, lecz Dame Rouge. Zupełnie innym gatunkiem czarownic, które parały się czarami z *krwi*.

A moja żona – pierdolona *miłość mojego życia* – była córką La Dame des Sorcieres. Dziedziczką Chateau le Blanc. Cholerną *księżniczką* czarownic.

I wszyscy o tym wiedzieli. Wszyscy oprócz mnie. Nawet pieprzony Ansel.

Tego już było za wiele.

Coś we mnie pękło. Na zawsze. I już nie byłem chasseur, jeśli w ogóle kiedyś nim byłem.

Zdejmując pas z balisardą, patrzyłem z mściwą satysfakcją, jak inni mnie obserwują. Z niepewnością. Ze strachem. Harfistka w kącie przestała grać. Wbiła wzrok w podłogę, otworzyła usta. Zapadła dziwna, pełna oczekiwania cisza.

– Siadajcie – łagodnie zwróciłem się do Madame Labelle i Coco. Nie ruszyły się, więc podszedłem do nich. Beau objął Coco w pasie. Schował ją

za sobą.

Ale Madame Labelle nadal stała. Wymierzyłem w nią swój sztylet.

– Lou zniknęła. – Powoli przesunąłem ostrze od jej twarzy do krzesła. – Zabrała ją Morgane le Blanc. Dlaczego?

Zmrużyła oczy, zerknęła na pomieszane czarne symbole na blacie.

– Jeśli naprawdę zabrała ją Morgane...

– *Dlaczego?*

Zbliżyłem nóż do jej nosa. Zmarszczyła czoło.

– Proszę, kapitanie, nie bądź taki wyrywny. Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Niechętnie opuściłem nóż, a ona siadła na krześle. Krew we mnie wrzała.

– To niefortunny zbieg okoliczności – spojrzała na mnie, nerwowo wygładzając suknię. – Zakładam, że czarownice zdradziły prawdziwą tożsamość twojej żony. Louise le Blanc. Jedyne dziecko La Dame des Sorcieres.

Potaknąłem sztywno.

Ansel odchrząknął, zanim Madame Labelle podjęła opowieść.

– Przepraszam, *madame*, ale dlaczego nigdy wcześniej nie słyszeliśmy o Louise le Blanc?

Zmierzyła go wzrokiem.

– Drogi chłopcze, Louise była najpilniej strzeżoną tajemnicą Morgane. Nawet niektóre czarownice nie wiedziały o jej istnieniu.

– To skąd ty o tym wiesz? – zainteresowała się Coco.

– Mam szpiegów w Chateau.

– Sama nie jesteś tam mile widziana?

– Jestem tam tak samo mile widziana jak ty, moja droga.

– Dlaczego? – zapytałem.

Zignorowała mnie. Spojrzała natomiast na Beau.

– Co wiesz o swoim ojcu, Wasza Wysokość?

Odchylił się na krześle i uniósł ciemną brew. Do tej pory obserwował rozwój wypadków z chłodnym dystansem, ale pytanie Madame Labelle go zaskoczyło.

– Chyba to samo, co pozostali.

– Czyli?

Wzruszył ramionami. Przewrócił oczami.

– Jest notorycznym kurwiarzem. Nienawidzi swojej żony. Finansuje kretyńską krucjatę arcybiskupa przeciw tym cudownym istotom. –

Z uznaniem pogłaskał Coco po plecach. – Jest diabelnie przystojny, ma w dupie politykę i jest zrzędą. Mam mówić dalej? Nie wydaje mi się, żeby to miało jakiś związek.

– Lepiej, żebyś tak o nim nie mówił. – Ze złością zacisnęła usta. – Jest twoim ojcem i dobrym człowiekiem.

Beau prychnął.

– Chyba jesteś pierwszą, która tak sądzi.

Pociągnęła nosem i ponownie wygładziła suknię. Wciąż była wzburzona.

– W zasadzie to nie ma większego znaczenia. Chodzi o coś więcej, chociaż jeśli Morgane postawi na swoim, to będzie jego koniec.

– Wyjaśnij – warknąłem.

Posłała mi zirytowane spojrzenie, ale mimo to ciągnęła:

– Ta wojna trwa od stu lat. Jest starsza od was. Ode mnie też. Starsza od Morgane. Zaczęła się od czarownicy o imieniu Angelika oraz świętego męża Konstantyna.

Święty mąż Konstantyn. Na pewno nie chodziło jej o tego, który stworzył Miecz Balisardy.

– Lou opowiedziała mi tę historię! – Coco zalśniły oczy. – Angelika zakochała się w nim, ale on umarł, a jej łzy utworzyły L'Eau Mèlancolique.

– Nie do końca tak było. Mam wam opowiedzieć prawdziwą wersję? – Zamilkła i zerknęła na mnie. – Zapewniam, że mamy czas.

Usiadłem, wzdychając niecierpliwie.

– Masz dwie minuty.

Madame Labelle potaknęła.

– To nie jest piękna opowieść. Angelika rzeczywiście zakochała się w Konstantynie – rycerzu z pobliskiej krainy, ale nie śmiała mu powiedzieć, kim jest. Jej lud żył w harmonii z jego ludem, ale nie chciała zakłócać delikatnej równowagi pomiędzy królestwami. I jak to często się zdarza, wkrótce zapagnęła, żeby poznać jej wszystkie sekrety. Opowiedziała mu o magii swojego ludu, ich związku z ziemią. Z początku Konstantyn i jego królestwo ją zaakceptowali. Uwielbiali ją i jej lud, Les Dames Blanches, jak je nazywali. Białe Damy. Czyste i jasne. A jako najczystsza i najjaśniejsza z nich Angelika stała się pierwszą Dame des Sorcieres. – Jej oczy pociemniały. – Ale czas mijał i Konstantynowi przestały się podobać czary ukochanej. Zrobił się zazdrosny o to, że nie posiadał magii. Próbował ją jej odebrać. Nie udało mu się, więc zabrał ziemię. Jego żołnierze najechali Belterre i zabili jej ludzi. Jednak nie

potrafiliby posługiwać się magią. Bardzo się starali, ale nie mogli jej osiąść, nie w takim stopniu jak czarownice. Kierowany szaleńczym pożądaniem umarł z własnej ręki.

Popatrzyła na Coco i uśmiechnęła się bez radości.

– Angelika wyplakała morze łez i poszła za nim w życie wieczne. Ale jego bracia nadal żyli. Sprawili, że czarownice musiały się ukrywać, i zagarnęli ich ziemię oraz jej magię. Znacnie resztę tej historii. Do teraz toczą się krwawe potyczki. Każda ze stron czuje się skrzywdzona, każda chce się mścić. Potomkowie Konstantyna wciąż kontrolują tę ziemię, mimo że lata temu wymienili magię na religię. Podczas panowania każdej Dame des Sorcieres czarownice próbują zebrać siły, ale kolejne próby kończą się fiaskiem. Oprócz tego, że są w mniejszości, moje siostry nie są w stanie pokonać w walce zarówno monarchii, jak i Kościoła. Wszystko przez balisardy. Ale Morgane jest inna od swoich poprzedniczek. Sprytniejsza. Chytra.

– Jakbyś mówiła o Lou – wtrąciła Coco.

– Lou nie ma *nic* wspólnego z tą kobietą – burknąłem.

Beau wyprostował się i spojrzał groźnie na siedzących przy stole.

– Wybaczcie, ale mam w dupie Lou, Morgane, Angelikę i Konstantyna. Chcę posłuchać o swoim ojcu.

Zbielały mi kostki palców zaciśnięte na sztylcie.

Wzdychając, Madame Labelle poklepała mnie ostrzegawczo po ramieniu. Kiedy się cofnąłem, przewróciła oczami.

– Już do niego dochodzę. No więc Morgane jest inna. Jako dziecko uznawała podwójną władzę w królestwie. – Zerknęła na Beau. – Kiedy twój ojciec został koronowany, kształtu nabrał pomysł, jak uderzyć zarówno w koronę, jak i Kościół. Przyglądała się, jak bierze ślub z zagraniczną księżniczką, twoją matką, która urodziła mu ciebie. Radowała się, gdy rodził mu się bękart za bękartem.

Zamilkła, jakby opadła z sił. Nawet ja z uwagą przyglądałem się, jak zapatrzyła się w dal.

– Nauczyła się ich imion i twarzy, nawet tych, o których sam August nie miał pojęcia. – Jej nieobecne spojrzenie padło na mnie, aż ścisnęło mnie w żołądku. – Po każdym dziecku jej radość, jej *obsesja* tylko wzrastała, chociaż cały czas nie zdradzała nam swoich planów.

– Ile ich jest? – przerwał Beau ostrym tonem. – Tych dzieci?

Zawahała się.

– Nikt do końca nie wie. Wydaje mi się, że ostatnio była mowa o jakichś dwudziestu sześciu.

– *Dwudziestu sześciu?*

Opowiadała dalej, nie dopuszczając go do głosu.

– Niedługo po twoim urodzeniu, Wasza Wysokość, Morgane oznajmiła naszym siostronom, że spodziewa się dziecka. I to nie byle jakiego, lecz dziecka arcybiskupa.

– Lou – powiedziałem, choć poczułem się słabo.

– Tak. Morgane opowiedziała o wzorze, który uwolni czarownice od prześladowań, o tym, że dziecko zakończy tyranię Lyonów. August Lyon umrze, a z nim jego potomkowie. Dziecko w jej łonie było ceną, *darem*, jak powiedziała, zesłanym przez Boginię. Ostatecznym ciosem przeciwko królestwu i Kościołowi.

– Dlaczego Morgane czekała z zabiciem Lou? – zapytałem z rozgoryczeniem. – Dlaczego nie zabiła jej zaraz po urodzeniu?

– W szesnaste urodziny czarownica poddawana jest pewnemu obrządkowi. Tego dnia staje się kobietą. Chociaż czarownice czekały na jej urodzenie, to większość nie czuła się komfortowo, wiedząc, że dziecko będzie musiało zostać zabite. Morgane z przyjemnością na to czekała.

– A więc Morgane... poczęła Lou z myślą o zemście. – Bolało mnie serce. Dawniej użalałem się nad swoim żalonym przyjściem na świat, ale los Lou był o wiele okrutniejszy. Dosłownie urodziła się, żeby umrzeć.

– Natura wymaga równowagi – wyszeptła Coco, gładząc ranę na swojej dłoni. Zamyśliła się. – Żeby zakończyć linię króla, Morgane musiała zakończyć swoją.

Madame Labelle przytaknęła.

– Jezu – westchnął Beau. – Piekło nie zna takiej furii.

– Ale... – skrzywiłem się. – To przecież nie ma sensu. Jedno życie za dwadzieścia sześć? To nie jest równowaga.

Madame Labelle uniosła brwi.

– Chodzi o coś innego. Zabijając Louise, Morgane na zawsze zakończy linię le Blanc. Czary La Dame des Sorcieres przejdą na inną linię po śmierci Morgane. Czy naprawdę zakończenie panowania rodu nie jest tyle samo warte w obu przypadkach?

Stropiłem się jeszcze bardziej.

– Ale nie zgadzają się liczby.

– Postrzegasz to zbyt dosłownie, Reid. Magia jest pełna niuansów. Wszystkie jej dzieci umrą. Wszystkie jego dzieci umrą. – Podniosła z sukni nieistniejący paproch. – Oczywiście te spekulacje nic nie znaczą. Nikt inny nie widzi wzoru, więc musimy polegać na interpretacji Morgane.

Coco nagle poderwała głowę. Zmrużyła oczy.

– A jaka jest w tym twoja rola, *madame*? Próbowałaś kupić Lou.

– Żeby ją chronić. – Madame Labelle zbyła pytanie machnięciem ręki. Na każdym jej palcu były złote obrączki, ale na lewej ręce na serdecznym palcu... Pierścionek z perłą. Prawie taki sam, jak dałem Lou. – Wiedziałam, że Morgane w końcu ją znajdzie, ale robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby do tego nie dopuścić. Więc tak, rzeczywiście próbowałam kupić Lou, jak to zgrabnie ujęłaś, ale tylko po to, by ją chronić. Nie było to idealne wyjście, ale mogłam jej pilnować w Bellerose. Mogłam zapewnić jej bezpieczeństwo. Ale za każdym razem odrzucała moją propozycję. – Uniosła głowę i spojrzała w oczy Coco. – W zeszłym roku moi szpiedzy poinformowali mnie, że skradziono Pierścień Angeliki. Udałam się do każdego znanego mi pośrednika w mieście, wszystkim im niedawno zamordowano kogoś z rodziny.

Wyprostowałam się, słysząc tę informację. Filippa. *Filippa* została zamordowana przez czarownice. Co oznaczało...

– Kiedy dowiedziałam się, że pierścień jest w posiadaniu Monsieur Tremblaya, wpadłam na pewien pomysł.

Zamknąłem oczy. Z niedowierzaniem pokręciłem głowę. I ze smutkiem. Monsieur Tremblay. Przez te wszystkie miesiące pragnąłem pomścić ich rodzinę, ukarać czarownice, które ich skrzywdziły. Ale to czarownice dokonywały zemsty.

Mój niedoszły teść. Handlarz magicznymi przedmiotami. To przez niego umarła Filippa. To on sprawił ból Celi. Zmusiłem się do powrotu do teraźniejszości. Otworzyłem oczy.

To znaczy, że jest czas żałoby i jest czas na to, by żyć dalej.

– Wiedziałam, że Lou desperacko go poszukuje – ciągnęła Madame Labelle. – Poinstruowałam Babette, żeby się z nią skontaktowała i pozwoliła jej podsłuchać moją rozmowę z Tremblayem. Dla jej dobra nawet zapytałam go, gdzie ukrył pierścień. A potem, kiedy Babette potwierdziła, że we dwie chcecie go ukraść, poinformowałam arcybiskupa, gdzie tej nocy będzie przebywała jego córka.

– *Słucham?! – wykrzyknęła Coco.*

Wzruszyła ramionami.

– Krążyły plotki, że szuka jej od wielu lat. Wiele czarownic uważało, że z jej powodu był opętany polowaniami na nas. Chciał ją odnaleźć. Wolę myśleć, że zabijał nas, żeby w ten makabryczny sposób odkupić swój grzech, ale to nie ma znaczenia. Podjęłam ryzyko i założyłam, że nie zrobi jej krzywdy. W końcu jest jej ojcem, nie mógłby zaprzeczyć, gdyby ją zobaczył. Są praktycznie identyczni. A gdzie znaleźć lepszą kryjówkę jak nie w Wieży Chasseurów?

Coco z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Mogłaś coś powiedzieć wcześniej!

Madame Labelle splotła ręce na kolanach i uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Kiedy uciekła od Tremblaya, myślałam, że wszystko stracone, ale akcja w teatrze zmusiła arcybiskupa do stanowczego działania. Dostała nie tylko ochronę arcybiskupa, lecz także męża. I to nie byle jakiego: kapitana chasseurów. – Szeroko się uśmiechnęła, spoglądając na mnie. – Naprawdę wyszło lepiej, niż kiedykolwiek...

– Dlaczego? – Gapiłem się na pierścionek z perłą na jej palcu. – Dlaczego zadałaś sobie tyle trudu? Dlaczego przejęłaś się możliwą śmiercią Augusta Lyona? Jesteś czarownicą. Tylko byś na tym skorzystała.

Powoli przeniosłem wzrok na jej twarz. Jej rude włosy. Jej duże, niebieskie oczy.

Pojawiło się pewne wspomnienie. Głos Lou odbił się echem w mojej głowie.

Nie bądź głupi. Oczywiście, że czarownice rodzą synów.

Dotarło to do mnie.

Jej uśmiech zgasł.

– Nie mogłabym stać i patrzeć, jak giną niewinni ludzie...

– Trudno nazwać króla niewinnym.

– Nie chodzi tylko o króla. Dziesiątki ludzi umrą...

– Na przykład jego dzieci?

– Tak. Jego dzieci. – Zawahała się, zerkając to na księcia, to na mnie. Pograżała się. – Nie przeżyją żadni potomkowie króla. Arystokracja podzieli się, walcząc o sukcesję. Wiarygodność arcybiskupa już została nadszarpnięta, podobnie jak jego autorytet. Twoja obecność tutaj tylko to potwierdza. Zdziwiłabym się, gdyby król nie zażądał jeszcze audiencji.

Chasseurzy niedługo zostaną pozbawieni przywódcy. Morgane uderzy, gdy nastanie chaos.

Jej słowa docierały do mnie jak przez mgłę. Wąska strużka zrozumienia zmieniała się w powódź. Przeptywała przeze mnie, dodatkowo zaogniając moją wściekłość.

– Zakochałaś się w nim, prawda?

Jej głos podniósł się o oktawę.

– Cóż, mój drogi, to nieco bardziej skomplikowane... – Uderzyłem pięścią w stół, aż podskoczyła. Oprócz wściekłości poczułem wstyd, gdy pokonana spuściła głowę. – Tak.

Zapadła cisza wokół stołu. Jej słowa zapadły we mnie. Przeszły przeze mnie. Beau wyglądał, jakby nie wierzył.

– Nie powiedziałaś mu, że jesteś czarownicą. – Moje słowa były ostre, ale nic nie zrobiłem, by je załagodzić. Ta kobieta nie zasługiwała na moje współczucie.

– Nie. – Wbiła wzrok w swoje dłonie, zacisnęła usta. – Nie powiedziałam. Nigdy mu nie powiedziałam, kim jestem. Nie chciałam go stracić.

– Dobry Boże – powiedział Beau po cichu.

– A Morgane... czy ona was nakryła? – zapytała Coco.

– Nie – odparła łagodnie Madame Labelle. – Ale... szybko zaszłam w ciążę i popełniłam błąd, zwierając się jej. Dawniej byliśmy przyjaciółkami. Najlepszymi. Bliższym niż siostry. Myślałam, że zrozumie. – Przełknęła ślinę i zamknęła oczy. Drżała jej broda. – Byłam głupia. Wyrwała mi go z rąk, gdy się urodził. Mojego pięknego chłopca. Nigdy nie powiedziałam o tym Augustowi.

Beau skrzywił się z niesmakiem.

– Urodziłaś mi brata?

Coco mocno go szturchnęła.

– Co się z nim stało?

Madame Labelle nie otwierała oczu. Jakby nie miała siły na nas patrzeć. Na mnie.

– Nie wiedziałam. Większość dzieci płci męskiej trafia do domów opieki lub sierocińców, jeśli mają szczęście. Ale wiedziałam, że Morgane nigdy nie postąpi tak z moim synem. Wiedziałam, że ukarze go za to, co zrobiłam, co zrobił August. – Westchnęła. Głos jej się trząsł. Kiedy otworzyła oczy, spojrzała wprost na mnie. – Szukałam go wiele lat, ale przepadł.

Przepadł. Skrzywiłem się. Tak też można to ująć.

Jeszcze jeden trafił do śmietnika, gdzie zostawiono go na pewną śmierć.
Zasmuciła się, widząc nienawiść na mojej twarzy.

– Być może już nigdy się nie odnajdzie.

– Rzeczywiście. – Przepęłniała mnie nienawiść. – Nie odnajdzie się.

Wstałem, ignorując ciekawskie spojrzenia pozostałych.

– Straciliśmy tu już dość czasu. Lou może być już w połowie drogi do Chateau le Blanc. A ty – wskazałem czubkiem sztyletu Madame Labelle – zaprowadzisz mnie tam.

– Nas – dodał Ansel. – Ja też idę.

– I ja. – Coco wstała z miejsca.

Beau skrzywił się, ale też się podniósł.

– To chyba oznacza, że ja też idę. Wygląda na to, że jeśli Lou umrze, mnie czeka ten sam los.

– Dobrze – warknąłem. – Musimy ruszyć od razu. Lou wyprzedza nas o wiele mil. Musimy nadrobić stracony czas albo umrze, zanim dotrzemy do Chateau.

– Nie umrze. – Madame Labelle też wstała, ocierając łzy z policzków. Prostując plecy. – Morgane będzie czekała ze złożeniem ofiary. Co najmniej przez czternaście dni.

– Dlaczego? – Wolałbym już nigdy nie musieć rozmawiać z tą kobietą, ale była moją jedyną przewodniczką. Złem koniecznym. – Skąd wiesz?

– Znam Morgane. Jej duma bardzo ucierpiała, kiedy Lou uciekła za pierwszym razem, więc musi mieć pewność, że zgromadzi przy sobie jak najwięcej czarownic, żeby były świadkami jej triumfu. Dla czarownic Boże Narodzenie to Modraniht. Już teraz czarownice z całego królestwa ściągają do Chateau na uroczystości. – Posłała mi znaczące spojrzenie. – Modraniht odbywa się w noc, podczas której czczą swoje matki. Morgane nie omieszka ironicznie wykorzystać tej daty.

– Jak dobrze, że nie mam matki. – Ignorując jej urażoną minę, odwróciłem się na pięcie i przeszedłem obok tancerek o nieobecnych spojrzeniach i pijanych mężczyzn. – Spotykamy się tutaj za godzinę. Sprawdźcie, czy nikt was nie śledzi.

DUSZA PAMIĘTA

Lou

Drewniana podłoga zaskrzypiała, gdy wpadłam w czyjeś ramiona. Ktoś mnie objął, owionął mnie zapach chłodnego, świeżego zapachu eukaliptusa. Zamarłam. Ten zapach nawiedzał mnie w koszmarach przez ostatnie dwa lata.

Otworzyłam oczy, próbowałam się wyrwać, ale ku mojemu przerażeniu moje ciało nie odpowiadało. Byłam sparaliżowana, nie miałam wyboru, musiałam patrzeć w zielone oczy mojej matki. Uśmiechnęła się i pocałowała mnie w czoło. Wzdrygnęłam się.

– Tęskniłam za tobą, kochanie.

– Co ze mną zrobiłaś?

Roześmiała się łagodnie.

– Te zastrzyki są naprawdę niezwykle. Kiedy Monsieur Bernard przyniósł mi jeden, udoskonaliłam jego skład. Wydaje mi się, że moja wersja jest bardziej ludzka. Wpływa tylko na ciało, nie na umysł. – Szeroko się uśmiechnęła. – Myślałam, że z chęcią spróbujesz narkotyku wymyślonego przez swoich przyjaciół. Tak się nad nim napracowali.

Podłoga znowu się zakołysała, rozejrzałam się. Kryty wóz należący do trupy aktorskiej. Przez grube płótno nie przesączało się światło, więc nie wiedziałam, od jak dawna jedziemy. Wyteżyłam słuch, ale miarowe kroki konia były jedynym dobiegającym dźwiękiem. Opuściliśmy miasto.

To nie miało znaczenia. Żadna pomoc nie nadejdzie. Reid wyraził się jasno.

Ogarnął mnie smutek, gdy przypomniałam sobie słowa, jakie wypowiedział na pożegnanie. Chociaż próbowałam się trzymać, po moim policzku pociekła łza. Morgane otarła ją palcem, po czym wsunęła go do ust.

– Moja piękna, kochana dziewczynka. Nigdy nie pozwolę, by ponownie cię skrzywdził. Będziemy patrzeć, jak płonie za to, co ci zrobił, dobrze? Może uda mi się załatwić, byś mogła sama podłożyć ogień pod stos. Czy to by cię uszczęśliwiło?

Krew odpłynęła z mojej twarzy.

– Ręce z daleka od niego.

Uniosła białą brew.

– Zapomniałaś, że to twój wróg, Louise. Ale niczego się nie bój... wszystko zostanie ci wybaczone podczas Modraniht. Spalimy twojego męża tuż przed naszym małym świętem. – Zamilkła, dając mi szansę na reakcję na wzmiankę o Reidzie. Nie zareagowałam. Nie chciałam dać jej tej satysfakcji.

– Pamiętasz to święto, prawda? W tym roku będzie wyjątkowe.

Objęły mnie macki strachu. Tak, pamiętałam Modraniht.

Noc Matek. Dames Blanches z całej Belterry zbierały się w Chateau, żeby ucztować i oddawać cześć swoim przodkiniom, składając im ofiarę. Nie miałam wątpliwości co do tego, na czym będzie polegała moja rola w tym roku.

Jakby czytając mi w myślach, dotknęła mojej szyi. Gwałtownie wciągnęłam powietrze, przypominając sobie ból w miejscu, gdzie mam bliznę, który poczułam, zanim straciłam przytomność. Zaśmiała się.

– Nie martw się. Wyleczyłam tę ranę. Nie mogłam marnować twojej cennej krwi. – Jej włosy połaskotały mnie w twarz, gdy pochyliła się nad moim uchem. – Bardzo sprytnie to zaczarowałaś, trudno było zdekonstruować zaklęcie, ale tym razem cię nie ocali. Już prawie jesteśmy w domu.

– Chateau nie jest moim domem.

– Zawsze byłaś skłonna do dramatyzowania. – Nadal się śmiejąc, pstryknęła mnie w nos, a mnie stanęło serce na widok złotego pierścionka na jej palcu. Zerknęła w to samo miejsce. – Ach, tak. I niegrzeczna również.

– Jak udało ci się... – Krztusząc się słowami, walczyłam z obezwładniającym mnie narkotykiem, ale moje kończyny nadal nie

reagowały.

Morgane nie mogła mieć Pierścienia Angeliki. Nie *mogła*. Potrzebowałam go, żeby bronić się przed jej czarami. Gdybym miała go przy sobie, gdy będzie mnie wykrwawiała, moja krew byłaby bezużyteczna. Czar zostałby przerwany. Umarłabym co prawda, ale Lyonowie by przeżyli. Te *niewinne dzieci* by przeżyły.

Jeszcze bardziej starałam się poruszyć, prawie popękały mi żyły na szyi od wysiłku. Ale im bardziej walczyłam, tym trudniej przychodziło mi mówienie i oddychanie. Moje ciało stawało się zbyt ciężkie. Miałam wrażenie, że ręce i nogi zaraz mi odpadną i przelecą przez podłogę wozu. W panice skupiłam się na wypatrzaniu jakiegokolwiek wzoru, ale złoto migotało tu i tam. Traciło ostrość, rozmywało się pod wpływem narkotyku.

Zakłęłam, moja determinacja szybko rzedła pod wpływem bezradności.

– Naprawdę sądziłaś, że nie poznam własnego pierścienia? – Morgane uśmiechnęła się czule i odgarnęła za ucho kosmyk moich włosów. – Musisz mi jednak powiedzieć, jak udało ci się go znaleźć? I czy to ty mi go ukradłaś? – Kiedy nie odpowiadałam, ciężko westchnęła. – Och, jak ty mnie rozczarowujesz, kochanie. Ucieczka, ukrywanie się, pierścień, chyba wiesz, że to była głupota. – Jej uśmiech zniknął, gdy uniosła moją głowę, trzymając za brodę, a jej oczy świdrowały mnie ze skupieniem drapieżnika. – Na każde zasiane przez ciebie ziarno, Louise, przypada tysiąc moich ziaren. Jesteś moją córką. Znam cię lepiej, niż ty siebie. Nie przechytrzysz mnie, nie uciekniesz ode mnie, nie masz szans na zwycięstwo nade mną.

Zamilkła, jakby czekała na moją odpowiedź, ale nie dałam jej tej satysfakcji. Z całej siły skupiałam się na tym, by poruszyć głowę albo nadgarstkiem, choćby unieść jeden palec. Z wysiłku zrobiło mi się ciemno przed oczami. Przez kilka minut przyglądała się, jak walczę – jej bystre spojrzenie wkrótce zmieniło się w zadumę. Po chwili znowu zaczęła głaskać mnie po włosach.

– I tak kiedyś musimy umrzeć, Louise. Pogódź się z tym. W Modraniht twoje życie wreszcie znajdzie swój cel, a twoja śmierć wyzwoli nasz lud. Powinnaś być dumna. Tylko nielicznych spotyka tak wspaniały los.

Ostatnim, pełnym desperacji wysiłkiem próbowałam ją zaatakować – uderzyć, skrzywdzić, odebrać jej pierścień – ale moje ciało pozostało zimne i bez życia.

Już martwe.

Dni mijały mi na torturach. Choć specyfik sparaliżował moje ciało, nie uśmierzył bólu moich kości. Twarz i nadgarstek uszkodzone podczas ataku czarownicy bez przerwy pulsowały, czułam też ból w szyi, która tyle razy została ostatnio pokłuta.

I pomyślałyby kto, że Andre i Grue byli kiedyś moim największym problemem.

Blade palce Morgane dotknęły mojej szyi, zataczały kręgi wokół siniaków.

– Czy to twoi przyjaciele, kochanie?

Spojrzałam gniewnie i skupiłam się na pieczeniu, które pojawiło się w moich rękach i stopach, pierwszej oznace tego, że specyfik przestaje działać. Jeśli będę szybka, mogę złapać Pierścień Angeliki, stoczyć się z wozu i zniknąć, zanim Morgane zdąży zareagować.

– Kiedyś tak.

– A teraz?

Próbowałam poruszać palcami. Wciąż nic.

– Nie żyją.

Jakby wyczuwając moje intencje, Morgane wyjęła znajomą metalową strzykawkę z torby. Zamknęłam oczy, nieskutecznie próbując powstrzymać drżenie brody.

– Twoje siostry uleczą twoje ciało, gdy dotrzemy do Chateau. Te straszne siniaki muszą zniknąć przez Modraniht. Będiesz cała i zdrowa. – Pomasowała bolący punkt na mojej szyi, przygotowując się do wkłucia. – Czysta jak dziewica.

Otworzyłam oczy.

– Daleko mi do dziewicy.

Zniknął jej przesłodzony uśmiech.

– Chyba nie oddałaś się temu ohydnemu łowcy? – Pociągnęła nosem z niesmakiem. – Och, Louise. Jestem rozczarowana. Czuję go na tobie. – Spojrzała na mój brzuch, przechyliła głowę i jeszcze mocniej zaciągnęła się zapachem. – Mam nadzieję, że się zabezpieczyłaś, kochanie. Bycie matką jest kuszące, ale ta ścieżka nie jest tobie pisana.

Zadrżały mi palce ze złości.

– Nie udawaj, że nie mogłabyś zamordować swojego wnuka.

W odpowiedzi wkłuła mi igłę w szyję. Przygryzłam policzek, żeby nie krzyczeć, bo moje palce ponownie ogarnęło odrętwienie.

– Ceną jest krew. – Tęsknie gładziła moje gardło. – Twoje łono jest puste, Louise. Jesteś ostatnią z mojej linii. Przykro mi... – Pochyliła się i musnęła

ustami moją bliznę. Przypomniałam sobie, że kilka dni temu to samo miejsce całował Reid. Zrobiło mi się słabo. – Z przyjemnością zabiłabym dziecko łowcy.

– Obudź się, kochanie.

Zamrugałam, gdy Morgane wyszeptała te słowa do mojego ucha. Nie miałam pojęcia, ile minęło czasu – minuty, godziny, może dni – gdy w końcu odsłonięto materiał zakrywający wóz. Była noc. Nawet nie próbowałam usiąść.

Morgane wskazała coś daleko przed nami.

– Już prawie jesteśmy w domu.

Widziałam tylko gwiazdy nade mną, ale znajomy dźwięk fal rozbijających się o skały powiedział mi wszystko. Nawet powietrze podpowiadało, gdzie jestem. Było inne od cuchnącego rybą powietrza w Cesarinie: świeże, rześkie, nasycone zapachem sosnowych igieł, soli, ziemi... i odrobiną magii. Głęboko odetchnęłam i zamknęłam oczy. Mimo wszystko ekscytowałam się tym, że jestem tak blisko. Że wreszcie wracam do domu.

Po kilku minutach koła wozu wjechały na drewniany most.

Ten most.

Legendarne wejście do Chateau le Blanc.

Nasłuchiwałam. Wkrótce do moich uszu dotarł cichy, niemal niesłyszalny śmiech, wzmógł się wiatr, śnieg wirował po nocnym niebie. Mogłabym się tego przestraszyć, gdybym nie wiedziała, że wszystko zostało zaplanowane. Morgane miała dryg do dramatyzmu.

Nie musiała się tak starać. Tylko czarownica mogła odnaleźć Chateau. Zamek otaczała stara, potężna magia, którą przez tysiące lat wzmacniały kolejne Dames des Sorcieres. Gdyby sprawy miały się inaczej, pewnego dnia ja również musiałabym ulepszać ten czar.

Zerknęłam na Morgane, która uśmiechała się i machała do ubranych na biało kobiet biegnących bosko obok wozu. Nie zostawiały śladów stóp na śniegu. Ciche widma.

– Siostry – witała je serdecznie.

Cieszyły się złą sławą. Były strażniczkami mostu. Aktorkami w przedstawieniu Morgane. Od czasu do czasu lubiły zwabić jakiegoś przypadkowego mężczyznę na most w nocy.

I utopić go w mętnych wodach.

– Kochanie, spójrz. – Morgane uniosła mnie w swoich ramionach. – To Manon. Pamiętasz ją, prawda? Jako dzieci byłyście nierozłączne.

Moje policzki zapłonęły, głowa opadła mi na ramię. Co gorsza, Manon rzeczywiście była tutaj i stała się świadkiem mojego poniżenia, jej ciemne oczy błyszczały z ekscytacji, gdy biegła koło wozu. Uśmiechała się radośnie i posypywała wóz jaśminem.

Jaśmin. Symbol miłości.

Łzy piekły mnie w oczy. Chciałam płakać – płakać, wściekać się, spalić cały Chateau i jego mieszkanki. Twierdziły, że mnie kochają. Ale przecież Reid także.

Miłość.

Przeklinałam to słowo.

Manon dobiegła do wozu i wspięła się na niego. Na głowie miała wianek z ostrokrzewu, czerwone jagody wyglądały jak krople krwi na tle jej czarnych włosów i skóry.

– Louise! W końcu wróciłaś! – Zarzuciła mi ręce na szyję, moje bezwładne ciało osunęło się na nią. – Bałam się, że nigdy więcej cię nie zobaczę.

– Manon zgłosiła się na ochotnika, żeby towarzyszyć ci w Chateau – powiedziała Morgane. – Czyż to nie urocze? Zawsze dobrze się razem bawiliście.

– Szczerze w to wątpię – mruknełam.

Mahoniowa twarz Manon sposepniała.

– Nie tęskniłaś za mną? Dawniej byłyśmy siostrami.

– Często próbujesz mordować swoje siostry? – warknełam.

Manon miała dość przyzwoitości, by się wzdrygnąć, ale Morgane tylko uszczypnęła mnie w policzek.

– Louise, nie bądź niegrzeczna. Jest strasznie nudno. – Uniosła rękę w stronę Monon, która zawahała się, spojrzała na mnie, po czym pospiesznie ją ucałowała. – A teraz biegnij, dziecko, i przygotuj kąpiel w pokoju Louise. Musimy pozbyć się tej krwi i smrodu.

– Oczywiście, Pani. – Manon ucałowała moje bezwładne ręce, umościła mnie na kolanach Morgane i wyskoczyła z wozu. Czekałam, aż rozplynie się w nocy, zanim się odezwałam.

– Nie musisz się tak wysilać. Nie potrzebuję towarzystwa, ani jej, ani nikogo innego. Po prostu postaw strażę przy moich drzwiach i skończ z tym.

Morgane pozbierała kwiaty jaśminu z podłogi i wplotła mi je we włosy.

– Jakież to niewiarygodnie niemiłe. Ona jest twoją siostrą, Louise, i pragnie spędzać z tobą czas. Bardzo nieładnie odpłacasz jej za miłość.

Znowu to słowo.

– Więc według ciebie to *miłość* kazała jej przyglądać się, jak byłam przywiązywana do ołtarza?

– Masz do niej żal. Ciekawe. – Palcami przeczesywała moje splecione włosy, odgarniała je z mojej twarzy. – Być może gdyby chodziło o stos, tobyś ją poślubiła.

Ścisnęło mnie w żołądku.

– Reid nigdy mnie nie skrzywdził.

Mimo jego wad, uprzedzeń, nigdy nie podniósł na mnie ręki, nawet po ataku czarownicy. Mógłby, ale tego nie zrobił. Zastanawiałam się, co mogłoby się stać, gdybym nie uciekła. Czy zaprowadziłby mnie na stos? Być może zamiast tego przeszyłby moje serce nożem.

Ale już to zrobił.

– Miłość czyni z nas głupców, kochanie.

Wiedziałam, że się ze mną drażni, ale nie potrafiłam trzymać gęby na kłódkę.

– A co ty wiesz o miłości? Kochałaś kiedyś kogoś oprócz siebie?

– Uważaj – powiedziała słodko, ale jej palce znieruchomiały na mojej głowie. – Nie zapominaj, z kim rozmawiasz.

Ale ja nie miałam ochoty na potulność. Nie, zwłaszcza że przede mną pojawiła się wielka, biała sylwetka Chateau, a Pierścień Angeliki zalśnił na jej palcu.

– Jestem twoją córką – powiedziałam ze złością. – A ty mnie złożysz w ofierze jak jakąś krowę...

Odchyliła moją głowę.

– Głośną, pozbawioną szacunku krowę.

– Wiem, że uznajesz to za jedyny sposób. – W moim głosie słychać było desperację, dusiły mnie uczucia, których nie miałam ochoty analizować. Uczucia, które zepchnęłam w niebyt, kiedy podrosłam na tyle, by zrozumieć, jakie plany ma wobec mnie matka. – Ale tak nie jest. Mieszkałam z chasseurami. Można ich zmienić, nauczyć ich tolerancji. Widziałam na własne oczy. Możemy im pokazać inny sposób. Możemy im pokazać, że nie jesteśmy takie, za jakie nas uważają...

– Zostałaś przekabacona, córko. – Ostatnie słowo podkreśliła, szarpiąc mnie za włosy. Poczułam ból, ale nie przejęłam się tym. Morgane musiała się przekonać. Musiała *zrozumieć*. – Bałam się, że tak się stanie. Zatruli twój umysł, podobnie jak zatruli naszą ziemię. – Uniosła moją głowę. – Spójrz na nich, Louise, spójrz na swoich ludzi.

Nie miałam wyjścia, musiałam popatrzeć na czarownice wciąż tańczące wokół nas. Rozpoznawałam niektóre twarze. Innych nie. Wszystkie patrzyły na mnie z nieskrywaną radością. Morgane wskazała dwie siostry o miodowych włosach.

– Rosemund i Sacha. Ich matka spłonęła po urodzeniu dziecka spłodzonego przez arystokratę. One były szóstą i czwartą.

Wskazała małą, ciemnoskórą kobietę ze srebrnymi bliznami pokrywającymi połowę jej twarzy.

– Viera Beauchene uciekła, kiedy próbowali spalić ją wraz z jej żoną; tym razem kwasem, nie ogniem. Taki eksperyment. – Wskazała kolejną. – Genevieve opuściła naszą ziemię ze swoimi trzema córkami, żeby poślubić pastora, zrywając tym samym kontakty z przodkiniami. Jej środkowa córka wkrótce zachorowała. Błagała męża o to, by móc tu powrócić, żeby ją wyleczyć, ale się nie zgodził. Córka umarła. Najstarsza i najmłodsza wciąż jej nienawidzą.

Trzymała mnie za brodę tak mocno, że na pewno pozostaną mi siniaki.

– Opowiedz mi jeszcze raz o swojej tolerancji, Louise. Opowiedz mi jeszcze raz o potworach, których nazywasz przyjaciółmi. Opowiedz mi o czasie, który z nimi spędziłaś, i jak wtedy opluwali twoje cierpiące siostry.

– Matko, przestań. – Po policzkach płynęły mi łzy. – Wiem, że uczynili nam wiele krzywd, i wiem, że ich nienawidzisz. *Rozumiem* to. Ale nie możesz tego zrobić. Nie możemy zmienić przeszłości, ale możemy patrzeć w przyszłość, razem uleczyć rany. Możemy dzielić tę ziemię. Nikt już nie musi umierać.

Jeszcze mocniej ścisnęła moją brodę i pochyliła się nad moim uchem.

– Jesteś *słaba*, Louise, ale nic się nie bój. Nie zadrzy mi ręka. Nie zawaham się. Będą cierpieć tak, jak my cierpiałyśmy.

Puściła mnie, wyprostowała się, wzdychając, a ja stoczyłam się na podłogę wozu.

– Lyonowie pożałują tego, że ukradli naszą ziemię. Ich ludzie będą więc się i rzucać na stosach, a król i jego dzieci zadławią się twoją krwią. Twój *mąż*

też zadławi się twoją krwią.

O mało nie pochłoneła mnie czarna rozpacz, przestałam myśleć racjonalnie. Tu była moja matka – moja *matka* – a to byli jej ludzie. Tam był mój mąż i jego ludzie. Każda strona nikczemna – zupełna odwrotność tego, czym powinna być. Każda strona cierpiąca. Każda zdolna do wielkiego zła.

I byłam też ja.

Słony smak moich łez zmieszał się z jaśminem we włosach, dwie strony tej samej monety.

– A co ze mną, matko? Czy mnie kiedykolwiek kochałaś?

Zmarszczyła brwi, jej oczy zrobiły się ciemne, niemal czarne.

– To nie ma znaczenia.

– Dla mnie ma!

– Wobec tego jesteś głupia – powiedziała zimno. – Miłość to nic innego jak choroba. Ta desperacja, z jaką pragniesz być kochana, jest chorobą. Widzę w twoich oczach, jak cię trawi i osłabia. Zepsuła już twoją duszę. Tęsknisz za jego miłością, podobnie jak za moją, ale żadnej nie dostaniesz. Wybrałaś swoją ścieżkę. – Skrzywiła usta. – Oczywiście, że cię nie Kocham, Louise. Jesteś córką wroga. Zostałaś poczęta dla wyższego celu, a ja tego celu nie zatruję miłością. Twoje narodziny były ciosem dla Kościoła. Twoja śmierć będzie ciosem dla korony. Niedługo jedno i drugie upadnie.

– Matko...

– *Dość* – powiedziała cicho, ostatecznie. To było ostrzeżenie. – Niedługo dotrzemy do Chateau.

Nie mogąc znieść okrutnej obojętności na twarzy matki, zamknęłam oczy. Wkrótce pożałowałam tego. Pod moimi powiekami czaiła się inna twarz.

Nie jesteś moją żoną.

Jeśli ten ból był miłością, to Morgane mogła mieć rację. Być może lepiej by mi było bez niej.

Chateau le Blanc stał na szczycie klifu nad morzem. Zgodnie z nazwą został wzniesiony z białego kamienia, który lśnił w świetle księżyca. Tęsknie na niego spojrzałam, przyglądałam się wąskim, strzelistym wieżom, które dotykały gwiazd. Tam, na najwyższej zachodniej wieży z widokiem na skalistą plażę, znajdował się mój dziecięcy pokój. Serce podeszło mi do gardła.

Kiedy wóz, skrzypiąc, podjechał do wartowni, spuściłam wzrok. Herb rodu le Blanc widniał nad starodawnymi wrotami: wrona z trzema oczami. Jedno dla Panny, jedno dla Matki, jedno dla Staruchy.

Nigdy nie lubiłam tego brudnego, starego ptaszyska.

Gdy brama zamknęła się za nami, poczułam przerażenie. Na zaśnieżonym dziedzińcu panowała cisza, ale wiedziałam, że gdzieś w pobliżu kryją się czarownice. Czułam ich wzrok na sobie – sprawdzający, oceniający. Powietrze aż wibrowało od ich obecności.

– Manon będzie ci towarzyszyła w dzień i w nocy aż do Modraniht. Gdybyś próbowała uciec, zamorduję twojego łowcę i nakarmię cię jego sercem – ostrzegła Morgane, patrząc okrutnie zimnym wzrokiem. – Zrozumiano?

Strach sprawił, że odpowiedź ugrzęzła mi w gardle.

Potaknęła ze słodkim uśmiechem.

– Twoja cisza jest na wagę złota, kochanie. Najbardziej ją lubię podczas naszych rozmów. – Skupiła uwagę na wnęce, której nie widziałam ze swojego miejsca, i coś krzyknęła. W ciągu kilku sekund pojawiły się dwie zgarbione kobiety, które wydawały mi się znajome. Moje stare nianie. – Zaprowadźcie ją do jej pokoju, proszę, i pomóżcie Manon, kiedy zajmie się jej ranami.

Obie ukloniły się z szacunkiem. Jedna wystąpiła do przodu i ujęła moją twarz w swoje zniekształcone dłonie.

– Wreszcie wróciłaś, *maîtresse*. Tak długo czekałyśmy.

– Zostały tylko trzy dni – zaskrzeczała druga, całując mnie w rękę. – Potem dołączysz do Bogini w Krainie Wiecznego Lata.

– Trzy? – zaskoczona spojrzałam na Morgane.

– Tak, kochanie. Trzy. Wkrótce dopełni się twoje przeznaczenie. Przez całą wieczność nasze siostry będą ucztować i tańczyć na twoją cześć.

Przeznaczenie. Cześć.

Tak ładnie to brzmiało w jej ustach, jakbym miała otrzymać jakąś fantastyczną nagrodę owiniętą czerwoną wstążką. Z mojego gardła wydobył się histeryczny śmiech. Przynajmniej krew będzie czerwona.

Jedna z niań z troską przechyliła głowę.

– Dobrze się czujesz?

O ile byłam w stanie ocenić, nie czułam się najlepiej.

Trzy dni. Tyle mi zostało. Zaśmiałam się głośniej.

– Louise. – Morgane pstryknęła mi przed nosem. – Czy coś cię śmieszy?

Zamrugałam, mój śmiech zamarł szybciej, niż się rozpoczął. Za trzy dni będę martwa. Martwa. Bicie serca, chłód nocy na mojej twarzy – to wszystko przestanie istnieć. I ja przestanę istnieć – przynajmniej w obecnej formie. Z piegowatą skórą, niebiesko-zielonymi oczami i tym strasznym bólem brzucha.

– Nie. – Wzniosłam wzrok ku bezchmurnemu niebu, gdzie gwiazdy rozciągały się w nieskończoność. Dawniej sądziłam, że ten widok jest lepszy niż z dachu Soleil et Lune. – Nic mnie nie śmieszy.

Nigdy już nie pośmieję się z Coco. Nie podrażnię Ansela. Nie zjem lukrowanych bułeczek u Pana ani nie wejdę na dach Soleil et Lune, żeby oglądać wschód słońca. Czy w życiu wiecznym są wschody słońca? Czy będę miała oczy, by móc na nie patrzeć?

Nie wiedziałam i to mnie przerażało. Oderwałam wzrok od gwiazd, do rzęs przylgnęły mi łzy.

Za trzy dni zostanę na zawsze rozdzielona z Reidem. W chwili, gdy dusza opuści moje ciało i pójdę tam, dokąd pójdę, Reid nie będzie mógł mi towarzyszyć. Tego bałam się najbardziej.

Gdzie ty pójdiesz, tam ja pójdę, gdzie ty zamieszkas, tam ja zamieszka.

Ale w Krainie Wiecznego Lata nie było miejsca dla łowcy, a dla czarownicy nie było miejsca w niebie. Jeśli którekolwiek z tych miejsc w ogóle istniało.

Czy moja dusza będzie go pamiętała? Jakaś część mnie modliła się, żeby nie, ale reszta czuła taką potrzebę. Głęboką. Miłość to nie tylko kwestia serca i umysłu. Nie chodziło o coś, co się czuje, a potem zapomina. Nie chodziło o to, by być dotykana, ale nie oddawać dotyku. Nie... Nasza miłość była inna. Nie można jej ubrać w słowa. Można było ją poczuć duszą.

Wiedziałam, że będę go pamiętała. Nawet po śmierci będę czuła jego nieobecność, będę tęskniła za tym, by móc z nim być. To było moim przeznaczeniem – wieczna tortura. Chociaż cierpiałam, myśląc o nim, z przyjemnością przyjmę ból, by tylko móc zachować dla siebie choć najmniejszą cząstkę jego. Ból oznacza, że byliśmy ze sobą naprawdę.

Śmierć nie mogła mi go odebrać. Był mną. Nasze dusze były złączone. Nawet jeśli mnie nie chciał, nawet jeśli przeklął moje imię, byliśmy jednym.

Poczułam obejmujące mnie ręce, nianie mnie niosły. Nie interesowało mnie, dokąd mnie zabierają. Nie będzie tam Reida.

A mimo to... będzie tam.

ZWIASTUN

Reid

– Zimno mi – jęczał Beau.

Założyliśmy obozowisko w gaju pradawnych, powykręcanych sosen w La Foret des Yeux. Chmury zasłaniały światło księżyca i gwiazd. Mgła przywierała do naszych płaszczy i koców. Ciężka. Nienaturalna.

Śnieg leżący na ziemi przemoczył moje spodnie. Drżałem i patrzyłem na swoich towarzyszy. Oni też odczuwali skutki zimna: Beau głośno szczekał zębami, usta Ansela zsiniały, po brodzie Coco spływała krew królika. Próbowałem nie patrzeć na jego truchło u jej stóp. Ale to mi się nie udawało.

Zauważając mój wzrok, wzruszyła ramionami.

– Ich krew jest cieplejsza niż nasza – wyjaśniła.

Jakby to była najbardziej naturalna rzecz pod słońcem.

Ansel nie mógł usiedzieć cicho.

– Czy ty... Czy zawsze używasz zwierzęcej krwi do czarów?

Zmierzyła go wzrokiem, zanim odpowiedziała.

– Nie zawsze. Różne czary wymagają różnych dodatków. Tak jak każda Dame Blanche używa unikalnych wzorów, każda Dame Rouge wyczuwa unikalne dodatki. Płatki lawendy usypiają, podobnie jak krew nietoperza lub wiśnie i milion innych rzeczy. To zależy od czarownicy.

– A więc... – Ansel aż zamrugnął, próbując zrozumieć. Spojrzał na martwego królika. – Więc po prostu zjadasz te wiśnie? Czy...

Coco zaśmiała się i uniosła rękaw, żeby pokazać mu blizny krzyżujące się na jej skórze.

– Moja magia mieszka w mojej krwi, Ansel. Wiśnie to wiśnie nawet bez niej. – Zmarszczyła brwi, jakby uświadomiła sobie, że powiedziała za dużo. Przecież przysłuchiwał się nie tylko Ansel. Zarówno Madame Labelle, jak i Beau spijali z jej ust każde słowo. Wstyd mi, ale również się zbliżyłem. – Skąd takie nagłe zainteresowanie?

Ansel odwrócił wzrok i się zaczerwienił.

– Po prostu chciałem się dowiedzieć czegoś o tobie. – Nie mógł się powstrzymać i po kilku sekundach znowu na nią spojrzął. – Czy wszystkie krwawe czarownice wyglądają tak jak ty?

Rozbawiona, pytająco uniosła brew.

– Czy wszystkie są tak oszołamiająco piękne? – Potwierdził gorliwie, a ona się roześmiała. – Oczywiście, że nie. Występujemy w różnych kształtach i kolorach, podobnie jak Dames Blanchés i chasseurzy.

W tym momencie spojrzała na mnie, a ja pospiesznie odwróciłem wzrok.

Beau znowu zajęczał.

– Nie czuję swoich stóp.

– Tak, już o tym wspominałeś – odpyskowała Madame Labelle, przysuwając swój pieńek bliżej mnie. Ku mojej irytacji przez całą podróż się do mnie kleiła. Tak jakby postawiła sobie za punkt honoru, że będzie mi wszystko utrudniała. – Kilka razy. Wszystkim nam zimno. Niewiele pomaga użalanie się nad sobą.

– Ogień by pomógł – marudził.

– Nie – powiedziała stanowczo. – Żadnych ognisk.

Musiałem jej przyznać rację. Ognisko wzbudziłoby niechcianą uwagę. W tych lasach mieszkało wiele nieprzyjaznych stworzeń. Wcześniej zaczął nas śledzić jakiś pokraczny czarny kot – zwiastun nieszczęścia. Chociaż trzymał się na dystans, pierwszej nocy podkradł się do nas i zjadł prawie całe nasze jedzenie.

Jakby w odpowiedzi, Anselowi głośno zaburczało w brzuchu. Wyjąłem ostatni kawałek sera z torby i podałem mu. Otworzył usta, żeby zaprotestować, ale nie dopuściłem go do głosu.

– Jedz.

Zapadła ponura cisza. Chociaż było bardzo późno, nikt jeszcze nie spał. Było za zimno. Coco przysunęła się do Ansel, zapraszając go pod swój koc. Z jękiem włożył pod niego ręce. Beau spojrzął gniewnie.

– Teraz jesteśmy bardzo blisko – powiedziała Madame Labelle, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Zostało nam kilka dni.

– Modraniht przypada za trzy dni – zauważył Beau. – Jeśli wcześniej nie poumieramy z głodu ani nie zamarzniemy.

– Będzie blisko – przyznała Madame Labelle.

– Marnujemy czas – wtrąciłem. – Powinniśmy iść. I tak nikt nie śpi.

Po kilku godzinach Madame Labelle odkryła, że mamy ogon. Dwie zwiadowczynie. Ja i Coco z łatwością się ich pozbyliśmy, ale Madame Labelle nalegała, żeby zmienić szlak.

– Pilnują tej drogi – powiedziała. – Morgane nie chce mieć żadnych niespodzianek.

Musiałem się z nią zgodzić, bo to był jedyny sposób, który nie polegał na wyżynaniu ludzi Lou.

Madame Labelle spojrzała w miejsce, gdzie znowu pojawił się czarny kot. Chodził pomiędzy gałęziami sosny.

– Nie. Zostańmy tutaj. Nie jest dobrze podróżować po lesie w nocy.

Beau spojrzał tam, gdzie my. Zmrużył oczy i skoczył na nogi.

– Zabiję tego kota.

– Nie zabijaj – ostrzegła Madame Labelle. Zawahał się, naburmuszył. – W lesie rzeczy wydają się inne, niż są naprawdę, Wasza Wysokość.

Ze złością usiadł z powrotem na ziemi.

– Przestań tak na mnie mówić. Odmrażam sobie dupę tak samo jak ty. Nie ma w tym niczego wzniosłego....

Zamilkł, gdy Coco gwałtownie uniosła głowę. Wbiła wzrok w coś znajdującego się za mną.

– Co to? – wyszeptał Ansel.

Nie odpowiedziała, odsunęła koc i przeszła na moją stronę. Zerknęła na mnie, przekazując mi ciche ostrzeżenie.

Powoli wstałem.

W lesie było spokojnie. Zbyt spokojnie. Wokół nas wiły się macki mgły... patrzyły i czekały. Byłem napięty do granic możliwości. Coś mnie ostrzegało, że nie jesteśmy już sami. Gdzieś przed nami złamała się jakaś gałązka, przykucnąłem i podpełzłem tam, odsunąłem gałąź sosny i wbiłem wzrok w ciemność. Coco zrobiła dokładnie to samo.

A tam – rzut kamieniem od nas – maszerował oddział dwudziestu chasseurów. Poruszali się cicho mimo mgły. W rękach dzierżyli balisardy.

Czujny wzrok. Napięte mięśnie. Natychmiast rozpoznałem czarnowłosego mężczyznę, który ich prowadził.

Jean Luc.

Ten drań.

Jakby wyczuwając nasze spojrzenia, popatrzył w naszym kierunku, a my szybko się cofnęliśmy.

– Zatrzymać się – powiedział cicho. Jego głos niósł się w tej dziwnej ciszy. Natychmiast stanęli, a on podszedł, wskazując balisardą naszą kryjówkę. – Tam coś jest.

Trzech chasseurów ruszyło na jego rozkaz. Powoli wyjąłem swoją balisardę, nie wiedząc w zasadzie, co chcę z nią zrobić. Jean Luc nie mógł się dowiedzieć, gdzie jesteśmy. Będzie próbował nas zatrzymać albo, co gorsza, pójdzie za nami. Mocniej chwyciłem nóż. Czy naprawdę jestem w stanie zaatakować swoich braci? Rozbrojenie ich to jedna sprawa, ale... jest ich zbyt wielu. Rozbrojenie nie wystarczy. Być może uda mi się zwodzić ich na tyle długo, by pozostali zdążyli się rozpierzchnąć.

Zanim podjąłem jakąś decyzję, obok mnie pojawił się czarny kot i głośno zamiauczał.

Cholera. Coco i ja próbowaliśmy go złapać, ale uciekł i pobiegł wprost na chasseurów. Trzech mężczyzn na przedzie omal nie wyskoczyło ze skóry, ale po chwili ze śmiechem drapali go po głowie.

– To tylko kot, chasseurze Toussaint.

Jean Luc podejrzliwie przyglądał się, jak kot ociera się o ich nogi.

– Nic to coś w La Fôret des Yeux. – Z westchnieniem kazał oddziałowi maszerować dalej. – Chateau może być już blisko. Miejcie oczy otwarte, panowie, i noże w pogotowiu.

Odczekałem kilka minut, zanim odważyłem się oddychać. Ich kroki się oddaliły. Mgła znowu zawirowała.

– Było blisko.

Madame Labelle złożyła ręce i pochyliła się na swoim pieńku. Kot – nasz niespodziewany wybawca – otarł się głową o jej nogi, a ona go pogłaskała.

– Nie zgodzę się z tym.

– To znaczy?

– Nie wiemy, co na nas czeka w Chateau, kapitanie Diggory. W grupie jest siła...

– Nie. – Pokręciłem głową, nie chcąc słuchać jej wywodów. Wróciłem na swoje miejsce przy drzewie. – Oni zabiją Lou.

Gdy niebezpieczeństwo minęło, Ansel zakopał się w kocu.

– Sądzę, że arcybiskup by im nie pozwolił. To jego córka.

– A pozostali? – Przypomniałem sobie złowieszczy uśmiech Jean Luca, to, jak błyszcząły mu oczy na myśl o sekretnej wiedzy. Powiedział braciom czy zachował to dla siebie, ciesząc się niedawno otrzymaną władzą? Może czeka z ujawnieniem tej informacji na właściwą chwilę? – Jeśli któryś z nich podejrzewa, że jest czarownicą, to zabije bez wahania. Możesz jej zagwarantować bezpieczeństwo z ich strony?

– Ale arcybiskup ich ostrzegł – spierał się Ansel. – Powiedział, że jeśli ona zginie, ich spotka ten sam los. Nikt nie zaryzykuje w takiej sytuacji.

– Jeśli nie znają prawdy. – Coco rozcierała ręce na zimnie i usiadła koło niego. Podał jej połę koca, a ona owinęła nią ramiona. – Jeśli Lou umrze przed ceremonią, ta się nie odbędzie. Niebezpieczeństwo zniknie. Rodzina królewska będzie bezpieczna, a czarownica martwa. Zabiliby ją chociażby po to, by pozbyć się jej krwi.

Madame Labelle prychnęła.

– Arcybiskup nigdy by nie wyznał im prawdy. Założę się o moją urodę, że nie powiedział im, że Lou jest czarownicą. Nie po występie Waszych Starszych Sióstr. Konsekwencje byłyby zbyt poważne, ale to nieważne. Tak czy owak August byłby zmuszony do udzielenia mu reprimendy, więc zapewne dlatego on i jego radosna gromadka bigotów tak szybko udali się do lasu. Oddała w czasie to, co nieuniknione.

Nie słuchałem jej. Wciąż mnie prześladował uśmiech Jean Luca. Był blisko. Zbyt blisko.

Mieście oczy otwarte, panowie, i noże w pogotowiu.

Wstałem znowu, bo musiałem to rozchodzić. Dotknąłem każdego noża przy pasie i balisardy przy sercu.

– Jean Luc wie.

– Czyż nie jest twoim najlepszym przyjacielem? – zapytała Coco. – Czy naprawdę zabiłby kobietę, którą kochasz?

– Tak. Nie. – Pokręciłem głową, potarłem kark zmarzniętą dłonią. Nie mogłem się uspokoić. – Nie wiem. I tak nie zaryzykuję.

Madame Labelle niecierpliwie westchnęła.

– Nie bądź uparty, mój drogi. Bez nich będziemy w mniejszości. Jestem pewna, że uda nam się wykraść Lou, zanim Jean Luc ją choćby tknie...

– Nie – uciszyłem ją. – Powiedziałem, że tego nie zaryzykuję. Koniec dyskusji.

Zmrużyła oczy, ale nic nie powiedziała. Mądrze. Pochyliła się, żeby podrapać kota za uchem, i powiedziała coś pod nosem. Zwierzak znieruchomiał, jakby nasłuchiwał, po czym wskoczył we mgłę i zniknął.

DRYFOWANIE

Lou

Gdy się ocknęłam, Manon głaskała mnie po włosach.

– Witaj, Louise.

Chociaż chciałam się odsunąć, moje ciało jedynie lekko się wzdrygnęło. Co gorsza, przed oczami pojawiły mi się gwiazdy, a świat zaczął wirować. Nakazałam sobie głęboko oddychać, skupiłam się na złotym liściu na suficie dokładnie nad moją głową. Był to jeden z wielu metalowych ornamentów zdobiących sufit i szeleszczących na wietrze. Mimo otwartego okna w pokoju było przytulnie i ciepło, każdy płatek zmieniał się w srebrny brokat zaraz po przekroczeniu granicy parapetu.

Kiedyś nazywałam je pyłem księżycowym. Morgane podarowała mi je w szczególnie zimny Samhain.

– Uważaj. – Manon przyłożyła do mojego czoła chłodną szmatkę. – Twoje ciało jest wciąż słabe. Morgane powiedziała, że od kilku dni prawie nic nie jadłaś.

Jej słowa przebiły się przez mgłę w mojej głowie, towarzyszyła mi kolejna fala mdłości. Chętnie nigdy bym już nic nie zjadła, byleby tylko się zamknęła. Wbiłam wzrok w złote światło powoli przesuwające się po pokoju. A więc był ranek. Zostały dwa dni.

– Coś nie tak? – zapytała Manon.

– Gdybym mogła się ruszyć, całą bym cię obrzygała.

Zaśmiała się wyrozumiale.

– Morgane powiedziała, że możesz mieć niepożądane reakcje po leku. Nie jest przeznaczony do tak długiego stosowania.

– Tak go nazywacie? Lekiem? Ciekawe słowo na truciznę.

Nie odpowiedziała, ale po chwili pomachała mi jagodową babeczką przed nosem. Zamknęłam oczy i powstrzymałam odruch wymiotny.

– Idź stąd.

– Musisz jeść, Lou. – Nie przejmując się moimi słowami, usiadła na skraju łóżka i posłała mi czuły uśmiech. – Zrobiłam nawet polewę czekoladową z orzechami; tym razem z cukrem, a nie z solą, jak wtedy.

Kiedy byliśmy dziećmi, Manon i ja uwielbiałyśmy robić dowcipy związane z jedzeniem. Ciasteczka z solą zamiast cukru. Cebule w karmelu zamiast jabłek. Pasta miętowa zamiast lukru.

Nie odwzajemniłam uśmiechu.

Westchnęła i dotknęła dłonią mojego czoła. Na próżno próbowałam się cofnąć, tylko znowu zakręciło mi się w głowie. Skupiłam się na liściu, na oddychaniu przez nos i wydychaniu powietrza przez usta. Tak jak robił Reid, gdy próbował się uspokoić.

Reid.

Zamknęłam oczy. Było mi smutno. Bez Pierścienia Angeliki nikogo nie mogłam ochronić. Lyonowie umrą. Kościół upadnie. Czarownice pokonają królestwo. Mam jedynie nadzieję, że Reid i Ansel uciekną przed jego upadkiem. Być może Coco udzieli im pomocy – mogliby pożeglować gdzieś daleko od Belterry, przez morze do Amaris lub Lustere...

A ja i tak umrę. W nocy, gdy zamek pogrążony był we śnie, pogodziłam się z moim losem. Nawet gdyby Morgane mnie nie otruła, nawet gdyby nie postawiła straży przed drzwiami, a mnie udało się w jakiś magiczny sposób uciec, ona i tak dotrzymałaby obietnicy. Żółć podeszła mi do gardła na myśl o picciu krwi Reida. O jedzeniu jego serca. Zamknęłam oczy i czekałam na powrót spokoju, jaki poczułam w nocy.

Byłam zmęczona uciekaniem. Zmęczona ukrywaniem się. Po prostu byłam... *zmęczona*.

Jakby wyczuwając mój pogarszający się nastrój, Manon zapraszającym gestem uniosła rękę.

– Mogę ci pomóc uśmierzyć ból.

Spojrzałam na nią z niechęcią, ale się zgodziłam. Swoimi łagodnymi palcami badała moje rany. Zamknęłam oczy.

– Dokąd się udałaś? Kiedy uciekłaś z Chateau? – zapytała po chwili.

Niechętnie otworzyłam oczy.

– Do Cesarine.

Dotyk jej palców błyskawicznie uleczył mnie z bólu głowy i brzucha.

– I jak udawało ci się żyć w ukryciu? Przed chasseurami... i nami?

– Sprzedawałam duszę.

Gwałtownie wciągnęła powietrze i zakryła dłonią usta.

– Co?

Przewróciłam oczami i wyjaśniłam.

– Zostałam złodziejką, Manon. Mieszkałam w brudnych teatrach i kradłam jedzenie niewinnym piekarzom. Robiłam złe rzeczy. Zabijałam. Kradłam i oszukiwałam, paliłam, piłam i nawet raz przespałam się z prostytutką. Więc na jedno wychodzi. I tak spłonę w piekle.

Na widok jej oszołomienia zapłonęła we mnie złość. Pieprzyć ją i jej zdanie. Pieprzyć ją i jej pytania.

Nie chciałam o tym rozmawiać. Nie chciałam pamiętać. To życie, rzeczy, które robiłam, żeby przeżyć, ludzie, których kochałam i straciłam w międzyczasie, to wszystko już minęło. Podobnie jak moje życie w Chateau. Spłonęło, pozostał tylko czarny popiół i jeszcze czarniejsza pamięć.

– Chcesz coś jeszcze wiedzieć? – spytałam gorzko. – Nie ma co, nadrabiamy stracony czas. Byłyśmy takimi świetnymi przyjaciółkami. Nadal sypiasz z Madeleine? Jak się ma twoja siostra? Zakładam, że wciąż jest od ciebie ładniejsza?

Jak tylko to powiedziałam, uświadomiłam sobie, że przeholowałam. Jej wyraz twarzy się zmienił, ręce opadły, gwałtownie westchnęła, jakbym ją ugodziła nożem. Mimo złości poczułam wyrzuty sumienia. Pieprzyć to. Pieprzyć.

– Nie zrozum mnie źle – dodałam pokornie – ode mnie też jest ładniejsza...

– Ona nie żyje.

Moja złość zmieniła się w coś ciemnego i złowieszczego. Coś zimnego.

– W zeszłym roku znaleźli ją chasseurzy. – Manon wbiła wzrok w jedno miejsce, w jej oczach pojawił się ból. – Arcybiskup był z wizytą w Amandine. Fleur wiedziała, że musi być ostrożna, ale... jej przyjaciel z wioski złamał rękę. Leczyła go. Chasseurzy szybko wyczuli zapach. Fleur wpadła w panikę i zaczęła uciekać.

Nie mogłam oddychać.

– Spalili ją. Miała jedenaście lat. – Pokręciła głową, zamknęła oczy, jakby nie chciała wracać do wspomnień. – Nie udało mi się jej pomóc, podobnie jak naszej matce. Płakałyśmy, gdy wiatr rozniósł jej prochy.

Jedenaście lat. Spłonęła żywcem.

Chwyciła mnie za rękę, jej oczy lśniły od łez.

– Masz szansę naprawić zło tego świata, Lou. Jak możesz nie chcieć skorzystać z takiej szansy?

– Więc nadal chcesz, żebym umarła – powiedziałam. Poczułam się pusta i pozbawiona emocji.

– Umarłabym i tysiąc razy, żeby odzyskać siostrę – zadeklarowała Manon ostro. Wypuściła moją rękę, próbowała uspokoić oddech, a kiedy znowu się odezwała, jej głos brzmiał o wiele łagodniej: – Zajęłabym twoje miejsce, gdybym mogła, *ma soeur*, każda z nas by to zrobiła. Ale nie możemy. To musisz być ty. – Po jej policzkach pociekły łzy. – Wiem, że proszę o zbyt wiele. Wiem, że nie mam prawa, ale proszę cię, Lou. Proszę, nie ucieknij tym razem. Jesteś jedyną, która może to zakończyć. Jesteś jedyną, która może nas ocalić. Obiecuj mi, że nie będziesz próbowała uciekać.

Patrzyłam na jej łzy. Poczułam ciężar, który nie miał nic wspólnego z zastrzykami. Ścisnął moją pierś, nos, usta – dusił mnie, wciągał pod powierzchnię, kusił zapomnieniem. Poddaniem się. Odpoczynkiem.

Boże, byłam taka zmęczona.

– Obiecuję – powiedziałam bez namysłu.

– Naprawdę?

– Tak. – Mimo łagodnej presji, wzywającej mnie ciemności, zmusiłam się do spojrzenia jej w oczy. Pojawiła się w nich iskra nadziei tak wyraźna, że można się było o nią sparzyć. – Przepraszam, Manon. Nie chciałam, żeby ktokolwiek umierał. Kiedy to... kiedy to się stanie, obiecuję, że poszukam Fleur w świecie wiecznym. A gdy ją znajdę, powiem jej, jak bardzo za nią tęsknisz. Jak bardzo ją kochasz.

Jej łzy popłynęły wartkim strumieniem, ujęła moje dłonie i mocno je ścisnęła.

– Dziękuję, Lou. Dziękuję. Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłaś. Dla nas. Cały ten ból niedługo dobiegnie końca.

Cały ten ból niedługo dobiegnie końca.

Chciało mi się spać.

Nie miałam nic do roboty przez te dwa dni, więc pograżałam się w ciemności.

Zostałam doprowadzona do doskonałego stanu, każdy uraz i wspomnienie ostatnich dwóch lat zostały usunięte z mojego ciała. Perfekcyjny trup. Moje nianie pojawiały się codziennie rano o świcie, żeby pomóc Manon mnie wykąpać, ubrać, ale z każdą wizytą coraz mniej mówiły.

– Umiera na naszych oczach – powiedziała pod nosem jedna z nich, nie będąc w stanie dłużej nie zauważać pustki w moich oczach, niezdrowego koloru mojej skóry. Manon wyprosiła ją z pokoju.

Podejrzewam, że właśnie tak było. Czułam się bliżej Estelli i Fleur niż Manon i nianie. Jedną nogą byłam już w zaświatach. Nawet ból żołądka i głowy niemal minęły, wciąż je odczuwałam, ale jakoś... z oddali. Jakbym istniała poza nimi.

– Czas się ubrać, Lou. – Manon pogłaskała mnie po włosach, w jej ciemnych oczach dostrzegłam smutek. Nie próbowałam się odsunąć przed jej dotykiem. Nawet nie mrugnęłam. Cały czas wpatrywałam się w sufit. – To już dzisiaj.

Zdjęła mi koszulę przez głowę i szybko mnie umyła, ale tak naprawdę na mnie nie patrzyła. Dwa tygodnie marnego jedzenia podczas podróży sprawiły, że wystawały mi kości. Byłam wyniszczona. Jak szkielet.

Cisza się przedłużała, gdy odziewała mnie w białą ceremonialną szatę, którą wybrała Morgane. Identyczną miałam na sobie w swoje szesnaste urodziny.

– Zawsze się zastanawiałam – Manon głośno przełknęła ślinę, zerkając na moje gardło – jak ostatnio udało ci się uciec.

– Oddałam za to życie.

Zamilkła.

– Ale... nie oddałaś. Przecież żyłaś.

– Oddałam życie – powtórzyłam powoli, jakby w letargu. – Nie miałam zamiaru wracać do tego miejsca. – Zerknęłam na nią, po czym znowu skupiłam wzrok na księżycowym pyle na parapecie. – Nie chciałam widzieć was i matki.

– Znalazłaś furtkę. – Lekko się zaśmiała. – Genialne. Twoje symboliczne życie w zamian za życie fizyczne.

– Nie martw się. – Z trudem wypowiedziałam te słowa. Wydawały się gęste, ciężkie i trujące, byłam wykończona. Położyła mnie na poduszkach,

a ja zamknęłam oczy. – Tym razem się to nie uda.

– Dlaczego nie?

Otworzyłam jedno oko.

– Jego nie mogę poświęcić.

Jej spojrzenie padło na mój pierścionek z perłą, nie zadała jednak pytania, a ja niczego nie wyjaśniłam, tylko ponownie zamknęłam oczy. Wydawało mi się, że ktoś puka, ale dźwięk rozchodził się gdzieś daleko.

Kroki. Otwierające i zamykające się drzwi.

– Louise? – Manon. Spojrzałam... ale nie wiedziałam, czy minęły minuty, czy godziny. – Nasza Pani poprosiła, byś zeszła do jej komnat.

Kiedy nic nie odpowiedziałam, założyła sobie moją rękę na ramiona i uniosła mnie z łóżka.

– Zaprowadzę cię przed jej komnaty – wyszeptała. Moje siostry odsuwały się zaskoczone, gdy wyszłyśmy na korytarz. Młodsze odwracały się, żeby na mnie popatrzeć. – Wygląda na to, że masz gościa.

Gościa? Mój umysł natychmiast zareagował i oczami wyobraźni zobaczyłam mglisty obraz zakneblowanego i związanego Reida. Jednak przerażenie też było jakby stłumione. Już mnie tak nie bolało jak dawniej. Byłam już gdzieś daleko.

A przynajmniej tak sądziłam.

Ponieważ kiedy Manon pozostawiła mnie w przedsionku Morgane, drzwi do jej komnaty się otworzyły. Moje serce znowu zaczęło bić, gdy zobaczyłam, co się tam znajduje.

Kto się tam znajduje.

Na kanapie mojej matki nie było zakneblowanego i związanego Reida.

Był arcybiskup.

Drzwi się za mną zatrzasnęły.

– Witaj, kochanie. – Morgane siedziała obok niego i gładziła go palcem po policzku. – Jak się czujesz?

Patrzyłam na niego, ale słyszałam tylko głośnie bicie swojego serca. Jego oczy – niebieskie jak moje, lecz ciemniejsze – były szeroko otwarte, szalone. Krew z rozcięcia na policzku kapała na kneblującą go szmatkę.

Przyjrzałam się. Knebel był oddartym kawałkiem rękawa jego szaty liturgicznej. Morgane dosłownie uciszyła go jego świętą szatą.

W innych czasach, w innym życiu, pewnie bym się roześmiała, widząc nieciekawą sytuację, w jakiej znalazł się arcybiskup. Śmiałabym się

i śmiała, aż by mnie rozboleł brzuch i zakręciło się w głowie. Ale to było kiedyś. Teraz kręciło mi się w głowie z innego powodu. Nie było tu nic zabawnego. Wątpiłam, że kiedykolwiek jeszcze będzie.

– Chodź, Louise. – Morgane wstała i wzięła mnie w ramiona, zaprowadziła w głąb pokoju. – Wyglądasz na wykończoną. Usiądź i ogrzej się przy ogniu. – Posadziła mnie koło arcybiskupa na splewiałej sofie, sama siadła po mojej drugiej stronie. Sofa nie była dość duża na naszą trójkę, więc nasze nogi się stykały. Nie zważając na mój dyskomfort, objęła mnie ramieniem i przyciągnęła moją twarz w zagłębienie swojej szyi. Dusiałam się zapachem eukaliptusa. – Manon mówiła mi, że nie jesz. To bardzo niegrzeczne.

Nie byłam w stanie unieść głowy.

– Nie umrę z głodu przed zapadnięciem nocy.

– Tak sędzę. Jednak źle się czuję, widząc cię taką zabiedzoną. Wszystkim nam źle.

Nie odpowiedziałam. Chociaż z całej siły chciałam powrócić do tej zbawiennej ciemności, coraz bardziej czułam ciężar nogi arcybiskupa. To było zbyt prawdziwe. Jak trzymająca mnie kotwica.

– Z samego rana nakryłyśmy tego godnego pożałowania człowieka. – Morgane popatrzyła na niego z nieskrywanym rozbawieniem. – Szwendał się po La Foret des Yeux. Ma szczęście, że nie utonął w L'Eau Mélancolique. Muszę przyznać, że jestem nieco zawiedziona.

– Nie rozumiem.

– Naprawdę? Myślałam, że to oczywiste. Szukał ciebie. Ale za bardzo oddalił się od swojej bandy łowców. – Chociaż nie śmiałam rozbudzać w sobie nadziei, moje serce aż podskoczyło. Uśmiechnęła się okrutnie. – Tego twojego nie było wśród nich, Louise. Wygląda na to, że umywa od ciebie ręce.

Bolało mniej, niż sądziłam – być może dlatego, że właśnie tego się spodziewałam. Oczywiście Reid z nimi nie poszedł. On, Coco i Ansel zapewne są już gdzieś daleko na morzu, z dala od grożącej im tutaj śmierci.

Morgane uważnie patrzyła, jak zareaguję. Nie była usatysfakcjonowana moim brakiem reakcji. Wskazała arcybiskupa.

– Mam go zabić? Co by cię uszczęśliwiło?

Arcybiskup zwrócił swoje spojrzenie na mnie, ale jego ciało pozostało nieruchome. Czekał.

Patrzyłam na niego. Kiedyś życzyłam temu człowiekowi gwałtownej i bolesnej śmierci. Za wszystkie czarownice, które spalił. Zasłużył na to. Za Fleur. Za Vivienne. Za Rosemund i Sachę. Vierę i Genevieve.

A teraz, gdy Morgane mi to proponowała...

– Nie.

Arcybiskup zrobił wielkie oczy, a na twarzy Morgane pojawił się leniwy, złośliwy uśmiech. Jakby spodziewała się, że tak powiem. Jakby była kotem sprawdzającym pulchną mysz.

– Ciekawe. Wcześniej mówiłaś o tolerancji, Louise. Proszę... pokaż mi ją.

– Szerokim gestem wyjęła knebel z jego ust, a on gwałtownie zaczerpnął powietrza. Patrzyła na nas żarliwie. – Zapytaj go o coś.

Zapytaj go o coś.

Nic nie powiedziałam, więc dla zachęty poklepała mnie w kolano.

– No dalej. Chcesz o coś zapytać, prawda? Byłabyś głupia, gdybyś nie chciała. Teraz masz okazję. Nie dostaniesz kolejnej. Chociaż uszanuję twoją prośbę, by go nie zabijać, to inne tego nie zrobią. Spłonie jako pierwszy, kiedy odzyskamy Belterre.

Uśmiechem dopowiedziała to, czego nie wyraziła słowami. *Ale ty już będziesz martwa.*

Powoli odwróciłam się w jego stronę.

Nigdy nie siedzieliśmy tak blisko. Nigdy wcześniej nie widziałam zielonych cętek w jego oczach, niemal niewidocznych piegów na jego nosie. Moje oczy. Moje piegi. Chciałam mu zadać setki pytań. *Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego mnie nie zabiłeś? Jak mogłeś wyrządzić tyle zła, jak mogłeś mordować niewinne dzieci? Matki, siostry i córki?* Ale znałam już odpowiedzi na te pytania, więc zadałam inne, które pojawiło się teraz:

– Nienawidzisz mnie?

Morgane zaśmiała się i z rozkoszy aż złączyła dłonie.

– Och, Louise! Nie jesteś gotowa usłyszeć odpowiedzi na to pytanie, kochanie. Ale jak chcesz, to słuchaj. – Wbiła palec w rozcięcie na policzku arcybiskupa. Wzdrygnął się. – Odpowiedz.

Siedząc na tyle blisko, by widzieć, jak jego twarz zmienia się pod wpływem różnych emocji, czekałam, aż się odezwie. Powiedziałam sobie, że nie zależy mi na tym, co usłyszę, i być może tak było, ale wojna szalejąca w jego oczach była także moją wojną. Nienawidziłam go. Chciałam, żeby odpokutował za swoje zbrodnie, za swoją nienawiść i zło. A jednak jakaś częśćka mnie nie życzyła mu źle.

Jego usta się poruszyły, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Przynęłam się i usłyszałam szept, kadencja jego głosu zmieniała się, jakby coś recytował. Fragment pisma. Wystraszyłam się.

– „Gdy ty wejdiesz do kraju, który ci daje Pan Bóg twój, nie ucz się popełniania tych samych obrzydliwości jak tamte narody. Nie znajdzie się pośród ciebie nikt, kto by przeprowadzał przez ogień swego syna lub córkę, uprawiał wróżby, gusła, przepowiednie i czary; nikt, kto by uprawiał zaklęcia, pytał duchów... lub czarownicę”. – Popatrzył na mnie, w jego oczach tlił się wstyd i żal. – „Obrzydliwy jest bowiem dla Pana każdy, kto to czyni. Z powodu tych obrzydliwości wypędza ich Pan, Bóg twój, sprzed twego oblicza”.

Poczułam gulę w gardle. Przełknęłam ją, jakby z oddali dotarł do mnie śmiech Morgane.

Oczywiście, że cię nie kocham, Louise. Jesteś córką wroga. Zostałaś poczęta dla wyższego celu, a ja tego celu nie zatruję miłością.

Z powodu tych obrzydliwości wypędza ich Pan, Bóg twój, sprzed twego oblicza.

Nie jesteś moją żoną.

– „A jeśli kto nie dba o swoich – kontynuował coraz śmielej – a zwłaszcza o domowników, wyparł się wiary i gorszy jest od niewierzącego”.

Po moim policzku pociekła łza. Widząc ją, Morgane roześmiała się głośniej.

– Ależ wzruszające. Wygląda na to, że oni wszyscy są niewierzący, prawda, Louise? Najpierw twój mąż, teraz ojciec. Żaden z nich nie dał ci nic prócz złamanego serca. Gdzie tolerancja, o której mówiłaś?

Zamilkła, czekała, aż jedno z nas jej odpowie. Kiedy się nie doczekała, wstała, nie kryjąc zawodu.

– Jestem zdumiona, Louise. Spodziewałam się, że będziesz walczyć.

– Nie będę błagać go o miłość, nie w tym życiu.

Prychnęła.

– Nie o *jego*. Miałam na myśli twój cudowny łowcę.

Zmarszczyłam brwi. Gdzieś w tyle głowy pojawiła się dziwnie niepokojąca myśl. Coś przeoczyłam. Umknęła mi jakaś ważna informacja, której nie mogłam sobie przypomnieć.

– Nie spodziewam się, że przyjdzie tu po mnie, jeśli to masz na myśli.

W jej oczach dostrzegłam niegodziwość.

– Nie to.

– To co? – Intuicja wciąż coś mi podszeptwała.

Krew odpłynęła mi z twarzy. Reid.

Słowa Morgane przedarły się do mnie przez gęstą mgłę mojego umysłu: *Lyonowie pożałują tego, że ukradli tę ziemię. Ich ludzie będą wic się i rzucać na stosach, a król i jego dzieci zadławią się twoją krwią. Twój mąż też zadławi się twoją krwią.*

To oznaczało...

– Wiem, że obiecałam ci, że będziesz mogła podpalić jego stos. – Gadanie Morgane rozproszyło moje myśli. – Ale obawiam się, że jednak nie dostaniesz takiej szansy. W żyłach twojego łowcy płynie krew króla.

Nie. Zamknęłam oczy, skupiłam się na oddychaniu, ale szybko znowu je otworzyłam, gdy ciemność pod powiekami zaczęła wirować. Wysiłkiem woli, nie, dzięki *desperacji*, zmusiłam kończyny do działania. Drżały i trzęsły się, protestując, gdy się potknęłam i opadłam na wyciągnięte ręce Morgane, tam, gdzie znajdował się Pierścień Angeliki...

Złapała mnie i przygarnęła do piersi w chorym uścisku.

– Nic się nie bój, kochanie. Niedługo znowu się z nim spotkasz.

Machnęła ręką i wszystko spowiła ciemność.

OSOBA TOWARZYSZĄCA

Reid

Po południu Madame Labelle wskazała coś nad naszymi głowami.

– Tam jest Chateau le Blanc. – Spojrzeliśmy w miejsce, które pokazała palcem, i zauważyliśmy wysoką górę w oddali. – Powinniśmy dotrzeć tam na samą ucztę.

Musieliśmy wierzyć w jej słowa. Nikt inny nie widział niczego oprócz drzew. Kiedy Beau zaczął marudzić, Madame Labelle wzruszyła ramionami i z gracją usiadła na swoim pieńku, kładąc ręce na kolanach.

– Obawiam się, że to kwestia czarów. Nikt oprócz Dames Blanches nie może go zobaczyć, dopóki nie przekroczy linii czaru. – Widząc zaskoczoną minę Beau, dodała: – Chodzi o most.

Beau otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale przestałem ich słuchać i przeszedłem na skraj naszego ukrytego obozu. W lesie wszystko lekko pachniało magią. Ale tutaj zapach nie był tak ostry, mieszał się z solą i drzewami. Jakby tu było jego miejsce. Zamknąłem oczy i zacząłem głęboko oddychać. W oddali słychać było szum fal. Chociaż nigdy tu nie byłem, to miejsce wydawało mi się znajome... jak Lou.

Odnajdowałem jej obecność we wszystkim – w słońcu przenikającym przez sosny, w strumieniu szmerzącym mimo zimna. Nawet wiatr zdawał się tańczyć. Rozsiewał jej zapach wokół, koił moje napięte nerwy jak balsam.

Tutaj jesteś, mówił. Nie sądziłam, że przyjdiesz.

Obiecałem, że będę cię kochał i chronił.

A ja obiecałam, że będę cię kochać i będę ci posłuszna. Oboje jesteśmy kłamcami...

Otworzyłem oczy i ujrzałem, że stanęła koło mnie Coco. Wpatrywała się w drzewa, jakby i ona prowadziła z nimi niemą rozmowę.

– Czuję jej obecność tutaj. – Z zadumą pokręciła głową. – Znam ją od dziecka, a mimo to... czasami... Zastanawiam się, czy w ogóle ją znam.

Tym mnie zaskoczyła.

– Znacie się z Lou, odkąd byliście dziećmi?

Zerknęła na mnie, jakby zastanawiała się, jak odpowiedzieć na to pytanie. W końcu westchnęła i znowu zagapiła się na drzewa.

– Poznałyśmy się, gdy miałyśmy sześć lat. Ja... odłączyłam się od swojego kowenu. Już wtedy nie dogadywałam się z ciotką... a ona... cóż... Nieważne. Lou mnie znalazła. Połatała mnie, jak umiała, wplotła mi kwiaty we włosy, żeby poprawić mi humor. Kiedy wreszcie przestałam płakać, rzuciła mi w twarz grudką błota. – Uśmiechnęła się do tego wspomnienia. – Naszą przyjaźń utrzymywałyśmy w tajemnicy. Nie powiedziałam nawet ciotce. Na pewno by jej nie pochwałała. Nienawidzi Morgane i Dames Blanches.

– Wygląda na to, że Lou ma talent do zaprzyjaźniania się ze swoimi wrogami.

Coco jakby mnie nie słyszała. Chociaż nadal patrzyła na drzewa, już ich nie widziała.

– Nie wiedziałam, co planują Dames Blanches. Lou nigdy mi o tym nie wspominała. Przez te wszystkie lata nie napomknęła ani słowem. A potem pewnego dnia po prostu... zniknęła. – Tłumiła emocje, spuściła głowę i wbiła wzrok w ziemię. – Gdybym wiedziała, powstrzymałabym je jakoś. Ale nie wiedziałam. Sądziłam, że już nie żyje.

Ogarnęła mnie niewyjaśniona chęć pocieszenia jej, ale zignorowałem ją. To nie była pora na pocieszenie, tylko na słuchanie.

– Ale ją znalazłaś.

Zaśmiała się niewesoło i uniosła głowę.

– Nie. To ona mnie znalazła. W Cesarine. Nie mając Lou, postanowiłam odetchnąć od mojego kowenu, więc spróbowałam swoich sił w kradzieżach kieszonkowych na East Endzie. Byłam beznadziejna. Policja aresztowała mnie już drugiego dnia. Lou spadła z nieba i ocaliła mi tyłek. – Zamilkła i pokręciła głową. – Jakbym zobaczyła ducha. Ducha ze zmasakrowaną

szyją. Strup już odpadł, ale mimo to widok nadal był straszny. – Uniosła rękaw i pokazała mi swoje blizny. – Nawet dla mnie.

Odwróciłem wzrok. Mogłem to sobie wyobrazić. Przed oczami stanęła mi jej srebrna blizna, a po chwili ujrzałem rozplątane gardło martwej czarownicy. Odsunąłem od siebie to wspomnienie, bo zrobiło mi się niedobrze.

– Miałam ochotę ją zabić – powiedziała Coco gorzko. – Albo ucałować.

– Jestem w stanie to zrozumieć. – Uśmiechnąłem się.

– Nawet potem, po wszystkim, nie chciała o tym mówić. Do dzisiaj, *dwa* lata później, nie wiem, co stało się tamtej nocy. Nie wiem, jak uciekła. Nic nie wiem. – Po policzku pociekła jej łza, ale otarła ją ze złością. – Nie chciała do tego wracać. – W końcu spojrzała na mnie pytająco. Nie wiedziałem, o co właściwie pyta. – Musimy ją uratować. – Wiatr się wzmógł, targał jej włosy. Zamknęła oczy i wystawiała głowę do wiatru. Drżała jej broda. – Muszę ją przeprosić.

– Za co? – zdziwiłem się.

Lou nic nie wspominała, że pokłóciła się z Coco. Ale dopiero teraz uświadomiłem sobie, że Lou niewiele mi mówiła. Była niezwykle skryta. Uśmiechy, śmiech, dowcipy, knajpiany język i sarkazm – to były mechanizmy obronne. Tym próbowała zmieniać temat. Dzięki nim nikt nie wnikał w jej sprawy. Nawet Coco.

I ja.

– Powinnam być z nią, kiedy Morgane zaatakowała. Powinnam jej pomóc... Chronić ją. Ale nie było mnie. Ponownie. – Otworzyła oczy i z nagłą pasją odwróciła się do mnie. – Pokłóciliśmy się podczas twojego balu. Powiedziałam jej, żeby się w tobie nie zakochiwała.

– Dlaczego? – To mnie wytrąciło z równowagi.

– To nie tajemnica, że chasseurzy zabijają czarownice. Nie lubię cię, Diggory, i nie będę za to przepraszać. – Przez chwilę wyglądała, jakby ze sobą walczyła. Potem westchnęła ciężko. – Ale nawet ja widzę, jak się starasz. Ty i ja jesteśmy dla Lou największą szansą na przeżycie. Nie wydaje mi się, żeby udało jej się stamtąd uciec po raz drugi.

– Nie doceniasz jej.

– Nieprawda – warknęła. – Jestem realistką. Nie znasz Dames Blanches tak jak ja. To fanatyczki. Nie wiadomo, jakim torturom poddała ją Morgane.

Niepokój zagnieździł się w moim żołądku jak ołów.

– Cokolwiek się stanie – mówiła poważnie – zabierz ją stamtąd. Ja będę martwić się pozostałymi. – Spojrzała przez ramię w miejsce, gdzie siedzieli Madame Labelle, Ansel i Beau. – Madame Labelle raczej nie trzeba będzie pomagać, ale tych dwóch nie da sobie rady.

– Ansel jest szkolony do walki. – Ale w moim głosie brakowało przekonania. Szesnastolatek nie walczył jeszcze poza placem treningowym.

– Podobnie Beau. – Przewróciła oczami. – Ale pierwszy się poszcza, gdy stanie twarzą w twarz z czarami. Żadnego z nich nie chroni balisarda, a tamte czarownice nie są takie jak Lou. Ona wyszła z wprawy, od lat kryła się ze swoją magią. Tamte są doskonale wyszkolone i żadne naszej krwi. Nie zawahają się przed morderstwem.

Wszyscy to powtarzali. Wszyscy mówili, że Lou jest słaba. Ogarniał mnie coraz większy niepokój. Nie wydawała się taka, kiedy przywiązała mnie do czarownicy, kiedy o mało nie złamała mi kręgosłupa i kierowała mną niczym kukłą. Jeśli to było słabe, to pozostałe czarownice muszą posiadać diabelskie moce.

Podeszła do nas Madame Labelle.

– O czym tak szepczecie?

Nie miałem ochoty wyjawiać jej treści tej bolesnej rozmowy, zachowałem się więc jak Lou i zmieniłem temat:

– Jak możemy zaplanować jakąś strategię, skoro nie widzimy murów, które musimy pokonać?

Zarzuciła włosy na ramię.

– Drogi chłopcze, odpowiedziałam wiele razy na to pytanie. Niczego nie będziemy zdobywać. Wejdziemy głównym wejściem.

– A ja już ci powiedziałem, że nie zamierzam zmieniać twarzy.

Madame Labelle wzruszyła ramionami i z udawaną nonszalancją spojrzała na Beau i Ansela.

– Za późno.

Wzdychając z irytacją lub może rezygnacją, spojrzałem tam, gdzie ona. Za nami siedziało dwóch młodych mężczyzn, którzy wyglądali jak obcy mi ludzie. Wyższy uśmiechnął się wstydliwie, więc rozpoznałem w nim Ansela. Nadal miał prosty nos i kręcone włosy, teraz czarne, nie brązowe, ale na tym kończyły się podobieństwa. Beau natomiast zmienił się całkowicie. Pozostał tylko pogardliwy uśmiech.

Unosząc gęste, ciemne brwi zapytał:

– Podoba ci się?

– Zamknij się – syknął Ansel. – Chcesz, żeby czarownice nas usłyszały?

– Nie musisz się obawiać, mój drogi – powiedziała Madame Labelle. – Na razie jesteśmy otoczeni ochronną powłoką. W tej chwili przestajemy istnieć.

– Znowu skupiła uwagę na mnie. Patrzyłem na nią, jakby wyrosła jej trzecia ręka. – A teraz, mój drogi, wyjaśnię ci to po raz ostatni: nie damy rady wejść do Chateau tak, jak planujesz. Wspinanie się po murach czy jakieś inne bzdury, które proponujesz, po prostu nie wypalą. Cały zamek jest chroniony przez liczący tysiąc lat czar, który ma powstrzymywać takie ataki, poza tym Morgane spodziewa się tego po waszych *tetes carrées*. Brutalnej siły. Jeśli tak zrobimy, wpadniemy prosto w jej szpony.

Podszedł Beau.

– Naprawdę ma szpony? – Poczujęm mściwą satysfakcję, kiedy Madame Labelle obdarzyła go kartoflowatym nosem i brodawką na brodzie.

– Jak zmiana twarzy ma nam pomóc w przedostaniu się do środka? – zapytała Coco.

– W takiej postaci może nas rozpoznać. – Madame Labelle wskazała mnie i Beau. – Zwłaszcza was dwóch.

– Dlaczego jego? – zapytał Beau.

– Bo ma prawie dwa metry i rude włosy – odparła Madame Labelle. – I zyskał złą sławę, gdy zabił Estellę i pohańbił ich cenną księżniczkę. Czarownice na pewno o nim słyszały.

Pohańbił ich cenną księżniczkę. Każde słowo było jak cios w serce, ale zmusiłem się do skupienia.

– Mężczyźni nie mogą wchodzić do Chateau, więc jeśli nie zamierzasz zmienić nas wszystkich w kobiety...

– Nie kuś jej – mruknął Beau.

Madame Labelle zaśmiała się i poklepała mnie w łokieć.

– Choć brzmi to niedorzecznie, drogi Reidzie, mężczyźni mogą wchodzić do Chateau jako osoby towarzyszące, zwłaszcza podczas takich świąt jak Modraniht. Każda czarownica przyprowadzi kogoś bliskiego. Nie martw się – zwróciła się do Coco. – Wiele czarownic woli towarzystwo kobiet. Szczerze mówiąc, ciebie będzie łatwiej wprowadzić niż tych osiłków.

– Wiem. Ja też jestem czarownicą, jakbyś zapomniała. – Coco założyła ręce na piersi i posłała Madame Labelle gniewne spojrzenie. – Ale czy oczekujesz, że tanecznym krokiem podejdziemy do wrót i zapytamy, czy któreś czarownice nie potrzebują towarzystwa na wieczór?

– Oczywiście, że nie. Jest mnóstwo czarownic podróżujących przez las. – Kazała nam spojrzeć pomiędzy drzewa, gdzie właśnie pojawiły się trzy kobiety. Młode. Złotowłose. Śmiejące się swobodnie, zupełnie nieświadome tego, że są podglądane. – Ale musimy się pospieszyć. Nie jesteśmy sami, inni też próbują swojego szczęścia.

Jakby na zawołanie za czarownicami pojawił się chudy, młody mężczyzna z bukietem kwiatów. Czarownice zachichotały – rozkosznie i okrutnie – po czym uciekły.

– O, nie. – Madame Labelle parzyła, jak chłopak rzuca bukiet na ziemię. – Aż mi go szkoda. Będzie musiał bardziej się postarać, żeby poderwać czarownicę. Mamy doskonały gust.

Beau aż się zagotował.

– A więc jak mam jakąś poderwać z gębą ropuchy?

– Dzięki diabelnie przystojnym przyjaciółom.

Madame Labelle puściła oko i szybciej, niż sądziłem, że to możliwe, wyjęła balisardę z mojego pasa. Wyciągnęła palec w moją stronę, gdy próbowałem się na nią rzucić, i na środku mojej twarzy pojawiło się dziwne doznanie, które stopniowo się rozprzestrzeniało się – jakby ktoś rozbił mi jajko na nosie. Zaskoczony dotknąłem ręką swoich policzków. Oczu. Ust. Gdy zaczęło spływać po szyi, jeszcze raz próbowałem przeciwstawić się magii.

– Już prawie koniec – powiedziała radośnie Madame Labelle, odskakując ode mnie. Pozostali przyglądali się z uwagą mojej transformacji. Nawet Beau zapomniał się dąsać.

Magia zniknęła, gdy dotarła do końcówek moich włosów. Zapadła cisza, a ja wreszcie wypuściłem wstrzymywane powietrze.

– I jak?

– Co za gówny – powiedział Beau.

Moje włosy zrobiły się czarne. Na policzkach pojawił się zarost. Chociaż nie widziałem pozostałych zmian, świat wyglądał inaczej. Jakbym się skurczył. Zgrzytając zębami, wyrwałem balisardę z rąk Madame Labelle, włożyłem ją na miejsce i poszedłem za złotymi czarownicami.

– Czeka, czeka! – krzyknęła. Niechętnie się odwróciłem, a ona ponownie wyciągnęła rękę. – Oddaj ją.

Popatrzyłem na nią jak na wariatkę.

– Nie ma mowy.

Niecierpliwie machnęła ręką.

– Oddaj. Wydaje się wam, że te nożyki zostały wykute w wodzie święconej, ale ja wiem lepiej. Balisardy powstały z tej samej wody co Pierścień Angeliki. – Wskazała kciukiem coś za swoimi plecami. – W L'Eau Mélancolique. Zrobiła je czarownica.

– Nie. Wykonał je Święty Konstantyn...

– Zrobiła je kochanka Świętego Konstantyna, Angelika – zaprotestowała Madame Labelle. – Pogódź się z tym.

– Skąd wiesz?

Wzruszyła ramionami.

– Czary zawsze mają zapach. Myślisz, że skoro my nie jesteśmy w stanie wyczuć go na waszych balisardach czy Pierścieniu Angeliki, to nie wyczuje ich jakaś mądra czarownica? A Morgane jest mądra. Naprawdę chcesz narazić nas na zdemaskowanie?

Moja ręka bezwiednie dotknęła pasa, palce chwyciły szafirową rękojeść. Uwielbiałem jej gładkość, jej ciężar. Nasze balisardy nie mogą być magiczne. Chroniły nas przed magią. Ale wszystko w moim żałosnym życiu okazało się kłamstwem. Więc dlaczego nie to?

Wyjąłem nóż i spojrzałem w niebo.

– Spodziewasz się, że wejdziemy do Chateau le Blanc nieuzbrojeni? – zapytał Beau.

– Oczywiście, że nie. Weźcie każdą niezaczarowaną broń, jaką chcecie. Tylko balisardę zostaw w obozie. – Uśmiechnęła się słodko. – Zabierzemy ją, gdy uwolnimy Louise.

– Jesteś szalona... – szybko zamilkł, gdy zobaczył, że oddaję balisardę Madame Labelle.

Bez zbędnych przepychanek podążyłem za czarownicami.

Wystarczyło im jedno spojrzenie, po którym zaczęły entuzjastycznie piszczeć.

– Ma taką szczękę, że mógłby ciąć szkło! – głośno skomentowała jedna z nich. Jakby mnie tam w ogóle nie było. A raczej jakbym był cielęcim niezdolnym do zrozumienia tego, co mówią. Starałem się nie okazywać swojej złości, ale poniosłem klęskę.

– Och, patrzcie na jego rzęsy – westchnęła druga. Ta była tak bezczelna, że dotknęła mojej twarzy. Nie poruszyłem się, choć dużo mnie kosztowało powstrzymanie się przed złamaniem jej ręki. – Masz siostrę, przystojniaku?

– Jest mój – powiedziała trzecia szybko, odsuwając jej rękę. – Nie dotykaj go!

– Ja jestem najstarsza – przerwała im pierwsza. – Więc ja wybieram!

Słyszałem, jak Ansel i Beau krztuszą się śmiechem. Miałem ochotę zderzyć ich głowy, przeklinając Madame Labelle za to, że kazała mi działać z nimi w zespole.

– *Mademoiselles*, czy mogę przedstawić moich braci? – zapytałem najłagodniej, jak potrafiłem. Złapałem ich za karki i przyciągnąłem. Wreszcie przestali się głupio śmiać. – To jest Antoine. – Popchnąłem w ich stronę pierwszego lepszego, którym okazał się Ansel. Potem przyszła kolej na Beau. – A to Burke.

Czarownica, której przypadł Beau, zmarszczyła nos. Chociaż Madame Labelle zlitowała się nad nim i usunęła mu brodawkę, w dalszym ciągu był najmniej atrakcyjny z naszej trójki. Niezrażony, lub po prostu głupi, posłał czarownicy czarujący uśmiech, pokazując szczelinę pomiędzy jedynekami. Odsunęła się od niego zde gustowana.

Pierwsza czarownica złapała mnie pod ramię i próbowała przyciągnąć bliżej.

– A ty jak masz na imię, przystojniaku?

– Raoul.

Obmacała moje bicepsy.

– Miło cię poznać, Raoul. Ja jestem Elaina. Byłeś już w Chateau?

Starąłem się wyglądać grzecznie i sympatycznie.

– Nie, ale słyszałem, że jest piękny.

– Podobnie jak jego mieszkanki. – Beau posłał im szelmowski uśmiech. Wszystkie go zignorowały.

– Niedługo się przekonasz! – Czarownica stojąca obok Ansela przepchnęła się obok siostry, żeby złapać mnie pod drugą rękę. – Mam na imię Elodie. Jesteś pewien, że nie masz siostry? – Z nadzieją obejrzała się przez ramię.

– Hej! – zaprotestowała trzecia, kiedy uświadomiła sobie, że nie mam więcej rąk.

– To Elinor – powiedziała niechętnie Elaina. – Ale Elodie ma rację, nie mogłeś wybrać lepszego wieczoru na zaoferowanie swoich usług. Dzisiaj jest Modraniht, a jutro Yule. W tym roku nasza Pani zaplanowała wspaniałe uroczystości...

– Idziemy od samego Sully, żeby wziąć w nich udział... – dodała Elodie.

– ...ponieważ wreszcie wróciła Louise! – dokończyła Elinor. Chwyła Anselę pod rękę i poszła za nami.

Serce mi stanęło, potknąłem się. Dwie pary rąk pomogły mi zachować równowagę.

– Wszystko w porządku? – zapytała Elaina.

– Błado wyglądasz – stwierdziła Elodie.

– Kim jest Louise? – zapytał Beau, posyłając mi ostrzegawcze spojrzenie.

Elinor zmarszczyła nos, gdy na niego spojrzała.

– Louise le Blanc. Córka i dziedziczka La Dame des Sorcierres. Upadłeś na głowę?

– Widocznie. – Beau zrobił głupkowatą minę. – A więc, *mademoiselles*, co nasza sprawiedliwa Pani zaplanowała na wieczór? Jedzenie? Tańce? Uda nam się *spotkać* uroczą Louise?

– *Tobie* nie – powiedziała Elinor. – Ty nigdzie nie idziesz.

Zatrzymałem się w pół kroku.

– Idzie tam, gdzie ja.

Elaina wyduła usta.

– Ale żadna z nas go nie *chce*.

– Jeśli mnie chcecie, to on też idzie. – Wyrwałem swoją rękę, a jej usta wygięły się w podkówkę. W duchu się połajałem. – Proszę. – Założyłem kosmyk złotych włosów za jej ucho i uśmiechnąłem się. – To mój brat.

Wtuliła się w moją dłoń i westchnęła.

– Skoro nalegasz.

Podjęliśmy marsz. Ansel odchrząknął.

– A więc... czego możemy się spodziewać dziś wieczorem?

Elinor uśmiechnęła się z fałszywą skromnością.

– Nie ma czym się niepokoić, Antoine. Dobrze się tobą zajmę.

Ansel zrobił się czerwony.

– Nie, nie o to chodzi...

Elinor roześmiała się i wtuliła w niego.

– Będą niezwykle dary i pomniejszych ofiary. Nasza matka zmarła kilka lat temu, więc zamiast niej uhonorujemy naszą Panią.

– I Boginię, oczywiście – dodała Elodie.

– A potem – dodała entuzjastycznie Elaina – po uczcie i tańcach o północy Morgane złoży ofiarę Bogini.

O północy. Sparaliżował mnie strach.

– Jaką ofiarę?

Elaina pochyliła się konspiracyjnie.

– Swoją córkę. Brzmi strasznie, ale tak będzie. Historia rozegra się na naszych oczach.

Elodie i Elinor zaczęły protestować, że zostały wykluczone, ale ja już ich nie słyszałem. Zaczęło mi dzwonić w uszach, dłonie zacisnąłem w pięści. Beau niewinnie nastąpił mi na piętę. Potknąłem się, wyrwałem z objęć czarownicy i odwróciłem w jego stronę.

– Przepraszam, Raoul. – Wzruszył ramionami i uśmiechnął się swobodnie, ale w jego oczach ujrzałem ostrzeżenie. – Poplątały mi się nogi.

Wzięłem głęboki oddech. Potem kolejny. Zmusiłem się do rozwarcia pięści.

Raz.

Dwa.

Trzy.

– O, patrzcie! – Elinor wskazała coś z lewej strony. Spomiędzy drzew wyszła grupka ludzi. – Ivette i Sabine! Och, nie widziałyśmy się, odkąd byłyśmy małe!

Elaina i Elodie zapiszczały z radości i zaciągnęły mnie z Anselem w stronę nadchodzących. Beau poszedł za nami.

Rozpoznałem Coco, idącą pod rękę z jedną z dziewczyn. Brakowało jeszcze Madame Labelle. Coco posłała mi ukradkowe, zakłopotane spojrzenie, a ja potaknąłem.

– Trzymajcie gęby na kłódkę i oczy szeroko otwarte – ostrzegła nas wcześniej Madame Labelle. – Znajdę was w środku.

Dziwne, niedostatecznie jasne wskazówki. Żadnych dodatkowych wyjaśnień. Żadnych planów awaryjnych. Nasza grupa składająca się z chasseura, nowicjusza, księcia Lyona i krwawej czarownicy szła do Chateau le Blanc bez żadnych planów. Nie tylko Lou straci życie, jeśli coś pójdzie źle.

Elaina przedstawiła mnie swoim przyjaciółkom, po czym złapała mnie za rękę i oparła głowę na moim ramieniu. Obnażyłem zęby w uśmiechu, wyobrażając sobie, że mam koło siebie Lou.

Lou, energiczną i żywą. Pstrykającą mnie w nos i przeklinającą z pasją. Wyobraziłem sobie jej twarz.

To był jedyny sposób, bym mógł iść dalej i nikogo nie udusić.

Elodie z nieskrywanym zainteresowaniem spojrzała na jedną z kobiet obok Coco, po czym poklepała mnie po policzku.

– Przepraszam, misiu. Gdybyś miał siostrę...

Oddaliła się, nie patrząc za siebie, a jej miejsce zajął Ansel. Wykorzystując chwilę, gdy dziewczyny zajęły się paplaniem, szturchnął mnie i wskazał miejsce przed nami, widoczne pomiędzy przerzedzającymi się drzewami.

– Patrz.

Przed nami był most. Niemożliwie długi. Drewniany. Osławiony. Nad nim, na szczycie góry, wznosił się Chateau le Blanc.

Dotarliśmy.

MODRANIHT

Reid

Wszędzie były czarownice.

Zaparło mi dech w piersiach, gdy zaprowadziły mnie na zaśnieżony dziedziniec. Było tam tak tłoczno, że trudno było się poruszać. Gdzie się nie odwróciłem, na kogoś wpadałem. Były tam staruchy, dzieci i kobiety w każdym wieku, kształcie i kolorze – każdej aż błyszczały oczy z radości. Wszystkie były zarumienione. Wszystkie roześmiane. Wszystkie chwaliły pogańską boginię.

Podbiegła do mnie jakaś ciemnowłosa kobieta, stanęła na palcach i pocałowała w policzek.

– Wesółych świąt! – zachichotała i ponownie zniknęła w tłumie.

Następnie podeszła zniedołężniała staruszka z koszykiem zielonych gałęzi. Spojrzałem na nią podejrzliwie, przypominając sobie inną staruchę na rynku, ale ona tylko założyła mi na głowę koronę z jałowca i pobłogosławiła słowami bogini. Wszędzie biegały małe, rozwrzeszczane dziewczynki. Przed oczami śmigały mi ich bose stopy i brudne buzie. Wstążki we włosach.

Istne szaleństwo.

Elaina i Elinor, która opuściła Ansela, kiedy zobaczyła, że Elodie wymieniła go na kogoś innego, pociągnęły mnie każda w inną stronę, chcąc przedstawić komuś, kogo znały. Nawet nie starałem się zapamiętywać imion. Miesiąc temu chciałbym ich śmierci. Teraz, gdy się z nimi witałem, w moim żołądku otwierała się jama. Te kobiety, ze swoimi

ślicznymi uśmiechami i lśniącymi twarzami, chciały śmierci Lou. Przybyły, żeby świętować śmierć Lou.

Hałas stał się nie do zniesienia. Podobnie jak smród magii, najsilniejszy, z jakim dotąd miałem do czynienia.

Próbowałem wyrwać się Elainie z wymuszonym uśmiechem.

– Muszę do łazienki.

Chociaż wzrokiem poszukiwałem Madame Labelle, nie miałem pojęcia, jaką twarz przybrała ani czy w ogóle dostała się do środka.

– Nie możesz! – Elaina złapała mnie mocniej. Słońce już zaszło za zamek, wydłużając cienie na dziedzińcu. – Za chwilę zacznie się uczta!

I rzeczywiście czarownice zaczęły kierować się w stronę drzwi, jakby w odpowiedzi na niesłyszalne wezwanie. Być może naprawdę tak było. Gdy mocno się skupiłem, niemal czułem cichy szept na mojej skórze. Wzdrygnąłem się.

– Oczywiście. – Poddałem się i poszedłem za nią. – To może poczekać.

Ansel i Beau trzymali się blisko mnie. Gdy przechodziliśmy przez most, Coco zniknęła mi z oczu i od tamtego czasu jej nie widziałem. Jej nieobecność była niepokojąca.

Beau odepchnął łokciem grubą czarownicę, żeby się nie zgubić.

– Czy nasza Pani weźmie udział w uczcie?

– Mówi się przepraszam. – W odwecie niemal go stratowała, a on wpadł na mnie.

– Dobry Boże. – Popatrzył na szerokie plecy czarownicy, która wyprzedziwszy nas, przechodziła przez kamienne wrota. Nad nimi misternie wyrzeźbiono fazy księżyca.

– Wydaje mi się, że wybrałeś niewłaściwe bóstwo – mruknąłem.

– Wchodzisz czy nie? – Elinor pociągnęła mnie pod płaskorzeźbę, więc nie miałem innego wyjścia. Musiałem podążyć za nią.

Sala była wielka i pradawna – dłuższa nawet niż sanktuarium w Saint-Cécile. Miała sklepiony sufit oraz gigantyczne belki pokryte śniegiem i listowiem, jakby kawałek dziedzińca przedostał się do środka. Przez łukowate okna do środka wchodziły winorośle. Na ścianach lśnił lód. Przez całą długość sali ciągnęły się drewniane stoły przyozdobione mchem i świecami. Tysiącem świec. Rzuciły miękkie światło na czarownice. Żadna z nich jeszcze nie usiadła. Wszystkie z uwagą wpatrywały się w szczyt stołu. Ja również tam spojrzałem. Odniosłem wrażenie, że nawet powietrze znieruchomiało.

Na tronie z młodych drzewek siedziała Morgane le Blanc.

A obok niej – z zamkniętymi oczami i bezwładnymi członkami – unosiła się Lou.

Głośno wypuściłem powietrze z płuc. Minęły zaledwie dwa tygodnie, a ona bardziej przypominała szkielet niż człowieka. Jej dzikie włosy zostały przycięte i schludnie zaplecione, piegi zniknęły. Jej skóra, dawniej złocista, teraz była biała. Ziemista.

Morgane zawiesiła ją w powietrzu, leżała na plecach, jej ciało zginało się wpół. Palce u rąk i nóg muskały podłogę. Głowa jej opadła do tyłu, eksponując długą, szczupłą szyję. Doskonale było widać bliznę.

Poczułem taką wściekłość, jak jeszcze nigdy w życiu.

Kpiły sobie z niej.

Z mojej żony.

Dwie osoby chwyciły mnie za płaszcz, ale to nie było konieczne. Stałem nienaturalnie spokojnie, nie odrywając oczu od Lou.

Elinor stanęła na palcach, żeby lepiej widzieć. Zachichotała i zasłoniła usta.

– Nie jest tak ładna, jak ją zapamiętałam.

– Ale spójrz, jaka jest szczupła. – Elaina westchnęła.

Odwróciłem głowę, by na nie spojrzeć. Powoli. Ręce na moich plecach były gotowe do działania.

– Spokojnie – wyszeptał Beau za moimi plecami. – Jeszcze nie teraz.

Głęboko odetchnąłem. *Nie teraz*, powtórzyłem sobie.

Nie teraz nie teraz nie teraz.

– Co z wami? – Pomimo gwaru głos Elainy zabrzmiał nienaturalnie głośno. Ostro i nieprzyjemnie.

Zanim odpowiedzieliśmy, Morgane wstała. Natychmiast ucichły wszelkie rozmowy. Uśmiechnęła się do nas, niczym matka trzymająca przed sobą ulubione dziecko.

– Siostry! – Uniosła ręce. – Niech będzie pochwalona!

– Niech będzie pochwalona! – Chórem odpowiedziały czarownice. Na ich obliczach pojawiła się błoga radość. Niepokój stłumił moją wściekłość. Gdzie była Madame Labelle?

Morgane zeszła ze stopnia podwyższenia. Bezradnie patrzyłem, jak Lou unosi się za nią.

– Niech będą pochwalone wasze stopy! – wykrzyknęła Morgane. – Przyniosły was tutaj z daleka!

– Niech będą pochwalone! – Czarownice złożyły ręce i głośno zatupały. Patrząc na nie, poczułem strach pełznący mi po plecach.

Morgane zrobiła kolejny krok.

– Niech będą pochwalone wasze kolana, które uklękają przy świętym ołtarzu!

– Niech będą pochwalone! – Gruba czarownica się popłakała. Beau patrzył na nią, nie kryjąc fascynacji, ale ona nawet tego nie zauważyła. Nikt nie zauważył.

Kolejny krok.

– Niech będą pochwalone wasze łona, bez których by nas nie było!

– Niech będą pochwalone!

Morgane wreszcie zeszła z podestu.

– Niech będą pochwalone wasze piękne piersi!

– Niech będą pochwalone!

Szeroko rozłożyła ręce, odchyliła głowę, jej pierś unosiła się i opadała.

– Niech będą pochwalone wasze usta, którymi wypowiedacie Święte Imiona bogów!

– Niech będą pochwalone! – Czarownice wrzeszczały tak, że bolały uszy.

Morgane opuściła ręce, wciąż ciężko oddychała, a czarownice powoli się uspokajały.

– Witajcie, siostry, wesołego Modraniht! – Ponownie się uśmiechnęła, stając na szczycie środkowego stołu. – Podejdźcie, proszę, częstujcie się jedzeniem i piciem! Dzisiaj mamy co świętować!

Czarownice jeszcze raz zawołały na wiwat, po czym usiadły na krzesłach.

– Osoby towarzyszące nie mogą siadać przy stołach – powiedziała Elaina przez ramię. Sama pospieszyła za siostrami. – *Va-t'en!* Stańcie pod ścianą razem z innymi!

Poczułem ulgę. Szybko dołączyliśmy do pozostałych, stojących przy tylnej ścianie.

Beau skierował nas w pobliże jednego z okien.

– Tam. Zaczyna mnie boleć głowa od kadzideł.

W miejscu, gdzie stanęliśmy, mieliśmy dobry widok na Morgane. Leniwym gestem dłoni kazała wnieść jedzenie. Wkrótce brzdęk sztucców dołączył do śmiechu.

– La Dame des Sorcieres jest niemal zbyt piękna, by na nią patrzeć – powiedziała z zachwytem dziewczyna stojąca obok.

– To na nią nie patrz – warknąłem.

Dziewczyna zamrugła zaskoczona, po czym się oddaliła.

Skupiłem uwagę na Morgane. W ogóle nie przypominała postaci na rysunkach w Wieży Chasseurów. Tak, była piękna, ale również zimna i okrutna – jak lód. Nie miała w sobie ciepła Lou. Były ja noc i dzień, zima i lato, a mimo to widać było pewne podobieństwo. W zarysie szczęki. W determinacji. Obie były pewne siebie, sądząc, że uda im się nagiąć świat do swojej woli.

Kiedyś Lou tak wyglądała. Teraz unosiła się w pobliżu Morgane jakby spała. Obok niej stała jakaś czarownica. Wysoka. Z mahoniową skórą. W czarne włosy miała wpleciony ostrokrzew.

– Biedna – mruknął ktoś koło mnie. Coco. Patrzyła na Lou i tę drugą z nieodgadnioną miną.

Jakaś mała dłoń dotknęła mojego ramienia przez okno. Spojrzałem tam.

– Nie odwracaj się!

Zanim pospiesznie odwróciłem się z powrotem, zauważyłem ciepły odcień włosów oraz intensywnie niebieskie oczy Madame Labelle.

– Wyglądasz tak samo. – Starąłem się jak najmniej poruszać ustami. Coco i ja cofnęliśmy się, aż dotknęliśmy plecami parapetu. Ansel i Beau stanęli po naszych obu stronach, zupełnie zasłaniając Madame Labelle. – Dlaczego się nie zmieniłaś? I gdzie byłaś?

Prychnęła z irytacją.

– Nawet moja moc ma swoje ograniczenia. Po rzuceniu ochronnego czaru na nasz obóz i zmianie wszystkich twarzy, a także utrzymaniu tych zmian jestem wyczerpana. Z trudem zdołałam rozjaśnić swoje włosy, co oznacza, że nie mogę wejść. Ktoś mnie rozpozna.

– O czym ty mówisz? – syknęła Coco. – Lou nigdy nie musiała podtrzymywać wzorów w infirmerii. Ona po prostu je robiła.

– A więc chcesz, żebym zmieniła ci twarz na stałe? – wkurzyła się Madame Labelle. – Nie przeczę, to by było dla mnie o wiele łatwiejsze, gdybyście wszyscy zostali tymi lubieżnymi kretykami...

Zalała mnie krew.

– Lou uprawiała *magię w kościele*?

– Więc jaki jest plan? – wyszeptał Ansel pospiesznie.

Skupiłem wzrok na stołach. Posiłek miał się ku końcowi. Z zewnątrz dobiegała muzyka. Niektóre czarownice już wstały i podeszły do swoich osób towarzyszących. Elaina i Elinor zaraz po mnie wróca.

– Plan jest taki, że macie czekać na mój sygnał – powiedziała zwięźle Madame Labelle. – Poczyłałam już pewne przygotowania.

– Słucham? – Z trudem się powstrzymywałem od tego, żeby się nie odwrócić i jej nie udusić. W tej chwili już nie było czasu na bezsensowne, mgliste instrukcje. Teraz trzeba było się streszczać. Nadeszła pora działania. – Jakie przygotowania? Jaki sygnał?

– Nie ma czasu na wyjaśnienia, ale będziecie wiedzieli, gdy to zobaczycie. Czekają na zewnątrz...

Kto?

Musiałem przerwać rozmowę, ponieważ podeszła do nas Elinor.

– Ha! – krzyknęła triumfalnie. Jej oddech pachniał słodkim winem. Miała zaróżowione policzki. – Wygrałam z nią! To oznacza, że mnie przypadnie pierwszy taniec!

Trochę się opierałem, gdy ciągnęła mnie za sobą, ale kiedy obejrzałem się przez ramię, Madame Labelle już zniknęła.

Tańcowałem z Elinor wokół polany, ale tak naprawdę wcale jej nie widziałem. Kwadrans zabrała nam droga do tego nienaturalnego miejsca ukrytego głęboko w cieniu góry. Przy ziemi snuła się taka sama mgła jak w La Foret des Yeux. Wiła się wokół nóg podczas tańca, dopasowując się do spokojnej melodii. Niemal widziałem dusze dawno zmarłych czarownic tańczące wraz z nią.

Pośrodku polany wznosiły się ruiny świątyni. Morgane siedziała wśród nich z wciąż nieprzytomną Lou i nadzorowała mniejsze ofiary. Obok nich stał kamienny ołtarz. W świetle księżyca aż lśnił.

Mój umysł i moje ciało walczyły ze sobą. Umysł kazał mi czekać na Madame Labelle. Ciało aż świerbiło, by rzucić się pomiędzy Morgane a Lou. Nie mogłem znieść widoku jej ciała, które nie dawało oznak życia. Nie mogłem znieść tego, że unosiła się w powietrzu, jakby była już duszą z mgły.

A Morgane? Nigdy wcześniej tak bardzo nie pragnąłem jej zabić jak teraz, zanurzyć noża w jej gardle i odciąć jej bladej głowy od ciała. Nie potrzebowałem balisardy, żeby ją zabić. Wykrwawi się bez niej.

Jeszcze nie. Czekaj na sygnał.

Gdyby tylko Madame Labelle powiedziała nam, jaki to będzie sygnał.

Muzyka grała bez przerwy, ale nigdzie nie było widać muzyków. Elinor pokornie przekazała mnie Elaine, a ja straciłem rachubę czasu. Straciłem

rachubę wszystkiego oprócz panicznego bicia serca i zimnego nocnego powietrza na skórze. Jak długo mam czekać? Gdzie jest Madame Labelle? Kto ma się pojawić?

Zbyt wiele pytań, za mało odpowiedzi. I wciąż ani śladu Madame Labelle. Panika zmieniła się w rozpacz, gdy ostatnia owca została zaszlachtowana, a czarownice oddawały Morgane swoje talizmany. Drewniane rzeźby. Wiązanki ziół. Bizuterię z hematytu.

Morgane bez słowa patrzyła, jak kładą dary u jej stóp. Odruchowo pogłaskała włosy Lou, gdy ze świątyni wyszła mahoniowa czarownica. Nie słyszałem ich rozmowy, ale oblicze Morgane rozjaśniło się, gdy usłyszała słowa kobiety. Ze złym przecuciem patrzyłem, jak wiedźma wraca do świątyni.

Jeśli coś uszczęśliwiło Morgane, na pewno nie było dobre dla nas.

Elaina i Elinor opuściły mnie, by dołożyć do stosu swoje dary. Rozglądałem się, żeby wypatrzyć coś niepasującego, coś, co można wziąć za sygnał, ale niczego nie dostrzegłem.

Ansel i Coco stanęli obok, ich niepokój był niemal namacalny.

– Nie możemy dłużej czekać – wyszeptał Ansel. – Już prawie północ.

Potaknąłem, przypominając sobie nikczemny uśmiech Morgane. Coś się zbliżało. Nie mogliśmy czekać. Czy Madame Labelle da nam sygnał, czy nie, nadeszła pora na działanie. Spojrzałem na Coco.

– Potrzebujemy czegoś, co odwróci uwagę Morgane od Lou.

– Na przykład krwawej czarownicy? – zapytała ponuro.

Ansel otworzył usta, żeby zaprotestować, ale nie dopuściłem go do głosu.

– To będzie niebezpieczne.

Rozcięła nadgarstek jednym ruchem. Zebrała się ciemna krew, w słodkim powietrzu rozniósł się ostry, gorzki zapach.

– Nie martwcie się o mnie. – Odwróciła się i zniknęła we mgle.

Tak dyskretnie, jak to możliwe, sprawdziłem pas z nożami pod płaszczem.

– Jaką masz broń, Ansel?

Zanim odpowiedział, muzyka nagle się urwała, a na polanie zapadła cisza. Wszyscy spojrzeli w stronę świątyni. Z przerażeniem patrzyłem, jak Morgane wstaje, jej oczy groźnie błyszczały.

Zaczęło się. Naprawdę kończył nam się czas.

Poszedłem za czarownicami, które zbliżyły się jak ćmy do ognia. Złapałem nóż pod płaszczem i przeszedłem na sam początek tłumy. Ansel

poszedł w moje ślady, a Beau dołączył do niego.

Dobrze. Będą się nawzajem chronić. Chociaż jeśli mi się nie uda, nic im nie pomoże.

Celem była Morgane.

Nóż w piersi może odwrócić jej uwagę lepiej niż sztuczka Coco. Jeśli będę miał szczęście, uda mi się ją zabić. Jeśli nie, przynajmniej zyskam dość czasu, by zabrać Lou i uciec. Modliłem się, by innym udało się wymknąć niepostrzeżenie.

– Wiele z was przybyło z daleka, żeby oddać hołd podczas Modraniht. – Morgane mówiła łagodnie, ale jej głos niósł się daleko. Czarownice czekały z zapartym tchem. – Jestem zaszczycona waszą obecnością. Z pokorą przyjmuję wasze dary. Wasza radość dodaje mi skrzydeł. – Przyglądała się twarzom, wydawało mi się, że na dłużej zatrzymała wzrok na mnie. Gdy przeniosła go dalej, odetchnąłem z ulgą. – Wiecie jednak, że dzisiejsza noc to nie tylko zabawa – ciągnęła jeszcze łagodniej. – To noc, kiedy oddajemy cześć naszym matkom. To noc kultu Bogini, tej, która przynosi światło i ciemność, której oddech przynosi życie i śmierć. To ona jest prawdziwą Matką każdej z nas. – Kolejna pauza, tym razem dłuższa, dla podkreślenia wagi słów. – Nasza Matka jest zła. – Niemal przekonał mnie ból widoczny na jej obliczu. – Jej dzieci wiele wycierpiały z rąk mężczyzn. Urządzano polowania na nas. – Teraz mówiła coraz głośniej. – Byliśmy palone. Straciliśmy siostry, matki i córki przez ich *nienawiść i strach*.

Czarownice poruszyły się niespokojnie. Mocniej chwyciłem nóż.

– Dziś w nocy – krzyknęła, unosząc ręce do nieba – Bogini odpowie na nasze modły!

A potem gwałtownie je opuściła, a Lou – nadal w powietrzu, nadal bez oznak życia – stanęła pionowo. Jej stopy zwisały nad podłogą świątyni.

– Ofiara mojej córki sprawi, że Bogini położy kres uciskowi! – Zacisnęła dłoń, a głowa Lou się uniosła. Poczułem mdłości. – Jej śmierć będzie dla nas nowym życiem!

Czarownice tupały i krzyczały.

– Ale najpierw – zanuciła cicho – Dar dla mojej córki.

Jeszcze raz ruszyła ręką i Lou wreszcie otworzyła oczy.

Wahałem się już wystarczająco długo, a gdy zobaczyłem te niebieskozielone, piękne, żywe oczy wielkie od strachu, rzuciłem się do przodu.

Ansel z siłą, o jaką go nie podejrzewałem, złapał mnie za rękę.

– Reid.

Opanowałem się, słysząc ton jego głosu. Chwilę potem zrozumiałem: mahoniowa czarownica pojawiła się ponownie i ze świątyni wyprowadziła inną kobietę – bezwładną i unieruchomioną. Kobietę z blond włosami i przeszywającymi błękitnymi oczami, które desperacko szukały znajomych twarzy w tłumie.

Stałem jak wryty. Nie mogłem się ruszyć.

Moja matka.

– Patrzcie na tę kobietę! – krzyczała Morgane ponad gwarem. – Patrzcie na zdradliwą Helenę! – Chwyciła Madame Labelle za włosy i zepchnęła ją ze schodów świątyni. – Ta kobieta, dawniej nasza siostra, dawniej moja przyjaciółka, konspiruje z ludzkim królem. Urodziła jego bękarta. – Powietrze przeszyły głośnie wrzaski. – Dzisiaj próbowała dostać się do Chateau. Zamierzała ukraść cenny dar dla naszej Matki, chciała sama odebrać życie mojej córce. Wołała, żebyśmy wszystkie spłonęły pod rządami króla tyrana!

Wrzaski były ogłuszające, Morgane patrzyła triumfalnie. Zeszła po schodach i wyjęła zza pasa ostry sztylet.

– Louise le Blanc, córko i dziedziczko la Dame des Sorcierres, zabiję ją na twoją cześć.

– Nie! – Lou szarpała się z całych sił. Po policzkach Madame Labelle płynęły łzy.

Wyrwałem się Anselowi i rzuciłem do przodu, biegłem ku schodom świątyni, pragnąłem ocalić dwie kobiety, których potrzebowałem najbardziej – ale wtedy Morgane zatopiła ostrze sztyletu w sercu mojej matki.

WZÓR

Reid

– NIE! – padłem na kolana obok jej ciała, wyrwałem sztylet z jej piersi, próbowałem zatamować krwawienie dłonią. Ale wiedziałem już, że jest za późno. Że się spóźniłem. Było zbyt dużo krwi, więc rana musiała być śmiertelna. Zaprzestałem więc próżnych zabiegów i po prostu ująłem jej rękę. Cały czas na mnie patrzyła. Patrzyliśmy na siebie nawzajem nienasyconym wzrokiem – jakbyśmy chcieli w tej jednej chwili zawrzeć ich tysiące.

To, jak trzymała mój pulchny paluszek. To, jak opatrywała zadrapane kolano. To, jak się śmiała, gdy po raz pierwszy pocałowałem Celię, i powiedziała, że źle się do tego zabrałem.

A potem ta chwila dobiegła końca. Zimny dotyk jej magii opuścił moją twarz. Jej oddech ustał, zamknęły się oczy.

Ostrze dotknęło mojej szyi.

– Wstań – rozkazała Morgane.

Rzuciłem się na nią, chwyciłem ją za nadgarstek, z łatwością i dziką przyjemnością go zmiażdżyłem. Wrzasnęła, upuściła sztylet, ale ja nie przestawałem. Napierałem na nią. Drugą dłoń położyłem na jej szyi – ścisnąłem dotąd, aż poczułem, że jej tchawica się ugina. Kopnąłem sztylet w stronę Ansela...

Drugą ręką uderzyła mnie w brzuch – zaskoczyła mnie. Niewidzialne więzy otoczyły moje ciało, przymocowały mi ręce do tułowia. Zesztywniały mi nogi. Uderzyła ponownie, przewróciłem się, wierzgając mimo więzów. Im

bardziej walczyłem, tym mocniej się zaciskały. Wbijały się w skórę, ocierały do krwi...

– Matko, przestań! – krzyczała Lou, drżała z wysiłku, próbując mi pomóc, ale jej ciało wciąż wisiało w powietrzu. – Nie rób mu krzywdy!

Morgane nie słuchała. Wydawało mi się, że szuka czegoś wzrokiem. W końcu to znalazła. Jednym mocnym szarpnięciem z tłumu zostały wyciągnięte dwie osoby. Serce mi pękło. Morgane pociągnęła mocniej, a Ansel i Beau upadli na schody świątyni, również walcząc z niewidzialnymi węzłami. Ich twarze wyglądały już normalnie.

– Jej współnicy! – W oczach Morgane pojawiła się iskra szaleństwa, a czarownice ogarnęła żądza krwi: tupaty i krzyczały, próbowały podejść. Przy mojej twarzy świsnęła magia. Ansel krzyknął, gdy czar przeciął mu policzek. – Synowie króla i łowcy! Będą świadkami naszego triumfu! Zobaczą, jak oczyszczamy świat z rodu Lyonów!

Poruszyła zdrową ręką i Lou opadła na ołtarz. Czarownice krzyczały z radości. Rzuciłem się do przodu. Ostatkiem sił wilem się, szarpałem i toczyłem po ziemi w stronę Lou. Więzy znowu się napięły.

– Natura wymaga równowagi! – Morgane schyliła się, żeby podnieść sztylet ze schodów. Kiedy ponownie przemówiła, jej głos stał się niższy, jakby nie z tej ziemi, spotęgowany głosami innych czarownic, które przemawiały przez nią. – Louise le Blanc, twoja krew jest ceną.

Czar objął całą świątynię, palił mnie w nos, trudno mi się myślało. Zacisnąłem zęby. Zmusiłem się do tego, by się przez niego przebić.

Beau natychmiast opadł z sił. Jego oczy zaświeciły się niczym skóra Morgane. Ansel trochę walczył, ale szybko się poddał.

– Wypełnię ten puchar Lyonów, a kto się z niego napije, na pewno umrze. – Morgane powoli zbliżyła się do Lou, jej włosy powiewały, choć nie było wiatru. – Tak jak mówi przepowiednia: jagnię pożre lwa.

Położyła Lou na brzuchu. Szarpnęła ją za warkocz, żeby wyeksponować jej gardło znajdujące się nad rynienką ołtarza. Lou spojrzała mi w oczy.

– Kocham cię – wyszeptwała. Ani jedna łza nie splamiła jej pięknej twarzy. – Będę cię pamiętać.

– Lou! – Krzyknąłem desperacko. To było błaganie i modlitwa w jednym. Gwałtownie szarpnąłem więzy. Poczułem ostry ból, ale udało mi się uwolnić jedną rękę. Uniosłem ją, brakowało mi niewiele do ołtarza, ale wciąż byłem za daleko. Widziałem jakby w zwolnionym tempie, jak Morgane wysoko unosi sztylet. Wciąż lśniła na nim krew mojej matki.

Lou zamknęła oczy.

Nie.

Rozległ się przeraźliwy pisk i Coco rzuciła się na szyję Morgane.

Jej nóż wbił się w miękkie ciało pomiędzy szyją a ramieniem. Morgane krzyknęła, próbując się uwolnić, ale Coco trzymała ją mocno, jeszcze głębiej wbiła ostrze. Próbowwała skosztować krwi Morgane. Gdy czarownica zrozumiała jej intencje, w jej oczach pojawiła się panika.

Minęła cała sekunda, zanim uświadomiłem sobie, że zniknęły krępujące mnie więzy. Wstałem i błyskawicznie dopadłem do Lou.

– Nie! – krzyknęła, gdy próbowałem ją podnieść. – Pomóż Coco! *Pomóż jej!*

Cokolwiek się stanie, zabierz stamtąd Lou.

– Lou... – powiedziałem przez zaciśnięte zęby, ale zagłuszył mnie głośny krzyk. Odwróciłem się dokładnie w chwili, gdy Coco upadła na ziemię. Nie wstawiała.

– Coco! – wrzasnęła Lou.

Zapanował chaos. Czarownice rzuciły się do przodu, ale Ansel wstał i zagroził im drogę – jeden przeciwko setkom. Ku mojemu zdumieniu Beau poszedł w jego ślady, ale nie dzierżył żadnej broni. Zaczął natomiast zdejmować płaszcz i buty, w międzyczasie wzrokiem przeszukując tłum. Kiedy odnalazł grubą czarownicę, pokazał ją palcem i z całych sił wrzasnął:

– ZNACIE LIDDY BIUŚCIASTĄ?

Czarownica zrobiła wielkie oczy, gdy Beau zdjął spodnie i najgłośniejszym głosem, jak się dało, zaczął śpiewać:

– BRZYDKĄ BYŁA NIEWIASTĄ, LECZ CYCKI TO MIAŁA JAK DZBANY.

Stojące najbliżej niego czarownice – wśród nich Elinor i Elaina – zatrzymały się jak wryte. Zaskoczenie sprawiło, że minęła im żądza mordy, tym bardziej że Beau zdjął koszulę przez głowę i śpiewał dalej:

– FACECI PADALI, GDY JE DOSTRZEGALI, LECZ KAŻDY BYŁ IGNOROWANY.

Morgane obnażyła zęby i ruszyła w jego stronę, z jej ramienia spływała krew. Właśnie takiej dywersji potrzebowałem. Zanim zdołała unieść rękę, byłem przy niej. Przyłożyłem jej nóż do gardła.

– Reid! – Tego głosu się tu nie spodziewałem, była to jedyna osoba, która mogła sprawić, że się zawaham w takiej chwili. I rzeczywiście tak się stało.

To był głos arcybiskupa.

Morgane próbowała się odwrócić, ale mocniej przycisnąłem ostrze.

– Tylko rusz ręką, a się przekonasz.

– Powinnam utopić cię w morzu – odpowiedziała, ale się nie poruszyła.

Powoli, ostrożnie, odwróciłem się. Wróciła mahoniowa czarownica, tuż za nią unosił się arcybiskup. Miał dzikie oczy, przepełniała je panika i coś jeszcze. Coś ważnego.

– Reid. – Jego pierś ciężko się unosiła. – Nie słuchaj ich. Cokolwiek się stanie, cokolwiek powiedzą...

Mahoniowa czarownica warknęła, arcybiskup krzyknął.

Ręka mi drgnęła, Morgane syknęła, gdy po jej szyi popłynęła krew. Mahoniowa wiedźma podeszła.

– Puść ją albo on zginie.

– Manon – błagała Lou. – Nie rób tego. Proszę...

– Cicho bądź, Lou. – Wyglądała jak nawiedzona, jakby straciła rozum. Arcybiskup wciąż krzyczał. Żył pod jego skórą pociemniały, podobnie jak język i paznokcie. Patrzyłem na niego z przerażeniem.

Nie widziałem rąk Morgane, dopóki nie chwyciły mnie za nadgarstki. Moja skóra stopiła się pod wpływem gorąca, nóż upadł na ziemię.

Błyskawicznie się schyliła, podniosła go i rzuciła się w stronę Lou.

– NIE! – Z mojego gardła wydobył się dziki, desperacki krzyk, ale ona już opuściła nóż i jednym mocnym cięciem rozplątała gardło Lou.

Przestałem oddychać. Przeraźliwy wrzask wypełnił mi uszy – zobaczyłem wielką, ziejącą ranę i krew spływającą do rynienki. Rzuciła się, w końcu uwolniona od tego, co krępowało jej ruchy, nadal walczyła, chociaż z trudem oddychała. Jednak jej ciało szybko opadło z sił. Zamrugła oczami, po czym je zamknęła.

Straciłem grunt pod nogami. Z oddali dobiegały mnie krzyki, odgłosy stóp, ale tak naprawdę ich nie słyszałem. Nic nie widziałem. Była tylko ciemność – gorzka pustka w świetle, gdzie kiedyś żyła Lou, a teraz już jej nie ma. Wpatrywałem się w nią, pragnąłem, żeby mnie pochłonęła.

I tak się stało. Spadałem coraz niżej, w ciemność, a mimo to nigdzie jej nie widziałem. Zniknęła. Pozostała jedynie połamana muszla i morze krwi.

A ja byłem sam.

Gdzieś w ciemności zalśnił pojedynczy złoty sznur. Wydostał się z piersi Lou i podryfował w stronę arcybiskupa – pulsował w rytm bicia serca. Z każdym uderzeniem lśnił coraz słabiej. Patrzyłem na niego przez chwilę. Od razu wiedziałem, co to jest, znałem go jak brzmienie swojego głosu, jak

swoje odbicie w lustrze. Był znajomy, lecz obcy. Spodziewany, lecz zaskakujący. Od zawsze był częścią mnie, ale nigdy go naprawdę nie znałem.

W tej ciemności coś się we mnie zbudziło.

Nie wahałem się. Nie zastanawiałem. Szybkimi ruchami wyjąłem drugi nóż z za pasa i wyminąłem Morgane. Uniosła ręce – z jej palców buchnął ogień – ale nie czułem płomieni. Złote światło ochroniło moją skórę. Jednak moje myśli się rozpiezchły. Choć moje ciało zyskało nieznaną siłę, mój umysł zawodził. Zachwiałem się, ale złoty sznur wskazywał mi drogę. Przeskoczyłem przez ołtarz.

Arcybiskup otworzył oczy, gdy zdał sobie sprawę z moich zamiarów. W jego ust wydobył się błagalny jęk, ale nie mógł zrobić nic więcej, bo już przy nim byłem.

Bo już zatapiałem nóż w jego sercu.

Życie za życie. Miłość za miłość.

Gdy arcybiskup umierał, w jego oczach wciąż było widać zdumienie.

Złote światło się rozpiezchło, świat znowu stał się wyraźny. Wrzaski zrobiły się głośniejsze. Patrzyłem z otępieniem na martwe ciało arcybiskupa, dopiero krzyk Morgane sprawił, że się odwróciłem. Że poczułem nadzieję. Gdy to zobaczyłem, z ulgi niemal się popłakałem.

Chociaż Lou była wciąż blada, wciąż leżała nieruchomo, to rana na jej szyi się zamykała. Jej pierś unosiła się i opadała.

Żyła.

Z dzikim wrzaskiem Morgane uniosła nóż, żeby otworzyć ranę na nowo, lecz powietrze rozdarła strzała i wbiła się w jej pierś. Znowu krzyknęła, z furią odwróciła się na pięcie, ale natychmiast rozpoznała jej niebieski kolor.

Chasseurzy.

Na polanie pojawił się Jean Luc z oddziałem. Czarownice podniosły paniczny wrzask, rozbiegały się, ale pomiędzy drzewami czekało więcej łowców. Nie mieli litości, cięli zarówno kobiety, jak i dzieci, bez wahania. Ciała padały i rozpyływały się we mgle. W odpowiedzi z samej ziemi rozległo się niesamowite zawodzenie i wkrótce chasseurzy również zaczęli znikać.

Wściekłość wykrzywiała oblicze Jean Luca, gdy z łukiem gotowym do strzału zbliżał się do świątyni. Już nie patrzył na Morgane, patrzył na mnie. Za późno zdałem sobie sprawę, że wciąż ściskam w dłoni rękojeść

noża wbitego w pierś arcybiskupa. Szybko ją wypuściłem – ciało kapłana
zwalilo się na ziemię.

Jean Luc wycelował i strzelił.

LA FORET DES YEUX

Reid

Złapałem Lou i schowałem się za ołtarzem. Ansel i Beau poszli w moje ślady, trzymając między sobą ledwie przytomną Coco. Nad naszymi głowami latały strzały. Morgane większość z nich zmieniała w popiół machnięciem ręki, lecz jedna wbiła się w jej nogę. Krzyknęła z wściekłością.

– Tędy. – Coco wskazała wejście do świątyni. – Jest... drugie wyjście.

Wahałem się zaledwie przez sekundę. Morgane ponownie skupiła się na deszczu strzał. Mogliśmy uciekać teraz lub nigdy.

– Wyprowadź ich. – Włożyłem Lou w ramiona Beau. – Dogonię was.

Zanim zdążył zaprotestować, wybiegłem zza ołtarza po ciało Madame Labelle. Nie przeszły go jeszcze żadne strzały. Jednak nie mogło to trwać bez końca, ponieważ chasseurzy byli coraz bliżej i grad strzał był coraz gęstszy. Jedna z nich świsnęła mi koło ucha. Ująłem Madame Labelle za nadgarstek i wziąłem ją w ramiona. Próbowałem osłonić ją swoim ciałem.

Gdy biegłem do świątyni, ścigał mnie ogień i strzały. Poczułem silny ból w ramieniu, ale nie zwolniłem.

Odgłosy walki ucichły, gdy wszedłem do wygłuszonej świątyni. Ansel, Coco i Beau biegli przede mną i już zbliżali się do wyjścia. Pospieszyłem za nimi, próbując nie zwracać uwagi na ciepłą, mokrą ciecz na ramieniu. Z gardła Madame Labelle wydobył się cichy jęk bólu.

Ona żyje. Żyje.

Nie odwracałem się, by sprawdzić, czy Morgane lub Jean Luc nas gonią. Skupiłem się jedynie na małym prostokącie na końcu świątyni, na podskakujących włosach Coco.

Coco.

Coco może ją uleczyć.

Dogoniłem ich, gdy wchodzili w cień lasu. Nie zwalniali. Złapałem Coco za rękę. Odwróciła się, lecz w jej oczach było zmęczenie i smutek. Pokazałem jej bezwładne ciało Madame Labelle.

– Pomóż jej. Proszę. – Głos mi drżał, oczy płonęły, ale w ogóle się tym nie przejmowałem. Wcisnąłem jej w ramiona swoją matkę. – Proszę.

Ansel się odwrócił.

– Reid, nie pora na... – Był zasapany.

– Proszę. – Patrzyłem jej w oczy. – Ona umiera.

Coco powoli zamrugała oczami.

– Spróbuję.

– Coco, jesteś za słaba! – Beau był czerwony i zasapany, całą drogę niósł Lou. – Ledwie się trzymasz na nogach!

W odpowiedzi uniosła rękę do ust i rozerwała zębami skórę. W powietrzu uniół się ten sam cierpki zapach. Na ustach miała krew.

– To da nam trochę więcej czasu. – Uniosła rękę nad klatkę piersiową Madame Labelle. Patrzyliśmy jak zahipnotyzowani, jak jej krew skwierczy w zetknięciu ze skórą kurtyzany.

Beau z niedowierzaniem przyglądał się ranie, która sama się zasklepiła.

– Jak...

– Nie teraz. – Coco poruszyła nadgarstkiem i pokręciła głową. Za nami rozległ się krzyk jakiegoś mężczyzny. Po początkowej panice wiedźmy musiały zewrzeć szyki. Chociaż już nie widziałem polany, mogłem sobie wyobrazić, jak posługują się jedyną bronią, jaką dysponowały: osobami towarzyszącymi. Ludzkie tarcze przeciw balisardom moich braci.

Coco zerknęła na blade ciało Madame Labelle.

– Musimy szybko odnaleźć nasze obozowisko albo ona umrze.

Nie musiała nam dwa razy powtarzać. Pochyliliśmy głowy i pognaliśmy przez las.

Słońce zaczęło już pojawiać się pomiędzy sosnami, gdy znaleźliśmy nasz obóz. Chociaż Madame Labelle robiła się coraz bledsza, jej pierś wciąż się poruszała. Jej serce nadal biło.

Coco rzuciła się na swój bagaż i znalazła w nim słoik z gęstą, bursztynową cieczą.

– Miód – wyjaśniła, widząc moje pytające spojrzenie. – Krew i miód.

Położywszy Madame Labelle na ziemi, patrzyłem z chorobliwym zainteresowaniem, jak Coco ponownie otwiera ranę na nadgarstku i miesza swoją krew z miodem. Nałożyła ją ostrożnie na obrzęk po ranie na piersi Madame Labelle. Niemal od razu jej oddech stał się głębszy. Na policzki powrócił kolor. Uklęknąłem. Ani przez chwilę nie chciałem patrzeć na nic innego.

– Jak to zrobiłaś?

Coco wyprostowała się, zamknęła oczy i potarła skronie.

– Mówiłam ci. Moja magia pochodzi ze środka. Nie tak jak Lou.

Lou.

Zerwałem się na nogi.

– W porządku z nią. – Po drugiej stronie obozu Ansel trzymał jej głowę na kolanach. Podszedłem do nich i spojrzałem na jej bladą twarz. Na jej rozplataną szyję. Na zapadnięte policzki. – Oddycha. Jej serce mocno bije.

Mimo zapewnień Ansela zwróciłem się do Coco:

– Ją też możesz wyleczyć?

– Nie. – Zerwała się na nogi, jakby coś sobie przypomniała, i wyjęła z torby pęk ziół oraz mózdzierz. – Już ją wyleczyłeś.

– To dlaczego jest nieprzytomna? – warknąłem.

– Daj jej czas. Obudzi się, jak będzie gotowa. – Ciężko, nierówno oddychając, skapnęła kilka kropli krwi z nadgarstka do zmiażdżonych ziół, po czym nałożyła miksturę na palce. Podeszła do Lou. – Posuń się. Ona potrzebuje ochrony. Wszyscy jej potrzebujemy.

Z odrazą spojrzałem na śmierdzącą miksturę i zasłoniłem Lou swoim ciałem.

– Nie.

Tracąc cierpliwość, Coco odepchnęła mnie i zakrwawionym palcem musnęła czoło Lou. Potem Madame Labelle. Potem Beau. Potem Ansela. Patrzyłem na nich z obrzydzeniem i odsunąłem jej rękę, gdy chciała to samo zrobić mnie.

– Nie bądź idiotą, Reid. To szalwia – powiedziała wkurzona. – Najlepsze zabezpieczenie przed Morgane.

– Zaryzykuję.

– Nie. Będiesz jej pierwszym celem, kiedy nie będzie mogła znaleźć Lou... *Jeśli* jej nie znajdzie. – Spojrzała na nieruchomą przyjaciółkę i omal nie upadła. Beau i Ansel wyciągnęli ręce, żeby ją podtrzymać. – Nie wiem, czy mam dość siły, żeby was przed nią strzec.

– Wszystko może pomóc – mruknął Beau.

Puste frazesy. Tak samo znał się na magii jak ja. Otworzyłem usta, żeby mu to powiedzieć, kiedy Ansel głęboko westchnął i dotknął mojego ramienia.

– Zrób to dla Lou, Reid – poprosił.

Nawet nie drgnąłem, gdy Coco dotknęła mojego czoła zakrwawionym palcem.

Ustaliliśmy, że opuścimy obóz najszybciej, jak się da, ale okazało się, że górski stok był równie niebezpieczny jak Chateau. Czarownice i chasseurzy przemierzali las niczym drapieżniki. Kilka razy musieliśmy chować się za drzewami, żeby nas nie nakryli, nie wiedząc, czy ochrona Coco nam pomoże. Pociły nam się dłonie. Drżały nogi.

– Zabiję cię, jak ją upuścisz – syknęła Coco, patrząc na nieprzytomną Lou w moich ramionach. Jakbym mógł ją puścić. Jakbym mógł pozwolić jej odejść.

Przez cały czas nie natknęliśmy się na Morgane.

Czuliśmy jej obecność, ale nikt nie śmiał powiedzieć o tym na głos – jakby ubranie obaw w słowa mogło sprawić, że się ziszczą. Ciągle jednak dręczyły mnie wspomnienia. Moment, gdy zatopiłem ostrze w ciele arcybiskupa. Drugie pchnięcie, gdy wbijałem nóż pomiędzy kości, by przedostać się do jego serca.

Jego oczy – szeroko otwarte, nierozumiejące – kiedy zdradzał go jego przybrany syn.

Spłonę w piekle za to, co zrobiłem. Jeśli w ogóle takie miejsce istniało.

Pierwsza ocknęła się Madame Labelle.

– Wody – zaskrzeczała. Ansel sięgnął po swoją manierkę.

Nic nie mówiłem, gdy piła. Tylko patrzyłem. Przyglądałem się jej. Próbowałem uspokoić walące serce. Podobnie jak Lou była blada i wyglądała niezdrowo, pod niebieskimi oczami pojawiły się zasinienia.

Kiedy w końcu pozwoliła zabrać manierkę, spojrzała na mnie.

– Co się stało?

– Wydostaliśmy się – powiedziałem, wypuszczając powietrze.

– No, widać – zakpiła. – Ale jak?

– My... – Zerknąłem na pozostałych. Jak wiele się domyślali? Ile widzieli? Wiedzieli, że zabiłem arcybiskupa, wiedzieli, że Lou przeżyła, ale czy połączyli te dwa zdarzenia?

Jedno spojrzenie na Coco wystarczyło, bym poznał odpowiedzi. Westchnęła ciężko i podeszła, wskazując Lou.

– Ja się nią zajmę. – Zawahałem się, ale spojrzała na mnie surowo. – Zabierz gdzieś swoją matkę, Reid. Idźcie na spacer. Opowiedz jej wszystko... albo ja to zrobię.

Popatrzyłem na nich, ale nikt nie wydawał się zaskoczony. Ansel w ogóle na mnie nie spojrzał. Poddałem się, gdy Beau bezgłośnie powiedział *miej to już z głowy*.

– Dobrze. – Złożyłem Lou w jej ramionach. – Nie odejdziemy daleko.

Przeniósłem Madame Labelle w miejsce, gdzie nikt nas nie mógł podsłuchać, położyłem ją na najmniejszym kawałku ziemi i sam usiadłem obok.

– No więc jak? – Niecierpliwie wygładziła sukienkę. Jak widać, bliskie spotkanie ze śmiercią sprawiło, że stała się jeszcze bardziej wkurzająca. Dzięki jej irytacji mogłem się skupić na czymś innym niż moje skrępowanie. Kiedy leżała umierająca, a ja się nad nią pochylałem, przekazaliśmy sobie wiele niewypowiedzianych uczuć.

Winę. Złość. Tęsknotę. Żal.

O wiele łatwiej było poradzić sobie z irytacją niż z nimi.

Pokrótkie opowiedziałem jej, co się działo w świątyni, o swojej roli wspominając tylko mimochodem. Ale Madame Labelle była niezwykle bystra. Od razu wyczuła, że coś pomijam.

– Nie mówisz mi wszystkiego. – Przyglądała mi się z zaciśniętymi ustami.

– Co zrobiłeś?

– Niczego nie zrobiłem.

– Nie? – Uniosła brew i podparła głowę na rękach. – Więc, według ciebie, zabiłeś swojego przybranego ojca, człowieka, którego kochałeś, bez żadnego powodu?

Kochałeś. Słyszając czas przeszły, poczułem gulę w gardle. Odchrząknąłem.

– Zdradził nas...

– A potem twoja żona ożyła. Też bez powodu?

– Nigdy nie była martwa.

– A skąd to wiesz?

– Ponieważ... – zacząłem i urwałem, bo uświadomiłem sobie, że nie mogę jej powiedzieć o nici życia łączącej Lou i arcybiskupa. Nie bez ujawniania wszystkiego. Zmrużyła oczy, widząc moje wahanie. Westchnąłem. – Widziałem to... jakoś.

– Jak?

Wbiłem wzrok w buty. Tak się spinałem, że aż mnie bolały ramiona.

– Pojawił się sznur. Łączył ich. Pulsował w rytm bicia jej serca.

Usiadła gwałtownie, aż się skrzywiła z bólu.

– Widziałeś wzór.

Nic nie odpowiedziałem.

– Widziałeś wzór – powtórzyła, jakby samej sobie – i rozpoznałeś go. A potem go użyłeś. Jak? – Mimo osłabienia złapała mnie za rękę ze zdumiewającą siłą. – Skąd to się wzięło? Musisz mi opowiedzieć wszystko, co pamiętasz.

Zaniepokojony objąłem ją ramieniem.

– Musisz wypocząć. Możemy porozmawiać o tym później.

– *Powiedz mi.* – Wbiła paznokcie w moje przedramię.

Spojrzałem na nią z niechęcią. Odpowiedziała tym samym. W końcu, uznając, że się nie ugnie, westchnąłem głośno.

– Nie pamiętam. Wszystko stało się tak szybko. Morgane rozcięła gardło Lou, sądziłem, że już nie żyje, i wtedy ogarnęła mnie ciemność. Nie byłem w stanie jasno myśleć. Po prostu zareagowałem instynktownie. Sznur pojawił się w tej ciemności.

Spojrzałem na swoje dłonie i przypomniałem sobie to ponure miejsce. Byłem tam sam – całkowicie sam. Ta pustka to było piekło z moich wyobrażeń. Zacisnąłem dłonie w pięści. Chociaż zmyłem z nich krew arcybiskupa, niektóre plamy przeniknęły pod skórę.

– Niesamowite. – Madame Labelle puściła moją rękę i położyła się na plecach. – Nie sądziłam, że to możliwe, ale... nie ma innego wyjaśnienia. Sznur... równowaga, którą wyznaczał. Wszystko pasuje. Nie tylko *zobaczyłeś wzór*, lecz mogłeś nim *manipulować*. Nie do pomyślenia... To niesłychane. – Spojrzała na mnie z podziwem. – Reid, masz w sobie magię.

Otworzyłem usta, żeby zaprzeczyć, ale zamknąłem je niemal natychmiast. To nie powinno było się zdarzyć. Lou *powiedziała* mi, że to niemożliwe. A jednak. Byłem naznaczony. Splamiony magią i śmiercią, która szła z nią w parze.

Patrzyliśmy na siebie przez kilka sekund.

– Jak? – Mój głos zabrzmiał bardziej desperacko, niż zamierzałem, ale chciałem poznać odpowiedź, więc nie przejmowałem się swoją dumą. – Jak to się mogło stać?

Podziw w jej oczach zniknął.

– Nie wiem. Wygląda na to, że śmierć Lou wyzwoliła u ciebie magię. – Klepnęła mnie w rękę. – Wiem, że to dla ciebie trudne, ale to wszystko zmienia, Reid. Jesteś pierwszy, ale czy będą inni? A jeśli myliłyśmy się w kwestii naszych synów?

– Nie ma czegoś takiego jak męskie czarownice. – Ale nawet sam nie byłem się w stanie przekonać.

Na jej ustach pojawił się smutny uśmiech.

– A jednak ty nią jesteś.

Odwróciłem wzrok, nie mogłem znieść litości w jej oczach. Zrobiło mi się niedobrze. Gorzej, poczułem się zepsuty. Przez całe życie nienawidziłem czarownic. Polowałem na nie. Zabijałem je. A teraz – za sprawą okrutnego losu – stałem się jednym z nich.

Pierwszą męską czarownicą.

Jeśli istniał Bóg lub Bogini, musieli posiadać parszywe poczucie humoru.

– Czy ona to widziała? – Głos Madame Labelle złagodniał. – Morgane?

– Nie mam pojęcia. – Zamknąłem oczy, ale natychmiast tego pożałowałem. Zbyt wiele twarzy. Jedna w szczególności. Szeroko otwarte oczy. Strach. Niezrozumienie. – Chasseurzy widzieli, jak zabijam arcybiskupa.

– Tak, to może być problematyczne.

Otworzyłem oczy, poczułem świeży ból. Ostry i przenikliwy. Surowy.

– Problematyczne? Jean Luc próbował mnie *zabić*.

– I nadal będzie próbował, jestem pewna. Czarownice również. Wiele z nich zginęło, gdyż kierowała nimi głupia żądza zemsty. Nikt nie zapomni roli, jaką odegrałeś. Zwłaszcza Morgane. – Westchnęła i ścisnęła moją dłoń. – Pozostaje jeszcze kwestia twojego ojca.

Zmroziło mnie jeszcze bardziej.

– Co z nim?

– Dowie się, co stało się w świątyni. Niedługo pozna twoje imię... oraz Lou.

– Nic z tego nie było winą Lou.

– Nieważne, czyja to wina. Krew twojej żony ma moc zgładzenia całego rodu. Naprawdę uważasz, że jakikolwiek człowiek, a co dopiero król, pozwoliłby chodzić wolno takiemu ryzyku?

– Ale ona jest niewinna. – Podskoczył mi puls, serce waliło mi w uszach.

– Nie może uwięzić jej za zbrodnie Morgane...

– A kto mówił o więzieniu? – Uniosła brwi i poklepała mnie po policzku. Tym razem się nie uchylilem. – Będzie chciał jej śmierci, Reid. W płomieniach, żeby Morgane nie mogła użyć jej krwi do swoich celów.

Patrzyłem na nią przez długą chwilę. Udawałem, że jej nie słyszałem. Łudziłem się, że tylko żartowała i zaraz parsknie śmiechem. Może pojawi się *feu follet* i przeniesie mnie do świata realnego. Ale nie. To był mój nowy świat. Poczulem złość niszczącą wszelkie skrupuły, które mi jeszcze pozostały.

– *Ja pierdolę*. Dlaczego wszyscy w całym królestwie próbują zabić moją żonę?

Z gardła Madame Labelle wydostała się bańka śmiechu, ale według mnie to w ogóle nie było zabawne.

– Co zrobimy? Dokąd pójdziemy?

– Pójdziecie ze mną, oczywiście. – Coco wyszła zza dużej sosny i uśmiechnęła się promiennie. – Przepraszam, że podsłuchiwałam, ale pomyślałam, że nie będziecie mieć nic przeciwko, biorąc pod uwagę... – Skinęła na Lou, którą niosła na rękach.

Lou.

Najmniejsze oznaki złości, wątpliwości, nawet zwykłe myśli zniknęły, gdy jej niebiesko-zielone oczy na mnie spojrzwały.

Obudziła się. Obudziła i patrzyła na mnie tak, jakby nigdy wcześniej mnie nie widziała. Podeszedłem, spanikowany, modląc się, żeby miała nietknięty umysł. Żeby mnie pamiętała. Żeby Bóg nie zabawił się okrutnie jej kosztem...

– Reid – powiedziała powoli, z niedowierzaniem. – Czy ty przed chwilą przekląłeś?

A potem pochyliła głowę i zarzygała ściółkę leśną.

LA VOISIN

Lou

– Nic mi nie jest, naprawdę – powtórzyłam po raz setny, ale nie byłam pewna, czy tak jest.

O ile mogłam stwierdzić, moje gardło trzymało się na paskudnie wyglądającej bliźnie, żołądek mi się wywracał od medykamentu, którym poiła mnie matka, nogi miałam odrętwiałe, bo od dawna ich nie używałam, w głowie mi się kręciło od tego, co podsłuchałam.

Reid tu był.

I jest czarownicą.

I powiedział *ja pierdolę*.

Może jednak umarłam. To o wiele bardziej prawdopodobne niż Reid przeklinający z takim zaangażowaniem.

– Na pewno dobrze się czujesz? – dopytywał.

Zupełnie nie przejął się rzygowinami rozpryskującymi się na ziemi, gdy pospieszył do mnie. Niech będzie mu to wynagrodzone. A Coco, być może wyczuwając, że Reid znalazł się na krawędzi, podała mu mnie bez ociągania. Staralam się nie mieć im za złe, że traktowali mnie jak wór ziemniaków. Wiedziałam, że chcieli dobrze, ale mogłam poruszać się o własnych siłach.

Co prawda kręciło mi się w głowie, ale to z powodu bliskości Reida, więc może jednak dobrze, że mnie niósł. Objęłam go mocno za szyję i wdychałam jego zapach.

Tak. To był *bardzo* dobry pomysł.

– Na pewno.

Reid westchnął z ulgą, po czym zamknął oczy i położył głowę na mojej głowie.

Madame Labelle i Coco uśmiechnęły się znacząco.

– Moja droga, mam ochotę rozprostować nogi. Czy zechciałabyś mi towarzyszyć?

Coco się zgodziła i pomogła Madame Labelle wstać. Chociaż Coco ją podtrzymywała, kobieta zbladła z wysiłku. Reid otworzył oczy i z troską zbliżył się do nich.

– Wydaje mi się, że raczej nie powinnyście spacerować.

Madame Labelle uciszyła go jednym spojrzeniem. Byłam pod wrażeniem i zapamiętałam sobie to spojrzenie, by móc je kiedyś wykorzystać.

– Bzdura. Moje ciało musi sobie przypomnieć, jak to jest być ciałem.

– Prawda – wymamrotałam.

Reid popatrzył na mnie z troską.

– Ty też chcesz spacerować?

– Nie. Mnie tu jest całkiem wygodnie, dziękuję.

– Porozmawiamy później. – Coco przewróciła oczami, ale uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Zróbcie mi tę przyjemność i odsuńcie się tak, bym was nie słyszała. Tej rozmowy nie mam ochoty podsłuchiwać.

Kilkakrotnie uniosłam brwi.

– Lub też braku rozmowy.

Madame Labelle skrzywiła się z niesmakiem.

– I o to właśnie mi chodzi. Cosette, prowadź, proszę, szybko.

Spowaźniałam, gdy oddaliły się, mocno powłócząc nogami. Po raz pierwszy znalazłam się sam na sam z Reidem od... tego wszystkiego. On też wyczuł nagłą zmianę nastroju pomiędzy nami. Spiał mięśnie, jakby przygotowywał się do ucieczki lub walki.

Przecież to było niedorzeczne. Nie chciałam się sprzeczać. Po wszystkim, co przeszłam, co przeszliśmy, miałam dość kłótni co najmniej do końca życia. Uniosłam brwi i położyłam dłoń na jego policzku.

– *Couronne* za twoje myśli?

Zaniepokojone niebieskie spojrzenie odszukało moje oczy, ale Reid nic nie powiedział.

Niestety dla Reida, nigdy nie byłam osobą, która wytrzymałaby długo w milczeniu. Nadąsałam się i opuściłam rękę.

– Wiem, że to dla ciebie trudne, Reid, ale spróbuj nie utrudniać tego jeszcze bardziej.

Zadziałało. W jego oczach pojawiło się życie.

– Dlaczego się na mnie nie gniewasz?

Och, Reid. W jego oczach zalśniła nienawiść, ale nie do mnie, jak dawniej. Do samego siebie. Oparłam głowę na jego piersi.

– Nie zrobiłeś nic złego.

Pokręcił głową, objął mnie mocniej.

– Jak możesz tak mówić? Pozwoliłem ci... wkroczyć w sam środek tego wszystkiego. – Omiótł wzrokiem okolicę, po czym ze smutkiem spojrzał na moją szyję. Przełknął ślinę. – Przyrzekałem, że cię ochronię, ale opuściłem cię przy pierwszej okazji.

– Reid. – Nie chciał mi spojrzeć w oczy, więc ponownie ujęłam jego twarz.

– Widziałam, kim jesteś. Wiedziałam, w co wierzysz... a i tak się w tobie zakochałam.

Zamknął oczy, nadal kręcił głową, po jego policzku pociekła łza. Zrobiło mi się przykro.

– Nigdy nie miałam ci tego za złe. Naprawdę. Reid, posłuchaj mnie. Słuchaj. – Niechętnie otworzył oczy, zmusiłam go, żeby spojrzał na mnie, pragnęłam bowiem, żeby mnie zrozumiał. – Kiedy byłam dzieckiem, postrzegałam świat w bieli i czerni. Łowcy byli wrogami. Czarownice przyjaciółkami. My byłyśmy dobre, oni źli. Nie było niczego pomiędzy. A potem matka próbowała mnie zabić i nagle ten klarowny świat się rozpadł. – Otarłam łzę z jego policzka. – Możesz sobie wyobrazić moją rozpacz, kiedy pojawił się wyjątkowo wysoki, miedzianowłosy chasseur i rozniósł w pył wszystko, w co jeszcze wierzyłam.

Usiadł na ziemi i pociągnął mnie za sobą. Ale ja jeszcze nie skończyłam. Zaryzykował dla mnie wszystko, pojawiając się w Chateau. Wybrał mnie i porzucił swoje życie, swoje przekonania. Nie zasługiwałam na to. Ale i tak dziękowałam Bogu.

– Po tym, gdy przeciągnęłam cię przez tę kurtynę – wyszeptałam – powiedziałam, że powinieneś spodziewać się, że zachowam się jak kryminalistka. Nie wyznałam, że jestem czarownicą, ponieważ słuchałam instynktu. Sądziłam, że zachowasz się jak chasseur, ale było inaczej. Nie zabiłeś mnie. Pozwoliłeś mi odejść. – Chciałam zabrać rękę, ale on ją złapał i przytrzymał przy swojej twarzy.

– Powiniennem pobiec za tobą – powiedział, z trudem wstrzymując emocje.

Położyłam na jego twarzy drugą dłoń i zbliżyłam się do niego.

– Nie powinnam była kłamać.

Był bliski płaczu.

– Wygadywałam straszne rzeczy.

– Tak – przypomniałam sobie i zrobiło mi się smutno. – Rzeczywiście.

– Nie chciałem tego mówić. Oprócz jednego. – Teraz on ujął moją twarz, spojrzał mi głęboko w oczy, jakby chciał wejrzeć mi w duszę. Być może mu się udało. – Kocham cię, Lou. – Oczy wypełniły mu się łzami. – Nigdy nie widziałem nikogo, kto pochłaniałby coś tak, jak ty pochłaniasz *wszystko*. Dzięki tobie czuję, że żyję. Samo przebywanie obok jest uzależniające. Ty jesteś uzależniająca. Nieważne, że jesteś czarownicą. Sposób, w jaki patrzysz na świat... Chcę się tego nauczyć. Pragnę być z tobą na zawsze, Lou. Nie chcę się z tobą nigdy rozstawać.

Nie mogłam powstrzymać łez.

– Gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę.

Powoli zbliżyłam usta do jego ust.

Mogłam iść samodzielnie, ale moje ciało szybko się męczyło.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do obozu, pozostali przygotowywali obiad. Coco rozpałała małe ognisko, a Madame Labelle zaczarowała dym, by stał się niewidoczny. Na patyku skwierczały dwa tłuste króliki. Na ten widok ścisnęło mnie w żołądku i musiałam zasłonić dłonią usta, żeby znowu nie wymiotować.

Ansel pierwszy nas zauważył. Jego twarz przeciął szeroki uśmiech, odstawił garnek i podbiegł do nas, po czym z radością wziął mnie w objęcia. Reid niechętnie mu pozwolił, a ja oddałam Anselowi uścisk z takim samym zapachem.

– Dziękuję – wyszeptałam mu do ucha. – Za wszystko.

Zarumienił się, ale mimo to cały czas obejmował mnie w pasie. Reid parzył z taką miną, jakby z całej siły powstrzymywał się od uśmiechu.

Beau oparł się o drzewo i założył ręce na piersi.

– Nie to miałem na myśli, kiedy mówiłem, że możemy się zabawić, Madame Diggory.

Pytając uniosłam brew, przypominając sobie jego nagą pierś w świetle księżyca.

– Och, sama nie wiem. Wydaje mi się, że były zabawne momenty.

– Podobał ci się mój występ? – Uśmiechnął się.

– Bardzo. Wygląda na to, że chodzimy do tych samych knajp.

Madame Labelle leniwie poruszała palcami. Odrobina magii, którą w ten sposób krzesła, sprawiała, że dym zniknął.

– Nie chcę wam przerywać, ale króliki zaczynają się palić.

Beau podszedł, żeby zsunąć z prowizorycznego różna mocno zarumienionego królika.

– Całe wieki zajęło mi ich upolowanie – marudził.

Coco przewróciła oczami.

– Masz na myśli patrzeć, jak *ja* na nie poluję?

– Słucham? – Z oburzeniem podniósł mniejszego. – Tego ja zastrzeliłem, dziękuję bardzo!

– Tak, ty, prosto w nogę. Musiałam się nachodzić za nieszczęśnikiem, żeby go dobić.

Kiedy Beau otworzył usta, by się odgryźć, spojrzałam na Reida.

– Czy coś mnie ominęło?

– Zachowują się tak, odkąd wyruszyliśmy – odpowiedział Ansel. Nie umknęło mi zadowolenie w jego głosie oraz ironiczny uśmiech na twarzy.

– Książę ma pewne problemy z przyzwyczajeniem się do życia na łonie natury – wyjaśnił spokojnie Reid. – Na Coco... nie robi to wrażenia.

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Kiedy kłótnia zaczęła eskalować, a żadna ze stron nie chciała się poddać, pomachałam ręką, żeby odwrócić ich uwagę.

– Przepraszam – powiedziałam głośno. Oboje odwrócili się, by na mnie spojrzeć. – Chociaż jest to całkiem zabawne, mamy ważniejsze sprawy do przedyskutowania.

– Na przykład? – warknął Beau.

Dupek. Prawie się roześmiałam, ale widząc wściekłe spojrzenie Coco, w ostatniej sekundzie się powstrzymałam.

– Nie możemy bez końca ukrywać się w tym lesie. Morgane zna wszystkie nasze twarze i zabije każdego z was za to, że pomogliście mi w ucieczce.

Beau prychnął.

– Mój ojciec każe nabić jej głowę na włócznię, kiedy pozna jej plany.

– Moją też – powiedziałam dobitnie.

– Zapewne.

Dupek do potęgi.

Madame Labelle westchnęła.

– August przez całe dekady nieskutecznie polował na Morgane, podobne jak jego przodkowie nie potrafili złapać żadnej Dame des Sorcieres. Jest wysoce wątpliwe, że teraz mu się uda. Co oznacza, że przez cały czas będzie dla nas zagrożeniem.

– Ale teraz chasseurzy znają położenie Chateau – zauważył Reid.

– Ale nie wejdą do niego bez czarownicy.

– Wcześniej weszli.

– No... tak. – Madame Labelle dyskretnie odchrząknęła i odwróciła wzrok, wygładzając pogniecioną, poplamioną krwią suknię. – Ja ich tam wprowadziłam.

– Co? – Reid zeszywniał, jego szyja poczerwieniała. – Spotkałaś się z Jean Lukiem? Oszalałaś? Jak? Kiedy?

– Kiedy wysłałam was z tymi rozszczebiotanymi trojaczkami. – Wzruszyła ramionami, pochyliła się i podrapała poczerniały pieńek u stóp. Kiedy się poruszył i otworzył lśniące, żółte oczy, serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. To nie był pieńek. Ani nawet kot. To... to był...

– Kiedy się posprzeczailiśmy, matagot dostarczył wiadomość twoim kamratom. Jean Luc nie był zachwycony, że demon miałby mącić mu w głowie, ale nawet on nie mógł odrzucić takiej propozycji. Do spotkania doszło na plaży obok Chateau, a ja ich przeprowadziłam przez otaczający go czar. Mieli czekać na mój sygnał. Kiedy się nie pojawiłam, Jean Luc wziął sprawy w swoje ręce. – Dotknęła sztywnego od krwi gorsetu sukni, jakby przypominając sobie chwilę, kiedy Morgane ugodziła ją w pierś. Na ten widok zabolęła mnie szyja. – Na szczęście i dzięki Bogini.

– Tak – zgodziłam się szybko, zanim wtrącił się Reid. Jego rumieniec rozprzestrzenił się z szyi aż po czubki uszu, gdy Madame Labelle opowiadała. Miałam wrażenie, że zaraz kogoś udusi, by powstrzymać tę rozmowę. – Ale teraz jesteśmy w gorszej sytuacji niż wcześniej.

– A to dlaczego? – Ansel zmarszczył czoło. – Chasseurzy zabili mnóstwo czarownic. Wobec tego Morgane musi być słabsza, prawda?

– Być może. Ale zranione zwierzę jest bardziej niebezpieczne.

Ansel wciąż nie rozumiał, więc przyciągnęłam go do siebie.

– Wszystko, co się stało, wszystko, co zrobiliśmy, sprawi, że będzie jeszcze bardziej rozjuszona. Inne czarownice również. Ta wojna jeszcze się nie skończyła.

Zapadła posępna cisza.

– Dobrze – powiedziała Coco, unosząc głowę. – Jest tylko jeden sposób. Wszyscy pójdziecie ze mną do mojego kowenu. Morgane nie będzie mogła nas tam dopaść.

– Coco... – Spojrzałam jej w oczy z przestraszonym. W odpowiedzi zacisnęła usta i położyła rękę na biodrze. – Mogą nas równie dobrze zabić, jak udzielić pomocy.

– Nie zabiją. Będziecie pod moją ochroną. Żadna nie ośmieli się podnieść na was ręki.

Znowu zapadła cisza.

– Nie macie zbyt wielu opcji, Louise, moja droga – powiedziała w końcu Madame Labelle. – Nawet Morgane nie jest tak szalona, żeby zaatakować cię w samym sercu krwawego kowenu, a August i chasseurzy nigdy was tam nie znajdą.

– A ty z nami nie pójdziesz? – zapytał zaniepokojony Reid. Jego kark miał kolor miedzianych włosów, nadal zaciskał pięści. Był spięty. Łagodnie pogłaskałam jego dłoń i spleliśmy palce. Wziął głęboki oddech i lekko się odprężył.

– Nie. – Madame Labelle głośno przełknęła ślinę, a matagot otarł się łbem o jej kolano, jakby był domowym zwierzątkiem. – Chociaż minęły lata, odkąd ostatni raz go widziałam, sądzę... nadeszła pora, bym rozmówiła się z Augustem.

Beau zmarszczył brwi.

– Tylko idiotka może mu powiedzieć, że jest czarownicą.

Reid i ja spojrzeliśmy na niego ze złością, ale Madame Labelle jedynie elegancko wzruszyła ramionami.

– Cóż, dobrze więc, że nie jestem idiotką. Oczywiście ty pójdziesz ze mną. Nie mogę sobie tak po prostu wejść do pałacu. Ale razem być może uda nam się przekonać Augusta, by porzucił swoje pomysły.

– Dlaczego wydaje ci się, że jesteś w stanie przekonać go do czegokolwiek?

– Kiedyś mnie kochał.

– Tak. Jestem przekonany, że moja matka z przyjemnością o tym posłucha.

– Przykro mi, ale wciąż nie rozumiem. – Ansel pokręcił głową i spojrzał na Coco. – Dlaczego sądzisz, że będziemy bezpieczni w twoim sabacie? Jeśli Morgane jest tak niebezpieczna, jak wszyscy mówią... to czy uda im się nas ochronić?

Coco parsknęła śmiechem.

– Nie wiesz, kim jest moja ciotka, prawda?

Ansel zmarszczył brwi.

– Nie.

– Wobec tego cię oświecę. – Uśmiechnęła się szeroko, w zachodzącym słońcu jej oczy wydawały się płonąć karmazynowym światłem. – Moja ciotka jest czarownicą La Voisin.

– Kurwa – jęknął Reid.

PODZIĘKOWANIA

Przed wydaniem ta historia przeszła przez wiele rąk, co oznacza, że muszę podziękować wielu ludziom za to, że pomogli mi ją ukształtować.

Mojemu mężowi RJ'owi: bez ciebie w sensie dosłownym nie mogłabym napisać *Gołębia i węża*. Dziękuję za cierpliwość przez całą tę podróż, za każdy wieczór, kiedy szczotkowałeś zęby chłopcom i kładłeś ich do łóżka, podczas gdy ja pisałam; za każdy weekend, gdy zabierałeś ich do piwnicy, podczas gdy ja waliłam głową w laptop. Za wszystkie naczynia i pranie, którymi się zajmowałeś, kiedy redagowałam książkę, za każde nieplanowane zakupy, gdy brakowało mi 5-Hour Energy. Nie masz pojęcia, jak ważne jest dla mnie twoje wsparcie. Kocham cię (PS. Teraz, gdy trzymasz tę książkę w rękach, nadeszła pora na to, BYŚ JĄ PRZECZYTAŁ).

Moim dzieciom, Beau, Jamesowi i Rose: skoro mnie się udało, wam też się uda. Podążajcie za swoimi marzeniami.

Moim rodzicom. To wy wzbudziliście we mnie miłość do czytania, a co ważniejsze, nauczyliście mnie kochać samą siebie. Bez waszych pochwał, waszej wiary w moje umiejętności, nigdy bym nie zebrała się na odwagę, by wydać książkę. Nie ma słów, by podziękować wam za bezwarunkową miłość i wsparcie.

Mojemu rodzeństwu. Jacob, Justin, Brooke, Chelsy i Lewie: nie jest łatwo słuchać z powagą wierszy ośmiolatki o Piotrusiu Panie, ale wam zawsze się udawało. Nigdy nie śmialiście się z moich marzeń o pisaniu. Wasz entuzjazm wiele dla mnie znaczy.

Moim teściom, Dave'owi i Pattie: dziękuję wam za wszystkie te dni, gdy na ochotnika zgłaszaliście się do opieki nad chłopcami. Kochamy was.

Moim dozgonnym przyjaciółom Jordan, Spencer, Meghan, Aaronowi, Adrienne, Chelsea, Riley, Courtney, Austinowi i Jonowi dziękuję za to, że tolerujecie moje dziwactwa i wciąż ze mną jesteście. Życie jest trudne, wydawanie jeszcze trudniejsze, ale wiem, że zawsze jesteście przy mnie. Do zobaczenia na imprezie!

Moim pierwszym krytyczkom Katie i Carolyn – jako dwie pierwsze osoby, które uwierzyły w moją powieść, zawsze będziecie miały specjalne miejsce w moim sercu. Dziękuję wam za zachętę i krytykę, a także za to, że pomogłyście mi pokonać blokadę pisarską, rozplątać skomplikowane wątki poboczne i przypominałyście mi, że ci bohaterowie są wyjątkowi. Dzięki wam ukończyłam pierwszą wersję. Bez was nie byłoby *Gołębia i węża*.

Moim pierwszym beta czytelnikom i czytelniczkom. Mystique_ballerina, SomethingsHere, fashionablady, BadlandsQueenHalsey, drowsypug, Djwestwood, Arzoelyn, Mishi_And_Books, reaweiger, Icholland82700, laia233, saturday—, JuliaBattles oraz BluBByGrl. Dziękuję wam za uwagi, komentarze i wiadomości. Wszystkie były dla mnie ważne.

Brendzie Drake, Heather Cashman i całemu zespołowi Pitch Wars. Wasz niesamowity program mentorski nadał rozpędu mojej karierze pisarskiej. Dziękuję.

Mojemu mentorowi z Pitch Wars, Jamiemu Howardowi. Bez twojej wizji *Gołąb i wąż* byłby zupełnie inną historią, i to nie tak dobrą. Dziękuję za to, że uwierzyłeś we mnie i w moją historię, oraz za czas i energię, które mi poświęciłeś.

Moim krytyczkom i siostrom, Abby i Jordan. Obie was uwielbiam. Pojawiłyście się w moim życiu w momencie przełomowym i chociaż zaczęłyśmy znajomość od recenzowania naszych prac, teraz jesteście dla siebie kimś więcej. Jesteście dla mnie jak siostry. Dziękuję, że byłyście ze mną podczas tej szalonej podróży, trzymałyście mnie za rękę, gdy brakowało mi pewności, i zachęcałyście do pisania, gdy łatwej byłoby się wycofać. Pisanie może być niesamowicie samotniczym zajęciem, ale z wami nie czuję się samotna.

Moim znajomym po piórze: Lindsay Bilgram, Madeline Johnston, Destiny Murtaugh, Abigail Carson, Kate Weiler, Jessica Bibi Cooper, Hannah Whitten, Layne Fargo, Allison L. Bitz, Laurze Taylor Namey, Monice Borg, E.K. Thiede, Kimberly Vale, Elorze Cook, Christinie Wise, Isabel Canas, Kylie Schachte, Luke'owi Huptonowi, Rachel Simon i Lily Grant. Dziękuję

za to, że jesteście tak wpierającą grupą. Wszyscy jesteście *cudowni*, a ja jestem zachwycona, że się na was natknęłam.

Frankofilce Catherine Bakewell. Twoja znajomość kultury i języka francuskiego wzbogaciła tę historię, zwłaszcza przekleństwa! Lou i ja jesteśmy do zgonnie wdzięczne.

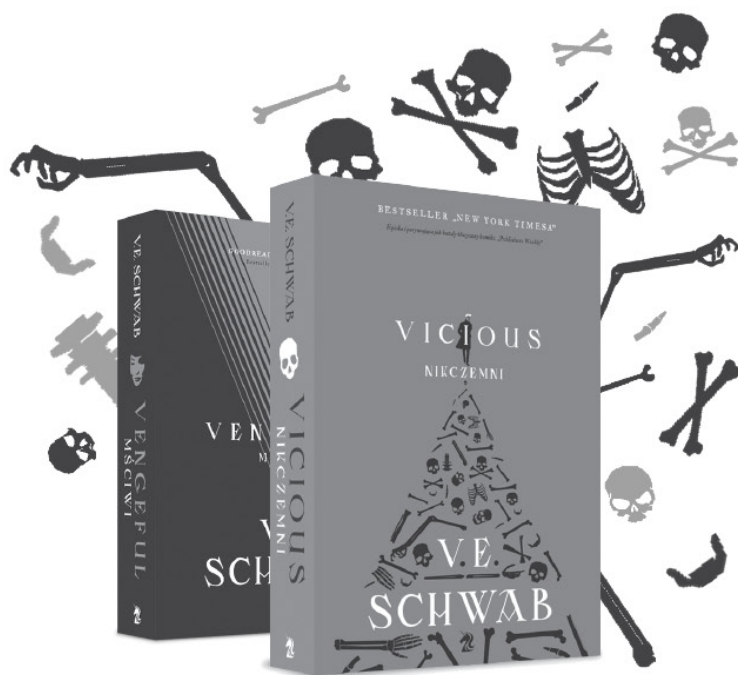
Mojej wspaniałej agentce, Sarze Landis. Po mniej więcej trzech sekundach naszej pierwszej rozmowy telefonicznej wiedziałam, że jesteś agentką stworzoną dla mnie. Twój entuzjazm jest zaraźliwy, a co ważniejsze, umiesz mnie szybko uspokoić, co nie jest łatwe w przypadku takiej panikary jak ja! Twoje wsparcie i ciepło były nie do przecenienia, gdy nawigowałam po rynku wydawniczym. Dziękuję, że zawsze jesteś ze mną.

Mojemu wydawniczemu rodzeństwu. Erin A. Craig, Jessice Rubinkowski, Meredith Tate, Julie Abe, Jennie K. Brown, Ronowi Waltersowi, Elisabeth Funk. Wasze doświadczenie i wiedza o rynku wydawniczym były dla mnie ważnym źródłem. Dziękuję za wasze zachęty i za to, że dzieliliście się przemyśleniami.

Moim beta czytelnikom. Erin Cotter, Margie Fuston, Megan McGee Lysaght, Lindsey Ouimet, Kylie Schachte, Emily Taylor, E.K. Thiede, Carol Topdjian, Kimberly Vale i Christinie Wise. Nie jestem w stanie wystarczająco wam podziękować za poświęcenie czasu na czytanie wczesnych wersji *Gołębia i węża*. Wasze uwagi, zarówno pochwały, jak i krytyka, odegrały ważną rolę w powstawaniu tej powieści.

Mojej fenomenalnej redaktorce Ericie Sussman. Nie umiem znaleźć odpowiednich słów, by podziękować ci za niekończącą się cierpliwość i wizję. Zawsze odczuwałam lęk przed pokazaniem swojej historii komuś innemu. Jednak po naszej pierwszej burzy mózgow ten lęk zniknął. Ufam twojemu osądowi w stu procentach, od bohaterów przez system magii aż po budowę powieściowego świata. Jesteś prawdziwą gwiazdą rocka. Dziękuję, że pokochałaś tę historię tak samo jak ja.

Mojemu zespołowi w HarperTeen: Sarze Kaufman, Alison Donalty, Alexandrze Rakaczki, Ebony LaDelle, Michaelowi D'Angelo, Bess Braswell, Olivii Russo i Louisie Currigan. Dziękuję, że uwierzyliście w tę historię. Jestem oszołomiona waszymi umiejętnościami i uważam się za wielką szczęściarę, że jestem otoczona tak utalentowanymi ludźmi. Dziękuję, że spełniliście moje życiowe marzenie.



Seria „Złoczyńcy” Schwab Victoria

Victoria Schwab, bestsellerowa autorka i zwyciężczyni Goodreads Choice Awards 2018 wraca z wyjątkową serią „Złoczyńcy”! Poznaj nowe oblicze autorki *Okrutnej pieśni* i *Mrocznego duetu*.

Życie – takie, jakie jest naprawdę – to walka nie między złym a dobrym, lecz między złym, a jeszcze gorszym.

Victor i Eli poznali się na studiach. Genialni, aroganccy i zdolni, od początku zauważyli w sobie tę samą wielką ambicję. W ciągu ostatniego roku zajęć wspólnie zainteresowali się badaniami nad adrenaliną, doświadczeniami bliskimi śmierci i pozornie nadprzyrodzonymi zdarzeniami, które ujawniły, że w odpowiednich warunkach można rozwinąć w sobie nadzwyczajne zdolności. Kiedy ich prosta teoria naukowa zamienia się w poważny eksperyment, sprawy zaczynają się komplikować...

Dziesięć lat później Victor ucieka z więzienia, a jego celem jest znalezienie byłego przyjaciela. W podróży towarzyszy mu znajomy z celi – Mitch, a na ich drodze staje Sydney – ranna dziewczyna, której po-wściągliwa natura skrywa niejedną tajemnicę.

Wrogowie uzbrojeni w straszliwą moc, napędzani wspomnieniem zdrady i straty, wyznaczyli kurs zemsty. Kto przeżyje pełne nienawiści starcie? Przed wami porywająca opowieść o ambicjach, zazdrości, pożądaniu i mrocznych, nadprzyrodzonych mocach!



**#1 „NEW YORK TIMESA”. POWIEŚĆ JEDNEJ
Z NAJPOPULARNIEJSZYCH BOOKTUBEREK W USA!**

Zacznij niepowtarzalną, kosmiczną przygodę razem z pierwszym tomem serii „Andromeda”.

Większość zna Andromę Racellę jako Krwawą Baronową, potężną najemniczkę, której bezlitosne rządy rozciągają się na całą Galaktykę Mirabel. Dla załogi jej szklanego statku jest po prostu Andi – ich przyjaciółką i nieustraszoną przywódczynią kosmicznych piratów. Kiedy kolejna rutynowa misja nie przebiega zgodnie z planem, cała załoga Marudera trafia w ręce okrutnego łowcy nagród.

Andi, zmuszona do udziału w niebezpiecznej misji, stawia czoła mrocznemu władcy owdziętemu żądzą zemsty. Załoga Marudera stanie przed trudnym wyborem – albo przywróci porządek w galaktyce, albo rozpoczną wojnę. Gdy statek rusza w stronę nieznanego, pewne jest tylko to, że już nikomu nie mogą ufać.

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ PIERWSZA

BELLEROSE

CHASSEUR

NIEGODZIWOŚĆ KOBIET

SKOK

IMIĘ CZŁOWIEKA

PIERŚCIEŃ ANGELIKI

GNIEW I ZAZDROŚĆ

UMOWA KORZYSTNA DLA WSZYSTKICH

CEREMONIA

CZEŚĆ DRUGA

KONSUMPCJA MAŁŻEŃSTWA

PRZESŁUCHANIE

ZAKAZANA INFIRMERIA

UCIECZKA

PANIE, MIEJ LITOŚĆ

MADAME LABELLE

CHŁÓD W KOŚCIACH

SPRYTNA MAŁA CZAROWNICA

LA VIE ÉPHÉMÈRE
ZABÓJCA CZAROWNIC
BÓL DUSZY
CZAS RUSZYĆ DALEJ
GOŚĆ HONOROWY
NIEBEZPIECZNA GRA
KWESTIA DUMY
KREW, WODA I DYM
W MOIM DOMU
DOKĄD IDZIESZ
MONSIEUR BERNARD
WASZE STARSZE SIOSTRY

CZEŚĆ TRZECIA

WYZNANE TAJEMNICE
ZAPOMNIENIE
SŁOWA MARTWEJ CZAROWNICY
PIEKŁO NIE ZNA TAKIEJ FURII
DUSZA PAMIĘTA
ZWIASTUN
DRYFOWANIE
OSOBA TOWARZYSZĄCA
MODRANIHT
WZÓR
LA FORÊT DES YEUX
LA VOISIN

PODZIĘKOWANIA

Polecamy również